Książka pobrana ze strony
http://www.ksiazki4u.prv.pl
lub
www.wszystko-co-najlepsze.prv.pl

FRANK HERBERT

BÓG IMPERATOR DIUNY

Przełożył Marek Mastalerz

Wyjątek z wystąpienia Hadii Benotto, donoszącego o odkryciach w Dar-es-Balat na planecie Rakis

Jest dla mnie nie tylko przyjemnością oznajmić dziś państwu o odkryciu tego wspaniałego magazynu, zawierającego pośród innych znalezisk monumentalną kolekcję manuskryptów sporządzonych na ryduliańskim papierze krystalicznym, ale poczytuję sobie także za zaszczyt możliwość przedstawienia dowodów potwierdzających autentyczność naszych odkryć. Mamy powody wierzyć w to, że odnaleźliśmy oryginały dzienników Leto II, Boga Imperatora.

Po pierwsze, proszę pozwolić mi przypomnieć, czym jest historyczny przekaz, znany nam wszystkim pod nazwą "Wykradzionych dzienników", owych bez wątpienia starożytnych tomów, przez stulecia tak pomocnych dla zrozumienia naszych przodków. Jak państwu wiadomo, "Wykradzione dzienniki" zostały odczytane przez Gildię Planetarną. Klucz Gildii został zastosowany również do odszyfrowania niedawno odnalezionych tomów. Nikt nie zaprzecza starożytności Klucza Gildii, jak i temu, że jedynie on pozwala odczytać owe tomy.

Po drugie, księgi te zostały wydrukowane przy pomocy ixiańskiego dyktatelu o autentycznie pradawnym pochodzeniu. "Wykradzione dzienniki" nie pozostawiają wątpliwości, że takiej właśnie metody użył Leto H do zapisywania swych historycznych obserwacji.

Po trzecie, bardzo ważna jest kwestia samego magazynu, który, jak sądzimy, ma podobne znaczenie dla naszego znaleziska, co fakty wymienione w poprzednich punktach. Miejsce, w którym przechowywano te dzienniki, jest bez wątpienia wytworem Ixian i posiada tak prymitywną a zarazem tak wspaniałą konstrukcję, że z pewnością rzuci nowe światło na epokę historyczną zwaną Rozproszeniem. Jak należało się tego spodziewać, miejsce ukrycia jest z zewnątrz niewidoczne. Magazyn został zagrzebany głębiej, niż pozwalały nam tego oczekiwać Przekazy Ustne i mit, a poprzez emisję i pochłanianie promieniowania symulował naturalne cechy otoczenia. Taki mechaniczny mimetyzm sam w sobie nie jest zaskakujący, tym jednakże, co zdumiało naszych inżynierów, jest sposób, w jaki dokonano tego przy pomocy najbardziej podstawowych i naprawdę prymitywnych technologii.

Widzę, że niektórzy z państwa są tym podekscytowani podobnie jak my. Sądzimy, że dotarliśmy do najwcześniej skonstruowanej Kuli Ixiańskiej, pozaprzestrzeni, od której wzięły początek wszystkie podobne urządzenia. Jeżeli nawet nie jest rzeczywiście pierwsza, to musi być jedną z pierwszych, powieleniem zasady, na której oparto prototyp.

Pragnę zapewnić państwa, że wasza oczywista ciekawość zostanie zaspokojona podczas krótkiej wycieczki na miejsce znaleziska, która odbędzie się w najbliższym czasie. Prosilibyśmy tylko o ostrożne zachowanie się wewnątrz obiektu, ponieważ nasi specjaliści i inżynierowie wciąż pracują nad rozwiązaniem zagadek tego miejsca.

Tu właśnie chciałabym przejść do czwartego punktu mojego wystąpienia, w którym pragnę powiedzieć o czymś, co z dużą dozą pewności może stać się uwieńczeniem naszych odkryć. Trudno mi wyrazić swe odczucia w chwili, gdy mogę państwu oznajmić o jeszcze jednym odkryciu poczynionym w owym miejscu - o zapisach oznakowanych jako dokonane przez Leto II głosem jego ojca, Paula Muad'Diba. Ponieważ w archiwum Bene Gesserit znajdują się potwierdzone jako autentyczne nagrania głosu Boga Imperatora, przesłaliśmy zakonowi próbki naszych zapisów - wszystkie wykonane w starożytnym systemie mikropęcherzykowym - z oficjalną prośbą o test porównawczy. Nie mamy prawie żadnych wątpliwości, że autentyczność również tych zapisów zostanie potwierdzona.

Proszę teraz państwa o zwrócenie uwagi na przetłumaczone wyjątki, które zostały wam wręczone przy wejściu. Pozwólcie mi skorzystać ze sposobności i przeprosić za to, że są tak ciężkie. Słyszałam, jak niektórzy z państwa żartowali na ten temat. Papieru użyliśmy z powodów praktycznych, z oszczędności. Oryginalne tomy wydrukowane są tak drobnym drukiem, że musiał zostać znacznie powiększony, by uczynić go możliwym do czytania. W rzeczywistości do przedrukowania zawartości oryginałów z ryduliańskiego papieru potrzeba ponad czterdziestu tomów rozmiarów tego, który właśnie trzymacie.

Czy projektor...? Tak. Na ekranie po waszej lewej stronie została wyświetlona część oryginalnego manuskryptu. Jest to pierwsza strona tomu pierwszego. Nasze tłumaczenie znajduje się na ekranie po prawej. Proszę zwrócić równie baczną uwagę na klarowność myśli, na poetycką lekkość słów, co na znaczenie tekstu - których to cech udało się nie zagubić w przekładzie. Styl świadczy o wyraźnie zarysowanej, spójnej osobowości. Wierzymy, że te słowa mogły zostać zapisane tylko przez kogoś, kto bezpośrednio doznawał wspomnień przodków, przez kogoś ciężko trudzącego się nad przekazaniem owego nadzwyczajnego doświadczenia obcowania z poprzednimi istnieniami w sposób możliwy do pojęcia przez kogoś, kto tego daru nie posiada.

Proszę, wniknijcie teraz w rzeczywistą zawartość znaczeniową dzieła. Wszystkie odniesienia zgodne są z tym, co historia przekazuje nam o osobie, która, jak wierzymy, była jedyną istotą zdolną do napisania takiej relacji.

Mamy dla państwa teraz jeszcze jedną niespodziankę. Pozwoliłam sobie zaprosić na dzisiejsze spotkanie znanego poetę Rebetha Vreeba, by odczytał z tejże pierwszej strony krótki fragment naszego tłumaczenia. Stwierdziliśmy, że nawet w przekładzie słowa te, odczytane na głos, nabierają odmiennego charakteru. Pragniemy podzielić się z państwem prawdziwie nadzwyczajną wartością, jaką odkryliśmy w tych dziennikach.

Panie i panowie, przed wami Rebeth Vreeb.

Z występu Rebetha Vreeba:

Zaświadczam wam, żem jest księgą losu.

Pytania są moimi wrogami. Albowiem me pytania wybuchają! Odpowiedzi rwą się jak przelękłe stada ptactwa, mrocząc niebo wspomnień, od których nie ma ucieczki. Ni jednej odpowiedzi, ni jednego zaspokojenia.

Cóż za pryzmaty błyskające, gdy zawitam na upiornym polu mej przeszłości? Jestem odrobiną zmielonego kamienia, zamkniętą w szkatule. Szkatuła trzęsie się i wiruje. Wtrąca mnie w burzę tajemnic. A gdy się otwiera, wracam do swej obecności jak obcy w pierwotnej krainie.

Powoli (powoli, mówię!) od nowa dowiaduję się swego imienia.

Ale to nie jest poznawanie samego siebie!

Ta osoba o moim nazwisku, ów Leto, który jako drugi nosi to imię, odnajduje w swym umyśle inne głosy, inne imiona, inne miejsca. Och, obiecuję wam (jak i mnie obiecano), że odpowiadać będę na jedno tylko imię. Jeśli rzekniecie "Leto" - zareaguję. Cierpienie nadaje temu walor prawdy; cierpienie i coś jeszcze.

To ja dzierżę wszystkie nici!

Wszystkie są moją dziedziną. Dajcie mi tylko pomyśleć! - powiedzmy... mężczyźni, którzy padli od miecza - i widzę ich wszystkich we krwi, słyszę każdy jęk, widzę każdy grymas, każdy wyraz twarzy.

Radość macierzyństwa - myślę i łoża porodowe należą do mnie. Serie niemowlęcych uśmiechów i słodkie kwilenie nowych pokoleń. Pierwsze kroki dzieci i pierwsze zwycięstwa młodzieńców - zaniesione przede mnie, bym

je podzielał. Potykają się jedni o drugich, dopóki przed moimi oczami nie pozostanie jedynie jednakowość i powtórzenie.

Nie ruszaj tego - ostrzegam sam siebie.

Któż zaprzeczy wartości tych doznań, wartości nauki, przez która widzę każdą nową chwilę?

Aaach, ale to przeszłość.

Nie rozumiecie?

To tylko przeszłość!

Tego ranka urodziłem się w jurcie, na skraju zamieszkałej przez konie równiny - na planecie, która już nie istnieje. Jutro urodzę się kimś innym gdzie indziej. Jeszcze o tym nie zdecydowałem. Tego ranka jednakże - aaach, co za życie! Gdy moje oczy nauczyły skupiać się na przedmiotach, wyjrzałem tam, skąd dochodziło światło słońca, i spostrzegłem rześkich ludzi, krzątających się wokół sielskich powinności ich życia. Gdzież... och, gdzież podziała się tamta rześkość?!

"Wykradzione dzienniki"

Trójka ludzi biegnących ku północy w tworzonym przez księżyc cieniu Zakazanego Lasu rozciągnięta była w linię o długości prawie pół kilometra. Ostatni biegacz znajdował się mniej niż sto metrów przed ścigającymi ich wilkami-D. Słyszał, jak bestie warczą i dyszą w swej żądzy, tak jak zwykły to były czynić, gdy ofiara znajdowała się już w ich polu widzenia.

Pierwszy Księżyc pozostawał prawie w zenicie i w lesie było zupełnie jasno. Mimo iż znajdowali się na dalekiej północy Arrakis, nie czuli zimna - wciąż było ciepło od upału letniego dnia. Powietrze napływające z Seriru, Ostatniej Pustyni, niosło przesiąknięte zapachem żywicy wilgotne wyziewy leśnego poszycia. Co jakiś czas bryza od Morza Kynesa za Serirem przywiewała słabą woń soli i ryb.

Zrządzeniem losu ostatni z biegaczy nazywał się Ulot, co w języku fremeńskim znaczyło Ukochany Maruder. Ulot był mężczyzną o krępej posturze, ze skłonnością do tycia, co podczas treningu do tej wyprawy nałożyło nań obowiązek ścisłej diety. Nawet gdy zeszczuplał - specjalnie z myślą o tym desperackim biegu - jego twarz pozostała okrągła. Z wielkich brązowych oczu wyzierał szczery żal z powodu tego, że ich posiadacz ma wciąż za dużo ciała.

Dla Ulota było oczywiste, że nie będzie w stanie zbyt długo biec. Już teraz ciężko dyszał. Co jakiś czas potykał się, ale nie przywoływał towarzyszy. Wiedział, że nie mogą mu pomóc. Wszyscy złożyli tę samą przysięgę, wiedząc, że poza dawnymi cnotami i fremeńską lojalnością nie ma dla nich innej obrony. Pozostawało to wciąż prawdą, mimo iż wszystko, co dotyczyło starych zwyczajów Fremenów, stało się wartością zabytkową - roty przysięgi nauczyli się od Muzealnych Fremenów.

To właśnie fremeńska lojalność nakazywała Ulotowi zachować milczenie, choć miał pełną świadomość rychłej zguby. Była to piękna lekcja dawnych wartości, chociaż raczej żałosna, skoro żadne z uciekinierów nie posiadało innego źródła wiedzy o cnotach, które naśladowali, poza książkami i legendami pochodzącymi z Przekazów Ustnych.

Wilki-D gnały tuż za Ulotem - gigantyczne szare bestie wielkością niemal dorównujące człowiekowi - z uniesionymi głowami i oczami skupionymi na zdradzonej im przez światło księżyca sylwetce zdobyczy.

Prawa stopa Ulota zawadziła o korzeń i mężczyzna prawie upadł. Paradoksalnie, dodało mu to trochę energii. Gwałtownie przyspieszył, zyskując nad swoimi prześladowcami parę metrów przewagi. Silnie pracował ramionami i dyszał głośno przez otwarte usta.

Wilki-D nie zmieniły tempa. Były srebrnymi cieniami błyskającymi wśród ciemnych pni. Wiedziały, że wygrały. Znały już to uczucie.

Ulot znów się potknął. Odzyskał równowagę, chwytając się młodego drzewka, i pobiegł dalej na nogach drżących w buncie przeciw temu, do czego je zmuszał. Na kolejny zryw nie starczyło mu siły.

Jeden z wilków-D, wielka samica, odłączył się od stada i podbiegł z lewej strony. Nagle skręcił do środka i skoczył, by przeciąć mu drogę. Ostre pazury rozdarły kark Ulota. Biegnący zachwiał się, ale nie upadł. Do zapachu lasu dołączyła woń krwi. Mniejszy samiec trafił łapą w prawe biodro mężczyzny i wreszcie Ulot upadł krzycząc. Zgraja zbiła się w kupę i krzyk konającego urwał się z okrutną ostatecznością.

Nie zatrzymując się, by się pożywić, wilki-D podjęły dalszy pościg. Ich nozdrza badały leśne podłoże i wonne wiry w powietrzu, wyczuwając obecność jeszcze dwóch ludzkich istot.

Następny uciekinier nosił imię Kwuteg, stare i godne szacunku imię na Arrakis, imię z czasów Diuny. Jego przodek służył siczy Tabr jako Mistrz Zgonsuszni, ale fakt ów ginął w mrokach sięgającej ponad trzy tysiąclecia wstecz historii, w którą wielu mu współczesnych już zresztą nie wierzyło. Wysoki i smukły Kwuteg pokonywał dystans imponującymi susami. Jego ciało zdawało się być wręcz stworzone do takiego wysiłku. Długie czarne włosy, spadające luźno na plecy, falowały rytmicznie w takt biegu. Tak jak jego towarzysze, miał na sobie czarny kombinezon biegacza, uszyty z gęstej bawełnianej tkaniny, doskonale podkreślający pracę jego pośladków i umięśnionych ud oraz głęboki i spokojny rytm jego oddechu. Tylko jego krok, nieco zbyt wolny jak na Kwutega, zdradzał, że młodzieniec uszkodził sobie prawe kolano, schodząc z wykonanych ludzką ręką przepaści otaczających Twierdzę Boga Imperatora w Serirze.

Kwuteg słyszał wołanie Ulota, nagłą i brzemienną ciszę oraz podjęty na nowo skowyt pościgu wilków-D. Starał się nie pozwolić swemu umysłowi tworzyć obrazu kolejnego przyjaciela zabitego przez potwornych strażników Leto, ale wyobraźnia pomimo to dokonywała na nim swoich czarów. Kwuteg przeklął w myśli tyrana, ale nie marnował oddechu, by wyrzec inwektywę. Wciąż pozostawała szansa, że uda mu się osiągnąć azyl rzeki Idaho. Kwuteg wiedział, co o nim myślą jego przyjaciele - nawet Siona. Zawsze znany był ze swojej zachowawczej postawy. Nawet jako dziecko oszczędzał siły, dopóki nie były niezbędnie potrzebne - jak skąpiec wydzielający sobie uciułane rezerwy.

Mimo zranionego kolana, Kwuteg podkręcił tempo. Wiedział, że rzeka jest blisko. Kontuzja przekroczyła punkt, przed którym była bólem, by teraz stać się ogniem gorejącym w całej nodze i boku. Kwuteg znał granice swojej wytrzymałości, wiedział też, że Siona prawie już dotarła do wody. Była biegaczką najszybszą z nich i to ona niosła uszczelniony pakunek oraz to, co wykradli z fortecy w Serirze. Biegnąc Kwuteg skupił myśli na tym pakiecie.

"Ocal go, Siono! Wykorzystaj to, by go zniszczyć!"

Żądne krwi wycie wilków-D przeniknęło do świadomości Kwutega. Bestie były zbyt blisko. Wiedział już, że nie zdoła im się wymknąć.

"Ale Siona musi uciec!"

Zaryzykował spojrzenie za siebie i dostrzegł, że jeden z wilków zbliża się, by zajść go od flanki. Świadomość młodzieńca bezbłędnie zidentyfikowała schemat ataku. Gdy okrążający go wilk skoczył, Kwuteg skoczył również. Minął najbliższe drzewo tak, by zasłoniło go przed resztą zgrai, zanurkował pod wilka, chwycił oburącz jedną z jego tylnych łap i bez zatrzymywania się zakręcił schwytanym drapieżnikiem jak cepem. Atakujące stado rozpierzchło się. Stwierdzając, że zwierzę nie jest tak ciężkie, jak się tego spodziewał, i że prawie z radością wita odmianę w tym nadludzkim wysiłku, Kwuteg zamachnął się swą żywą maczugą, powalając z chrzęstem miażdżonych czaszek dwa z rozwścieczonych wilków. Ale nie mógł strzec się od każdej strony. Smukły samiec skoczył mu na plecy, rzucając nim na drzewo, przez co młodzieniec stracił maczugę.

- Biegnij! - wrzasnął.

Zgraja ponownie zbliżyła się, a Kwuteg wgryzł się w gardło siedzącego mu na plecach samca. Zacisnął zęby, wkładając w to całą siłę ostatecznej desperacji. Wilcza krew trysnęła mu na twarz, oślepiając go. Obrócił się i nie mając pojęcia, w którą stronę się posuwa, zdołał pochwycić następnego wilka. Część zgrai rozpierzchła się, zaś kilka bestii zwróciło się przeciw zranionemu osobnikowi. Jednakże większość wciąż skupiona była na właściwej ofierze. Zęby z dwóch stron rozdarły gardło Kwutega.

Siona także słyszała krzyk Ulota, po którym zapadła absolutna cisza, i ponowne wycie wilków, gdy bestie na nowo podjęły swój pościg. Przepełniał ją taki gniew, że czuła, iż może od niego niemal wybuchnąć. Ulota włączono do tego przedsięwzięcia ze względu na jego zdolności analityczne i sposób, w jaki z kilku szczegółów składał całość. To właśnie Ulot, wyjmując ze swego pakietu tak oto niespodziewanie przydatny powiększacz, zbadał dwa dziwne tomy, które znaleźli pośród planów Twierdzy.

"Myślę, że to szyfr" - powiedział Ulot.

A Radi, biedny Radi, który miał zginąć jako pierwszy z ich drużyny... Radi odparł:

"Nie możemy sobie pozwolić na dodatkowe obciążenie. Wyrzuć je."

" W ten sposób nie chowa się nieważnych rzeczy" — sprzeciwił się Ulot.

Kwuteg przyłączył się do Radiego:

"Naszym celem było zdobycie planów Twierdzy i już je mamy. Te tomy są za ciężkie."

"Poniosę je" - Siona niespodziewanie zgodziła się z Ulotem.

To zakończyło dyskusję.

"Biedny Ulot."

Wszyscy wiedzieli, że jest najgorszym biegaczem pośród nich. Ulot był powolny w większości sytuacji, ale nie sposób było zaprzeczyć mu klarowności myślenia.

"Można mu ufać."

Ulotowi można było ufać.

Siona opanowała gniew i wykorzystała jego siłę, by przyspieszyć kroku. Wokół niej w świetle księżyca umykały w tył drzewa. Dotarła do tej bezczasowej pustki w trakcie wysiłku, gdy nie istnieje już nic prócz własnych ruchów, ciała wykonującego to, do czego je zmusiła.

Mężczyźni zawsze dostrzegali piękno jej biegu. Siona wiedziała o tym. Długie ciemne włosy miała ciasno upięte, aby nie rozwiewał ich pęd powietrza wywołany przez szybkość. Oskarżyła Kwutega o głupotę, gdy nie zgodził się pójść w jej ślady.

"Gdzie jest Kwuteg?"

Jej włosy były inne niż Kwutega. Miały ten głęboki odcień brązu, który często myli się z czernią, jest jednak zupełnie od czerni odmienny. W ogóle nie przypominały jego włosów.

Tak jak to często sprawiają geny, jej rysy były kopią cech dawno zmarłego przodka: łagodny owal twarzy, usta wyrażające wielkoduszność, czujne, świadome oczy nad małym nosem. Jej ciało stało się wręcz chude w wyniku kilku lat intensywnego biegania, ale słało silne seksualne sygnały do napotykających ją mężczyzn.

"Gdzie jest Kwuteg?"

Wilcza zgraja zamilkła. To zaalarmowało dziewczynę. Raz już tak zrobiły - przed pochwyceniem Radiego. Było tak samo, gdy dostały Setuse.

Powiedziała sobie, że ta cisza może oznaczać coś innego. Kwuteg też był milczący... i silny. Nie wyglądało na to, aby rana dokuczała mu zbytnio.

Siona zaczęła odczuwać ból w piersi - zapowiedź zadyszki, którą tak dobrze znała z treningów. Pot wciąż zalewał jej ciało pod cienkim czarnym strojem. Pakunek wraz z cenną zawartością, dokładnie uszczelnioną, tak aby nie uległa zniszczeniu w trakcie przeprawy przez rzekę, miała przytroczony wysoko na plecach. Pomyślała o planach Twierdzy znajdujących się w pakiecie.

"Gdzie Leto ukrył swój zapas przyprawy?"

To musiało być gdzieś wewnątrz Twierdzy. Musiało. W tych planach na pewno będzie ślad. Melanż - przyprawa, na której głód cierpiały Bene Gesserit, Gildia i wszyscy inni... To była nagroda warta ryzyka.

I te dwa zaszyfrowane tomy. Kwuteg w jednym miał rację - ryduliański papier krystaliczny był ciężki, lecz ona podzielała podniecenie Ulota. W linijkach szyfru kryło się coś ważnego.

Raz jeszcze pożądliwy skowyt wilków rozległ się w lesie za jej plecami.

"Biegnij, Kwuteg, biegnij!"

Na wprost siebie między drzewami widziała już szeroki, rzadziej porośnięty obszar przylegający do rzeki Idaho. Dojrzała refleksy księżycowej poświaty odbijające się od tafli wody.

"Biegnij, Kwuteg!"

Tęskniła za jakimś dźwiękiem wydanym przez Kwutega, jakimkolwiek odgłosem. Została ich tylko dwójka z jedenastki, która rozpoczęła bieg. Dziewięcioro zapłaciło życiem za to przedsięwzięcie: Radi, Ulot, Setuse, Inineg, Aline, Onemao, Hutye, Memar i Oala.

Siona powtórzyła ich imiona, przy każdym zanosząc milczącą modlitwę do dawnych bogów - nie do tyrana Leto. Modliła się zwłaszcza do Szej-huluda.

"Składam swe modły Szej-huludowi, który mieszka w piachu."

Nagle las skończył się i Siona wybiegła na oświetlony przez księżyc pas skoszonej trawy, ciągnący się wzdłuż rzeki. Woda i wąska plaża przywoływały ją do siebie. Na tle ciemnego nurtu rzeki plaża wydawała się być srebrna.

Głośny skowyt dochodzący z gęstwiny sprawił, że Siona zmyliła krok. Rozpoznała wybijający się ponad dzikie odgłosy wilków głos Kwutega. Kwuteg wołał do niej - nie wątpiła w to, choć nie słyszała swego imienia. Jego krzyk wyrażał to, czego nie można było pomylić z niczym innym.

- Biegnij!

Odgłosy stada przeszły w potworny zgiełk rozszalałych skowytów. Kwuteg więcej się nie odzywał. Wiedziała już, na co jej przyjaciel zużywa resztę sił.

"Zatrzymuje je, by pomóc mi w ucieczce."

Posłuszna rozkazowi Kwutega, rzuciła się ku brzegowi rzeki i skoczyła głową naprzód. Dla rozgrzanej biegiem Siony zetknięcie z lodowatą wodą było gwałtownym wstrząsem. Przez moment otępiała, zaczęła niezgrabnie płynąć na drugi brzeg, walcząc z brakiem oddechu i odrętwieniem mięśni. Cenny plecak unosił się na wodzie i obijał o tył jej głowy.

Rzeka Idaho nie była w tym miejscu zbyt szeroka - nie miała więcej niż pięćdziesiąt metrów - płynęła spokojnym łukiem, pełna piaszczystych łach z wystającymi korzeniami. Układający się tarasami brzeg porośnięty był bujną trawą i trzciną tam, gdzie woda nie zgodziła się pozostać wewnątrz regularnie ukształtowanych koryt wytyczonych przez inżynierów Leto. Sionę pokrzepiła świadomość tego, że wilki-D były uwarunkowane na unikanie kontaktu z wodą. Ich granice terytorialne zostały jasno nakreślone: po tej stronie rzeka, po drugiej - ściana pustyni. Mimo to przepłynęła ostatnie kilka metrów pod wodą i wynurzyła się w cieniu stromo podmytego brzegu, zanim odwróciła się i spojrzała wstecz.

Wataha wilków stała rozciągnięta wzdłuż brzegu, wszystkie prócz jednego, który zszedł nad wodę. Pochylił się naprzód, prawie zanurzając jedną łapę. Słyszała, jak skamlał.

Siona wiedziała, że wilk ją widzi. Nie było co do tego żadnych wątpliwości. Wilki-D znane były z doskonałego wzroku. Wśród przodków leśnych strażników Leto były charty-wzrokowce, właśnie dla tych niezwykłych predyspozycji skrzyżowane przez niego z wilkami. Dziewczyna zastanawiała się, czy te ulepszone wilki są zdolne przełamać swoje uwarunkowanie. Zasadniczo były drapieżnikami opierającymi działanie na zmyśle wzroku. Gdyby wilk na brzegu rzeki wszedł do wody, cała reszta mogłaby podążyć za nim. Siona wstrzymała oddech. Czuła się śmiertelnie wyczerpana. Pokonali prawie trzydzieści kilometrów, z czego połowę z wilkami-D dyszącymi im za plecami.

Zwierzę na skraju rzeki zawyło raz jeszcze i odskoczyło do swoich towarzyszy. Na jakiś bezgłośny sygnał wilki odwróciły się i pomknęły w las.

Siona wiedziała, dokąd podążą. Wilkom-D wolno było pożerać wszystko, cokolwiek pochwyciły w Zakazanym Lesie. Wszyscy o tym wiedzieli. To dlatego swobodnie przemierzały las - były strażnikami Seriru.

- Zapłacisz mi za to, Leto - szepnęła. Jej glos był cichym szmerem, prawie zlewającym się z szelestem trzciny za jej plecami. - Zapłacisz za Ulota, Kwutega i wszystkich innych. Zapłacisz.

Odepchnęła się delikatnie rękoma i zaczęła dryfować z prądem, dopóki jej stopy nie dotknęły piaszczystego dna przy wąskiej plaży. Powoli wyszła z wody i przystanęła, by sprawdzić, czy opieczętowana zawartość jej plecaka pozostała sucha. Pieczęć była nienaruszona. Siona przyjrzała się jej przez chwilę w świetle księżyca, następnie podniosła wzrok na ścianę lasu za rzeką.

"Cena, jaką za to zapłaciliśmy: dziesięciu bliskich przyjaciół."

Łzy zaszkliły się w jej oczach. Była jednak z tej samej gliny co dawni Fremeni - nie popłynęło ich zbyt wiele. Przeprawa przez rzekę, a wcześniej przez las, którego północne obrzeża patrolowały wilki, potem przez Serir, Ostatnią Pustynię i wały Twierdzy - wszystko to nabierało już w jej umyśle cech sennego marzenia... nawet ucieczka przed wilkami, którą wszak przewidzieli, bo pewne było, że stado krwiożerczych strażników przetnie szlak intruzów i rozpocznie się... wszystko to było jak sen. To była przeszłość.

"Uciekłam."

Włożyła do plecaka zapieczętowany pakunek i zarzuciła go raz jeszcze na plecy.

"Przedarłam się przez twój system obronny, Leto."

Siona pomyślała o zaszyfrowanych księgach. Była niemal pewna, że coś ukrytego w wierszach szyfru otworzy drogę jej zemście.

"Zniszczę cię, Leto!"

Nie: "zniszczymy cię, Leto!" To nie byłoby do niej podobne. Zrobi to sama.

Odwróciła się i zaczęła iść w stronę sadów za świeżo skoszoną łąką na nabrzeżu. Idąc, powtórzyła na głos swoją przysięgę, dodając do niej dawną fremeńską formułę obejmującą pełne jej imię:

- Ja, Siona Ibn Fuad al-Sejefa Atryda, przeklinam cię, Leto. Zapłacisz za wszystko!

Tekst poniższy pochodzi z ksiąg odkrytych w Dar-es-Balat w tłumaczeniu Hadii Benotto

Urodziłem się jako Leto Atryda II ponad trzy tysiące standardowych lat temu, licząc od chwili, kiedy przyczyniłem się do wydrukowania tych słów. Moim ojcem był Paul Muad'Dib, moją matką jego fremeńską małżonka, Chani. Moją babką ze strony matki była Faroula, znana wśród Fremenów zielarka. Babką ze strony ojca - Jessika, produkt planu eugenicznego Bene Gesserit, poszukująca mężczyzny, który posiadałby moce Matek Wielebnych zakonu żeńskiego. Moim dziadkiem ze strony matki był Liet-Kynes, planetolog, który zorganizował ekologiczne przekształcenie Arrakis. Dziadkiem ze strony ojca był Atryda, spadkobierca rodu Atreusza, którego przodkowie wywodzili się ze starożytnej Grecji.

Dość genealogii!

Mój dziadek ze strony ojca zginął tak, jak przystało na dobrego Greka - usiłując zabić swego śmiertelnego wroga, starego barona Vladimira Harkonnena. Obaj oni spoczywają teraz niespokojnie w mych wspomnieniach, które odziedziczyłem po przodkach. Nawet mój ojciec nie jest z tego zadowolony. Uczyniłem to, czego się obawiał, i teraz jego cień musi uczestniczyć w konsekwencjach mojego czynu.

Wymaga tego Złota Droga. "A czymże jest Złota Droga?" - zapytacie. To przetrwanie gatunku ludzkiego - ni mniej, ni więcej. My, którzy posiadamy zdolność przyszłowidzenia, my, którzy znamy pułapki przyszłości, zawsze braliśmy na siebie odpowiedzialność za ludzkość.

Przetrwanie.

Jak wam się to podoba? Wasze marne radości i smutki, nawet wasze męczarnie i nieszczęścia - nas rzadko to dotyczy. Mój ojciec miał tę moc. Ja posiadam ją w większym stopniu. Obaj możemy zaglądać za zasłonę Czasu.

Ta planeta, Arrakis, skąd zarządzam pangalaktycznym imperium, nie jest już taka, jaką była, gdy znano ją jako Diunę. W owych czasach cała była pustynią. Teraz z pustyni pozostał już tylko skrawek - mój Serir. Gigantyczne czerwie już po niej nie wędrują, nie tworzą melanżu-przyprawy. Przyprawa! Diuna była godna uwagi tylko jako źródło melanżu. Jedyne jego źródło. Cóż to za nadzwyczajna substancja! W żadnym laboratorium nigdy nie zdołano jej zsyntetyzować. Jest najwartościowszą substancją, na jaką kiedykolwiek natknął się rodzaj ludzki.

Bez melanżu, który pobudza linearne przyszłowidzenie Nawigatorów Gildii, ludzie przemierzaliby parseki kosmicznej przestrzeni w ślimaczym tempie. Bez melanżu Bene Gesserit nie byłyby obdarzone prawdopoznaniem, nie byłoby też Matek Wielebnych. Bez geriatrycznych właściwości melanżu ludzie żyliby wedle pradawnej miary - nie więcej niż około sto lat. Obecnie cała przyprawa znajduje się w gestii Gildii i Bene Gesserit, trochę zapasu posiadają istniejące jeszcze wysokie rody, ja zaś posiadam ogromną jej ilość. Wszyscy tak bardzo pożądają melanżu, że najchętniej wyprawiliby się razem przeciwko mnie! Ale nie ośmielą się. Wiedzą, że nim bym się poddał, zniszczyłbym swój skarb.

Nie. Przychodzą ze spuszczonymi głowami i ślą do mnie petycje o przyprawę. Wydzielam ją jako nagrodę i wstrzymuję za karę. Jakże tego nienawidzą!

To moja władza, mówię im. To mój dar.

Z jego pomocą tworzę Pokój. Ponad trzy tysiące lat żyją w Pokoju Leto. To wymuszony spokój, którego przed objęciem przeze mnie władzy rodzaj ludzki zaznawał tylko przez bardzo krótkie okresy. Abyście nie zapomnieli - studiujcie jeszcze raz Pokój Leto w tych oto dziennikach.

Zacząłem to sprawozdanie w pierwszym roku swoich rządów, w pierwszych bólach mej przemiany, gdy wciąż jeszcze byłem człowiekiem - nawet z wyglądu. Skóra z piaskopływaków, którą przyjąłem (a którą odrzucił mój ojciec), dała mi wielokrotnie wzmocnioną siłę i rzeczywistą odporność na konwencjonalne ataki oraz starzenie się - ta skóra wciąż pokrywała postać wyraźnie ludzką: o dwóch rękach, nogach, twarzy człowieczej obramowanej w zwinięte fałdy ciał piaskopływaków.

Ach, ta twarz! Wciąż ją mam - jedyny skrawek ludzkiej skóry, który mi pozostał i który wystawiam na widok wszechświata. Cała reszta mojego ciała pozostaje okryta połączonymi ciałami tych drobnych piaskowych form, które pewnego dnia mogą stać się wielkimi czerwiami pustyni.

I staną się... kiedyś.

Często myślę o mojej ostatecznej przemianie, o tej m i m i k r z e śmierci. Znam sposób, w jaki może to zajść, ale nie wiem, kiedy nastąpi ta chwila ani nie znam jej oznak. To jedyne, czego wiedzieć nie mogę. Wiem tylko, czy Złota Droga trwa, czy się kończy. Jeżeli sprawiam, że te słowa są nagrywane, to Złota Droga trwa - i przynajmniej z tego jestem zadowolony.

Nie czuję już teraz w ciele rzęsek piaskopływaków, zamykających moją wodę, wewnątrz podobnych do błon płodowych barier. Jesteśmy teraz naprawdę jednym ciałem: one moją skórą, ja - siłą poruszającą całość... przez większość czasu.

Gdy to piszę, owa całość wygląda raczej paskudnie. Jestem tym, co można by nazwać pre-czerwiem. Moje ciało ma około siedmiu metrów długości i nieco ponad dwa metry średnicy, atrydzka twarz umieszczona jest na jednym końcu, w miejscu, gdzie zwykle mają ją ludzie, ramiona i dłonie (wciąż zupełnie rozpoznawalne jako ludzkie) znajdują się tuż poniżej. Moje nogi i stopy? Cóż, uległy prawie zupełnej atrofii. To tylko płetwy, naprawdę, i przewędrowały na tył ciała. W sumie ważę w przybliżeniu pięć dawnych ton. Załączam te dane, bo wiem, że będą one interesować historyków.

Jak poruszam tym ciężarem? Przeważnie wożę go na moim Wozie Królewskim, będącym wytworem Ixian. Jesteście zaszokowani? Ludzie niezmiennie nienawidzili i bali się Ixian, bardziej niż nienawidzili i bali się mnie. Lepszy diabeł, którego się zna. A kto wie, co Ixianie mogą wyprodukować bądź wynaleźć? Kto to wie?

Na pewno nie ja. Nie do końca.

Niemniej jednak żywię do Ixian pewną sympatię. Wierzą tak mocno w swoją technologię, w swoje maszyny, w swoją naukę. Ponieważ wierzymy (nieważne w co), rozumiemy się nawzajem - Ixianie i ja. Wytwarzają dla mnie wiele urządzeń i myślą, że w ten sposób zaskarbią sobie moją wdzięczność. Te właśnie słowa, które teraz czytacie, drukowane są przez ixiański przyrząd, który nazywa się dyktatel. Jeżeli zacznę myśleć w pewien szczególny sposób, dyktatel się uruchamia. Gdy tylko myślę tym sposobem, słowa drukują się dla mnie na krystalicznych arkuszach ryduliańskich o grubości jednej molekuły. Czasami zarządzam sporządzenie kopii na materiale o mniejszej trwałości. Dwa tomy tego ostatniego typu zostały mi właśnie wykradzione przez Sionę.

Czyż nie jest ona fascynująca, ta moja Siona? Skoro zaczynacie pojmować, ile dla mnie znaczy, możecie nawet zadać pytanie, czy naprawdę pozwoliłbym jej zginąć tam, w lesie. Nie wątpcie w to. Śmierć to bardzo osobista sprawa. Rzadko się w nią wtrącam. Nigdy w przypadku kogoś, kto musi zostać poddany próbie, tak jak ma się to stać z Sioną. Pozwoliłbym jej umrzeć na każdym etapie. Mimo wszystko zdobyłbym nowego kandydata w bardzo krótkim czasie - oczywiście według mojej miary czasu.

Jakże ona fascynuje nawet mnie. Obserwowałem ją w lesie. Obserwowałem ją przez moje ixiańskie urządzenia, zastanawiając się, dlaczego nie przewidziałem tej wyprawy. Ale Siona jest... Sioną. Dlatego nie uczyniłem nic, by powstrzymać wilki. To nie byłoby słuszne. Wilki-D są tylko jednym z elementów prowadzących do osiągnięcia mojego celu, a jest nim bycie największym z kiedykolwiek znanych drapieżników.

Dzienniki Leto II

Przytoczony poniżej krótki dialog pochodzi z manuskryptu zwanego "Skrótem z Welbeck". Mniema się, ze jego autorką jest Siona Atryda. Uczestnikami rozmowy są Siona i jej ojciec, Moneo, który był (jak przekazują wszystkie historie) majordomem i głównym adiutantem Leto II. Datuje się ją na okres, gdy Siona nie ukończyła jeszcze dwudziestu lat i była odwiedzana przez ojca w jej kwaterze w szkole Mówiących-do-Ryb w Onn, Mieście Świątecznym, największym skupisku ludności na planecie znanej teraz jako Rakis. Zgodnie z opisującymi manuskrypt dokumentami, Moneo odwiedził córkę, by ostrzec ją przed zgubą, na którą się narażała.

SIONA: Jak udało ci się przeżyć tak długo, ojcze? On przecież zabija tych, którzy są blisko niego. Wszyscy o tym wiedzą.

MONEO: Nie! Nie masz racji! On nikogo nie zabija!

SIONA: Nie musisz kłamać.

MONEO: Naprawdę tak jest. On nikogo nie zabija.

SIONA: Co w takim razie powiesz o tych, o których wiadomo, że ich zabił?

MONEO: To Czerw zabija. Czerw jest Bogiem. Leto żyje na jego piersi, ale nikogo nie zabija.

SIONA: Zatem jak ty przeżyłeś?

MONEO: Potrafię rozpoznać Czerwia. Widzę go w jego twarzy i jego ruchach. Wiem, kiedy nadchodzi Szej-hulud!

SIONA: On nie jest Szej-huludem!

MONEO: Cóż, tak nazywano czerwie w czasach Fremenów.

SIONA: Czytałam o tym, ale on nie jest Bogiem pustyni.

MONEO: Cicho bądź, głupia dziewczyno! Nic nie wiesz na ten temat.

SIONA: Wiem, że jesteś tchórzem.

MONEO: Jakże ty mało wiesz! Nigdy nie stałaś tam gdzie ja i nie widziałaś tego w jego oczach, w ruchach jego rąk.

SIONA: Co robisz, kiedy Czerw się zjawia?

MONEO: Wychodzę.

SIONA: To rozsądne. Wiemy na pewno o dziewięciu Duncanach Idaho, których zabił.

MONEO: Mówię ci, że nie zabił nikogo!

SIONA: Co to za różnica? Leto czy Czerw, są teraz jednym ciałem.

MONEO: Ale dwoma oddzielnymi istotami - Imperatorem Leto i Czerwiem, który jest Bogiem.

SIONA: Jesteś szalony!

MONEO: Być może, ale służę Bogu.

Jestem najżarliwszym z żyjących kiedykolwiek obserwatorów ludzi. Obserwuję ich wewnątrz siebie i na zewnątrz. Przeszłość i teraźniejszość mieszają się we mnie, dając dziwne rezultaty. I gdy w moim ciele trwa metamorfoza, w moich zmysłach zachodzą niezwykłe procesy. Wygląda to tak, jak gdybym wszystko widział w ogromnym zbliżeniu. Mam wyjątkowo ostry wzrok i słuch oraz nadzwyczaj precyzyjny zmysł węchu. Potrafię wykryć i zidentyfikować feromony przy trzech cząsteczkach na milion. Wiem. Próbowałem tego. Niewiele można ukryć przed moimi zmysłami. Myślę, że przeraziłoby was, co mogę wykryć samym tylko węchem. Wasze feromony mówią mi, co robicie albo co planujecie zrobić. A gesty i postawa? Kiedyś przez pół dnia przypatrywałem się starcowi siedzącemu na ławce w Arrakin. Był w piątym pokoleniu potomkiem naiba Stilgara, a nawet o tym nie wiedział. Studiowałem kąt, pod jakim zginał szyję, fałdy skóry pod jego podbródkiem, popękane usta i wilgoć wokół nozdrzy, pory za uszami, kosmyki siwych włosów wymykające się spod kaptura jego antycznego filtrfraka. Ani razu nie wyczuł, że jest obserwowany. Ha! Stilgar wiedziałby o tym po sekundzie czy dwóch. Ale ten starzec czekał tylko na kogoś, kto się nie zjawiał. Podniósł się wreszcie i powlókł dalej. Był bardzo zesztywniały po tak długim siedzeniu. Wiedziałem, że nigdy nie ujrzę go już za życia. Był bliski śmierci i jego woda na pewno się zmarnowała. Cóż, to wtedy nie miało już znaczenia.

"Wykradzione dzienniki"

Leto uważał miejsce, w którym czekał na przybycie swego obecnego Duncana Idaho, za najbardziej interesujące w całym wszechświecie. Według ludzkich norm była to gigantyczna przestrzeń, centrum wyrąbanego pod jego Twierdzą łańcucha katakumb. Jak szprychy z piasty, z pomieszczenia, w którym teraz oczekiwał, rozchodziły się promieniście sale wysokie na trzydzieści metrów i mające dwadzieścia metrów szerokości. Jego Wóz znajdował się w środku tej piasty w okrągłej, sklepionej kopułą komnacie o średnicy czterystu metrów i mającej w najwyższym punkcie sto metrów wysokości.

Czuł, że rozmiary pomieszczenia działają na niego uspokajająco.

W Twierdzy było wczesne popołudnie, ale jedyne światło w tej hali pochodziło z dryfujących w rozproszeniu kuł świętojańskich, nastawionych na emisję niezbyt intensywnej pomarańczowej poświaty. Światło nie przenikało w głąb pobliskich pomieszczeń, ale pamięć podpowiadała Leto dokładne umiejscowienie wszystkiego, co się tam znajdowało - wody, kości i prochów jego przodków oraz Atrydów, którzy żyli i zmarli od czasów Diuny. Oni wszyscy byli tam, oni oraz kilka zbiorników z melanżem, które miały stworzyć iluzję, że to całość jego zapasu - na wypadek, gdyby kiedykolwiek zaszła tak wyjątkowa potrzeba.

Leto wiedział, dlaczego Duncan ma tu przyjść. Idaho dowiedział się, że Tleilaxanie tworzą następnego Duncana, jeszcze jednego gholę, by spełnić wymagania stawiane przez Boga Imperatora. Kolejny Duncan obawia się, że zostanie zastąpiony po prawie sześćdziesięciu latach służby. Zawsze tego rodzaju wydarzenie rozpoczynało bunty Duncanów. Wcześniej na Leto oczekiwał poseł Gildii, by ostrzec, że Ixianie dostarczyli temu Duncanowi rusznicę laserową.

Leto zaśmiał się. Gildia była wyjątkowo wrażliwa na wszystko, co mogłoby zagrozić skąpej dostawie przyprawy. Przerażała ich myśl, że Leto był ostatnim łącznikiem z czerwiami pustyni, które wytworzyły oryginalne zapasy melanżu.

"Jeśli umrę od wody, już nigdy nie będzie więcej melanżu."

Tego właśnie obawiała się Gildia. A ich historycy-kronikarze zapewniali, że Leto siedzi na największej ilości melanżu we wszechświecie. Ta wiedza sprawiała, że na Gildii można było polegać prawie jak na sprzymierzeńcach.

Czekając Leto wykonywał dłońmi i palcami ćwiczenia, których nauczyły go będące wśród jego przodków członkinie Bene Gesserit. Ręce były jego dumą. Mógł używać swoich długich palców i przeciwstawnych kciuków jak normalnych ludzkich dłoni - pomimo błony z piaskopływaków. Prawie bezużyteczne płetwy - niegdyś jego stopy i nogi - były bardziej niedogodnością niż powodem do wstydu. Mógł pełzać, toczyć się i rzucać swym ciałem ze zdumiewającą szybkością, ale czasami upadał na płetwy i to wywoływało ból.

"Co opóźnia Duncana?"

Leto wyobraził go sobie, jak waha się, wygląda przez okno na falujący horyzont Seriru. Powietrze było dziś aż żywe od upału. Przed zejściem do krypty Leto widział miraż na południowym wschodzie. Lustro żaru chwiało się i błyskało widokiem na tle piasku, ukazując mu grupę Muzealnych Fremenów wlokących się przez Sicz Pokazową dla uciechy turystów.

W krypcie było chłodno jak zawsze, a oświetlenie jak zwykle słabe. Tunele "szprych" zbiegały się w górę lub w dół pod łagodnymi kątami, by bez nadmiernych wstrząsów przyjąć Wóz Królewski. Niektóre z nich miały fałszywe ściany, za którymi ciągnęły się dalej całymi kilometrami, tworząc przejścia wykonane przez Leto przy pomocy ixiańskich urządzeń.

W miarę jak Leto rozważał zbliżającą się rozmowę, zaczęło w nim narastać uczucie nerwowości. Stwierdził, że to interesujące wrażenie, jedyne, o którym wiedział, że sprawia mu przyjemność. Zdawał sobie sprawę, że nie bez powodu był tak przywiązany do obecnego Duncana Idaho. Kryła się w nim nadzieja, że ten człowiek przeżyje nadchodzącą rozmowę. Czasami to im się udawało. Istniało małe prawdopodobieństwo, że Duncan stanowi dla niego śmiertelne zagrożenie, ale ową możliwość należało pozostawić taką właśnie, jaką była. Leto próbował to wyjaśnić jednemu z poprzednich Duncanów... dokładnie w tym samym miejscu.

"Pomyślisz, że to dziwne, iż ja, ze swoimi mocami, mogę mówić o przypadku, szczęściu" - powiedział wtedy Leto.

Duncan był pełen gniewu:

"Nic nie pozostawiasz przypadkowi! Znam cię!"

"Jakiś ty naiwny! Przypadek jest naturą wszechświata."

"Nie przypadek, a kaprys. Twój kaprys."

"Wspaniale, Duncanie. Kaprys to najgłębsza przyjemność. Sposób, w jaki radzimy sobie z kaprysami, jest identyczny z tym, dzięki któremu wyostrzamy swe twórcze zdolności."

"Nie jesteś już nawet człowiekiem!"

Och, jakże gniewny był tamten Duncan!

Leto stwierdził, że to oskarżenie rozdrażniło go jak ziarnko piasku w oku. Trzymał się resztek swojej ludzkiej niegdyś jaźni z surowością, której nie można było zaprzeczyć, chociaż irytacja była najbardziej zbliżonym do gniewu uczuciem, jakiego był w stanie doznać.

"Twoje życie staje się kliszą" - oskarżył Duncana, na co ten wydobył z fałdów swej szaty-munduru mały ładunek wybuchowy. Jakaż niespodzianka! Leto kochał niespodzianki, nawet niemiłe.

"To coś, czego nie przewidziałem."

Tyle właśnie powiedział tamtemu Duncanowi, który stał przed nim dziwnie niezdecydowany, podczas gdy podjęcie decyzji było absolutną koniecznością.

"To mogłoby cię zabić" - powiedział Duncan.

"Przykro mi, Duncanie. Doznałbym niegroźnego zranienia, niczego więcej."

"Ale powiedziałeś, że tego nie przewidziałeś!" - głos Duncana stał się piskliwy.

"Duncan, Duncan - absolutne przewidywanie równa się dla mnie śmierci. Jakże niesamowicie nudna jest dla mnie śmierć!"

W ostatniej chwili tamten Duncan spróbował odrzucić ładunek, ale materiał eksplodował zbyt szybko. Duncan zginał. Ach, trudno - Tleilaxanie zawsze mieli następnego w swoich aksolotlowych zbiornikach.

Jedna z unoszących się nad Leto kul świętojańskich zaczęła migotać. Ogarnęło go podniecenie. Sygnał Monea! Wierny Moneo ostrzegał swojego Boga Imperatora, że do krypty schodzi Duncan.

Drzwi windy znajdującej się między dwoma korytarzami w północno-zachodniej części pomieszczenia otworzyły się. Wyszedł z nich Duncan - z tej odległości drobna figurka - ale Leto mimo to dostrzegł najdrobniejsze nawet szczegóły, choćby załamanie munduru na łokciu, które mówiło, że mężczyzna przed chwilą stał oparty o jakiś sprzęt. Tak, na jego podbródku wciąż widoczny był odcisk ręki. Duncana wyprzedzał zapach: poziom adrenaliny w jego krwi musiał być zaiste olbrzymi.

Leto wciąż milczał, obserwując zbliżającego się Duncana. Ten Duncan mimo wielu lat służby wciąż stąpał z młodzieńczą sprężystością. Mógł za to podziękować minimalnej domieszce melanżu w swoim pożywieniu. Mężczyzna miał na sobie stary atrydzki mundur czarnego koloru ze złotym jastrzębiem wyszytym na lewej piersi. Był to interesujący znak-oświadczenie: Służę honorowi dawnych Atrydów! Idaho wciąż miał czarną czuprynę, rysy ostre, znieruchomiałe, jakby wykute z kamienia, podkreślające surowy wyraz twarzy o wystających kościach policzkowych.

"Tleilaxanie dobrze robią swoje ghole" - pomyślał Leto.

Duncan miał ze sobą cienką teczkę, uszytą z tkaniny utkanej z ciemnobrązowego włókna - tę, którą nosił od wielu lat. Zazwyczaj zawierała materiały, na których mentat opierał swe sprawozdania, ale dziś wybrzuszała się pod wpływem czegoś o wiele większego.

I x i a ń s k a r u s z n i c a l a s e r o w a .

Kiedy Idaho szedł, całą uwagę skupił na twarzy Leto. Oblicze Boga Imperatora pozostawało niepokojąco atrydzkie, o smukłych rysach, z kompletnie błękitnymi oczami, których spojrzenie co bardziej nerwowi ludzie odczuwali niemal jak fizyczną agresję. Twarz ukryta była głęboko w szarym kapturze ze skóry piaskopływaka, o której Idaho wiedział, że może błyskawicznie zwinąć się w odruchu obronnym, osłaniając jedyną część ciała, jaka pozostała z dawnego Leto.

Jego prawdziwa skóra wydawała się być zdumiewająco różowa na tle swej szarej ramy. Trudno było uniknąć myśli, że twarz Leto jest czymś nieprzyzwoitym, zagubionym okruchem człowieczeństwa schwytanym w pułapkę czegoś obcego.

Duncan zatrzymał się zaledwie sześć kroków od Wozu Królewskiego. Nawet nie starał się ukryć swej gniewnej determinacji. W ogóle nie myślał o tym, czy Leto wie o rusznicy. To imperium zbyt daleko oddaliło się od dawnej moralności Atrydów, stało się bezosobowym molochem niszczącym niewinnych. To musi się skończyć!

- Przyszedłem, by porozmawiać o Sionie i kilku innych sprawach - powiedział Idaho. Ułożył teczkę tak, by łatwo móc z niej wydobyć rusznicę.

- Bardzo dobrze - głos Leto był pełen znudzenia

- Siona jest jedyną, której udało się uciec, ale wciąż ma oparcie w swoich towarzyszach buntownikach.

- Myślisz, że o tym nie wiem?

- Znam twoją niebezpieczną tolerancję dla buntowników! Czego nie wiem, to co zawierał pakunek, który ukradła.

- Ach, to... Ma kompletne plany Twierdzy.

Idaho momentalnie stał się na powrót Dowódcą Straży Leto, głęboko wstrząśnięty takim naruszeniem bezpieczeństwa:

- Pozwoliłeś jej z tym uciec?

- Nie, to ty pozwoliłeś.

Idaho cofnął się, usłyszawszy takie oskarżenie. Znowu brał w nim górę zdecydowany na wszystko zabójca.

- To wszystko, co dostała? - zapytał.

- Razem z planami były dwa tomy, kopie moich dzienników. Ukradła je.

Idaho badał nieruchomą twarz Leto.

- Co jest w tych dziennikach? Czasami twierdzisz, że to pamiętniki, czasami że historia.

- I to, i to - po trochu. Mógłbyś je nawet nazwać podręcznikiem.

- Czy martwi cię to, że zabrała te tomy?

Leto pozwolił sobie na łagodny uśmiech, który Idaho przyjął za odpowiedź przeczącą. Moment później przez ciało Leto przebiegł dreszcz, gdy Duncan sięgnął do swojej teczki. Raporty czy broń? Chociaż większa część ciała Leto posiadała niebywałą odporność na temperaturę, Leto wiedział, że niektóre partie wciąż nie są odporne na strzał z rusznicy laserowej - zwłaszcza twarz.

Idaho wyjął z teczki raport, lecz nawet zanim zdążył zacząć czytać, dla Leto wszystko było już jasne. Idaho szukał usprawiedliwienia dla już obranego kursu działania.

- Wykryliśmy kult Alii na Giedi Prime - rzekł Idaho.

Leto zachował milczenie, podczas gdy ghola podawał szczegóły. Jakie to nudne! Leto pozwolił swoim myślom oderwać się od przemowy Idaho. W obecnych czasach czciciele dawno nieżyjącej siostry jego ojca służyli tylko jako źródło sporadycznej rozrywki. Duncanowie prawdopodobnie postrzegali ich aktywność jako rodzaj potencjalnego zagrożenia.

Idaho skończył czytać. Jego agenci byli dokładni - temu nie można było zaprzeczyć. Dokładni do znudzenia.

- To nic więcej, jak tylko wskrzeszony kult Izydy - rzekł Leto. -Moi kapłani i kapłanki będą mieli trochę zabawy, likwidując go wraz z jego wyznawcami.

Idaho potrząsnął głową, jak gdyby reagując na jakiś glos wewnątrz niej.

- Bene Gesserit wiedzą o tym kulcie - powiedział. Dopiero to zainteresowało Leto.

- Zakon żeński nigdy nie wybaczył mi, że odebrałem im ich program eugeniczny - powiedział.

- To nie ma z tym nic wspólnego.

Leto ukrył rozbawienie. Duncanowie zawsze byli niezwykle wrażliwi na punkcie programu chowu, chociaż niektórzy z nich co jakiś czas mieli w nim do spełnienia jakąś rolę.

- Rozumiem - rzekł Leto. - Cóż, wszystkie Bene Gesserit są nieco więcej niż trochę zwariowane, ale przecież szaleństwo to chaotyczny zbiór niespodzianek. Niektóre z nich mogą być wartościowe.

- Niestety, nie dostrzegam w tym żadnych zalet.

- Myślisz, że za tym kultem stoi zakon żeński? - zapytał Leto.

- Tak.

- Wyjaśnij to.

- Mają świątynię. Nazywają ją "Świątynią Krysnoża".

- Rzeczywiście? No więc?

- A ich główna kapłanka zwie się "Strażniczką Światła Jessiki". Czy to nic nie sugeruje?

- Urocze! - Leto nie starał się już ukryć swojego rozbawienia.

- Co w tym uroczego?

- Łączą moją babkę i ciotkę w pojedynczą boginię.

Idaho powoli pokręcił głową z boku na bok, nic nie rozumiejąc.

Leto pozwolił sobie na mała wewnętrzną pauzę, trwającą mniej niż mgnienie oka. Wewnątrz-babka nie przywiązywała szczególnej wagi do kultu z Giedi Prime. Zmusił się do oddalenia jej wspomnień i tożsamości.

- Jak sądzisz, co jest celem tego kultu? - zapytał Leto.

- To oczywiste. Konkurencja religijna dla podminowania twego autorytetu.

- To zbyt proste. Czymkolwiek jeszcze mogą być, Bene Gesserit to nie prostaczki.

Idaho czekał na wyjaśnienie.

- Chcą więcej przyprawy! - powiedział Leto. - Więcej Matek Wielebnych.

- Zatem będą cię nękać, dopóki się nie wykupisz?

- Rozczarowujesz mnie, Duncanie.

Idaho spojrzał na Leto, który wydobył z siebie westchnienie. Skomplikowany gest, nie przystający już do jego postaci. Duncanowie zazwyczaj byli bystrzejsi, ale Leto przypuszczał, że czujność tego właśnie Duncana jest przyćmiona planowanym spiskiem.

- Wybrały Giedi Prime na swoją siedzibę - powiedział Leto. - Co to sugeruje?

- Tam była twierdza Harkonnenów, ale to stara historia.

- Twoja siostra umarła na Giedi Prime jako ich ofiara. Słusznie, że w myślach identyfikujesz tę planetę z Harkonnenami. Dlaczego nie wspomniałeś o tym wcześniej?

- Nie sadziłem, że to istotne.

Leto ściągnął usta w wąską linię. Nawiązanie do siostry zakłopotało Duncana. Ten człowiek wiedział - r o z u m o w o - że był jedynie ostatnim z długiego szeregu cielesnych inkarnacji, wszystkich będących wytworami aksolotlowych zbiorników Tleilaxan, wywiedzionych na dodatek z oryginalnych komórek prawdziwego

Idaho. Duncanowie nie mogli uciec od swoich wskrzeszonych wspomnień. Ten też wiedział, że Atrydzi uratowali go z harkonneńskiej niewoli.

"A czy ja niby jestem kimś innym? - pomyślał Leto. - Cały czas pozostaję Atrydą."

- Co chcesz właściwie powiedzieć? - zapytał z naciskiem Idaho. Leto zadecydował, że sytuacja wymaga krzyku. Pozwolił sobie, by był głośny:

- Harkonnenowie łupili Diunę z przyprawy!

Idaho cofnął się o krok. Leto kontynuował już nieco cichszym głosem:

- Na Giedi Prime jest ukryty skład melanżu. Zakon stara się go wyszperać - działając pod przykrywką tych swoich religijnych sztuczek.

Idaho speszył się. To wyjaśnienie wydawało się być oczywiste. "A ja się omyliłem" - pomyślał.

Krzyk Leto wstrząsnął nim tak, że powrócił do roli Dowódcy Straży Królewskiej. Idaho znał ekonomię Imperium, uproszczoną do maksimum: niedozwolone było jakiekolwiek oprocentowanie; zawsze posługiwano się gotówką. Jedyna moneta nosiła podobiznę zakapturzonej twarzy Leto - Boga Imperatora. Niemniej jednak wszystko oparte było na przyprawie, której wartość, już obecnie niebotycznie wysoka, wciąż wzrastała. W ręcznym bagażu można było pomieścić równowartość ceny całej planety.

"Trzymajcie w ręku mennice i pałace - niech tłuszcza bierze resztę" - pomyślał Leto. Tak mówił stary Jacob Broom i Leto usłyszał w sobie jego rechotanie. "Rzeczy nie zmieniły się wiele, Jacobie."

Idaho zaczerpnął głęboko powietrza.

- Należałoby natychmiast powiadomić Urząd Wiary.

Leto nie odpowiedział. Przyjmując to za wskazówkę, by kontynuować, Idaho podjął składanie raportu, ale Leto słuchał go tylko cząstką świadomości, jak gdyby obwodem kontrolowanym - rejestrującym jedynie słowa i gesty Idaho.

A teraz ghola chciał mówić o Tleilaxanach.

"To niebezpieczne dla ciebie, Duncanie."

Ale dla myśli Leto otwarło to nową drogę.

"Przebiegli Tleilaxanie wciąż produkują moich Duncanów z oryginalnych komórek. Dokonują czegoś, czego zabrania religia, i wszyscy o tym wiemy - i ja, i oni. Nie pozwalam na sztuczną manipulację ludzkimi genami, ale Tleilaxanie dowiedzieli się, jak cenię sobie Duncanów jako kapitanów mojej straży. Nie sądzę, by podejrzewali, ile jest w tym z zabawy. Bawi mnie to, że tam, gdzie kiedyś była góra, płynie teraz rzeka niosąca materiał na wysokie mury opasujące mój Serir."

"Oczywiście, Tleilaxanie wiedzą, że ja co jakiś czas wykorzystuję Duncanów we własnym programie eugenicznym. Duncanowie są mieszańcami... i czymś więcej. Każdy ogień musi mieć coś, co go gasi."

"Moim zamiarem było połączyć go z Sioną, ale teraz to może stać się niemożliwe."

"Ha! Mówi, że chce, bym «zawziął się» na Tleilaxan. Dlaczego nie poprosi o to otwarcie? Czy gotujesz się, by mnie wymienić?"

Raz jeszcze dłoń Idaho zanurzyła się w teczce. Nie umknęło to uwagi Leto.

"Rusznica laserowa czy następne raporty? Nowe raporty."

"Ten Duncan jest chwiejny. Chce tylko upewnić się, że nie jest mi znany jego zamiar, ale i potrzebuje więcej dowodów, iż nie jestem godny jego lojalności. Waha się i dlatego nie może podjąć decyzji. Zawsze się wahał. Powtarzałem mu wystarczająco wiele razy, że nie użyję mego przyszłowidzenia, by przewidzieć chwilę, gdy porzucę swą dawną postać, ale on w to wątpi. Zawsze we wszystko wątpił."

"Ta hala pochłania jego głos, i gdyby nie moja szczególna wrażliwość, wilgoć maskowałaby chemiczne dowody jego strachu. Usuwam jego głos ze świadomości. Jakim nudziarzem stał się ten Duncan. Odtwarza historię buntu Siony, bez wątpienia doprowadzając ją aż do osobistych aluzji co do jej ostatniej eskapady."

"To nie jest zwyczajna rebelia - mówi."

"To sprowadza mnie z powrotem. Głupiec! Wszyscy buntownicy to pospolici, skończeni nudziarze. To kopie z tej samej sztancy, każdy prawie taki sam jak drugi. Siła, która nimi kieruje, to narkotyczny głód adrenaliny i pragnienie zdobycia osobistej władzy. Wszyscy buntownicy to najbardziej rasowi arystokraci. Dlatego potrafię ich tak łatwo nawracać."

"Dlaczego Duncanowie nigdy mnie nie słuchają, kiedy o tym mówię? Nawet z tym Duncanem sprzeczałem się o to. To była jedna z naszych wcześniejszych konfrontacji, właśnie tu, w krypcie."

Sztuka rządzenia wymaga, byś nigdy nie oddał inicjatywy radykalnym elementom - powiedział."

"Jak pedantycznie. Radykałowie wyłażą w każdym pokoleniu i musisz się starać, by temu nie zapobiec. To właśnie miał na myśli, mówiąc o «oddawaniu inicjatywy». Chce ich zgnieść, stłumić ich, kontrolować, zapobiegać im. To żywy dowód na to, iż między policyjnym a militarnym umysłem różnica jest niewielka."

"Powiedziałem mu: Radykałów należy bać się tylko wtedy, kiedy starasz się ich zniszczyć. Musisz ogłosić, że wykorzystujesz najlepszą część z tego, co proponują."

"Oni są niebezpieczni. Niebezpieczni! - Myślał, że przez powtarzanie stwarza jakiś rodzaj prawdy."

"Powoli, krok po kroku poprowadziłem go przez moją metodę i nawet zdawał się tego wysłuchać."

"To ich słabość, Duncanie. Radykałowie zawsze rozróżniają i nazywają rzeczy w sposób zbyt prosty - czarne i białe, dobro i zło, my i oni. Określając w ten sposób złożone sprawy, otwierają drogę dla chaosu. Sztuka rządzenia, jak ty to nazywasz, to opanowywanie chaosu."

"Nikt nie może sobie poradzić z każdą niespodzianką."

"Niespodzianką? Kto tu mówi o niespodziankach? Chaos to nie niespodzianka. Ma swoje przewidywalne cechy. Po pierwsze, usuwa porządek i wzmacnia siły stojące na ekstremum."

"Czyż właśnie nie to starają się czynić radykałowie? Czy nie starają się wstrząsnąć wszystkim, by przechwycić kontrolę?"

"Uważają, że właśnie to robią. W rzeczywistości stwarzają nowych ekstremistów, nowych radykałów. Kontynuują stary proces."

"A co z radykałami, którzy dostrzegają złożoność sytuacji i z tym do ciebie przychodzą?"

"To nie radykałowie. To rywale w walce o władzę."

"Ale co wtedy robisz?"

"Albo oni dołączają do mnie, albo ich zabijam."

"Tak, ale co z mesjaszami?"

"Jak mój ojciec?"

"Duncanowi nie podobało się to pytanie. Wiedział, że w pewien specjalny sposób jestem swoim ojcem. Wiedział, że mogę mówić głosem mojego ojca i przywoływać jego świadomość, że moje wspomnienia są precyzyjne i nieuniknione."

"Niechętnie powiedział: Cóż, jeżeli chcesz..."

"Duncan, jestem nimi wszystkimi i wiem. Nigdy nie było naprawdę bezinteresownego buntownika, tylko hipokryci. Hipokryci świadomi bądź nie - to wszystko jedno."

"To wzbudza w moich odziedziczonych wspomnieniach tumult jak w gnieździe szerszeni. Niektórzy z owych mesjaszy nie pożegnali się z wiarą, że oni i tylko oni dzierżyli klucz do wszystkich problemów ludzkości. Cóż, w tym są podobni do mnie. Potrafię im współczuć, nawet gdy mówię, że klęska jest dowodem ich błędu."

"Jestem jednak zmuszony odciąć się od nich. Nie ma sensu z nimi przebywać. Wspomnienia nie są już niczym prawie, poza kłującymi przypomnieniami... Tak jak ten Duncan, który stoi przede mną ze swoją rusznicą laserową."

"Na Boga Wielkiego! Przyłapał mnie na drzemce! Ma w dłoni rusznicę wycelowaną w moją twarz!"

- Ty, Duncanie? Ty też mnie zdradziłeś?

"Et tu, Brute?"

Każde włókienko świadomości Leto stało się w pełni czujne. Czuł, jak jego ciało drga. Czerwiowy korpus miał własną, odrębną wolę. Idaho przemówił z ironią:

- Powiedz mi, Leto, jak wiele razy musiałem ci spłacać dług lojalności?

Leto rozpoznał podtekst pytania: Ilu mnie tu było? Duncanowie zawsze chcieli to wiedzieć. Każdy Duncan pytał i żadna odpowiedź ich nie zadowalała. Wątpili.

Posługując się najsmutniejszym głosem Muad'Diba, Leto zapytał:

- Czy nie jesteś dumny z mojego podziwu, Duncanie? Czy nigdy się nie zastanawiałeś, co sprawia, że przez stulecia pragnę cię mieć za towarzysza?

- Wiem, że jestem skończonym głupcem!

- Duncan!

Zawsze można było liczyć na to, że głos rozgniewanego Muad'Diba wytrąci Idaho z równowagi. Mimo faktu, iż Idaho wiedział, że żadna Bene Gesserit nigdy nie opanowała Głosu tak, jak Leto podporządkował sobie je same, było do przewidzenia, że będzie tańczył tak, jak mu zagra ten jeden głos. Rusznica zadrżała w jego dłoni.

To wystarczyło. Leto rzucił się z Wozu, przetaczając się niezgrabnie. Idaho nigdy nie widział go opuszczającego Wóz w ten sposób. Nie podejrzewał nawet, że to się może zdarzyć. Dla Leto istniały tylko dwie potrzeby - rzeczywiste zagrożenie, które odczułoby jego ciało czerwia, i ocalenie tego ciała Reszta działa się automatycznie, a szybkość, z jaką się wszystko odbywało, zaskakiwała nawet jego samego.

Jego główną troską była rusznica laserowa. Mogła go paskudnie okaleczyć, ale niewielu znało możliwości ciała pre-czerwia w radzeniu sobie z takim żarem.

Spadając Leto runął na Idaho. Ręka z rusznicą została podbita dokładnie w momencie strzału. Od jednej z bezużytecznych płetw Boga Imperatora - która była jego nogą i stopą - rozeszła się fala przeszywającego bólu. Przez chwilę istniał tylko ów ból, tak potężny, że ciało Leto aż się uniosło. Wyraźnie słychać było trzask kości. Odrzucona spazmatycznym szarpnięciem ręki Idaho rusznica leżała daleko na posadzce krypty.

Staczając się z gholi, Leto wciąż gotował się na ewentualność powtórnego ataku, ale nie było takiej potrzeby. Zraniona płetwa nadal słała sygnały bólu. Czuł, że jest w części spalona. Skóra z piaskopływaków zamknęła już jednak ranę i ból zaczął stopniowo ustępować, przechodząc w okropne pulsowanie.

Idaho zadrżał. Nie było wątpliwości, że jest śmiertelnie ranny. Jego klatka piersiowa była zgruchotana. Gdy spróbował odetchnąć, nastąpiła agonia, ale zdążył jeszcze otworzyć oczy i spojrzeć na Leto.

"Ta uporczywość przynoszących śmierć opętań!" - pomyślał Leto.

- Siona... - szepnął Idaho.

Leto patrzył, jak życie opuszcza Duncana.

"Interesujące - pomyślał. - Czy to możliwe, że ten Duncan i Siona...? Nie! On zawsze okazywał autentyczną, szyderczą pogardę dla głupoty Siony."

Leto wspiął się z powrotem na Wóz Królewski. Tym razem Bogu Imperatorowi ledwie udało się ujść z życiem. Nie miał wątpliwości, że Duncan celował w mózg. Leto zawsze był świadom, że jego ręce i stopy są podatne na uszkodzenie, ale nie dopuszczał do tego, by ktoś dowiedział się, że to, co kiedyś było jego mózgiem, nie jest już związane bezpośrednio z głową. Nie był to już nawet mózg zbudowany tak samo jak ludzki, bowiem jego węzły rozchodziły się po całym ciele. Leto nie zwierzył się z tego nikomu, poświęcił temu tematowi tylko kilka zdań w swoich dziennikach.

Och, te krajobrazy, które widziałem! I ci ludzie! Dalekie wędrówki Fremenów i całej tej reszty... Nawet wstecz, przez mity aż do Terry. Och, te lekcje astronomii, intrygi, migracje, bezładne ucieczki, boleśnie odczuwane w nogach i płucach biegi przez tak wiele nocy na wszystkich tych kosmicznych plamkach, gdzie broniliśmy naszego przemijającego stanu posiadania. Powiadani wam, ze jesteśmy ludem, a moje dzienniki nie pozostawiają co do tego wątpliwości.

"Wykradzione dzienniki"

Kobieta pracująca przy małym biurku pod ścianą była zbyt potężna jak na wąskie krzesło, na którym się usadowiła. Świat na zewnątrz zalany był blaskiem porannego słońca, ale w tym pokoju bez okien, głęboko pod miastem Onn, panował półmrok rozpraszany przez pojedynczą kulę świętojańską, wiszącą wysoko w kacie. Nastrojona była na ciepłe, żółte światło, które nie poprawiało jednak wrażenia surowości niewielkiego pokoiku. Ściany i sufit pokryte był identycznymi prostokątnymi panelami szarego metalu.

Poza krzesłem i biurkiem znajdował się tu tylko jeden mebel - wąskie łóżko z cienkim materacem przykrytym niczym się nie wyróżniającym szarym kocem. Oczywiste było, że również ten sprzęt nie był przeznaczony dla osoby, która zajmowała teraz pokój.

Kobieta miała na sobie jednoczęściową piżamę ciemnoniebieskiej barwy, opinającą się ciasno na jej szerokich ramionach, gdy garbiła się nad biurkiem. Kula świętojańska oświetlała krótko przycięte włosy i prawą stronę twarzy, podkreślając kanciasty zarys szczęki. Usta poruszały się, wypowiadając bezgłośne słowa, podczas gdy masywne palce starannie przyciskały klawisze klawiatury na pulpicie. Radziła sobie z maszyną, czując przed nią spory respekt, biorący swój początek w strachu, który niekiedy zamieniał się w pełne obawy podniecenie. Długa znajomość z urządzeniem nie wyeliminowała żadnego z tych uczuć.

W miarę jak pisała, słowa pojawiały się na ekranie ukrytym wewnątrz prostokątu w ścianie, tworzącego ukryty pulpit.

"Siona kontynuuje działania, które zapowiadają gwałtowny atak na Twoją Świętą Osobę - pisała. - Siona pozostaje niezachwiana w swym zaprzysiężonym celu. Powiedziała mi dzisiaj, że odda kopie skradzionych ksiąg grupom, w których lojalność wobec Ciebie nie można wierzyć. Wymieniła jako odbiorców Bene Gesserit, Gildię i Ixian. Twierdzi, że księgi zawierają Twoje zaszyfrowane słowa i przez ten dar szuka pomocy w przetłumaczeniu Twoich Świętych Słów.

Panie, nie wiem, jak wielkie objawienia mogą się kryć na tych stronicach, ale jeżeli zawierają cokolwiek, co zagrażałoby Twojej Świętej Osobie, błagam cię o zwolnienie mnie z mojej przysięgi posłuszeństwa Sionie. Nie rozumiem, dlaczego skłoniłeś mnie do jej złożenia.

Pozostaję Twoim wiernym sługą, Nayla."

Krzesło zaskrzypiało, gdy Nayla odchyliła się na oparcie. Zaczęła myśleć nad własnymi słowami. W pokoju zapadła prawie zupełna cisza, możliwa dzięki grubej izolacji dźwiękochłonnej. Było słychać tylko cichy oddech Nayli i odległe pulsowanie maszynerii wyczuwalne bardziej przez wibracje podłogi niż w powietrzu.

Nayla wpatrywała się w wiadomość na ekranie. Przeznaczona tylko dla oczu Boga Imperatora, wymagała więcej niż świętej prawdomówności. Musiała być idealnie bezstronna, co dla Nayli było najtrudniejsze. Po chwili kobieta kiwnęła głową i przycisnęła klawisz kodujący słowa i przygotowujący wiadomość do przekazania.

Pochylając głowę, pomodliła się w milczeniu, zanim ukryła pulpit w ścianie. Wiedziała, że ta czynność spowoduje wysłanie doniesienia. Bóg we własnej osobie umieścił w jej głowie pewne urządzenie, zaprzysięgając ją do zachowania tajemnicy i ostrzegając, że może nadejść czas, gdy będzie do niej mówił przez ową rzecz wewnątrz jej czaszki. Nigdy jeszcze tego nie zrobił. Podejrzewała, że Ixianie zaprojektowali to urządzenie. Miało ono coś z ich w y g l ą d u . Ale wykonał je Bóg we własnej osobie, więc zignorowała podejrzenie, że mógł w nim kryć się k o m p u t e r , że to mogło być coś zakazanego przez Wielką Konwencję.

"Nie będziesz czynił maszyn na obraz i podobieństwo ludzkiego umysłu!"

Nayla zadrżała. Wstała i przesunęła krzesło na stałe miejsce obok pryczy. Jej ciężkie muskularne ciało prężyło się pod niebieskim strojem. Była w niej spokojna rozwaga, gesty kogoś stale świadomego wielkiej siły fizycznej. Odwróciła się od łóżka i przyjrzała miejscu, w którym znajdował się pulpit. Teraz był tam tylko prostokątny szary panel - taki, jak wszystkie pozostałe. Ani skrawka płótna, ani pasemka włosów, które mogłoby zdradzić tajemnicę panelu.

Nayla odetchnęła głęboko, uspokojona i wyszła przez jedyne drzwi pokoiku na szary korytarz, słabo oświetlony przez rzadko rozmieszczone kule świętojańskie. Odgłosy maszyn były tu wyraźniejsze. Skręciła w lewo i w kilka minut była już z Sioną w nieco większym pokoju, na którego środku stał stół zapełniony rzeczami wykradzionymi z Twierdzy. Pomieszczenie oświetlały dwie srebrne lampy dryfowe - Siona siedziała przy stole, a obok niej jej pomocnik o imieniu Topri. Nayla żywiła pełen żalu podziw dla Siony, ale Topri był mężczyzną niewartym niczego poza otwartą niechęcią. Był nerwowy, tłusty, z wytrzeszczonymi zielonymi oczyma, nosem mopsa i cienkimi ustami nad brodą z dołkiem. Gdy mówił, jego głos brzmiał piskliwie.

- Popatrz tu, Naylo. Zobacz, co Siona znalazła wetknięte pomiędzy kartki tych ksiąg.

Nayla zamknęła drzwi w pokoju i przekręciła klucz w zamku.

- Za dużo mówisz, Topri - powiedziała. - Gaduła z ciebie. Skąd wiedziałeś, że jestem sama na korytarzu?

Topri pobladł. Na jego twarzy pojawił się grymas gniewu.

- Obawiam się, że ona ma rację - powiedziała Siona. - Dlaczego myślałeś, że chcę, aby Nayla dowiedziała się o naszym odkryciu?

- Ufasz jej we wszystkim!

Siona przeniosła uwagę na Naylę.

- Wiesz, dlaczego ci ufam, Naylo? - pytanie zostało zadane obojętnym, pozbawionym emocji głosem.

Nayla zdławiła nagły przypływ strachu. Czyżby Siona odkryła jej tajemnicę?

"Czy zawiodłam mojego Pana?"

- Nie odpowiesz mi na pytanie? - zapytała Siona.

- Czy kiedykolwiek dałam ci powód, byś sądziła inaczej? - odparła Nayla.

- To niewystarczający powód do zaufania - rzekła Siona - Nie ma czegoś takiego, jak doskonałość. Ani w człowieku, ani w maszynie.

- Więc dlaczego n a p r a w d ę mi ufasz?

- Twoje słowa i uczynki zawsze się zgadzają. To wspaniała właściwość. Na przykład nie lubisz Topriego i nigdy nie starałaś się ukryć swojej niechęci.

Nayla spojrzała na Topriego, który chrząknął.

- Nie ufam mu - powiedziała.

Słowa wyskoczyły z jej umysłu i ust bez zastanowienia. Dopiero gdy je wypowiedziała, Nayla uświadomiła sobie prawdziwe sedno swej niechęci: Topri zdradziłby każdego dla własnej korzyści.

"Czy mnie zdemaskował?"

Wciąż z gniewnym grymasem na twarzy, Topri rzekł:

- Nie zamierzam tu stać i znosić twoich potwarzy. - Chciał wyjść, ale Siona powstrzymała go gestem dłoni. Topri zawahał się.

- Chociaż wypowiadamy stare fremeńskie słowa i przysięgamy sobie nawzajem wierność, to nie to trzyma nas razem - powiedziała Siona. - Wszystko jest oparte na działaniu. Rozumiecie mnie oboje?

Topri automatycznie skinął głową, ale Nayla zaprzeczyła. Siona uśmiechnęła się do niej.

- Nie zawsze zgadzasz się z moimi decyzjami, co, Naylo?

- Nie. - To słowo zostało na niej wymuszone.

- I nigdy nie starałaś się ukryć swojej niezgody, a mimo to zawsze się mnie słuchałaś. Dlaczego?

- To właśnie przysięgłam czynić.

- Ale powiedziałam, że to wyjaśnienie nie wystarcza.

Nayla czuła, że się poci, i wiedziała, że jest to widoczne, lecz nie mogła się poruszyć. "Co mam robić? Przysięgłam Bogu, że będę posłuszna Sionie, ale nie mogę jej tego powiedzieć."

- Musisz odpowiedzieć na moje pytanie - powiedziała Siona. - Rozkazuję ci.

Nayla wstrzymała oddech. To był dylemat, którego się najbardziej obawiała. Nie było wyjścia. Zmówiła milczącą modlitwę i przemówiła cichym głosem:

- Przysięgłam Bogu, że będę ci posłuszna.

Siona z uciechy zaklaskała i roześmiała się.

- Wiedziałam!

Topri zachichotał.

- Zamknij się, Topri - powiedziała Siona. - Staram się dać ci nauczkę. W nic nie wierzysz, nawet w siebie.

- Ale ja...

- Cicho bądź, powiedziałam! Nayla wierzy. Ja wierzę. To właśnie trzyma nas razem. Wiara.

Topri był zdumiony:

- Wiara? Wierzycie w...

- Nie w Boga Imperatora, ty głupcze! Wierzymy, że wyższa moc pokona czerwia-tyrana. My jesteśmy tą wyższą mocą.

Nayla wciągnęła z drżeniem powietrze.

- W porządku, Naylo - powiedziała Siona. - Nie dbam o to, skąd czerpiesz siłę, dopóki wierzysz.

Nayla zdobyła się na uśmiech. Nigdy bardziej nie odczuła mądrości swojego Pana. "Mogę mówić prawdę i działa to tylko na korzyść mego Boga!"

- Pozwól mi pokazać ci, co znalazłam w tych książkach - rzekła Siona. Wskazała na kilka kartek zwyczajnego papieru, leżących na stole. - Były wciśnięte między strony.

Nayla obeszła stół i przyjrzała się im.

- Po pierwsze, to. - Siona podniosła przedmiot, którego Nayla dotychczas nie zauważyła. Było to cienkie pasmo czegoś... i to coś wydawało się być...

- Kwiat? - zapytała Nayla.

- Był między dwiema kartkami papieru. A na papierze było napisane to. - Siona pochyliła się nad stołem i przeczytała: - "Pasmo włosów Ghanimy z kwiatem gwiezdnika, który mi kiedyś przyniosła."

Podnosząc wzrok na Naylę, Siona powiedziała:

- Nasz Bóg Imperator ujawnił sentymentalną naturę. To słabość, której się nie spodziewałam.

- Ghanima? - zapytała Nayla.

- Jego siostra! Przypomnij sobie nasze Przekazy Ustne.

- Och... Och, tak. Modlitwa do Ghanimy.

- Teraz posłuchaj tego.

Siona podniosła kolejną kartkę papieru i przeczytała z niej:

Piach plaży szary jak martwy policzek,
Zielony przypływ odbija fałdy chmur;
Stoję na ciemnym, mokrym brzegu.
Zimna piana omywa mi palce.
Czuję dym z wyrzuconego przez fale drzewa.

Siona znów podniosła oczy na Naylę.

- Podpisane jest to: "Słowa, które zapisałem, gdy powiedziano mi o śmierci Ghani". Co o tym myślisz?

- On... On kochał swoją siostrę.

- Tak. On j e s t zdolny do miłości. Och, tak. Teraz go mamy.

Czasami pozwalam sobie na safari, jakiego zadni inni ludzie podjąć nie mogą. Wybieram się wzdłuż osi mych wspomnień. Podejmuję temat jak zdający sprawozdanie z wakacyjnej wycieczki. Niech to będą kobiety-intelektualistki. Zanurzam się w ocean, którym są moi przodkowie. Jestem wielką skrzydlatą rybą w głębinach. Otwierają się usta mojej świadomości i wsysani je w siebie! Czasem... czasem poluję na określone osoby odnotowane w naszych historiach. Jakąż osobistą radością jest przeżyć życie kogoś takiego i szydzić z akademickich pretensji tych, którzy na podstawie pretensji tworzą biografie.

"Wykradzione dzienniki"

Moneo schodził do krypty ze smutną rezygnacją. Nie było ucieczki przed wymaganymi teraz od niego obowiązkami. Bóg Imperator potrzebował krótkiego czasu, by odżałować stratę następnego Duncana... a życie biegło dalej...

Winda zjeżdżała cicho w dół ze wspaniałą ixańską niezawodnością. Raz, tylko raz zawołał Bóg Imperator do swojego majordoma:

"Moneo! Czasami myślę, że i ciebie zrobili Ixianie!"

Moneo zatrzymał windę. Drzwi otworzyły się i mężczyzna popatrzył na ocieniony kadłub Wozu Królewskiego. Nic nie wskazywało na to, aby Leto spostrzegł jego przybycie. Moneo westchnął i rozpoczął długą drogę przez rezonujący echem mrok. Na posadzce przy Wozie leżało ciało. Déjá vu nie było potrzebne. Wszystko wyglądało bardzo znajomo.

Niegdyś, we wczesnym okresie służby Monea, Leto powiedział:

"Nie podoba ci się to miejsce, Moneo. Widzę to."

"Nie, Panie."

Nieznacznie tylko wysilając pamięć, Moneo mógł usłyszeć swój własny głos z naiwnej przeszłości. I głos Boga Imperatora odpowiadającego:

"Nie sądzisz, że mauzoleum to uspokajające miejsce, Moneo? Dla mnie jest ono źródłem nieskończonej siły."

Moneo pamiętał, że chciał zmienić temat:

"Tak, Panie."

Leto był uparty:

"Jest tu tylko kilku moich przodków. Jest tu woda Muad'Diba. Są tu oczywiście Ghania i Harqal-Ada, ale to nie moi przodkowie. Nie, jeżeli jest jakaś prawdziwa krypta moich przodków, to ja sam nią jestem. Spoczywają tu przeważnie Duncanowie i wytwory mojego programu eugenicznego. Znajdziesz się tu któregoś dnia."

Moneo zorientował się, że wspomnienia zwalniają jego krok. Westchnął i przyspieszył trochę. Leto bywał czasami piekielnie niecierpliwy, ale tym razem wciąż nie dawał żadnego znaku. Moneo nie przyjął tego za dowód, że jego pojawienie pozostało nie zauważone.

Leto leżał z zamkniętymi oczyma, pozostałymi zmysłami odnotowując przejście Monea przez kryptę. Uwagę Leto zajmowały myśli o Sionie.

"Siona to mój żarliwy wróg. Nie potrzebuję słów Nayli, by być tego pewnym. Siona to kobieta czynu. Żyje wśród nadzwyczajnych energii, które napełniają mnie poczuciem rozkoszy. Nie potrafię kontemplować tak żywych

sił bez ekstazy. Tym właśnie usprawiedliwiam swe istnienie, wszystko, czego kiedykolwiek dokonałem. Nawet to, co stało się z tym głupim Duncanem, którego ciało teraz leży przede mną."

Słuch podpowiedział mu, że Moneo nie pokonał jeszcze nawet połowy dystansu dzielącego go od Wozu Królewskiego. Mężczyzna szedł coraz wolniej, potem przyspieszył kroku.

"Jakiż dar ofiarował mi Moneo w postaci swojej córki! - myślał Leto. - Siona jest świeża, cenna. Jest nowa, podczas gdy ja to zbiór starzyzny, relikt przeklętych, zgnuśniałych i zbłąkanych. Składam się z fragmentów historii, ginących w perspektywie naszej przeszłości. Takiego nagromadzenia śmieci nikt jeszcze nigdy sobie nie wyobrażał."

Leto urządził sobie wewnętrzną paradę przeszłości, by pozwolić wyrzutkom minionych czasów zobaczyć, co zaszło w krypcie.

"Szczegóły należą do mnie!"

Siona jednak... Siona była jak czysta tablica, na której można jeszcze było zapisać wielkie rzeczy.

"Strzegę tej tablicy z nieskończoną troską. Przygotowuję ją, oczyszczam."

"Co Duncan miał na myśli, gdy wyszeptał jej imię?"

Moneo podszedł do Wozu Królewskiego nieśmiało, cały czas mając się na baczności. Bóg Imperator z pewnością nie spał.

Leto otworzył oczy i patrzył, jak Moneo przystaje obok zwłok. W tej samej chwili uzmysłowił sobie, że obserwowanie Monea to dla niego wielka przyjemność. Moneo miał na sobie biały mundur Atrydów, bez dystynkcji, co było subtelnym znakiem. Jego twarz, znana Leto prawie tak jak własna, sama w sobie była wszystkimi insygniami, jakich potrzebował. Moneo wyczekiwał w milczeniu. Na jego płaskim, spokojnym obliczu nie zaszła żadna zmiana. Gęste, gładko przylegające włosy koloru piasku rozczesane były na środku głowy. Jego szare oczy spoglądały z głębokich oczodołów z bezpośredniością, łączącą się zazwyczaj ze świadomością wielkiej osobistej władzy. Był to wzrok, którego surowość i hardość łagodniała tylko w obecności Boga Imperatora, a czasami nawet i wtedy nie. Moneo nie spojrzał w ogóle na ciało leżące na posadzce krypty. Gdy Leto wciąż milczał, mężczyzna kaszlnął i rzekł:

- Przykro mi, Panie.

"Nadzwyczajne - pomyślał Leto. - Wie, że czuję prawdziwy żal po Duncanach. Moneo widział ich akta i wystarczająco dużo ich zwłok. Wie, że tylko dziewiętnastu z nich zmarło w sposób, który ludzie określają jako śmierć naturalną."

- Miał ixiańską rusznicę laserową - powiedział Leto.

Moneo podążył natychmiast wzrokiem ku broni na posadzce krypty po jego lewej stronie, demonstrując w ten sposób, że widział ją już wcześniej. Powrócił uwagą do Leto, przesuwając spojrzenie wzdłuż jego ogromnego ciała.

- Jesteś ranny, Panie?

- Nieznacznie.

- Ale jednak cię zranił.

- Te płetwy są dla mnie bezużyteczne. W ciągu dwustu lat znikną zupełnie.

- Osobiście usunę ciało Duncana, Panie - rzekł Moneo. - Czy jest...

- Z kawałka ciała, który mi wypalił, został sam popiół. Pozwólmy, żeby się rozwiał. Tak się powinno robić z popiołami.

- Jak rozkażesz, Panie.

- Zanim pozbędziesz się ciała, zabezpiecz rusznicę i zatrzymaj ją, żebym mógł ją zaprezentować ixiańskiemu Ambasadorowi. Co do człowieka Gildii, który nas o tym ostrzegł, daj mu o s o b i ś c i e dziesięć gramów przyprawy. Ach... I nasze kapłanki na Giedi Prime... powinny zostać ostrzeżone, że jest tam ukryty zapas melanżu, prawdopodobnie stara kontrabanda Harkonnenów.

- Co chcesz, by z nim zrobiono, gdy go odnajdą, Panie?

- Użyj trochę jako zapłatę dla Tleilaxan za nowego gholę. Reszta może spocząć w naszych zapasach, tu, w krypcie.

- Panie. - Moneo potwierdził przyjęcie poleceń skinieniem głowy, gestem, który nie był do końca ukłonem. Spojrzenie majordoma napotkało wzrok Leto, który uśmiechnął się.

"Obaj wiemy, że Moneo nie odejdzie bez nawiązania do sprawy, która nas w tej chwili najbardziej interesuje."

- Widziałem raport o Sionie - powiedział Moneo.

Uśmiech Leto rozszerzył się. W takich chwilach zachowanie Monea dostarczało mu wiele przyjemności. Słowa sługi przekazywały mnóstwo rzeczy, które nie wymagały między nimi otwartej dyskusji. Tak kwestie, jak i działania Moneo były precyzyjne, uporządkowane, wsparte o obopólną świadomość, że Leto oczywiście szpieguje wszystko. Teraz w grę wchodziła naturalna troska o własne dziecko, ale Moneo pragnął, by jasne było, iż nie wpływa ona na jego oddanie dla Boga Imperatora. Dokładnie znał delikatną naturę obecnego położenia Siony ze swego własnego przejścia przez podobną ewolucję.

- Czyż jej nie stworzyłem, Moneo? - zapytał Leto. - Czy nie kontrolowałem jej pochodzenia i wychowania?

- To moja jedyna córka, jedyne dziecko, Panie.

- W pewien sposób przypomina mi Harqal-Adę - powiedział Leto. - Nie wydaje mi się, aby było w niej wiele z Gnani, chociaż trochę być musi. Być może posiada pewne cechy naszych przodków z programu eugenicznego zakonu żeńskiego.

- Dlaczego tak mówisz, Panie?

Leto zastanowił się. Czy było konieczne, aby Moneo dowiedział się tej szczególnej rzeczy o swojej córce? Siona czasem potrafiła znikać z wizji przyszłowidczej. Złota Droga pozostawała, ale Siona ginęła. A mimo to... nie była przyszłowidzącą. Była wyjątkowym zjawiskiem... I będzie, jeśli przeżyje. Leto zdecydował, że nie będzie obniżał skuteczności działania Monea niepotrzebnymi informacjami.

- Przypomnij sobie swoją własną przeszłość - rzekł.

- W istocie, Panie! Ale ona ma w sobie tyle siły, tyle, ile ja nigdy nie miałem! To jednak czyni ją dla ciebie niebezpieczną.

- I nie będzie słuchała twoich poleceń - powiedział Leto.

- Nie, ale mam agenta wśród jej buntowników.

"To Topri" - pomyślał Leto.

Nie trzeba było przyszłowidzenia, by domyślać się, że agent Monea będzie na miejscu. Od czasu śmierci matki Siony Leto ze stale wzrastającą pewnością znał sposób działania Monea. Podejrzenia Nayli wskazywały na Topriego. A teraz Moneo prezentował swe obawy i przeciwdziałania, oferując je jako zapłatę za bezpieczeństwo swojej córki.

"To szczęście, że z jej matką miał tylko jedno dziecko."

- Przypomnij sobie, jak potraktowałem ciebie w podobnych okolicznościach - powiedział Leto. -Znasz wymogi Złotej Drogi równie dobrze jak ja.

- Ale wtedy byłem młody i głupi, Panie.

- Młody i pochopny, ale nie głupi.

Moneo zdobył się na oszczędny uśmiech, usłyszawszy ten komplement. Jego myśli coraz bardziej skłaniały się ku wierze, że zrozumiał już intencje Leto. A l e t o r y z y k o !

Aby utwierdzić go w tym mniemaniu, Leto rzekł:

- Wiesz, jak bardzo lubię niespodzianki.

"To jest prawda - pomyślał Leto - i Moneo zdaje sobie z tego sprawę, ale Siona nawet mnie zaskakuje, przypomina mi o tym, czego się najbardziej obawiam: o jednostajności i nudzie, które mogą zniszczyć Złota Drogę. Popatrz, jak nuda oddała mnie na chwilę we władzę Duncana. Siona to kontrast, dzięki któremu poznaję swoje najgłębsze lęki. Troska o mnie jest bardzo uzasadniona."

- Mój agent będzie kontynuował obserwację jej nowych towarzyszy, Panie - powiedział Moneo. - Oni mi się nie podobają.

- Jej towarzysze? Sam miałem podobnych dawno temu.

- Buntowników, Panie? Ty? - Moneo był szczerze zaskoczony.

- Czy ci nie udowodniłem, że jestem przyjacielem rebelii?

- Ależ, Panie...

- Zejścia z właściwej drogi zdarzały się częściej, niż mógłbyś przypuszczać!

- Tak, Panie. - Moneo był speszony, ale mimo to wciąż ogromnie zaciekawiony. Wiedział, że Bóg Imperator czasami stawał się bardzo rozmowny po śmierci Duncana. - Musiałeś widzieć wiele buntów, Panie.

Mimowolnie myśli Leto skupiły się na wspomnieniach, pobudzonych przez te słowa.

- Ach, Moneo! - mruknął. - Moje podróże przez labirynty pamięci przodków ukazały mi niezliczone miejsca i wydarzenia, których nigdy nie chciałbym już ujrzeć powtórzonych w rzeczywistości.

- Mogę sobie wyobrazić twoje wewnętrzne podróże, Panie.

- Nie, nie możesz. Widziałem ludzi i planety w takiej liczbie, że tracą one znaczenie nawet w wyobraźni. Krajobrazy, które przemierzałem... Och, kaligrafia obcych dróg, widziana z kosmosu i odciśnięta w najgłębszych zakątkach mej wzrokowej pamięci, zerodowana rzeźba kanionów i urwisk na niezliczonych planetach galaktyki wyryły we mnie pewność, że jestem tylko pyłkiem.

- Nie ty, Panie. Z pewnością nie ty.

- Mniej niż pyłkiem! Widziałem ludzi i ich bezowocne społeczeństwa tak powtarzalne w swych pozach, że ich bezsens napełnia mnie znudzeniem, słyszysz?

- Nie chciałem cię rozgniewać. Panie - potulnie powiedział Moneo.

- Nie rozgniewałeś mnie. Czasami co najwyżej mnie drażnisz. Nie możesz wyobrazić sobie, co widziałem - kalifów i mdżedów, raków, radżów i baszarów, królów i cesarzy, prymitywów i prezydentów -widziałem ich wszystkich. Feudalnych wodzów - każdego z nich. Każdego z faraonów.

- Wybacz mi moją zarozumiałość, Panie.

- Do diabła z Rzymianami! - zawołał Leto. Powiedział to również do wewnątrz, swoim przodkom: - D o d i a b ł a z R z y m i a n a m i !

Ich śmiech wypchnął go z wewnętrznej sceny.

- Nie rozumiem, Panie - ośmielił się rzec Moneo.

- To prawda, nie rozumiesz. Rzymianie rozsiali francuską chorobę jak chłop, który rozrzuca ziarno, aby zebrać plon wiele miesięcy później. No i dali nam kajzerów, carów, imperatorów, cesarzy... palatynów... Przeklęci faraonowie!

- Moja wiedza nie obejmuje wszystkich tych tytułów, Panie.

- Mogę być ostatni z sortu, Moneo. Módl się, żeby tak było.

- Jak mój pan rozkaże. Leto popatrzył na niego.

- Jesteśmy zabójcami mitów, ty i ja, Moneo. To cel-marzenie, które wspólnie dzielimy. Zapewniam cię z gniazda bogów Olimpu, że rząd to uwspólniony mit. Gdy umiera rząd, ginie mit.

- Tak mnie uczyłeś, Panie.

- Ta ludzka maszyna, Armia, stworzyła nasze obecne marzenia, mój przyjacielu.

Moneo zakaszlał. Leto rozpoznał subtelne oznaki zniecierpliwienia u majordoma.

"Moneo rozumie, czym są Armie. Wie, że to mniemanie głupca, iż Armie są podstawowym narzędziem rządzenia."

Leto wciąż milczał, gdy Moneo podszedł do rusznicy laserowej, podniósł ją z zimnej podłogi krypty i zaczął rozbrajać.

Leto obserwował go, myśląc, jak doskonale ta w gruncie rzeczy niewielka scena zamykała w sobie esencję mitu Armii. Armia sprzyja rozwojowi technologii, ponieważ dla istot krótkowzrocznych siła maszyn wydaje się oczywista.

"Ta rusznica to nic więcej, jak tylko maszyna. Ale wszystkie maszyny zawodzą albo stają się przestarzałe. Mimo to Armia czci takie rzeczy - zarazem zafascynowana, jak i pełna lęku. Popatrzcie, jak ludzie boją się Ixian! W głębi duszy Armia wie, że jest uczniem czarnoksiężnika. Rozpętuje technologię i nigdy już tej magii nie będzie można z powrotem zagnać w butelkę."

- Nauczę ich innej magii - powiedział Leto do hord wewnątrz siebie. - Widzicie? Moneo unieszkodliwił to śmiercionośne narzędzie. Tu zerwał połączenie, tam zgniótł kapsułkę.

Wyczuł estry oleju konserwującego, dolatujące wraz z zapachem potu Monea.

Wciąż mówiąc do wewnątrz siebie, Leto rzekł:

- Ale geniusz nie umarł. Technologia rodzi anarchię. Na oślep rozdziela narzędzia, a to wręcz prowokacja dla przemocy. Wytwarzanie i użytkowanie potężnych środków niszczenia staje się w sposób nieunikniony dostępne dla coraz to mniejszych grup, aż w końcu grupa staje się pojedynczym indywiduum."

Moneo powrócił na miejsce przed Leto, dzierżąc uszkodzoną rusznicę w prawej dłoni.

- Na Parelli i planetach Danu mówi się o kolejnej dżihad przeciw rzeczom takim jak ta. - Podniósł głowę i uśmiechnął się, dając do zrozumienia, że zna paradoks zawarty w tak próżnych marzeniach.

Leto zamknął oczy. Tłumy wewnątrz pragnęły się spierać, ale odciął się od nich myśląc:

"Dżihad tworzy armie. Dżihad Butlerjańska próbowała wyrzucić z naszego wszechświata maszyny, udające ludzki rozum. Butlerjanie pozostawili po sobie armię, a Ixianie wciąż tworzą swoje wątpliwe urządzenia... za które im dziękuję. Czym jest klątwa? Motywacją do zniszczenia bez względu na środki?"

- Stało się - mruknął.

- Panie...? - zapytał Moneo. Leto otworzył oczy.

- Będę w swojej wieży - powiedział. - Muszę mieć więcej czasu, by odżałować mojego Duncana.

Ty, pierwsza osobo, która natkniesz się na moje kroniki sprzed co najmniej czterech tysięcy lat, strzeż się! Nie czuj się zaszczycona tym, że czytasz objawienia z mojego ixiańskiego magazynu. Znajdziesz w nich wiele bólu. Poza kilkoma spojrzeniami - koniecznymi, by upewnić się, że Złota Droga trwa - nigdy nie chciałem wyglądać poza te cztery tysiąclecia. Z tego powodu nie jestem pewien, jakie mogą mieć znaczenie wydarzenia z moich dzienników dla czasów, w których żyjesz. Wiem tylko, ze same dzienniki były nieznane, a pamięć o opisywanych historiach uległa przez eony wypaczeniu. Zapewniam cię, że możliwość ujrzenia naszych przyszłości staje się nudna. Nawet gdy pomyślę o tobie jako Bogu, tak jak z pewnością myślano o mnie, może to stać się skończenie nudne. Wielokrotnie docierało do mnie, że święte znudzenie jest dobrym i wystarczającym powodem dla wynalezienia wolnej woli.

Inskrypcja nad wejściem do magazynu w Dar-es-Balat

"J e s t e m D u n c a n I d a h o ."

To było mniej więcej wszystko, co chciał wiedzieć na pewno. Nie podobały mu się wyjaśnienia Tleilaxan, ich o p o w i e ś c i . Ale przecież Tleilaxan bano się zawsze. Nie wierzono im i bano się ich zawsze.

Przywieźli go na planetę małym promem, witając w strefie zmierzchu, zalanej wzdłuż horyzontu zieloną poświatą zachodzącego słońca.

Port kosmiczny wyglądał zupełnie inaczej niż ten zawarty w pamięci Duncana. Był większy i otoczony pierścieniem nie znanych budynków.

- Jesteście pewni, że to Diuna? - zapytał.

- Arrakis - poprawił go ktoś z tleilaxańskiej eskorty.

Przewieźli go w zamkniętym pojeździe do budynku gdzieś w mieście zwanym Onn. Gdy wypowiadali tę nazwę, nadawali "n" dziwnie brzmiący, wznoszący się akcent. Pokój, w którym go pozostawili, stanowił kwadrat o boku trzech metrów, właściwie sześcian. Nie było w nim śladu kul świętojańskich, ale pomieszczenie wypełnione było ciepłym żółtym światłem.

"Jestem gholą" - powiedział sobie.

Ta świadomość była szokiem, ale musiał w to uwierzyć. Znaleźć się żywym, podczas gdy wiedział, że zginął - to był wystarczający dowód. Tleilaxanie pobrali komórki z jego martwego ciała i wyhodowali odrośl w jednym ze swoich zbiorników aksolotlowych. Ta odrośl stała się jego ciałem, w którym z początku czuł się zupełnie obco.

Popatrzył na to ciało. Ubrane było w ciemnobrązowe spodnie i grubo tkany sweter drażniący skórę. Stopy ochraniały sandały. Poza życiem było to wszystko, co mu dali - oszczędność, która wiele mówiła o prawdziwym charakterze Tleilaxan.

W pokoju nie było żadnych mebli. Wprowadzili go do środka przez jedyne drzwi, pozbawione wewnątrz klamki. Rozejrzał się po suficie i ścianach, spojrzał na drzwi. Mimo niczym nie zakłóconego charakteru tego miejsca, czuł, że jest obserwowany.

"Przyjdą po ciebie kobiety ze Straży Imperialnej" - powiedzieli.

Potem odeszli, uśmiechając się do siebie chytrze.

Kobiety ze S t r a ż y I m p e r i a l n e j ?

Tleilaxańska eskorta czerpała sadystyczną przyjemność z prezentowania swych zdolności zmiany postaci. Nigdy nie mógł odgadnąć, co nowego ukaże mu za chwilę plastyka ich ciał.

"Przeklęci Tancerze Oblicza!"

Wiedzieli o nim wszystko. Oczywiście wiedzieli, jak denerwują go zmiennokształtni.

W co mógł uwierzyć, skoro pochodziło to od Tancerzy Oblicza? Niemalże w nic. Czy mógł ufać czemukolwiek, co mówili?

"W moje imię. Wiem, jak się nazywam."

I miał swoje wspomnienia. Wstrząs nimi wywołany przywrócił mu własną tożsamość. Przypuszczano, że ghole nie są w stanie odzyskać swojej pierwotnej świadomości, ale Tleilaxanie dokonali również i tego. Tym razem był zmuszony im wierzyć, bo wiedział, jak to się stało.

Na początku był w pełni uformowanym gholą, dojrzałym ciałem bez imienia ani wspomnień - palimpsestem, w którym Tleilaxanie mogli zapisać prawie wszystko, co chcieli.

"Jesteś gholą" - mówili.

Było to przez długi czas jego jedyne imię. Uczyli go jak dziecko i uwarunkowali do zabicia pewnego człowieka - mężczyzny podobnego do Paula Muad'Diba. Ghola służył mu i go podziwiał i Idaho podejrzewał teraz, iż mógł to być jeszcze jeden ghola. Ale jeżeli to była prawda - skąd uzyskano jego komórki?

Coś w ciele Idaho zbuntowało się przeciw zabiciu Atrydy. Nagle zorientował się, że stoi z nożem w dłoni, a skrępowana postać niby-Paula wpatruje się weń z gniewem i przerażeniem.

Jego świadomość zalały wspomnienia. Pamiętał gholę i pamiętał Duncana Idaho.

"Jestem Duncan Idaho, Mistrz miecza Atrydów."

Chwytał się tego wspomnienia, stojąc teraz w żółtym pokoju.

"Zginąłem, broniąc Paula i jego matki w siczy pod piaskami Diuny. Powróciłem na tę planetę, ale Diuny już nie ma. Teraz jest tylko Arrakis."

Przeczytał wyjątki z historii, którą dostarczyli mu Tleilaxanie, ale jej nie wierzył. P o n a d t r z y i p ó ł t y s i ą c a l a t ? Kto mógłby uwierzyć, że jego ciało wciąż istniało po tak długim czasie? Chociaż... z Tleilaxanami było to możliwe. Musiał wierzyć własnym zmysłom.

"Było ciebie wielu" - mówili jego instruktorzy.

"Ilu?"

"Pan Leto udzieli ci tej informacji."

P a n L e t o ?

Opowieść Tleilaxan mówiła, że panem Leto był Leto II, wnuk tego Leto, któremu Duncan służył z fanatycznym oddaniem. Ale drugi Leto (jak twierdziła historia) stał się czymś... czymś dziwnym. Idaho desperacko starał się pojąć jego przemianę.

Jak istota ludzka mogła powoli przemienić się w czerwia? Jak jakakolwiek myśląca istota mogła żyć ponad trzy i pół tysiąca lat? Nawet najbardziej szalone nadużywanie geriatrycznej przyprawy nie zapewniało takiej długości życia.

L e t o I I , B ó g I m p e r a t o r ?

Opowieści Tleilaxan nie można było wierzyć!

Idaho przypomniał sobie o dziwnym dziecku - właściwie bliźniętach - Leto i Ghanimie, dzieciach Paula, dzieciach Chani, która zmarła, wydając je na świat. Historia Tleilaxan mówiła, że Ghanima żyła tyle, co każdy normalny człowiek, ale Bóg Imperator wciąż jeszcze trwa...

"Jest Tyranem - mówili nauczyciele Idaho. - Kazał nam wytworzyć cię w naszych zbiornikach i wysłać, byś mu służył. Nie wiemy, co się stało z twoimi poprzednikami."

"I o t o t u j e s t e m."

Raz jeszcze Idaho pozwolił spojrzeniu pobłądzić po nieciekawych ścianach i suficie.

W jego świadomość wtargnął słaby odgłos prowadzonej rozmowy. Głosy były przytłumione, ale jeden z nich można było rozpoznać jako żeński.

"Kobiety ze Straży Imperialnej?"

Drzwi otworzyły się bezszelestnie. Weszły dwie kobiety. Pierwszą rzeczą, która przykuła jego uwagę, było to, że jedna z nich miała na twarzy maskę - cybusowy kaptur o pochłaniającej światło czarnej barwie. Wiedział, że strażniczka widzi go wyraźnie przez materiał, zaś rysów jej twarzy nie może dojrzeć nikt. Kaptur świadczył o tym, że Ixianie lub ich następcy wciąż działali w Imperium. Obie kobiety miały na sobie jednoczęściowe ciemnobłękitne mundury z wyszytymi na lewej piersi czerwonymi jastrzębiami Atrydów.

Idaho badał je wzrokiem, gdy zamknęły drzwi i zwróciły się ku niemu.

Zamaskowana kobieta była niezgrabna, o potężnie zbudowanym ciele. Poruszała się ze zwodniczą ostrożnością fanatycznej zwolenniczki kulturystyki. Druga kobieta była smukła i pełna gracji, z migdałowymi oczyma w twarzy o ostrych rysach i z wysokimi kościami policzkowymi. Idaho miał uczucie, że widział ją już kiedyś, ale nie potrafił złowić tego wspomnienia. Obie kobiety nosiły w futerałach na biodrach noże igłowe. Coś w ich ruchach powiedziało Idaho, że te kobiety mają wyjątkową wprawę w obchodzeniu się z bronią.

Ta smukła przemówiła pierwsza:

- Nazywam się Luli. Niech mnie pierwszej przypadnie zaszczyt zwrócenia się do ciebie jako do Dowódcy. Moja towarzyszka musi pozostać anonimowa. Nasz Pan Leto tak rozkazał. Możesz się do niej zwracać: Przyjaciółko.

- Dowódcy? - zapytał.

- Nasz Pan Leto pragnie, byś dowodził jego Strażą Królewską - powiedziała Luli.

- Aż tak? Chodźmy i porozmawiajmy z nim o tym.

- Och, nie! - Luli była wyraźnie wstrząśnięta. - Pan Leto wezwie cię, kiedy nadejdzie czas. Na razie pragnie, byśmy sprawiły, żebyś poczuł się odprężony i szczęśliwy.

- I muszę usłuchać?

Luli potrząsnęła głową w zakłopotaniu.

- Jestem więźniem? - zapytał Idaho. Luli rozluźniła się i uśmiechnęła.

- Bynajmniej. Nasz Pan Leto ma po prostu wiele wielkich trosk, które wymagają jego osobistej uwagi. Musi wygospodarować dla ciebie czas. Wysłał nas, bo troszczy się o swojego Duncana Idaho. Przez długi czas byłeś w rękach parszywych Tleilaxan.

"Parszywi Tleilaxanie?" - pomyślał Idaho. Przynajmniej to się nie zmieniło. Zainteresowała go jednak pewna szczególna wskazówka w wyjaśnieniu Luli.

- S w o j e g o Duncana Idaho?

- Nie jesteś jego Atrydzkim wojownikiem? - zapytała Luli.

Tu go miała. Idaho skinął głową, lekko ją odwracając, by przyjrzeć się enigmatycznej, zamaskowanej kobiecie.

- Dlaczego jesteś w masce?

- To, że służę Panu Leto, nie powinno być wiadome - powiedziała. Miała przyjemny kontralt, ale Idaho podejrzewał, że głos był zmieniony dzięki kapturowi.

- Zatem dlaczego tu jesteś?

- Pan Leto powierzył mi sprawdzenie, czy parszywi Tleilaxanie nie manipulowali tobą.

Idaho próbował przełknąć ślinę przez nagle zaschnięte gardło. Ta myśl nasunęła mu się kilkakrotnie na pokładzie transportowca Gildii. Jeżeli Tleilaxanie potrafili uwarunkować gholę, to co jeszcze mogli umieścić w psychice stworzonego od nowa ciała?

- Widzę, że o tym pomyślałeś - powiedziała zamaskowana kobieta.

- Jesteś mentatką? - zapytał Idaho.

- Och, nie - wtrąciła się Luli. - Pan Leto nie pozwala na szkolenie mentatów.

Idaho spojrzał na Luli i po chwili powrócił wzrokiem do zamaskowanej kobiety. Ż a d n y c h m e n t a t ó w ! Opowieść Tleilaxan nie wspominała o tym interesującym fakcie. Dlaczego Leto tego zabronił? Z pewnością ludzki umysł wyćwiczony do nadzwyczajnych możliwości kalkulacji wciąż mógłby być niezwykle użyteczny. Tleilaxanie zapewniali go, że Wielka Konwencja pozostawała w mocy i mechaniczne komputery wciąż były objęte anatemą. Te kobiety na pewno wiedziały, że sami Atrydzi używali mentatów.

- Jaka jest twoja opinia? - zapytała zamaskowana kobieta. - Czy parszywi Tleilaxanie grzebali się w twojej psychice?

- Nie sądzę... żeby tak było.

- Ale nie jesteś pewny?

- Nie.

- Nie obawiaj się, Dowódco - powiedziała. - Mamy sposoby, by się upewnić i w razie konieczności poradzić sobie z takimi problemami. Parszywi Tleilaxanie spróbowali tego tylko raz i drogo zapłacili za swoją omyłkę.

- To uspokajające. Czy Pan Leto przesyła mi jakieś informacje?

- Powiedział nam - odpowiedziała Luli - żeby cię zapewnić, że wciąż kocha cię tak, jak zawsze kochali ciebie Atrydzi. - To, że te słowa wywołują w niej bojaźń, było oczywiste.

Idaho odprężył się odrobinę. Jako stary sługa Atrydów, wspaniale przez nich wyszkolony, stwierdził, że łatwo mu ustalić kilka rzeczy na podstawie tego spotkania. Te dwie kobiety były mocno uwarunkowane do fanatycznego posłuszeństwa. Jeżeli cybusowy kaptur mógł ukryć tożsamość jednej ze strażniczek, musiało być wiele takich, które z figury były bardzo do niej podobne. Wszystko przemawiało za tym, że Leto otaczają zewsząd niebezpieczeństwa, które wciąż wymagają stałej, subtelnej służby wywiadowczej i rozmaitego arsenału broni.

Luli spojrzała na swoją towarzyszkę.

- Co powiesz, Przyjaciółko?

- Można go zabrać do Twierdzy - rzekła zamaskowana kobieta. - To nie jest dobre miejsce. Tleilaxanie tu byli.

- Ciepła kąpiel i zmiana nastroju byłyby dla mnie przyjemnością - stwierdził Idaho.

Luli wciąż patrzyła na Przyjaciółkę.

- Jesteś pewna?

- Nie można kwestionować mądrości Pana - powiedziała zamaskowana kobieta.

Idaho nie podobał się ton fanatyzmu w głosie owej P r z y j a c i ó ł k i , ale czuł się bezpieczny, ufając prawości Atrydów. Obcym i wrogom mogli się wydawać cyniczni i okrutni, ale dla swoich ludzi byli sprawiedliwi i lojalni. Nade wszystko zaś Atrydzi byli uczciwi wobec tych, którzy im służyli.

"Jestem jednym z ich sług - pomyślał Idaho. - Ale co stało się z tym mną, którego miejsce obejmuję?" Czuł mocne przekonanie, że jego opiekunki nie odpowiedziałyby na to pytanie.

A l e L e t o o d p o w i e .

- Pójdziemy? - zapytał. - Pragnę zmyć z siebie smród parszywych Tleilaxan.

Luli uśmiechnęła się do niego.

- Chodź. Osobiście cię wykąpię.

Wrogowie nas wzmacniają.

Sprzymierzeńcy osłabiają.

Powiadam to w nadziei, że pomoże to wam zrozumieć, dlaczego działam tak, jak działam, z pełną wiedzą o siłach, które narastają w moim Imperium z jednym tylko pragnieniem - zniszczenia mnie. Wy, którzy czytacie te słowa, możecie w pełni wiedzieć, co się rzeczywiście wydarzyło, ale wątpię, czy to rozumiecie.

"Wykradzione dzienniki"

Ceremonia "prezentacji", którą rozpoczynali swoje spotkania, ciągnęła się dla Siony w nieskończoność. Siedziała w pierwszym rzędzie i patrzyła wszędzie, tylko nie na Topriego, który prowadził ceremonię zaledwie kilka kroków od niej. Tego pomieszczenia w służbowych tunelach Onn nigdy jeszcze nie wykorzystywali, ale było tak podobne do wszystkich innych miejsc ich spotkań, że można było je uważać za modelowe. "Sala Zebrań Buntowników - Kategoria B" -pomyślała.

Oficjalnie pomieszczenie to było magazynem i raz nastawionych kuł świętojańskich znajdujących się w nim nie można było przestawić z ich ostrego, białego lśnienia. Sala miała około trzydziestu kroków długości i niewiele mniejszą szerokość. Można było do niej dotrzeć tylko przez labirynt podobnych pomieszczeń, z których jedno wypełnione było zapasem twardych, składanych krzeseł, przeznaczonych do małych pokojów sypialnych personelu. Dziewiętnastu współbuntowników, nie licząc Siony, zajmowało teraz krzesła dookoła niej, pozostawiono kilka wolnych miejsc dla spóźnialskich, którzy mogli jeszcze dotrzeć na spotkanie.

Czas zebrania wyznaczono pomiędzy nocną i poranną zmianą, by ukryć dodatkowy ruch ludzi w służbowych drążniach. Większość buntowników była przebrana za energetyków - w cienkie, szare spodnie i bluzy jednorazowego użytku. Kilkoro, włączając w to Sionę, ubranych było w zieleń nadzorców maszyn.

Głos Topriego rozchodził się po sali z natarczywą monotonią. W czasie gdy prowadził ceremonię, ani razu nie zdarzyło mu się mówić piskliwie. Siona musiała przyznać, że był w tym raczej dobry, zwłaszcza wobec nowo zwerbowanych. Jednak od otwartego stwierdzenia Nayli, że nie ufa temu człowiekowi, Siona patrzyła na Topriego w inny sposób. Nayla potrafiła mówić z tą bezwzględną naiwnością zdzierającą wszystkie maski. Poza tym Siona dowiedziała się co nieco o Toprim od czasu tamtej konfrontacji.

Siona odwróciła się w końcu i popatrzyła na niego. Zimne srebrne światło nie było korzystne dla bladej skóry Topriego. Do ceremonii używał kopii krysnoża, kupionej i przemyconej od Muzealnych Fremenów. Patrząc na ostrze w dłoniach Topriego, Siona przypomniała sobie tę transakcję. To był jego pomysł i wtedy wydawał jej się dobry.

Zaprowadził ją na spotkanie do rudery na skraju miasta, dokładnie o zmroku. Czekali długo, dopóki nie zapadły ciemności mogące ukryć nadejście Muzealnych Fremenów. Fremenom nie pozwalano opuszczać swych siczowych kwater bez specjalnego zezwolenia Boga Imperatora.

Po jakimś czasie Siona uznała, że nikt już nie przyjdzie, i kiedy chciała powiedzieć o tym Topriemu, z mroku wyśliznął się Fremen. Pozostawił na straży przy drzwiach swoją eskortę i wszedł do zupełnie nie umeblowanego pokoju, gdzie czekali buntownicy. Jedyne światło w pomieszczeniu pochodziło ze słabej żółtej pochodni, podtrzymywanej przez kołek wbity w rozsypującą się glinianą ścianę.

Pierwsze słowa Fremena napełniły Sionę złym przeczuciem:

"Czy przynieśliście pieniądze?"

Topri nie wydawał się zakłopotany pytaniem. Poklepał woreczek pod swoją szatą, który w odpowiedzi zabrzęczał.

"Pieniądze mam tutaj."

Fremen był stary i mocno przygarbiony. Miał na sobie kopię starych fremeńskich szat, a pod spodem jakiś lśniący ubiór, prawdopodobnie ich wersję filtrfraka. Jego kaptur był naciągnięty na czoło i skrywał część twarzy. Światło pochodni wprawiało w taniec cienie na jego obliczu.

Spojrzał najpierw na Topriego, potem na Sionę, i wyciągnął spod swojej szaty zawinięty w tkaninę przedmiot.

"To prawdziwa kopia, ale jest wykonana z plastyku - powiedział. - Nie będzie kaleczyć ani brudzić."

Następnie wyciągnął z zawiniątka ostrze i podsunął je ku nim.

Siona, która widziała krysnoże tylko w muzeach i na unikatowych archiwalnych nagraniach rodziny, stwierdziła, że dziwnie działa na nią widok ostrza w tych osobliwych warunkach. Czuła oddziaływanie czegoś atawistycznego i wyobraziła sobie tego biednego Muzealnego Fremena z plastykowym krysnożem jako prawdziwego Fremena z dawnych czasów. Rzecz, którą trzymał, stała się nagle krysnożem o mlecznobiałym ostrzu, lśniącym wśród żółtych cieni.

"Ręczę za autentyczność ostrza, z którego powstała ta kopia" - powiedział Fremen. Mówił głosem cichym, w jakiś sposób groźnym przez swój brak emfazy.

Siona dosłyszała tę groźbę, sposób, w jaki jad sączył się, ukryty w miękkich samogłoskach, i nagle stała się czujna.

"Spróbuj zdradzić, a rozgnieciemy cię jak robaka[*]" - powiedziała.

Topri rzucił jej spojrzenie pełne strachu.

Wydawało się, że Muzealny Fremen zadrżał, wycofał się w głąb siebie. Ostrze zadygotało w jego dłoni, ale starcze palce wciąż obejmowały rękojeść, jak gdyby trzymając za gardło.

"Zdradzić, pani? Och, nie. Ale dotarło do nas, że zażądaliśmy zbyt mało za tę kopię. Chociaż marna, to wytworzenie i sprzedaż jej w ten sposób naraża nas na straszliwe niebezpieczeństwo."

Siona popatrzyła na niego, myśląc o starych fremeńskich słowach z Przekazów Ustnych: "Gdy raz twa dusza stanie się przekupna, suuk zawsze już będzie podstawą twej egzystencji."

"Ile chcesz?" - spytała z naciskiem.

Wymienił sumę dwukrotnie wyższą od pierwotnej ceny. Topri westchnął. Siona popatrzyła na niego.

"Masz tyle?"

"Niezupełnie, ale zgodziliśmy się na..."

"Daj mu, ile masz, wszystko" - powiedziała Siona.

"Wszystko?"

---

[*] Gra słów - angielskie "worm" znaczy zarówno "robak" jak i "czerw" (przyp. tłum.)

"Tak chyba powiedziałam? Wszystkie monety z torby. - Odwróciła się do Muzealnego Fremena. - Przyjmiesz tę zapłatę." - To nie było pytanie i starzec właściwie zrozumiał jej słowa. Owinął ostrze w materiał i podał je Sionie. Topri wyciągnął dłoń z woreczkiem monet, mrucząc pod nosem.

"Wiemy, jak się nazywasz - powiedziała dziewczyna. - Jesteś Tejszar, adiutant Garuna z Tuono. Masz mentalność suuku. Dreszcz mnie przeszywa na myśl, czym stali się Fremeni."

"Pani, wszyscy musimy żyć" - zaprotestował.

"Wy już nie żyjecie - odparła. - Odejdź."

Tejszar odwrócił się i wymknął pospiesznie, przyciskając woreczek z pieniędzmi do piersi.

Pamięć tej nocy uwierała jak cierń w świadomości Siony, gdy dziewczyna obserwowała, jak Topri manewruje kopią krysnoża w buntowniczej celebrze. "Nie jesteśmy lepsi od Tejszara - pomyślała. - Kopia to gorzej niż nic." Topri wymachiwał idiotycznie ostrzem nad głową, powoli doprowadzając ceremonię do końca

Siona odwróciła od niego wzrok i zobaczyła Naylę siedzącą dalej na lewo. Nayla rozglądała się czujnie dookoła. Specjalną uwagę zwracała na nowo zwerbowanych, znajdujących się w głębi sali. Nayla nie należała do osób łatwo obdarzających kogoś zaufaniem. Siona wzdrygnęła się, gdy powiew powietrza przyniósł zapach olei smarowniczych. Podziemia Onn zawsze pachniały niebezpiecznie m e c h a n i c z n i e . Wciągnęła powietrze przez nozdrza. I ten pokój! Nie podobało jej się miejsce ich spotkania. Z łatwością mogło stać się pułapką. Strażniczki mogły zablokować zewnętrzne korytarze i wysłać uzbrojone ekipy przeszukujące. Z taką łatwością to miejsce mogło stać się świadkiem końca rebelii! Niepokój Siony podwajało to, że wybrał je Topri.

"Jedna z niewielu pomyłek Ulota" - pomyślała. Biedny, martwy Ulot zaproponował przyjęcie Topriego do spisku.

"Jest pomniejszym funkcjonariuszem w służbach miejskich - wyjaśnił wtedy Ulot. - Topri może wynaleźć wiele użytecznych miejsc na spotkania i pomoże nam się uzbroić."

Topri dotarł prawie do końca ceremonii. Umieścił nóż w wykładanym etui, które położył za sobą na podłodze.

- Moja twarz to me przeznaczenie - powiedział. Odwrócił się do sali profilem, najpierw jednym, potem drugim. - Ukazuję moją twarz, byście wszędzie mnie rozpoznali i wiedzieli, że jestem jednym z was.

"Idiotyczna ceremonia" - pomyślała Słona.

Lecz nie odważyła się zakłócić jej przebiegu i gdy Topri wyciągnął z kieszeni czarną maskę z gazy i naciągnął ją na twarz, wydobyła swoją i uczyniła to samo. Zapanowało teraz poruszenie. Większość ludzi została ostrzeżona, że Topri przyprowadzi specjalnego gościa. Siona sprawdziła wiązanie maski na karku. Pragnęła zobaczyć tego gościa.

Topri podszedł do jedynych drzwi w sali. Rozległ się hałas trzaskających oparć, gdy wszyscy wstali, złożyli krzesła i ustawili je pod przeciwną ścianą. Na sygnał Siony Topri zapukał trzykrotnie we wrota, odczekał chwilę i zastukał czterokrotnie.

Drzwi otworzyły się i wysoki mężczyzna w urzędowym, ciemnobrązowym, jednoczęściowym uniformie wśliznął się na salę. Nie miał maski, więc jego twarz była wystawiona na spojrzenia wszystkich - szczupła i władcza, z wąskimi ustami, ostrym nosem i ciemnobrązowymi, głęboko osadzonymi oczyma pod krzaczastymi brwiami. Tę twarz rozpoznała większość znajdujących się na sali.

- Przyjaciele - powiedział Topri - przedstawiam wam Ija Kobata, Ambasadora Ix.

- Eks-Ambasadora - rzekł Kobat. Jego głos był gardłowy, poddany surowej samokontroli. Zajął miejsce plecami do ściany, twarzą do zamaskowanych ludzi. - Otrzymałem dziś rozkaz od naszego Boga Imperatora, bym opuścił Arrakis w niełasce.

- Dlaczego? - Siona rzuciła to pytanie bez zbędnych ogródek. Kobat szybkim ruchem odchylił głowę do tyłu, skupiając spojrzenie na zamaskowanym obliczu Siony.

- Miała miejsce próba zamachu na Boga Imperatora. Wyśledził, że broń pochodziła ode mnie.

Towarzysze Siony rozstąpili się między nią a eks-Ambasadorem, wyraźnie dając do zrozumienia, że jej powierzają prowadzenie rozmowy.

- Dlaczego więc cię nie zabił? - zapytała z naciskiem.

- Myślę, że chce przez to powiedzieć, że nie jestem wart zabicia. Faktem jest też, że chce mnie teraz użyć do przesłania wiadomości na Ix.

- Jakiej? - Siona przeszła przez pustą przestrzeń i zatrzymała się dwa kroki przed Kobatem. Dostrzegła w nim seksualną gotowość, gdy badał wzrokiem jej ciało.

- Jesteś córką Monea - powiedział.

W jednej chwili na sali dało się wyczuć ogromne napięcie. Dlaczego ujawnił, że ją rozpoznał? Kogo jeszcze rozpoznał? Nie wydawał się głupcem. Dlaczego to zrobił?

- Twoja postać, zachowanie i głos są dobrze znane tu, w Onn - powiedział. - Ta maska to głupota.

Zerwała maskę z głowy i uśmiechnęła się do niego.

- Zgadzam się. Teraz odpowiedz na moje pytanie.

Siona usłyszała, że od lewej strony powoli przesuwa się do przodu Nayla, spostrzegła także, że obok niej stanęły dwie adiutantki gotowe w razie czego do podjęcia ataku. Dziewczyna wiedziała, że dla Kobata nadchodzi chwila prawdy - zginie, jeżeli nie spełni jej żądania. Jego głos nie stracił opanowania, ale mężczyzna mówił teraz wolniej, starannie dobierając słowa.

- Bóg Imperator powiedział mi, że wie o porozumieniu między Ix i Gildią. Staramy się wyprodukować mechaniczny wzmacniacz... talentów nawigacyjnych Gildian, które obecnie opierają się tylko na melanżu.

- Na tej sali nazywamy go Czerwiem - rzekła Siona. - Co robiłaby ta wasza maszyna?

- Jesteś świadoma, że Nawigatorzy Gildii potrzebują przyprawy, aby z o b a c z y ć bezpieczną drogę, którą mają przebyć?

- Zastąpicie Nawigatorów maszyną?

- Być może.

- Masz przekazać jakąś wiadomość w związku z tym?

- Mam powiedzieć, że mogą kontynuować swoje badania, ale pod warunkiem, że codziennie będą przesyłać sprawozdania z postępów.

Potrząsnęła głową.

- On nie potrzebuje żadnych takich raportów! To głupia wiadomość.

Kobat przełknął ślinę, nie ukrywając dłużej zdenerwowania.

- Gildia i zakon żeński są zafascynowane naszym projektem - powiedział. - Przyłączyły się do niego.

Siona skinęła głową.

- I płacą za swój współudział, dzieląc się z Ix przyprawą.

Kobat popatrzył na nią.

- To drogie prace, a my potrzebujemy przyprawy do testów porównawczych, aby móc skonfrontować możliwości maszyny z Nawigatorami Gildii.

- To kłamstwo i oszustwo - rzekła. - Wasz przyrząd nigdy nie będzie działał i Czerw o tym wie.

- Jak śmiesz nas oskarżać o...

- Bądź cicho! Właśnie wyjawiłam ci prawdziwą wiadomość. Czerw mówi ixianom, by dalej oszukiwali Gildię i zakon. To go bawi.

- To może działać - upierał się Kobat. Uśmiechnęła się jedynie do niego.

- Kto próbował zabić Czerwia?

- Duncan Idaho.

Nayla westchnęła. Na sali można było dostrzec oznaki podniecenia: grymas twarzy lub zaczerpnięcie oddechu.

- Idaho nie żyje? - zapytała Siona.

- Tak przypuszczam, ale... hmm, Czerw nie chce tego potwierdzić.

- Dlaczego sadzisz, że zginął?

- Tleilaxanie wysłali następnego gholę.

- Rozumiem.

Siona odwróciła się i dała znak Nayli, która przeszła na bok i wróciła z cienkim pakunkiem zawiniętym w różowy papier z suuku - taki, jakiego używano do opakowywania drobnych zakupów. Nayla wręczyła paczkę Sionie.

- To cena naszego milczenia - powiedziała Siona, wyciągając ją do Kobata. - Oto dlaczego Topriemu pozwolono sprowadzić cię tu dziś wieczorem.

Kobat wziął paczkę, nie odrywając uwagi od twarzy Siony.

- Milczenia? - zapytał.

- Zobowiązujemy się, że nie poinformujemy Gildii ani zakonu, że je oszukujecie...

- Nie oszukujemy...

- Nie bądź głupcem!

Kobat usiłował przełknąć ślinę. Jej rozumowanie stało się dla niego jasne: prawda czy nie, jeżeli rebelianci rozpowszechnią ową historię, wszyscy w nią uwierzą. Tak podpowiadał "zdrowy rozsądek", na który lubił powoływać się Topri.

Siona spojrzała na Topriego stojącego obok Kobata. Nikt nie przyłączył się do buntu z racji "zdrowego rozsądku". Czy Topri nie uświadamia sobie, że jego "zdrowy rozsądek" może go zdradzić? Wróciła uwagą do Kobata.

- Co jest w tym pakunku? - zapytał. Coś w sposobie, w jaki zadał to pytanie, powiedziało Sionie, że już wie.

- To coś, co wysyłam na Ix. Zabierzesz to tam zamiast mnie. To kopie dwóch ksiąg, które wykradliśmy z Twierdzy Czerwia.

Kobat opuścił wzrok na paczkę, którą trzymał w dłoniach. Było oczywiste, że wolałby się jej pozbyć, że przyłączenie się do buntu było ryzykiem dużo większym niż to, jakiego miał zamiar się podjąć. Rzucił Topriemu nachmurzone spojrzenie, prawie na głos wyrażając słowa: dlaczego mnie nie uprzedziłeś?

- Co... - Wrócił spojrzeniem do Siony, kaszlnął. - Co jest w tych tomach?

- Wy właśnie macie nam to powiedzieć. Sądzimy, że są to słowa samego Czerwia, ale zaszyfrowano je tak, że nie potrafimy tego odczytać.

- Dlaczego sądzicie...

- Wy, Ixianie, jesteście przebiegli, jeśli chodzi o takie rzeczy.

- A jeżeli nam się nie uda? Wzruszyła ramionami.

- Nie będziemy was za to winić. Jednakże gdybyście użyli tych tomów w jakimkolwiek innym celu, albo nie donieśli nam natychmiast o powodzeniu...

- Jak ktokolwiek może być pewny, że uda się nam...

- Nie polegamy tylko na was, kopie otrzymają również inni. Myślę, że zakon żeński i Gildia nie zawahają się przed próbą odczytania tych tomów.

Kobat wsunął pakunek pod pachę.

- Dlaczego sądzicie, że Czerw wie o waszych zamiarach...? Albo o tym spotkaniu?

- Myślę, że on wie wiele rzeczy, może nawet wiedzieć, kto zabrał te tomy. Mój ojciec wierzy, że on posiada prawdziwą zdolność przyszłowidzenia.

- Twój ojciec wierzy w Przekazy Ustne!

- Wszyscy na tej sali w nie wierzą. Przekazy Ustne nie są zasadniczo sprzeczne z Historią Oficjalną.

- Zatem dlaczego Czerw nie działa przeciw wam? Wskazała na pakunek pod ramieniem Kobata.

- Być może tam jest odpowiedź.

- Albo też wy i te tomiszcza nie stanowicie dla niego żadnego zagrożenia! - Kobat nie ukrywał swojego gniewu. Nie lubił być zmuszany do podejmowania decyzji.

- Być może. Powiedz, dlaczego wspomniałeś o Przekazach Ustnych?

Raz jeszcze Kobat usłyszał groźbę w głosie Siony.

- One twierdzą, że Czerw nie jest zdolny do ludzkich uczuć.

- To nie z tego powodu - odparła. - Masz jeszcze jedną szansę wyjaśnienia mi przyczyny.

Nayla podeszła dwa kroki bliżej Kobata.

- Ja... Powiedziano mi, by przejrzeć Przekazy Ustne przed przyjazdem tutaj i że twoi ludzie... - Wzruszył ramionami.

- Że je śpiewamy?

- Tak.

- Kto ci to powiedział?

Kobat przełknął, rzucił lękliwe spojrzenie na Topriego, potem znów na Sionę.

- Topri? - zapytała Siona.

- Myślałem, że to pomoże mu zrozumieć - powiedział Topri.

- I powiedziałeś mu, jak nazywa się nasz przywódca - rzekła Siona.

- Wiedział już! - głos Topriego odzyskał piskliwość.

- Jakie konkretnie części Przekazów Ustnych podsunięto ci do przejrzenia? - zapytała Siona.

- Hmm... linię Atrydów.

- I teraz myślisz, że już wiesz, dlaczego ludzie przyłączają się do mnie, do buntu?

- Przekazy Ustne mówią dokładnie, jak on traktuje wszystkich z linii Atrydów! - powiedział Kobat.

- Rzuca nam na ratunek linę, a później nas na niej wlecze? - zapytała Siona. Jej głos był zwodniczo spokojny.

- To właśnie zrobił z twoim ojcem - odrzekł Kobat.

- A teraz mnie pozwala bawić się w bunt?

- Jestem tylko posłańcem - rzeki Kobat. - Jeżeli mnie zabijesz, kto przekaże twoją wiadomość?

- Moją albo Czerwia - powiedziała Siona.

Kobat nie odpowiedział.

- Nie sądzę, abyś rozumiał Przekazy Ustne - powiedziała Siona. - Myślę również, że nie znasz zbyt dobrze Czerwia ani nie rozumiesz jego przesłań.

Twarz Kobata zarumieniła się z gniewu.

- On ma cię uchronić przed staniem się tym, czym jest cała reszta Atrydów? Miłą posłuszną cząstką... - Kobat urwał, świadom nagle, jakie słowa wyrzucił z siebie w gniewie.

- Jeszcze jednym rekrutem do wewnętrznego kręgu Czerwia? -spytała Siona. - Tak jak Duncanowie Idaho?

Odwróciła się i spojrzała na Naylę. Jej dwie adiutantki przeszły ku drzwiom, blokując je. Nayla okrążyła Sionę i stanęła obok Topriego.

- Co... Co się dzieje? - zapytał Topri.

- Pragniemy wiedzieć o wszystkim, co ma znaczenie, a czym może podzielić się z nami eks-Ambasador - powiedziała Siona. - Chcemy pełnej informacji.

Topri zaczął drżeć. Na czoło Kobata wystąpił pot. Ixianin spojrzał na Topriego, potem znów na Sionę. To jedno spojrzenie było dla Siony niczym nagłe odsłonięcie zasłony skrywającej istnienie związku między nimi dwoma, dekonspirujące ich zupełnie.

Uśmiechnęła się. Było to jedynie potwierdzenie tego, czego już się dowiedziała.

Kobat milczał, jakby stracił głos.

- Możesz zacząć - powiedziała Siona.

- Ja... Czego ty...

- Czerw dał ci prywatną wiadomość dla wszystkich mistrzów. Chcę ją usłyszeć.

- On... Chce rozbudować swój Królewski Wóz.

- Zatem przewiduje, że jeszcze urośnie. Co jeszcze?

- Mamy mu wydać dużą ilość ryduliańskiego papieru krystalicznego.

- W jakim celu?

- Nigdy nie wyjaśnia swych żądań.

- To pachnie rzeczami, których zabrania innym - powiedziała.

- Sobie niczego nie zabrania - rzekł gorzko Kobat.

- Wykonywaliście dla niego jakieś zakazane zabawki?

- Tego nie wiem.

"Kłamie" - pomyślała, ale zdecydowała się nie naciskać dalej. Wiedziała już dość, by dostrzec kolejną rysę na pancerzu Czerwia.

- Kto cię zastąpi?

- Przysyłają siostrzenicę Malky'ego - powiedział Kobat. - Możesz nie pamiętać, ale...

- Pamiętamy Malky'ego - odparła. - Dlaczego jego siostrzenica została nowym Ambasadorem?

- Nie wiem, ale to było zdecydowane, zanim Bó... Czerw mnie odesłał.

- Jej nazwisko?

- Hwi Noree.

- Zjednamy sobie tę Hwi Noree - powiedziała Siona. - Ty nie byłeś tego wart. Kiedy wracasz na Ix?

- Natychmiast po Święcie, pierwszym statkiem Gildii.

- Co powiesz swoim mistrzom?

- O czym?

- O mojej wiadomości!

- Zrobię to, o co prosisz.

- Wiem. Możesz odejść, eks-Ambasadorze Kobacie.

Kobat tak spieszył się, by opuścić spotkanie, że prawie zderzył się ze strażniczkami w drzwiach. Topri podążył za nim, ale Nayla chwyciła go za ramię i przytrzymała. Topri obrzucił pełnym lęku spojrzeniem muskularne ciało Nayli, następnie popatrzył na Sionę, która zaczekała, aż za Kobatem zamkną się drzwi, zanim zaczęła mówić:

- Wiadomość była przeznaczona nie tylko dla Ixian, ale również dla nas - powiedziała. - Czerw wyzywa nas i określa reguły walki.

Topri bezskutecznie próbował uwolnić swoje ramię z uścisku Nayli.

- Co ty sobie... - zaczął.

- Topri! - rzekła Siona. - Ja również potrafię wysłać wiadomość. Powiedz mojemu ojcu, by poinformował Czerwia, że się zgadzamy.

Nayla puściła ramię mężczyzny.

- Nie myślisz chyba...? - spytał, rozcierając obolałe miejsce.

- Odejdź, dopóki jeszcze możesz, i nigdy nie wracaj - powiedziała Siona

- Nie chcesz chyba przez to powiedzieć, że podejrze...

- Powiedziałam ci, żebyś odszedł! Jesteś zbyt niezdarny, Topri. Przez większość swojego życia byłam w szkołach Mówiących-do-Ryb. Tam mnie nauczono, jak rozpoznawać niezdarność.

- Kobat odchodzi. Jaką szkodę wyrządziłem?

- Nie tylko mnie rozpoznał, ale wiedział, co ukradłam z Twierdzy! Ale n i e wiedział, że wyślę tę paczkę na Ix przez niego. Twoje zachowanie powiedziało mi, że Czerw chce, abym wysłała te tomy na Ix!

Topri odwrócił się od Siony ku drzwiom. Anouk i Tawa zrobiły mu przejście i szeroko otworzyły drzwi. Usłyszał za sobą głos Siony:

- Nie zaprzeczysz, że Czerw mówił o mnie i mojej paczce dla Kobata! Czerw nie przesyła niejasnych wiadomości! Powtórz mu, że tak powiedziałam!

Niektórzy mówią, że nie mam sumienia. Jacy oni są fałszywi, nawet wobec siebie samych! Jestem jedynym sumieniem, jakie kiedykolwiek istniało. Tak jak wino zachowuje aromat beczki, ja zachowuję esencję najdawniejszej genezy - i to jest ziarno sumienia. To właśnie czyni mnie świętym. Jestem Bogiem, bo jedynie ja znam swoje najdawniejsze dziedzictwo.

"Wykradzione dzienniki"

Podczas przesłuchania kandydatki na urząd Ambasadora przy Dworze Pana Leto przeprowadzonego przez Inkwizytorów Ix w Wielkim Pałacu zarejestrowano następujące pytania i odpowiedzi:

INKWIZYTOR: Dajesz do zrozumienia, ze chcesz mówić o motywach Pana Leto. Mów więc.

HWI NOREE: Wasze Analizy Formalne nie odpowiadają zadowalająco na pytania, które sformułowałam.

INKWIZYTOR: Jakie pytania?

HWI NOREE: Pytam samą siebie, co mogło skłonić Pana Leto do zaakceptowania tej straszliwej przemiany, tego ciała czerwia, tej utraty człowieczeństwa? Wy sugerujecie jedynie, że zrobił to dla władzy i długowieczności.

INKWIZYTOR: Czy to nie wystarczy?

HWI NOREE: Zapytajcie samych siebie, czy któryś z was zapłaciłby tak ogromną cenę za tak marną korzyść.

INKWIZYTOR: Zatem powiedz nam w swej nieskończonej mądrości, dlaczego Pan Leto wolał stać się czerwiem?

HWI NOREE: Czy ktokolwiek tutaj wątpi w jego zdolność przewidywania przyszłości?

INKWIZYTOR: Cóż to? Czyż to nie jest godziwa zapłata za jego przemianę?

HWI NOREE: Ale on już miał zdolność przyszłowidzenia, tak jak poprzednio jego ojciec. Nie! Proponuję twierdzenie, że dokonał tego rozpaczliwego wyboru, ponieważ zobaczył w naszej przyszłości coś, czemu tylko taka ofiara mogła zapobiec.

INKWIZYTOR: Co to była za szczególna rzecz, którą tylko on dostrzegał w naszej przyszłości?

HWI NOREE: Nie wiem, ale proponuję to odkryć.

INKWIZYTOR: Sprawiasz, że tyran wydaje się bezinteresownym sługą swego ludu!

HWI NOREE: Czy to nie jest wyraźna cecha rodu Atrydów?

INKWIZYTOR: Tak każą nam wierzyć Oficjalne Historie.

HWI NOREE: Przekazy Ustne to potwierdzają.

INKWIZYTOR: Jakie jeszcze dobre cechy przypisałabyś tyranowi-Czerwiowi?

HWI NOREE: Dobre cechy, panowie?

INKWIZYTOR: Jakiekolwiek cechy.

HWI NOREE: Mój wuj, Malky, często powiadał, że Pan Leto bywał wielce tolerancyjny dla niektórych ze swoich towarzyszy.

INKWIZYTOR: Innych tracił bez żadnego widocznego powodu.

HWI NOREE: Myślę, że były ku temu powody, a wuj Malky domyślał się niektórych z nich.

INKWIZYTOR: Podaj nam jeden z takich domysłów.

HWI NOREE: Niezdarne zamachy na je go osobę.

INKWIZYTOR: Masz! Teraz n i e z d a r n e zamachy!

HWI NOREE: Poza tym nie toleruje nadmiernych pretensji. Przypomnijcie sobie tę egzekucję historyków i zniszczenie ich prac.

INKWIZYTOR: Nie chce, żeby poznano prawdę!

HWI NOREE: Powiedział mojemu wujowi, Malky'emu, że kłamali o przeszłości, I zauważcie! Kto lepiej wiedziałby o tym od niego? Wszyscy znamy powody je go introwersji.

INKWIZYTOR: Jakie mamy dowody, że wszyscy jego przodkowie żyją w nim?

HWI NOREE: Nie będę się wdawać w tę bezcelową polemikę. Powiem jedynie, że wierzę w to, mając za dowód wiarę mego wuja, Malky'e go, i znając powody dla tej jego wiary.

INKWIZYTOR: Czytaliśmy sprawozdania twego wuja i zinterpretowaliśmy je odmiennie. Malky zanadto lubił Czerwia.

HWI NOREE: Mój wuj przedstawiał go jako zdecydowanie najzręczniejszego dyplomatę w Imperium, mistrzowskiego partnera w rozmowie i eksperta w każdej dziedzinie, którą moglibyście wymienić.

INKWIZYTOR: Czy twój wuj nie mówił nic o brutalności Czerwia?

HWI NOREE: Mój wuj oceniał go jako skończenie cywilizowanego.

INKWIZYTOR: Pytałem o brutalność.

HWI NOREE: Jest zdolny do brutalności, to prawda.

INKWIZYTOR: Twój wuj bał się go.

HWINOREE: Pan Leto nie jest niewinny ani naiwny. Należy się go bać tylko wtedy, gdy okazuje te słabości. T o powiedział mój wuj.

INKWIZYTOR: Tak, to są jego słowa.

HWI NOREE: Więcej niż to! Malky powiedział: "Pan Leto czerpie rozkosz z kontemplacji geniuszu nieobliczalności i rozmaitości gatunku ludzkiego. To mój ulubiony towarzysz".

INKWIZYTOR: Udzielając nam dobrodziejstwa twej najwyższej mądrości, jak zinterpretowałabyś te słowa swojego wuja?

HWI NOREE: Nie szydźcie ze mnie!

INKWIZYTOR: Nie szydzimy. Liczymy, że nas oświecisz.

HWI NOREE: Te słowa Malky'ego i jeszcze wiele innych, które zapisał dla mnie, wskazują, że Pan Leto zawsze poszukuje nowości i oryginalności, ale świadom jest zawartego w takich rzeczach niszczycielskiego potencjału. W to wierzył mój wuj.

INKWIZYTOR: Czy jest coś jeszcze, co chciałabyś dodać w związku z przekonaniami, które dzielisz z wujem?

HWI NOREE: Nie widzę sensu w dodawaniu czegokolwiek do tego, co już powiedziałam. Przykro mi, że zmarnowałam czas Inkwizytorów.

INKWIZYTOR: Ależ nie zmarnowałaś go. Jesteś zatwierdzona na stanowisko Ambasadora przy dworze Pana Leto, Boga Imperatora Znanego Wszechświata.

Musicie pamiętać, że na wewnętrzne żądanie mogę mieć każdą ekspertyzę znaną w naszej historii. To jest moje źródło wiedzy, z którego czerpię, gdy wypowiadam się na temat istoty wojen. Jeżeli nie słyszeliście jęków i okrzyków rannych i umierających, to nie wiecie nic o wojnie. Słyszałem te krzyki w takiej liczbie, że wciąż mnie prześladują. Sam krzyczałem w pobitewnym szoku. Cierpiałem od ran w każdej epoce - ran od pięści, pałki i kamienia, od nabijanego muszlami konaru i spiżowego miecza, od maczugi i kuli armatniej, od strzał, rusznic laserowych i opadu radioaktywnego pyłu, od biologicznych jadów, które zaczerniają język i zatapiają płuca, od nagłej eksplozji ognia i powolnego działania trucizn... i wielu innych, których nie przytoczę. Widziałem i czułem je wszystkie. Tym, którzy ośmielają się pytać, dlaczego postępuję jak postępuję, powiadani: z moimi wspomnieniami nie mogę zrobić nic innego. Nie jestem tchórzem, a kiedyś byłem człowiekiem.

"Wykradzione dzienniki"

W ciepłej porze roku, kiedy satelitarna kontrola pogody zmuszona była zmagać się z gorącymi wiatrami wiejącymi od mórz, wieczory często oglądały deszcze na obrzeżu Seriru. Monea, kończącego jedną ze swych okresowych inspekcji obwodu Twierdzy, zaskoczyła nagła ulewa. Zanim dotarł do schronienia, zapadła noc. Strażniczka z Mówiących-do-Ryb pomogła mu wydostać się z mokrego płaszcza. Była to mocno zbudowana, kanciasta kobieta o kwadratowej twarzy. W typie, jaki Leto faworyzował w swojej ochronie.

- Powinno się nauczyć porządku tych przeklętych kontrolerów pogody - powiedziała, gdy oddawała mu jego płaszcz.

Moneo szybko skinął głową i ruszył po schodach do swoich pokoi. Wszystkie Mówiące-do-Ryb wiedziały o awersji Boga Imperatora do wody, ale żadna z nich nie zdradzała się z tym przy Moneo.

"To Czerw nienawidzi wody. Szej-hulud jest spragniony Diuny."

Zanim zszedł do krypty, Moneo osuszył się i przebrał w suche ubranie. Nie było sensu pobudzać antagonizmu Czerwia. Potrzebował teraz szczerej rozmowy z Leto, narady na temat zbliżającej się wędrówki do Miasta Świątecznego Onn.

Moneo zamknął oczy, opierając się o ściankę zjeżdżającej do krypty windy. Natychmiast ogarnęło go znużenie. Wiedział, że od paru dni nie wysypia się dosyć, ale nie pozwalał, żeby było to widoczne. Zazdrościł Leto prawie zupełnego braku potrzeby snu. Kilka godzin półspoczynku na miesiąc wystarczało w zupełności Bogowi-Imperatorowi.

Dochodzący z krypty zapach oraz nagły wstrząs przy zatrzymaniu windy wyrwały Monea z odrętwienia. Otworzył oczy i spojrzał na Boga Imperatora spoczywającego w swym Wozie na środku wielkiej komnaty. Moneo opanował się i zaczął iść dobrze znaną drogą ku straszliwej postaci. Jak się tego spodziewał, Leto wydawał się czuwać. To przynajmniej było dobrym znakiem.

Leto usłyszał zbliżającą się windę i zobaczył budzącego się Monea. Ten człowiek wyglądał na zmęczonego i było to zrozumiałe. Wszystko spoczywało na jego głowie - podróż do Onn wraz z całą męczącą procedurą podejmowania pozaplanetarnych gości, rytuałem z Mówiącymi-do-Ryb, nowymi Ambasadorami, a teraz jeszcze nowym gholą Duncanem Idaho, mającym wpasować się w działanie imperialnego aparatu. Moneo zajęty był piętrzącymi się drobiazgami i jego wiek zaczynał dawać mu się we znaki.

"Niech policzę - pomyślał Leto. - Moneo skończy osiemdziesiąt lat w tydzień po powrocie z Onn."

Człowiek mógłby żyć po wielokroć dłużej, jeśliby zażywał przyprawy, ale Moneo odmawiał tego. Leto doskonale wiedział, z jakiego powodu. Moneo osiągnął ten szczególny ludzki stan, w którym tęskni się za śmiercią. Trwał teraz tylko po to, by ujrzeć Sionę przystępującą do Królewskiej Służby jako następna dyrektorka Imperialnego Stowarzyszenia Mówiących-do-Ryb.

"Moje hurysy" - jak zwykł był je nazywać Malky.

Natomiast Moneo wiedział, że zamiarem Leto jest połączyć Sionę z Duncanem.

Nadszedł na to właściwy czas.

Moneo zatrzymał się dwa kroki od Wozu Królewskiego i podniósł wzrok na Leto. Coś w oczach majordoma przypominało Leto twarz pogańskiego kapłana z terrariskich czasów - wyraz zadowolonej przebiegłości w znajomym obliczu.

- Panie, spędziłeś wiele godzin na obserwacji nowego Duncana - powiedział Moneo. - Czy Tleilaxanie manipulowali jego komórkami lub psychiką?

- Jest nietknięty.

Moneowi wyrwało się głębokie westchnienie. Nie brzmiało ono zbyt radośnie.

- Sprzeciwiasz się użyciu go do rozpłodu? - zapytał Leto.

- To dla mnie charakterystyczne, by myśleć o nim zarówno jak o przodku, jak i o ojcu moich potomków.

- Ale on daje mi możliwość skrzyżowania ludzkiej jednostki z dawnych czasów z obecnymi produktami mojego programu eugenicznego. Siona należy do dwudziestego pierwszego pokolenia takiego krzyżowania.

- Nie widzę w tym celu. Duncanowie są powolniejsi i mniej czujni od kogokolwiek z twojej Straży.

- Nie szukam dobrze wyselekcjonowanego potomstwa, Moneo. Czy myślisz, że jestem nieświadomy postępu geometrycznego nakazanego przez prawa, które zarządziłem dla mego programu eugenicznego?

- Widziałem twój rejestr, Panie.

- Zatem wiesz, że śledzę cechy recesywne i wykorzeniam je. Moją troską są kluczowe genetyczne dominanty.

- A mutacje, Panie? - W głosie Monea zabrzmiała nuta, która kazała Leto spojrzeć na tego mężczyznę uważniej.

- Nie będziemy na ten temat dyskutować, Moneo.

Leto obserwował, jak Moneo wycofuje się w głąb siebie na te słowa

"Jak absolutnie jest czuły na moje nastroje! - pomyślał. - Wierzę głęboko, że ma w sobie niektóre z moich zdolności, chociaż działają na podświadomym poziomie. Jego pytania sugerują, że może nawet podejrzewać, co osiągnęliśmy w Sionie."

- Jest dla mnie całkowicie jasne, że nie zrozumiałeś jeszcze, co mam nadzieję osiągnąć przez mój program - powiedział.

Twarz Moneo rozjaśniła się.

- Mój Pan wie, że staram się zgłębić jego zasady.

- Na dłuższą metę prawa ciążą ku przejściowości, Moneo. Nie ma czegoś takiego jak rządzone zasadami zdolności twórcze.

- Ale, Panie, sam mówiłeś o prawach, które rządzą tym programem.

- Co ci przed chwilą powiedziałem, Moneo? Próbować znaleźć prawa tworzenia, to jak próbować oddzielić umysł od ciała.

- Ale ewolucja dokonuje się, Panie! Wiem to po sobie!

"Wie to po sobie! Drogi Moneo, jesteś tak blisko!"

- Dlaczego zawsze szukasz abstrakcyjnych wytłumaczeń, Moneo?

- Słyszałem, jak mówiłeś o "ewolucji transformacyjnej", Panie. Taki jest nadruk na twoim rejestrze. Ale co z niespodziankami...?

- Moneo! Zasady zmieniają się wraz z każdą niespodzianką.

- Panie, czyżby w ogóle nie chodziło ci o ulepszenie rodzaju ludzkiego?

Leto popatrzył na niego z góry, myśląc: "Gdybym użył teraz słowa-klucza, czy zrozumiałby? Może..."

- Jestem drapieżnikiem, Moneo.

- Drapież... - Moneo przerwał i potrząsnął głową na znak, że rozumie sens tego słowa, ale ono samo nim wstrząsnęło. Czy Bóg Imperator żartował? - Drapieżnikiem, Panie?

- Drapieżnik ulepsza gatunek.

- Jak to możliwe, Panie? Nie znienawidziłeś nas przecież.

- Rozczarowujesz mnie, Moneo. Drapieżnik nie nienawidzi swojej ofiary.

- Drapieżnik zabija, Panie.

- Zabijam, ale nie nienawidzę. Ofiara zaspokaja głód. Ofiara jest dobra.

Moneo podniósł wzrok na twarz Leto.

"Czy przegapiłem pojawienie się Czerwia?" - zastanawiał się. Z lękiem szukał objawów. Nie dostrzegał charakterystycznego drżenia gigantycznego ciała, szklistości oczu ani skrętów bezużytecznych płetw.

- Na co czujesz apetyt, Panie? - odważył się zapytać.

- Na ludzkość, która potrafi podejmować perspektywiczne decyzje. Znasz klucz do tej właściwości, Moneo?

- Mówiłeś o tym wielokrotnie, Panie. To zdolność zmiany postanowienia.

- Zmiany, tak. I wiesz, co mam na myśli przez perspektywiczność?

- Dla ciebie to musi się mierzyć w tysiącleciach.

- Moneo, nawet moje tysiące lat to mgnienie wobec nieskończoności.

- Ale twoja perspektywa musi być inna od mojej. Panie.

- Z pewnego punktu widzenia każdy skończony okres czasu jest krótki.

- Zatem w ogóle nie ma reguł, Panie? - w głosie Monea pojawił się niewielki ślad histerii.

Leto uśmiechnął się, by załagodzić powstałe napięcie.

- Może jedna. Decyzje krótkookresowe mają w długich przeciągach czasu skłonności do zawodzenia.

Moneo z frustracją potrząsnął głową.

- Ale, Panie, twoja perspektywa jest...

- Czasem umyka każdemu obserwatorowi podlegającemu skończonym wymiarom. Nie ma zamkniętych systemów. Nawet ja rozciągnąłem jedynie określoną matrycę.

Moneo oderwał uwagę od twarzy Leto i zapatrzył się w głębie korytarzy mauzoleum. "Spocznę tutaj któregoś dnia. Złota Droga może trwać, ale dla mnie nadejdzie koniec." To oczywiście nie było ważne. Tylko Złota Droga, którą Leto wyczuwał w niekłamanej ciągłości, tylko t o się Uczyło. Wrócił wzrokiem ku Leto, ale nie patrzył już w jego całkowicie błękitne oczy. Czy w tym wielkim cielsku naprawdę czai się drapieżnik?

- Nie rozumiesz funkcji, jaką spełnia drapieżnik - powiedział Leto.

Słowa wstrząsnęły Moneem, bo zdradzały czytanie w myślach. Podniósł spojrzenie na oczy Leto.

- Wiesz i n t e l e k t u a l n i e , że nawet ja któregoś dnia zaznam czegoś w rodzaju śmierci - rzekł Leto. - Ale w to nie wierzysz.

- Jak mogę uwierzyć w coś, czego nigdy nie zobaczę?

Moneo nigdy nie czuł się bardziej samotny i przestraszony. Co robił Bóg Imperator? "Zjechałem tu, by przedyskutować problemy podróży... i dowiedzieć się, jakie ma zamiary wobec Siony. Czy on bawi się ze mną?"

- Pomówmy o Sionie - powiedział Leto.

" Z n ó w c z y t a w m y ś l a c h ! "

- Kiedy poddasz ją próbie, Panie? - Moneo długo czekał na odpowiedni moment, by zadać to pytanie, ale teraz, gdy je wypowiedział, poczuł lęk.

- Wkrótce.

- Wybacz mi, Panie, ale z pewnością wiesz, jak bardzo dbam o dobro mojego jedynego dziecka.

- Inni przeżywali próbę, Moneo. Ty też.

Moneo przełknął głośno, przypominając sobie, w jaki sposób został wyczulony na Złotą Drogę.

- Moja matka przygotowywała mnie. Siona nie ma matki.

- Ma Mówiące-do-Ryb. Ma ciebie.

- Zdarzają się wypadki, Panie. Łzy napłynęły do oczu Monea.

Leto odwrócił od niego wzrok, myśląc: "Jest rozdarty między wiernością a miłością do Siony. Jakie to fascynujące, ta troska o potomstwo. Czy on nie widzi, że cała ludzkość to m o j e jedyne dziecko?"

Wracając uwagą do Monea, Leto powiedział:

- Masz rację zauważając, że wypadki zdarzają się nawet w moim wszechświecie. Czy to cię niczego nie uczy?

- Panie, czy chociaż ten jeden raz nie mógłbyś...

- Moneo! Z pewnością nie chciałbyś, bym powierzył władzę słabemu zarządcy.

Moneo cofnął się o krok.

- Nie, Panie. Oczywiście, że nie.

- Zatem uwierz w siłę Siony.

Moneo przygarbił się.

- Zrobię, co do mnie należy.

- Sionę należy przyuczyć do jej obowiązków Atrydki.

- Tak, oczywiście.

- Czy się nie zgodziliśmy, Moneo?

- Nie zaprzeczam temu, Panie. Kiedy poznasz ją z nowym Duncanem?

- Najpierw nastąpi próba.

"Tak często wpatruje się w posadzkę - pomyślał Leto. - Co on może tam widzieć? Czy tysiącletnie ślady mojego Wozu? Ach, nie - to w głębię spogląda, w królestwo skarbów i tajemnic, w którym spodziewa się wkrótce sam znaleźć."

Raz jeszcze Moneo podniósł wzrok na twarz Leto.

- Mam nadzieję, że spodoba się jej towarzystwo Duncana, Panie.

- Bądź tego pewien. Tleilaxanie dostarczyli mi go w nienaruszonym stanie.

- To uspokajające, Panie.

- Niewątpliwie zauważyłeś, że jego genotyp jest wyraźnie atrakcyjny dla kobiet.

- Poczyniłem takie spostrzeżenie, Panie.

- Jest coś w tych łagodnych, bystrych oczach, tych zdecydowanych rysach twarzy i czarnych jak u kozła włosach, co zdecydowanie zmiękcza kobiecą psychikę.

- Jest jak mówisz, Panie.

- Wiesz, że właśnie teraz jest z Mówiącymi-do-Ryb?

- Poinformowano mnie o tym. Panie.

Leto uśmiechnął się. Oczywiście, że Moneo został poinformowany. "Wkrótce przyprowadzą go do mnie... Na pierwsze spotkanie z Bogiem Imperatorem."

- Czasami myślę, że pragniesz mnie osłabić, Moneo. Pozostawiaj mi choć trochę tych drobiazgów.

Moneo usiłował ukryć skurcz lęku. Skłonił się i cofnął.

- Tak, Panie. Ale są rzeczy, które ja muszę robić.

Odwrócił się i pospieszył do wyjścia. Dopiero wjeżdżając windą na górę uświadomił sobie, że odszedł, nie czekając na zezwolenie. "Musi wiedzieć, jaki jestem zmęczony. Wybaczy" - pomyślał.

Twój Pan wie bardzo dobrze, co tkwi w twoim sercu. Twoja dusza służy w tym dniu jako rachmistrz przeciwko tobie. Nie potrzebuję świadków. Nie słuchasz mojej duszy, tylko swego gniewu i wściekłości.

Pan Leto do penitenta, z Przekazów Ustnych

Poniższe oświadczenie o stanie Imperium w 3508 roku władania Pana Leto pochodzi ze "Skrótu z Welbeck". Oryginał znajduje się w Archiwum Kapituły zakonu żeńskiego Bene Gesserit. Porównanie wykazuje, że ubytki nie ograniczają zasadniczo dokładności tego sprawozdania.

W imię naszego zakonu Bene Gesserit i jego nierozerwalnej Wspólnoty, raport niniejszy uznany zostaje za rzetelny i godzien włączenia do Kroniki Kapituły.

Siostry Chenoeh i Tawsuoko powróciły bezpiecznie z Arrakis, by donieść o potwierdzeniu dawno podejrzewanej egzekucji dziewięciu historyków, którzy w roku 2116 panowania Leto zniknęli w jego Twierdzy. Siostry donoszą, że ta dziewiątka została najpierw pozbawiona przytomności, a następnie spalona na stosach utworzonych z ich własnych, opublikowanych dzieł. Potwierdza to dokładnie opowieści krążące w owym czasie po Imperium. Sądzono, że historie dotyczące tych wydarzeń biorą początek bezpośrednio od Pana Leto.

Siostry Chenoeh i Tawsuoko przywiozły ze sobą ręcznie spisane zeznania naocznych świadków, którzy twierdzą, że kiedy inni historycy złożyli Panu Leto petycję z prośbą o wyjaśnienie, co stało się z ich kolegami, Pan Leto odpowiedział:

"Zostali unicestwieni, ponieważ kłamali, przypisując sobie znajomość prawdy. Nie obawiajcie się, że z powodu waszych niewinnych omyłek spadnie na was mój gniew. Nie pociąga mnie zanadto tworzenie męczenników. Męczeństwa lubią mieszać w ludzkie sprawy element dramatyzmu. Dramat jest jednym z celów mojego drapieżnictwa. Drzyjcie tylko, jeżeli budujecie fałszywe historie i z dumą przy nich obstajecie. Odejdźcie teraz i nie mówcie o tym."

Zawarte w tym ręcznie sporządzonym sprawozdaniu dowody identyfikują jego autora jako Ikonicrego, majordoma Pana Leto w roku 2116.

Na uwagę zasługuje użycie przez Pana Leto słowa "drapieżnictwo". Jest to niezwykle sugestywne w świetle teorii wysuniętej przez Matkę Wielebną Syaksę, mówiącej, że Bóg Imperator widzi się jako drapieżnika w n a t u r a l n y m tego słowa znaczeniu.

Siostra Chenoeh została zaproszona do towarzyszenia Mówiącym-do-Ryb w święcie, na które udała się z Panem Leto w jedną z jego nieczęstych podróży. W pewnej chwili poproszono ją, by podeszła do Wozu Królewskiego i porozmawiała z samym Panem Leto. Donosi o następującej wymianie zdań:

Pan Leto powiedział: "Tu, na Trakcie Królewskim, czuję się czasem, jakbym stał na umocnieniach broniących mnie przeciw najeźdźcom."

Siostra Chenoeh odparła: "Nikt na ciebie nie napada. Panie."

Pan Leto powiedział: "Wy, Bene Gesserit, atakujecie mnie ze wszystkich stron. Nawet teraz szukacie sposobu, jakby tu podporządkować sobie moje Mówiące-do-Ryb."

Siostra Chenoeh mówi, że nastawiła się na śmierć, ale Bóg Imperator zatrzymał jedynie swój Wóz i rozejrzał się po okolicy. Mówi, że inni zatrzymali się i czekali na drodze cierpliwie, wszyscy w pełnym szacunku oddaleniu.

Pan Leto powiedział: "Jest we mnie mój mały motłoch. Oni mówią mi wszystko. Nie zaprzeczaj oskarżeniu."

Siostra Chenoeh odrzekła: "Nie zaprzeczam."

Pan Leto spojrzał na nią wtedy i powiedział: "Nie bój się o swoje życie. Moim pragnieniem jest, byś doniosła o tych słowach waszej Kapitule."

Siostra Chenoeh twierdzi, że zrozumiała wtedy, iż Pan Leto wie o niej wszystko, o jej misji, specjalnym szkoleniu i nagrywaczu głosu, o wszystkim. "Był jak Matka Wielebna - stwierdziła. - Nie mogłam przed nim nic ukryć."

Pan Leto rozkazał jej następnie: "Popatrz w stronę mojego Miasta Świątecznego i powiedz, co widzisz."

Siostra Chenoeh popatrzyła na Onn i powiedziała: "Widzę miasto z daleka. Jest piękne w tym porannym świetle. Po prawej stronie znajduje się twój las. Ma tyle odcieni zieleni, że mogłabym spędzić cały dzień, opisując je. Po lewej stronie oraz dookoła miasta są domy i ogrody twoich sług. Niektóre z nich wyglądają bardzo bogato, niektóre bardzo nędznie."

Pan Leto powiedział: "Zaśmieciliśmy ten krajobraz. Drzewa to śmieci. Domy, ogrody... W takim krajobrazie nie można się radować z nowych tajemnic."

Siostra Chenoeh ośmielona przez zapewnienia Pana Leto zapytała: "Czy ty, Panie, naprawdę pragniesz zagadek?"

Pan Leto odrzekł: "W takim krajobrazie nie ma skierowanej na zewnątrz wolności ducha. Czy tego nie widzisz? Nie ma tu otwartego wszechświata, który mogłabyś z kimś dzielić. Wszystko to zamknięcia - drzwi, klamki, zamki!"

Siostra Cheoneh spytała: "Czy ludzkość już nie czuje potrzeby prywatności, schronienia?"

Pan Leto powiedział: "Kiedy wrócisz, powiedz swoim siostrom, że przywrócę spojrzenie na zewnątrz. Taki widok jak ten zwraca cię do wewnątrz w poszukiwaniu wszelkiej wolności, jaką można tam znaleźć. Większość istot ludzkich nie jest dość silna, by wewnątrz siebie odnaleźć swobodę."

Siostra Chenoeh odrzekła: "Przekażę dokładnie twoje słowa. Panie."

Pan Leto powiedział: "Postaraj się to zrobić. Powiedz swoim siostrom, że ze wszystkich ludzi Bene Gesserit najlepiej powinny znać niebezpieczeństwo procesu hodowli prowadzonej dla uzyskania jakiejś cechy, osiągnięcia określonego genetycznego celu."

Siostra Chenoeh twierdzi, że było to wyraźne nawiązanie do ojca Pana Leto, Paula Atrydy. Niech zostanie odnotowane, że nasz program stworzenia Kwisatz Haderach osiągnął cel o jedno pokolenie za wcześnie. Stając się Muad'Dibem, przywódcą Fremenów, Paul Atryda wymknął się spod naszej kontroli. Nie ma wątpliwości, że był mężczyzną posiadającym moce Matki Wielebnej, a także inne siły, za które ludzkość wciąż płaci srogą cenę. Jak powiedział Pan Leto:

"Dostałyście coś nieoczekiwanego. Otrzymałyście mnie - dziką kartę. A ja osiągnąłem Sionę."

W innych sprawach mających dla Kapituły znaczenie, nasze dochodzenia dostarczyły następujących informacji:

MÓWIĄCE-DO-RYB:

Żeńskie legiony Pana Leto dokonały wyboru swych przedstawicielek mających uczestniczyć w Święcie Dziesięciolecia na Arrakis. Z każdego planetarnego garnizonu udział wezmą po trzy przedstawicielki (patrz załączona lista wybranek). Jak zazwyczaj, nie będą uczestniczyć dorośli mężczyźni, nawet małżonkowie kobiet-oficerów Mówiących-do-Ryb. Podczas okresu między sprawozdaniami lista małżonków zmieniała się bardzo nieznacznie. Załączyłyśmy nowe nazwiska wraz z informacją genealogiczną tam, gdzie była ona osiągalna. Godne zauważenia jest to, że tylko na dwa nazwiska można wskazać jako na potomków gholi Duncana Idaho. Nie potrafimy dodać niczego nowego do naszych domysłów co do udziału gholi w programie eugenicznym.

Podczas tego okresu nie odniosły skutku żadne z naszych wysiłków stworzenia aliansu między Mówiącymi-do-Ryb i Bene Gesserit. Pan Leto nadal powiększa siły niektórych garnizonów. Wciąż również kładzie szczególny nacisk na alternatywne misje Mówiących-do-Ryb, pomniejszając znaczenie ich działań militarnych. Odniosło to niespodziewany efekt w postaci zwiększenia gdzieniegdzie podziwu, szacunku i w d z i ę c z n o ś c i wobec obecności garnizonów Mówiących-do-Ryb. (Patrz załączona lista powiększonych garnizonów. Nota redaktorki: Jedyne stałe garnizony znajdowały się na rodzinnych planetach Bene Gesserit, Ixian i Tleilaxan. Nie rozszerzono nadzoru nad Gildią Planetarną.)

KAPŁAŃSTWO:

Poza kilkoma naturalnymi zgonami i przesunięciami, których lista została załączona, nie zaszły znaczące zmiany. Niewiele pozostaje kobiet-oficerów i ich małżonków, którzy nadal wykonują swoje rytualne obowiązki, a ich władza ograniczona jest wymogiem dokonywania nieustannych konsultacji z Arrakis przed podjęciem wszelkich poważnych działań. W opinii Matki Wielebnej Syaksy i kilku innych religijny charakter Mówiących-do-Ryb powoli zanika.

PROGRAM EUGENICZNY:

Poza nie wyjaśnionym nawiązaniem do Siony i naszym niepowodzeniem z jej ojcem, nie mamy do dodania nic znaczącego na temat naszej ciągłej obserwacji programu eugenicznego Pana Leto. Są dowody na pewną przypadkowość w jego planie, potwierdzone oświadczeniem Pana Leto o c e l a c h g e n e t y c z n y c h , ale nie możemy być pewne, że był z siostrą Chenoeh szczery. Zwracamy waszą uwagę na wiele przykładów, gdy kłamał, bądź bez ostrzeżenia zmieniał swoje postępowanie.

Pan Leto zabrania nam współuczestnictwa w swoim programie. Jego nadzorczynie z naszego garnizonu Mówiących-do-Ryb nadal są pilne w "wykorzenianiu" wszystkich narodzin wśród nas, są przeciwne naszemu rozmnażaniu. W ciągu okresu sprawozdawczego tylko przez najściślejszą kontrolę byłyśmy w stanie utrzymać poziom Matek Wielebnych. Nasze protesty pozostają bez odzewu. Odpowiadając na bezpośrednie pytanie siostry Chenoeh, Pan Leto powiedział:

"Bądźcie wdzięczne za to, co macie."

Posłusznie odnotowujemy tutaj to ostrzeżenie. Wystosowałyśmy do Pana Leto bardzo serdeczny list dziękczynny.

EKONOMIKA:

Kapituła nadal jest wypłacalna, ale nie da się zmniejszyć zastosowanych ograniczeń. W rzeczywistości jako środek ostrożności w następnym okresie sprawozdawczym ustanowi się kilka nowych zasad zapobiegawczych. Obejmuje to redukcję rytualnego spożycia melanżu i wzrost cen za nasze usługi. Spodziewamy się podwojenia opłat za szkolenie dziewcząt i kobiet z wysokich rodów podczas czterech następnych okresów sprawozdawczych.

Pan Leto odrzucił naszą petycję o zwiększenie przydziału przyprawy. Nie został podany żaden powód.

Nasze powiązania z Konsorcjum Honnete Ober Advancer Mercantiles nadal opierają się na twardych podstawach. KHOAM założyło podczas poprzedzającego okresu regionalny kartel w Gwiezdnych Klejnotach, instytucję, z której uzyskałyśmy znaczący zysk w zamian za nasze usługi doradcze i negocjacyjne. Bieżące wpływy z tego porozumienia powinny z nawiązką pokryć nasze straty na Giedi Prime. Inwestowanie w Giedi Prime zostało wstrzymane.

WYSOKIE RODY:

W okresie obecnym trzydzieści jeden wysokich rodów przeżyło ekonomiczną katastrofę. Tylko sześć z nich zdołało utrzymać status rodów niskich (patrz załączona lista). Jest to przedłużeniem ogólnego trendu odnotowywanego przez ostatnie tysiąc lat, iż rody niegdyś wysokie odchodzą w przeszłość. Należy zauważyć, że cała szóstka, która odwróciła od siebie widmo kompletnej katastrofy, inwestowała intensywnie w KHOAM, a pięć z nich było głęboko zaangażowanych w przedsięwzięcie w Gwiezdnym Klejnocie. W jednym wypadku pakiet akcji zainwestowany był w rozmaite przedsięwzięcia, włącznie z ulokowaniem znacznych sum w zabytkowe futra wielorybie z Kaladanu.

(Podczas tego okresu nasze zasoby ryżu pundi wzrosły prawie dwukrotnie kosztem udziałów w futrach wielorybich. Powody tej decyzji zostaną przedstawione w następnym okresie).

ŻYCIE RODZINNE:

Jak zauważały nasze obserwatorki podczas minionych dwóch tysięcy lat, bez przeszkód przebiega uniformizacja życia rodzinnego. Wyjątki są takie, jakich można się było spodziewać: Gildia, Mówiące-do-Ryb, Dworzanie Królewscy, zmiennokształtni Tancerze Oblicza - Tleilaxanie (którzy wciąż są bezpłodni mimo wszelkich wysiłków zmiany tego stanu) i oczywiście my same.

Należy zauważyć, że stosunki rodzinne stają się coraz bardziej podobne bez względu na miejsce zamieszkania, której to okoliczności nie sposób przypisać przypadkowi. Widzimy tutaj wyłonienie się części wielkiego planu Pana Leto. Nawet najbiedniejsze rodziny są dobrze odżywione - to prawda, ale okoliczności życia codziennego stają się coraz bardziej statyczne.

Przypominamy wam o stwierdzeniu Pana Leto, o którym doniesiono prawie osiem pokoleń temu:

"Jestem jedynym widowiskiem pozostałym po Imperium."

Matka Wielebna Syaksa zaproponowała teoretyczne wyjaśnienie tego trendu, hipotezę, z którą wiele z nas zaczyna się zgadzać. MW Syaksa przypisuje Panu Leto motyw oparty o pojęcie despotyzmu hydraulicznego. Jak wiecie, despotyzm hydrauliczny możliwy jest tylko wtedy, gdy substancja lub stan, od którego życie jest absolutnie zależne, może być kontrolowana przez względnie małą, scentralizowaną siłę. Idea despotyzmu hydraulicznego zrodziła się wtedy, gdy przepływ zirygowanej wody przyczyniał się do zwiększenia lokalnych ludzkich skupisk, aż osiągnęły one pożądany stan absolutnej zależności. Gdy wodę odcinano, ludzie masowo ginęli.

To zjawisko powtórzyło się wielokrotnie w ludzkiej historii nie tylko z wodą i produktami ziemi uprawnej, ale z paliwami wodorowęglowymi, takimi jak ropa naftowa czy węgiel kamienny, które były kontrolowane poprzez rurociągi i inne sieci dystrybucyjne. W pewnym okresie, gdy dystrybucja elektryczności odbywała się jedynie poprzez skomplikowane labirynty linii przesyłowych, nawet to źródło energii wpadło w rolę substancji napędzającej despotyzm hydrauliczny.

MW Syaksa proponuje tezę, że Pan Leto tworzy Imperium o większej nawet zależności od melanżu. Warte jest odnotowania, że proces starzenia się może zostać nazwany chorobą, na którą melanż stanowi lekarstwo, chociaż jej nie leczy. MW Syaksa wysuwa przypuszczenie, że Pan Leto może posunąć się aż do zarażenia ludzkości nową chorobą, mogącą być opanowaną wyłącznie przez melanż. Chociaż może się to wydawać naciągane, nie należy takiej możliwości natychmiast odrzucać. Zdarzały się dziwniejsze rzeczy - nie powinnyśmy nie dostrzegać roli syfilisu we wczesnej historii ludzkości.

TRANSPORT/GILDIA:

Potrójny system transportowy charakterystyczny niegdyś dla Arrakis (tj. pieszo - z ciężkimi ładunkami umieszczonymi na unoszonych polami dryfowymi platformach, powietrznie - ornitopterami, międzyplanetarnie poprzez transportowce Gildii) staje się dominujący na coraz większej ilości planet Imperium. Głównym wyjątkiem jest Ix.

Przypisujemy to częściowo ogólnoplanetarnej niechęci do osiadłych i statycznych form życia. Po części jest to też naśladowanie wzoru Arrakis. Powszechna awersja do wytworów Ixian gra niemałą rolę w tej tendencji i faktem jest także, że Mówiące-do-Ryb propagują ten wzorzec, by zminimalizować w oczach innych swoją rolę przy utrzymaniu porządku.

Nad rolą Gildii w tej tendencji ciąży absolutna zależność Nawigatorów od przyprawy. Otaczamy przeto stałą uwagą połączone wysiłki Gildii i Ix wyprodukowania mechanicznego substytutu przyszłowidczych talentów Nawigatorów. Bez melanżu bądź jakichś innych sposobów wytyczenia kursu galeonów każda transświetlna podróż statków Gildii to ryzyko zagłady. Chociaż nie jesteśmy zbytnio przekonane do projektu Gildii-Ix, pozostaje zawsze szansa, że się on powiedzie, i dlatego będziemy o nim donosić w miarę rozwoju wypadków.

BÓG IMPERATOR:

Poza niewielkim przyrostem ciała odnotowujemy małą zmianę wyglądu i zachowania Pana Leto. Nie potwierdzono głoszonej przez plotkę odrazy do wody, chociaż użycie wody jako zapory przeciw prawdziwym czerwiom pustyni z Diuny jest dobrze udokumentowane w naszych doniesieniach, podobnie jak ś m i e r ć w o d n a , która była sposobem, w jaki Fremeni zabijali skarłowaciałe czerwie, by wytworzyć substancję przyprawową używaną w ich orgiach.

Istnieją godne uwagi dowody dla stwierdzenia, iż Pan Leto rozszerzył swój nadzór nad Ix, prawdopodobnie za przyczyną wspólnego projektu Gildii i Ixian. To, że powodzenie tego projektu zmniejszyłoby jego władzę nad Imperium, jest pewne.

Nadal prowadzi z Ix interesy, żądając części zamiennych do swojego Wozu Królewskiego.

Tleilaxanie wysłali Panu Leto nowego gholę Duncana Idaho. Potwierdza to, że poprzedni ghola nie żyje, choć sposób, w jaki zmarł, nie jest znany. Zwracamy waszą uwagę na poprzednie wskazówki, że Pan Leto sam zabił niektórych ze swoich gholi.

Nasilają się pogłoski, że Pan Leto używa komputerów. Jeżeli w rzeczywistości łamie własne zakazy i anatemy Dżihad Butlerjańskiej, posiadanie przez nas niepodważalnego dowodu mogłoby zwiększyć nasz wpływ na niego, prawdopodobnie nawet do wcielenia w życie pewnych wspólnych przedsięwzięć włącznie. Podstawową troską jest nadal suwerenna kontrola nad naszym programem eugenicznym. Będziemy kontynuowały nasze dochodzenie, wnosząc jednak następujący wniosek:

Jak z każdym sprawozdaniem poprzedzającym bieżące, musimy brać pod uwagę przyszłowidzenie Pana Leto. Nie ma wątpliwości, że jego zdolności przewidywania wypadków i jego moc prorocza, znacznie potężniejsza niż któregokolwiek z jego przodków, wciąż pozostają ostoją jego politycznej władzy.

Nie zaprzeczamy temu!

Wierzymy, że wie na długo przedtem o każdym istotnym działaniu, jakie podejmujemy. Kierujemy się zatem zasadą, że nie grozimy świadomie ani jego osobie, ani temu z jego wielkiego planu, co potrafimy pojąć. Będziemy nadal zwracały się do niego z prośbami:

"Powiedz nam, jeżeli ci zagrażamy, byśmy mogły ustąpić."

A także:

"Powiedz nam o swoim wielkim planie, abyśmy mogły pomóc."

Podczas tego okresu nie udzielił nowej odpowiedzi na żadne z tych pytań.

IXIANIE:

Poza projektem Gildian i Ixian niewiele można wnieść do sprawozdania znaczących informacji. Ix wysyła nowego Ambasadora na dwór Pana Leto, niejaką Hwi Noree, siostrzenicę Malky'ego, o którym sądzono niegdyś, że był nader oddanym towarzyszem Boga Imperatora. Nie jest znana przyczyna jej wyboru na to stanowisko, choć istnieją pewne poszlaki, iż owa Hwi Noree została spłodzona w określonym celu, prawdopodobnie po to, aby być ixiańską reprezentantką na Dworze Pana Leto. Mamy powody wierzyć, że Malky został zaprojektowany genetycznie z takimż oficjalnym przeznaczeniem.

Prowadzimy w tej sprawie śledztwo.

MUZEALNI FREMENI:

Te zdegenerowane resztki dumnych niegdyś wojowników nadal służą jako główne źródło wiarygodnych informacji o sprawach na Arrakis. Reprezentują główny punkt w budżecie na następny okres sprawozdawczy, ponieważ ich wymagania płacowe rosną, a nie ośmielamy się ich do siebie zrażać.

Interesujące jest spostrzeżenie, że chociaż ich życie w niewielkim stopniu przypomina życie ich przodków, kultywowanie przez nich fremeńskich rytuałów i zdolność naśladowania fremeńskich obyczajów pozostają bez skazy. Przypisujemy to wpływowi Mówiących-do-Ryb na szkolenie Fremenów.

TLEILAXANIE:

Nie oczekujemy, by nowy ghola Duncana Idaho dostarczył jakichś niespodzianek. Tleilaxanie wciąż są bardzo utemperowani reakcją Pana Leto na ich próbę dokonania zmiany w naturze komórkowej i psychice gholi w porównaniu z oryginałem.

Ostatni posłaniec Tleilaxan ponowił próbę wciągnięcia nas we wspólne przedsięwzięcie, którego oficjalnym celem ma być stworzenie czysto kobiecego społeczeństwa, nie potrzebującego mężczyzn. Ze wszystkich oczywistych przyczyn, włączywszy w to naszą nieufność wobec wszystkiego, co wiąże się z Tleilaxanami,

udzieliłyśmy zwykłej uprzejmej odpowiedzi odmownej. Nasza reprezentacja na Święcie Dziesięciolecia złoży o tym pełne doniesienie Panu Leto.

Pozostające w pokorze:

Matki Wielebne

Syaksa, Yitob, Mamulut, Eknekosk i Akeli.

Choć to może wydawać się dziwne, wielkie walki - jak ta, którą widzicie wyłaniającą się z kart moich dzienników - nie zawsze są oczywiste dla ich uczestników. Wiele zależy od tego, o czym ludzie marzą w głębi swych serc. Zawsze troskała mnie równowaga pomiędzy chęciami i działaniami. Między wierszami mego dziennika kryje się walka ze spojrzeniem rodzaju ludzkiego na siebie - twarda, pełna wysiłku potyczka, w trakcie której mogą wydobyć się z nieświadomości motywy z naszej najmroczniejszej przeszłości i stać się wydarzeniami, które nie tylko będziemy musieli przeżyć, ale i uporać się z nimi. To hydrogłowy potwór zawsze atakujący od nie osłoniętej strony. Modlę się zatem, byście, gdy już przejdziecie mą część Złotej Drogi, nie byli nadal niewinnymi dziećmi tańczącymi w rytm muzyki, której nie potraficie dosłyszeć.

"Wykradzione dzienniki"

Nayla poruszała się równym, ciężkim krokiem, wspinając się po spiralnych schodach do komnaty audiencyjnej Boga Imperatora na szczycie południowej wieży Twierdzy. Za każdym razem, kiedy przemierzała południowo-wschodni łuk wieży, widziała drobiny kurzu tańczące w snopach światła padających przez wąskie otwory okienne. Wiedziała, że za ścianą obok niej biegnie szyb ixiańskiej windy, wystarczająco dużej, by wozić kadłub jej Pana do głównej komnaty. Z pewnością wystarczająco wielkiej, by zabrać względnie małe ciało Nayli, która nie miała nic przeciwko temu, że wymagano od niej korzystania ze schodów.

Powiew z otwartych okien przyniósł zapach rozgrzanego kamiennego pyłu i niesionego wiatrem piasku. Promienie słońca padały na zdobiące ściany rubiny, które barwiły całe najbliższe otoczenie krwistoczerwoną poświatą. Co jakiś czas Nayla spoglądała na wydmy, lecz nawet nie przystanęła, by podziwiać widok wokół wieży.

"Jesteś nadludzko cierpliwa" - powiedział jej kiedyś Pan.

Pamięć tych słów prowadziła teraz Naylę.

Leto śledził wstępowanie Nayli po schodach spiralnie wijących się wokół okrągłego Ixiańskiego szybu. Ruchy strażniczki transmitowane były przez przyrząd, który rzutował jej obraz zmniejszony do jednej czwartej naturalnej wielkości wprost przed jego oczy.

„Jak precyzyjnie umie się poruszać" - pomyślał. Wiedział, że ta precyzja pochodzi z zamiłowania do prostoty.

Miała na sobie błękitny strój Mówiących-do-Ryb i szatę z kapturem bez znaku jastrzębia na piersiach. Gdy minęła posterunek straży u stóp wieży, odrzuciła w tył cybusową maskę, której noszenia wymagał od niej podczas tych osobistych wizyt. Kanciaste, muskularne ciało Nayli było takie jak u wielu innych spośród Mówiących-do-Ryb, ale jej twarz nie była podobna do niczyjej w całej jego pamięci: prawie kwadratowa, z ustami tak szerokimi, że wydawały się zachodzić na policzki - złudzenie wywołane głębokimi bruzdami w ich kącikach. Oczy były bladozielone, zaś krótko ostrzyżone włosy miały barwę starej kości słoniowej. Czoło Nayli przyczyniało się do określenia jej twarzy jako kwadratowej - prawie płaskie, z bladymi brwiami, które często pozostawały nie zauważone za sprawą przykuwających uwagę oczu. Nos sprawiał wrażenie prostej linii kończącej się blisko ust o cienkich wargach.

Gdy Nayla mówiła, jej potężna szczęka otwierała się i zamykała jak u jakiegoś pierwotnego zwierzęcia. Siła Nayli, znana niewielu poza korpusami Mówiących-do-Ryb, tutaj była wręcz legendarna. Leto widział, jak jedną ręką

uniosła stukilogramowego mężczyznę. Jej obecność na Arrakis została załatwiona pierwotnie bez wiedzy Monea, jednakże majordom wiedział, że Leto zatrudniał jego Mówiące-do-Ryb jako tajne agentki.

Leto odwrócił głowę od obrazu strażniczki i wyjrzał przez szerokie okno ku południu, na pustynię. Kolory odległych skał tańczyły w jego świadomości - brąz, złoto, głęboki bursztyn. Na dalekim urwisku różowa linia pojedynczego żlebu miała odcień identyczny jak pióra białej czapli. Czaple białe nie istniały już nigdzie poza pamięcią Leto, ale mógł on zrobić tak, że owo blade, pastelowe pasmo kamieni jawiło się przed jego wewnętrznymi oczyma jak przelatujący, wymarły ptak.

Wiedział, że to wspinanie się powinno męczyć nawet Naylę. Przystanęła w końcu dla odpoczynku, zatrzymując się dwa stopnie za znakiem trzech czwartych drogi, dokładnie w miejscu, gdzie odpoczywała za każdym razem. Była to część jej precyzji, a precyzja to jeden z powodów, dla których sprowadził ją z powrotem z odległego garnizonu na Sepreku.

Diuneński jastrząb przeleciał za oknem tuż obok ściany wieży. Jego uwaga skupiona była na cieniach u podstawy Twierdzy. Leto wiedział, że czasami wyłaniały się stamtąd małe zwierzęta. Na horyzoncie można było dostrzec linię chmur. Jakimiż obcymi rzeczami musiały być dla dawnych Fremenów chmury nad Arrakis, deszcz czy zbiorniki wodne!

Leto przypomniał wewnętrznym głosom:

- Poza tą ostatnią pustynią, moim Serirem, przekształcenie Diuny w zieloną Arrakis postępowało bezlitośnie od pierwszych dni mojego panowania.

"Wpływ geografii na historię przeszedł prawie nie zauważony" - pomyślał. Ludzie woleli raczej dostrzegać wpływ historii na geografię.

- Kto jest właścicielem koryta tej rzeki? Tej zielonej doliny? Tego przylądka?

- Nikt z nas.

Nayla jeszcze raz podjęła wspinaczkę, z wzrokiem utkwionym w szczyt schodów, które musiała pokonać. Myśli Leto skupiły się na niej:

"Na wiele sposobów jest najużyteczniejszą pomocnicą, jaką kiedykolwiek miałem. Całkowicie bez zastrzeżeń wierzy we mnie. Nawet gdy dla zabawy ją atakuję, przyjmuje to jedynie jako próbę. Wie, że sprosta wszelkim próbom."

Kiedy wysłał ją do buntowników i powiedział, by we wszystkim słuchała Siony, o nic nie pytała. Gdy Nayla wątpiła, nawet kiedy ujmowała wątpliwości w słowa, dość jej było własnych myśli, by przywrócić wiarę... przynajmniej do tej pory. Ostatnie wiadomości od niej czyniły jednak jasnym, że Nayla potrzebuje Świętej Obecności dla podbudowania wewnętrznej siły.

Leto przywołał w pamięci pierwszą rozmowę z Naylą, kobietą drżącą aż z chęci przebłagania go.

"Nawet jeśli Siona wyśle cię, żebyś mnie zabiła, musisz jej być posłuszna. Nie wolno jej się nigdy dowiedzieć, że mi służysz."

"Nikt cię nie zdoła zabić. Panie."

"Ale musisz słuchać Siony."

"Oczywiście, Panie. To twój rozkaz."

"Musisz być jej posłuszna we wszystkim."

"Będę, Panie."

"Jeszcze jedna próba. Nayla nie kwestionuje moich prób. Traktuje je jak ugryzienia pcheł. Jej Pan rozkazuje? Nayla się słucha. Nie wolno mi pozwolić, by cokolwiek zmieniło ten stosunek."

"Byłaby wspaniałą Szadout z dawnych czasów" - myślał Leto. Był to jeden z powodów, dla których dał Nayli krysnóż, prawdziwy krysnóż z siczy Tabr. Należał do jednej z żon Stilgara. Nayla nosiła go w pokrowcu ukrytym pod jej szatami, bardziej jako talizman niż broń. Podarował jej go z zachowaniem oryginalnego rytuału, w ceremonii, która zaskoczyła go, bowiem ewokowała uczucia, o których myślał, że zostały na zawsze pogrzebane.

"Oto jest ząb Szej-huluda."

Wyciągnął ku niej ostrze na srebrnoskórej dłoni.

"Weź je, a staniesz się częścią przeszłości i przyszłości zarazem. Zbrukaj je, a przeszłość nie da ci przyszłości."

Nayla przyjęła ostrze, następnie pokrowiec.

"Upuść krwi z palca" - rozkazał Leto. Nayla usłuchała.

"Schowaj ostrze. Nigdy nie wyciągaj go bez utoczenia krwi."

Nayla ponownie usłuchała.

Gdy Leto obserwował trójwymiarowy wizerunek zbliżającej się Nayli, odczuł nagły smutek. O ile nie zostało zahartowane na dawny fremeński sposób, ostrze krysnoża stawało się kruche i bezużyteczne. Zachowa swój kształt za życia Nayli, ale niewiele dłużej.

"Odrzuciłem od siebie okruch przeszłości."

Jakie to smutne, że Szadout z dawnych czasów stała się Mówiacą-do-Ryb, a prawdziwego krysnoża używano, by mocniej związać sługę z panem. Wiedział, że niektórzy myślą, iż Mówiące-do-Ryb naprawdę były kapłankami - odpowiedzią Leto na Bene Gesserit.

"Nonsens! Ja nie stworzyłem religii. Ja s a m jestem religią."

Nayla weszła do sanktuarium wieży i stanęła trzy kroki od Wozu Leto, z wzrokiem opuszczonym w charakterystycznej dla niej pokorze.

Wciąż zatopiony w swoich myślach, Leto powiedział:

- Spójrz na mnie, kobieto!

Usłuchała.

- Stworzyłem świętą nieprzyzwoitość! - powiedział. - Ta religia wykreowana wokół mojej osoby napełnia mnie obrzydzeniem!

- Tak, Panie.

Zielone oczy Nayli nad pozłacanymi poduszeczkami jej policzków patrzyły nań bez pytania, bez zrozumienia, bez potrzeby jakiejkolwiek odpowiedzi.

"Gdybym wysłał ją, by zbierała gwiazdy, poszłaby i spróbowałaby tego dokonać. Myśli, że znów poddaję ją próbie. Naprawdę wierzę, że ona potrafi mnie rozgniewać."

- Ta przeklęta religia powinna skończyć się wraz ze mną! - wykrzyknął. - Dlaczego miałbym chcieć zostawić mój lud na pastwę religii? Religie szkodzą Imperiom i jednostkom tak samo! To wszystko jedno.

- Tak, Panie.

- Religie tworzą radykałów i fanatyków takich jak ty!

- Dziękuję ci, Panie.

Krótkotrwały niby-gniew zapadł się nagle w głębię jego wspomnień. Nic nie wyszczerbiało gładkiej powierzchni wiary Nayli.

- Topri złożył mi donos przez Monea - powiedział Leto. - Opowiedz mi o tym Toprim.

- Topri to robak.

- Czy nie tak nazywasz mnie między buntownikami?*

- We wszystkim jestem posłuszna mojemu Panu. Touche!

- Zatem nie warto się Toprim zajmować? - zapytał Leto.

- Siona właściwie go określiła - jest niezdarny. Mówi rzeczy, które rozpowiadają inni i ujawnia w ten sposób swój udział w sprawie. W ciągu kilku sekund od chwili, gdy Kobat zaczął mówić, Siona zrozumiała, że Topri to szpieg.

"Wszyscy się z tym zgadzają, nawet Moneo - pomyślał Leto. - Topri to marny szpieg."

Jednomyślność bawiła Leto. Pokątne machinacje mąciły wodę, która dla niego i tak pozostawała zupełnie przejrzysta. Aktorzy wciąż jednak dopasowywali się do jego gry, nie zdając sobie z tego sprawy.

- Siona cię nie podejrzewa? - zapytał Leto.

- Nie jestem niezdarna.

- Czy wiesz, dlaczego cię wezwałem?

- Żeby wypróbować moją wiarę.

"Ach, Naylo, jak mało wiesz o próbach!"

- Chcę wysłuchać twojego oświadczenia o Sionie. Chcę je widzieć na twojej twarzy i w twoich ruchach, usłyszeć w twym głosie - powiedział Leto. - Czy ona jest gotowa?

- Mówiące-do-Ryb potrzebują jej, Panie. Dlaczego ryzykujesz jej utratę?

- Wymuszenie tego na niej to najpewniejszy sposób utraty tego, co cenię w niej najbardziej - rzekł Leto. - Musi przyjść do mnie, dysponując pełnią swoich sił.

Nayla opuściła wzrok.

- Jak mój Pan rozkaże.

Leto rozpoznał znajomy ton w głosie strażniczki. Pojawiał się on wtedy, gdy czegoś nie udawało się jej pojąć.

- Czy Siona przeżyje tę próbę, Naylo?

- Taką, o jakiej mówi mój Pan... - Nayla podniosła wzrok na twarz Leto i wzruszyła ramionami. - Nie wiem, Panie. Z pewnością jest silna. Jedynie ona przeżyła spotkanie z wilkami. Ale targa nią nienawiść.

- To zupełnie zrozumiałe. Powiedz mi, Naylo, co zrobiła z tym, co mi ukradła?

- Czy Topri nie poinformował cię o księgach, które ponoć zawierają Twoje Święte Słowa?

"To dziwne, jak samym głosem podkreśla wielkie litery w tych słowach" - pomyślał Leto.

---

* Ponownie gra słów: "worm" - robak, czerw (przyp. tłum.).

- Tak, tak. Kopię mają Ixianie i wkrótce Gildia oraz zakon żeński również zabiorą się do ciężkiej pracy nad nimi - wyjaśnił.

- Czym są te księgi, Panie?

- To moje słowa dla ludu. Chcę, by je czytano. Pragnę wiedzieć, co mówiła Siona o planach Twierdzy, które zabrała.

- Mówi, że pod twoją Twierdzą, Panie, jest wielki zapas melanżu i że te plany go ujawnią.

- Plany tego nie ujawnią. Będzie ryć tunel?

- Szuka do tego ixiańskich maszyn.

- Ix ich nie dostarczy.

- Czy ta przyprawa tu jest, Panie?

- Tak.

- Księga mówi o tym, jak broniony jest twój skarb, Panie. Arrakis zniszczy się sama, jeżeli ktoś spróbuje ukraść Twój melanż. To prawda?

- Tak. I to zniszczy Imperium. Nic nie przetrwa - ani Gildia, ani zakon, ani Ix, ani Tleilaxanie, nawet Mówiące-do-Ryb.

- Zadrżała, następnie rzekła:

- Nie pozwolę Sionie próbować dostać się do Twojej przyprawy.

- Naylo! Rozkazałem ci słuchać Siony we wszystkim! Czy to tak mi służysz?

- Panie?! - Stała pełna lęku przed jego gniewem, bliższa teraz utraty wiary niż kiedykolwiek przedtem. Był to kryzys, który celowo wywołał, wiedząc, jak musi się on zakończyć. Powoli Nayla odprężyła się. Niemal widział jej myśli, jak gdyby wypisała je iluminowanymi literami.

"Najwyższa próba!"

- Wrócisz do Siony i będziesz strzegła jej życia - powiedział Leto. - To jest zadanie, które na ciebie nałożyłem i które przyjęłaś. To dlatego zostałaś wybrana. To dlatego nosisz ostrze z domu Stilgara.

Jej prawa dłoń powędrowała ku ukrytemu pod szatą krysnożowi.

"Jakie to oczywiste - pomyślał Leto - że broń może ograniczyć zachowanie człowieka do przewidywalnego wzorca."

Wpatrzył się z fascynacją w naprężone ciało Nayli. Wyraz jej oczu pozbawiony był wszystkiego poza czcią.

"Najwyższy retoryczny despotyzm... i ja gardzę nim!"

- Idź już! - warknął.

Nayla odwróciła się i uciekła od Świętej Obecności.

"Czy to jest tego warte?" - zastanowił się Leto.

Ale Nayla powiedziała mu to, co chciał wiedzieć. Nayla odnowiła swą wiarę i objawiła rzecz, której Leto nie mógł odnaleźć w znikającej wizji Siony. Instynktom Nayli można było ufać.

"Siona osiągnęła punkt krytyczny, na który czekałem."

Duncanowie zawsze myślą, że to dziwne, iż do sił zbrojnych wybieram kobiety. Moje Mówiące-do-Ryb są jednak armią tymczasową w każdym tego słowa znaczeniu. Podczas gdy mężczyźni mogą być gwałtowni i podstępni, kobiety są diametralnie różne od nich w nastawieniu do walki. Pochodzenie predysponuje je do bardziej zachowawczego nastawienia wobec życia. Udowodniły, ze najlepiej nadają się do strzeżenia mojej Złotej Drogi. Wzmacniam tę cechę dodatkowo poprzez plan ich szkolenia. Na pewien czas są odstawiane od rutynowych zajęć. Nadaję im specjalne przywileje, na które będą mogły oglądać się przez resztę swojego życia. Lata mijają im w towarzystwie ich sióstr na przygotowaniach do rzeczy bardziej wzniosłych. To, co dzieje się w takim towarzystwie, zawsze przygotowuje do czegoś wznioślejszego. Mgiełka nostalgii okrywa owe dni, przetwarzając je w coś innego niż były. W ten oto sposób dzieli dzisiejszy zmienia historię. Nie wszyscy współcześni zamieszkują ten sam czas. Przeszłość zawsze się zmienia, ale niewielu to sobie uświadamia.

"Wykradzione dzienniki"

Po przesłaniu wiadomości Mówiącym-do-Ryb, Leto późnym wieczorem zjechał do krypty. Stwierdził, że najlepiej jest zacząć pierwszą rozmowę z nowym Duncanem Idaho w ciemnym pomieszczeniu, gdzie ghola mógł najpierw usłyszeć Leto opisującego swe pre-czerwie ciało, zanim rzeczywiście je ujrzy. Do centralnej rotundy przylegała mała boczna sala wykuta w czarnym kamieniu, która odpowiadała temu wymaganiu. Komnata była dość duża, by pomieścić ciało Leto spoczywające na Wozie, ale nisko sklepiona. Oświetlenie pochodziło z ukrytych kul świętojańskich. Były tu tylko jedne drzwi, ale składały się z dwóch segmentów - jednego otwierającego się szeroko, tak, by przepuścić Wóz Królewski, i drugiego: małego, przeznaczonego dla ludzi.

Leto wtoczył Wóz Królewski do komnaty. Zamknął wielki portal i otworzył małe wejście. Zaczął przygotowywać się na oczekującą go rozmowę.

Znudzenie było dla niego wielkim narastającym problemem. Wzór zachowania tleilaxańskiego gholi stawał się nużąco powtarzalny. Pewnego razu wysłał Tleilaxanom ostrzeżenie, by nie przysyłali więcej Duncanów, ale oni wiedzieli, że w tej kwestii mogą mu nie okazać posłuszeństwa.

"Czasem myślę, że robią to tylko po to, by podtrzymać to nieposłuszeństwo przy życiu."

Tleilaxanie polegali na tej ważnej rzeczy, o której wiedzieli, że ochrania ich w innych sprawach.

"Obecność Duncana zadowala Paula Atrydę we mnie!"

Leto tak wyjaśnił Moneowi tę sprawę w pierwszych dniach bytności majordoma w Twierdzy:

"Duncanowie przed przyjściem do mnie muszą być poddani dodatkowym przygotowaniom. Moje hurysy uspokajają ich. a nawet odpowiadają im na szereg pytań."

"Na jakie pytania mogą odpowiadać, Panie?"

"One wiedzą."

Moneo oczywiście przez lata dowiedział się wszystkiego o tej procedurze.

Leto usłyszał głos Monea na zewnątrz zaciemnionego pokoju, potem głosy eskorty złożonej z Mówiących-do-Ryb i wreszcie wyraźne, ostrożne kroki nowego gholi.

- Tymi drzwiami - powiedział Moneo. - W środku będzie ciemno. Drzwi zamkną się za tobą. Zatrzymaj się przy wejściu i czekaj, aż Pan Leto przemówi do ciebie.

- Dlaczego będzie ciemno? - głos Duncana był pełen agresywnej obawy.

- Wyjaśni ci to.

Idaho został wepchnięty do komnaty i drzwi za nim zamknęły się.

Leto wiedział, co widzi ghola - tylko cienie wśród cieni i czerń, w której nie można dojrzeć rozmówcy. Jak zwykle Leto użył w grze głosu Paula Muad'Diba.

- Przyjemnie znowu cię spotkać, Duncanie.

- Nie widzę cię!

Idaho jest wojownikiem, a wojownik atakuje. To upewniło Leto, że ghola był w pełni odtworzonym oryginałem. Psychiczne naciski, którymi Tleilaxanie budzili przedśmiertne wspomnienia gholi, zawsze pozostawiały w jego umyśle trochę niepewności. Niektórzy z Duncanów wierzyli, że grozili prawdziwemu Muad'Dibowi. Ten również żywił takie złudzenia.

- Słyszę głos Paula, ale nie mogę go zobaczyć - powiedział Idaho. Nie starał się ukryć swojej frustracji, pozwolił jej całej ujawnić się w głosie.

"Dlaczego ten Atryda bawi się w tak głupią grę? Paul naprawdę nie żyje od bardzo dawna, a to jest Leto, nosiciel jego wskrzeszonych wspomnień... i wspomnień wielu innych ludzi, jeżeli wierzyć opowieściom Tleilaxan."

- Powiedziano ci, że jesteś tylko ostatnim z długiej listy duplikatów - rzekł Leto.

- Nie pamiętam nic z tego.

Leto wyczuł w tonie Duncana histerię, ledwo pokrywaną żołnierską brawurą. Ta przeklęta pozbiornikowa procedura Tleilaxan, mająca na celu odtworzenie osobowości Idaho, wywołała u niego zwyczajny umysłowy chaos. Duncan przybył w stanie szoku, mocno podejrzewając, że oszalał. Leto wiedział, że teraz trzeba postępować bardzo delikatnie, by uspokoić tego człowieka. To będzie wyczerpujące emocjonalnie dla nich obu.

- Zaszło wiele zmian, Duncanie - powiedział Leto. - Jedno jednak się nie zmieniło. Wciąż jestem Atrydą.

- Powiedzieli mi, że twoje ciało jest...

- Tak, to się zmieniło.

- Przeklęci Tleilaxanie! Starali się zmusić mnie, bym zabił kogoś, kogo ja... No, on wyglądał jak ty. Nagle przypomniałem sobie, kim byłem, i wtedy ta... Czy to mógł być ghola Muad'Diba?

- Mim, jeden z Tancerzy Oblicza. Zapewniam cię.

- Wyglądał i mówił tak podobnie do... Jesteś pewny?

- Aktor, nic więcej. Czy przeżył?

- Oczywiście! Tak obudzili moją pamięć. Wyjaśnili mi całą tę przeklętą kombinację. To prawda?

- Prawda, Duncanie. Gardzę tym, ale pozwalam na to dla przyjemności przebywania w twoim towarzystwie.

"Potencjalne ofiary zawsze przeżywają - pomyślał Leto. - Przynajmniej w przypadku spotkania z tymi Duncanami, których ja widzę. Zdarzały się niepowodzenia, fałszywi Paulowie ginęli i Duncanów spisywano na straty, ale zawsze istniały jeszcze pieczołowicie przechowywane komórki oryginału."

- Co z twoim ciałem? - zapytał z naciskiem Duncan.

Można teraz było zwolnić Muad'Diba i Leto powrócił do swego zwykłego głosu:

- Przyjąłem piaskopływaki jako moją skórę. Od tamtego czasu one zmieniają mnie.

- Dlaczego?

- Wyjaśnię ci to we właściwym czasie.

- Tleilaxanie mówili, że wyglądasz jak czerw pustyni.

- Co powiedziały ci Mówiące-do-Ryb?

- Twierdzą, że jesteś Bogiem. Dlaczego nazwałeś je Mówiącymi-do-Ryb?

- To stara historia. Pierwsze kapłanki rozmawiały swego czasu z rybami. Dowiadywały się w ten sposób wartościowych rzeczy.

- Skąd o tym wiesz?

- J a jestem tymi kobietami i wszystkim, co było przed nimi i po nich nastąpiło.

Leto usłyszał, jak Idaho przełyka ślinę.

- Rozumiem, po co ta ciemność. Dajesz mi czas na oswojenie się.

- Zawsze szybko pojmowałeś, Duncanie.

"Z w y j ą t k i e m w y p a d k ó w , k i e d y r o b i ł e ś t o p o w o l i ."

- Od jak dawna się zmieniasz?

- Ponad trzy i pół tysiąca lat.

- Zatem to, co powiedzieli mi Tleilaxanie, to prawda.

- Teraz już rzadko ośmielają się kłamać.

- To długi czas.

- Bardzo długi.

- Tleilaxanie kopiowali mnie wiele razy?

- Wiele.

"Czas, żebyś zapytał, ile."

- Jak wielu mnie było?

- Pozwolę ci samemu zajrzeć do akt.

"I tak się to zawsze zaczyna" - pomyślał Leto.

Ta dyskusja zawsze wydawała się zadowalać Duncanów, ale nie było ucieczki przed pytaniem: Jak wielu mnie było?

Duncanowie nie czynili pomiędzy sobą rozróżnień, mimo iż żadne wspomnienia nie stawały się wspólną własnością gholi tego samego klonu.

- Pamiętam moją śmierć - powiedział Idaho. - Ostrza sardaukarów przebranych w mundury Harkonnenów... mnóstwo ostrzy starających się dosięgnąć ciebie i Jessikę.

Leto przyjął z powrotem głos Muad'Diba:

- Byłem tam, Duncanie.

- Jestem na zmianę, to prawda? - zapytał Idaho.

- Prawda - rzekł Leto.

- Jak ten inny... jak... to znaczy, jak on umarł?

- Każde ciało się zużywa, Duncanie. Znajdziesz to w aktach. Leto czekał cierpliwie, zastanawiając się, jak dużo jeszcze czasu upłynie, zanim okrojona historia przestanie zadowalać tego Duncana.

- Jak naprawdę wyglądasz? - zapytał Idaho. - Jakie jest to ciało czerwia, które opisywali Tleilaxanie?

- Któregoś dnia wygeneruje pewnego rodzaju czerwie pustyni. Zaszło już daleko na drodze przemiany.

- Co to znaczy "pewnego rodzaju"?

- Będą miały więcej zwojów. Będą świadome.

- Nie mógłbyś włączyć trochę światła? Chciałbym cię zobaczyć. Leto uruchomił reflektory. Jarząca się iluminacja rozświetliła salę.

Czarne ściany i oświetlenie były tak dobrane, by skupić uwagę na nim, ukazać każdy widzialny szczegół.

Idaho powiódł wzrokiem wzdłuż srebrzystoszarego ciała, zauważając zaczątki żebrowanych segmentów czerwia, wklęsłe zagłębienia między nimi... małe wyrostki będące niegdyś stopami i nogami, z których jedna była nieco krótsza od drugiej. Wrócił spojrzeniem do wciąż prawidłowo ukształtowanych ramion i dłoni, przeniósł je wreszcie na otoczoną szarym kapturem twarz, której różowa skóra stanowiła śmieszny wtręt, nie pasujący do reszty szarego ciała.

- Cóż, Duncanie - powiedział Leto. - Zostałeś ostrzeżony. Idaho, milcząc, wykonał gest głową w kierunku ciała pre-czerwia.

Leto zapytał za niego:

- Dlaczego?

Idaho przytaknął.

- Wciąż jestem Atrydą, Duncanie, i zapewniam cię na cały honor tego nazwiska, że były ku temu powody.

- Cóż takiego mogło...

- Dowiesz się w swoim czasie.

Idaho jedynie potrząsnął głową.

- To nie jest przyjemna wiedza - powiedział Leto. - Wymaga, żebyś najpierw dowiedział się o innych sprawach. Zaufaj słowu Atrydy.

W ciągu stuleci Leto stwierdził, że to odwołanie się do absolutnej wierności Duncanów wobec wszystkiego co atrydzkie natychmiast łagodziło grad osobistych pytań. Raz jeszcze owa formuła zadziałała.

- Więc znów mam służyć Atrydom - powiedział Idaho. - To brzmi znajomo, prawda?

- Na wiele sposobów, stary druhu.

- Stary może dla ciebie, ale nie dla mnie. Jak mam ci służyć?

- Czy Mówiące-do-Ryb ci nie powiedziały?

- Twierdziły, że będę dowodził elitarną Strażą, oddziałem wybranym spośród nich. Nie rozumiem tego: armia kobiet?

- Potrzebuję zaufanego towarzysza, który dowodziłby moją Strażą. Odmawiasz?

- Dlaczego kobiety?

- Między płciami są różnice w zachowaniu, które czynią kobiety wyjątkowo wartościowymi w tej roli.

- Nie odpowiadasz na moje pytanie.

- Myślisz, że się nie nadają?

- Niektóre z nich wyglądają na zupełnie twarde, ale...

- Inne były dla ciebie, no, miękkie?

Idaho zarumienił się.

Leto stwierdził, że to czarująca reakcja. Duncanowie, jak niewielu już ludzi w tych czasach, byli zdolni do takiego zachowania. Cóż, efekt szkolenia Duncanów, ich poczucia osobistego honoru - bardzo to rycerskie.

- Nie rozumiem, dlaczego zaufałeś kobietom, żeby cię ochraniały - powiedział Idaho. Krew powoli odpływała z jego policzków. Wpatrywał się w Leto.

- Zawsze ufałem im tak, jak ufam tobie - na własne życie.

- Przed czym mamy cię chronić?

- Moneo i Mówiące-do-Ryb poinformują cię.

Idaho przestąpił z nogi na nogę, jego ciało zadrżało w rytm uderzeń serca. Rozejrzał się po małej sali, na niczym nie skupiając wzroku. Z nagłością niespodziewanej decyzji zwrócił się do Leto.

- Jak mam cię nazywać?

To była oznaka akceptacji, której oczekiwał Leto.

- Czy "Pan Leto" będzie odpowiednie?

- Tak... mój Panie. - Idaho spojrzał prosto w błękitne, fremeńskie oczy Leto. - Czy to prawda, co twierdzą Mówiące-do-Ryb, że masz... wspomnienia wszystkich?

- Jesteśmy tu wszyscy, Duncanie - przemówił Leto głosem dziadka ze strony ojca, a następnie dodał: - Nawet kobiety są tutaj. - Był to głos Jessiki, babki ze strony ojca Leto. - Znałeś ich dobrze - powiedział normalnym już głosem. - A oni znali ciebie.

Idaho powoli zaczerpnął tchu.

- Upłynie trochę czasu, nim się do tego przyzwyczaję.

- Dokładnie tak samo ja zareagowałem - powiedział Leto. Duncanem wstrząsnął wybuch śmiechu i Leto pomyślał, że to więcej, niż na to zasługiwał słaby dowcip, ale nic nie powiedział.

- Twoje Mówiące-do-Ryb miały wprowadzić mnie w dobry nastrój, tak? - zapytał po chwili Idaho.

- I udało się im?

Idaho przyjrzał się twarzy Leto, rozpoznając charakterystyczne rysy Atrydów.

- Wy, Atrydzi, zawsze znaliście mnie tak dobrze - powiedział.

- To już lepiej - rzekł Leto. - Zaczyna do ciebie docierać, że nie jestem jednym Atrydą. Jestem nimi wszystkimi.

- Tak kiedyś powiedział Paul.

- Tak powiedziałem! - Na tyle, na ile ton i akcent mogły przekazać oryginalną osobowość, był to Muad'Dib.

Idaho przełknął ślinę, obejrzał się na wejście do sali.

- Przejąłeś od nas coś - powiedział. - Czuję to. Te kobiety... Moneo...

"My przeciw tobie - pomyślał Leto. - Duncanowie zawsze brali stronę ludzi."

Idaho powrócił wzrokiem ku twarzy Leto.

- Co dałeś nam w zamian?

- Pokój Leto w całym Imperium!

- Widzę, że wszyscy są rozkosznie szczęśliwi! To dlatego potrzebujesz osobistej ochrony.

Leto uśmiechnął się.

- Mój pokój to w rzeczywistości wymuszona cisza. Ludzie mają długą tradycję zwracania się przeciwko pokojowi.

- Więc dałeś nam Mówiące-do-Ryb?

- I hierarchię, którą potrafisz nieomylnie rozpoznać.

- Żeńska armia! - mruknął Idaho.

- Najwyższa wabiąca mężczyzn siła - rzekł Leto. - Seks jest odwiecznym sposobem na ukorzenie agresywnego samca.

- Czy one właśnie to robią?

- Zapobiegają i łagodzą wybryki, które mogłyby doprowadzić do bardziej poważnych aktów gwałtu.

- I pozwalasz im wierzyć, że jesteś bogiem. Nie sądzę, żeby mi się to podobało.

- Przekleństwo świętości jest dla mnie równie urągające jak dla ciebie.

Idaho zmarszczył brwi. Nie takiej odpowiedzi się spodziewał.

- W jaką grę grasz, Panie Leto?

- W bardzo starą, ale z kilkoma nowymi regułami.

- Twoimi regułami!

- Wolałbyś, żebym zwrócił wszystko KHOAM, Landsraadowi i wysokim rodom?

- Tleilaxanie powiedzieli, że nie ma już Landsraadu. Nie pozwalasz na żaden prawdziwy samorząd.

- Dobrze, zatem mógłbym odstąpić swe miejsce Bene Gesserit. A może Ixianom albo Tleilaxanom? Jakby ci się podobało, gdybym wynalazł kolejnego barona Harkonnena, by objął władzę nad Imperium? Powiedz słowo, Duncanie, a abdykuję!

Przytłoczony Idaho potrząsnął głową.

- W niewłaściwych rękach - powiedział Leto - monolityczna, scentralizowana władza jest niebezpiecznym i kapryśnym narzędziem.

- A twoje ręce są właściwe?

- Nie jestem pewny, ale powiem ci, Duncanie, że jestem pewien co do rąk tych, którzy odeszli przede mną. Znam je.

Idaho odwrócił się plecami do Leto.

"Jakiż fascynujący, skończenie ludzki gest - pomyślał Leto. - Odrzucenie, dodatkowo potęgowane przez świadomość własnej słabości."

- Zupełnie słusznie sprzeciwiasz się temu, że używam ludzi bez ich pełnej wiedzy i zgody.

Idaho zwrócił swój profil do Leto, potem odwrócił się, by spojrzeć w zakapturzoną twarz. Pochylił głowę odrobinę naprzód, by zajrzeć w całkowicie błękitne oczy.

"Bada mnie - pomyślał Leto - ale nie może mnie oceniać tylko na podstawie twarzy."

Atrydzi uczyli swych ludzi rozpoznawać subtelne sygnały twarzy i ciała. Idaho był w tym dobry, ale widać było, że zaczyna rozumieć, iż w tej sytuacji to dla niego zbyt trudne.

Idaho kaszlnął.

- Jaka jest najgorsza rzecz, o którą mnie poprosisz?

"Jakie to podobne do Duncana" - pomyślał Leto. Ten kolejny jest klasyczny. Idaho pozostanie wierny Atrydzie, strażnikowi jego przysięgi, ale daje do zrozumienia, że nie przekroczy granic swej moralności.

- Poproszę cię, byś strzegł mnie przy użyciu wszelkich środków po temu koniecznych i byś czuwał nad mą tajemnicą.

- Jaką tajemnicą?

- Mam słabe punkty.

- Nie jesteś Bogiem?

- Nie w sensie absolutnym.

- Twoje Mówiące-do-Ryb wspomniały o buntownikach.

- Są tacy.

- Dlaczego?

- Są młodzi i nie przekonałem ich, że moja droga jest lepsza. Bardzo trudno jest przekonać młodych do czegoś. Urodzili się, wiedząc tak ogromnie dużo.

- Nigdy przedtem nie słyszałem, żeby Atryda szydził w ten sposób z młodości.

- Może dlatego, że jestem o tyle starszy. Starość do kwadratu. Z każdym mijającym pokoleniem moje zadanie staje się coraz trudniejsze.

- Co to za zadanie?

- Zorientujesz się w miarę naszej dalszej znajomości.

- Co się stanie, jeżeli cię zawiodę? Czy twoje kobiety zlikwidują mnie?

- Staram się nie obarczać Mówiących-do-Ryb winą.

- Ale obciążysz nią mnie?

- Jeżeli ją zaakceptujesz.

- Jeżeli stwierdzę, że jesteś gorszy od Harkonnenów, zwrócę się przeciwko tobie.

"Jakież to podobne do Duncanów. Wszelkie zło mierzą podług Harkonnenów. Jakże mało o nich wiedzą."

- Baron pożerał całe planety, Duncanie - powiedział Leto. - Co może być gorsze od tego?

- Pożeranie Imperium.

- Jestem brzemienny moim Imperium. Umrę, wydając je na świat.

- Gdybym mógł uwierzyć, że...

- Będziesz dowodził moją Strażą?

- Dlaczego ja?

- Jesteś najlepszy.

- Wyobrażam sobie, że to niebezpieczna robota. Czy tak właśnie ginęli moi poprzednicy? Wykonując dla ciebie niebezpieczną robotę?

- Niektórzy z nich.

- Chciałbym mieć wspomnienia tych innych!

- Nie mógłbyś ich mieć i wciąż być prawdziwy.

- Chcę się jednak o nich czegoś dowiedzieć.

- Dowiesz się.

- Więc Atrydzi wciąż potrzebują ostrego noża?

- Mamy zadania, które tylko Duncan Idaho potrafi wykonać.

- Mówisz, że... my... - Idaho przełknął, spojrzał na drzwi, potem na twarz Leto, który przemówił doń tak, jak zrobiłby to Muad'Dib, wciąż jednak własnym głosem:

- Kiedy ostatni raz wspólnie wspięliśmy się do siczy Tabr, miałeś wtedy gwarancję mojej lojalności, a ja twojej. Nic z tego naprawdę się nie zmieniło.

- To był twój ojciec.

- To byłem ja! - rozkazujący głos Paula Muad'Diba w połączeniu z wyglądem Leto zawsze był dla gholi wstrząsem.

- Wy wszyscy... - wyszeptał Idaho - w tym jednym... ciele... - Przerwał. Leto nie odpowiedział. To była chwila decyzji.

Idaho po chwili pozwolił sobie na ten "a-do-diabła-z-tym" uśmiech, z którego był tak dobrze znany.

- Zatem powiadam Leto Pierwszemu i Paulowi, tym, którzy znali mnie najlepiej: wykorzystajcie mnie jak najlepiej, bo was kochałem.

Leto zamknął oczy. Takie słowa zawsze budziły jego niepokój. Wiedział, że to właśnie na oddziaływanie miłości jest najbardziej podamy.

Moneo, który tego słuchał, nadszedł z odsieczą. Wszedł i powiedział:

- Panie, czy mam zabrać Duncana Idaho do strażniczek, którymi będzie dowodził?

- Tak. -To jedno słowo było wszystkim, na co Leto mógł się zdobyć.

Moneo wziął Idaho pod rękę i wyprowadził. "Dobry Moneo - pomyślał Leto. - Tak dobry. Zna mnie świetnie, ale tracę nadzieję, że kiedykolwiek zrozumie."

Znam zło moich przodków, ponieważ jestem tymi ludźmi. Równowaga jest w najwyższym stopniu delikatna. Wiem, ze tylko nieliczni z was, którzy czytacie te słowa, myśleliście kiedykolwiek o przodkach w ten sposób. Nie dotarło do was, ze wasi przodkowie to ci, którzy przeżyli, i że przeżycie samo w sobie wymaga czasem okrutnych decyzji, rodzaju rozmyślnej brutalności. Cywilizowana ludzkość pracuje bardzo ciężko nad tym, by ją stłumić. Jaką cenę zapłacicie za to stłumienie? Czy zaakceptujecie swoje własne wyginięcie?

"Wykradzione dzienniki"

Idaho próbował otrząsnąć się z nocnego koszmaru, ubierając się pierwszego ranka swojego dowodzenia Mówiącymi-do-Ryb. Dwukrotnie budził się w nocy i wychodził na balkon, by popatrzeć w gwiazdy, ze snem wciąż szalejącym w głowie.

Kobiety... kobiety bez broni i w czarnych zbrojach... pędzące ku niemu z chrapliwym, bezmyślnym wrzaskiem... wymachujące rękami mokrymi od krwi... i gdy roiły się nad nim, ich rozdziawione usta ukazywały straszliwe kły!

W tym momencie obudził się.

Poranne światło niewiele pomagało w pozbyciu się przykrego wrażenia wywołanego koszmarem. Oddano mu do dyspozycji pokój w północnej wieży. Z balkonu rozciągał się widok na odległe urwisko, u którego podstawy widać było coś na kształt wsi pełnej lepianek.

Idaho zapinał tunikę, wpatrując się w tę scenerię.

"Dlaczego Leto wybrał tylko kobiety do swojej armii?"

Kilka ponętnych Mówiących-do-Ryb zaofiarowało się spędzić noc z nowym dowódcą, ale Idaho odrzucił ich propozycje.

To nie było podobne do Atrydów - używać płci jako środka perswazji!

Spojrzał na swój strój: czarny mundur ze złotym lamowaniem, czerwony jastrząb wyszyty na lewej piersi. Przynajmniej to było znajome. Brak wszelkich oznak stopnia.

"Znają twoją twarz" - powiedział Moneo.

"Moneo... dziwny mały człowiek."

To stwierdzenie zastanowiło Idaho. Przypomniało mu się, że Moneo nie był niski. "Bardzo opanowany, tak, ale nie niższy niż ja."

Moneo wydawał się jednak być zagłębiony w sobie... skupiony.

Idaho rozejrzał się po swoim pokoju - sybaryckim, z naciskiem położonym na komfort - miękkich poduszkach i akcesoriach ukrytych pod płytami brązowego, lakierowanego drewna. Łazienka była wystawną ekspozycją pastelowo niebieskich mozaik, prysznicem i wanną, w której mogło się kąpać jednocześnie co najmniej sześć osób. Całe mieszkanie zapraszało do pobłażania swoim słabościom. Było to pomieszczenie, które pozwalało zmysłom wyżywać się w zapamiętanych przyjemnościach.

- Sprytne - szepnął Idaho.

Po delikatnym pukaniu do drzwi rozległ się kobiecy głos:

- Dowódco? Moneo jest tutaj.

Idaho zwrócił swoją uwagę na skąpane w słońcu barwy dalekiego urwiska.

- Dowódco! - Głos stał się odrobinę donośniejszy.

- Niech wejdzie! - zawołał Idaho.

Moneo wszedł, zamykając za sobą drzwi. Miał na sobie nieciekawe, kredowobiałe spodnie i tunikę - strój zmuszający do skupienia się na twarzy majordoma. Obrzucił wzrokiem pokój.

- A wiec tu cię umieściły. Przeklęte kobiety! Podejrzewam, że myślą, iż są uprzejme, ale powinny wiedzieć lepiej.

- Skąd wiesz, co lubię? - zapytał z naciskiem Idaho. Już zadając to pytanie, uświadomił sobie, że jest głupie. "Nie jestem pierwszym Duncanem Idaho, którego widzi Moneo." Ten uśmiechnął się jedynie i wzruszył ramionami.

- Nie zamierzałem cię obrazić, dowódco. Zatrzymasz zatem tę kwaterę?

- Podoba mi się widok z balkonu.

- Ale nie meble. - To było stwierdzenie.

- Można je zmienić - powiedział Idaho.

- Zajmę się tym.

- Sądzę, że jesteś tu, by wyjaśnić mi zakres moich obowiązków.

- Na tyle, na ile potrafię. Wiem, jak dziwne musi ci się to wszystko z początku wydawać. Ta cywilizacja jest dogłębnie odmienna od tej, którą znałeś.

- Widzę to. Jak... Jak umarł mój poprzednik?

Moneo wzruszył ramionami. Wydawało się, że to jego standardowy gest, ale nie było w nim nic ze skromności.

- Nie był dość szybki, by uciec przed konsekwencjami decyzji, którą podjął - rzekł Moneo.

- Sprecyzuj to.

Moneo westchnął. Duncanowie zawsze tacy byli. Wymagający.

- Zabił go bunt. Chcesz szczegółów?

- Czy będą dla mnie użyteczne?

- Nie.

- Chcę być dzisiaj szczegółowo poinformowany o sprawie tego buntu, ale najpierw: dlaczego w armii Leto nie ma mężczyzn?

- Leto ma ciebie.

- Wiesz, co mam na myśli.

- On ma osobistą teorię armii. Przy wielu okazjach rozmawiałem z nim o niej. Ale czy nie wolałbyś zjeść śniadania, zanim ci to wyjaśnię?

- Nie możemy tego zrobić w tam samym czasie?

Moneo odwrócił się ku drzwiom i wykrzyknął pojedyncze słowo:

- Teraz!

Skutek był natychmiastowy i dla Idaho fascynujący. W pokoju zaroiła się drużyna Mówiących-do-Ryb. Dwie z nich wyjęły zza panelu składany stolik i krzesła i rozstawiły je na balkonie. Inne nakryły stół dla dwóch osób. Jeszcze inne wniosły jedzenie - świeże owoce, gorące bułeczki i parujący napój, który pachniał nieco

przyprawą i kofeiną. Wszystko to zostało zrobione szybko, w milczeniu i z precyzją, która świadczyła o długiej praktyce. Wyszły tak jak weszły, bez słowa.

Idaho stwierdził, że siedzi za zastawionym stolikiem naprzeciw Monea w niecałą minutę po rozpoczęciu tego przedstawienia.

- I tak co rano?

- Jeżeli tylko sobie tego zażyczysz.

Idaho spróbował napoju: kawa melanżowa. Rozpoznał owoce, miękkie kaladańskic melony zwane paradanami. "Moje ulubione."

- Znacie mnie tu całkiem nieźle - powiedział.

Moneo uśmiechnął się.

- Mamy trochę praktyki. A jeśli chodzi o twoje pytanie...

- I osobliwą teorię Leto.

- Tak. Twierdzi, że wszystkie całkowicie męskie armie były zbyt niebezpieczne dla ich cywilnej bazy zaopatrzeniowej.

- To idiotyczne! Bez bazy nie byłoby...

- Znam ten argument, ale on twierdzi, że męskie armie to wynik powierzania funkcji strażniczej w prehistorycznych hordach nie biorącym udziału w rozmnażaniu samcom. Mówi, że dziwnie pasuje do tego fakt, iż zawsze to starsi mężczyźni posyłali młodszych do bitwy.

- Jak to rozumieć: funkcja strażnicza?

- Chodzi o tych, którzy zawsze czuwali na niebezpiecznych rubieżach, chroniąc większość rozmnażających się mężczyzn i kobiet oraz, oczywiście, ich dzieci. To ci, którzy pierwsi natykali się na drapieżniki.

- W jaki sposób ma to być niebezpieczne dla... cywili? - Idaho ugryzł kęs idealnie dojrzałego melona.

- Pan Leto twierdzi, że jeżeli brakowało zewnętrznego wroga, męska armia zawsze zwracała się przeciw własnej ludności. Zawsze.

- Poszukując kobiet?

- Być może. On jednak nie wierzy, żeby było to aż tak proste.

- Nie uważam tej teorii za oryginalną.

- Nie słyszałeś jeszcze całej.

- Jest coś jeszcze?

- Och, tak. Twierdzi, że męskie armie mają silną tendencję do narzucania homoseksualnych zachowań.

Idaho popatrzył na Monea.

- Ja nigdy...

- Oczywiście, że nie. On mówi o sublimacji, przetransponowanej energii i temu podobnych rzeczach.

- Jakich rzeczach? - Idaho ponosił gniew z powodu tego, co odczuł jako atak na swoje wyobrażenie o własnej męskości.

- Chodzi po prostu o niedojrzałość stosunków: chłopcy przebywający tylko we własnym towarzystwie, żarty służące wyłącznie zadawaniu bólu, lojalność tylko wobec kumpli z paczki... sprawy tego rodzaju.

- Co o tym sądzisz? - zapytał chłodno Idaho.

- Przypominasz sobie... - Moneo odwrócił się w stronę okna i mówił, wyglądając na okolicę - ...coś, co powiedział i co, jestem tego pewny, jest prawdą. Jest każdym żołnierzem w ludzkiej historii. Zaproponował mi kiedyś pokaz wielu postaci słynnych wojskowych, których rozwój zatrzymał się w okresie młodzieńczym. Odrzuciłem ofertę. Z uwagą przemyślałem swą historię i w sobie samym rozpoznałem tę cechę. - Moneo odwrócił się i spojrzał prosto w oczy Idaho. - Pomyśl o tym, dowódco.

Idaho był dumny z uczciwości wobec siebie samego i te słowa nim wstrząsnęły. Kult młodości i niedojrzałości przechowywany w wojsku? To brzmiało prawdziwie. Miał przykłady z własnego doświadczenia.

Moneo skinął głową.

- Homoseksualista, czynny bądź bierny, który utrzymuje ów stan z powodów mogących być nazwanymi czysto psychologicznymi, ciąży do folgowania sobie w sprawiającym ból zachowaniu: szukając go dla siebie i zadając go innym. Pan Leto twierdzi, że sięga to czasów prehistorycznej gromady.

- Wierzysz mu?

- Tak.

Idaho włożył w usta maleńki kawałek melona: owoc zdążył już stracić swój słodki smak. Przełknął i odłożył łyżeczkę.

- Będę musiał o tym pomyśleć - powiedział.

- Oczywiście.

- Nie jesz? - zapytał Idaho.

- Wstałem przed świtem i wtedy jadłem. - Moneo wskazał na talerz. - Kobiety ciągle starają się mnie skusić.

- Udaje im się kiedyś?

- Czasami.

- Masz rację. Uważam, że jego teoria jest osobliwa. Jest jeszcze coś więcej?

- Ooch, twierdzi, że kiedy męska armia wymyka się z więzów niedojrzałości-homoseksualizmu, staje się zdecydowanie gwałcicielska. Gwałt jest często morderczy i nie jest to zachowanie nakierowane na przeżycie.

Idaho nachmurzył się.

Po wargach Monea przemknął nikły uśmiech.

- Pan Leto mówi, że tylko atrydzka dyscyplina i więzy moralne zapobiegły niektórym z najgorszych ekscesów w twoich czasach.

Idaho westchnął głęboko. Moneo odchylił się, myśląc o czymś, co niegdyś powiedział Bóg Imperator: "Bez względu na to, jak bardzo chcemy prawdy, samoświadomość jest często nieprzyjemna. Nie czujmy sympatii do Prawdomówczyni."

- Ci przeklęci Atrydzi! - powiedział Idaho.

- Ja jestem Atrydą - rzekł Moneo.

- Co? - Idaho był wstrząśnięty.

- Jego program eugeniczny - podpowiedział Moneo. - Jestem pewny, że Tleilaxanie ci o tym wspomnieli. Pochodzę w prostej linii z małżeństwa jego siostry i Harqal-Ady.

Idaho nachylił się ku niemu.

- Więc powiedz mi, Atrydo, w jaki sposób kobiety są lepszymi żołnierzami od mężczyzn?

- Łatwiej jest im być dojrzałymi. Idaho potrząsnął z zaskoczenia głową.

- Mają przymuszający, fizyczny sposób przechodzenia z dziecięcości w dojrzałość - powiedział Moneo. - Jak mówi Pan Leto: "Noś swe dziecko przez dziewięć miesięcy, a staniesz się innym człowiekiem."

Idaho odchylił się na oparcie krzesła.

- Co on może o tym wiedzieć?

Moneo jedynie patrzył na niego, dopóki Idaho nie przypomniał sobie o wielości istnień egzystujących w Leto - zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Uświadomienie sobie tego przejęło go. Moneo to widział, przywołując w pamięci komentarz Boga Imperatora: "Twoje słowa piętnują go wyglądem, w jakim chcesz go widzieć."

Gdy cisza przedłużała się, Moneo odkaszlnął i powiedział po chwili:

- Ogrom wspomnień Pana Leto powstrzymywał również mój język.

- Czy on jest z nami szczery? - zapytał Idaho.

- Wierzę mu.

- Ale on tak wiele... To znaczy, weź jego program eugeniczny. Jak długo to trwa?

- Od samego początku. Od dnia, w którym przejął go od Bene Gesserit.

- Co chce przez to osiągnąć?

- Sam chciałbym wiedzieć.

- Ale ty...

- Jestem Atrydą i głównym adiutantem, owszem.

- Nie przekonałeś mnie, że kobieca armia jest lepsza.

- Przedłuża gatunek.

W końcu gniew i frustracja Duncana znalazły dla siebie cel:

- Czy to właśnie zawsze robiłem z nimi pierwszej nocy - przez krzyżówkę ulepszałem rasę?

- Prawdopodobnie. Mówiące-do-Ryb nie stosują środków antykoncepcyjnych.

- Do diabła z nimi! Nie jestem zwierzęciem, które można przeprowadzać z zagrody do zagrody jak... jak...

- Jak ogiera?

- Tak!

- Ale Pan Leto odrzuca tleilaxańskie plany inżynierii genetycznej i sztucznego zapładniania.

- Co Tleilaxanie mają wspólnego z...?

- Są lekcją poglądową. Nawet ja to widzę. Ich Tancerze Oblicza są bezpłodni, bliżsi organizmowi kolonijnemu niż ludzkiemu.

- Ci inni... czy któryś z nich służył mu jako ogier?

- Niektórzy. Możesz zobaczyć ich potomków.

- Kogo?

- Mnie na przykład.

Idaho wpatrzył się w oczy Monea, nagle zagubiony w owym labiryncie pokrewieństw. Stwierdził, że nie jest w stanie zrozumieć wszystkich tych związków. Moneo był wyraźnie starszy niż... "Ale ja..." Który z nich był naprawdę starszy? Który był przodkiem, a który potomkiem?

- Sam czasami mam kłopoty ze sobą - powiedział Moneo. - Jeśli ci to pomoże, to Pan Leto zapewnia mnie, że nie jesteś moim potomkiem. Nie w zwyczajnym sensie. Jednakże możesz z powodzeniem być ojcem niektórych z moich potomków. - Idaho potrząsnął głową. - Czasem myślę, że tylko Bóg Imperator potrafi zrozumieć to wszystko - rzekł Moneo.

- To inna rzecz - powiedział Idaho. - To sprawa boga.

- Pan Leto twierdzi, że stworzył boską nieprzyzwoitość.

To nie była odpowiedź, której oczekiwał Idaho. "Czego się spodziewałem? Obrony Pana Leto?"

- Święta nieprzyzwoitość - powtórzył Moneo. Słowa te wydobyły się z jego ust z dziwnym poczuciem triumfu.

Idaho skupił badawcze spojrzenie na Moneu. "On nienawidzi swego Boga Imperatora! Nie... boi się go. Ale czy nie nienawidzimy zawsze tego, czego się lękamy?"

- Dlaczego w niego wierzysz?

- Pytasz, czy podzielam powszechną religię?

- Nie! Czy on podziela?

- Myślę, że tak.

- Dlaczego? Dlaczego tak sądzisz?

- Ponieważ mówi, że nie chce tworzyć więcej Tancerzy Oblicza. Upiera się przy tym, by jego ludzkie stadko, kiedy już dobiera się w pary, rozmnażało się w ten sam sposób co zawsze.

- Co, u diabła, ma to wspólnego z wiarą?

- Zapytałeś mnie, w co on wierzy. Myślę, że wierzy w przypadek. Sądzę, że to jest jego bóg.

- To przesąd!

- Zważywszy na sytuację Imperium, bardzo śmiały przesąd. Idaho spojrzał na Monea.

- Wy przeklęci Atrydzi - mruknął - odważycie się na wszystko. Moneo zauważył, że w głosie Idaho niechęć zmieszana była z podziwem.

"Duncanowie zawsze zaczynają w ten sposób" - pomyślał.

Co jest najgłębszą różnicą między nami, między mną a wami? Wiecie to już. To wspomnienia przodków. Moje przychodzą do mnie w pełnym blasku świadomości. Wasze działają od nieuświadamianej strony. Niektórzy nazywają to instynktem lub przeznaczeniem. Wspomnienia stosują swe dźwignie wobec każdego z nas - do tego, co myślimy i co robimy. Myślicie, że jesteście odporni na takie wpływy? Jestem Galileuszem. Stoję tu i powiadam wam: "A jednak się kręci". To, co się kręci, potrafi wywierać swą siłę w sposób, któremu żadna śmiertelna siła kiedykolwiek przedtem nie usiłowała się oprzeć. Oto jestem tu, by się na to poważyć.

"Wykradzione dzienniki"

- Kiedy była dzieckiem, obserwowała mnie, pamiętasz? Kiedy myślała, że jestem tego nieświadomy, Siona obserwowała mnie jak pustynny jastrząb, który krąży nad legowiskiem zdobyczy. Sam o tym wspominałeś.

Gdy mówił, Leto przetoczył ciało na Wozie o ćwierć obrotu. To zbliżyło jego zakapturzoną twarz do Monea, który szedł obok pojazdu Boga Imperatora.

Był dopiero świt na pustynnej drodze, która biegła stromą, sztuczną granią od Twierdzy w Serirze do Miasta Świątecznego. Droga z pustyni była prosta jak laserowa wiązka, dopóki nie osiągała tarasów rzeki Idaho, gdzie zakręcała szerokim łukiem, opadając jednocześnie przed jej przecięciem. W powietrzu unosiła się gęsta mgła od rzeki toczącej z łoskotem swe wody w oddali. Leto otworzył kapsułowata pokrywę, zamykającą przód jego Wozu. Wilgoć przyprawiała jego czerwiową naturę o dreszcz nieokreślonego niezadowolenia, ale jednocześnie w mgiełce unosiły się zapachy słodkich pustynnych roślin, przyjemne dla jego ludzkich nozdrzy. Rozkazał orszakowi zatrzymać się.

- Dlaczego stajemy, Panie? - zapytał Moneo.

Leto nie odpowiedział. Wóz skrzypnął, gdy Bóg Imperator dźwignął swoje ciało tak, aby móc spojrzeć przez Zakazany Las na morze Kynesa lśniące srebrzyście daleko po prawej. Po chwili Leto odwrócił się w lewo i oto widział resztki Muru Zaporowego - falisty niski cień w porannym świetle. Grań wyniesiona była w tym miejscu prawie na dwa tysiące metrów, by ograniczyć Serir i zmniejszyć ilość napływającego nadeń wilgotnego powietrza. Ze swego punktu obserwacyjnego Leto widział w oddali szczerbę, gdzie za jego sprawą zbudowano Onn, Miasto Świąteczne.

- To kaprys mnie zatrzymuje - odparł Leto.

- Czy nie powinniśmy pokonać mostu przed odpoczynkiem? - zapytał Moneo.

- Ja nie odpoczywam.

Leto wpatrzył się przed siebie. Po serii wzgórz, widzianych stąd tylko jako nieregularna ciemna linia w oddali, droga przecinała rzekę po czarodziejskim moście wyniesionym ponad grań i opadającym później w dół ku miastu, które z tej odległości prezentowało się jako skupisko lśniących iglic.

- Duncan jest jakiś przy gaszony - powiedział Leto. - Odbyłeś już z nim swą długą rozmowę?

- Był zajęty z twoją strażą, Panie. Zeszłej nocy znowu przebywał z nimi do późna na zewnątrz.

- Duncanowie nie lubią chodzić po otwartym terenie. Myślą o fortelach, których można by użyć do zaatakowania nas.

- Wiem, Panie.

Leto odwrócił się i spojrzał z ukosa na Monea. Majordom włożył zielony płaszcz na swój biały mundur. Stał obok otwartej wypukłej pokrywy - dokładnie w miejscu, gdzie obowiązek wymagał, by stał podczas takich wypraw.

- Jesteś bardzo obowiązkowy, Moneo - powiedział Leto.

- Dziękuję, Panie.

Strażniczki i dworzanie trzymali się z pełnym szacunku dystansem z tyłu pojazdu. Większość z nich starała się uniknąć nawet cienia wrażenia, że podsłuchują Leto i Monea. Ale nie Idaho. Rozmieścił niektóre ze strażniczek - Mówiących-do-Ryb - po obu stronach Królewskiego Traktu, a sam stał niedaleko, wpatrując się w Wóz. Idaho miał na sobie czarny mundur z białym lamowaniem - dar Mówiących-do-Ryb, jak twierdził Moneo.

- Bardzo go lubią, właśnie za to. Jest dobry w tym, co robi.

- Co on robi, Moneo?

- Noo... Strzeże twojej osoby, Panie.

Wszystkie kobiety ze straży nosiły obcisłe mundury, każdy z wyszytym czerwonym jastrzębiem Atrydów na lewej piersi.

- Obserwują go uważnie - powiedział Leto.

- Tak. Uczy ich sygnałów dłonią. Mówi, że to atrydzka metoda.

- Ma na pewno rację. Zastanawiam się, dlaczego poprzedni tego nie robił.

- Panie, jeżeli nie wiesz...

- Żartowałem, Moneo. Poprzedni Duncan nie czuł się zagrożony, dopóki nie było za późno. Czy ten przyjął nasze wyjaśnienia?

- Tak mi powiedziano, Panie. Dobrze się wprawia w służbie.

- Dlaczego jest uzbrojony tylko w nóż?

- Kobiety przekonały go, że tylko specjalnie wyszkolone spośród nich mogą nosić rusznice laserowe.

- Twoja ostrożność jest bezpodstawna, Moneo. Powiedz tym kobietom, że jest o wiele za wcześnie, by zacząć się bać tego Duncana.

- Jak mój Pan sobie życzy.

Dla Leto było oczywiste, że jego nowy Dowódca Straży nie jest zachwycony obecnością dworzan. Stał znacznie od nich oddalony. Większość dworzan, jak mu powiedziano, to wybitni urzędnicy. Na ten dzień wystroili się w najjaskrawsze i najwspanialsze stroje, w których mogli paradować w pełnej chwale obecności Pana Leto, Boga Imperatora. Leto zdawał sobie sprawę, jakimi głupcami ci dworzanie muszą wydawać się Idaho, ale pamiętał o wiele głupszą strojność i stwierdził, że dzisiejszą ich prezencję można uznać za poprawną.

- Przedstawiłeś go Sionie? - zapytał Leto.

Na wspomnienie o Sionie brwi Monea ściągnęły się nagle.

- Uspokój się - rzekł Leto. - Nawet gdy mnie szpiegowała, kochałem ją.

- Wyczuwam w niej niebezpieczeństwo, Panie. Czasem myślę, że zagląda w me najsekretniejsze myśli.

- Mądre dziecko zna swego ojca.

- Ja nie żartuję, Panie.

- Tak, widzę. Czy zauważyłeś, że Duncan zaczyna się niecierpliwić?

- Przeszukali drogę prawie do mostu - powiedział Moneo.

- Co znaleźli?

- To samo co ja - kilku Muzealnych Fremenów.

- Jeszcze jedna petycja?

- Nie gniewaj się, Panie.

Raz jeszcze Leto spojrzał przed siebie. Ta nieunikniona ekspozycja na świeżym powietrzu, długa i majestatyczna podróż ze wszystkimi rytualnymi wymaganiami dla uspokojenia Mówiących-do-Ryb - wszystko to kłopotało Leto. A teraz kolejna petycja.

Idaho wyszedł naprzód i zatrzymał się tuż za Moneem. Wydawało się, jakby w jego ruchach czaiła się groźba. "Na pewno nie tak szybko" - pomyślał Leto.

- Dlaczego się zatrzymaliśmy, Panie?

- Często tu przystaję - odparł Leto.

To była prawda. Odwrócił się i popatrzył poza baśniowy most. Droga biegła w dół z wysokości grani w Zakazany Las i stad przez nadrzeczne pola. Było jednak coś w tym poranku, słońcu przebijającym się przez znajomy krajobraz... coś, co budziło stare wspomnienia.

Pola Plantacji Królewskich sięgały poza las i gdy słońce podniosło się nad daleką krzywizną ziemi, zaczęło promienieć lśniącym złotem na falach zboża na polach. Zboże - ziarno - piasek - skojarzył Leto i przypomniał sobie ruchome diuny wędrujące niegdyś przez tę samą ziemię.

Które będą wędrować raz jeszcze.

Zboże nie było dokładnie takiej barwy jak zapamiętany krzemowy bursztyn jaskrawej pustyni. Leto obejrzał się za siebie na otoczony urwiskiem Serir, sanktuarium jego przeszłości. Kolory były wyraźnie odmienne. Mimo wszystko, gdy spojrzał raz jeszcze ku Miastu Świątecznemu, poczuł ból tam, gdzie jego wiele serc nabierało nowego kształtu w swej przemianie w coś zupełnie obcego.

"Co takiego jest w tym poranku, co każe mi myśleć o moim utraconym człowieczeństwie?" - zastanawiał się Leto. Wiedział, że z całej monarszej świty spoglądającej na znajomą scenerię zbożowych pól i lasu jedynie on myśli o krajobrazie jako bahr bela ma, oceanie bez wody.

- Duncanie - powiedział Leto. - Patrzysz w stronę miasta? Tam był Tanzerouft.

- Kraj grozy? - Idaho zdradził zaskoczenie szybkim spojrzeniem ku Onn i nagłym powrotem uwagi do Leto.

- Bahr bela ma - powiedział Leto. - Od ponad trzech tysięcy lat pokryty jest dywanem roślinności. Ze wszystkich, którzy żyją teraz na Arrakis, tylko my dwaj kiedykolwiek widzieliśmy tutejszą pustynię.

Idaho spojrzał ku Onn.

- Gdzie jest Mur Zaporowy? - zapytał.

- Szczerba Muad'Diba była właśnie tam, gdzie zbudowaliśmy miasto.

- Ta linia niskich wzgórz to był Mur Zaporowy? Co się z nim stało?

- Stoisz na nim.

Idaho spojrzał w górę na Leto, potem w dół na drogę, wreszcie rozejrzał się dookoła.

- Panie, czy możemy ruszać? - zapytał Moneo.

"Moneo z tym swoim zegarkiem tykającym w piersi to właściwa ostroga dla dyscypliny" - pomyślał Leto. Musiał się jeszcze spotkać z ważnymi gośćmi i załatwić inne pilne sprawy. Czas gonił więc majordoma, który poza tym nie lubił, gdy jego Bóg Imperator rozmawiał o dawnych czasach z Duncanami.

Leto uświadomił sobie nagle, że stoją tu już o wiele dłużej niż kiedykolwiek wcześniej. Strażniczkom i dworzanom robiło się zimno po szybkim marszu w porannym chłodnym powietrzu. Większość dobrała swój strój bardziej na pokaz niż dla osłony.

"Zatem od nowa - pomyślał Leto. - Być może wygląd to forma ochrony."

- Tam były wydmy? - spytał Idaho.

- Ciągnące się tysiącami kilometrów - potwierdził Leto. Moneo zmagał się z natrętnymi myślami. Znał dobrze refleksyjne nastroje Boga Imperatora, ale tego dnia dochodził do tego jeszcze smutek. Być może za sprawą niedawnej śmierci Duncana. Leto czasami pozwalał umknąć ważnej informacji, kiedy był smutny. Nigdy nie kwestionowało się nastrojów bądź kaprysów Boga Imperatora, ale czasem można je było wykorzystać.

"Trzeba będzie ostrzec Sionę - pomyślał Moneo. - Gdybyż ta mała idiotka mnie słuchała!"

Była buntowniczką, znacznie bardziej zdesperowaną niż on kiedyś. O wiele bardziej. Leto poskromił swojego Monea, uczulił go na Złotą Drogę i nałożone prawnie obowiązki, dla których ten został spłodzony, ale metody użyte w stosunku do Monea nie zadziałałyby wobec Siony. Obserwując to, Moneo dowiedział się o tym, że jest świadomy rzeczy, których nawet nie podejrzewał.

- Nie widzę żadnych punktów orientacyjnych, które bym rozpoznawał - rzekł Idaho.

- Tam, prosto - wskazał Leto - gdzie kończy się las. To była droga do Szczerbatej Skały.

Moneo wyłączył z własnych myśli głosy rozmawiających. "Tą krańcową fascynacją Bóg Imperator w końcu wziął mnie w garść." Leto nigdy nie przestawał zaskakiwać i zdumiewać. Nie można było przewidywać jego poczynań. Moneo spojrzał na profil Boga Imperatora. "Czym on się stał?"

Wypełniając swe obowiązki, Moneo badał poufne dokumenty z Twierdzy, historyczne sprawozdania o przemianie Leto, ale symbioza z piaskopływakami pozostawała tajemnicą, której nawet własne słowa Leto nie potrafiły rozjaśnić. Jeżeli wierzyć relacjom, skóra z piaskopływaków uczyniła jego ciało prawie zupełnie odpornym na upływ czasu i fizyczne uszkodzenia. Żebrowany rdzeń wielkiego korpusu mógł wchłonąć nawet strzały z rusznicy laserowej.

"Najpierw piaskopływaki, potem czerw - wszystkie etapy wielkiego kręgu, w którym tworzy się melanż" - pomyślał. Ten krąg był we wnętrzu Boga Imperatora... znacząc czas.

- Ruszajmy - powiedział Leto.

Moneo uświadomił sobie, że kogoś minął. Wyrwał się z zamyślenia i spojrzał na uśmiechającego się Duncana Idaho.

- Nazywaliśmy to kiedyś bujaniem w obłokach - powiedział Leto.

- Przepraszam, Panie - rzekł Moneo. - Byłem...

- W obłokach, ale to nic nie szkodzi.

"Poprawił mu się nastrój - pomyślał Moneo. - Myślę, że mogę być za to wdzięczny Duncanowi."

Leto poprawił nieco swą pozycję w Wozie i przymknął kopułowate przykrycie, pozostawiając odsłoniętą tylko głowę. Gdy Leto uruchomił maszynę, koła pojazdu zachrzęściły na drobnych kamykach na skalnym podłożu. Idaho przeszedł na prawą stronę Monea i obydwaj zaczęli szybko iść ramię w ramię.

- Ma pod Wozem kule dryfowe, ale używa kół - powiedział Idaho. - Dlaczego?

- Panu Leto przyjemniej jest używać kół niż antygrawitacji.

- Co napędza ten pojazd? Jak on nim steruje?

- Pytałeś go o to?

- Nie miałem okazji.

- Wóz Królewski jest ixiańskiej produkcji.

- To znaczy?

- Mówi się, że Pan Leto uruchamia go i prowadzi, myśląc w pewien określony sposób.

- Nie wiesz tego?

- Pan Leto nie lubi takich pytań jak to.

"Nawet dla tych, którzy są blisko niego - pomyślał Moneo - Bóg Imperator pozostaje tajemnicą."

- Moneo! - zawołał Leto.

- Wróciłbyś lepiej do swoich strażniczek - powiedział Moneo, dając znak Duncanowi, by pozostał w tyle.

- Wysunę się razem z nimi naprzód - odrzekł Idaho.

- Pan Leto nie życzy sobie tego! Przejdź w tył!

Moneo przyspieszył, by znaleźć się przy twarzy Leto i zauważył, że Idaho zostaje w tyle, wymijany przez dworzan, chcąc dołączyć do tylnego kręgu strażniczek.

Leto spojrzał na Monea.

- Widzę, że bardzo dobrze sobie z tym poradziłeś, Moneo.

- Dziękuję, Panie.

- Czy wiesz, dlaczego Duncan chce być na przedzie?

- Oczywiście, Panie. To tam powinien być twój strażnik.

- A on wyczuwa niebezpieczeństwo.

- Nie rozumiem cię, Panie. Nie mogę pojąć, dlaczego to robisz.

- To prawda, Moneo.

Kobiecy zmysł dzielenia się wszystkim bierze swój początek w rodzinnej wspólnocie - trosce o potomstwo, gromadzeniu i przygotowywaniu żywności, dzieleniu radości, miłości i smutków. Religia zrazu była monopolem kobiet, wydartym im dopiero wtedy, gdy jej władza stała się zbyt dominująca. Kobiety były pierwszymi badaczami w zakresie nauk medycznych i praktykami w owej dziedzinie. Nigdy nie było żadnej równowagi pomiędzy płciami, ponieważ władza wiąże się z pewnymi rolami społecznymi, podobnie jak z pewnością wiąże się z informacją.

"Wykradzione dzienniki"

Był to katastrofalny poranek dla Matki Wielebnej Tertius Eileen Anteac. Dotarły tu na Arrakis wraz z Prawdomówczynią, Marcus Claire Luyseyal, przyleciawszy ze swą oficjalną świtą niecałe trzy godziny temu na pokładzie promu z galeonu Gildii, znajdującego się na stacjonarnej orbicie. Po pierwsze, przydzielono im kwaterę na samym kraiku Dzielnicy Ambasad Miasta Świątecznego. Pokoje były małe i niezupełnie czyste. "Jeszcze trochę, a będziemy obozowały w slumsach" —powiedziała Luyseyal. Następnie odmówiono im udogodnień komunikacyjnych. Bez względu na to, jak wiele przełączników obracały i wykręcały tarcz, wszystkie ekrany pozostawały ciemne.

Anteac zwróciła się ostro do zwalistej kobiety-oficera dowodzącej eskortą Mówiących-do-Ryb, gwardzistki o srogim spojrzeniu i mięśniach pracownika fizycznego:

"Chcę się poskarżyć waszemu dowódcy."

"Niedozwolone są żadne skargi w czasie Święta" - odparła ta chrapliwie. Anteac spojrzała na nią wzrokiem, który przyprawiał o wahanie nawet zaprzyjaźnione z nią Matki Wielebne. Amazonka uśmiechnęła się jedynie i rzekła:

"Mam dla was informację. Mam wam przekazać, że wasza audiencja u Boga Imperatora została przesunięta na ostatnią w kolejności."

Słyszała to większość świty Bene Gesserit i nawet najmniej ważne służące-kandydatki pojęły, co to oznacza. Wszystkie przydziały nie będą tym razem zwiększone, albo nawet (Bogowie, chrońcie nas!) zmniejszone.

"Miałyśmy być przyjęte jako trzecie" - powiedziała Anteac niezwykle łagodnym jak na takie okoliczności głosem.

"To rozkaz Boga Imperatora!"

Anteac znała ten ton u Mówiących-do-Ryb. Zaprzeczyć - znaczyło sprowokować je.

"Poranek pełen nieszczęść, a teraz jeszcze to!"

Anteac siedziała na niskim stołku pod ścianą malutkiego, prawie pustego pokoiku w środku ich nieodpowiedniej kwatery. Obok niej stała wąska prycza, nie lepsza od tej, którą przydzieliłaby akolitce. Chropowate ściany były bladozielonej barwy, a jedynej obskurnej, starej kuli świętojańskiej nie można było przestroić z żółtego światła. Pomieszczenie wyglądało tak, jak gdyby dawniej służyło za magazyn. Pachniało w nim stęchlizną. Czarne tworzywo posadzki poznaczone było wklęśnięciami i rysami.

Wygładzając czarną abę na kolanach, Anteac nachyliła się blisko ku kurierce - kandydatce do zakonu, która klęczała z pochyloną głową na wprost Matki Wielebnej. Było to płowowłose stworzenie o oczach łani. Na jej twarzy i szyi widać było kropelki potu - wynik strachu i podniecenia. Miała na sobie zakurzoną brunatną szatę.

- Jesteś pewna, absolutnie pewna? - Anteac przemówiła miękko, by uspokoić biedną dziewczynę, która wciąż drżała, poruszona wagą swego przesłania.

- Tak, Matko Wielebna. - Jej wzrok wciąż był spuszczony.

- Powtórz to jeszcze raz - powiedziała Anteac i pomyślała: "Chcę zyskać na czasie. Zrozumiałam, o co jej chodzi."

Kurierka podniosła swój wzrok na Anteac i spojrzała prosto w całkowicie niebieskie oczy, tak jak nauczono wszystkie postulantki i akolitki.

- Tak jak mi rozkazano, nawiązałam kontakt z Ixianami w ich ambasadzie i przekazałam wasze pozdrowienia. Następnie zapytałam, czy nie mają jakichś wiadomości, które mogłabym przynieść z powrotem.

- Tak, tak, dziewczyno, wiem. Przejdź do sedna.

Kurierka przełknęła ślinę.

- Ich rzecznik przedstawił się jako Othwi Yake, tymczasowy przełożony w ambasadzie, pomocnik poprzedniego Ambasadora.

- Jesteś pewna, że nie był to podstawiony Tancerz Oblicza?

- Nic na to nie wskazywało, Matko Wielebna.

- Bardzo dobrze. Znamy tego Yake. Możesz kontynuować.

- Yake powiedział, że oczekują przybycia nowego...

- Hwi Noree, nowa pani Ambasador, tak. Ma przybyć dzisiaj. Kurierka zwilżyła wargi językiem. Anteac zanotowała sobie w pamięci, że to biedne stworzenie musi jeszcze raz przejść elementarny kurs szkolenia. Kurierki powinny mieć lepszą samokontrolę, chociaż uchybienia w jej zachowaniu można było złożyć na karb ważności przesłania.

- Poprosił mnie następnie, żebym zaczekała - powiedziała kurierka. - Wyszedł z sali i wkrótce potem wrócił z Tleilaxaninem, Tancerzem Oblicza. Jestem pewna, że to był Tleilaxanin, dostrzegłam pewne oznaki...

- Na pewno masz rację, dziewczyno - rzekła Antec. - Przejdź teraz... - Anteac urwała, gdy weszła Luyseyal.

- Co ma oznaczać to, co usłyszałam o wiadomościach od Ixian i Tleilaxan? - zapytała Luyseyal.

- Dziewczyna powtarza to teraz - powiedział Anteac.

- Dlaczego mnie nie wezwano?

Anteac spoglądała na swą przyjaciółkę Prawdomówczynię, myśląc o tym, że Luyseyal może i jest jedną z najdoskonalszych w swej s z t u c e , ale zbyt wielką wagę przykłada do hierarchii. Luyseyal była jednak młoda, miała owalną twarz o rysach przypominających Jessikę, której geny przyczyniły się do stworzenia tej upartej natury.

Anteac przemówiła miękko:

- Twoja akolitka mówiła, że medytujesz.

Luyseyal kiwnęła głową, usiadła na pryczy i powiedziała do kurierki:

- Kontynuuj!

- Ten Tancerz Oblicza powiedział, że ma wiadomość dla Matek Wielebnych - rzekła dziewczyna. - Użył liczby mnogiej - dodała po chwili.

- Wie, że tym razem jesteśmy dwie - rzekła Anteac.

- Wszyscy o tym wiedzą - odparła Luyseyal.

Anteac skupiła się wyłącznie na posłance:

- Czy wejdziesz teraz w pamięciotrans i podasz nam dokładnie słowa Tancerza Oblicza?

Kurierka skinęła głową, przysiadła na piętach i złożyła dłonie na kolanach. Wciągnęła trzy głębokie oddechy, zamknęła oczy i pozwoliła opaść ramionom. Gdy przemówiła, jej głos miał wysoki, nosowy ton:

- Powiedz Matkom Wielebnym, że dziś wieczór Imperium zostanie pozbawione swego Boga Imperatora. Uderzymy weń dziś, zanim dotrze do Onn. Nie może się nam nie udać.

Głęboki oddech aż wstrząsnął kurierką. Otworzyła oczy i spojrzała na Anteac.

- Ten ixianin, Yake, powiedział mi, żebym się pospieszyła z powrotem z tą wiadomością. Potem dotknął grzbietu mojej lewej dłoni w szczególny sposób, dalej przekonując mnie, że nie jest...

- Yake to jeden z naszych agentów - powiedziała Anteac. - Powiedz Luyseyal, co przekazał palcami.

Kurierka spojrzała na Luyseyal.

"Zostaliśmy napadnięci przez Tancerzy Oblicza i nie mamy swobody ruchów."

Gdy Luyseyal zaczęła podnosić się z pryczy, Anteac powiedziała:

- Podjęłam już właściwe kroki, by strzec naszych kwater. - Anteac spojrzała na kurierkę. - Możesz już odejść, dziewczyno. Byłaś odpowiednią osobą do tego zadania.

- Tak, Matko Wielebna. - Kurierka podniosła smukłe ciało z pewną dozą wdzięku, ale jej ruchy zdradzały nieomylnie, że pojęła znaczenie słów Anteac. "Byłaś odpowiednią osobą" nie znaczyło "dobrze sobie poradziłaś".

Kiedy kurierka odeszła, Luyseyal rzekła:

- Powinna była znaleźć jakąś wymówkę, żeby obejrzeć ambasadę i stwierdzić, ilu z Ixian zostało podstawionych.

- Myślę, że nie - odparła Anteac. - W tym względzie zachowała się prawidłowo. Nie, ale lepiej byłoby, gdyby znalazła sposób na uzyskanie od Yakego bardziej szczegółowych informacji. Boję się, że go straciliśmy.

- To chyba oczywiste, dlaczego Tleilaxanie przesłali nam tę wiadomość - powiedziała Luyseyal.

- Naprawdę mają zamiar go zaatakować - dopowiedziała Anteac.

- Oczywiście. Ci głupcy to właśnie chcą zrobić, ale pytam, dlaczego przesłali nam wiadomość.

Anteac pokiwała głową.

- Myślą, że teraz nie mamy wyboru poza przyłączeniem się do nich.

- A jeżeli spróbujemy ostrzec Pana Leto, Tleilaxanie dowiedzą się o naszych informacjach i kontaktach.

- Co będzie, jeżeli Tleilaxanom się powiedzie? - zapytała Anteac.

- To nieprawdopodobne.

- Nie znamy dokładnie ich planu, tylko ogólnie wyznaczoną porę.

- A jeżeli ta dziewczyna, Siona, bierze w tym udział? - zapytała Luyseyal.

- Zadawałam sobie to samo pytanie. Czy słyszałaś pełny raport Gildii?

- Tylko podsumowanie. Czy to wystarczy?

- Tak, z wysokim prawdopodobieństwem.

- Powinnaś być ostrożna z takimi terminami jak "wysokie prawdopodobieństwo" - powiedziała Luyseyal. - Nie chcemy, żeby ktokolwiek wiedział, że jesteś mentatem.

Ton Anteac stal się ostry.

- Chyba mnie nie wydasz?

- Czy sadzisz, że Gildia ma rację co do tej Siony? - zapytała Luyseyal.

- Nie mam dość informacji. Jeżeli mają słuszność, to ona jest kimś nadzwyczajnym.

- Tak jak ojciec Pana Leto?

- Nawigator Gildii potrafił się ukryć przed przyszłowidzącym wzrokiem ojca Pana Leto.

- Ale nie przed nim samym.

- Przeczytałam z uwagą pełny raport Gildii. Ona nie tyle chowa się sama, co kryją ją działania wokół niej, co... cóż...

- Znika, mówią. Znika z ich w z r o k u .

- Tylko ona.

- I z w z r o k u Pana Leto również?

- Tego nie wiedzą.

- Odważymy się nawiązać z nimi kontakt?

- A pozwolimy sobie nie zrobić tego? - zapytała Anteac.

- To wszystko może być bezcelowe, jeżeli Tleilaxanie... Anteac, musimy przynajmniej spróbować go ostrzec.

- Nie mamy aparatury komunikacyjnej, a przy drzwiach stoi teraz straż Mówiących-do-Ryb. Pozwalają nam wejść, ale nie wyjść.

- Nie powinnyśmy pomówić z jedną z nich?

- Myślałam o tym. Zawsze możemy powiedzieć, że obawiałyśmy się, iż są podstawionymi Tancerzami Oblicza.

- Straż w drzwiach - mruknęła Luyseyal. - Czy to możliwe, że on wie?

- Wszystko jest możliwe.

- Z Panem Leto to jedyne, co można rzec na pewno - powiedziała Luyseyal.

Anteac pozwoliła sobie na ciche westchnienie, gdy wstawała ze stołka.

- Jak tęsknię za tamtymi dawnymi czasami, gdy miałyśmy tyle przyprawy, ile tylko zapragnęłyśmy.

- To tylko kolejna iluzja - powiedziała Luyseyal. - Myślę, że dobrze nauczyłyśmy się naszej lekcji bez względu na to, jak Tleilaxanie sobie dzisiaj poradzą.

- Jakikolwiek byłby wynik, zrobią to niezgrabnie - burknęła Anteac. - Bogowie! Już nigdzie nie można znaleźć dobrych assassinów.

- Zawsze są ghole Idaho - rzekła Luyseyal.

- Co powiedziałaś? - Anteac przyjrzała się swojej towarzyszce.

- Zawsze są...

- Tak!

- Ghole mają zbyt ociężałe ciała - rzekła Luyseyal.

- Ale nie umysły.

- O czym myślisz?

- Czy to możliwe, żeby Tleilaxanie... Nie, nawet oni nie byliby tak...

- Idaho Tancerzem Oblicza? - szepnęła Luyseyal.

Anteac skinęła w milczeniu głową.

- Wybij to sobie z głowy - powiedziała Luyseyal. - Nie byliby tacy głupi.

- To niezbyt pewny sąd w odniesieniu do Tleilaxan - powiedziała Anteac. - Musimy przygotować się na najgorsze. Wpuść tu jedną z tych Mówiących-do-Ryb!

Nieustający stan wojny wywołuje powstawanie indywidualnych nastawień społecznych, podobnych do siebie we wszystkich epokach. Ludzie przechodzą w stan nieustannej czujności, by ustrzec się przed atakiem. Postrzegają absolutną władzę autokratów. Wszystko, co nowe, staje się niebezpieczną, frontową dziedziną - nowe planety, nowe pola ekonomicznej eksploatacji, nowe idee, urządzenia, goście - wszystko staje się podejrzane. Feudalizm zdobywa mocne oparcie, czasami przebrany za politbiuro albo podobną strukturę, ale zawsze jest obecny. Dominuje krew możnych. Wiceregenci niebios bądź ich odpowiednicy rozdzielają bogactwa. I wiedzą, że muszą kontrolować dziedziczenie, inaczej ich władza topnieje. Czy teraz rozumiecie Pokój Leto?

"Wykradzione dzienniki"

- Czy Bene Gesserit zostały poinformowane o nowym harmonogramie? - zapytał Leto.

Jego świta dotarła do pierwszego płytkiego wcięcia w terenie, które dalej wiło się, zmierzając ku mostowi na rzece Idaho. Słońce stało w pierwszej porannej ćwiartce nieba i niektórzy z dworzan zrzucili z siebie płaszcze. Idaho maszerował z niewielką drużyną Mówiących-do-Ryb, idących po jego prawej stronie. Mundur Dowódcy Straży był mocno zakurzony i przepocony. Długi marsz i niekiedy bieg, niezbędny, by nadążyć za Wozem Królewskim, był męczącym zadaniem.

Moneo potknął się i po chwili odzyskał równowagę.

- Poinformowano je, Panie.

Zmiana rozkładu nie była prosta, ale Moneo nauczył się być przygotowanym do doraźnych korekt programu Święta. Miał w zanadrzu plany awaryjne w razie nieprzewidzianych okoliczności.

- Czy proszą o stałą ambasadę na Arrakis? - zapytał Leto.

- Tak, Panie. Udzieliłem im zwykłej odpowiedzi.

- Powinno im wystarczyć zwyczajne "nie" - powiedział Leto. -Nie potrzebują, żeby im przypominać, że brzydzę się ich religijnych pretensji.

- Tak, Panie. - Moneo trzymał się w przepisowej odległości od Wozu Leto. Tego ranka obecność Czerwia nie ulegała wątpliwości - cielesne oznaki owego faktu były zupełnie oczywiste dla oczu Monea.

To z pewnością przez wilgoć w powietrzu. Wydawała się zawsze budzić Czerwia.

- Religia zawsze prowadzi do retorycznego despotyzmu - powiedział Leto. - Przed Bene Gesserit najlepsi byli w tym jezuici.

- Jezuici, Panie?

- Czy na pewno nie natknąłeś się na nich w swoich źródłach historycznych?

- Nie jestem pewien, Panie. Kiedy to było?

- To bez znaczenia. Dowiesz się wystarczająco dużo o despotyzmie retorycznym z obserwacji Bene Gesserit. Oczywiście, one same nie mają co do tego żadnych złudzeń.

"Matki Wielebne czeka ciężka przeprawa - powiedział sobie Moneo. - Zamierza wygłosić do nich kazanie. One tego nie znoszą. To może wywołać poważne kłopoty."

- Jaka była ich reakcja? - zapytał Leto.

- Powiedziano mi, że były rozczarowane, ale się nie upierały.

Moneo zastanowił się: "Lepiej przygotuję je na dalsze rozczarowania. Będą poza tym musiały trzymać się z daleka od delegacji Ix i Tleilaxu." Potrząsnął głową. To mogło doprowadzić do jakiegoś bardzo paskudnego spisku. Lepiej będzie ostrzec Duncana.

- Prowadzi to do samospełniających się proroctw i usprawiedliwiania wszelkich nieprzyzwoitości - powiedział Leto.

- Ten... retoryczny despotyzm. Panie?

- Tak! Osłania zło ścianami przekonania o własnej racji, które są odporne na wszelkie argumenty.

Moneo patrzył z wahaniem na ciało Leto, konstatując sposób, w jaki prawie niezauważalnym ruchem zaciskają się dłonie, drgają wielkie żebrowane segmenty. "Co mam robić, jeżeli Czerw wyjdzie tutaj z niego?" Na czoło Monea wystąpił pot.

- Żywi się rozmyślnie zawikłanymi pojęciami, by zdyskredytować opozycję - rzekł Leto.

- Całą, Panie?

- Jezuici nazywali to "zabezpieczaniem swojej podstawy władzy". To prowadzi bezpośrednio do hipokryzji, która zawsze zdradza się rozziewem między działaniami i wyjaśnieniami. Nigdy się ze sobą nie zgadzają.

- Muszę to przestudiować z większą uwagą, Panie.

- Ostatecznie rządzi się przez określanie winy, ponieważ hipokryzja doprowadza do polowań na czarownice i poszukiwania kozłów ofiarnych.

- To straszne, Panie.

Orszak okrążył zakręt, za którym w skale otwierał się widok na odległy most.

- Moneo, słuchasz mnie uważnie?

- Tak, Panie, naprawdę.

- Opisuję działanie religijnej bazy władzy.

- Rozumiem, Panie.

- Zatem dlaczego jesteś taki przelękniony?

- Rozmowy o władzy religijnej zawsze napawają mnie niepokojem, Panie.

- Ponieważ ty i Mówiące-do-Ryb sprawujecie ją w moim imieniu?

- Oczywiście, Panie.

- Podstawy władzy są bardzo niebezpieczne, ponieważ przyciągają ludzi, którzy są naprawdę szaleni, którzy szukają władzy tylko dla niej samej. Rozumiesz?

- Tak, Panie. To dlatego tak rzadko zatwierdzasz petycje o stanowiska w twoim rządzie.

- Doskonale, Moneo!

- Dziękuję, Panie.

- W cieniu każdej religii czai się Torquemada - powiedział Leto. - Nigdy nie zetknąłeś się z tym nazwiskiem. Wiem o tym, bo spowodowałem usunięcie go ze wszystkich kronik.

- Dlaczego to zrobiłeś, Panie?

- Był kimś obrzydliwym. Z ludzi, którzy się z nim nie zgadzali, robił żywe pochodnie.

Moneo ściszył głos:

- Jak z historykami, którzy cię rozgniewali, Panie?

- Kwestionujesz moje postępowanie?

- Nie, Panie!

- Dobrze. Historycy umarli w pokoju. Żaden z nich nawet nie poczuł płomieni. Torquemada jednakże czerpał rozkosz, polecając swemu Bogu agonalne krzyki płonących ofiar.

- To okropne, Panie.

Orszak minął kolejny zakręt z widokiem na most. Wydawało się, że Czerw nie nadchodzi. Jednak wciąż był bardzo blisko. Moneo czuł groźbę tej nieprzewidywalnej obecności, Świętej Obecności, która potrafiła uśmiercać bez ostrzeżenia.

Moneo zadrżał. Co znaczyło to dziwne... kazanie? Moneo wiedział, że niewielu kiedykolwiek słyszało Boga Imperatora mówiącego w ten sposób. Był to przywilej i brzemię zarazem. Była to część ceny płaconej za Pokój Leto. Pokolenia za pokoleniami maszerowały w uporządkowanym szeregu pod dyktando tego pokoju. Tylko wewnętrzny krąg Twierdzy wiedział o wszystkich, nieczęstych w nim wyłomach - i n c y d e n t a c h , kiedy to Mówiące-do-Ryb były wysyłane wobec przewidywań gwałtownych zajść.

P r z e w i d y w a n i e !

Moneo spojrzał na milczącego teraz Leto. Oczy Boga Imperatora były zamknięte, a na jego twarzy pojawił się wyraz zamyślenia. To była jeszcze jedna z oznak Czerwia - i to zła. Moneo zadrżał.

Czy Leto przewidywał nawet chwile dzikiej gwałtowności? Ta antycypacja przemocy napełniała drżeniem obawy i lęku całe Imperium. Leto wiedział, gdzie należy rozmieścić straże, by stłumić poronione powstania. Wiedział o nich, zanim wybuchały.

Nawet samo zastanowienie się nad owymi sprawami sprawiało, że Moneo czuł suchość w ustach. Majordom wierzył, że zdarzają się chwile, kiedy Bóg Imperator jest w stanie czytać w każdym umyśle. Och, Leto korzystał z usług szpiegów. Tajemnicze postaci z zasłoniętymi twarzami przepuszczane przez Mówiące-do-Ryb, mające za zadanie wspiąć się ku orlemu gniazdu na wieży Leto lub zstąpić do krypty. Szpiedzy, bez wątpienia, ale Moneo podejrzewał, że potrzebni byli jedynie po to, by potwierdzać fakty, o których Leto już wiedział.

Jak gdyby domyślając się obaw Monea, Leto powiedział:

- Nie staraj się na siłę pojąć moich metod, Moneo. Niech zrozumienie przyjdzie samo z siebie.

- Postaram się, Panie.

- Nie, n i e staraj się. Powiedz mi zamiast tego, czy już oświadczyłeś, że nie będzie żadnych zmian w przydziałach przyprawy?

- Jeszcze nie, Panie.

- Odrocz to oświadczenie. Zmieniam swoją decyzję. Wiesz, oczywiście, że znowu będą propozycje łapówek?

Moneo westchnął. Sumy proponowane mu jako łapówki osiągnęły absurdalne wręcz wysokości, a Leto wydawał się być rozbawiony tą eskalacją.

"Wyżyłuj ich - powiedział wcześniej. - Zobaczymy, jak wysoko zajdą. Spraw, aby im się wydawało, że w końcu uda się ciebie przekupić."

Teraz, gdy pokonali jeszcze jeden zakręt, Leto zapytał:

- Czy ród Corrinów proponował ci przekupstwo?

- Tak, Panie.

- Czy znasz mit, który mówi, że pewnego dnia ród Corrinów powróci do swej dawnej świetności i władzy?

- Słyszałem o tym, Panie.

- Każ zabić głowę rodu Corrinów. To zadanie dla Duncana. Poddamy go próbie.

- Tak szybko, Panie?

- Wciąż wiadomo, że melanż potrafi przedłużyć ludzkie życie, niech będzie też wiadomo, że może je skrócić.

- Jak rozkażesz, Panie.

Moneo zdawał sobie sprawę z podtekstu, jaki posiadała ta odpowiedź. Zawsze mówił w ten sposób, kiedy nie mógł wyjawić głębokiego sprzeciwu, który czuł. Wiedział także, że Pan Leto rozumie to i jest tym rozbawiony. Denerwowało go to.

- Nie próbuj być niecierpliwy, Moneo - powiedział Leto.

Moneo stłumił w sobie poczucie goryczy. Gorycz niosła niebezpieczeństwo. Buntownicy byli nią przepełnieni. Duncanowie stawali się zgorzkniali, zanim umierali.

- Czas ma dla ciebie odmienne znaczenie niż dla mnie, Panie - rzekł Moneo. - Chciałbym móc poznać to znaczenie.

- Mógłbyś, ale nie poznasz.

Moneo dosłyszał w tych słowach reprymendę i zamilkł. Powrócił myślami do sprawy melanżu. Pan Leto nieczęsto mówił o przyprawie, a kiedy już wypowiadał się na ten temat, to zazwyczaj by zwiększyć lub wycofać jej przydziały, rozdzielić nagrody lub wysłać Mówiace-do-Ryb po jakiś nowo odkryty zapas. Moneo wiedział, że największy istniejący zapas przyprawy zalega w jakimś miejscu znanym tylko Bogu Imperatorowi. W pierwszych dniach służby Moneowi zakryto głowę kapturem i sam Pan Leto zaprowadził go w to sekretne miejsce krętymi korytarzami, które, jak wyczuwał Moneo, znajdowały się pod ziemią.

"Kiedy zdjąłem kaptur, byliśmy w podziemiach" - przypomniał sobie.

Miejsce to oszołomiło wręcz Monea. Wielkie pojemniki z melanżem stały wewnątrz gigantycznej hali wyciętej w litej skale, a oświetlonej przez kule świętojańskie starożytnego typu, ozdobione metalowymi wolutami. W nikłym, srebrnym świetle przyprawa lśniła promienistym błękitem. I ta woń - cierpki cynamonowy zapach, co do którego nie można się było mylić. Gdzieś w pobliżu kapała woda. Głosy Leto i Monea odbijały się echem od kamiennych ścian.

"Pewnego dnia to wszystko zniknie" - powiedział Pan Leto.

Wstrząśnięty Moneo zapytał:

"Co wtedy zrobią Bene Gesserit i Gildia?"

"To, co robią teraz, ale bardziej gwałtownie."

Rozglądając się po ogromnej sali zawierającej gigantyczną ilość melanżu, Moneo mógł myśleć tylko o rzeczach, o których wiedział, że dokonują się obecnie w Imperium: krwawych zabójstwach, pirackich wyprawach, szpiegostwie i intrygach. Bóg Imperator stłumił w pewnym stopniu najgorsze przejawy tego zepsucia, ale to, co pozostało, było wystarczająco złe.

"Pokusa" - szepnął Moneo.

"Rzeczywiście, pokusa."

"Nie będzie już nigdy więcej przyprawy, Panie?"

"Któregoś dnia wrócę do piasku. Będę wtedy źródłem przyprawy."

"Ty, Panie?"

"I stworzę coś równie wspaniałego - hybrydę z piaskopływaków, rozmnażającą się hybrydę."

Osłupiały pod wpływem tego oświadczenia, Moneo wpatrywał się w pogrążoną w cieniu figurę Boga Imperatora, mówiącego o takich cudach.

"Piaskopływaki - powiedział Pan Leto - połączą się w wielkie, żywe pęcherze, by zamknąć całą wodę tej planety głęboko pod jej powierzchnią. Tak jak to było w czasach Diuny."

"Wszystką wodę. Panie?"

"Jej większość. Za trzysta lat znów będą tu królować czerwie pustyni. To będą czerwie nowego rodzaju, obiecuję ci."

"Jak to, Panie?"

"Będą miały zwierzęcą świadomość i nową przemyślność. Poszukiwanie przyprawy stanie się niebezpieczniejsze, a jej przechowywanie trudniejsze."

Moneo podniósł wzrok na skalny strop jaskini, sięgając wyobraźnią przez kamień ku powierzchni.

"Wszystko znów stanie się pustynią, Panie?"

"Zbiorniki wodne wypełnią się piaskiem. Plony zostaną zasypane i zniszczone. Drzewa znikną pod wielkimi ruchomymi wydmami. Morderczy piach będzie się szerzył dopóty, dopóki... dopóki w jałowej krainie nie rozlegnie się subtelny sygnał."

"Jaki sygnał, Panie?"

"Sygnał dla następnego cyklu, nadejścia Stworzyciela, nadejścia Szej-huluda."

"To będziesz ty, Panie?"

"Tak! Wielkie czerwie Diuny raz jeszcze wynurzą się na powierzchnię. Ta ziemia znowu będzie domeną przyprawy i czerwi."

"A co z ludźmi, Panie?"

"Wielu umrze. Plantacje zbóż i bujna roślinność tego kraju zostaną wypalone przez słońce. Bez pożywienia bydło wymrze."

"Wszystkich dosięgnie głód, Panie?"

"Niedożywienie i dawne choroby będą gnębić tę ziemię i tylko najtwardsi przeżyją... Najtwardsi i najbrutalniejsi."

"Czy tak być musi, Panie?"

"Alternatywy są jeszcze gorsze."

"Powiedz mi o tych alternatywach, Panie."

"Dowiesz się w swoim czasie."

Maszerując w porannym świetle obok Boga Imperatora w trakcie podróży do Onn, Moneo mógł tylko przyznać, że rzeczywiście dowiedział się o alternatywnych wyjściach.

Moneo wiedział, że dla większości posłusznych obywateli Imperium skromna część tej wiedzy była dostępna dzięki Przekazom Ustnym, mitom i niestworzonym opowieściom, szerzonym przez pomylonych proroków, którzy pojawiali się coraz to na innych planetach, by na krótko zaskarbić sobie wyznawców.

"Ale ja wiem, co robią Mówiące-do-Ryb."

I wiedział także o złych ludziach, siedzących za stołem i dogadzających sobie rzadkimi smakołykami, obserwujących męki prostych ludzi.

Dopóki nie zjawiły się Mówiące-do-Ryb i krew nie wymazała podobnych scen.

- Zachwycałem się sposobem, w jaki obserwowała mnie twoja córka - powiedział Leto. - Była nieświadoma tego, że ja wiem.

- Panie, boję się o nią. To moja krew, moja...

- Moja też, Moneo. Czyż nie jestem Atrydą? Lepiej lękałbyś się o siebie.

Moneo rzucił pełne obawy spojrzenie wzdłuż ciała Boga Imperatora. Oznaki Czerwia były bardzo wyraźne. Majordom spojrzał na podążający za nimi orszak, potem na drogę przed sobą. Znajdowali się teraz na stromej pochyłości wysokich ścian spiętrzonych przez człowieka, skał urwistej zapory otaczającej Serir.

- Siona mnie nie obraża, Moneo.

- Ale ona...

- Moneo! W otoczce tajemnicy tkwi jeden z największych sekretów życia. Być z a s k o c z o n y m , tego właśnie pożądam najbardziej.

- Panie, ja...

- Nowość! Czy to nie promienne, cudowne słowo?

- Jeżeli tak mówisz, Panie.

Leto był zmuszony przypomnieć sobie: "Moneo to mój wytwór. Ja go stworzyłem."

- Twoje dziecko jest dla mnie warte prawie każdej ceny, Moneo. Oczerniasz jej towarzyszy, ale pośród nich może być ten, którego kocha.

Moneo rzucił mimowolne spojrzenie w tył, na Duncana Idaho, maszerującego ze swoimi strażniczkami. Idaho patrzył przed siebie, jak gdyby próbując wybadać każdy zakręt drogi, zanim dotrze tam orszak. Nie podobało mu się to miejsce, otoczone wysokimi murami, zza których mógł nastąpić atak. Idaho wysłał tu w nocy zwiadowczynie i Moneo wiedział, że niektóre z nich wciąż czuwają na górze, ale przed maszerującymi, jeszcze przed osiągnięciem rzeki, były również wąwozy. Strażniczek poza tym nie było tyle, by je rozstawić wszędzie.

"Będziemy polegali na Fremenach" - zapewnił go Moneo.

"Fremenach?" - Idaho nie lubił słuchać o Muzealnych Fremenach.

"Przynajmniej mogą podnieść alarm, gdy ujrzą intruzów" - powiedział Moneo.

"Widziałeś się z nimi i prosiłeś ich o to?"

"Oczywiście."

Moneo nie ośmielił się poruszać tematu Siony w obecności Idaho. Będzie na to dość czasu później, ale teraz Bóg Imperator powiedział rzecz niepokojącą. Czy w jego planach nastąpiła zmiana? Moneo powrócił uwagą do Boga Imperatora i rzekł zniżonym głosem:

- Kocha towarzysza, Panie? Ale powiedziałeś, że Duncan...

- Powiedziałem "kocha", a nie "parzy się"!

Moneo otrząsnął się, wspominając, jak zaaranżowano jego własne małżeństwo, oderwano od...

Nie! Lepiej nie zagłębiać się w te wspomnienia.

Było uczucie... nawet prawdziwa miłość... ale później, nie na początku.

- Znowu bujasz w obłokach, Moneo.

- Wybacz mi, Panie, ale kiedy mówisz o miłości...

- Myślisz, że nie ma we mnie czułości?

- To nie to, Panie, ale...

- Myślisz zatem, że nie mam żadnych wspomnień o miłości ani płodzeniu potomstwa? - Wóz skręcił ku Moneowi, zmuszając go, przerażonego srogim spojrzeniem oczu Leto, do odskoczenia w bok.

- Panie, błagam o...

- To c i a ł o mogło nigdy nie zaznać takich przyjemności, ale w s z y s t k i e wspomnienia są moje!

Moneo widział, że oznaki Czerwia stają się coraz bardziej dominujące w ciele Boga Imperatora. Nie mógł się mylić co do jego nastroju.

"Jestem w poważnym niebezpieczeństwie. My wszyscy jesteśmy,"

Moneo słyszał i rozróżniał w tym momencie wszystkie dźwięki rozlegające się wokół niego - chrzęst kół Wozu Królewskiego na drodze, pokaszliwania, kroki i ciche rozmowy dobiegające od strony świty. Z ciała Boga Imperatora dobył się wyziew o zapachu cynamonu. Powietrze pomiędzy skalnymi ścianami wciąż utrzymywało swój poranny chłód, a od rzeki niosła się wilgoć.

Czy wilgoć wydobywa na powierzchnię Czerwia?

- Słuchaj mnie, Moneo, jak gdyby od tego zależało twoje życie.

- Tak, Panie - szepnął Moneo i wiedział, że jego życie rzeczywiście zależy od uwagi, z którą teraz przystąpi, nie tylko do słuchania, ale i do obserwowania.

- Część mnie pozostaje niewidoczna, bez myśli - powiedział Leto. - Ta część reaguje. Czyni rzeczy, nie troszcząc się o wiedzę ani o logikę.

Moneo kiwnął głową, całą uwagę skupiając na twarzy Leto. Czy oczy Boga Imperatora zaczynały szkliście lśnić?

- Jestem zmuszony stać z boku i obserwować te rzeczy, nic więcej - powiedział Leto. - Taka reakcja może spowodować twoją śmierć. Wybór nie należy do mnie, słyszysz?

- Słyszę, Panie - szepnął Moneo.

- W takim wypadku nie ma czegoś takiego jak wybór! Przyjmujesz to, jedynie godzisz się z tym. Nigdy nie będziesz tego znać ani rozumieć. Co na to powiesz?

- Boję się nieznanego, Panie.

- A ja nie. Powiedz mi, dlaczego?

Moneo oczekiwał kryzysu takiego jak ten i kiedy to już się stało, powitał go prawie z radością. Wiedział, że jego życie zależy od tej odpowiedzi. Wpatrzył się w Boga Imperatora, pokonując gonitwę myśli.

- To ze względu na wszystkie twoje wspomnienia, Panie.

- Tak?

A więc dał niepełną odpowiedź.

- Widzisz wszystko, co wiemy... - Moneo szukał słów - wszystko to, co było kiedyś... nieznane! Niespodzianka dla ciebie... Niespodzianka musi być jedynie czymś nowym, co świeżo poznajesz? - Moneo uświadomił sobie, że opatrzył obronnym znakiem zapytania coś, co powinno być śmiałym stwierdzeniem, ale Bóg Imperator jedynie się uśmiechnął.

- Za taką mądrość otrzymujesz premię, Moneo. Czego byś chciał?

Nagła ulga utorowała ścieżkę dla innych obaw.

- Czy mógłbym sprowadzić Sionę z powrotem do Twierdzy?

- To spowoduje, że wcześniej poddam ją próbie.

- Trzeba ją oddzielić od jej towarzyszy. Panie.

- Bardzo dobrze.

- Mój Pan jest łaskawy.

- Jestem samolubny.

Bóg Imperator odwrócił się następnie od Monea i zamilkł. Patrząc na jego segmentowane ciało, Moneo stwierdził, że oznaki Czerwia trochę ustąpiły. Wszystko skończyło się wiec dobrze. Pomyślał o Fremenach z ich petycją i strach powrócił.

"To był błąd. Podniecą go znowu. Dlaczego powiedziałem, że mogą przedstawić swoją petycję?"

Fremeni czekali zapewne w przedzie, ustawieni po tej stronie rzeki, ze swymi idiotycznymi papierami powiewającymi w dłoniach.

Moneo maszerował w milczeniu, a jego irytacja narastała z każdym krokiem.

Tędy nawiewa piach, tamtędy nawiewa piach.
Tam czeka bogacz, tu czekam ja.

Głos Szej-huluda z Przekazów Ustnych

Sprawozdanie Siostry Chenoeh, znalezione po jej śmierci wśród pozostawionych przez nią zapisków:

Posłuszna zarówno swoim zasadom jak i Wspólnocie Bene Gesserit oraz poleceniu Boga Imperatora, wycofuję te słowa z mego raportu i ukrywam je, by znaleziono je dopiero po mojej śmierci, ponieważ Pan Leto powiedział mi: "Wrócisz do swych Przełożonych z moją wiadomością, ale te słowa na razie powinnaś zachować w tajemnicy. Wyładuję swój gniew na zakonie żeńskim, jeżeli mnie zawiedziesz."

Jak ostrzegła mnie przed wyjazdem Matka Wielebna Syaksa: "Nie wolno ci zrobić nic, co sprowadziłoby na nas jego gniew."

Gdy biegłam obok Pana Leto w czasie krótkiej podróży, o której mówiłam, myślałam o tym, by zapytać go o to, co go łączy z Matkami Wielebnymi. Powiedziałam: "Panie, wiem, w jaki sposób Matka Wielebna zdobywa wspomnienia swoich przodkiń i innych. Jak było z tobą?"

"To była zasługa naszej spuścizny genetycznej i dzieło przyprawy. Moja bliźniacza siostra Ghanima i ja zostaliśmy przebudzeni w łonie matki i uświadomiliśmy sobie jeszcze przed urodzeniem obecność w naszej świadomości przodków."

"Panie... mój zakon nazywa to Paskudztwem."

"I słusznie tak czyni - powiedział Pan Leto. - Ilość przodków może być przytłaczająca. I kto wie, nim to się stanie, jaka siła przejmie władzę nad tą zgrają - dobra czy zła?"

"Panie, jak pokonałeś tę siłę?"

"Nie pokonałem jej - powiedział Pan Leto - ale uporczywe trwanie przy modelu faraońskim uratowało nas oboje: Ghanimę i mnie. Czy znasz ten model, siostro Chenoeh?"

"My w zakonie odbieramy staranne wykształcenie historyczne, Panie."

"Tak, ale nie myślicie o niej tak jak ja - odparł Pan Leto. - Mówię o chorobie rządzenia, którą zarazili się Grecy i przekazali ją Rzymianom, a ci roznieśli ją tak szeroko i daleko, że nigdy zupełnie nie zaginęła."

"Mój Pan mówi zagadkami."

"To żadna zagadka. Nienawidzę tej choroby, ale ona nas uratowała. Ghania i ja stworzyliśmy potężne przymierze z przodkami, którzy ulegli modelowi faraońskiemu. Pomogli nam stworzyć wewnątrz tego długo uśpionego tłumu mieszane tożsamości."

"Dla mnie jest to niepokojące, Panie."

"I tak być powinno."

"Dlaczego mówisz mi o tym teraz, Panie? Nigdy żadnej z nas nie odpowiadałeś w ten sposób, przynajmniej nie wiem o niczym takim."

"Ponieważ jesteś dobrą słuchaczką, siostro Cheoneh, ponieważ mnie usłuchasz i ponieważ już nigdy się nie spotkamy."

Pan Leto wyrzekł do mnie te dziwne słowa i zapytał następnie:

Dlaczego nie zapytałaś o to, co wasz zakon nazywa moją «szaleńczą tyranią»?"

Ośmielona takim zachowaniem, odważyłam się rzec: "Panie, wiemy o niektórych twych krwawych egzekucjach. Niepokoją nas one."

Pan Leto zrobił wtedy rzecz dziwną. Zamknął oczy, podczas gdy wszyscy posuwaliśmy się naprzód, i powiedział:

"Ponieważ wiem, że jesteś przeszkolona do zapamiętywania dokładnie każdego słowa, które usłyszysz, przemówię teraz do ciebie, siostro Chenoeh, jak gdybyś była jedną ze stron mojego dziennika. Zapamiętaj dobrze te słowa, bo nie chcę, by je zapomniano."

Zapewniam mój zakon, że to, co teraz następuje, to słowa wypowiedziane przez Pana Leto, dokładnie tak, jak je wyrzekł:

"Zgodnie z moją wiedzą i pewnością, kiedy nie będę już obecny tu wśród was świadomie, gdy będę tu tylko jako napawające lękiem stworzenie pustyni, wielu ludzi będzie spoglądało na mnie jako na tyrana.

Dość słusznie. Byłem tyranem.

Tyran - niezupełnie człowiek, nie szaleniec, po prostu tyran. Ale nawet zwyczajni tyrani mieli motywy i uczucia poza tymi zazwyczaj przypisywanymi im przez upraszczających wszystko historyków, a ci będą myśleć o mnie jako o w i e l k i m tyranie. W ten oto sposób moje motywy staną się dziedzictwem, które zachowam, aby historia nie zniekształciła ich zbytnio. Historia lubi wspominać pewne cechy, pozbywając się innych.

Ludzie będą starali się mnie pojąć i ująć swoimi słowami. Będą poszukiwali prawdy, ale prawda zawsze obciążona jest wieloznacznością słów użytych do jej wyrażenia.

Nie zrozumiecie mnie. Im bardziej się będziecie starać, tym bardziej będę od was oddalony, aż w końcu zniknę w wiecznym micie - jako Bóg Żywy!

To jest to, rozumiesz? Nie jestem przywódcą ani nawet przewodnikiem. Bóg. Zapamiętaj to. Jestem zupełnie inny niż wodzowie i przywódcy. Bogowie nie potrzebują brać odpowiedzialności za cokolwiek poza Stworzeniem. Bogowie akceptują wszystko i przez to nie akceptują niczego. Bogowie muszą być możliwi do odróżnienia, a mimo to - pozostać anonimowi. Bogowie nie potrzebują życia duchowego. Moje duchy mieszkają we mnie, odpowiadając na najsłabsze wezwanie. Dzielę się tym z tobą, bo sprawia mi przyjemność to, czego dowiedziałem się od nich i przez nich. One są m o j ą prawdą.

Strzeż się tej prawdy, łagodna siostro. Chociaż bardzo poszukiwana, prawda może być niebezpieczna dla szukającego. O wiele łatwiej znaleźć i uwierzyć w mity i uspokajające kłamstwa. Jeżeli odnajdujesz prawdę, nawet tymczasową, wymaga ona od ciebie, byś dokonał bolesnych zmian. Ukrywaj swe prawdy wewnątrz słów. Będzie cię wtedy chronić naturalna ich wieloznaczność. Słowa o wiele łatwiej wchłonąć niż ostre delfickie pchnięcia przekazów bez słów. Słowami możesz krzyczeć w chórze: «Dlaczego nikt mnie nie ostrzegł?»

Słów jest więcej niż dosyć, to nieuniknione. Zapisujesz je nawet teraz w swej cudownej pamięci. Pewnego dnia zostaną odkryte moje dzienniki - jeszcze więcej słów. Ostrzegam cię, byś odczytała me słowa w kontekście niebezpieczeństwa. Bezsłowny ruch straszliwych wypadków leży tuż pod ich powierzchnią. Bądź niema! Nie potrzebujesz słyszeć, słysząc - nie potrzebujesz pamiętać. Jak kojąco jest zapomnieć! I jak niebezpiecznie!

W słowach takich jak moje rozpoznaje się ich tajemniczą siłę. Jest w nich skryta wiedza, której można użyć do rządzenia tymi, co zapominają. Moje prawdy to esencja mitów i kłamstw, za których pośrednictwem tyrani zawsze zamierzali manipulować masami dla egoistycznych celów.

Widzisz? Dzielę się z tobą tym wszystkim, nawet największą tajemnicą wszechczasów, tajemnicą, wedle której układam swe życie. Objawiam ci ją słowami:

Jedyna prawdziwa przeszłość trwa w tobie bez słów."

Bóg Imperator zamilkł następnie. Ośmieliłam się zapytać:

"Mój panie, czy to wszystkie słowa, które zgodnie z twym pragnieniem mam zachować?"

"To są te słowa" - powiedział Pan Leto i pomyślałam, że w jego głosie słychać zmęczenie, zniechęcenie. Brzmiało to tak, jak gdyby wypowiedział swą ostatnią wolę. Przypomniałam sobie wtedy, że powiedział, iż już nigdy mnie nie zobaczy, i napełniło mnie to lękiem, ale dzięki składam swoim nauczycielkom, gdyż strach nie pojawił się w mym głosie.

"Panie - rzekłam. - Te dzienniki, o których mówiłeś, dla kogo zostały napisane?"

"Dla potomności późniejszej o tysiąclecia. Personalizuję tych odległych czytelników, siostro Chenoeh. Myślę o nich jak o dalekich kuzynach, przepełnionych ciekawością historii własnej rodziny. Są pełni chęci rozwikłania dramatów, które relacjonuję tylko ja. Chcą wyciągnąć z tego odniesienia do ich własnego życia. Chcą znaczeń, p r a w d y !"

"Ale ty ostrzegasz nas przed prawdą, Panie."

"Rzeczywiście. Cała historia jest w moich rękach posłusznym narzędziem. Oooch, zgromadziłem wszystkie te przeszłości i znam każdy fakt - więc fakty należą do mnie, mogę użyć ich tak, jak zechcę, i nawet wykorzystując je w ich prawdziwym znaczeniu — zmieniam je. Czym do ciebie mówię teraz? Czym jest dziennik-pamiętnik? To słowa."

Pan Leto zamilkł znowu. Ważyłam znaczenie tego, co powiedział, ważyłam to wobec napomnienia Matki Wielebnej Syaksy i wobec słów, które Bóg Imperator wyrzekł do mnie wcześniej. Powiedział, że jestem jego posłanniczką, i czułam przez to, że jestem pod jego ochroną i mogę ośmielić się na więcej niż ktokolwiek inny. Dlatego też powiedziałam:

"Panie Leto, powiedziałeś, że już więcej się nie spotkamy, czy to znaczy, że masz umrzeć?"

Przysięgam tu, w sprawozdaniu z tego zdarzenia, że Pan Leto się roześmiał! Następnie powiedział:

"Nie, szlachetna siostro, to ty umrzesz. Nie dożyjesz tego, by zostać Matką Wielebną. Niech cię to nie zasmuca, albowiem przez swoją obecność tu dzisiaj, przez dostarczenie mojej wiadomości zakonowi, również przez przechowanie mych słów, osiągniesz o wiele wyższy status. Staniesz się nieodłączną częścią mego mitu. Nasi dalecy kuzyni modlić się będą do ciebie z powodu przecięcia się naszych dróg!"

Pan Leto znów się roześmiał, ale tym razem łagodniej, i uśmiechnął się do mnie ciepło. Stwierdzam, że z trudem przychodzi mi oddać to wszystko z dokładnością, którą z radością stosuję w każdym innym sprawozdaniu, jednak w chwili, gdy Pan Leto wyrzekł do mnie te straszne słowa, poczułam jak gdyby więź przyjaźni z nim, tak jakby nawiązała się między nami jakaś głęboka relacja, łącząca nas razem w sposób, którego słowa nie są w stanie w pełni opisać. Aż do chwili tego doświadczenia nie pojmowałam, co on rozumie przez "prawdę bez słów". To stało się, a jednak nie potrafię tego opisać.

Nota archiwistki:

Z racji zaszłych później wypadków odkrycie tej osobistej notatki dostarcza niewiele więcej niż przyczynku do historii, interesującego ze względu na to, iż zawiera najwcześniejsze nawiązania do ukrytych dzienników Boga

Imperatora. Dla pragnących poznać bliżej to sprawozdanie - materiały można znaleźć w Aktach Archiwum pod hasłami: "Cheoneh, Święta siostra Kwintynia Yiolet: Raport Cheoneh" i "Odrzucenie melanżu, aspekty medyczne".

(Przypis: Siostra Kwintynia Yiolet Chenoeh zmarła w pięćdziesiątym pierwszym roku służby zakonowi; jako przyczynę stwierdzono nietolerancję melanżu, która wystąpiła podczas próby uzyskania statusu Matki Wielebnej.)

Nasz przodek Assur-nasir-apli, znany ongiś jako najokrutniejszy z okrutnych, objął tron po zamordowaniu własnego ojca i stworzył królestwo miecza. Jego podboje objęły region jeziora Urumia, co poprowadziło go w stronę Kommagenu i Kabulu. Jego syn otrzymywał haracz od Szyitów, z Tyru, Sydonu, Esjon Geberu i nawet od Jehua, syna Oranego, którego samo imię napawało tysiące ludzi grozą. Podboje, które zapoczątkował Assur-nasir-apli, zaprowadziły armie do Medii, a później do Izraela, Damaszku, Edomu, Arwadu, Babilonu i Us. Czy ktokolwiek pamięta teraz te nazwy i miejsca? Dałem wam dość śladów: spróbujcie nazwać tę planetę.

"Wykradzione dzienniki"

W żlebie prowadzącym w dół, ku płaskiemu podejściu do mostu na rzece Idaho, panowała straszliwa duchota. Droga skręcała w prawo, oddalając się od wytworzonego ręką człowieka olbrzymiego nagromadzenia skał i ziemi. Moneo, idąc obok Wozu Królewskiego, widział brukowaną wstęgę, prowadzącą przez wąski szczyt grani ku koronkowej konstrukcji z plastali, będącej mostem odległym prawie o kilometr.

Rzeka, wciąż w głębokiej rozpadlinie, skręcała ku nim po prawej i następnie biegła prosto przez wielostopniowe kaskady ku drugiej stronie Zakazanego Lasu, gdzie ograniczające ściany opadały prawie do poziomu wody. W tej stronie na obrzeżach Onn leżały sady i ogrody pomagające wyżywić miasto.

Moneo, patrząc na odległe pasmo rzeki, widoczne z miejsca, w którym się znajdował, widział, że górne ściany rzecznego wąwozu skąpane są w świetle, podczas gdy woda wciąż płynie w cieniu przełamywanym tylko przez srebrne lśnienie kaskad. Prosto przed nim droga migotała w świetle słońca, a ciemne cienie zerodowanych wąwozów po obu stronach wyróżniały się jak strzałki wskazujące właściwą drogę. Wznoszące się słońce sprawiło już, że leże drogi było gorące. Powietrze nad nim drżało, ostrzegając o mającym nadejść dniu.

"Dotrzemy bezpiecznie do miasta przed najgorszym upałem" - pomyślał Moneo.

Znużony stąpał cierpliwie obok Wozu, w nastroju takim, jak zawsze w tym miejscu, ze spojrzeniem utkwionym przed siebie, w oczekiwaniu na Muzealnych Fremenów z petycją. Wiedział, że będą wspinać się po jednym z wytworzonych przez erozję żlebów, gdzieś po tej stronie mostu. Taka była umowa, którą z nimi zawarł. Nie było sposobu, by ich teraz zatrzymać. A Bóg Imperator wciąż okazywał oznaki Czerwia.

Leto usłyszał Fremenów, zanim ktokolwiek z jego orszaku mógł to zrobić.

- Słuchaj! - zawołał.

Moneo stał, absolutnie czujny. Leto przetoczył ciało na Wozie, wystawiając przód poza kopułę, i wpatrzył się przed siebie. Moneo dobrze znał ten rodzaj reakcji. Zmysły Boga Imperatora, o niebo ostrzejsze niż u kogokolwiek z jego otoczenia, wykryły zamieszanie. Fremeni zaczęli wychodzić na drogę. Moneo pozwolił sobie cofnąć się o krok i przesunął się na skraj wyznaczonej obowiązkiem pozycji. Wtedy dopiero usłyszał Fremenów. Doszedł go odgłos osypującego się żwiru.

Pojawili się pierwsi Fremeni, wychodząc ze żlebów po obu stronach drogi, nie dalej niż sto metrów od królewskiego orszaku. Duncan Idaho przyspieszył kroku, zwalniając dopiero obok Monea.

- To ci Fremeni? - zapytał.

- Tak - odrzekł Moneo, skupiwszy uwagę na Bogu Imperatorze, który opuścił swój kadłub z powrotem na Wóz.

Muzealni Fremeni ustawili się na drodze, zrzucili wierzchnie szaty, by ukazać pod spodem czerwone i purpurowe stroje. Moneo westchnął. Fremeni mieli na sobie szaty przypominające te, które nosili pielgrzymi. Ci, którzy stali na przedzie, wymachiwali zwojami papieru, podczas gdy cała grupa zaczęła tańczyć i śpiewać, zbliżając się ku monarszej świcie.

- Petycja, Panie! - krzyczeli ich przywódcy. - Wysłuchaj naszej petycji!

- Duncan! - wykrzyknął Leto. - Oczyść z nich drogę!

Mówiące-do-Ryb rzuciły się naprzód pomiędzy dworzan dokładnie w chwili, gdy Leto krzyknął. Idaho machnął ku nim ręką, dając znak: naprzód! i zaczął biec ku zbliżającej się grupie. Strażniczki utworzyły klin, na którego szpicy znalazł się Idaho.

Leto zatrzasnął ochronną kopułę swego Wozu, przyspieszył i zawołał głosem przypominającym ryk:

- Z drogi! Z drogi!

Muzealni Fremeni, widząc biegnące naprzód strażniczki, Wóz nabierający szybkości i krzyczącego Leto, zaczęli przemieszczać się tak, jak gdyby zamierzali otworzyć przejście środkiem drogi. Moneo, zmuszony do biegu, by dotrzymać tempa Wozowi, z uwagą skupioną przez chwilę na odgłosach kroków dworzan biegnących za jego plecami, ujrzał pierwszą nieoczekiwaną zmianę programu ustalonego przez Fremenów. Jak jeden mąż śpiewający tłum zerwał pielgrzymie szaty, by ukazać czarne mundury, takie same jak ten, który nosił Idaho.

"Cóż oni robią?" - zastanawiał się Moneo.

Już zadając sobie to pytanie, zobaczył, jak rysy twarzy zbliżających postaci przetapiają się w mimikrze Tancerzy Oblicza i każda z nich nabiera podobieństwa do Duncana Idaho.

- Tancerze Oblicza! - wrzasnął ktoś.

Leto również był zdezorientowany gwałtownością zdarzeń, odgłosami tłumu biegnących ludzi, rzucanymi przez Mówiące-do-Ryb rozkazami. Przyspieszył jeszcze, likwidując dystans między sobą a strażniczkami. Zaczął dzwonić ostrzegawczym dzwonkiem i naciskać na przeraźliwie wyjący klakson. Potężny hałas zdezorientował nawet niektóre z uwarunkowanych przecież na taką okoliczność Mówiących-do-Ryb.

W tej samej chwili, gdy petenci zrzucili pielgrzymie płaszcze i zaczęli proces transformacji oblicz, łudząc podobieństwem swych twarzy do Duncana Idaho, Leto usłyszał wrzask: "Tancerze Oblicza!"

Zidentyfikował ten głos - małżonki jednego z urzędników Księgowości Królewskiej. Z początku zareagował rozbawieniem.

Strażniczki i Tancerze Oblicza zderzyli się. Miejsce zawodzących śpiewów zajęły krzyki i wrzaski. Leto rozpoznał bojowe komendy Tleilaxan. Ciasny węzeł Mówiących-do-Ryb zacisnął się dookoła ubranej na czarno postaci Duncana. Strażniczki były posłuszne często powtarzanej instrukcji Leto, by chronić swojego dowódcę, gholę.

Ale jak odróżnić go od innych?

Leto prawie zatrzymał Wóz. Po lewej mógł dojrzeć Mówiace-do-Ryb potrząsające swymi pałkogłuszakami. Światło słońca błyskało na ostrzach ich noży. Rozległo się charakterystyczne bzyczenie rusznic laserowych, dźwięk, który kiedyś babka Leto określiła jako "najpotworniejszy we wszechświecie". Z przodu rozległo się jeszcze więcej chrapliwych okrzyków i wrzasków.

Leto zareagował natychmiast, gdy tylko usłyszał odgłos rusznic laserowych. Skręcił Wozem Królewskim w prawo, przeszedł z kół na napęd dryfowy i skierował pojazd jak taran w grupę Tancerzy Oblicza, starających się

przedrzeć przez lukę w ochronie po prawej. Skręcając ciasnym łukiem, natarł raz jeszcze z drugiej strony. Poczuł uderzenia ciał miażdżonych o plastal i zobaczył strugę czerwonej krwi. Opuścił się poniżej drogi, w wydrążony przez erozję żleb. Obok niego migały brunatne ściany wąwozu. Skręcił w górę i wyprysnął nad dolinę rzeki, ku wysokiemu pierścieniowi skał, tworzącemu punkt obserwacyjny z boku Traktu Królewskiego. Zawisnął nad nim, daleko poza zasięgiem ręcznych rusznic laserowych, i wykonał zwrot Wozem.

"Co za niespodzianka!"

Śmiech wstrząsnął jego ciałem drżącymi konwulsjami. Rozbawienie ustępowało bardzo powoli.

Ze swojego punktu obserwacyjnego Leto widział most i miejsce walki. Wzdłuż całego pola potyczki bezładnie poniewierały się splecione ciała. Leżały również w żlebach po bokach. Rozpoznawał odświętne szaty dworzan, mundury Mówiących-do-Ryb, zakrwawioną czerń przebrań Tancerzy Oblicza. Ocalali dworzanie zbili się w stadko w tle, podczas gdy Mówiące-do-Ryb przemykały między leżącymi i upewniały się, że atakujący są martwi, wbijając nóż w każde ciało odziane w czarny mundur.

Leto przebiegł spojrzeniem całą scenę, szukając czarnego uniformu Duncana. Nie widział nikogo w takim stroju, kto trzymałby się na własnych nogach. Nikogo! Leto stłumił przypływ smutku. Nagle zobaczył garstkę Mówiących-do-Ryb pośród dworzan i... nagą postać.

N a g ą !

To był jego Duncan. Nagi! Oczywiście! Duncan Idaho b e z munduru nie mógł być Tancerzem Oblicza.

Znów wstrząsnął nim śmiech. Niespodzianki z obu stron. Jaki to musiał być szok dla atakujących! Było oczywiste, że nie byli przygotowani na taką odpowiedź.

Leto opuścił swój Wóz na drogę, wysunął koła i potoczył się ku mostowi. Przebył go z uczuciem déjá vu, świadomy niezliczonych mostów we wspomnieniach, pokonywanych po to, by spojrzeć na krajobrazy po bitwach. Gdy zjeżdżał z mostu, Idaho wyrwał się z pierścienia strażniczek i podbiegł ku niemu, przeskakując i wymijając ciała. Leto wyhamował swój Wóz i zapatrzył się w nagiego mężczyznę. Duncan wyglądał jak grecki wojownik-posłaniec zdążający do swego dowódcy, by donieść o wyniku bitwy.

Idaho przystanął obok Wozu Królewskiego. Leto otworzył pokrywę kopuły.

- Wszyscy co do jednego to przeklęci Tancerze Oblicza! - wydyszał Idaho.

Nie próbując nawet ukryć rozbawienia, Leto zapytał:

- Czyj to był pomysł, abyś zrzucił mundur?

- Mój, ale one i tak nie chciały mi dać walczyć!

Moneo podbiegł do nich z grupą strażniczek. Jedna z Mówiących-do-Ryb rzuciła Idaho niebieski strażniczy płaszcz, wołając:

- Próbujemy skompletować nie uszkodzony mundur z tych ciał.

- Podarłem swój - wyjaśnił Idaho.

- Czy któryś z Tancerzy Oblicza uciekł? - zapytał Moneo.

- Ani jeden - powiedział Idaho. - Przyznaję, że twoje kobiety dobrze walczą, ale dlaczego nie puściły mnie do...

- Bo mają instrukcję, by cię ochraniać - rzekł Leto. - Zawsze chronią to, co najbardziej wartościowe...

- Cztery z nich zginęły, wyciągając mnie z tego! - powiedział Idaho.

- Straciliśmy razem ponad trzydziestu ludzi, Panie - rzekł Moneo. - Wciąż jeszcze liczymy.

- Ilu było Tancerzy Oblicza? - zapytał Leto.

- Wygląda na to, że równo pięćdziesięciu, Panie - odparł Moneo. Mówił cicho, z zawziętym wyrazem twarzy.

Leto zaczął chichotać.

- Z czego się śmiejesz? - zapytał poważnie Duncan. - Ponad trzydziestu twoich ludzi...

- Ale ci Tleilaxanie byli tak niezdarni - rzekł Leto. - Czy nie dociera do ciebie, że ledwie pięćset lat temu byliby o wiele bardziej skuteczni, o wiele bardziej niebezpieczni? Wyobraź ich sobie, ośmielających się wtedy na taką głupią maskaradę! Nie przewidujących twej błyskotliwej odpowiedzi!

- Mieli rusznice laserowe - powiedział Idaho.

Leto zwinął potężne przednie segmenty i wskazał na dziurę wypaloną w kopule, prawie w środku Wozu. Krawędź otworu była stopiona i szklista.

- Trafili jeszcze w kilka miejsc pod spodem - powiedział Leto. - Na szczęście nie uszkodzili żadnej kuli dryfowej ani kół.

Idaho patrzył na otwór w kopule i zauważył, że na linii strzału znajdowało się ciało Leto.

- Trafili cię? - zapytał.

- Och, tak - odparł Leto.

- Jesteś ranny?

- Jestem niewrażliwy na rusznice - powiedział Leto. - Kiedy będziemy mieli czas, pokażę ci.

- Cóż, ja jestem wrażliwy - odparł Idaho. - I twoje strażniczki. Każde z nas powinno mieć pas z tarczą.

- Tarcze są zakazane w całym Imperium - powiedział Leto. - Posiadanie ich to zbrodnia główna.

- Kwestia tarcz - wtrącił się Moneo. Idaho pomyślał, że Moneo prosi o wyjaśnienie, czym były tarcze, i powiedział:

- Pas tworzy pole siłowe odpychające każdy obiekt usiłujący zbliżyć się z niebezpieczną szybkością. Mają jedną główną wadę. Jeżeli przetniesz pole siłowe wiązką z rusznicy laserowej, wynikła eksplozja jest porównywalna z wybuchem dużej bomby termojądrowej. To koniec atakowanego i dla atakującego.

Moneo patrzył jedynie na Idaho, który pokiwał głową.

- Rozumiem, dlaczego zakazano ich użycia - powiedział. - Przypuszczam, że Wielka Konwencja przeciw broni atomowej wciąż pozostaje w mocy i działa skutecznie?

- Nawet lepiej od czasu, gdy przeszukaliśmy wszystkie arsenały rodów i usunęliśmy broń atomową w bezpieczne miejsce - powiedział Leto. - Ale nie mamy czasu, żeby tu o tym dyskutować.

- Możemy porozmawiać o jednym - odparł Idaho. - Chodzenie tutaj po otwartym terenie jest niebezpieczne. Powinniśmy...

- To tradycja i będziemy ją pielęgnować - rzekł Leto.

Moneo nachylił się blisko ucha Idaho.

- Denerwujesz Pana Leto - powiedział.

- Ale...

- Czy nigdy nie zastanawiałeś się nad tym, że społeczność, która c h o d z i , łatwiej jest kontrolować? - zapytał Moneo.

Idaho podniósł głowę i spojrzał w oczy Monea z nagłym zrozumieniem.

Leto skorzystał z okazji i zaczął wydawać rozkazy:

- Moneo, spraw, by nie pozostało tu ani śladu walki, żadnej plamki krwi czy jakiegoś podartego łacha - nic.

- Tak, Panie.

Idaho odwrócił się, gdy usłyszał, że wokół niego tłoczą się ludzie, i zobaczył, że wszyscy, którzy ocaleli, nawet ranni, których rany prowizorycznie tylko obandażowano, przyszli tutaj i słuchają.

- Wy wszyscy - powiedział Leto, zwracając się do tłumu wokół Wozu Królewskiego - ani słowa o tym. Niech się Tleilaxanie martwią. - Spojrzał na Idaho. - Duncan, jak ci Tancerze Oblicza dostali się na teren, gdzie tylko moim Muzealnym Fremenom wolno się swobodnie poruszać?

Idaho spojrzał machinalnie na Monea.

- Panie, to moja wina - powiedział Moneo. - To ja ułatwiłem Fremenom sposobność przedstawienia tu ich petycji. Przekonałem nawet do tego Duncana.

- Przypominam sobie, że mi o nich wspomniałeś - rzekł Leto.

- Myślałem, że to może ciebie zabawić. Panie.

- Petycje mnie nie bawią. Raczej irytują. Denerwują mnie zwłaszcza petycje od ludzi, których jedynym przeznaczeniem w moim planie jest zachowanie dawnych obyczajów.

- Panie, to właśnie przez to, co mówiłeś o znudzeniu tymi podróżami do...

- Ale nie jestem po to, żeby łagodzić nudę innych!

- Panie?

- Muzealni Fremeni nic nie rozumieją z dawnych obyczajów. Są dobrzy jedynie w wyżywaniu się w gestach. To naturalnie ich nudzi i w swych petycjach zawsze szukają sposobu wprowadzenia zmian. To mnie denerwuje. Nie pozwolę na zmiany. Powiedz, skąd dowiedziałeś się o tej rzekomej petycji?

- Od samych Fremenów - odrzekł Moneo. - Dele... - przerwał, marszcząc brwi.

- Znałeś członków tej delegacji?

- Oczywiście, Panie. Inaczej bym nie...

- Oni już nie żyją - rzekł Leto. Moneo spojrzał na niego nie rozumiejąc.

- Ludzie, których znałeś, zostali zabici i zastąpieni naśladowcami, Tancerzami Oblicza - powiedział Idaho.

- Okazałem się niedbały - rzekł Leto. - Powinienem nauczyć was wszystkich rozpoznawać Tancerzy Oblicza. Naprawię to teraz, gdy stali się tak bezczelnie śmiali.

- Dlaczego tak się zachowują? - zapytał Idaho.

- Może żeby odwrócić naszą uwagę od czegoś innego - rzekł Moneo. Leto uśmiechnął się do niego. Umysł majordoma dobrze pracował pod naciskiem osobistego zagrożenia. Zawiódł swego Pana, myląc Tancerzy Oblicza ze znanymi mu Fremenami. Teraz czuł, że trwanie jego służby może zależeć tylko od tych talentów, dla których Bóg Imperator go kiedyś wybrał.

- Teraz mamy czas, by się na to przygotować - orzekł Leto.

- Odwrócić naszą uwagę od czego? - zapytał ponaglająco Idaho.

- Od innego spisku, w którym biorą udział - stwierdził Leto. -Myślą, że ich za to surowo ukarzę, ale nie ośmielę się ich zniszczyć ze względu na ciebie, Duncanie.

- Nie mieli zamiaru tu przegrać - powiedział Idaho.

- Jednak byli przygotowani na nieprzewidziane wypadki - rzeki Moneo.

- Mają nadzieję, że nie zniszczę ich, ponieważ są w posiadaniu prawdziwych komórek mojego Duncana Idaho - powiedział Leto. -Rozumiesz, Duncan?

- Mają rację? - spytał Idaho.

- Prawdopodobnie są w błędzie - powiedział Leto. Zwrócił się do Monea: - Nie możemy pokazać po sobie w Onn, że doszło do tego wypadku. Potrzebujemy świeżych mundurów, nowych gwardzistek w zastępstwie zabitych i rannych. Wszystko ma być tak jak przedtem.

- Są zabici wśród twoich dworzan, Panie - rzekł Moneo.

- Zastąpić!

Moneo skłonił głowę.

- Tak, Panie.

- Poślijcie po nową pokrywę do mojego Wozu!

- Wedle rozkazu, Panie.

Leto odciągnął swój Wóz o kilka kroków, odwrócił go i skierował się do mostu, wołając Idaho.

- Będziesz mi towarzyszył, Duncanie.

Początkowo z wolna, potem z wyraźnym ociąganiem, widocznym w każdym ruchu, Idaho opuścił Monea i innych, później, stopniowo przyspieszając kroku, zbliżył się do Leto, wpatrując się w niego badawczo.

- Co cię niepokoi, Duncanie? - zapytał Leto.

- Czy naprawdę myślisz o mnie jako o s w o i m Duncanie?

- Oczywiście, tak jak ty myślisz o mnie jako o s w o i m Leto.

- Czemu nie w i e d z i a ł e ś, że zostaniemy napadnięci?

- Dzięki darowi przewidywania, którym się chełpię?

- Tak.

- Tancerze Oblicza od dawna nie zajmowali mojej uwagi - powiedział Leto.

- Przypuszczam, że to się zmieniło?

- W niewielkim stopniu.

- Czemu nie?

- Gdyż Moneo miał rację, nie pozwalam sobie na rozpraszanie uwagi, nie mogę.

- Czy rzeczywiście mogli cię tu zabić?

- Istniało spore prawdopodobieństwo. Wiesz, Duncanie, niewielu rozumie, jakim nieszczęściem byłby mój koniec.

- Co knują Tleilaxanie?

- Szykują pułapkę, jak sądzę. Uroczą pułapkę. Dali mi znak, Duncanie.

- Jaki znak?

- Że nastąpiła nowa eskalacja rozpaczy w motywach, które powodują niektórymi z mych poddanych.

Zostawili most za sobą i zaczęli wspinać się ku punktowi obserwacyjnemu Leto. Idaho szedł w brzemiennej przemyśleniami ciszy.

Na szczycie Leto podniósł wzrok na odległe zbocza i spojrzał na puste połacie Seriru.

W miejscu, gdzie nastąpił atak, trwały wciąż lamenty tych z jego świty, którzy stracili kogoś ukochanego. Dzięki niezwykle czułemu słuchowi Leto mógł wyróżnić głos Monea ostrzegającego, że czas żałoby musi być z konieczności krótki. Mają innych ukochanych w Twierdzy i dobrze znają gniew Boga Imperatora.

"Do czasu, gdy dotrzemy do Onn, ich łzy wyschną, a na twarzach pojawią się przylepione uśmiechy - pomyślał Leto. - Myślą, że ich odtrąciłem! Czy to ma tak naprawdę znaczenie? To przelotna uciążliwość dla krótko żyjących i krótko myślących."

Widok pustyni uspokajał go. Z tego punktu obserwacyjnego nie mógł dojrzeć rzeki w wąwozie bez odwracania się i spoglądania ku Miastu Świątecznemu. Duncan zachowywał dyskretne milczenie, stojąc obok Wozu Królewskiego. Kierując wzrok nieco w lewo, Leto mógł dojrzeć skraj Zakazanego Lasu. Na widok zielonego krajobrazu pamięć Boga Imperatora skurczyła nagle Serir do skromnej resztki pustyni, która przed laty była tak potężna, że bali się jej wszyscy, nawet przemierzający ją dzicy Fremeni.

"To ta rzeka - pomyślał. - Jeżeli ją odwrócę, zobaczę, co zrobiłem."

Wykonana ręką człowieka rozpadlina, przez którą toczyła się rzeka Idaho, była tylko poszerzeniem wyrwy, którą Paul Muad'Dib zrobił w górującym Murze Zaporowym, by dać drogę swym jadącym na czerwiach legionom. Tam, gdzie teraz płynęła woda, Muad'Dib wyprowadził Fremenów z pyłu kurzawy Coriolisa w historię... i w t o .

Leto usłyszał znajome kroki Monea, docierającego pod górę do punktu obserwacyjnego. Majordom podszedł i stanął obok Idaho. Odczekał chwilę, by złapać oddech.

- Kiedy wreszcie będziemy mogli ruszyć? - zapytał Idaho.

Moneo machnięciem ręki nakazał mu milczenie i zwrócił się do Leto:

- Panie, mamy informację z Onn. Bene Gesserit przesłały wiadomość, że Tleilaxanie zaatakują cię, zanim dotrzesz do mostu.

Idaho prychnął:

- Nie spóźniły się trochę?

- To nie ich wina - powiedział Moneo. - Kapitan Mówiących-do-Ryb nie chciała im uwierzyć.

Inni członkowie orszaku Leto zaczęli cienkim strumyczkiem docierać na ich poziom. Niektórzy z nich wydawali się być pod wpływem narkotyków, inni wciąż byli w szoku. Mówiące-do-Ryb poruszały się raźno między nimi, nakazując okazywanie pogodnego nastroju.

- Usuńcie straże z ambasady Bene Gesserit - powiedział Leto. - Wyślijcie tam wiadomość, że ich audiencja pozostanie ostatnią, ale nie mają się czego obawiać. Powiedzcie im, że ostatni będą pierwszymi. Zrozumieją tę aluzję.

- Co z Tleilaxanami? - zapytał Idaho.

Uwaga Leto była wciąż zwrócona na Monea.

- Aha, Tleilaxanie. Damy im znak.

- Tak, Panie?

- Kiedy rozkażę, ale nie wcześniej, należy publicznie wychłostać i wypędzić Ambasadora Tleilaxu.

- Panie!

- Nie zgadzasz się?

- Jeżeli mamy zachować to w sekrecie... - Moneo obejrzał się przez ramię - ...w jaki sposób wyjaśnisz chłostę?

- Nie będę nic wyjaśniać.

- W ogóle nie podamy powodu?

- Żadnego.

- Ale, Panie, plotki i opowieści, które będą...

- Ja reaguję, Moneo. Niech odczytują skrytą część mnie, która działa bez mojej wiedzy, bo nie ma tego, co jest potrzebne, aby wiedzieć.

- To wywoła strach, Panie. Duncanem wstrząsnął ponury śmiech:

- On wyświadcza uprzejmość temu Ambasadorowi! Byli władcy, którzy upiekliby tego głupca na wolnym ogniu - powiedział, wchodząc pomiędzy Monea a Wóz.

Moneo spróbował przemówić do Leto ponad ramieniem Idaho:

- Ale, Panie, takie postępowanie upewni Tleilaxan, że zostałeś zaatakowany.

- Już o tym wiedzą - powiedział Leto. - Ale nie będą o tym mówić.

- A kiedy żaden z napastników nie wróci... - zaczął Idaho.

- Rozumiesz, Moneo? - zapytał Leto. - Kiedy wejdziemy do Onn pozornie nietknięci, Tleilaxanie zrozumieją, że odnieśli kompletną klęskę.

Moneo popatrzył dookoła po oniemiałych Mówiących-do-Ryb i dworzanach, przysłuchujących się tej rozmowie. Rzadko ktokolwiek z nich słyszał tak wiele znaczącą wymianę zdań między Bogiem Imperatorem a jego najbardziej zaufanymi adiutantami.

- Kiedy mój Pan da znak do wykonania kary na Ambasadorze? -zapytał Moneo.

- Podczas audiencji.

Leto usłyszał nadlatujące ornitoptery i po chwili ujrzał błyski słońca na ich skrzydłach, a kiedy skupił uważnie wzrok, zobaczył nową kopułę do swojego Wozu, zawieszoną pod jednym z nich.

- Niech tę uszkodzoną kopułę zabiorą do Twierdzy i naprawią - powiedział Leto, wciąż wpatrując się w nadlatujące ornitoptery. - Jeżeli będą pytania, powiedzcie rzemieślnikom, żeby mówili, że to tylko rutynowy przegląd kolejnej kopuły porysowanej przez niesiony wiatrem piasek.

Moneo westchnął.

- Tak, Panie. Stanie się tak, jak sobie życzysz.

- No, Moneo, rozchmurz się - powiedział Leto. - Idź koło mnie, gdy ruszymy. - Odwrócił się do Idaho. - Weź kilka ze swoich strażniczek i poszperajcie w przednich szeregach.

- Myślisz, że będzie jeszcze jeden atak? - zapytał Idaho.

- Nie, ale to zajmie dworzan. I zdobądź nowy mundur. Nie chcę, żebyś nosił coś, co splugawili parszywi Tleilaxanie.

Idaho posłusznie oddalił się.

Leto dał znak Moneowi, by podszedł jeszcze bliżej. Kiedy Moneo nachylił się nad Wozem Królewskim, z twarzą mniej niż o metr od oblicza Leto, ten zniżył głos i powiedział:

- Jest w tym specjalna nauczka dla ciebie, Moneo.

- Panie, wiem, że powinienem był podejrzewać Tancerzy Oblicza...

- Nie chodzi o Tancerzy Oblicza! To lekcja dla twojej córki.

- Siony? Co ona może...

- Powiedz jej tak: na swój kruchy sposób ona jest taka, jak ta siła wewnątrz mnie, działająca bez mojej wiedzy. Z jej powodu pamiętam, co znaczyło być człowiekiem... i kochać.

Moneo wpatrzył się w Leto, nie rozumiejąc.

- Przekaż jej to po prostu tak, jak usłyszałeś - powiedział Leto. - Nie musisz próbować tego zrozumieć. Powtórz jej jedynie moje słowa.

Moneo cofnął się.

- Jak mój Pan rozkaże.

Leto zamknął pokrywę kopuły, czyniąc z całej osłony jednolitą całość, by zbliżające się ekipy z ornitopterów mogły ją wymienić.

Moneo odwrócił się i rozejrzał po ludziach czekających w punkcie widokowym. Zauważył wtedy rzecz, której nie dostrzegł wcześniej, coś, co ujawniało się dzięki całemu zajściu, po którym niektórzy jeszcze się nie otrząsnęli. Część dworzan zaopatrzyła się w niewielkie przyrządy wspomagające słuch. Podsłuchiwali. A takie urządzenia mogły pochodzić tylko z Ix.

"Ostrzegę Duncana i strażniczki" - pomyślał Moneo.

W jakiś sposób pomyślał o tym odkryciu jako o symptomie rozkładu. Jak można było zabraniać używania tych rzeczy, podczas gdy większość dworzan i Mówiących-do-Ryb podejrzewała albo wiedziała, że Bóg Imperator kupuje od Ixian zakazane maszyny?

Zaczynam nienawidzić wody. Skóra z piaskopływaków, która pobudza moją przemianę, nauczyła się wrażliwości czerwia. Moneo i wiele moich strażniczek wie o tym wstręcie. Tylko Moneo podejrzewa prawdę, wie, że oznacza to ważny krok na mojej drodze. Czuję w tym swój koniec, nieprędki wedle czasu Monea, ale dość bliski tak jak ja to odczuwam. Piaskopływaki dążyły do wody w czasach Diuny, był to problem podczas wczesnych stadiów naszej symbiozy. Wzmożenie mojej siły woli kontrolowało wtedy ten popęd, dopóki nie osiągnęliśmy stanu równowagi. Teraz muszę unikać wody, ponieważ nie ma już innych piaskopływaków, tylko na poły pierwotne stworzenia, składające się na moją skórę. Bez piaskopływaków Szej-hulud nie pojawiłby się, by doprowadzić ten świat do spustynnienia. Piaskopływaki nie mogą się rozwijać, dopóki ziemia nie jest wyschnięta. Jestem ich jedyną nadzieją.

"Wykradzione dzienniki"

Był środek popołudnia, zanim Świta Królewska zeszła w dół z ostatniego zbocza ku obrzeżom Miasta Świątecznego. Tłumy wyległy na ulice, by ich powitać, powstrzymywane przez kilka rzędów Mówiących-do-Ryb w atrydzkich, zielonych mundurach. Strażniczki trzymały pałkogłuszaki wyciągnięte przy boku, tak że broń krzyżowała się ze sobą.

Gdy orszak królewski zbliżył się, z tłumu podniósł się potężny zgiełk. Następnie strażniczki Mówiące-do-Ryb zaczęły zawodzić:

- Siajnok! Siajnok! Siajnok!

Intonowane słowo, odbijając się echem pomiędzy wysokimi budowlami, wywierało dziwny wpływ na tłum nie wprowadzony w jego znaczenie. Na zatłoczonych alejach zapadło milczenie, podczas gdy strażniczki śpiewały dalej. Ludzie wpatrywali się z lękiem w uzbrojone w pałkogłuszaki kobiety, strzegące trasy królewskiego przemarszu, kobiety, które intonowały tajemnicze słowo z wzrokiem utkwionym w twarzy mijającego ich Leto.

Idaho, maszerując z Mówiącymi-do-Ryb za Wozem Królewskim, słyszał tego rodzaju śpiewy po raz pierwszy i czuł, jak jeżą mu się włosy na karku.

Moneo maszerował obok Wozu, nie rozglądając się na boki. Kiedyś zapytał Leto o znaczenie tego słowa.

"Nadałem Mówiącym-do-Ryb tylko jeden rytuał" - powiedział Leto. Znajdowali się w tym czasie w komnacie audiencyjnej Boga Imperatora w podziemiach pod centralnym placem Onn i Moneo był znużony długim dniem kierowania strumieniem dygnitarzy, którzy tłoczyli się w mieście podczas uroczystości Święta Dziesięciolecia.

"Co ma z tym wspólnego to intonowane słowo. Panie?"

"Rytuał nazywa się Siajnok - Święto Leto. To adoracja mojej osoby w mej obecności."

"To stary rytuał, Panie?"

"Był z Fremenami zanim się nimi stali, ale klucze do tajemnic Święta wymarły wraz z nimi. Tylko ja je teraz pamiętam. Odtworzyłem Święto na me własne podobieństwo i dla własnych celów."

"Zatem Muzealni Fremeni nie kultywują tego rytuału?"

"Nie mieli go nigdy. Jest wyłącznie mój. Roszczę sobie do niego wieczne prawa, ponieważ j a j e s t e m tym rytuałem."

"To dziwne słowo, Panie. Nigdy nie słyszałem czegoś podobnego."

"Ma wiele znaczeń, Moneo. Jeżeli ci je wyjawię, czy zachowasz sekret dla siebie?"

"Jak mój Pan rozkaże!"

"Nigdy nie podziel się tym z kimś innym ani nie wygadaj się przed Mówiącymi-do-Ryb o tym, co ci teraz powiem."

"Przysięgam, Panie."

"Bardzo dobrze. Siajnok oznacza oddanie czci temu, kto mówi szczerze. Oznacza zapamiętanie słów szczerze wypowiedzianych."

"Ale, Panie, czy szczerość nie oznacza, że mówiący w i e r z y - ma wiarę w to, co mówi?"

"Tak, ale Siajnok oznacza również ferment, ponieważ rzeczywistość - albo wiara, którą uważasz za rzeczywistość, bo to jest to samo - zawsze wzbudza we wszechświecie ferment."

"Wszystko w jednym słowie, Panie?"

"I więcej! Siajnok zawiera także wezwanie do modlącego się i do imienia Anioła Zapisującego, Sihaji, który przesłuchuje niedawno zmarłych."

" Wielkie brzemię jak na jedno słowo, Panie."

"Słowa mogą nieść każde brzemię, jakim je obdarzymy. Wszystko, czego do tego potrzeba, to wspólnej zgody i tradycji, na której można budować."

"Dlaczego mam o tym nie rozmawiać z Mówiącymi-do-Ryb, Panie?"

"Ponieważ jest to słowo dla nich zastrzeżone. Wzgardziłyby tym, że podzieliłem się nim z mężczyzną."

Na wspomnienie tej rozmowy usta Monea zacisnęły się w cienką linię, gdy wchodził teraz obok Wozu Królewskiego do Miasta Świątecznego. Od tamtego pierwszego wyjaśnienia wielokroć słyszał Mówiące-do-Ryb witające w ów sposób Boga Imperatora i dodał nawet kilka znaczeń do tego osobliwego słowa

"Oznacza tajemnicę i szacunek. Oznacza władzę. Jest prośbą o pozwolenie na działanie w imię Boga."

- Siajnok! Siajnok! Siajnok!

To słowo w uszach Monea miało gorzkie brzmienie.

Weszli już do środka miasta, prawie na centralny plac. Od tyłu na procesję padało południowe światło słońca, oświetlające ich trasę. Nadawało blask kolorowym kostiumom mieszkańców. Odbijało się na zwróconych w górę twarzach Mówiących-do-Ryb, stojących w rzędach po obu stronach drogi.

Maszerując ze strażniczkami obok Wozu, Idaho zdławił pierwszy niepokój. Zapytał o skandowane słowo jedną z Mówiących-do-Ryb.

- Ono nie jest przeznaczone dla mężczyzn - odparła. - Ale czasami Pan dzieli Siajnok z Duncanami.

D u n c a n a m i ! Pytał o to wcześniej Leto i nie podobały mu się jego zagadkowe, wymijające odpowiedzi.

"Dowiesz się o tym już wkrótce."

Idaho przestał zwracać uwagę na zawodzenie, rozglądając się dokoła z ciekawością turysty. Przygotowując się do objęcia obowiązków Dowódcy Straży, zapoznał się z historią Onn, stwierdzając, że podziela ironiczne rozbawienie Leto faktem, że koło miasta płynie rzeka Idaho.

Byli wtedy w jednej z wielkich otwartych sal Twierdzy - monumentalnym pomieszczeniu pełnym porannego światła, z szerokimi stołami, na których archiwistki Mówiących-do-Ryb rozpostarły mapy Seriru i Onn.

Leto wtoczył swój Wóz na rampę, która pozwalała mu patrzeć na nie z góry. Idaho stał przy zasłanym mapami stole, studiując plan Miasta Świątecznego.

"To osobliwe rozplanowanie przestrzeni jak na miasto" - pomyślał na głos Idaho.

"Ma tylko jeden cel - publiczne oglądanie Boga Imperatora."

Idaho podniósł wzrok na składające się z segmentów ciało na Wozie, później przeniósł spojrzenie na okapturzoną twarz. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek będzie mu łatwo spojrzeć na tę dziwaczną postać.

"Ale to ma miejsce raz na dziesięć lat" - powiedział Idaho.

"Podczas Wielkiego Dzielenia, tak."

"Zamykasz je po prostu między świętami?"

"Znajdują się tam ambasady, biura agentów handlowych, szkoły Mówiących-do-Ryb, kadry zaopatrzeniowe i konserwatorskie, muzea i biblioteki."

"Jaką przestrzeń zajmują? - Idaho postukał w mapę kłykciami palców. - Dziesiątą część miasta?"

"Mniej."

Idaho pozwolił spojrzeniu zawisnąć nad planem.

"Są jeszcze inne cele w takim rozplanowaniu, Panie?"

"Eliminuje je potrzeba publicznego oglądania mojej osoby."

"Muszą być urzędnicy, pracownicy rządowi, nawet pospolici robotnicy. Gdzie oni mieszkają?"

" Przeważnie na przedmieściach."

Idaho wskazał na mapę.

"W tych rzędach budynków?"

"Zwróć uwagę na balkony, Duncan."

"Wychodzą na plac centralny. -Nachylił się niżej, by przyjrzeć się planowi. - Ten plac ma dwa kilometry średnicy!"

"Zauważ, w jaki sposób balkony są usytuowane względem siebie - jak stopnie aż do pierścienia wież. Właśnie w wieżach zostaje ulokowana elita."

"I wszyscy mogą patrzeć na ciebie na placu?"

"Nie podoba ci się to?"

"Nie masz nawet zapory energetycznej dla ochrony!"

"Jestem bardzo wdzięcznym celem!"

"Dlaczego to robisz?"

"Istnieje zachwycający mit o planie Onn. Pielęgnuję i podsycam go. Mówi, że żyli tu niegdyś ludzie, którzy od swojego władcy wymagali, by raz do roku przeszedł się wśród nich w zupełnej ciemności bez broni czy ochrony. Podczas gdy szedł nocą wśród ukrytego przed nim tłumu poddanych, ów mityczny władca miał na sobie świecący kombinezon - a oni mieli na sobie na tę okazję czarne stroje. Poza tym nikt ich nie obszukiwał, aby znaleźć broń."

"Co to ma wspólnego z Onn... i z tobą?"

"Cóż, to oczywiste, że jeżeli władca przeżył swój spacer, był dobrym władcą."

"Ty nie każesz szukać broni?"

"Nie pozwalam na to oficjalnie."

"Myślisz, że w tym micie ludzie widzą ciebie" - to nie było pytanie.

"Wielu tak czyni."

Idaho spojrzał w twarz Leto, częściowo ukrytą w szarym kapturze. Błękitne w błękicie oczy oddały mu spojrzenie bez wyrazu. "Melanżowe oczy" - pomyślał Idaho. Ale Leto powiedział, że już nie zażywa przyprawy. Jego ciało dostarczało mu tej ilości przyprawy, której wymagało jego uzależnienie.

"Nie podoba ci się moja bezwstydność, mój wymuszony spokój" -powiedział Leto.

"Nie podoba mi się to, że grasz boga."

"Przecież bóg może prowadzić Imperium tak, jak dyrygent orkiestrę przez pasaże symfonii. Mój wy stęp jest ograniczony tylko przez to, że jestem przykuty do Arrakis. Stąd muszę dyrygować symfonią."

Idaho potrząsnął głową i raz jeszcze spojrzał na plan miasta

"Co to za mieszkania za wieżami?"

"Apartamenty dla pośledniejszych gości."

"Nie mogą zobaczyć placu."

"Ależ mogą. Mój obraz jest przekazywany w te miejsca przez ixiańskie urządzenia."

"A wewnętrzny krąg spogląda bezpośrednio na ciebie. Jak ludzie na placu mogą Cię oglądać?"

"Na jego środku wznoszą się stopnie, by im mnie ukazać."

"Wysławiają cię?" - Idaho spojrzał prosto w oczy Leto.

"Mają na to pozwolenie."

"Wy, Atrydzi, zawsze postrzegaliście siebie jako część historii."

"Jak bystrze pojmujesz znaczenie wysławiania."

Idaho powrócił uwagą do planu miasta

"A szkoły Mówiących-do-Ryb są tutaj?"

"Tak, pod twoją lewą dłonią. To akademia, do której posłałem Sionę na naukę. Miała wtedy dziesięć lat."

"Siona... Muszę się o niej więcej dowiedzieć" - pomyślał na głos Idaho.

"Zapewniam cię, że nic nie stanie na przeszkodzie twemu pragnieniu."

Maszerując dalej w imperialnym orszaku, Idaho został wyrwany z zamyślenia przez świadomość, że śpiew Mówiących-do-Ryb cichnie. Wóz Królewski jadący przed nim zaczął staczać się po długiej rampie w dół do komnat pod placem. Idaho, wciąż w świetle słońca, rozejrzał się dookoła po lśniących wieżycach, tej rzeczywistości, na którą plany go nie przygotowały. Ludzie tłoczyli się na balkonach gigantycznego kręgu tarasów wokół placu - milczący ludzie patrzyli w dół na ich procesję.

"Uprzywilejowani nas nie witają" - pomyślał Idaho. Milczenie tych ludzi na balkonach napełniło go złymi przeczuciami.

Wszedł do tunelu. Gdy zstępował w głąb, zawodzenie Mówiących-do-Ryb zanikało za nim. Odgłos kroków wydał mu się dziwnie wzmocniony.

Ciekawość zastąpiła nękające go złe przeczucie. Idaho rozejrzał się wokół. Kanał o płaskiej posadzce był sztucznie oświetlony i szeroki, bardzo szeroki. Idaho oceniał, że w trzewiach placu może iść obok siebie siedemdziesięciu ludzi. Nie było tu tłumu witających, tylko rzadko rozstawione szeregi Mówiących-do-Ryb, które nie śpiewały, zadowalając się obserwowaniem przejazdu swojego Boga.

Wspomnienie map podpowiedziało Idaho topografię tego gigantycznego kompleksu, rozciągającego się pod placem - prywatnego miasta wewnątrz miasta, miejsca, gdzie tylko Bóg Imperator, jego dworzanie i Mówiące-do-Ryb mogli wejść bez eskorty. Ale plany nic nie mówiły o masywnych kolumnach, przytłaczającym poczuciu olbrzymich, dobrze strzeżonych przestrzeni, osobliwym spokoju przerywanym przez odgłosy kroków i Wozu Królewskiego Leto.

Idaho spojrzał nagle na Mówiące-do-Ryb stojące w dwóch rzędach wzdłuż ich drogi i uświadomił sobie, że ich usta poruszają się unisono, wypowiadając bezgłośne słowo. Rozpoznał je:

Siajnok.

- Kolejne Święto tak prędko? - zapytał Pan Leto.

- To już dziesięć lat - odparł majordom.

Czy myślicie, te przez tę wymianę zdań Pan Leto zdradza nieświadomość upływu czasu?

Z Przekazów Ustnych

W trakcie osobistych audiencji, poprzedzających właściwe święto, wielu dworzan komentowało fakt, że Bóg Imperator spędził więcej czasu niż to pierwotnie planowano z nowym ixiańskim Ambasadorem, młodą kobietą o nazwisku Hwi Noree.

Została sprowadzona na dół w środku przedpołudnia przez dwie Mówiące-do-Ryb. Osobista komnata audiencyjna pod placem była jaskrawo oświetlona, co pozwalało zorientować się w jej wielkości - mniej więcej pięćdziesiąt metrów długości na trzydzieści pięć szerokości. Ściany udekorowane były zabytkowymi fremeńskimi dywanami, których jasne wzory pokryto klejnotami i drogocennymi metalami, wkomponowanymi w bezcenne włókno przyprawowe. Przeważały spokojne czerwienie, w których dawni Fremeni byli tak rozmiłowani. Posadzka komnaty była przeważnie przezroczysta, z zatopionymi w niej rzeźbami egzotycznych ryb, wykonanych ze świetlistego kryształu. Pod posadzką przepływał strumień czystej błękitnej wody, którego wilgoć nie docierała do komnaty audiencyjnej, ale która i tak drażniła Leto, spoczywającego na pokrytym obiciami podwyższeniu naprzeciw drzwi.

Już pierwsze spojrzenie na Hwi Noree ujawniło mu zauważalne podobieństwo do jej wuja, Malky'ego, ale poważne ruchy i spokój emanujący z kroków były równie wyraźne w swej od Malky'ego różnicy. Miała jednak tę śniadą skórę, tę owalną twarz o regularnych rysach. Pogodne brązowe oczy odpowiadały Leto na jego spojrzenie. Ale podczas gdy włosy Malky'ego były siwe, jej - świetliście brązowe.

Hwi Noree promieniała wewnętrznym spokojem i w miarę, jak się zbliżała, Leto czuł, jak rozpościera on wokół niej swój wpływ. Zatrzymała się sześć kroków przed podwyższeniem. Biła od niej jakaś klasyczna równowaga, coś na pewno nie przypadkowego.

Z narastającym podnieceniem Leto uświadomił sobie zdradzające się w osobie nowej Ambasadorki ixiańskie machinacje. Byli bardzo zaawansowani we własnym programie tworzenia określonych typów ludzkich dla określonych zastosowań. Rola Hwi Noree była niepokojąco oczywista - oczarować Imperatora, znaleźć rysę w jego pancerzu.

Pomimo to w miarę trwania audiencji Leto zorientował się, że naprawdę raduje się z jej towarzystwa. Hwi Noree stała w kręgu dziennego światła, skierowanego na salę przez system ixiańskich pryzmatów. Wypełniało ono zakamarki sali blaskiem barwy płonącego złota, który skupiał się na Hwi Noree, przygasając tuż za Bogiem Imperatorem, gdzie stał krótki szereg strażniczek Mówiących-do-Ryb - dwanaście kobiet wybranych ze względu na niezdolność do mówienia i słyszenia.

Hwi Noree miała na sobie prostą szatę z purpurowego ambielu, udekorowaną jedynie srebrnym naszyjnikiem z medalikiem z wytłoczonym symbolem Ix. Miękkie sandały w kolorze jej szaty wystawiały spod sukni noski.

- Wiesz o tym - zapytał ją Leto - że zabiłem jednego z twoich przodków?

Uśmiechnęła się łagodnie.

- Mój wuj, Malky, podał mi tę informację na początku szkolenia, Panie.

Gdy mówiła, Leto uświadomił sobie, że część jej edukacji została przeprowadzona przez Bene Gesserit. Miała ich sposób kontrolowania reakcji, wyczuwania podtekstów konwersacji. Wiedział jednak, że szlif Bene Gesserit jest czymś powierzchownym, co nigdy nie przeniknęło zasadniczej słodyczy jej natury.

- Powiedziano ci, że poruszę ten temat - rzekł.

- Tak, Panie. Wiem, że mój przodek miał czelność wnieść tu broń i usiłował cię zranić.

- Tak jak to zrobił twój bezpośredni poprzednik. O tym również ci powiedziano?

- Nie wiedziałam o tym, zanim tu nie przybyłam, Panie. To byli głupcy! Dlaczego oszczędziłeś mego poprzednika?

- Skoro nie oszczędziłem twojego przodka?

- Tak, Panie.

- Kobat, twój poprzednik, był dla mnie bardziej wartościowy jako posłaniec.

- Zatem powiedziano mi prawdę - rzekła. Znowu się uśmiechnęła. - Nigdy nie można wierzyć, że słyszy się prawdę od swoich współpracowników i przełożonych.

Odpowiedź była tak krańcowo szczera, że Leto nie mógł stłumić chichotu. Już śmiejąc się, uświadomił sobie, że ta młoda kobieta wciąż posiada umysł Pierwszego Przebudzenia, ten podstawowy, który zjawia się z pierwszym szokiem świadomości narodzin. Ona żyje!

- Zatem nie masz mi za złe, że zabiłem twego przodka? - zapytał.

- Próbował cię zamordować! Powiedziano mi, że zgniotłeś go, Panie, swym własnym ciałem.

- To prawda.

- I następnie zwróciłeś broń przeciw swej świętej osobie, by udowodnić, że to bezskuteczne próby... a to była najlepsza rusznica laserowa, jaką wyprodukowali Ixianie.

- Świadkowie przekazali to dokładnie - rzekł Leto. I pomyślał: "Co ukazuje, jak bardzo można polegać na świadkach!" Wiedział, że jeżeli chodzi o historyczną ścisłość, to zwrócił rusznicę laserową przeciw segmentom ciała, nie przeciw dłoniom, twarzy czy płetwom. Korpus pre-czerwia posiada znaczną zdolność pochłaniania udaru termicznego. Chemiczna fabryka wewnątrz niego przerabia ciepło na tlen.

- Nigdy nie wątpiłam w tę historię - powiedziała Hwi Noree.

- Dlaczego Ix powtórzył ten głupi gest? - zapytał Leto.

- Nie powiedzieli mi, Panie. Być może Kobat zrobił to na własną rękę.

- Nie sądzę. Pomyślałem sobie, że twoi ludzie pragnęli tylko śmierci wybranego przez siebie zabójcy.

- Śmierci Kobata?

- Nie, śmierci tego, kogo wybrali do użycia tej broni.

- Kto to był, Panie? Nie powiedziano mi tego.

- To nieistotne. Czy przypominasz sobie, co powiedziałem wtedy o głupocie twego przodka?

- Groziłeś straszliwymi karami, gdyby myśl o takim czynie kiedykolwiek jeszcze pojawiła się w naszych umysłach. - Opuściła oczy, ale Leto zdążył ujrzeć w nich głęboką determinację. Miała zamiar użyć najlepszych zdolności, by złagodzić jego gniew.

- Obiecałem, że żaden z was nie ujdzie przed moim gniewem.

Uniosła gwałtownie głowę i spojrzała na niego.

- Tak, Panie. - Teraz jej zachowanie zdradzało obawę o siebie.

- Nikt nie zdoła uciec przede mną, nawet nieważna kolonia, którą założyliście na... - I Leto przytoczył jej koordynaty nowej kolonii, którą Ixianie zorganizowali w tajemnicy daleko poza tym, co uważali za granice jego Imperium.

Nie okazała żadnego zaskoczenia.

- Panie, myślę, że to dlatego, iż ostrzegłam ich, że prawdopodobnie wiesz o tym, wybrano mnie na stanowisko Ambasadora.

Leto przyjrzał się jej bardziej uważnie. "Co my tu mamy?" - zastanawiał się. Jej spostrzeżenia były subtelne i przenikliwe. Wiedział, że Ixianie myśleli, iż odległość i lawinowo rosnące koszty transportu zabezpieczą nową kolonię. Hwi Noree myślała inaczej i powiedziała o tym. Wierzyła jednak, że jej panowie wybrali ją na Ambasadora z tego właśnie powodu - za stosunek do ixiańskiej ostrożności. Myśleli, że będą mieli tu na dworze przyjaciela, który będzie jednocześnie przyjacielem Leto. Skinął głową, gdy zaczął rozpoznawać zarysy ich planu. Dawno temu, na początku swego panowania, ujawnił Ixianom, że znał dokładne położenie tajnego ponoć Rdzenia Ixiańskiego, serca technologicznej federacji, którą władali. Ixianie myśleli, że ich sekret jest bezpieczny, bo płacili za jego utrzymanie gigantyczne łapówki Gildii Planetarnej. Leto rozgryzł ich tajemnicę dzięki przyszłowidczej obserwacji i dedukcji oraz przez poradzenie się swoich wspomnień, w których było więcej niż kilku Ixian i Ixianek.

W owym czasie Leto ostrzegł Ixian, że ukarze ich, jeżeli będą działać przeciwko niemu. Odpowiedzieli konsternacją i oskarżyli Gildię o to, że ich zdradziła. To tak rozbawiło Leto, że Ixianie poczuli się z kolei speszeni. Poinformował ich następnie zimnym, oskarżycielskim tonem, że nie potrzebował szpiegów, zdrajców czy innych brudnych sztuczek władzy.

Czy nie wierzyli, że jest Bogiem?

Od tamtego czasu Ixianie byli posłuszni jego wymaganiom. Leto nie nadużywał tego układu. Jego żądania były niewielkie - maszyna do tego, przyrząd do owego. Formułował potrzeby i po niedługim czasie Ixianie dostarczali mu żądanej zabawki. Tylko raz spróbowali umieścić wewnątrz jednego z urządzeń jakąś piekielną machinę. Zabił całą ixiańską delegację, zanim nawet zdążyli tę rzecz rozpakować.

Hwi Noree czekała cierpliwie, podczas gdy Leto rozmyślał. Nie okazała nawet najdrobniejszego znaku zniecierpliwienia.

"Jest piękna" - pomyślał.

Oglądając się na swoje trwające od tysięcy lat stosunki z Ixianami, Leto stwierdził, że ta nowa postawa wprawia w ruch soki w jego ciele. Zazwyczaj kryzysy, pasje i konieczności, które określały jego działania, płonęły słabym ogniem, nie wywołującym żywszego odzewu. Często czuł, że przeżył swój czas. Obecność Hwi Noree mówiła jednak, że jest potrzebny. To go zadowalało. Leto czuł, że możliwe nawet jest, iż Ixianie osiągnęli pewien sukces z ich maszyną wzmacniającą liniowe przyszłowidzenie Nawigatorów Gildii. Mogło mu się wymknąć małe "klik" w biegu wypadków. Czy naprawdę mogli stworzyć taką maszynę? To byłby cud! Celowo odmówił sobie użycia swych sił na poczynienie najmniejszej nawet próby odpowiedzi na to pytanie.

"Chcę być tym zaskoczony."

Leto uśmiechnął się łaskawie do Hwi.

- Jak cię przygotowano do flirtu ze mną? - zapytał.

Nawet nie mrugnęła.

- Podano mi komplet reakcji do wykorzystania w poszczególnych okolicznościach - powiedziała. - Nauczyłam się ich, ale nie zamierzam ich wykorzystać.

"Czego oni zresztą gorąco pragną" - pomyślał Leto.

- Powiedz swym mistrzom - powiedział - że jesteś dokładnie tym rodzajem przynęty, którą można wymachiwać przed nosem.

Skłoniła głowę.

- Jeżeli zadowoli to mego Pana.

- Tak, zrób to.

Pozwolił sobie następnie na mały test przyszłości, by zbadać to, co czeka Hwi w najbliższym czasie, tropiąc przez to nić jej przeszłości. Wydawało się, że przyszłość Hwi jest płynna, że to prąd, którego ruchy są podatne na wiele odchyleń. Będzie znać Sionę jedynie w niezobowiązujący sposób, chyba że... Przez jego umysł przepływały pytania. Doradcą Ixian był Nawigator Gildii, to on z pewnością wykrył wyrwę w monumencie czasu - Sionę. Czy ten Nawigator naprawdę myślał, że może wmówić iluzję bezpieczeństwa wbrew mniemaniu Boga Imperatora?

Próba czasowa zajęła kilka minut, ale Hwi nie okazywała niepokoju. Leto przyjrzał jej się dokładnie. Wydawała się stać poza czasem - na z e w n ą t r z czasu, zachowując dogłębny spokój. Nigdy przedtem nie spotkał się ze zwykłym śmiertelnikiem zdolnym do wyczekiwania w ten sposób przed nim, bez okazywania odrobiny nerwowości.

- Gdzie się urodziłaś, Hwi? - zapytał.

- Na samym Ix, Panie.

- Chodzi mi o szczegóły - w jakim budynku, gdzie położonym, kim byli twoi rodzice, ludzie wokół ciebie, jakich miałaś przyjaciół, jaką szkołę, rodzinę - wszystko.

- Nigdy nie znałam swoich rodziców, Panie. Powiedziano mi, że umarli, gdy jeszcze byłam niemowlęciem.

- Uwierzyłaś w to?

- Z początku oczywiście tak, Panie. Później tworzyłam sobie fantazje. Wyobrażałam sobie nawet, że moim ojcem jest Malky... ale... -Potrząsnęła głową.

- Nie lubiłaś swego wuja?

- Nie, nie lubiłam. Podziwiałam go.

- Dokładnie taka sama była moja reakcja - powiedział Leto. - Ale co z twoimi przyjaciółmi i nauką?

- Moi nauczyciele byli specjalistami, sprowadzono nawet kilka Bene Gesserit, by wyćwiczyły mnie w kontrolowaniu uczuć i spostrzeżeń. Malky mówił, że jestem przygotowywana do wielkich celów.

- A twoi przyjaciele?

- Nie miałam nigdy prawdziwych przyjaciółek ani przyjaciół - tylko ludzi, których kontaktowano ze mną dla specjalnych celów w procesie mojej edukacji.

- A te wielkie cele, dla których byłaś szkolona - czy ktokolwiek powiedział ci kiedyś, o co chodzi?

- Malky twierdził, że przygotowuje się mnie, bym cię oczarowała, Panie.

- Ile masz lat, Noree?

- Nie znam dokładnie swojego wieku. Myślę, że mam około dwudziestu sześciu lat. Nigdy nie obchodziłam urodzin. Dowiedziałam się o nich jedynie przez przypadek, jeden z moich nauczycieli podał je jako wytłumaczenie swojej nieobecności. Nigdy go już potem nie widziałam.

Leto stwierdził, że zafascynowała go ta odpowiedź. Jego obserwacje dostarczyły mu pewności, że Tleilaxanie nie ingerowali w jej ixiańskie ciało. Nie wyszła z ich aksolotlowego zbiornika. Dlaczego zatem ta tajemnica?

- Czy wuj Malky zna twój wiek?

- Może. Nie widziałam wuja od wielu lat

- Czy n i k t nie powiedział ci, ile masz lat?

- Nie.

- Jak myślisz, dlaczego?

- Może myśleli, że jeśli jestem tego ciekawa, to zapytam.

- Byłaś ciekawa?

- Tak.

- Dlaczego więc nie pytałaś?

- Z początku myślałam, że może jest to gdzieś odnotowane. Szukałam. Nie było nic. Domyśliłam się wtedy, że nie odpowiedziano by mi na moje pytanie.

- Biorąc pod uwagę to, co mi mówiono o tobie, Hwi, ta odpowiedź b a r d z o mnie zadowala. Ja również nie znam twojego pochodzenia, ale mógłbym dokonać popartego dowodami domysłu co do miejsca twojego urodzenia.

Jej oczy skupiły się na nim wyczekująco.

- Urodziłaś się we wnętrzu tej maszyny, którą wasi mistrzowie próbują udoskonalić dla Gildii - powiedział Leto. - Zostałaś w niej również poczęta. To możliwe, że Malky jest twoim ojcem, ale to nieważne. Wiesz o tej maszynie, Hwi?

- Nie powinnam o niej wiedzieć, Panie, ale...

- Kolejna niedyskrecja jednego z twoich nauczycieli?

- Tym razem mojego wuja.

Leto wybuchnął śmiechem.

- Co za szelma! - orzekł. - Co za czarujący łotr!

- Panie?

- To jego zemsta na waszych mistrzach. Nie podobało mu się, że odwołali go z mojego dworu. Powiedział mi wtedy, że jego zmiennik to mniej niż głupiec.

Hwi wzruszyła ramionami.

- Mój wuj to złożona osobowość.

- Słuchaj mnie uważnie, Hwi. Niektórzy z twoich współpracowników na Arrakis mogą być dla ciebie niebezpieczni. Będę cię ochraniał, jak tylko będę mógł. Rozumiesz?

- Myślę, że tak. - Popatrzyła na niego z uwagą.

- Teraz wiadomość dla waszych mistrzów. To dla mnie jasne, że usłuchali Nawigatora Gildii i przyłączyli się, ryzykując wiele, do Tleilaxan. Przekaż im, że ich cele są dla mnie zupełnie przejrzyste.

- Panie, nie wiem w ogóle, o...

- Jestem świadom, jak cię wykorzystują, Hwi. Z tego powodu możesz przekazać swoim mistrzom również to, że będziesz stałą Ambasadorką na moim dworze. Nie potrzebuję więcej Ixian. I gdyby twoi mistrzowie zlekceważyli moje ostrzeżenie, próbowali wtrącać się w to, czego pragnę, zniszczę ich.

Łzy wezbrały w jej oczach i popłynęły po policzkach, ale Leto był wdzięczny, że dziewczyna nie pozwala sobie na inne przedstawienia w rodzaju padania na kolana.

- Już ich ostrzegłam - powiedziała. - Naprawdę. Mówiłam im, że muszą ciebie słuchać.

Leto wiedział, że to prawda.

"Cóż za cudowne stworzenie, ta Hwi Noree" - pomyślał. Wydawała się być kwintesencją dobra, z pewnością spłodzona i uwarunkowana dla tej cechy przez ixiańskich mistrzów, starannie kalkulujących wpływ, jaki wywrze na Boga Imperatora.

Poprzez tłoczące się pamięci przodków Leto mógł widzieć ją jako wyidealizowaną zakonnicę, łagodną i poświęcającą siebie - samą szczerość. Taka była jej najgłębsza natura, zasada jej istnienia. Stwierdziła, że łatwiej jest być prawdomówną i otwartą, zdolną do pozostawiania spraw w cieniu tylko po to, by oszczędzić bólu innym. Tę ostatnią skazę Leto postrzegał jako najgłębszą zmianę, jaką zdołały wywrzeć na niej Bene Gesserit. Prawdziwe zachowanie Hwi pozostawało promieniującą wrażliwością, naturalną słodyczą. Leto niewiele mógł w niej znaleźć wyrafinowanej kalkulacji. Wydawała się reagować bez zakłamania, stanowić duchowy monolit. Potrafiła wspaniale słuchać (jeszcze jedna cecha Bene Gesserit). Nie było w niej nic otwarcie kuszącego i sam ten fakt czynił ją dla Leto niezwykle powabną.

Jak powiedział jednemu z wcześniejszych Duncanów przy podobnej okazji: Musisz to we mnie zrozumieć, tę cechę, którą oczywiście niektórzy podejrzewają - to nieuniknione, że czasami mam zwodnicze uczucie, wrażenie, że gdzieś w tej odmienionej postaci istnieje dojrzałe ludzkie ciało z wszystkimi jego koniecznymi funkcjami."

"W s z y s t k i m i , Panie?" - zapytał tamten Duncan.

"Wszystkimi! Czuję zanikłe części mojego ciała. Czuję moje nogi, zupełnie niczym się nie wyróżniające i tak prawdziwe dla mych zmysłów! Czuję pracę ludzkich gruczołów; niektóre z nich już we mnie nie istnieją. Odczuwam nawet genitalia, o których wiem intelektualnie, że zniknęły wieki temu."

"Ale jeżeli na pewno wiesz..."

"Wiedza nie tłumi moich uczuć. Zanikłe części mnie są wciąż obecne w moich wspomnieniach i w wielokrotnej tożsamości wszystkich moich przodków."

Leto, patrzącemu na stojącą przed nim Hwi, ani na jotę nie pomagała wiedza, że nie ma już czaszki, a to, co niegdyś było jego mózgiem, tworzy teraz potężną sieć zwojów rozpościerających się na jego ciele pre-czerwia. Nic nie pomagało. Czuł wciąż swój mózg bolący go tam, gdzie się kiedyś znajdował, i wciąż czuł ból pulsujący w czaszce.

Stojąc po prostu przed nim, Hwi wołała do jego utraconego człowieczeństwa. To już było dla niego zbyt wiele i jęknął w rozpaczy:

- Dlaczego twoi mistrzowie mnie torturują?

- Panie?

- Przysyłając cię!

- Ja ciebie nie zranię!

- Ranisz mnie po prostu istniejąc!

- Nie wiedziałam! - Łzy popłynęły niepowstrzymanie z jej oczu. - Nigdy mi nie powiedzieli, co naprawdę robią.

Uspokoił się i powiedział miękko:

- Zostaw mnie teraz, Hwi. Idź do swoich spraw, ale wróć tu szybko, kiedy tylko cię wezwę.

Wyszła po cichu, ale Leto wiedział, że również jest wewnętrznie rozbita. Nie było wątpliwości, że głęboko żałuje człowieczeństwa, którego wyrzekł się Leto. Wiedziała to, co on - mogli być przyjaciółmi, kochankami, towarzyszami, mogli wzajemnie obdarowywać się sobą. Jej mistrzowie zaplanowali to tak, aby wiedziała.

"Ixianie są bezlitośni - pomyślał. - Wiedzieli, co będzie nas boleć."

Odejście Hwi obudziło w nim wspomnienia o jej wuju, Malkym. Malky był okrutny, ale Leto raczej cieszył się z jego towarzystwa. Malky posiadał wszystkie zalety swojego ludu i sporo wad, które czyniły z niego człowieka. Lubował się w towarzystwie Mówiących-do-Ryb.

"Twoje hurysy" - nazywał je i Leto rzadko mógł o nich później myśleć, nie przypominając sobie etykietki Malky'ego.

"Dlaczego myślę teraz o Malkym? To nie tylko z powodu Hwi. Powinienem ją był zapytać, jakie zadanie powierzyli jej mistrzowie, gdy ją do mnie wysłali."

Leto wahał się, czy nie wezwać jej z powrotem.

"Powie mi, jeżeli ją zapytam."

Ixiańskim Ambasadorom zawsze polecano, by dowiedzieli się, dlaczego Bóg Imperator toleruje Ix. Wiedzieli, że nie mogą się przed nim ukryć. To głupie usiłowanie założenia kolonii poza polem jego widzenia! Badali granice jego cierpliwości? Ixianie podejrzewali, że Leto tak naprawdę nie potrzebuje wytworów ich przemysłu.

"Nigdy nie kryłem mojej opinii o nich. Powiedziałem o niej Malky'emu."

"Technologiczni innowatorzy? Nie! Jesteście w moim Imperium przestępcami nauki!"

Malky roześmiał się wtedy. Rozdrażniony tym Leto wykrzyknął:

"Dlaczego próbujecie ukryć wasze tajne laboratoria i fabryki poza krańcami Imperium!? I tak nie możecie mi się wymknąć."

"Tak, Panie" - odparł ze śmiechem.

"Znam wasz zamiar: niech trochę tego i odrobina owego przecieknie z powrotem do Imperium. Wywołać rozłam! Spowodować wątpliwości i pytania!"

"Panie, sam jesteś jednym z naszych najlepszych klientów."

"Nie o to mi chodzi i wiesz o tym, niegodziwcze!"

"Lubisz mnie, ponieważ nim jestem. Opowiadam ci o tym, co robimy."

" Wiem to bez twoich opowieści."

"Ale w niektóre rzeczy się wierzy, w inne wątpi. Ja rozpraszam twoje wątpliwości."

"Nie mam żadnych wątpliwości!"

To pobudziło Malky'ego do jeszcze głośniejszego śmiechu.

"A ja wciąż muszę ich tolerować" - pomyślał Leto. Ixianie działali na nieznanej ziemi twórczej inwencji, wyjętej spod prawa przez Dżihad Butlerjańską. Czynili swe urządzenia na podobieństwo umysłu - to samo, co wywołało zniszczenia i rzezie Dżihad. To właśnie robili na Ix i Leto mógł jedynie pozwolić im kontynuować ich pracę.

"Kupuję od nich. Bez ich dyktateli reagujących na moje nie wypowiedziane myśli nie mógłbym nawet spisywać swych dzienników. Bez Ix nie mógłbym ukryć ani swoich zapisków, ani drukarek."

"Ale trzeba im przypomnieć, jak niebezpieczne jest to, co robią."

I nie wolno było pozwolić zapomnieć Gildii. To było prostsze. Nawet wtedy, gdy Gildianie współpracowali z Ixianami, nie ufali im w pełni.

"Jeżeli ta nowa maszyna działa, Gildia już straciła monopol na podróże kosmiczne!"

Z zamętu mych wspomnieli, z których mogę czerpać do woli, wyłaniają się wzory. Są jak obcy język, który udaje mi się jednak zrozumieć. Sygnały alarmowe dla społeczeństw, każące im zajmować pozycje obrony-ataku, są jak wykrzyczane słowa. Jako ludzie reagujecie na groźby wobec niewinności i bezpieczeństwa waszego bezbronnego potomstwa. Niewyjaśnione dźwięki, widoki i zapachy jeżą wam szczecinę, choć zapomnieliście, że ją posiadacie. W podnieceniu i lęku czepiacie się swego ojczystego języka, bo wszystkie inne wyuczone dźwięki stają się obce. Domagacie się akceptacji własnego stroju, bo inny jest niebezpieczny. To system sprzężenia zwrotnego na najprymitywniejszym poziomie. Wasze komórki pamiętają.

"Wykradzione dzienniki"

Akolitki Mówiących-do-Ryb służące jako paziowie przy drzwiach sali audiencyjnej Leto wpuściły Duro Nunepiego, Ambasadora Tleilaxu. Było wcześnie jak na audiencję - spotkanie z Nunepim przesunięto wobec wcześniej ustalonego porządku - ale Ambasador był spokojny, okazując zaledwie cień zrezygnowanej akceptacji.

Leto oczekiwał go w milczeniu, wyciągnięty na swym Wozie znajdującym się na platformie w końcu sali. Gdy tak patrzył na zbliżającego się Nunepiego, wspomnienia podsunęły mu porównanie: pływająca żmija peryskopu znaczącego swój prawie niewidoczny ślad na wodzie. Wspomnienie to wywołało uśmiech na ustach Leto. Taki był Nunepi - dumny człowiek o kamiennej twarzy, który wspiął się po drabinie władzy Tleilaxan. Nie będzie sam Tancerzem Oblicza, uważał ich za swych osobistych służących; byli wodą, przez którą płynął. Trzeba było mieć prawdziwe doświadczenie, by zauważyć jego ślad. Nunepi był wstrętnym typem, który maczał palce w ataku na Królewskim Trakcie.

Mimo wczesnej pory, mężczyzna miał na sobie pełne ambasadorskie umundurowanie - powiewające czarne spodnie i takież sandały ozdobione złotym lamowaniem, wycięty kaftan barwy czerwonych kwiatów, ukazujący zarośniętą pierś, na której wisiał wykonany ze złota i klejnotów krzyż Tleilaxan.

W wymaganej odległości dziesięciu kroków Nunepi zatrzymał się i przemknął spojrzeniem po grupie uzbrojonych strażniczek Mówiących-do-Ryb, stojących za Leto. Gdy Nunepi przeniósł uwagę na swego Imperatora i skłonił się lekko, jego oczy aż błyszczały od jakiegoś tajonego rozbawienia.

W tej chwili wszedł Duncan Idaho z rusznicą laserową przypasaną do biodra i zajął miejsce na wysokości okapturzonej twarzy Boga Imperatora. Wygląd Idaho sprawił, że Nunepi rzucił mu staranne, badawcze spojrzenie, spojrzenie, którego wynik nie zadowolił Ambasadora.

- Uważam zmiennokształtnych za wyjątkowo nieznośnych - rzucił Leto.

- Nie jestem zmiennokształtnym, Panie - odparł Nunepi. Jego głos był cichy i opanowany; zdradzał jedynie ślad wahania.

- Jednak reprezentujesz ich i to czyni ciebie również przedmiotem mojej irytacji - rzekł Leto.

Nunepi oczekiwał otwarcie wrogiego oświadczenia, a jak na razie rozmowa w ogóle nie była prowadzona w języku dyplomacji. Wstrząsnęło nim to tak, że poczynił śmiałą aluzję do tego, co wydawało mu się siłą Tleilaxan:

- Panie, zachowując ciało prawdziwego Duncana Idaho i zaopatrując cię w odtworzone ghole, mające jego wygląd i tożsamość, zawsze przypuszczaliśmy...

- Duncanie! - Leto spojrzał na Idaho. - Jeżeli ci rozkażę, Duncanie, to czy poprowadzisz ekspedycję, aby zniszczyć Tleilaxan?

- Z przyjemnością, mój Panie.

- Nawet jeżeli oznaczałoby to utratę twych oryginalnych komórek i zniszczenie wszystkich zbiorników aksolotlowych?

- Zbiorniki nie są dla mnie przyjemnym wspomnieniem, Panie, a te komórki to nie jestem ja.

- Panie, czym cię obraziliśmy? - zapytał Nunepi.

Leto popatrzył na niego spod oka. Czy ten niezręczny głupiec naprawdę oczekiwał, że Bóg Imperator otwarcie powie o najnowszym ataku Tancerzy Oblicza?

- Doszło mnie - powiedział Leto - że ty i twoi ludzie szerzycie kłamstwa o tym, co nazywacie moimi "niesmacznymi nawykami seksualnymi".

Nunepiemu ze zdumienia opadła szczęka. Oskarżenie było bezczelnym kłamstwem, przez co zupełnie nieoczekiwanym. Nunepi uświadomił sobie jednak, że jeżeli zaprzeczy, nikt mu nie uwierzy. Tak rzekł Bóg Imperator. Był to atak o nieznanej sile. Nunepi zaczął mówić, patrząc na Idaho:

- Panie, jeżeli...

- Patrz na mnie! - rozkazał Leto.

Nunepi ruchem głowy przeniósł wzrok na twarz Leto.

- Tym razem tylko cię poinformuję - powiedział Leto. - W ogóle nie mam seksualnych nawyków. Żadnych.

Krople potu zaczęły spływać po twarzy Nunepiego. Wpatrywał się w Leto z lękiem schwytanego w pułapkę zwierzęcia. Gdy odzyskał swój głos, nie było to już spokojne, opanowane narzędzie dyplomaty, lecz coś drżącego i przepełnionego przestrachem.

- Panie, ja... To musi być wymysł...

- Bądź cicho, tleilaxański wężu - zagrzmiał Leto. - Jestem przemieniającą się larwą świętego czerwia - Szej-huluda! Jestem twoim Bogiem!

- Przebacz nam, Panie - wyszeptał Nunepi.

- Przebaczyć wam? - głos Leto był pełen słodyczy. - Oczywiście, że wam wybaczam. Taka jest rola waszego Boga. Wasza zbrodnia jest wybaczona. Mimo wszystko jednak wasza głupota wymaga kary.

- Panie, gdybym tylko mógł...

- Bądź cicho! Przydział przyprawy dla Tleilaxu na to dziesięciolecie zostaje uchylony. Nie dostaniecie nic. Co do ciebie osobiście, moje Mówiące-do-Ryb zabiorą cię teraz na plac.

Dwie niedźwiedziowate strażniczki podeszły i ujęły Nunepiego pod ramiona. Podniosły wzrok na Leto, czekając na instrukcje.

- Na placu - powiedział Leto - ściągniecie z niego ubranie. Ma zostać publicznie wychłostany - pięćdziesiąt batów.

Nunepi zaczął się szarpać w rękach strażniczek. Na jego twarzy malowało się zaskoczenie zmieszane z gniewem.

- Panie, przypominam ci, że jestem Ambasadorem...

- Jesteś pospolitym przestępcą i tak też zostaniesz potraktowany. - Leto skinął głową strażniczkom, które ciągnęły Nunepiego ze sobą.

- Szkoda, że cię nie zabili! - rozszalał się Nunepi. - Szkoda...

- Kto? - zawołał Leto. - Szkoda, że kto mnie nie zabił? Nie wiesz, że nie można mnie zabić?

Strażniczki wywlokły wreszcie Nunepiego z sali. Krzyczał do końca:

- Jestem niewinny! Jestem niewinny! - Protest ucichł w oddali.

Idaho nachylił się do Leto.

- Tak, Duncanie? - zapytał Leto.

- Mój Panie, wszyscy posłowie będą się teraz bali.

- Tak. Dałem im lekcję odpowiedzialności.

- Panie?

- Uczestnictwo w konspiracji, tak jak służba wojskowa, zwalnia ludzi z poczucia osobistej odpowiedzialności.

- Ale to wywoła kłopoty, mój Panie. Lepiej wyznaczę dodatkowe strażniczki.

- Ani jednej więcej!

- Ależ sam się prosisz o...

- Proszę się o odrobinę militarnego nonsensu.

- To właśnie...

- Duncanie, jestem nauczycielem, pamiętaj o tym. Przez powtórzenie utrwalam naukę.

- Jaka naukę?

- O krańcowo samobójczej naturze wojskowej głupoty.

- Panie, nie...

- Duncanie, zastanów się nad niezgrabnością Nunepiego. To morał twojej lekcji.

- Wybacz mi moją tępotę, Panie, ale nie rozumiem tego o wojskowej...

- Wierzą, że ryzykując śmiercią, płacą już tym samym cenę za jakiekolwiek działanie wobec wroga, którego sobie wybierają. Mają mentalność najeźdźcy. Nunepi nie wierzy, że sam jest odpowiedzialny za cokolwiek, co czyni się przeciw o b c y m .

Idaho spojrzał ku portykowi, którędy strażniczki wywlokły Nunepiego.

- Próbował i przegrał, Panie.

- Ale odciął się od więzów przeszłości i sprzeciwia się zapłaceniu ceny.

- Wobec swoich ludzi jest patriotą.

- Czyli jak siebie widzi, Duncanie? Jako narzędzie historii. Idaho ściszył głos i nachylił się bliżej Leto.

- Czym więc ty różnisz się od niego, Panie?

Leto zachichotał.

- Ach, Duncanie, jakże kocham twoją spostrzegawczość! Zauważyłeś, że jestem zupełnie obcy. Nie zastanawiasz się, czy mogę być również tym, który zawsze przegrywa?

- Przemknęło mi to przez głowę.

- Nawet ci, co przegrywają, mogą ukryć się za zasłoną dymną "przeszłości", mój przyjacielu.

- Czy ty i Nunepi w tym też jesteście do siebie podobni?

- Wojujące religie misjonarskie potrafią szerzyć iluzję "chwalebnej przeszłości", ale niewielu rozpoznaje w tym stałe zagrożenie dla ludzkości, jakim jest fałszywe poczucie zwolnienia od odpowiedzialności za własne działania.

- To dziwne słowa. Panie. Jak mam je rozumieć?

- Tak, jak do ciebie przemawiają. Nie jesteś w stanie ich wysłuchać.

- Mam uszy, Panie.

- Teraz? Nie widzę ich.

- Tutaj, Panie. Tu i tu. - Idaho wskazał na własne uszy.

- Ale one nie słyszą. Zatem nie masz uszu, nie masz ich tutaj albo nie słyszysz.

- Dowcipkujesz ze mnie, mój Panie?

- Słyszeć to słyszeć. To, co istnieje, nie może być przerobione na siebie, bo już tym jest. Być znaczy być.

- Twoje dziwne słowa...

- Są jedynie słowami. Wypowiedziałem je. Przebrzmiały. Nikt ich nie słyszał, przeto już nie istnieją. Skoro nie istnieją, może można sprawić, by zaistniały znowu, i może wtedy ktoś je usłyszy.

- Dlaczego ze mnie kpisz, Panie?

- Nie kpię z niczego oprócz słów. To, co trafia do ciebie, to tylko słowa, nie żarty. Mówię bez obawy, że cię obrażę, bo wiem, że nie masz uszu.

- Nie rozumiem cię, Panie.

- To początek wiedzy - odkrycie czegoś, czego się nie rozumie. Zanim Idaho zdążył odpowiedzieć, Leto dał znak dłonią stojącej w pobliżu strażniczce, która sięgnęła ręką do kryształowego panelu kontrolnego na ścianie za podium Boga Imperatora. W środku sali pojawiło się trójwymiarowy obraz kaźni Nunepiego.

Idaho zszedł na posadzkę i przyjrzał się bliżej tej scenie. Ujmowana była z niewielkiego wzniesienia ponad placem, w całości, wraz z odgłosami tłumu, który zbiegł się na pierwsze plotki, że coś się dzieje.

Nunepi stojący z szeroko rozstawionymi nogami przywiązany został do dwóch prętów trójnoga, zaś jego ręce spętane były ponad głową i uczepione prawie u szczytu przyrządu. Ubranie Ambasadora zostało z niego zdarte i porozrzucane w strzępach dookoła. Potężna, zamaskowana Mówiąca-do-Ryb stanęła obok, trzymając prowizoryczny bicz wykonany z liny z elakki, której koniec został rozpleciony w cienkie pasemka przypominające rzemienie. Idaho rozpoznał zamaskowaną kobietę jako "Przyjaciółkę" ze swego pierwszego spotkania ze strażniczkami.

Na znak oficera Straży zamaskowana Mówiąca-do-Ryb postąpiła do przodu i uderzyła biczem w obnażone plecy Nunepiego. Idaho skrzywił się. Tłum westchnął. Tam, gdzie uderzył bicz, pojawiły się pręgi, ale Nunepi milczał. Bicz znowu opadł. Krew zdradziła ślady drugiego uderzenia. Raz jeszcze bicz zdarł skórę z pleców Nunepiego. Pojawiło się jeszcze więcej krwi.

Leto czuł nieokreślony smutek. "Nayla jest zbyt gorliwa - pomyślał. - Zabije go, a to spowoduje kłopoty."

- Duncan! - zawołał.

Idaho odwrócił się od obserwowanej w napięciu sceny, dokładnie w chwili, gdy z tłumu dobiegł krzyk - odpowiedź na szczególnie krwawy cios.

- Wyślij kogoś, niech zatrzyma tę chłostę po dwudziestu batach - powiedział Leto. - Każ oświadczyć, że wspaniałomyślność Boga Imperatora złagodziła karę.

Idaho wyciągnął dłoń ku jednej ze strażniczek, która skinęła głową i wybiegła z sali.

- Podejdź, Duncanie - rzekł Leto.

Wciąż czując żal za to, co uważał za kpiny z niego, Idaho podszedł do Leto.

- Cokolwiek robię - powiedział Leto - jest to nauka do odebrania.

Idaho powstrzymał się od obejrzenia na widok kary Nunepiego.

Czyż to właśnie rozległ się jego jęk? Spojrzał w oczy Leto.

- Chodzi ci po głowie jakieś pytanie - stwierdził Leto.

- Wiele pytań, Panie.

- Wypowiedz je.

- Co to za nauka w tak głupiej karze? Co powiemy, kiedy nas o nią zapytają?

- Powiemy, że nikomu nie wolno bluźnić przeciw Bogu Imperatorowi.

- To krwawa nauczka, mój Panie.

- Nie tak, jak niektóre inne.

Idaho potrząsnął głową z boku na bok w widocznym oburzeniu.

- Nic dobrego z tego nie wyniknie!

- Właśnie!

Safari poprzez wspomnienia przodków uczy mnie wielu rzeczy. Schematy... aach, te schematy! Najbardziej kłopotliwi są dla mnie liberalni bigoci. Nie ufam skrajnościom. Poskrobcie z wierzchu konserwatystę, a znajdziecie kogoś, kto przedkłada przeszłość nad jakąkolwiek przyszłość. Poskrobcie liberała, a odkryjecie najbardziej rasowego arystokratę. To prawda! Rządy liberalne zawsze rozwijają się w arystokracje. Biurokracje zdradzają prawdziwe intencje ludzi, którzy tworzą takie rządy. Od samego początku mali ludkowie tworzący rządy obiecujące wyrównanie społecznych ciężarów znajdowali się nagle w rękach biurokratycznych arystokratów. Oczywiście, wszystkie biurokracje stosują się do tego schematu, ale hipokryzją jest to, że można go odnaleźć nawet pod komunistycznym sztandarem. Moje naciski nie są gorsze niż każde inne, a ja przynajmniej uczę nowej lekcji.

"Wykradzione dzienniki"

Dzień audiencji zbliżał się już do końca, kiedy Leto mógł przyjąć delegację Bene Gesserit. Moneo przygotował Matki Wielebne na to opóźnienie, powtarzając uspokajające zapewnienia Boga Imperatora

Składając sprawozdanie swemu Imperatorowi, Moneo powiedział:

"Spodziewają się sporej nagrody."

"Zobaczymy - odparł Leto. - Zobaczymy. Powiedz mi teraz, czego właściwie żądał od ciebie Duncan, kiedy tu wchodziłeś?"

"Chciał wiedzieć, czy kiedykolwiek przedtem kazałeś kogoś wybatożyć."

"I co odpowiedziałeś?"

"Że nigdzie nie znalazłem o rym zapisów ani sam nie byłem nigdy świadkiem takiej sceny."

"Jak zareagował?"

"Powiedział, że to nie w stylu Atrydów."

"Myśli, że jestem szalony?"

"Tego nie powiedział."

"Rozmawialiście o czymś jeszcze. Cóż tak kłopocze naszego nowego Duncana?"

"Spotkał się z ixiańską Ambasadorką, Panie. Hwi Noree zauroczyła go. Pytał, czy..."

"Temu trzeba zapobiec, Moneo! Wierzę, że możemy uniemożliwić jakikolwiek związek pomiędzy Duncanem i Hwi Noree."

"Jak mój Pan rozkaże."

"Naprawdę rozkazuję! Idź teraz i przygotuj się na nasze spotkanie z kobietami z Bene Gesserit. Przyjmę je w Fałszywej Siczy."

"Panie, czy wybór tego miejsca coś znaczy?"

"To kaprys. Wychodząc powiedz Duncanowi, że może wziąć drużynę strażniczek i przeczesać miasto na wypadek kłopotów."

Czekając w Fałszywej Siczy na delegację Bene Gesserit, Leto uśmiechnął się na wspomnienie tej rozmowy. Mógł sobie wyobrazić reakcje w całym Mieście Świątecznym na pojawienie się zaniepokojonego Duncana dowodzącego drużyną Mówiących-do-Ryb. "Jak nagłe milczenie żab, gdy zjawia się drapieżnik." Teraz, kiedy Leto był już w Fałszywej Siczy, stwierdził, że jest zadowolony z tego wyboru. Swobodnie uformowana z nieregularnie

rozmieszczonych kopuł budowla na skraju Onn, Fałszywa Sicz, miała prawie kilometr średnicy. Początkowo mieszkali w niej Muzealni Fremeni, teraz zaś była ich szkołą. Wszystkie korytarze i izby patrolowały czujne Mówiące-do-Ryb.

Sala przyjęć, w której oczekiwał Leto, miała owalny kształt, prawie dwieście metrów długości i była oświetlona przez gigantyczne kule świętojańskie, unoszące się jakieś trzydzieści metrów nad posadzką. Światło dodatkowo przytłumiało spokojne brązy imitacji kamienia, z której wykonana była cała budowla. Leto czekał na niskiej półce pod jedną ze ścian sali, wyglądając na zewnątrz przez półkoliste okno, większe niż jego ciało. Otwór okienny znajdujący się na wysokości czterech pięter ukazywał widok na resztkę dawnego Muru Zaporowego, zachowanego dla swych jaskiń po urwistej stronie, gdzie drużyny Atrydów zostały onegdaj wybite przez harkonneńskich agresorów. Skrzące się światło Pierwszego Księżyca srebrzyło zarysy zbocza. Urwisko pokryte było plamkami ognia, odkrytymi płomieniami tam, gdzie kiedyś żaden Fremen nie zdradziłby swej obecności. Światełka na moment znikały, gdy przechodzili przed nimi ludzie - Muzealni Fremeni wypróbowujący swe prawo do zajmowania świętych miejsc.

"Muzealni Fremeni" - pomyślał Leto.

Myśleli tak wąskimi kategoriami, mieli tak ciasne horyzonty!

"Ale dlaczego mam się temu sprzeciwiać? Są dokładnie tym, czym ich uczyniłem."

Leto dosłyszał w tej chwili delegację Bene Gesserit. Idąc intonowały pieśni.

Moneo wyprzedzał je wraz z grupą strażniczek, które zajęły miejsca przy półce Leto. Zatrzymał się tuż przed podwyższeniem, spojrzał na Leto i odwrócił się do reszty sali.

Bene Gesserit weszły w dwóch rzędach, dziesięć kobiet prowadzonych przez dwie Matki Wielebne w tradycyjnych czarnych szatach.

- Ta po lewej to Anteac, Luyseyal idzie po prawej - powiedział Moneo.

Imiona miały przypomnieć Leto wcześniejsze wieści o tych Matkach Wielebnych, przyniesione przez Monea, podnieconego i nieufnego. Moneo nie lubił c z a r o w n i c .

"Obie są Prawdomówczyniami - powiedział Moneo. - Anteac jest o wiele starsza od Luyseyal, ale ta ostatnia ma być ponoć najlepszą Prawdomówczynią jaką mają Bene Gesserit. Możesz zauważyć, Panie, że Anteac ma na czole bliznę, której pochodzenia nie byliśmy w stanie wyjaśnić. Luyseyal ma rude włosy i wydaje się nadzwyczaj młoda, jak na kogoś o jej reputacji."

Obserwując zbliżanie się Matek Wielebnych ze swą świtą, Leto poczuł nagły przypływ wspomnień. Kaptury kobiet były naciągnięte na głowy, ukrywając ich twarze. Służące i akolitki szły za nimi w pełnym szacunku oddaleniu... Wszystko to było mu znane. Niektóre schematy nigdy się nie zmieniają. Te kobiety mogłyby wchodzić do prawdziwej siczy, a witać mogli je autentyczni Fremeni.

"Ich głowy wiedzą to, czemu przeczą ich ciała" - pomyślał.

Dociekliwy wzrok Leto ukazywał mu służalczą ostrożność w ich oczach, choć szły przez długą salę jak osoby ufne w swą religijną władzę.

Leto sprawiała przyjemność myśl, że Bene Gesserit posiadały tylko taką władzę, na jaką on im pozwalał. Było dlań oczywiste, dlaczego jest tak pobłażliwy. Ze wszystkich ludzi w Imperium Bene Gesserit były doń

najbardziej podobne, chociaż ograniczone do wspomnień tylko swoich przodkiń i równoległych kobiecych tożsamości dziedziczonych w rytuale - mimo to każda z nich istniała jako coś w rodzaju zintegrowanego tłumu.

Matki Wielebne przystanęły w wymaganej odległości dziesięciu kroków od Leto. Ich orszak rozstawił się po obu stronach delegacji.

Leto bawiła myśl przywitania ich głosem i tożsamością swojej babki, lady Jessiki. Bene Gesserit oczekiwały tego i nie rozczarował ich.

- Witajcie, siostry - powiedział. Głos był miękkim kontraltem z absolutnie kontrolowaną intonacją i zaledwie śladem ironii - głos zarejestrowany i często badany przez Kapitułę zakonu żeńskiego.

Mówiąc, Leto wyczuł zagrożenie. Matki Wielebne nigdy nie były zadowolone, gdy witał je w ten sposób, ale ich reakcja tym razem miała inne podteksty. Moneo też to wyczuł. Podniósł palec i strażniczki podeszły bliżej Leto.

Pierwsza przemówiła Anteac:

- Panie, oglądałyśmy dzisiejsze widowisko na placu. Co chcesz osiągnąć przez takie archaizmy?

"Więc takim tonem chciałybyśmy rozmawiać" - pomyślał.

- Chwilowo jesteście w moich łaskach. Chcecie to zmienić? - zapytał swoim własnym głosem.

- Panie - powiedziała Anteac - jesteśmy wstrząśnięte, że mogłeś w ten sposób ukarać Ambasadora. Nie pojmujemy, co chciałeś w ten sposób zyskać.

- Nic nie zyskałem. Pomniejszyłem swój prestiż.

- To może tylko wzmóc myśli o ucisku - przemówiła Luyseyal.

- Zastanawiam się, dlaczego tak niewielu kiedykolwiek myślało o Bene Gesserit jako o ciemiężycielkach? - zapytał Leto.

- Jeżeli Bóg Imperator uzna za stosowne poinformować nas, uczyni to - przemówiła do swej towarzyszki Anteac. - Przejdźmy do celów naszego poselstwa.

Leto uśmiechnął się.

- Wy obie możecie podejść bliżej. Zostawcie swoją świtę i zbliżcie się.

Moneo przeszedł dwa kroki w prawo, gdy Matki Wielebne w charakterystyczny sposób, jakby płynąc, podeszły na odległość trzech kroków od półki.

"To prawie tak, jak gdyby nie mały stóp" - poskarżył się kiedyś Moneo.

Przypominając to sobie, Leto obserwował, jak starannie Moneo przygląda się obu kobietom. Stanowiły zagrożenie, ale Moneo nie ośmielał się oponować przeciw ich obecności. Bóg Imperator tak rozkazał i tak miało być.

Leto przeniósł uwagę na orszak czekający tam, gdzie Bene Gesserit zatrzymały się najpierw. Akolitki miały na sobie czarne szaty bez kapturów. Nagle na ich strojach dostrzegł drobne oznaki zabronionych rytuałów - amulet, małą ozdobę, róg kolorowej chusteczki, tak ułożonej, by można było ukazać jeszcze więcej kolorów. Leto wiedział, że Matki Wielebne pozwalają na to, gdyż nie mogą już rozdzielać przyprawy tak jak dawniej.

Rytualne substytuty.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat zaszły znaczące zmiany. W myśleniu zakonu żeńskiego pojawiła się oszczędność.

"Wyłażą na wierzch - pomyślał Leto. - Stare, stare tajemnice są obecne."

Przez całe te tysiąclecia we wspomnieniach Bene Gesserit przeleżały uśpione wzory.

"Teraz się wyłaniają. Muszę ostrzec moje Mówiące-do-Ryb."

Powrócił uwagą do Matek Wielebnych.

- Macie jakieś prośby?

- Jak to jest być tobą, Panie? - zapytała Luyseyal.

Leto mrugnął. To był interesujący atak. Nie próbowały tego niemal od pokolenia. Cóż... dlaczego nie?

- Czasami moje sny są blokowane i skierowywane w nowe miejsca - powiedział. - Jeżeli moje kosmiczne wspomnienia są siecią, co z pewnością obie wiecie, to pomyślcie o rozmiarach tej sieci i o tym, dokąd mogą prowadzić takie wspomnienia i sny.

- Mówisz o naszej szczególnej wiedzy - rzekła Anteac. - Dlaczego nie możemy w końcu połączyć sił? Jest między nami więcej podobieństw niż różnic.

- Prędzej przyłączyłbym się do zdegenerowanych wysokich rodów, jęczących nad swymi utraconymi zapasami przyprawy.

Anteac zachowała milczenie, ale Luyseyal wymierzyła palec w Leto.

- Proponujemy ci wspólnotę!

- A ja upieram się przy konflikcie?

Anteac drgnęła i rzekła:

- Mówi się, że istnieje zasada niezgody, która pojawiła się wraz z pierwszą komórką i nigdy nie ustąpiła.

- Pewne rzeczy są nie do pogodzenia - zgodził się Leto.

- Zatem jak nasz zakon żeński utrzymuje swą wspólnotę? - zapytała z naciskiem Luyseyal.

- Jak dobrze wiecie, tajemnica wspólnoty leży w stłumieniu tego, co nie do pogodzenia - powiedział twardszym głosem Leto.

- Ze wspólnoty mogą wypływać niezwykłe korzyści - odparła Anteac.

- Dla was, nie dla mnie.

Anteac wydobyła z siebie westchnienie.

- Zatem, Panie, może powiesz nam coś o fizycznych zmianach zachodzących w twojej osobie.

- Powinien o tym wiedzieć ktoś oprócz ciebie i wszystko rejestrować - dodała Luyseyal.

- Na wypadek, gdyby ze mną stało się coś okropnego? - zapytał Leto.

- Panie! - zaprotestowała Anteac. - Nie miałyśmy...

- Dokonujecie na mnie sekcji za pomocą słów, podczas gdy wolałybyście ostrzejsze narzędzia - powiedział Leto. - Hipokryzja jest dla mnie obraźliwa.

- Protestujemy, Panie - powiedziała Anteac.

- Rzeczywiście. Słyszę was.

Luyseyal przysunęła się odrobinę bliżej półki, sprowadzając na siebie ostre spojrzenie Monea, który popatrzył następnie na Leto. Wyraz twarzy Monea domagał się jakiejś reakcji, polecenia, ale Leto zignorował to, ciekaw intencji Luyseyal. Ta rudowłosa kobieta była poważnym zagrożeniem.

"Czym ona jest? - zastanawiał się Leto. - Czy może mimo wszystko Tancerzem Oblicza?"

Nie. Nic w jej wyglądzie na to nie wskazywało. Nie. Luyseyal prezentowała wymuszenie odprężony wygląd, nawet najdrobniejszym gestem nie dając potwierdzenia dla podejrzeń Boga Imperatora.

- Opowiesz nam teraz o swych fizycznych zmianach, Panie? - zapytała Anteac.

"Odwrócenie uwagi!" - pomyślał Leto.

- Mój mózg rozrasta się do niezwykłych rozmiarów - powiedział. - Większość mojej czaszki zanikła. Nie ma już poważniejszych ograniczeń dla wzrostu kory mózgowej i towarzyszącego układu nerwowego.

Moneo rzucił Leto przerażone spojrzenie. Dlaczego Bóg Imperator wyjawił tak ważną informację? Te dwie kobiety mogły ją sprzedać.

Obie były jednak wyraźnie zafascynowane tą nowiną, wahając się nad planem, który sobie wypracowały, jakikolwiek by on był.

- Czy twój mózg ma swoje centrum? - zapytała Luyseyal.

- Ja nim jestem - odparł Leto.

- A jego położenie? - spytała Anteac. Nieokreślonym gestem ogarnęła jego postać. Luyseyal przysunęła się jeszcze odrobinę bliżej półki.

- Ile są dla was warte rzeczy, które wam wyjawiam? - zapytał Leto.

Obie kobiety nawet nie zmieniły wyrazu twarzy, co samo w sobie było już zdradą. Po ustach Leto przemknął uśmiech.

- Rynek chwycił was w swoje szpony - rzekł. - Nawet Bene Gesserit zostały dotknięte mentalnością suuku.

- Nie zasłużyłyśmy na to oskarżenie - powiedziała Anteac.

- Ależ tak. W moim Imperium panuje mentalność suuku. Sposoby korzystania z rynku zostały tylko wzmocnione i wyostrzone przez wymagania naszych czasów. Wszyscy staliśmy się handlarzami.

- Nawet ty, Panie? - zapytała Luyseyal.

- Kusisz mój gniew - odrzekł. - Jesteś w tym specjalistką, prawda?

- Panie - głos Lyseyal był spokojny, aż zanadto opanowany.

- Nie powinno się ufać specjalistom - powiedział Leto. - Specjaliści to mistrzowie ograniczania, eksperci w wąskich dziedzinach.

- Mamy nadzieję być architektkami lepszej przyszłości - odparła Anteac.

- Lepszej niż co? - zapytał Leto.

Luyseyal spokojnie posunęła się ułamek kroku bliżej Leto.

- Żywimy nadzieję, że nasze normy wyznaczamy wedle twoich sądów, Panie - rzekła Anteac.

- Nie chcecie być architektkami. Zbudowałyście wyższe ściany? Nigdy nie zapominajcie, siostry, że znam was. Jesteście skutecznymi dostarczycielkami klapek na oczy.

- Życie trwa, Panie - odparła Anteac.

- Rzeczywiście! I wszechświat również.

Luyseyal przysunęła się jeszcze odrobinę bliżej, ignorując nieruchome spojrzenie Monea. Leto poczuł to i prawie się roześmiał.

E s e n c j a p r z y p r a w o w a !

Przyniosły odrobinę esencji. Znały oczywiście stare opowieści o niej i o czerwiach. Miała ją Luyseyal. Myślała, że to trucizna działająca na czerwie pustyni. To było oczywiste. Zapisy Bene Gesserit i Ustne Przekazy zgadzały się w tym punkcie. Esencja niszczyła czerwia, wywołując jego rozpad i powodując powstanie (w końcu) piaskopływaków, tworzących nowe czerwie, które... - i tak dalej, i tak dalej, i tak dalej...

- Zaszła we mnie jeszcze jedna zmiana, o której powinnyście wiedzieć - powiedział Leto. - Nie jestem jeszcze czerwiem, w każdym razie nie w pełni. Myślicie o mnie jako o czymś bliższym organizmowi kolonijnemu z zupełnie odmiennymi od ludzkich zmysłami? Jeżeli tak, to macie rację.

Prawa ręka Luyseyal przesunęła się prawie niedostrzegalnie w stronę fałdy jej szaty. Moneo zobaczył to i spojrzał na Leto, czekając na instrukcje, ale Leto jedynie oddawał Luyseyal jej spojrzenie.

- Kiedyś była moda na zapachy - powiedział Leto. Dłoń Luyseyal zawahała się.

- Na perfumy i esencje - dodał. - Pamiętam je wszystkie: są we mnie nawet kulty bezzapachowości. Ludzie używali dezodorantów, by zamaskować naturalne zapachy krocza i pach. Wiedziałyście o tym? Oczywiście, że tak!

Spojrzenie Anteac podążyło ku Luyseyal. Żadna z kobiet nie odważyła się przemówić.

- Ludzie instynktownie wiedzieli, że zdradzają ich feromony - rzekł Leto.

Kobiety stały nieruchomo. Usłyszały go. Ze wszystkich ludzi Matki Wielebne najlepiej przygotowane były do zrozumienia podtekstów jego słów.

- Chciałybyście we mnie pogrzebać, aby odnaleźć bogactwo wspomnień - powiedział Leto oskarżycielskim głosem.

- Zazdrościłyśmy ci tego, Panie - wyznała Luyseyal.

- Nawet teraz błędnie odczytałyście historię esencji przyprawowej - rzekł Leto. - Piaskopływaki czują ją tylko jako wodę.

- To była próba, Panie - powiedziała Anteac. - To wszystko.

- Ośmielacie się poddawać mnie próbom?

- Wiń naszą ciekawość, Panie - rzekła Anteac.

- Ja też jestem ciekaw. Połóż esencję na ławce obok Monea. Zatrzymam ją.

Powoli, demonstrując spokojem swoich ruchów brak zamiaru ataku, Luyseyal sięgnęła pod szatę i wyjęła małą fiolkę, lśniącą od wewnątrz błękitną poświatą. Postawiła ją ostrożnie na ławce. Żadnym gestem nie zdradziła, że mogłaby spróbować czegoś nierozważnego.

- W istocie: Prawdomówczyni - powiedział Leto.

Na jej twarzy pojawił się grymas, który mógł ujść za uśmiech. Po chwili Luyseyal cofnęła się, stając u boku Anteac.

- Skąd dostałyście esencję przyprawową? - zapytał Leto.

- Kupiłyśmy ją od przemytników - powiedziała Anteac.

- Żadnych przemytników nie ma od prawie dwóch i pół tysiąca lat.

- Była nieprzydatna, ale szkoda jej wyrzucać - rzekła Anteac.

- Rozumiem. A teraz musicie zmienić zdanie na temat tego, co miałyście za własną cierpliwość, czy nie tak?

- Obserwowałyśmy ewolucję twego ciała, Panie - powiedziała Anteac. - Myślałyśmy... - Pozwoliła sobie na lekkie wzruszenie ramionami, którego tak obawiała się reszta sióstr.

Leto zacisnął usta.

- Nie mogę wzruszać ramionami - wycedził po chwili.

- Ukarzesz nas? - zapytała Luyseyal.

- Za zabawienie mnie?

Luyseyal spojrzała na fiolkę leżącą na ławce.

- Przysiągłem sobie, że was wynagrodzę - powiedział Leto. - Zrobię to.

- Mogłybyśmy cię chronić w naszej wspólnocie, Panie - odparła Anteac.

- Nie oczekujcie zbyt wielkiej nagrody - rzekł.

Anteac kiwnęła głową.

- Handlujesz z Ixianami, Panie. Mamy powody wierzyć, że mogą się przeciw tobie zbuntować.

- Boję się ich nie bardziej niż was.

- Z pewnością słyszałeś, co robią Ixianie - powiedziała Luyseyal.

- Moneo przynosi mi dodatkowe kopie wiadomości przesyłanych między osobami lub różnymi grupami w moim Imperium. Słyszałem wiele opowieści.

- Mówimy o nowym Paskudztwie, Panie! - powiedziała Anteac.

- Myślicie, że Ixianie mogą wytworzyć sztuczną inteligencję? -zapytał. - Świadomą w podobny jak wy sposób?

- Obawiamy się tego, Panie - rzekła Anteac.

- Chciałybyście, żebym uwierzył, że Dżihad Butlerjańska wciąż żyje w zakonie żeńskim?

- Nie ufamy nieznanemu, które może wyrosnąć z technologii - powiedziała Anteac.

Luyseyal nachyliła się ku niemu.

- Ixianie chwalą się, że ich maszyna będzie przekraczać czas tak jak ty, Panie.

- A Gildia twierdzi, że wokół Ixian panuje czaso-chaos - zaszydził Leto. - Mamy się wiec bać wszystkiego, co nowe?

Anteac wyprostowała się nagle.

- Mówię prawdę wam obu - powiedział Leto. - Widzę wasze zdolności. Czy wy raczycie uznać moje?

Luyseyal skinęła mu sztywno głową.

- Bene Tleilax i Ix tworzą porozumienie z Gildią i oczekują naszej pełnej współpracy.

- A wy najbardziej boicie się Ix?

- Obawiamy się wszystkiego, czego nie kontrolujemy - rzekła Anteac.

- Nie kontrolujecie również mnie.

- Bez ciebie ludzie by nas potrzebowali! - wypaliła Anteac.

- Nareszcie prawda! - wykrzyknął Leto. - Przychodzicie do mnie jak do wyroczni i prosicie, bym uspokoił wasze obawy.

Głos Anteac teraz poddany był surowej kontroli:

- Czy Ixianie stworzą mechaniczny mózg?

- Mózg?! Oczywiście, że nie!

Luyseyal odprężyła się, ale Anteac wciąż pozostawała nieruchoma. Nie była zadowolona z wyroczni.

"Dlaczego głupota powtarza się z tak monotonną precyzją?" - zastanawiał się Leto. Jego wspomnienia oferowały mu niezliczone sceny odpowiadające tej - jaskinie, kapłani i kapłanki pogrążone w świętej ekstazie, napuszone głosy w oparach świętych narkotyków, objawiające niebezpieczeństwa proroctwa.

Opuścił wzrok na świetlistą fiolkę spoczywającą na ławce obok Monea. Jaka była obecna jej wartość? Nadzwyczajna. To jest e s e n c j a ! Skoncentrowane bogactwo.

- Zapłaciłyście już za wyrocznię - powiedział. - Bawi mnie dać wam tyle, ile jest warte to, co zaofiarowałyście.

Jak czujne stały się w jednej sekundzie te kobiety!

- Słuchajcie mnie! - powiedział. - To, czego się boicie, nie jest tym, czego się obawiacie.

Leto spodobało się brzmienie tych słów. Dostatecznie pompatyczne dla każdej wyroczni. Anteac i Luyseyal patrzyły się w niego jak pokorne suplikantki. Któraś z akolitek zakaszlała.

"Zidentyfikują ją później i udzielą reprymendy" - pomyślał Leto.

Anteac starczyło już czasu, by przeżuć słowa Leto.

- Niejasna prawda nie jest prawdą - powiedziała.

- Ale skierowałem dzięki niej waszą uwagę we właściwą stronę - odparł Leto.

- Mówisz nam, żeby się nie bać tej maszyny? -zapytała Luyseyal.

- Posiadasz zdolność myślenia - odparł. - Dlaczego zniżacie się do błagań?

- Ale nie mamy t w o i c h zdolności - rzekła Anteac.

- Skarżycie się więc, że nie czujecie pajęczych fal czasu. Nie wyczuwacie mojego kontinuum, i boicie się jakiejś tam maszyny!

- Zatem nam nie odpowiesz - odparła Anteac.

- Nie popełniajcie błędu, myśląc, że nie znam metod waszego zakonu - powiedział. -Żyjecie. Wasze zmysły są wyjątkowo wyczulone. Nie powstrzymam tego. Wy również.

- Ale Ixianie bawią się w automatykę! - zaprotestowała Anteac.

- Ukryta broń, desperackie kłamstwa połączone ze sobą - zgodził się. - Gdy się je raz wprawi w ruch, co je zatrzyma?

Luyseyal porzuciła wszelkie pozory swego opanowania, co samo w sobie było odpowiednim komentarzem do rozpoznania przez nią sił Leto. Jej głos był prawie zgryźliwy:

- Wiesz, czym chwalą się Ixianie? Że ich maszyna będzie przewidywać t w o j e postępowanie!

- Dlaczego miałbym się tego obawiać? Im bardziej się do mnie zbliżają, tym bardziej muszą być moimi sprzymierzeńcami. Nie mogą mną zawładnąć, natomiast ja mogę zapanować nad nimi.

Anteac próbowała coś powiedzieć, ale zamilkła, gdy Luyseyal dotknęła jej ramienia.

- Sprzymierzyłeś się już z Ix? - zapytała Luyseyal. - Słyszałyśmy, że bardzo długo konferowałeś z ich nowym Ambasadorem, tą Hwi Noree.

- Nie mam sprzymierzeńców - odparł. - Tylko sługi, uczniów i wrogów.

- I nie obawiasz się maszyny Ixian? - nalegała Anteac.

- Czy automat może być równoznaczny ze świadomą inteligencją? - zapytał.

Oczy Anteac otwarły się szeroko, a chwilę później jakby zmatowiały, gdy jej świadomość pogrążyła się we wspomnieniach. Leto zdał sobie nagle sprawę, że fascynuje go to, co musi zachodzić w jej własnym wewnętrznym tłumie.

"Wspólnie dzielimy tylko niektóre z tych wspomnień" - pomyślał.

Poczuł kuszącą myśl o wspólnocie z Matkami Wielebnymi. To byłoby tak znajome, tak podtrzymujące na duchu... i tak śmiertelnie niebezpieczne. Anteac jeszcze raz spróbowała go przywabić:

- Maszyny nie mogą przewidzieć każdego problemu mającego znaczenie dla ludzi - powiedziała. - To właśnie różnica między nieprzerwanym kontinuum a serią bitów. My mamy to pierwsze, maszyny są ograniczone do drugiego.

- Wciąż macie siłę rozumu - odparł.

- Pomóż! - powiedziała Luyseyal. Był to rozkaz dla Anteac, który z niespodziewaną nagłością objawił, kto naprawdę dominuje w tej parze - młodsza nad starszą.

"Nadzwyczajne" - pomyślał Leto.

- Inteligencja się przystosowuje - powiedziała Anteac. "Oszczędna również w słowach" - pomyślał Leto, skrywając swe rozbawienie.

- Inteligencja tworzy - rzekł Leto. - To znaczy, że musicie sobie radzić z reakcjami, których nigdy wcześniej sobie nie wyobrażałyście. Musicie zmieszać się z n o w y m .

- Takim, jak możliwość istnienia Maszyny Ixiańskiej - powiedziała Anteac. Nie było to pytanie.

- Czy to nie interesujące - zapytał Leto - że być wspaniałą Matką Wielebną to nie dosyć?

Jego czułe zmysły wykryły nagle dreszcz lęku, który wstrząsnął obiema. Prawdomówczynie, rzeczywiście!

- Macie rację, że się mnie obawiacie - rzekł. Podnosząc głos, zapytał z naciskiem: - Skąd wiecie, że jesteście chociażby żywe?

Tak jak wielokrotnie Moneo, tak i one usłyszały w jego głosie zapowiedź śmiertelnych konsekwencji w razie nieudzielenia właściwej odpowiedzi. Kobiety zaimponowały Leto tym, że najpierw obie spojrzały na Monea, zanim któraś zabrała głos.

- Jestem lustrem samej siebie - odpowiedziała Luyseyal gotową dewizą Bene Gesserit, którą Leto uważał za obraźliwą.

- Nie potrzebuję nastawionych narzędzi do radzenia sobie z mymi ludzkimi problemami - rzekła Anteac. - Twoje pytanie jest godne początkującej uczennicy!

- Ha, ha! - roześmiał się Leto. - Jak by ci się podobało porzucenie Bene Gesserit i przyłączenie do mnie?

Widział, że kobieta rozważa i następnie odrzuca zaproszenie, nie ukrywając przy tym swego rozbawienia.

Leto popatrzył na zbitą z tropu Luyseyal.

- Jeżeli coś nie mieści się w waszych przegródkach, wtedy macie do czynienia z inteligencją, nie automatyką - powiedział. I pomyślał: "Ta Luyseyal nigdy już nie zdominuje Anteac."

Luyseyal była teraz wściekła i nie próbowała nawet tego ukrywać.

- O Ixianach krążą plotki - powiedziała - że zaopatrują cię w maszyny imitujące ludzkie myślenie. Jeżeli masz o nich tak niską opinię, to dlaczego...

- Nie powinno się jej wypuszczać z Kapituły bez opieki - wycedził Leto, zwracając się do Anteac. - Czy ona obawia się sięgnąć do własnych wspomnień?

Luyseyal zbladła, ale nic nie odpowiedziała. Leto popatrzył na nią chłodnym, badawczym wzrokiem.

- Długi, nieświadomy związek naszych przodków z maszyną czegoś nas nauczył, nie sądzisz?

Luyseyal spojrzała jedynie na niego, nie gotowa jeszcze zaryzykować śmierci, sprzeciwiając się otwarcie Bogu Imperatorowi.

- Czy możesz przynajmniej rzec, że maszyny pociągają nas wszystkich?

Luyseyal skinęła głową.

- Na dobrze utrzymanej maszynie można polegać bardziej niż na ludzkim słudze - powiedział Leto. - Możemy im wierzyć, że nie będą pozwalać sobie na emocjonalne przeszkody w pracy.

Luyseyal odzyskała głos:

- Czy znaczy to, że zamierzasz usunąć butlerjańskie zakazy przeciw maszynom?

- Przysięgam ci - powiedział Leto lodowatym, pełnym pogardy głosem - że jeżeli dalej będziesz okazywać taką głupotę, każę cię publicznie stracić. N i e jestem twoją Wyrocznią.

Luyseyal otworzyła usta, lecz wnet zamknęła je, nic nie mówiąc. Anteac dotknęła ramienia swojej towarzyszki, wprawiając ciało Luyseyal w nagłe drżenie. Anteac przemówiła spokojnie, prezentując nadzwyczajne opanowanie głosu:

- Nasz Bóg Imperator nigdy otwarcie nie sprzeciwi się zakazom Dżihad Butlerjańskiej.

Leto uśmiechnął się do niej z delikatną aprobatą. Widzieć profesjonalistkę w najlepszej formie - to wielka przyjemność.

- To powinno być oczywiste dla każdej myślącej jednostki - powiedział. - Określiłem dla siebie pewne granice, rzeczy, do których się nie mieszam.

Widział, że uwaga kobiet pochłonięta jest rozważaniem wieloznaczności jego słów, odkrywaniem ich intencji i możliwych znaczeń. Czy Bóg Imperator odwraca ich uwagę, skupiając ją na Ixianach, podczas gdy sam zmierza gdzie indziej? Czy mówi, że dla Bene Gesserit nadszedł czas opowiedzenia się za lub przeciw Ixianom? Czy to możliwe, że jego słowa nie mają głębszych niż widoczne motywacji? Jakiekolwiek byłyby powody, nie można ich zignorować. Bez wątpienia jest najprzemyślniejszą istotą, jaką wydał z siebie wszechświat.

Leto spojrzał posępnie na Luyseyal, wiedząc, że może tylko powiększyć jej zmieszanie.

- Zwracam twoją uwagę, Marcuso Claire Luyseyal, na lekcję płynącą z dziejów przeautomatyzowanych społeczeństw przeszłości, której wydajesz się nie rozumieć. Same urządzenia warunkują używających ich do wykorzystywania innych tak, jak to czynią z maszynami.

Zwrócił się do Monea:

- Moneo?

- Widzę go, Panie.

Moneo wyciągnął szyję, by spojrzeć za orszak Bene Gesserit. W odległym wejściu pojawił się Duncan Idaho i szedł wolno w stronę Leto. Moneo nie stłumił swej ostrożności, swej nieufności wobec Bene Gesserit, ale rozpoznawał istotę nauki Leto.

"Robi próbę. Zawsze urządza próby."

Anteac kaszlnęła.

- Panie, co z naszą nagrodą?

- Śmiała jesteś - powiedział Leto. - Bez wątpienia dlatego właśnie zostałaś wybrana do rozmowy ze mną. Bardzo dobrze; na następne dziesięć lat utrzymam wasze przydziały przyprawy na obecnym poziomie. Co do reszty, zignoruję to, co planowałyście uczynić z esencją przyprawową. Czyż nie jestem szczodry?

- Najszczodrzejszy, Panie - rzekła Anteac i w jej glosie nie było ani śladu goryczy.

Duncan Idaho prześliznął się obok kobiet i zatrzymał koło Monea, spoglądając w górę na Leto.

- Panie mój, jest... - urwał i spojrzał na Matki Wielebne.

- Mów otwarcie - rozkazał Leto.

- Tak, Panie - w jego słowach zabrzmiała niechęć, ale usłuchał. - Zostaliśmy zaatakowani na południowo-wschodnim krańcu miasta, jak sądzę dla odwrócenia uwagi, ponieważ dotarły teraz raporty o innych aktach przemocy w mieście i Zakazanym Lesie. Doniesienia mówią o wielu atakujących grupach.

- Polują na moje wilki - powiedział Leto. - W lesie i w mieście polują na moje wilki.

Brwi Idaho ściągnęły się w grymasie zastanowienia.

- Wilki w mieście, mój Panie?

- Drapieżniki... - powiedział Leto. - Wilki... Dla mnie nie ma to zasadniczej różnicy.

Moneo gwałtownie wciągnął oddech. Leto uśmiechnął się do swojego majordoma, myśląc, jak pięknie jest obserwować taką chwilę olśnienia - zasłona opadająca sprzed oczu, umysł otwarty.

- Przyprowadziłem duży oddział strażniczek, by ochraniały to miejsce - powiedział Idaho. - Zostały rozstawione w całym...

- Wiedziałem, że tak zrobisz - rzekł Leto. - Teraz uważaj, powiem ci, gdzie masz wysłać resztę swych sił.

Matki Wielebne przypatrywały się z lękiem, jak Leto wymienia dokładne punkty zasadzek, wyszczególniając siłę każdego oddziału i nawet udzielając informacji co do ich składu, podając czas, uzbrojenie, szczegółowe rozstawienie w każdym miejscu. Pojemna pamięć Idaho katalogowała każdą instrukcję. Był zbyt zajęty słuchaniem, by zadawać pytania. Jednak gdy Leto umilkł, na twarzy Idaho pojawił się wyraz zastanowienia i obawy. Dla Leto było to jak wgląd w najgłębszą część osobowości Idaho i odczytanie znajdujących się tam myśli. "Byłem zaufanym żołnierzem pierwszego Leto - myślał Idaho. - Tamten Leto, dziadek tego, uratował mnie i przyjął do swojego domu jak syna. I chociaż tamten Leto wciąż egzystuje w tym w pewien sposób... to jednak nie jest on."

- Panie, dlaczego potrzebujesz m n i e ?- zapytał Idaho.

- Ze względu na twoją siłę i lojalność.

Idaho potrząsnął głową.

- Ale...

- Wykonaj rozkazy - powiedział Leto i zauważył, w jaki sposób te słowa zostały odebrane przez Matki Wielebne.

"Prawda, tylko prawda, bo one są Prawdomówczyniami."

- Ponieważ mam dług wobec Atrydów - powiedział Idaho.

- W tym pokładamy naszą ufność - rzekł Leto. - I, Duncanie?

- Tak? - głos Idaho mówił, że Duncan odnalazł wreszcie grunt, na którym mógł stanąć.

- Wszędzie pozostaw przy życiu co najmniej jednego człowieka - rzekł Leto. Inaczej nasze wysiłki zostaną zmarnowane.

Idaho skinął szybko głową i wyszedł, idąc przez salę tak, jak wszedł, a Leto pomyślał, że dostrzeżenie, iż to wychodzi zupełnie zmieniony Idaho - jakże inny od tego, który wszedł - wymagało rzeczywiście wyjątkowo wyczulonego oka.

- To efekt kary chłosty Ambasadora - powiedziała Anteac.

- Właśnie - zgodził się z nią Leto. - Opowiedzcie dokładnie o tym wszystkim waszej Przełożonej, Matce Wielebnej Syaksie. Powiedzcie jej ode mnie, że wolę towarzystwo drapieżników niż ich ofiar. - Spojrzał na Monea, który zmusił się do większego skupienia. - Moneo, wilki zniknęły z lasu. Muszą je zastąpić ludzkie wilki. Zajmij się tym.

Stan transu proroczego różni się od wszystkich innych wizjonerskich doznań. Nie jest to cofnięcie się przed nieprzygotowanym wystawieniem zmysłów na świat (jak wielu pojmuje stany transu), ale pogrążenie się w wielości nowych ruchów. Rzeczy poruszają się. Jest to ostateczny pragmatyzm pośrodku nieskończoności, pożądająca świadomość, w której dochodzicie w końcu do niewzruszonej pewności, iż wszechświat jest sam z siebie w ciągłym ruchu, że się zmienia, że zmieniają się reguły jego istnienia, że nic nie pozostaje stałe ani absolutne, że mechanistyczne wyjaśnienia czegokolwiek mogą działać tylko w ramach precyzyjnych ograniczeń i kiedy mury padają, dawne wyjaśnienia kruszą się i rozpadają, rozwiewane przez nowe ruchy. Rzeczy, które widzicie w tym transie, są trzeźwiące, a często i niszczące. Wymagają od was najwyższego wysiłku, by zachować równowagę, i nawet wtedy wychodzicie z tego stanu dogłębnie zmienieni.

"Wykradzione dzienniki"

Tej nocy, po Dniu Audiencji, gdy inni już spali, walczyli, śnili bądź umierali, Leto odpoczywał w odosobnieniu audiencyjnej komnaty, do której drzwi strzegło zaledwie kilka zaufanych Mówiących-do-Ryb.

Nie spał. W jego umyśle wirowały myśli dotyczące konieczności i poczucia rozczarowania.

Hwi! Hwi!

Wiedział, dlaczego przysłano mu Hwi Noree. Wiedział doskonale!

"Mój najtajniejszy sekret został odkryty."

Odkryli jego tajemnicę. Hwi była na to dowodem.

Przez umysł Leto przepływały desperackie myśli. Czy można było odwrócić tę straszliwą przemianę? Czy mógł powrócić do ludzkiej postaci? To niemożliwe.

Nawet gdyby to było możliwe, ten proces zająłby mu równie wiele czasu, co osiągnięcie obecnego punktu. Gdzie będzie Hwi Noree po ponad trzech tysiącach lat? Zamieni się w suchy proch i kości spoczywające w krypcie.

"Mógłbym wyhodować coś podobnego do niej i przygotować dla siebie, ale i tak nie byłaby moją łagodną Hwi."

I co stałoby się ze Złotą Drogą, gdyby folgował sobie dla tak egoistycznych celów?

"Do diabła ze Złotą Drogą! Czy ci zaślepieni maniacy kiedykolwiek pomyśleli o mnie? Ani razu!"

Ale to nie była prawda. Hwi myślała o nim. Dzieliła jego cierpienie.

To były szaleńcze myśli i Leto starał się je stłumić, podczas gdy zmysły donosiły mu o cichych, nieznacznych ruchach strażniczek i odgłosach wydawanych przez wodę przepływającą pod salą. "Jakie były moje oczekiwania, gdy dokonywałem tego wyboru?" Jakże tłum wewnątrz niego roześmiał się z tego pytania! Czyż nie podjął się ukończenia zadania? Czy nie to było samym sednem ugody, która utrzymywała ten tłum w posłuszeństwie?

- Masz zadanie do wykonania - mówili. - Masz jeden jedyny cel. "Jeden sprecyzowany cel to oznaka fanatyzmu, a ja nie jestem fanatykiem."

- Musisz być cyniczny i okrutny. Nie możesz zawieść naszego zaufania.

"Dlaczego nie?"

- Kto złożył tę przysięgę? Ty. Ty wybrałeś takie postępowanie.

"Oczekiwania!"

- Oczekiwania, które historia tworzy dla jednego pokolenia, są często nieaktualne w następnym. Kto wie o tym lepiej od ciebie?

“Tak... a nie spełnione oczekiwania mogą wyobcować całe populacje. Ja sam jestem populacją!"

- Pamiętaj o swojej przysiędze.

“Rzeczywiście. Jestem niszczącą siłą, szalejącą przez stulecia. Ograniczam oczekiwania... włącznie z moimi własnymi. Wyhamowuję wahadło."

- A później je puszczasz wolno. Nigdy o tym nie zapominaj.

“Jestem zmęczony. Och, jak bardzo jestem zmęczony. Gdybym tylko mógł spać... naprawdę spać."

- Jesteś również pełen litości dla samego siebie.

“Dlaczego nie? Czym jestem? Skrajnym samotnikiem zmuszonym do patrzenia na to, co mogło być. Codziennie na to spoglądam... a teraz jeszcze Hwi!"

- Twój pierwotnie nieegoistyczny wybór powoduje teraz u ciebie samolubstwo.

“Wszędzie dookoła jest niebezpiecznie. Muszę nosić swój egoizm jak zbroję."

- Niebezpieczeństwo czyha na każdego, kto się z tobą styka. Czyż nie jest to twoja właściwa natura?

“Zagrożenie nawet dla Hwi. Drogiej, przemiłej, łagodnej Hwi."

- Czy zbudowałeś dookoła siebie wysokie ściany tylko po to, żeby siedzieć wewnątrz nich i pobłażać sobie w samoużalaniu?

“Ściany zostały zbudowane ze względu na szalejące w Imperium potężne siły."

- Ty je rozpętałeś. Czy nigdy nie osiągniesz z nimi kompromisu?

“To dzieło Hwi. Te uczucia nigdy przedtem nie były we mnie tak potężne. To ci przeklęci Ixianie!"

- Jakie to interesujące, że zmuszeni byli zaatakować cię nie maszyną, ale poprzez żywą istotę.

“Bo odkryli mój sekret."

- Znasz na to antidotum.

Ciało Leto zadrżało na tę myśl na całej swej długości. Dobrze znał antidotum, które działało zawsze przedtem: zagubić się na jakiś czas we własnej przeszłości. Nawet siostry Bene Gesserit nie mogły podejmować takich wypraw - dążyć w głąb po osi wspomnień... z powrotem, z powrotem do samych granic komórkowej świadomości albo, zatrzymując się po drodze, by odpocząć w wyrafinowanej rozkoszy zmysłów. Raz, po śmierci szczególnie wspaniałego Duncana, odbył podróż przez wiele koncertów muzycznych zawartych w swych pamięciach. Mozart szybko go zmęczył. Był pretensjonalny. Ale Bach... Och, Bach...

Leto przypomniał sobie ówczesną radość.

“Siedziałem przy organach i pozwalałem porywać się muzyce."

Tylko trzy razy w jego wspomnieniach znalazł się ktoś dorównujący Bachowi, ale nawet sam Licallo nie był lepszy; równie dobry, ale nie lepszy.

Czy na tę noc kobiety-intelektualistki będą dobrym wyborem? Babka Jessika była jedną z najlepszych. Doświadczenie mówiło mu, że ktoś tak bliski jak Jessika nie byłby dobrym antidotum na jego obecne napięcie. Poszukiwanie musi sięgnąć o wiele dalej.

“Schodzę z powrotem po linii przodków, tropiąc wśród dopływów, zaglądając w zakątki i nisze. Nie rozpoznalibyście wielu z tych imion. Czy ktoś kiedyś słyszał może o Normie Cenvie? Byłem nią!"

- Byłeś nią? - zapytał jego wyimaginowany gość.

“Oczywiście. Po co poza tym miałoby się trzymać przy sobie swych przodków? Pamiętasz o człowieku, który zaprojektował pierwszy statek Gildii? Wasze historie mówią wam, że był to Aureliusz Venport? Kłamią. To była jego kochanka, Norma. Dała mu projekt wraz z pięciorgiem dzieci. Myślał, że jego ego nie będzie w stanie przyjąć mniejszej ilości. W końcu zniszczyła go świadomość, że nie dorównał własnemu wyobrażeniu o sobie."

- Nim również byłeś?

“Oczywiście. I wraz z Fremenami dokonałem dalekiej wędrówki. Przez linię mego ojca i inne sięgnąłem prosto do rodu Atreusza."

- Cóż za sławny klan!

“Z niezłą ilością głupców."

“Oderwać się na moment od tego wszystkiego - to jest to, czego potrzebuję" - pomyślał.

Może zatem spróbować podróży przez seksualne igraszki i wyczyny?

“Nie masz pojęcia, jakie wewnętrzne orgie są dla mnie dostępne. Jestem nienasyconym podglądaczem - uczestnikiem(ami) i obserwatorem(ami). Ignorancja i nieporozumienia w kwestii seksu wywoływały tak wiele strapienia! Jak niesamowicie ograniczeni byliśmy - jak nędzni."

Leto wiedział, że nie może tego wybrać, nie tej nocy, nie wtedy, gdy Hwi Noree jest tu, w jego mieście.

Czy wybrałby zatem przegląd wojen?

“Który Napoleon był największym tchórzem? - zapytał swego wyimaginowanego gościa. - Nie zdradzę tego, ale wiem. Och, tak, wiem to."

“Dokąd mam pójść? Jeżeli cała przeszłość jest dla mnie otwarta - dokąd mogę pójść?"

Burdele, okrucieństwa, tyrani, akrobaci, nudyści, chirurdzy, męskie dziwki, muzycy, magicy, pigularze, kapłani, rzemieślnicy, kapłanki...

“Czy wiesz - zapytał nieistniejącego rozmówcę - że hula zachowała starożytny język gestów, który kiedyś należał tylko do mężczyzn? Nigdy nie słyszałeś o huli? Oczywiście, kto to jeszcze tańczy? Jednak tancerze zachowali wiele rzeczy. Umiejętność odczytania znaczenia symboli zanikła, ale ja je znam. Kiedyś przez całą noc byłem kalifami dążącymi na wschód i zachód wraz z islamem - podróż przez stulecia. Nie będę cię zanudzał szczegółami. Odejdź teraz, gościu!"

“Jakże jest kuszące - pomyślał - to syrenie wołanie, które namawia mnie do życia wyłącznie w przeszłości! I jak bezużyteczne jest ono teraz dzięki tym przeklętym Ixianom. Jakie jest nudne, skoro Hwi jest tutaj. Gdybym ją do siebie wezwał, przyszłaby natychmiast. Ale nie mogę posłać po nią... nie teraz... nie dzisiaj."

Przeszłość wciąż go kusiła.

“Mógłbym dokonać pielgrzymki w moją przeszłość. Nie musiałoby to być safari. Mógłbym ruszyć na nią sam. Pielgrzymka oczyszcza. Safari sprawia, że staję się turystą. To różnica. Mógłbym sam podążyć w mój wewnętrzny świat."

I nigdy nie wrócić.

Leto czuł nieodwracalność takiego postanowienia, to, że stan snu stałby się w końcu dla niego pułapką.

"Tworzę nowy stan snu w całym Imperium. Wewnątrz tego snu tworzą się mity, pojawiają się nowe kierunki i ruchy. Nowe... nowe... nowe... Te rzeczy wyłaniają się z moich własnych snów, z moich mitów. Kto jest na nie bardziej podatny ode mnie? Łowca schwytany we własne sidła."

Leto wiedział, że znalazł się w stanie, na który nie istnieje żadne antidotum - ani w przeszłości, ani teraźniejszości czy przyszłości. Jego wielkie ciało dygotało w mroku sali audiencyjnej.

Przy wejściu jedna ze strażniczek szepnęła do drugiej Mówiącej-do-Ryb:

- Czy Bóg jest zmartwiony?

A jej towarzyszka odpowiedziała:

- Każdego martwiłyby grzechy tego świata.

Leto usłyszał je i zapłakał w milczeniu.

Kiedy zdecydowałem się poprowadzić ludzkość moją Złotą Drogą, obiecałem jej lekcję, którą będzie długo pamiętać. Znam ukryty model, któremu ludzie zaprzeczają, chociaż ich czyny go potwierdzają. Mówią, że szukają bezpieczeństwa i spokoju, stanu, który nazywają pokojem. Nawet gdy to mówią, zasiewają ziarna zamętu i przemocy. Jeżeli już znajdą bezpieczeństwo, uwiera ich ono. Uważają je za krańcowo nudne. Wejrzyjcie na nich teraz. Spójrzcie, co robią w czasie, gdy zapisuję te słowa. Ha! Dałem im eony pokoju, który trwa, mimo że starają się uciec w chaos. Uwierzcie mi, Pokój Leto zamieszka z nimi na zawsze. Później będą szukać spokoju i bezpieczeństwa jedynie z najwyższą ostrożnością i po solidnych przygotowaniach.

“Wykradzione dzienniki"

Wbrew swoim chęciom Idaho znalazł się o świcie w imperialnym ornitopterze wraz z siedzącą obok Sioną, zabierany w “bezpieczne miejsce". Lecieli na wschód w stronę złotego łuku słonecznego światła, wznoszącego się ponad krajobraz złożony z prostokątnych, zielonych plantacji.

Ornitopter był dużych rozmiarów - dość wielki, by unieść mały oddział Mówiących-do-Ryb z dwojgiem ich g o ś c i . Pilotująca pojazd kapitan oddziału, muskularna kobieta - kiedy Idaho patrzył na jej twarz, nie był w stanie uwierzyć, że się kiedykolwiek uśmiechnęła - przedstawiła się jako Inmeira. Siedziała w fotelu pilota na wprost Idaho, z dwoma Mówiącymi-do-Ryb po bokach. Również za Duncanem i Sioną siedziało parę strażniczek.

“Bóg rozkazał zabrać cię do miasta - powiedziała Inmeira, przychodząc do jego stanowiska dowodzenia pod centralnym placem. - To dla twojego bezpieczeństwa. Na Siajnok wrócimy jutro rankiem."

Idaho, znużony nocą pełną alarmów, wyczuł daremność oponowania przeciw rozkazom “Boga we własnej osobie". Inmeira wydawała się zdolna do zawleczenia go do ornitoptera, chwyciwszy po prostu jednym ze swych wielkich ramion. Wyprowadziła go ze stanowiska dowodzenia w przejmująco chłodną noc z gwiazdami błyszczącymi jak oszlifowane diamenty. Dopiero gdy dotarli do ornitoptera i Idaho rozpoznał czekającą tam Sionę, zaczął zastanawiać się nad celem tego lotu.

W ciągu nocy Idaho powoli uświadamiał sobie, że nie wszystkie akty przemocy wywołane zostały przez zorganizowanych buntowników. Kiedy zapytał o Sionę, Moneo przesłał wiadomość, że jego córka “została wyłączona z tego, co się dzieje", dodając na końcu odpowiedzi: "Polecam Ją twojej opiece".

W ornitopterze Siona nie odpowiadała na pytania Idaho. Nawet teraz siedziała obok niego w ponurym milczeniu. Przypominała mu jego samego z tych gorzkich dni, kiedy poprzysiągł zemstę Harkonnenom. Zastanawiał się nad jej goryczą. Co nią powodowało?

Idaho zorientował się, że nie wiedząc dlaczego, porównuje Sionę z Hwi Noree. Nie było łatwo spotkać się z Hwi, ale dopiął swego, mimo natrętnych napomnień Mówiacych-do-Ryb, by wypełniał swoje obowiązki gdzie indziej.

"Łagodna", to było słowo doskonale pasujące do Hwi. Jej zachowanie powodowane było absolutną łagodnością i na swój sposób miało jakąś nadzwyczajną moc. To go niesamowicie pociągało. "Muszę się jeszcze z nią spotkać."

Na razie musiał się zadowalać ponurym milczeniem Siony, usadowionej obok niego. Cóż... na milczenie najlepiej jest odpowiadać milczeniem.

Idaho spojrzał w dół na mijany krajobraz. Tu i ówdzie widział światła wiosek, gasnące wobec zbliżania się dziennej światłości. Pustynia Serir leżała daleko stąd, a ta ziemia, sądząc po wyglądzie, nigdy nie mogła być spalona i jałowa.

“Niektóre rzeczy wiele się nie zmieniają - pomyślał. - Są po prostu brane z jednego miejsca i istnieją nieco odmienione gdzie indziej."

Ten pejzaż przypominał mu bujne ogrody Kaladanu i sprawiał, że Idaho zastanawiał się, co się stało z tą zieloną planetą, na której Atrydzi żyli przez tak wiele pokoleń, zanim przybyli na Diunę. Mógł rozróżnić wąskie drogi, szlaki handlowe z niewielkim ruchem pojazdów ciągniętych przez sześcionogie zwierzęta, które, jak pamiętał, nazywane tu były thorsami. Moneo powiedział kiedyś, że thorsy - przystosowane do specyfiki tutejszego terenu - były głównymi zwierzętami roboczymi nie tylko tutaj, ale w całym Imperium.

"Populację, która chodzi, łatwiej jest kontrolować."

Słowa Monea zadźwięczały w pamięci Idaho, gdy patrzył w dół. Przed ornitopterem pojawiły się pastwiska - zielone wzgórza regularnie podzielone przez czarne, kamienne mury. Idaho dostrzegł pasące się owce i kilka gatunków bydła. Ornitopter przeleciał nad wąską dolinką, wciąż pogrążoną w mroku, w której głębi rozbłyskiwał płynący strumień. Pojedyncze światło i kłąb dymu unoszący się z parowu świadczył, iż mieszkają tam ludzie.

Siona drgnęła nagle i klepnęła pilotkę w ramię, wskazując coś w przodzie, nieco na prawo.

- Czy to nie Gojgoa? - zapytała Siona

- Tak - odpowiedziała nie odwracając się Inmeira, głosem stłumionym i zabarwionym jakimś uczuciem, którego Idaho nie potrafił zidentyfikować.

- Czy tu jest bezpiecznie? - spytała Siona.

- Tak.

Siona spojrzała na Idaho.

- Rozkaż jej, by nas zabrała do Gojgoi.

Nie wiedząc dlaczego tak łatwo poddaje się nowej sugestii, Idaho rzekł:

- Zabierz nas tam.

Inmeira odwróciła się, a jej twarz, o której Idaho myślał, że jest wykuta z kamienia, zdradzała ślad jakiejś głębokiej emocji. Kąciki ust strażniczki opadły w dziwnym grymasie. Kącik jej oka drgał w nerwowym tiku.

- Nie do Gojgoi, dowódco - powiedziała Inmeira. - Są lepsze...

- Czy Bóg Imperator kazał ci zabrać nas w określone miejsce? - zapytała Siona z naciskiem.

Inmeira zareagowała na to wtrącenie pełnym gniewu spojrzeniem.

- Nie, ale on...

- Zatem zabierz nas do Gojgoi - powiedział Idaho.

Inmeira nagłym ruchem głowy opuściła wzrok na przyrządy ornitoptera i Idaho wpadł na Sionę, gdy maszyna nagle zanurkowała, kierując się ku okrągłej niecce znajdującej się wśród zielonych wzgórz.

Idaho wyciągnął szyję ponad ramieniem Inmeiry, by zobaczyć cel ich lotu. W samym środku doliny leżała wieś, której domy zbudowane były z tego samego czarnego kamienia, co otaczające je ogrodzenia. Idaho dojrzał sady na niektórych zboczach oraz tarasowate ogrody, wznoszące się stopniami ku małej przełęczy, nad którą majestatycznie szybowały jastrzębie.

Spoglądając na Sionę, Idaho zapytał:

- Co to jest ta Gojgoa?

- Zobaczysz.

Inmeira wprowadziła ornitopter w płytki ślizg, który zakończył się miękkim lądowaniem na płaskim pasie trawy na skraju wioski. Jedna z Mówiących-do-Ryb otworzyła drzwi. Nozdrza Idaho natychmiast zaatakowała drażniąca mieszanina aromatów - trawy, zwierzęcych odchodów, duszących zapachów kuchennych. Wyśliznął się z ornitoptera i spojrzał w kierunku krótkiej uliczki, na którą zaczęli wylęgać ludzie. Idaho zobaczył starą kobietę w długiej zielonej sukni, szepczącą coś do stojącego obok dziecka, które natychmiast odwróciło się i puściło biegiem w głąb ulicy.

- Podoba ci się tutaj? - zapytała Siona. Zeskoczyła na trawę niedaleko Duncana.

- Wydaje się sympatycznie.

Siona spojrzała na Inmeirę, gdy pilotka i jeszcze jedna Mówiąca-do-Ryb dołączyły do nich.

- Kiedy wracamy do Onn?

- Ty nie wrócisz - powiedziała Inmeira. - Mam rozkaz zabrać cię do Twierdzy. Dowódca wróci.

- Rozumiem. - Siona skinęła głową. - Kiedy odlatujemy?

- Jutro o świcie. Zobaczę się z naczelnikiem wsi w sprawie kwatery. - Inmeira ruszyła wielkimi krokami w stronę wioski.

- Gojgoa - powiedział Idaho. - To dziwna nazwa. Ciekawe, czym było to miejsce w czasach Diuny.

- Tak się składa, że wiem - odparła Siona. - Na starych mapach jest ono zaznaczone jako Szuloch, co znaczy “nawiedzone miejsce". Przekazy Ustne mówią, że jego mieszkańcy popełnili wielkie zbrodnie, zanim zostali zabici.

- Dżekarata... - szepnął Idaho, przypominając sobie dawne legendy o złodziejach wody. Rozejrzał się dookoła, szukając śladów dawnych wydm i skał; nie było nic - tylko dwóch starszych mężczyzn o spokojnych twarzach, którzy wrócili z Inmeirą. Mieli na sobie spłowiałe niebieskie spodnie i obszarpane koszule, zaś ich stopy były bose.

- Znałeś to miejsce? - zapytała Siona.

- Tylko jako nazwę z legendy.

- Niektórzy powiadają, że są tu duchy - rzekła - ale ja w to nie wierzę.

Inmeira stanęła przed Idaho i dała znak przybyłym, by zatrzymali się obok niej.

- Ich mieszkania są biedne, ale odpowiednie - powiedziała. - Chyba że zechcecie się zatrzymać w jednej z prywatnych rezydencji - mówiąc to odwróciła się i popatrzyła na Sionę.

- Zdecydujemy później - odpowiedziała jej dziewczyna. Wzięła Idaho pod rękę. - Dowódca i ja pragniemy przejść się po Gojgoi i popodziwać widoki.

Inmeira chciała coś powiedzieć, ale zrezygnowała. Siona pociągnęła Idaho za sobą i oboje przeparadowali przed mężczyznami z wioski.

- Wyślę z wami dwie strażniczki - zawołała Inmeira.

Siona zatrzymała się i odwróciła.

- Czyżby w Gojgoi nie było bezpiecznie?

- To bardzo spokojne miejsce - powiedział jeden z mężczyzn.

- Więc nie będziemy potrzebować strażniczek - rzekła Siona. - Niech pilnują ornitoptera.

Znów powiodła Idaho ku wiosce.

- W porządku - rzekł Idaho, uwalniając ramię z uścisku Siony. - Co to za miejsce?

- Bardzo prawdopodobne, że uznasz je za nader przyjemne - powiedziała Siona. - Jest zupełnie inne niż dawny Szuloch. Bardzo spokojne.

- Jesteś na coś zdecydowana - rzekł Idaho, idąc obok niej. - Co to takiego?

- Zawsze słyszałam, że ghole zadają wiele pytań - odparła Siona. - Ja również mam pytania.

- Och!?

- Jak on wyglądał w twoich czasach, ten człowiek, Leto?

- Który?

- Tak, zapomniałam, że było ich dwóch - dziadek i ten Leto. Oczywiście mam na myśli naszego Leto.

- Był zaledwie dzieckiem, to wszystko, co wiem.

- Przekazy Ustne mówią, że jedna z jego pierwszych towarzyszek pochodziła z tej wioski.

- Towarzyszka? Myślałem...

- Kiedy miał jeszcze ludzką postać. To było po śmierci jego siostry, ale jeszcze zanim zaczął zmieniać się w czerwia. Przekazy Ustne mówią, że panny młode wchodziły w labirynt Imperialnej Twierdzy i nigdy ich już więcej nie widziano - poza twarzami i głosami transmitowanymi przez holo. Już od tysięcy lat nie miał żadnych towarzyszek.

Dotarli do małego placu w centrum wioski, przestrzeni o długości mniej więcej pięćdziesięciu metrów, w której środku znajdował się niewielki zbiornik czystej wody. Siona podeszła do jego brzegu i usiadła na kamiennej ławie. Klepnęła dłonią obok siebie, dając znak Idaho, by do niej dołączył. Duncan najpierw rozejrzał się dookoła i zauważył ludzi spoglądających na niego zza zasłoniętych okien, szepczące i wskazujące ich sobie dzieci. Odwrócił się i popatrzył na Sionę.

- Co to za miejsce?

- Powiedziałam ci. Powiedz, jak wyglądał Muad'Dib.

- Był najlepszym przyjacielem, jakiego może mieć człowiek.

- Zatem Przekazy Ustne są prawdziwe, ale nazywają kalifat jego następców Desposyni, a to nie brzmi najlepiej.

“Podpuszcza mnie" - pomyślał Idaho.

Pozwolił sobie na niewyraźny uśmiech, zastanawiając się nad motywami Siony. Wydawało się, że dziewczyna czeka na jakieś ważne wydarzenie... Ze strachem nawet... Ale w jej zachowaniu był odcień czegoś, co można nazwać uniesieniem. Nic, co mówiła, nie mogło być zakwalifikowane jako coś więcej niż grzecznościowa konwersacja, prowadzona dla zabicia wolnego czasu, dopóki... Dopóki co?

W jego świadomość wtargnął cichy odgłos czyjegoś biegu. Idaho odwrócił się i zobaczył wypadające ku nim z bocznej uliczki mniej więcej ośmioletnie dziecko. Małe bose stopy wzbijały obłoki pyłu. Gdzieś z głębi ulicy dochodził rozpaczliwy krzyk kobiety. Biegnący chłopiec zatrzymał się około dziesięć metrów od nich i zaczął wpatrywać się w Idaho wzrokiem, którego intensywność Duncan uznał za niepokojącą. Dziecko wydawało się mu w

jakiś sposób znajome - smukła sylwetka, ciemne, kręcone włosy, twarz jeszcze chłopięca, ale zdradzająca rysy przyszłego mężczyzny - raczej wysokie kości policzkowe, równa linia brwi. Miał na sobie spłowiały niebieski kombinezon, noszący widoczne ślady wielokrotnego prania, ale który był strojem przedniej jakości, gdy rozpoczynał służbę. Materiał wyglądał na bawełnę pundżi, utkaną w sposób, który zapobiegał strzępieniu się niedoszytych końców.

- Ty nie jesteś moim ojcem - powiedziało dziecko. Odwracając się na pięcie, pobiegło z powrotem ulicą i znikło za rogiem.

Idaho odwrócił się i nachmurzony spojrzał na Sionę, prawie obawiając się zadać pytania: “Czy to dziecko mojego poprzednika?" I tak domyślał się odpowiedzi - znajoma twarz, objawiający się genotyp. “Ja jako dziecko." To uświadomienie pozostawiło mu uczucie pustki, frustracji. "Jaka jest moja odpowiedzialność za niego?"

Siona ukryła twarz w dłoniach. Wszystko przebiegało w zupełnie inny sposób, niż sobie wyobrażała. Czuła się zdradzona przez własne pragnienie odwetu. Idaho nie był po prostu g h o l ą , czymś obcym, na co nie warto było zważać. Czuła go, gdy rzucił go na nią skręt ornitoptera, widziała uczucia malujące się na jego twarzy. I to dziecko...

- Co stało się z moim poprzednikiem? - zapytał Idaho oskarżycielskim, oschłym tonem.

Opuściła dłonie. Jej twarz wyrażała stłumiony gniew.

- Nie jesteśmy pewni - odparła - ale pewnego dnia wszedł do Twierdzy i już nigdy nie wyszedł.

- To było jego dziecko? Skinęła głową.

- Jesteś pewna, że nie zabiłaś mojego poprzednika?

- Ja... - Potrząsnęła głową, wstrząśnięta oskarżeniem.

- To dziecko jest powodem, dla którego tu przylecieliśmy?

Przytaknęła.

- Tak.

- Co mam według ciebie z nim zrobić?

Wzruszyła ramionami, czując się zbrukana i winna bezmyślnego okrucieństwa.

- Co z jego matką? - zapytał Idaho.

- Żyje z resztą rodziny w głębi tej ulicy. - Siona skinęła głową w kierunku, w którym zniknął chłopiec.

- Z resztą?

- Jest jeszcze starszy syn... i córka. Czy ty... to znaczy, czy mogłabym urządzić...

- Nie. Ten chłopak miał rację. Nie jestem jego ojcem.

- Przepraszam - szepnęła Siona. - Nie powinnam była tego robić.

- Dlaczego o n wybrał to miejsce? - zapytał Idaho.

- Ojciec... Twój...

- Mój p o p r z e d n i k !

- Bo to był dom Irtii i ona by go nie opuściła. Tak mówili ludzie.

- Irtia... to matka?

- Żona, według dawnego obrzędu, tego z Przekazów Ustnych. Idaho rozejrzał się po kamiennych frontonach budynków otaczających plac, po oknach z zasłonami, wąskich drzwiach.

- Więc tu mieszkał?

- Kiedy tylko mógł.

- Jak on umarł, Siono?

- Naprawdę nie wiem... Ale Czerw zabijał również innych. O tym wiemy na pewno.

- Skąd to wiecie? - Skupił na jej twarzy badawcze spojrzenie, którego intensywność zmusiła ją do odwrócenia wzroku.

- Nie wątpię w opowieści moich przodków - rzekła. - Są przekazywane w częściach, kawałkami, tu parę słów, tam szeptane sprawozdanie... ale w nie wierzę. Mój ojciec też w nie wierzy!

- Moneo nic mi o tym nie mówił.

- To jedno, co można powiedzieć o Atrydach - powiedziała. - Jesteśmy lojalni, to fakt. Dotrzymujemy danego słowa.

Idaho już otwierał usta, by odpowiedzieć, ale zamknął je bez wydania jakiegokolwiek dźwięku. “Oczywiście! Siona również jest Atrydką." Ta myśl wstrząsnęła nim. Wiedział o tym, ale nie dopuszczał tego do siebie. Siona jest pewnego rodzaju buntowniczką - buntowniczką, której działania są niemalże usankcjonowane przez Leto. Granice tego przyzwolenia były niejasne, ale Idaho czuł, że istnieją.

“Nie wolno ci jej skrzywdzić - rozkazał Leto. - Ma zostać poddana pewnej próbie."

Idaho odwrócił się plecami do Siony.

- Niczego nie wiesz na pewno - powiedział. - Okruchy, kawałki, plotki.

Siona nie odpowiedziała.

- On jest Atrydą! - rzucił Idaho.

- Jest Czerwiem - odrzekła Siona, a gniew w jej głosie był niemalże dotykalny.

- Wasze przeklęte Przekazy Ustne to nic więcej jak kupa starych plotek - oskarżył Idaho. - Tylko głupiec by w nie uwierzył.

- Wciąż mu ufasz - odparła. - To się zmieni.

Idaho odwrócił się i popatrzył na nią.

- Nigdy z nim nie rozmawiałaś?

- Rozmawiałam. Kiedy byłam dzieckiem.

- Wciąż nim jesteś. On jest wszystkimi Atrydami, jacy istnieli, każdym z nich. To straszne, aleja znałem tych ludzi. To byli moi przyjaciele.

Siona potrząsnęła jedynie głową. Idaho znów się odwrócił. Czuł, że jest do cna wyprany z emocji. Czuł się tak, jak gdyby nie miał kości. Bezwolnie zaczął iść przez plac ku ulicy, w której zniknął chłopiec. Siona dogoniła go i zrównała się z nim, ale on nie zwrócił na nią uwagi.

Uliczka była wąska, zamknięta jednopiętrowymi domami z kamienia. Wszystkie drzwi były zamknięte. W oknach - zbliżonych kształtem do drzwi - kołysały się zasłony.

Przy pierwszej przecznicy zatrzymał się i spojrzał w prawo, tam, dokąd pobiegł chłopiec. Dwie siwowłose kobiety w długich spódnicach i ciemnych zielonych bluzach stały kilka kroków dalej i plotkowały z nachylonymi ku sobie głowami. Zamilkły, gdy zobaczyły Idaho, i wpatrzyły się weń z nie ukrywaną ciekawością. Oddał im spojrzenie, potem zajrzał w głąb uliczki. Była pusta.

Duncan przeszedł obok kobiet w odległości kroku. Przysunęły się bliżej do siebie i odwróciły, by popatrzeć za nim. Spojrzały na Sionę, potem znów na Idaho. Siona szła spokojnie obok niego z dziwnym wyrazem twarzy.

“To smutek? - zastanawiał się. - Czy politowanie? A może ciekawość?"

Trudno było ocenić. Zresztą bardziej interesował się drzwiami i oknami, które mijali.

- Byłaś kiedyś przedtem w Gojgoi? - zapytał.

- Nie - odpowiedziała Siona ściszonym głosem, jak gdyby obawiała się jego dźwięku.

“Dlaczego idę tą ulicą?" - zastanawiał się Idaho. Już zadając sobie to pytanie, poznał odpowiedź: “Ta kobieta, ta Irtia: jakaż kobieta mogła sprowadzić m n i e do Gojgoi?"

Róg zasłonki w oknie po prawej uniósł się i Idaho dojrzał twarz chłopca z placu. Opuszczona następnie zasłona została odsłonięta raz jeszcze, by ukazać postać kobiety. Idaho spojrzał w jej twarz, nie mogąc wymówić ani słowa. To była twarz, którą znał ze swych najskrytszych marzeń - owalna, z przenikliwymi, ciemnymi oczyma, pełnymi, zmysłowymi ustami...

- Jessika - szepnął.

- Co mówiłeś? - zapytała Siona.

Idaho nie był w stanie powiedzieć nic więcej. Była to twarz Jessiki, wskrzeszona z przeszłości twarz, o której myślał, że odeszła raz na zawsze; genetyczny kaprys - matka Muad'Diba stworzona na nowo w nowym ciele.

Kobieta opuściła zasłonę, pozostawiając w umyśle Idaho pamięć swych rysów, obraz, o którym ghola wiedział, że nigdy nie będzie już mógł go wymazać ze świadomości. Była starsza niż Jessika, która dzieliła z nim niebezpieczeństwa Diuny - drobne zmarszczki skupiały się przy jej ustach i oczach, a ciało było odrobinę bardziej pełne.

“Bardziej matczyna - powiedział sobie Idaho. - Czy kiedykolwiek jej powiedziałem... kogo przypomina?"

Siona pociągnęła go za rękaw.

- Chcesz wejść, zobaczyć się z nią?

- Nie. To była pomyłka.

Idaho chciał zawrócić w stronę, z której przyszli, ale drzwi domu Irtii otwarły się szeroko. Wyszedł z nich młody mężczyzna i zamknął je za sobą, odwracając się następnie, by stanąć twarzą w twarz z Idaho.

Idaho domyślał się, że młodzieniec ma jakieś szesnaście lat... i nie mógł zaprzeczyć ojcostwu - te same mocno kręcone włosy i ostre rysy nie pozostawiały wątpliwości.

- Jesteś ten nowy - powiedział syn Irtii. Jego głos już się obniżał, nabierając męskiego brzmienia.

- Tak. - Idaho spostrzegł, że znowu ciężko mu mówić.

- Dlaczego się tu zjawiłeś? - zapytał młodzieniec.

- To nie był mój pomysł - odrzekł Idaho. Stwierdził, że łatwiej mu to powiedzieć, bo słowa powodowane były wyrzutem wobec Siony.

Chłopak spojrzał na Sionę.

- Doniesiono nam, że mój ojciec nie żyje.

Siona skinęła głową.

Młodzieniec zwrócił się ponownie do Idaho.

- Proszę, odejdź i nigdy nie wracaj. Sprawiasz ból mojej matce.

- Oczywiście - powiedział Idaho. - Proszę, przeproś lady Irtię za to najście. Sprowadzono mnie tu wbrew woli.

- Kto?

- Mówiące-do-Ryb - rzekł Idaho.

Chłopak szybkim ruchem skinął głową. Znowu spojrzał na Sionę.

- Zawsze myślałem, że wy, Mówiące-do-Ryb, nauczone jesteście traktować się nawzajem bardziej delikatnie. - Z tymi słowy odwrócił się i wszedł do domu, zamykając za sobą drzwi. Idaho odwrócił się w stronę, z której przyszli, i ruszając chwycił Sionę za ramię. Dziewczyna otrząsnęła się i po chwili uwolniła od jego uścisku.

- Myślał, że jestem Mówiącą-do-Ryb - powiedziała.

- Oczywiście. Wyglądasz na nią. - Spojrzał na Sionę. - Dlaczego nie powiedziałaś mi, że Irtia była Mówiącą-do-Ryb?

- Nie wydawało mi się to ważne.

- Aha.

- Tam właśnie się spotkali!

Doszli do skrzyżowania z uliczką prowadzącą na plac. Idaho skierował się w przeciwną stronę i ruszył szybko do miejsca, gdzie zaczynały się ogrody i sady. Duncan odczuwał wszystko tak, jakby był w szoku, jego świadomość cofała się przed nadmiarem wrażeń, który nie mógł tak po prostu zostać przyswojony.

Na jego drodze stanął niski mur. Idaho wspiął się nań. Usłyszał, że Siona robi to samo. Drzewa dookoła nich pokryte były białymi kwiatami o pomarańczowych środkach, w których uwijały się ciemnobrązowe owady. Powietrze było aż ciężkie od woni tych kwiatów, woni, która przypominała Idaho zapachy dżungli na Kaladanie.

Zatrzymał się, gdy dotarł na grzbiet wzgórza, skąd mógł obejrzeć Gojgoę w pełnej krasie. Dachy domów były płaskie i czarne.

Siona usiadła na gęstej trawie obok Idaho i objęła ramionami kolana.

- To nie było to, co sobie zamierzyłaś, prawda? - zapytał Duncan.

Potrząsnęła głową i mężczyzna zobaczył, że jest bliska łez.

- Dlaczego tak bardzo go nienawidzisz? - zapytał.

- Nie mamy życia dla siebie!

Idaho popatrzył w dół na wioskę.

- Wiele jest takich wsi jak ta?

- Tak właśnie wygląda Imperium Czerwia!

- Co w tym złego?

- Nic... jeżeli to jest wszystko, czego pragniesz.

- Mówisz, że to wszystko, na co on pozwala?

- To, kilka miast handlowych, Onn... Mówiono mi, że nawet stolice planet to tylko duże wsie.

- Powtarzam: co w tym złego?

- To więzienie!

- Zatem wyjdź z niego.

- Dokąd? Jak? Myślisz, że możesz się po prostu zabrać na statek Gildii i polecieć sobie dokądkolwiek indziej? - Wskazała w dół ku Gojgoi, gdzie na uboczu widać było ornitopter i siedzące obok na trawie Mówiące-do-Ryb. - Nasi wartownicy nie pozwolą nam odejść.

- One mogą latać - powiedział Idaho. - Dokądkolwiek zechcą.

- Dokądkolwiek Czerw je pośle. - Wcisnęła twarz między kolana i powiedziała stłumionym głosem: - Jak było w dawnych czasach?

- Było inaczej, często bardziej niebezpiecznie. - Przebiegł wzrokiem po murach odgradzających pastwiska, ogrody i sady. - Tu, na Diunie, nie było wyimaginowanych linii określających granice własności ziemi. To wszystko było Księstwem Atrydów.

- Z wyjątkiem Fremenów.

- Tak, ale oni wiedzieli, jakiego obszaru byli panami - po tej stronie danego zbocza... albo gdzie panew staje się bielsza.

- Mogli iść, dokąd chcieli!

- W pewnych granicach.

- Niektórzy z nas tęsknią za pustynią - powiedziała.

- Macie Serir.

Podniosła głowę, by popatrzeć na niego.

- To żałosny okruch!

- Tysiąc pięćset na pięćset kilometrów - nie tak mało.

Siona podniosła się na nogi.

- Pytałeś Czerwia, dlaczego ogranicza nas w ten sposób?

- To Pokój Leto, jego Złota Droga mająca zapewnić nam przeżycie. Tak właśnie mówi.

- Wiesz, co powiedział mojemu ojcu? Szpiegowałam ich, kiedy byłam dzieckiem. Podsłuchiwałam.

- Co takiego rzekł?

- Powiedział, że oddala od nas większość kryzysów, żeby ograniczyć nasze zdolności organizacyjne. Powiedział: “Ludzi można wydobyć ze stanu choroby, ale to właśnie ja nią teraz jestem. Bogowie mogą stać się schorzeniem." Takie były jego słowa, Duncanie. Czerw jest chorobą!

Idaho nie wątpił w dokładność jej relacji, ale słowa Siony nie zdołały go pobudzić. W zamian pomyślał o głowie rodu Corrinów, człowieku, którego kazano mu zabić.

S c h o r z e n i e . Ów Corrino, potomek rodu rządzącego niegdyś Imperium, okazał się być przygrubym człowieczkiem w średnim wieku, odczuwającym głód władzy i spiskującym, aby zdobyć przyprawę. Idaho rozkazał go zabić Mówiącym-do-Ryb, co sprowokowało Monea do szeregu pytań:

“Dlaczego sam go nie zabiłeś?"

“Chciałem zobaczyć, jak spiszą się Mówiące-do-Ryb."

“I co sądzisz o ich działaniu?"

“Są skuteczne."

Śmierć Corrina dotknęła jednak Idaho poczuciem nierzeczywistości. Tłusty mały człowieczek leżący w kałuży krwi, niczym nie wyróżniający się cień wśród nocnych cieni na brukowanej plastbetonowej ulicy. To było

nierzeczywiste. Idaho przypomniał sobie słowa Muad'Diba: “Umysł tworzy sobie konstrukcję, którą nazywa rzeczywistością. Ta arbitralna konstrukcja ma tendencję do całkowitego uniezależnienia się od tego, o czym donoszą jej zmysły." Jaka r z e c z y w i s t o ś ć kierowała Panem Leto?

Idaho popatrzył na Sionę stojącą na tle sadu i zielonych wzgórz Gojgoi.

- Zejdźmy do wsi i znajdźmy kwatery. Chciałbym zostać sam.
- Mówiące-do-Ryb umieszczą nas w tym samym mieszkaniu.
- Z nimi?
- Nie, tylko nas. Powód jest prosty. Czerw chce mnie skrzyżować z wielkim Duncanem Idaho!
- Sam wybieram sobie partnerki - burknął Idaho.
- Jestem pewna, że każda z naszych Mówiących-do-Ryb byłaby tym zachwycona - powiedziała Siona. Odwróciła się od niego i zaczęła schodzić ze wzgórza.

Idaho obserwował ją przez chwilę, jej gibkie, młode ciało, poruszające się sprężyście jak gałęzie drzew w sadzie pod wpływem wiatru.

- Nie jestem jego ogierem - mruknął. - To jedno będzie musiał zrozumieć.

Z każdym mijającym dniem stajecie się coraz bardziej nierealni, bardziej obcy i odlegli od tego, czym ja odnajduję własną osobę każdego kolejnego ranka. Jestem jedyną rzeczywistością i gdy stajecie się ode mnie różni, tracicie swą realność. Im bardziej staję się dociekliwy, tym mniej dociekliwi są ci, którzy mnie czczą. Religia tłumi dociekliwość. Dlatego właśnie ostatecznie nie zrobię nic, oddając wszystko z powrotem w ręce przestraszonych ludzi, którzy w ów dzień spostrzegą, że są sami, zmuszeni działać na własną odpowiedzialność.

“Wykradzione dzienniki"

Dźwięk nie był podobny do niczego - ten odgłos czekającego tłumu - i docierał w głąb długiego tunelu, którym Idaho szedł obok Wozu Królewskiego. Brzmiało to jak pomruk olbrzyma, wzmocniony do potwornego szeptu, szuranie pojedynczej gigantycznej stopy, szelest monstrualnego ubrania. I zapach - słodki pot zmieszany z mlecznym oddechem podniecenia seksualnego.

Inmeira wraz z resztą eskorty Mówiących-do-Ryb dostarczyła tu Idaho w godzinę po świcie, lądując na placu w Onn. Wystartowały natychmiast po przekazaniu Duncana innym Mówiącym-do-Ryb. Inmeira była wyraźnie nieszczęśliwa, że wymaga się od niej zabrania Siony do Twierdzy, bo w ten sposób traciła obrzęd Siajnoku.

Strażniczki z nowej eskorty, aż drżące od tłumionej emocji, powiodły go korytarzami głęboko pod plac - w miejsce, którego nie było na żadnym z planów przestudiowanych przez Idaho. To był labirynt - szli najpierw w jedną stronę, potem następną i znowu w inną, przez korytarze dosyć szerokie i wysokie, by pomieścić Wóz Królewski. Idaho zagubił się w tej plątaninie, więc zaczął roztrząsać wydarzenia minionej nocy.

Kwatery sypialne w Gojgoi, chociaż małe i po spartańsku surowe, były wygodne. Każdy pokój posiadał dwa łóżka, bielone ściany, wąskie okna i pojedyncze drzwi. Pomieszczenia znajdowały się wzdłuż korytarza w budynku oznaczonym jako “Dom Gościnny w Gojgoi".

Siona miała rację. Nie pytając, czy mu to odpowiada, Inmeira, jak gdyby była to rzecz absolutnie oczywista, umieściła Idaho wraz z Sioną. Gdy tylko drzwi zamknęły się za nią, Siona powiedziała:

“Jeżeli mnie dotkniesz, będę musiała cię zabić."

Zostało to wyrzeczone z tak absolutną szczerością, że Idaho omal się nie roześmiał.

“ Wolałbym osobne kwatery - powiedział. - Możesz uważać, że jesteś tu sama."

Usnął lekko znużony, przypominając sobie noce niebezpieczeństw w służbie Atrydów, tę stałą gotowość do walki. W pokoju nie było właściwie ciemno - blask księżyca padał przez zasłonięte okno, nawet poświata gwiazd odbijała się od kredowobiałych ścian. Duncan spostrzegł ze zdziwieniem, że zaczyna reagować na obecność Siony z jakąś nerwowością - na jej zapach, ruchy, oddech. Kilkakrotnie rozbudził się zupełnie i wsłuchiwał w panującą ciszę, dwa razy będąc świadomym, że Siona również nasłuchuje.

Poranek i lot do Onn były dla obojga ulgą. Popili śniadanie zimnym napojem z soku owocowego i Idaho z zadowoleniem ruszył szybkim krokiem ku ornitopterowi. Nie odzywał się w ogóle do Siony. Stwierdził, że napawają go niechęcią ciekawskie spojrzenia Mówiących-do-Ryb.

Siona przemówiła do niego tylko raz, wychylając się z ornitoptera, gdy odchodził z placu:

“Nie byłoby dla mnie obrazą mieć cię za przyjaciela."

Ujęła to tak osobliwie! Poczuł się zakłopotany.

“Tak... cóż, z pewnością."

Nowa eskorta zabrała go wtedy ze sobą, by w końcu dotrzeć z nim do celu - do labiryntu. Oczekiwał tutaj Leto na Wozie Królewskim. Miejscem spotkania było rozszerzenie korytarza, który zbiegał się w oddali po prawej stronie Idaho. Ściany miały ciemnobrązową barwę z pasmami złotych szeregów, błyszczących w żółtym świetle kuł świętojańskich. Eskorta zajęła stanowiska za Wozem, zręcznie pozostawiając Idaho twarzą w twarz z zakapturzonym obliczem Leto.

- Duncanie, będziesz mnie poprzedzał, kiedy udamy się na Siajnok - powiedział Leto.

Idaho zajrzał w ciemnobłękitne studnie oczu Boga Imperatora, rozgniewany atmosferą skrytości i niedopowiedzeń, charakteryzujących całą sytuację. Czuł, że to wszystko, co powiedziano mu o Siajnoku, jedynie zaciemniło prawdę.

- Czy naprawdę jestem dowódcą twej straży, mój Panie? - zapytał głosem przepełnionym niechęcią.

- Naprawdę! I okazuję ci teraz wielkie poważanie. Tylko kilku mężczyzn kiedykolwiek brało udział w Siajnoku.

- Co działo się w mieście tej nocy?

- W paru miejscach doszło do starć. Rankiem było już jednak zupełnie spokojnie.

- Były ofiary?

- Niewarte wzmianki.

Idaho pokiwał głową. Siły przyszłowidcze Leto ostrzegły go o jakimś zagrożeniu dla j e g o D u n c a n a . Stąd ten lot w wiejskie zacisze Gojgoi.

- Byłeś w Gojgoi - powiedział Leto. - Kusiło cię zostać?

- Nie!

- Nie bądź na mnie zły - rzekł Leto. - Nie ja cię tam wysłałem.

Idaho westchnął.

- Co to było za niebezpieczeństwo, które wymagało, żeby mnie odesłać?

- Nie dotyczyło ciebie - powiedział Leto - ale prowokujesz moje strażniczki do nadmiernego okazywania swoich zdolności. Wydarzenia tej nocy nie wymagały tego.

- Och!? - Ta myśl wstrząsnęła Idaho. Nigdy nie myślał o sobie jako o kimś inspirującym szczególny heroizm, chyba że tego osobiście wymagał. Tymczasem nieświadomie “podkręcał" żołnierzy. Tacy przywódcy, jak pierwszy Leto, dziadek obecnego, wzmagali w ludziach odwagę przez samą swoją obecność.

- Jesteś dla mnie wyjątkowo cenny, Duncanie - powiedział Leto.

- Tak... dobrze, ale mimo to nie będę twoim ogierem.

- Twoje życzenia będą uwzględniane, oczywiście. Porozmawiamy o tym innym razem.

Idaho spojrzał na eskortę Mówiących-do-Ryb. Wszystkie strażniczki stały z rozszerzonymi z ciekawości oczyma

- Czy zawsze są zamieszki, kiedy zjawiasz się w Onn? - zapytał.

- Niepokoje pojawiają się okresowo. W tej chwili malkontenci są zupełnie potulni. Przez jakiś czas będzie spokojniej.

Idaho spojrzał na nieprzeniknioną twarz Leto.

- Co się stało z moim poprzednikiem?

- Czy Mówiące-do-Ryb ci nie powiedziały?

- Mówiły, że zginął w obronie swego Boga.

- A ty słyszałeś plotki mówiące o czymś dokładnie odwrotnym?

- Co się wydarzyło?

- Umarł, bo był za blisko mnie. Nie usunąłem go na czas w bezpieczne miejsce.

- Takie jak Gojgoa?

- Wolałbym, żeby dożył tam swoich dni w spokoju, ale wiesz dobrze, Duncanie, że nie szukasz spokoju dla siebie.

Idaho chciał przełknąć ślinę, ale natknął się na dziwną grudę w gardle.

- Wciąż chciałbym poznać szczegóły jego śmierci. Ma rodzinę...

- Poznasz szczegóły i nie obawiaj się o jego rodzinę. Jest pod moją pieczą. Będę ich utrzymywał w bezpieczeństwie i na odległość. Wiesz, co sądzę o przemocy. To jedna z moich zasad. To niefortunne, że ci, których podziwiam i kocham, muszą cierpieć z tego powodu.

Idaho zacisnął usta, niezadowolony z tego, co usłyszał.

- Uspokój swe myśli, Duncanie - powiedział Leto. - Twój poprzednik umarł, bo był za blisko mnie.

Eskorta Mówiących-do-Ryb wierciła się niespokojnie. Idaho spojrzał najpierw na strażniczki, potem prosto w tunel.

- Tak, już czas - powiedział Leto. - Nie wolno nam trzymać kobiet w oczekiwaniu.

Posłuszny wobec braku odpowiedniej alternatywy, Idaho odwrócił się na pięcie i poprowadził orszak. Słyszał, że za nim ze skrzypnięciem ruszył Wóz, docierały też do niego ciche odgłosy kroków eskorty.

Po chwili Wóz ucichł tak raptownie, że Idaho drgnął i odwrócił się. Powód nagłej ciszy był widoczny na pierwszy rzut oka.

- Przeszedłeś na dryfy - powiedział Duncan, odwracając się z powrotem w kierunku marszu.

- Wciągnąłem koła, bo kobiety będą się tłoczyć wokół mnie - odparł Leto. - Nie mogę rozgniatać im stóp.

- Czym jest Siajnok? Czym jest naprawdę? - zapytał Idaho.

- Powiedziałem ci już. To Wielkie Dzielenie.

- Czy to przyprawa tak pachnie?

- Masz czuły węch. W opłatkach są małe dawki melanżu.

Idaho potrząsnął głową.

Próbując pojąć to wydarzenie, Idaho zapytał o nie wprost, przy pierwszej okazji po przybyciu do Onn:

“Czym jest Święto Siajnoku?"

“Dzielimy się opłatkiem, nic więcej. Nawet ja w tym uczestniczę."

“To tak, jak w obrzędzie protestancko-katolickim?"

“Och, nie! To nie moje ciało. To Dzielenie. Przypomina się im, że są tylko kobietami - tak jak ty jesteś tylko mężczyzną - a ja jestem wszystkim. Dzielą się ze w s z y s t k i m ."

Idaho nie podobał się ton tego: “tylko mężczyzną".

“ Wiesz, kogo one wyszydzają w czasie tego święta, Duncanie?"

“Kogo?"

“Mężczyzn, którzy ich obrazili. Posłuchaj ich, jak rozmawiają po cichu między sobą."

Idaho odebrał to jako ostrzeżenie: Nie obraź Mówiących-do-Ryb. Wzbudź w nich gniew, a stanie się to dla ciebie śmiertelnym niebezpieczeństwem!

Teraz, gdy maszerował przed Leto w tunelu, Idaho czuł, że tak naprawdę usłyszał słowa, ale niczego się z nich nie nauczył.

- Nie rozumiem Siajnoku - powiedział przez ramię.

- Będziemy brać udział w obrządku. Zobaczysz go. Poczujesz. Moje Mówiące-do-Ryb to źródło szczególnej wiedzy, prostolinijność, którą obdarzone są tylko one. Teraz weźmiesz w tym udział i pokochasz je za to. Słuchaj ich uważnie. Są otwarte na ideę pokrewieństwa. Ich miłość wobec siebie nie zna żadnych zahamowań.

“Więcej słów - pomyślał Idaho. - Więcej tajemnicy."

Mógł dostrzec stopniowe powiększanie się tunelu: sufit wciąż wznosił się w górę. Było tu więcej kul świętojańskich, nastawionych na barwę pomarańczową. Około trzysta metrów przed sobą Duncan widział wysoki łuk wyjścia, a w nim intensywne światło, w którym można było rozpoznać lśniące twarze kołyszących się w lewo i w prawo postaci. Z tej odległości ich ciała, obleczone w ciemne szaty, wyglądały jak czarna ściana. Atmosfera była tam aż gęsta od podniecenia.

Gdy zbliżali się do oczekujących kobiet, Idaho dojrzał wśród nich przejście i rampę wznoszącą się przed niską sceną po prawej. Nad zgromadzonymi górowało wielkie łukowate sklepienie, zamykając gigantyczną przestrzeń oświetlaną przez ciemnoczerwone kule świętojańskie.

- Wejdź na rampę z prawej strony - powiedział Leto. - Zatrzymaj się tuż za środkiem sceny i stań twarzą do kobiet.

Idaho podniósł prawą dłoń, dając znak, że zrozumiał. Wychodził właśnie na otwartą przestrzeń. Rozmiary hali przytłoczyły go. Gdy wchodził na scenę, narzucił wyćwiczonym oczom zadanie oceny wymiarów sali i domyślił się, że musi mieć co najmniej tysiąc metrów długości i tyleż szerokości. Była po brzegi wypełniona kobietami i Idaho przypomniał sobie, że to tylko przedstawicielki rozproszonych zastępów Mówiących-do-Ryb, po trzy z każdej planety. Stały teraz w tłumie tak gęstym, że Idaho wątpił, czy którakolwiek z nich może upaść. Pozostawiły tylko mający około pięćdziesięciu metrów wolny pas wzdłuż sceny, gdzie Idaho zatrzymał się teraz. Wszędzie widział wlepione w niego spojrzenia - twarze, twarze, twarze.

Leto zatrzymał swój Wóz za Idaho i podniósł ramię o srebrzystej skórze. Natychmiast zagrzmiał okrzyk: Siajnok! Siajnok! - i wypełnił salę. Idaho został niemal ogłuszony przez wrzawę. “Na pewno słychać go w całym mieście - pomyślał. - Chyba że jesteśmy zbyt głęboko pod ziemią."

- Moje panny młode - powiedział Leto. - Witam was na Siajnoku.

Idaho obejrzał się na Leto i zobaczył lśniące, ciemne oczy, ich promienny wyraz. Leto mówił: “ta przeklęta świętość", ale się w niej pławił.

“Czy Moneo widział kiedyś to zgromadzenie?" - zastanawiał się Idaho. To była dziwna myśl, ale znał jej źródło. Musieli istnieć jacyś inni śmiertelnicy, z którymi można by o tym podyskutować. Eskorta powiedziała, że Moneo został odesłany “w sprawach państwowych", których szczegółów nie znały. Słysząc to, Idaho poczuł, że właśnie poznaje kolejny element rządów Leto. Linie władzy biegły od Leto prosto w lud, ale nie przecinały się zbyt

często. To wymagało wielu rzeczy, włącznie z zaufanymi sługami, którzy przyjęliby odpowiedzialność za wypełnianie rozkazów bez pytania.

“Niewielu ludzi widziało, by Bóg Imperator kogoś skrzywdził - powiedziała Siona. - Czy to nie jest podobne do zachowania Atrydów, których znałeś?"

Idaho patrzył na stłoczone Mówiące-do-Ryb, podczas gdy w jego głowie kłębiły się myśli. To oddanie w ich oczach! Ten ich podziw! Jak Leto to zrobił? Po co?

- Moje ukochane - powiedział Leto. Jego głos grzmiał nad zwróconymi w górę twarzami, przenoszony w najdalsze kąty przez wzmacniacze Ixian ukryte w Wozie Królewskim. Obraz połyskujących potem oblicz przypomniał Idaho ostrzeżenia Leto: “Wzbudź ich gniew, a stanie się to dla ciebie śmiertelnym niebezpieczeństwem!" W tym miejscu łatwo można było uwierzyć w to ostrzeżenie. Jedno słowo Leto, a kobiety rozszarpałyby grzesznika na kawałki. Żadnych pytań. Po prostu by to zrobiły. Idaho zaczynał na nowo doceniać te kobiety jako armię. Nie zatrzymałoby ich zagrożenie własnego życia. Słuchały Boga!

Wóz Królewski skrzypnął lekko, gdy Leto wygiął w górę przednią część swojego ciała, unosząc głowę.

- Jesteście strażniczkami wiary! - powiedział.

Odpowiedziały jednogłośnie:

- Panie, jesteśmy Tobie posłuszne!
- We mnie żyjecie bez końca!
- Jesteśmy nieskończonością! - krzyczały.
- Kocham was jak nikogo innego! - zawołał Leto.
- Kochamy cię! - odpowiedziały.

Idaho zadrżał.

- Daję wam mojego ukochanego Duncana! - krzyknął Leto.
- Kochamy go! - odkrzyknęły.

Idaho czuł, jak drży całe jego ciało. Czuł, jak przytłacza go ciężar całego tego oddania. Chciał uciec, chciał zostać i przyjąć to wszystko. W tej sali była moc. Moc!

- Zmieńcie straż - powiedział Leto cichszym głosem. Kobiety bez wahania jednocześnie skłoniły głowy. Z prawej strony Idaho pojawił się rząd kobiet w białych szatach. Weszły na otwartą przestrzeń przed sceną i Duncan zobaczył, że niektóre z nich niosą niemowlęta i małe dzieci - przeważnie chłopców - z których żadne nie miało więcej niż dwa lata. Ze szkicowego objaśnienia, które otrzymał wcześniej, Idaho rozpoznał te kobiety jako opuszczające bezpośrednią służbę w Mówiących-do-Ryb. Niektóre zostaną kapłankami, inne poświęcą cały czas dzieciom, ale żadna nie zaprzestanie tak naprawdę służby dla Leto.

Spoglądając na dzieci, Idaho pomyślał, jak niewyraźne wspomnienia tego przeżycia odcisną się na każdym z chłopców. Przez całe życie będą nosili tajemnicę, pamięć zaginioną dla świadomości, ale zawsze obecną, rzucającą od tej pory cień na ich zachowanie.

Ostatnia z nowo przybyłych zatrzymała się przed Leto i podniosła na niego wzrok. Inne kobiety także uniosły teraz twarze i skupiły wzrok na Bogu Imperatorze.

Idaho rozejrzał się na boki. Biało ubrane kobiety wypełniały przestrzeń pod sceną co najmniej na pięćset metrów w obu kierunkach. Niektóre z nich podniosły dzieci w stronę Leto. Ich cześć i oddanie miało wymiar absolutny. Idaho czuł, że gdyby Leto rozkazał, to kobiety roztrzaskałyby dzieci o posadzkę. Zrobiłyby wszystko.

Leto opuścił łagodnym ruchem przednie segmenty na Wóz. Spojrzał łaskawie w dół i z jego ust dobył się głos brzmiący jak pieszczota:

- Daję wam nagrodę, na którą zasłużyłyście swoją wiarą i służbą. Proście, a będzie wam dane.

Cała sala zagrzmiała w odpowiedzi:

- Będzie dane!

- Co moje, jest wasze! - rzekł Leto.

- Co nasze, jest twoje! - zawołały kobiety.

- Dzielcie się teraz ze mną - powiedział Leto - milczącą modlitwą o moje orędownictwo we wszystkim - by ludzkość nie zginęła.

Wszystkie głowy pochyliły się jak jedna. Kobiety w bieli przycisnęły mocniej dzieci do siebie, spoglądając na nie. Idaho czuł tę milczącą jedność, siłę, która szukała wejścia do jego wnętrza, by go pokonać. Otworzył szeroko usta i wciągnął powietrze, walcząc przeciw czemuś, co odczuwał jak fizyczny napór. Jego umysł gorączkowo szukał czegoś, czego mógłby się uchwycić, czegoś, co by go osłoniło.

Te kobiety były armią, której siły Idaho nie podejrzewał. Wiedział, że tego nie rozumie. Mógł ową siłę jedynie postrzegać, stwierdzać, że istnieje.

To było coś, co stworzył Leto.

Do świadomości Idaho wróciły słowa Leto ze spotkania w Twierdzy: "Lojalność w męskiej armii kieruje się raczej ku samej armii niż cywilizacji, która ją karmi. Lojalność kobiecej armii kieruje się ku przywódcy."

Idaho popatrzył na dzieło, widząc przenikliwą trafność jego słów.

“Proponuje mi udział w tym" - pomyślał.

Jego własna odpowiedź na słowa Leto uderzyła go teraz swoją infantylnością.

“Nie uważam, aby było to rozsądne" - powiedział.

“ Większość ludzi to nie są stworzenia kierujące się rozsądkiem."

“Żadna armia, męska czy kobieca, nie gwarantuje pokoju. W twoim Imperium go nie ma. Wy tylko..."

“Czy moje Mówiące-do-Ryb przedstawiły ci naszą historię?"

“Tak, ale chodziłem też po twoim mieście i obserwowałem ludzi. Oni są agresywni."

“Widzisz, Duncanie? Pokój zachęca do agresji."

“A ty mówisz, że to twoja Złota Droga."

“To nie jest, ściśle rzecz biorąc, pokój. To spokój, płodny grunt dla pojawienia się sztywnego podziału klasowego i wielu innych form agresji."

“Mówisz zagadkami!"

“Mówię przez nagromadzone obserwacje, które podpowiadają mi, że nieagresywna postawa to postawa pokonanego. Postawa ofiary. A ofiary zachęcają do agresji."

“ Twój przeklęty wymuszony spokój! W czym on jest dobry?"

“Jeżeli nie ma wroga, trzeba jakiegoś wynaleźć. Militarna siła, której nie przedstawi się żadnego zewnętrznego celu, zawsze zwraca się przeciw własnej ludności."

“W co ty grasz?"

“Modyfikuję ludzkie pragnienie wojny."

“Ludzie nie chcą wojny!"

“Chcą chaosu. Wojna jest najłatwiej osiągalną postacią chaosu."

“Nie wierzę w nic z tego, co mówisz! Grasz w jakieś własne, niebezpieczne gry."

“Bardzo niebezpieczne. Kieruję się ku odwiecznym źródłom ludzkiego zachowania, by je na nowo ukierunkować. Niebezpieczeństwo tkwi w tym. że mogę stłumić chęć ludzkiego przeżycia, zapewniam cię jednak, że moja Złota Droga przetrwa."

“Nie stłumisz przeciwieństw!"

“Rozdrabniam energie w jednych miejscach i kieruję je w inne. Jeżeli jest coś, czego nie możesz kontrolować, to to zwróci się przeciwko tobie."

“Czym dysponujesz, by zapobiec przejęciu władzy przez twą kobiecą armię?"

“Jestem przywódcą."

Patrząc na kobiety stłoczone w wielkiej sali, Idaho nie mógł zaprzeczyć, że Leto rzeczywiście jest tu przywódcą. Widział też, że część tego uwielbienia spływa na jego osobę. Tkwiąca w tym pokusa paraliżowała go - wszystko, czego by od nich chciał... wszystko! Potencjalna siła skupiona w tej sali była niczym bomba. Uświadomienie sobie tego zmusiło Duncana do głębszego przemyślenia wcześniejszych słów Leto. Leto powiedział coś o eksplodującej przemocy. Już patrząc na kobiety pogrążone w milczącej modlitwie, Idaho przypomniał sobie, co powiedział Bóg Imperator:

“Mężczyźni są skłonni do tworzenia podziałów klasowych. Tworzą rozwarstwione społeczeństwa, a te są ostatecznym zaproszeniem do przemocy. Nie rozpadają się. Eksplodują."

“Kobiety tego nie robią?"

“Nie, chyba że są kompletnie zdominowane przez mężczyzn albo zamknięte w układzie męskich ról."

“Płci nie mogą się aż tak różnić!"

“Ależ mogą. Kobiety opierają podział ról na kryterium płci, co przekracza klasy i kasty. Dlatego właśnie pozwalam im dzierżyć władzę."

Idaho był zmuszony przyznać, że modlące się kobiety istotnie dzierżą władzę.

“Jaka część tej władzy scedowały w moje ręce?"

Pokusa była potworna! Idaho zorientował się, że aż drży na jej myśl. W mrożącym przebłysku uświadomił sobie, że taka musi być intencja Leto - skusić go!

Tymczasem kobiety skończyły modlitwę i podniosły wzrok na Leto. Idaho czuł, że nigdy jeszcze nie widział w ludzkich twarzach takiego uniesienia - ani w miłosnej ekstazie, ani po zwycięskiej walce - nigdzie nie spotkał czegokolwiek zbliżonego do tego potężnego oddania.

- Stoi koło mnie dziś Duncan Idaho - powiedział Leto. - Jest tu, by zaświadczyć o swojej wierności, byście wszystkie to usłyszały, prawda, Duncanie?

Idaho poczuł zimno opanowujące jego wnętrzności. Leto dał mu prosty wybór: zadeklaruj lojalność Bogu Imperatorowi albo giń!

“Gdybym się sprzeciwił, uchylił albo w jakikolwiek sposób odmówił, te kobiety zabiłyby mnie gołymi rękoma."

Idaho ogarnął głęboki gniew. Przełknął ślinę, kaszlnął i następnie powiedział:

- Niech nikt nie wątpi w moją lojalność. Jestem wierny Atrydom.

Usłyszał swój własny głos odbijający się echem po sali, wzmocniony dodatkowo przez ixiańską aparaturę.

Skutek, jaki wywołały jego własne słowa, przeraził Idaho.

- Dzielimy! - krzyczały kobiety. - Dzielimy! Dzielimy!

- Oziębmy się - powiedział Leto.

Młode Mówiące-do-Ryb, przechodzące jeszcze szkolenie, co można było poznać po ich krótkich zielonych szatach, napełniły rojem salę ze wszystkich stron. Każda z nich niosła tacę z małymi, brązowymi opłatkami. Gdy przeciskały się przez tłum, zewsząd wyciągały się ku tacom ręce. Każda ujmowała opłatek i unosiła go wysoko. Kiedy jedna z kobiet niosących tacę zbliżyła się do sceny i podniosła swój ciężar w górę do Idaho, Leto powiedział:

- Weź dwa i podaj mi jeden.

Idaho przyklęknął i wziął dwa opłatki. Wydawały się suche i kruche. Wstał i podał delikatnie jeden z nich Leto. Wtedy Bóg Imperator zapytał grzmiącym głosem:

- Czy wybrano już nową Straż?

- Tak, Panie! - krzyknęły kobiety.

- Dotrzymujecie mi wierności?

- Tak, Panie!

- Idziecie Złotą Drogą?

- Tak, Panie!

Wibracja kobiecych głosów przenikała umysł Idaho falami, ogłuszając go.

- Dzielimy się?! - zapytał Leto.

- Tak, Panie!

Gdy kobiety odpowiedziały, Leto włożył opłatek do ust. Każda z matek pod sceną ugryzła kawałek swojego opłatka, a resztę dała dziecku. Mówiące-do-Ryb stłoczone za ubranymi w biel kobietami opuściły ręce i zaczęły brać w usta opłatki.

- Duncanie, zjedz swój - powiedział Leto.

Idaho wsunął opłatek do ust. Ciało gholi nie zostało uwarunkowane na przyprawę, ale pamięć przemówiła do zmysłów. Opłatek był gorzkawy, z delikatnym posmakiem melanżu. Spowodował przypływ dawnych wspomnieli - posiłków w siczy, uczt w Rezydencji Atrydów... sposobu, w jaki aromat przyprawy przenikał wszystko w dawnych czasach.

Przełykając opłatek, Idaho uświadomił sobie ciszę, jaka zapanowała na sali, spokój wstrzymywanego oddechu, w który wbiło się głośne szczęknięcie, dochodzące od strony Wozu Leto. Idaho odwrócił się, szukając źródła dźwięku. Leto otworzył przegrodę w platformie Wozu i wydobył z niej kryształowy prostopadłościan, świecący błękitno-szarym wewnętrznym światłem. Umieścił pojemnik na platformie Wozu, podniósł migocącą

pokrywę i wyjął ze środka krysnóż. Idaho natychmiast rozpoznał ostrze i jastrzębia wyrytego na rękojeści wysadzanej zielonymi klejnotami.

K r y s n ó ż P a u l a M u a d ' D i b a .

Idaho był wstrząśnięty widokiem tego ostrza. Wpatrywał się weń, jak gdyby obraz powstały w jego oczach mógł odtworzyć pierwotnego posiadacza. Leto podniósł ostrze i trzymał je wysoko, ukazując jego wyszukany kształt i mlecznobiałą opalizację.

- Oto talizman naszych istnień - powiedział Leto. Kobiety milczały z uwagą napiętą do ostatnich granic.

- Nóż Muad'Diba - powiedział Leto. - Ząb Szej-huluda. Czy Szej-hulud przyjdzie ponownie?

Odpowiedzią był stłumiony pomruk, potężniejszy dzięki kontrastowi z uprzednimi okrzykami.

- Tak, Panie.

Idaho wrócił spojrzeniem do uniesionych twarzy Mówiących-do-Ryb.

- Kim jest Szej-hulud? - zapytał Leto.

Znowu ten głęboki pomruk:

- Tobą, Panie.

Idaho na potwierdzenie skinął sam sobie głową. Oto był niezaprzeczalny dowód, że Leto czerpie z niewyobrażalnego źródła potęgi nigdy wcześniej nie ujawnionej i nie uwolnionej w taki sposób. Leto odzywał się, ale to, co mówił, w porównaniu z tym, co było widać i słychać w wielkiej sali, było hałasem bez znaczenia. Jednak słowa Leto powróciły do Idaho tak, jak gdyby czekały do tej chwili, by oblec się w swoje prawdziwe znaczenie. Idaho przypomniał sobie, że zostały wypowiedziane w krypcie, w tym chłodnym, pełnym cieni pomieszczeniu, które Leto uważał za tak przyjemne, a które dla Idaho było odpychające - pełne kurzu zbierającego się przez stulecia i zapachów rozkładu.

“Kształtuję to ludzkie społeczeństwo, nadaję mu postać przez ponad trzy tysiące lat, otwierając drzwi wyprowadzające cały gatunek z niedojrzałości" - powiedział Leto.

“Nic, co powiedziałeś, nie tłumaczy faktu istnienia kobiecej armii" -zaprotestował Idaho.

“Gwałt jest obcy kobietom, Duncanie. Pytasz o zakorzenioną w płci różnicę w zachowaniu? Oto jedna z nich."

“Przestań zmieniać temat!"

“Nie zmieniam go. Gwałt jest zawsze ceną męskich podbojów militarnych. Mężczyźni nie muszą porzucać żadnej ze swych niedojrzałych fantazji, używając przemocy."

Idaho przypomniał sobie palący gniew, jakim napełniła go ta riposta.

“Moje hurysy poskramiają mężczyzn - powiedział Leto. - To udomowienie, coś, co kobiety z konieczności znają od eonów."

Idaho popatrzył bez słowa na okapturzoną twarz Leto.

“Poskramiać - powiedział Leto - to znaczy dopasowywać do jakiegoś uporządkowanego modelu przetrwania. Kobiety nauczyły się tego od mężczyzn; teraz oni uczą się tego od kobiet."

“Ale powiedziałeś, że..."

“Moje hurysy często zrazu uciekają się do gwałtu, by przetworzyć go później w głęboką i wiążącą wzajemną zależność."

“Do diabła, chcesz..."

“Wiążącą, Duncanie! Wiążącą!"

“Nie czuję się związany..."

“Edukacja zajmuje czas. Jesteś dawną normą, według której można ocenić nową."

Słowa Leto momentalnie wypłukały Idaho z wszelkich emocji, poza głębokim poczuciem straty.

“Moje hurysy uczą dojrzewania - powiedział Leto. - Wiedzą, że muszą nadzorować dojrzewanie mężczyzn. Przez to odnajdują swoją własną dojrzałość. W końcu hurysy stają się żonami i matkami i znikają gwałtowne popędy warunkujące dotąd ich niedojrzały system wartości."

"Muszę to zobaczyć, żeby uwierzyć!"

"Zobaczysz w czasie Wielkiego Dzielenia."

Stojąc obok Leto w sali Siajnoku, Idaho przyznał się przed sobą, że widzi coś emanującego niezwykłą siłą, coś, co m o g ł o b y stworzyć ten rodzaj ludzkiego wszechświata, którego szkic nakreślały słowa Leto.

Leto włożył krysnóż z powrotem do kasety, którą następnie umieścił w przegródce w platformie Wozu Królewskiego. Kobiety przyglądały się temu w milczeniu, nawet małe dzieci były spokojne - wszyscy uciszeni przez ogromną siłę, której obecność można było wyczuć w wielkiej hali.

Idaho spojrzał na dzieci, wiedząc z wyjaśnień Leto, że zostaną nagrodzone władzą - czy chłopiec, czy dziewczynka, każde znajdzie jakiś wygodny kącik. Dzieci płci męskiej będą zdominowane przez całe życie przez kobiety, co miało spowodować, (według słów Leto) łatwe przejście od niedojrzałości do wieku prokreacyjnego.

Mówiące-do-Ryb i ich potomstwo żyły życiem opętanym przez pewne podniecenie, niedostępne dla większości innych.

“Co stanie się z dziećmi Irtii?! - zastanawiał się Idaho. - Czy mój poprzednik stał tu i obserwował swą ubraną na biało żonę, biorącą udział w obrzędzie Leto?"

“Co Leto mi w ten sposób oferuje?"

Z taką kobiecą armią pełen ambicji przywódca mógłby dokonać przewrotu w Imperium. Czy rzeczywiście? Nie... Nie, dopóki żyje Leto. Leto powiedział, że kobiety nie są militarnie agresywne “z natury".

“Nie kultywuję w nich tego - powiedział. - Znają cykliczny układ związany ze Świętem Królewskim co dziesięć lat, zmianą Straży, błogosławieństwem dla nowego pokolenia, minutą milczenia dla poległych sióstr i ukochanych, którzy odeszli na zawsze. Siajnok następuje po Siajnoku w przewidywanym układzie. Zmiana staje się sama w sobie niezmiennością."

Idaho uniósł spojrzenie ponad kobiety w bieli i ich dzieci. Spojrzał na tłum milczących twarzy, mówiący mu, że to tylko mała cząstka tej niezwykłej kobiecej siły, która rozpostarła sieć po całym Imperium. Mógł uwierzyć w słowa Leto: “Władza nie słabnie. Staje się z każdym dziesięcioleciem silniejsza."

“W jakim celu?" - zapytywał siebie Idaho.

Spojrzał na Leto, który unosił ręce w geście błogosławieństwa nad salą pełną hurys.

- Przejdziemy się teraz między wami - powiedział Leto.

Kobiety pod sceną. Ścieżka wdzierała się w głąb tłumu jak otwierająca się w ziemi szczelina spowodowana jakimś potwornym kataklizmem.

- Duncan będzie szedł przede mną - powiedział Leto.

Idaho poczuł suchość w gardle. Oparł rękę na krawędzi sceny i zeskoczył na podłogę, wchodząc w s z c z e l i n ę , ponieważ wiedział, że tylko to może zakończyć tę próbę.

Szybkie spojrzenie za siebie ujawniło mu, że Wóz Leto majestatycznie opuszcza się w dół na układach dryfowych.

Idaho odwrócił się i przyspieszył kroku. Kobiety postąpiły krok naprzód, zwężając ścieżkę. Zostało to zrobione w niesamowitej ciszy, z absolutnym skupieniem uwagi - najpierw na Idaho, a potem na tym wielkim cielsku pre-czerwia, sunącym za Duncanem w ixiańskim wozie.

Gdy Idaho dostojnie kroczył naprzód, kobiety ze wszystkich stron wyciągały ręce, by go dotknąć, by dotknąć Leto, czy chociażby Wozu Królewskiego. Idaho wyczuwał w tych dłoniach tłumioną namiętność i wiedział, co stanowi głębię jego własnych odczuć - lęk.

Problem przywództwa jest nieunikniony: kto zagra rolę Boga?

Muad'Dib (z Przekazów Ustnych)

Hwi Noree podążała za młodą przewodniczka, Mówiącą-do-Ryb, w dół po spiralnej rampie prowadzącej w głąb Onn. Wezwanie Pana Leto nadeszło późnym wieczorem trzeciego dnia Święta, w środku zdarzeń będących próbą jej zdolności zachowania równowagi emocjonalnej.

Jej pierwszy pomocnik, Othwi Yake, nie był przystojnym mężczyzną - płowowłose stworzenie z długą, wąską twarzą i oczami, które nigdy nie patrzyły długo na cokolwiek i z u p e ł n i e nigdy nie spojrzały prosto w oczy osobie, do której ich właściciel się zwracał. Yake obdarzył Hwi pojedynczym arkuszem papieru memerazowego, zawierającym to, co określił jako “podsumowanie ostatnich aktów przemocy w Mieście Świątecznym".

Stojąc blisko biurka, przy którym siedziała, wpatrywał się w coś po lewej stronie Hwi, mówiąc: ‚Mówiące-do-Ryb sprawiają Tancerzom Oblicza krwawą łaźnię w całym mieście". Nie wydawał się być tym szczególnie poruszony.

“Dlaczego?" - zapytała z naciskiem.

"Mówi się, że Bene Tleilax dokonali zamachu na życie Boga Imperatora."

Przeniknął ją dreszcz strachu. Odchyliła się w tył i rozejrzała po gabinecie Ambasadora - okrągłym pokoju z pojedynczym półkolistym biurkiem kryjącym pod swoją wypolerowaną powierzchnią panel kontrolny wielu ixiańskich urządzeń. Pokój miał ciemny wystrój, wyglądał elegancko i prestiżowo, a ciemnobrązowa drewniana boazeria na ścianach kryła instrumenty uniemożliwiające szpiegowanie wnętrza. Okien nie było w ogóle.

Starając się nie ujawniać zaniepokojenia, Hwi podniosła wzrok na Yakego.

“Ale Pan Leto jest..."

“Wydaje się, że zamach na jego życie zupełnie się nie powiódł. To jednak może tłumaczyć tę chłostę."

“Zatem sądzisz, że b y ł a taka próba?"

“Tak."

W tym momencie weszła Mówiąca-do-Ryb, nie czekając na zaanonsowanie jej obecności przez zewnętrzne biuro, z wiadomością od Pana Leto. Za nią kroczyła stara Bene Gesserit, która przedstawiła się jako Matka Wielebna Anteac.

Anteac wpatrywała się z uwagą w Yakego, podczas gdy Mówiąca-do-Ryb, młoda kobieta o gładkich, prawie dziecięcych rysach, dostarczyła wiadomość:

“Powiedział, żeby ci przypomnieć: Wróć szybko, kiedy cię wezwę. Wzywa cię teraz."

Gdy Mówiąca-do-Ryb wypełniała swoje zadanie, Yake zaczął stroić miny. Rozglądał się po całym pokoju, jak gdyby szukając czegoś, czego tam nie było. Hwi przystanęła tylko, by narzucić na siebie ciemnobłękitną szatę i poinstruować Yakego, że powinien pozostać w biurze, dopóki ona nie wróci.

W pomarańczowym wieczornym świetle na zewnątrz ambasady Anteac popatrzyła na Mówiącą-do-Ryb i rzekła po prostu “Tak". Zostawiła je następnie i Mówiąca-do-Ryb poprowadziła Hwi pustymi ulicami do wysokiego budynku bez okien, w którego podziemiach znajdowały się prowadzące w dół spiralne schody.

Ciasne skręty stopni przyprawiały Hwi o zawrót głowy. Iskrzące się niewielkie białe kule świętojańskie dryfowały w środkowym szybie, oświetlając purpurowo-zieloną winorośl o ogromnych liściach. Winorośl podtrzymywana była przez lśniące złote druty.

Miękka czarna wykładzina schodów pochłaniała dźwięki ich stóp, co sprawiało, że Hwi była w najwyższym stopniu świadoma słabego szelestu, wywoływanego przez ruchy jej szaty.

- Dokąd mnie zabierasz? - zapytała Hwi.
- Do Pana Leto.
- Wiem, ale gdzie on jest?
- W swojej prywatnej komnacie.
- To strasznie głęboko.
- Tak. Pan często lubi przebywać głęboko.
- Takie chodzenie w kółko przyprawia mnie o zawroty głowy.
- Jeżeli ci to pomoże, nie patrz na winorośl.
- Co to za różnica?
- Ta roślina nazywa się Tunyon i ponoć w ogóle nie ma zapachu.
- Nigdy o niej nie słyszałam. Skąd pochodzi?
- Jeden Pan Leto wie.

Szły dalej w milczeniu. Hwi starała się zrozumieć własne uczucia. Bóg Imperator napełniał ją smutkiem. Wyczuwała w nim człowieka, mężczyznę, którym mógł być. Dlaczego taki człowiek wybrał taka drogę życia? Czy ktokolwiek to wie? Czy Moneo wie?

Może wie Duncan Idaho.

Jej myśli podążyły ku Idaho - niezwykle atrakcyjnemu fizycznie mężczyźnie. Tak zdecydowanemu! Czuła, że ciągnie ją ku niemu. Gdyby tylko Leto miał ciało i wygląd Idaho. Zrozumiała w tej chwili, że nie będzie mogła rozmawiać o przemianie Leto z Idaho. Moneo to jednak co innego. Spojrzała na plecy towarzyszącej jej Mówiącej-do-Ryb.

- Możesz powiedzieć mi coś o Moneu? - zapytała.

Mówiąca-do-Ryb obejrzała się przez ramię, z dziwnym wyrazem w bladoniebieskich oczach - napięciem albo jakąś szczególną obawą.

- Coś nie w porządku? - zapytała Hwi.

Mówiąca-do-Ryb wróciła uwagą do zbiegającej w dół rampy.

- Pan powiedział, że będziesz pytać o Monea - rzekła.
- Zatem powiedz o nim.
- Co tu jest do mówienia? To najbardziej zaufany człowiek Pana.
- Bardziej nawet niż Duncan Idaho?
- Och, tak. Moneo jest Atrydą.
- Moneo przyszedł do mnie wczoraj - rzekła Hwi. - Powiedział, że powinnam dowiedzieć się czegoś o Bogu Imperatorze. Moneo twierdził, że Bóg Imperator jest zdolny do zrobienia w s z y s t k i e g o , w ogóle wszystkiego, jeżeli mniema, że będzie z tego można wyciągnąć jakąś naukę.

- Wielu w to wierzy - odparła Mówiąca-do-Ryb.

- Ty nie?

Hwi zadała to pytanie w chwili, gdy weszły w ostatni skręt schodów, otwierający się w mały przedsionek, który kończył się kilka kroków dalej wejściem ze sklepionym nad nim łukiem.

- Pan Leto przyjmie cię natychmiast - powiedziała Mówiącą-do-Ryb. Odwróciła się następnie, nie wypowiadając się na temat swej wiary.

Hwi przeszła przez łuk i znalazła się w pomieszczeniu o niskim suficie. Było ono o wiele mniejsze niż sala audiencyjna. Suche powietrze kłuło w płuca. Bladożółte światło pochodziło z ukrytych w górnych rogach lamp. Kobieta pozwoliła oczom przystosować się do stłumionego oświetlenia i zobaczyła dywany i ułożone w stertę miękkie poduszki. Przyłożyła dłoń do ust, gdy nagle kopiec poruszył się. Uświadomiła sobie, że jest to Pan Leto na swoim Wozie, stojącym w cieniu. Od razu domyśliła się, dlaczego ta sala ma taki wygląd. Sprawia, że dla ludzkich gości Bóg Imperator zdaje się mniej imponujący, mniej przytłaczający. Jednak nic nie można zrobić z długością i nieuniknioną masą ciała, poza schowaniem jej w cieniu i kierowaniem większości światła na twarz i ręce.

- Wejdź i usiądź - powiedział Leto. Wyrzekł to cichym głosem, zachęcającym do rozmowy.

Hwi podeszła do czerwonej poduszki leżącej zaledwie kilka metrów przed twarzą Leto i usiadła.

Leto obserwował jej ruchy z wyraźną przyjemnością. Dziewczyna miała na sobie szatę barwy ciemnego złota, a jej włosy zaplecione były w warkocze, które sprawiały, że twarz wydawała się świeża i niewinna.

- Wysłałam twoją wiadomość dla Ixian - powiedziała. - I przekazałam im, że pragniesz się dowiedzieć, ile mam lat.

- Może odpowiedzą - odrzekł Leto. - A ich odpowiedź może być nawet prawdziwa.

- Chciałabym wiedzieć, kiedy się urodziłam, ze wszystkimi okolicznościami - powiedziała - ale nie wiem, dlaczego ciebie to ciekawi.

- Interesuje mnie wszystko, co ciebie dotyczy.

- Nie spodobało się im, że uczyniłeś mnie stałym Ambasadorem.

- Twoi mistrzowie stanowią dziwną mieszaninę wierności obyczajom i ślamazarności - powiedział. - Niechętnie znoszę głupców.

- Myślisz, że jestem głupia, Panie?

- Malky nie był głupi, również ty nie jesteś, moja droga.

- Od lat nie miałam wiadomości od mojego wuja. Czasami zastanawiam się, czy jeszcze żyje.

- Może tego również się dowiemy. Czy Malky rozmawiał kiedyś z tobą o mojej praktyce zwanej Taquijja?

Pomyślała nad tym przez chwilę i odparła:

- Wśród dawnych Fremenów nazywało się to Ketman?

- Tak. To sztuka ukrywania tożsamości, kiedy jej ujawnienie może być szkodliwe.

- Teraz sobie przypominam. Mówił mi, że pisałeś historie pod pseudonimami i że niektóre z nich są dość sławne.

- To właśnie przy tej okazji rozmawialiśmy o Taquijji.

- Dlaczego o tym mówisz, Panie?

- Żeby uniknąć innych tematów. Czy wiesz, że pisałem książki Noaha Arkwrighta?

Nie zdołała stłumić uśmiechu.

- To zabawne, Panie. Musiałam czytać o jego ż y c i u .

- Tę relację także ja napisałem. O wydarcie ze mnie których sekretów poproszono cię?

Nawet nie mrugnęła na te strategiczną zmianę tematu.

- Są ciekawi wewnętrznych mechanizmów działania religii Pana Leto.

- Wciąż?

- Chcą wiedzieć, w jaki sposób przejąłeś władzę religijną od Bene Gesserit.

- Bez wątpienia chcą na własną rękę powtórzyć ten wyczyn?

- Jestem pewna, że to mają na myśli, Panie.

- Hwi, jesteś niefortunną przedstawicielką dla Ixian.

- Służę tobie, Panie.

- Nie ciekawi cię nic prywatnie?

- Obawiam się, że moja ciekawość mogłaby wprawić cię w zakłopotanie - powiedziała.

Popatrzył na nią przez chwilę i odparł:

- Rozumiem. Tak, masz rację. Na razie powinniśmy unikać bardziej intymnych rozmów. Chciałabyś, abym opowiedział ci o zakonie żeńskim?

- Tak, to byłoby wspaniale. Wiesz, że spotkałam dziś jedną z Bene Gesserit z ich delegacji?

- Pewnie to była Anteac.

- Uważam, że jest przerażająca - rzekła.

- Nie masz się czego bać ze strony Anteac. Poszła do ambasady na moje polecenie. Wiesz o tym, że mieliście paru Tancerzy Oblicza?

Hwi wciągnęła gwałtownie powietrze, potem zatrzymała oddech, podczas gdy uczucie chłodu wypełniało jej pierś.

- Othwi Yake? - zapytała.

- Podejrzewałaś?

- Po prostu nie lubię go i powiedziano mi, że... - Wzruszyła ramionami i po chwili dodała, gdy uświadomiła sobie znaczenie usłyszanej informacji: - Co się z nim stało?

- Z prawdziwym? Nie żyje. To zwykła praktyka Tancerzy Oblicza w takich okolicznościach. Moje Mówiące-do-Ryb otrzymały wyraźny rozkaz, by nie zostawić ani jednego żywego Tancerza Oblicza w waszej ambasadzie.

Hwi nie odpowiedziała, ale łzy pociekły po jej policzkach. “To wyjaśnia puste ulice, enigmatyczne »tak« Anteac. To wyjaśnia wiele spraw" - pomyślała.

- Dostarczę ci do pomocy kilka Mówiących-do-Ryb, dopóki nie sprowadzisz sobie innych współpracowników - powiedział Leto. - Będą cię dobrze strzegły.

Hwi otarła łzy z twarzy. Inkwizytorzy Ix zareagują gniewem zwróconym przeciw Tleilaxanom. Czy Ix uwierzy w jej relację? Wszyscy w ambasadzie zastąpieni przez Tancerzy Oblicza! Trudno było w to uwierzyć.

- Wszyscy? - zapytała.

- Tancerze Oblicza nie mieli żadnego powodu, by pozostawić przy życiu kogokolwiek z twojego personelu. Ty byłabyś następna.

Zadrżała.

- Zwlekali - mówił - bo wiedzieli, że musieliby skopiować cię z idealną precyzją, aby oszukać moje zmysły. Nie są pewni moich zdolności.

- Zatem Anteac...

- Zakon i mnie łączy zdolność rozpoznawania Tancerzy Oblicza. A Anteac... No cóż, jest bardzo dobra w tym, co robi.

- Nikt nie ufa Tleilaxanom - powiedziała. - Dlaczego ich nie zlikwidowano już dawno temu?

- Specjaliści mają swe ograniczenia, ale są również potrzebni. Zaskakujesz mnie, Hwi. Nie spodziewałem się, że możesz być tak krwiożercza.

- Tleilaxanie... Oni są zbyt okrutni jak na ludzi. To nie są ludzie!

- Zapewniam cię, że istoty ludzkie potrafią być okrutne. Ja sam byłem taki przy różnych okazjach.

- Wiem, Panie.

- Gdy mnie sprowokowano - dodał. - Ale jedynymi ludźmi, których wyeliminowanie rozważałem, są Bene Gesserit.

Wstrząs był zbyt wielki, by mogła odpowiedzieć.

- Są bliskie tego, od czego powinny być jeszcze bardzo daleko - powiedział.

Odzyskała zdolność mowy:

- Ale Przekazy Ustne twierdzą, że...

- Religia Matek Wielebnych, tak. Kiedyś projektowały określone religie dla określonych społeczeństw. Nazywały to i n ż y n i e r i ą . Jak ci się to podoba?

- To brzmi niezgrabnie.

- W istocie. Skutki były katastrofalne. Nawet po wielkich wysiłkach ekumenizmu w całym Imperium istnieli niezliczeni bogowie, pomniejsze bóstwa i potencjalni prorocy.

- Ty, Panie, zmieniłeś to.

- Co nieco. Ale bogowie mają twardy żywot, Hwi. Mój monoteizm panuje, ale pierwotny panteizm pozostał; zszedł do podziemia w różnych przebraniach.

- Panie, wyczuwam w twoich słowach... wyczuwam... - Potrząsnęła głową.

- Że kalkuluję równie chłodno jak zakon żeński? Skinęła głową.

- To Fremeni uczynili boga z mojego ojca, wielkiego Muad'Diba, chociaż on sam nie dbał nawet o to, żeby zostać nazywanym wielkim.

- Ale czy Fremeni...

- Czy mieli rację? Moja najdroższa Hwi, byli czuli na punkcie władzy, żądni zachować swoje dziedzictwo.

- Uważam, że to niepokojące, Panie.

- Widzę. Nie podoba ci się idea, że stanie się bogiem może być tak proste, iż każdy może to zrobić.

- To brzmi zbyt łatwo, Panie. - Jej głos miał ostrożny, badawczy ton.

- Zapewniam cię, że k a ż d y może n i e uczynić tego.

- Ale sugerujesz, że odziedziczyłeś swą boskość po...

- Nigdy nie podsuwaj tej myśli Mówiącym-do-Ryb - powiedział. - Na herezję reagują przemocą.

Spróbowała przełknąć, ale zaschło jej w gardle.

- Powiedziałem to tylko po to, by cię ochronić - rzekł.

- Dziękuję ci, Panie - odparła słabym głosem.

- Moja boskość zaczęła się wtedy, kiedy powiedziałem moim Fremenom, że nie mogę dłużej oddawać plemionom wody zmarłych. Słyszałaś o tej wodzie?

- Za czasów Diuny to była woda odzyskiwana z ciał umarłych - odrzekła.

- Aha, uważnie czytałaś Noaha Arkwrighta. Zdobyła się na słaby uśmiech.

- Powiedziałem Fremenom, że woda będzie poświęcana najwyższemu bóstwu, które pozostanie bez nazwy. Dzięki mojej wielkoduszności Fremenom wciąż wolno było sprawować kontrolę nad tą wodą.

- Musiała być bardzo cenna w tamtych czasach.

- Bardzo! A ja, jako przedstawiciel najwyższego bóstwa, miałem nad nią luźną kontrolę przez prawie trzysta lat.

Przygryzła górną wargę.

- Wciąż brzmi to wyrachowanie? - zapytał.

Skinęła głową.

- Bo tak było. Kiedy przyszedł czas poświęcić wodę mojej siostry, dokonałem cudu. Z urny Gnani przemówiły głosy wszystkich Atrydów. W ten sposób Fremeni odkryli, że to ja jestem ich Najwyższym Bóstwem.

Hwi przemówiła z lękiem, głosem pełnym zamyślenia i niepewności:

- Panie, chcesz mi powiedzieć, że nie jesteś naprawdę bogiem?

- Mówię ci, że nie bawię się ze śmiercią w chowanego.

Patrzyła na niego przez kilka minut, zanim odpowiedziała w sposób, który upewnił go, że zrozumiała, co właściwie znaczą te słowa Leto wiedział, że jej oddanie dla niego stało się jeszcze większe.

- Twoja śmierć będzie różna od innych śmierci - powiedziała.

- Droga Hwi... - zamruczał.

- Zastanawiam się, czy nie obawiasz się sądu prawdziwego Najwyższego Bóstwa - powiedziała.

- Osądzasz mnie, Hwi?

- Nie, ale boję się o ciebie, Panie.

- Pomyśl o cenie, jaką płacę - odparł. - Wszystko, co powstanie ze mnie, będzie nosić w sobie zamkniętą cząstkę mej świadomości, zagubioną i bezradną.

Położyła obie dłonie na ustach i wpatrywała się w niego.

- To jest okropność, z którą nie potrafił zmierzyć się mój ojciec i której starał się zapobiec: nieskończone podziały, kolejne podziały ślepej tożsamości.

Opuściła dłonie i szepnęła:

- Będziesz świadomy?

- W pewien sposób... Ale będę niemy. Mała perła świadomości znajdzie się w każdym czerwiu i piaskopływaku - obdarzona wiedzą, a mimo to niezdolna poruszyć ani jednej komórki, świadoma w nieskończonym śnie.

Zadrżała.

Leto patrzył na nią, jak próbuje pojąć taki sposób istnienia. Czy mogła sobie wyobrazić ostateczny z g i e ł k , kiedy podzielone okruchy jego tożsamości będą próbowały uchwycić słabnącą kontrolę nad ixiańskim urządzeniem spisującym jego dziennik? Czy mogła wczuć się w rozdzierającą ciszę, która nastąpi po tym strasznym podziale?

- Panie, gdybym ujawniła tę wiedzę, użyto by jej przeciw tobie.

- A ujawnisz?

- Oczywiście, że nie!- Potrząsnęła powoli głową. Dlaczego zaakceptował tę potworną przemianę? Czy nie było przed tym ucieczki?

- Maszyna, która zapisuje twe myśli - powiedziała po chwili - czy nie można by jej przestroić na...

- Na milion mnie? Na miliard? Więcej? Moja droga Hwi, żadna z tych myślących pereł nie będzie naprawdę mną.

W jej oczach pojawiły się łzy. Mrugnęła i zaczerpnęła głęboki oddech. Leto rozpoznał w tym szkolenie Bene Gesserit, które widoczne było również w sposobie, w jaki Hwi przyjęła powrót spokoju.

- Panie, przyprawiasz mnie o straszliwy lęk.

- Nie pojmujesz też, dlaczego to zrobiłem?

- Czy to możliwe, żebym zrozumiała?

- Och, tak. Wielu może to pojąć. To, co ludzie robią z ową wiedzą, to już inna sprawa.

- Nauczysz mnie, co mam robić?

- Wiesz już. Przyjęła to w milczeniu.

- To ma coś wspólnego z twoją religią. Czuję to - rzekła po chwili.

Leto uśmiechnął się.

- Mogę wybaczyć twoim ixiańskim mistrzom prawie wszystko w podzięce za ten cenny dar, jakim jesteś. Proś, a będzie ci dane.

Nachyliła się ku niemu, przesuwając się na poduszce.

- Powiedz mi o wewnętrznych mechanizmach twej religii.

- Już wkrótce dowiesz się o mnie wszystkiego, Hwi. Obiecuję ci to. Pamiętaj tylko, że kult słońca wśród naszych przodków nie był od tego odległy.

- Kult... słońca? - Odchyliła się w tył.

- Tego słońca, które kontroluje wszelki ruch, ale którego nie można dotknąć - tego słońca, które jest śmiercią.

- Twoją śmiercią?

- Każda religia krąży jak planeta wokół słońca, z którego czerpie dla siebie energię i od którego zależy jej egzystencja.

- Co widzisz w t w o i m słońcu, Panie? - Jej głos był ledwie głośniejszy od szeptu.

- Wszechświat o wielu oknach, przez które mogę wyglądać. Widzę wszystko, cokolwiek widać z takiego okna.

- Przyszłość?

- Wszechświat jest bezczasowy jak jego źródła i w ten sposób zawiera wszystkie czasy i wszystkie przyszłości.

- Zatem to prawda - powiedziała. - Widzisz, czemu to... - wskazała na jego długie żebrowane ciało - ...zapobiega.

- Czy nie uważasz, że to może być na jakiś skromny sposób święte? - zapytał.

Mogła jedynie skinąć głową.

- Ostrzegam cię - powiedział - że gdybyś chciała dzielić ze mną to wszystko, byłby to straszny ciężar.

- Ale czy ulżyłoby to tobie. Panie?

- Nie ulżyłoby, ale łatwiej byłoby mi to zaakceptować.

- Zatem chcę z tobą to dzielić. Powiedz mi, Panie.

- Jeszcze nie teraz, Hwi. Musisz być jeszcze cierpliwa. Przełknęła rozczarowanie, wzdychając ciężko.

- To tylko dlatego, że mój Duncan Idaho staje się niecierpliwy - powiedział Leto. - Muszę się nim zająć.

Obejrzała się za siebie, ale mała sala nadal była pusta.

- Chcesz, żebym cię teraz zostawiła?

- Chciałbym, żebyś mnie nigdy nie opuszczała.

Wpatrzyła się w niego, zdziwiona żarliwością, z jaką Leto wypowiedział swoją deklarację. Dostrzegła wyraz żalu i bezsilności, malujący się na jego twarzy.

- Panie, dlaczego właśnie mnie mówisz o swych tajemnicach?

- Bo chciałbym prosić cię, żebyś została oblubienicą Boga.

Jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

- Nie odpowiadaj - rzekł.

Ledwie poruszając głową, przesunęła spojrzeniem po pogrążonym w cieniu całym jego ciele.

- Nie próbuj odnaleźć tych części mego ciała, które już nie istnieją - powiedział. - Niektóre formy fizycznej intymności nie są już dla mnie możliwe.

Wróciła spojrzeniem do jego okapturzonej twarzy, zauważając różową skórę policzków, normalne, ludzkie rysy.

- Jeżeli chciałabyś mieć dzieci - rzekł - prosiłbym jedynie, byś pozwoliła mi wybrać ojca. Ale jeszcze cię o nic nie prosiłem.

- Panie, nie wiem, co... - Jej głos był bardzo cichy.

- Wkrótce powrócę do Twierdzy - powiedział. - Przyjdziesz tam do mnie i porozmawiamy. Powiem ci wtedy o tym, czemu zapobiegam.

- Jestem przerażona, Panie. Bardziej przerażona niż kiedykolwiek wyobrażałam sobie, że mogę być.

- Nie bój się mnie. Nie mogę być inny, tylko łagodny wobec mojej łagodnej Hwi. Co do innych niebezpieczeństw, Mówiące-do-Ryb osłonią cię własnymi ciałami. Nie dopuszczę do tego, by spotkała cię krzywda.

Hwi podniosła się, cała drżąca. Leto widział, jak głęboko poruszyły ją jego słowa i jaki sprawiły ból. Oczy Hwi błyszczały od łez. Zacisnęła silnie dłonie, by powstrzymać ich drżenie. Wiedział, że z własnej woli przybędzie do niego do Twierdzy. Bez względu na to, o co by poprosił, jej odpowiedź będzie odpowiedzią Mówiących-do-Ryb:

Tak, Panie.

Leto uświadomił sobie w tej chwili, że gdyby tylko mogła zamienić się z nim miejscem, przejąć jego brzemię, poświęciłaby się. Fakt, że nie może tego zrobić, powiększa jej ból. Była intelektem opartym o głęboką wrażliwość, bez śladu hedonistycznej słabości Malky'ego. Była przerażająca w swej doskonałości. Wszystko w niej utwierdzało go w przekonaniu, że jest d o k ł a d n i e tego rodzaju kobietą, której - gdyby dorósł normalnie do wieku męskiego - pragnąłby (Nie! Pożądałby!) jako swojej towarzyszki.

A Ixianie o tym wiedzieli.

- Zostaw mnie teraz - wyszeptał.

Jestem dla mojego ludu zarówno ojcem, jak i matką. Poznałem ekstazę narodzin i ekstazę śmierci i znam wzory, których musicie się nauczyć. Czyż nie błąkałem się - z trucizną drążącą mój organizm - przez wszechświat pełen kształtów? Tak! Widziałem wasze sylwetki w świetle. Ten wszechświat, o którym mówicie, ze widzicie go i czujecie, ten wszechświat jest moim snem. Moje siły skupiają się na nim i oto jestem w każdym z królestw i jestem każdym z nich. Tak oto narodziliście się.

"Wykradzione dzienniki"

- Mówiące-do-Ryb powiedziały mi, że udałeś się do Twierdzy natychmiast po rytuale Siajnoku - rzekł Leto.

Popatrzył oskarżycielsko na Idaho, stojącego blisko miejsca, w którym zaledwie godzinę wcześniej siedziała Hwi. Tak niewielki odstęp czasu - a mimo to Leto odczuwał pustkę stuleci.

- Potrzebowałem czasu, żeby pomyśleć - odparł Idaho. Skierował wzrok na pogrążone w cieniu zagłębienie, gdzie spoczywał Wóz Leto.

- I porozmawiać z Sioną?

- Tak. - Idaho spojrzał prosto w twarz Leto.

- Ale pytałeś o Monea - rzekł Leto.

- Czy one donoszą o każdym moim ruchu? - zapytał z naciskiem Idaho.

- Nie o każdym.

- Czasami ludzie potrzebują samotności.

- Oczywiście, ale nie wiń Mówiących-do-Ryb, że się o ciebie troszczą.

- Siona mówi, że ma zostać poddana jakiejś próbie!

- To dlatego pytałeś o Monea?

- Co to za próba?

- Moneo wie. Przypuszczam, że to dlatego chciałeś się z nim widzieć.

- Ty nic nie przypuszczasz. Ty wiesz.

- Siajnok bardzo cię zdenerwował, Duncanie. Przepraszam.

- Masz w ogóle pojęcie, jak to jest być mną... tutaj?

- Los gholi nie jest lekki - powiedział Leto. - Niektórym jest ciężej żyć niż innym.

- Nie potrzebuję żadnej filozofii dla szczeniaków!

- Czego chcesz, Duncanie?

- Chcę wiedzieć kilka rzeczy.

- Takich jak?

- Nie rozumiem żadnej z osób, które są dookoła ciebie. Nie zdradzając żadnego zaskoczenia, Moneo mówi mi, że Siona uczestniczy w buncie przeciw tobie. Jego własna córka!

- W swoim czasie Moneo również był buntownikiem.

- Wiesz, co mam na myśli. Jego też poddałeś próbie?

- Tak.

- Ze mną również to uczynisz?

- Właśnie to robię.

Idaho popatrzył na niego i rzekł:

- Nie pojmuję twoich rządów, twojego Imperium, niczego. Im więcej się dowiaduję, tym bardziej uświadamiam sobie, że nie wiem, co się tutaj dzieje.

- Jakie to szczęście, że odkryłeś drogę do mądrości - powiedział Leto.

- Co? - Rozniecony gniew Idaho sprawił, że zabrzmiało to jak okrzyk wojenny, wypełniający małą salę pogłosem.

Leto uśmiechnął się.

- Duncanie, czyż ci nie powiedziałem, że kiedy myślisz, że coś wiesz, to jest to najdoskonalsza obrona przeciw dowiedzeniu się tego?

- Więc powiedz mi, co się tu dzieje.

- Mój przyjaciel Duncan Idaho nabiera nowego zwyczaju. Uczy się spoglądać poza to, co wydaje mu się, że wie.

- Dobrze, dobrze. - Idaho powoli kiwał głową w rytm słów. - Zatem, co stało za udzielonym mi pozwoleniem wzięcia udziału w tym całym Siajnoku?

- Chęć przywiązania Mówiących-do-Ryb do ich Dowódcy Straży.

- A ja muszę je hamować! Eskorta, która zabrała mnie do Twierdzy, chciała koniecznie zatrzymać mnie na orgię. A te, które wzięły mnie tu z powrotem, kiedy ty...

- Wiedzą, jaką przyjemnością jest dla mnie widok dzieci Duncana Idaho.

- Do diabła z tobą! Nie jestem twoim ogierem!

- Nie ma potrzeby, byś krzyczał, Duncanie.

Idaho kilkakrotnie wciągnął głęboko powietrze i po chwili powiedział:

- Kiedy mówię im "nie", najpierw zachowują się tak, jakbym je skrzywdził, a później traktują mnie jak jakiegoś przeklętego... - potrząsnął głową - ...przeklętego świętego lub coś w tym rodzaju.

- Czy nie są ci posłuszne?

- Niczego nie kwestionują... dopóki to nie jest sprzeczne z twoimi rozkazami. Nie chciałem tu wracać.

- A mimo to sprowadziły cię.

- Wiesz aż za dobrze, że nie sprzeciwiłyby się tobie.

- Cieszę się, że tu jesteś, Duncanie.

- Och, widzę to!

- Mówiące-do-Ryb wiedzą, jak bardzo jesteś wyjątkowy, jak cię lubię, jak wiele ci jestem winien. Jeżeli chodzi o ciebie i mnie, to nigdy nie pojawia się kwestia posłuszeństwa czy nieposłuszeństwa.

- Więc czego?

- Lojalności.

Leto zamyślił się.

- Czułeś siłę Siajnoku?

- Oddawanie czci bożkom.

- Zatem dlaczego cię to zaniepokoiło?

- Twoje Mówiące-do-Ryb to nie armia, to siła policyjna.

- Na moje imię, zapewniam cię, że tak nie jest. Policje są w sposób nieunikniony skorumpowane.

- Kupiłeś mnie władzą - rzucił oskarżycielsko Idaho.

- To próba, Duncanie.

- Nie ufasz mi?

- Bezwarunkowo ufam twojej wierności Atrydom.

- Dlaczego więc mówisz o korupcji i próbie?

- To ty oskarżyłeś mnie o utrzymywanie policji. Policje zawsze dbają, aby przestępcom się wiodło. Trzeba zupełnie tępego policjanta, żeby przegapił fakt, iż stanowisko we władzach to najkorzystniejsza pozycja dla przestępcy.

Idaho zwilżył językiem usta i wpatrzył się w Leto z wyraźnym zaskoczeniem.

- Ale szkolenie moralne... to znaczy prawne... więzienia...

- Jakiemu dobru służą przepisy i więzienia, gdy złamanie prawa nie jest grzechem?

Idaho lekko przekrzywił głowę w prawo.

- Chcesz mi powiedzieć, że twoja przeklęta religia jest...

- Kara za grzechy może pozornie nie wyglądać na karę.

Idaho wskazał kciukiem na świat za drzwiami.

- Całe to gadanie o karze śmierci... ta chłosta i...

- Staram się obywać bez zbędnych praw i więzień tam, gdzie tylko jest to możliwe.

- Musisz mieć jakieś w i ę z i e n i a !

- Naprawdę? Więzienia są potrzebne tylko po to, by dostarczyć złudzenia, że sądy i policja działają skutecznie. To swego rodzaju ubezpieczenie socjalne.

Idaho odwrócił się bokiem do Leto i wymierzył wskazujący palec ku drzwiom, przez które wszedł do małej sali.

- Masz całe planety, które nie są niczym innym jak więzieniami.

- Myślę, że o wszystkim mógłbyś myśleć jak o więzieniu, gdyby ci tak nakazywały twoje złudzenia.

- Złudzenia! - Ręka Idaho opadła bezwładnie i ghola stał oniemiały.

- Tak. Mówisz o więzieniach, policji i systemach prawnych, o doskonałych złudzeniach, za którymi może działać doskonale prosperująca struktura władzy, bardzo pilnie bacząca, by sama była ponad prawem.

- A ty myślisz, że z przestępcami można sobie poradzić przez...

- Nie z przestępcami, Duncanie. Z grzesznikami.

- Więc myślisz, że twoja religia może...

- Zauważyłeś, jakie są w niej grzechy główne?

- Jakie?

- Próba skorumpowania kogoś, kto sprawuje władzę w moim imieniu i korupcja dokonywana przez niego.

- Jaka korupcja?

- W zasadzie chodzi o niedopełnienie obowiązku oddania czci Bogu Leto.

- Tobie?

- Mnie.

- Ale powiedziałeś na samym początku, że...

- Myślisz, że nie wierzę w swoją boskość? Bądź ostrożny, Duncanie.

Głos Idaho był pełen zduszonego gniewu:

- Powiedziałeś, że jednym z moich zadań jest pomóc ci zachować twoją tajemnicę, że ty...

- Nie poznałeś jej.

- Że jesteś tyranem? To nie...

- Bogowie mają więcej władzy niż tyrani, Duncanie.

- Nie podoba mi się to, co słyszę.

- Czy kiedykolwiek jakiś Atryda prosił cię, abyś polubił swoją robotę?

- Każesz mi dowodzić twoimi Mówiącymi-do-Ryb, które są sędzią, ławą przysięgłych, katem i... - Idaho urwał.

- I czym?

Idaho nie odpowiedział.

Leto spojrzał poprzez dzielący ich chłodny dystans, przestrzeń tak małą, a tak wielką. "To jak złapanie ryby na wędkę - pomyślał. - Trzeba domyślać się każdego punktu zwrotnego w tej potyczce." Problem z Idaho był taki, że chwytanie go w sieć zawsze przyspieszało koniec. Tym razem następowało to szczególnie szybko. Leto poczuł ogarniający go smutek.

- Nie będę cię czcił - rzekł Idaho.

- Mówiące-do-Ryb wiedzą, że masz szczególną dyspensę - powiedział Leto.

- Jak Moneo i Siona?

- Zupełnie inną.

- Zatem buntownicy to osobna sprawa.

Leto uśmiechnął się.

- Każdy z moich zaufanych urzędników był w swoim czasie buntownikiem.

- Nie byłem żad...

- Byłeś cudownym buntownikiem! Pomagałeś Atrydom wyrwać Imperium panującemu monarsze.

Spojrzenie Idaho stało się nieostre, gdy ghola zatopił się we wspomnieniach.

- Rzeczywiście. - Potrząsnął gwałtownie głową, jak gdyby strząsając coś z włosów. - I popatrz, coś zrobił z tym Imperium!

- Nadałem mu formę. Formę nad formami.

- To ty tak twierdzisz.

- Informacja jest na stałe zawarta w formie, Duncanie. Można użyć jednej, by znaleźć klucz do innej. Niestałe formy najtrudniej jest rozpoznać i zrozumieć.

- Coraz więcej fałszywych bożków.

- Już raz popełniłeś ten błąd.

- Dlaczego pozwoliłeś Tleilaxanom przywracać mnie wciąż do życia? Jednego gholę po drugim? Gdzie w tym wszystkim dostrzegasz jakąś formę?

- Ze względu na zdolności, których masz pod dostatkiem. Pozwolę to powiedzieć mojemu ojcu.

Usta Idaho ściągnęły się w wąską linię. Leto przemówił głosem Muad'Diba i nawet okapturzona twarz nabrała rysów ojca Boga Imperatora:

- Byłeś moim najwierniejszym przyjacielem, Duncanie, lepszym nawet niż Gurney Halleck. Ale ja jestem już przeszłością.

Idaho przełknął ciężko.

- To wszystko, na co cię stać?

- Jestem rysą w szlifie Atrydów?

- Masz cholerną rację!

Leto przybrał z powrotem swój zwykły ton:

- A jednak wciąż jestem Atrydą.

- Naprawdę?

- Kim innym mogę być?

- Chciałbym wiedzieć!

- Myślisz, że zabawiam się słowami i głosami?

- A co, na siedem kręgów piekielnych, robisz innego?

- Zachowuję życie, przygotowując jednocześnie scenę dla następnego cyklu.

- Zachowujesz je, zabijając?

- Śmierć często bywa konieczna do życia.

- To nie w stylu Atrydów!

- Ależ tak. Często docenialiśmy wartość śmierci. Ixianie jednak nigdy jej nie dostrzegli.

- Co Ixianie mają wspólnego z...

- Wszystko. Oni byliby zdolni zrobić maszynę, aby zakamuflować inne machinacje.

- To dlatego Ambasadorka Ix była tutaj? - domyślił się Duncan.

- Widziałeś Hwi Noree - stwierdził Leto.

Idaho wskazał za siebie.

- Wychodziła, kiedy tu przybyłem.

- Rozmawiałeś z nią?

- Zapytałem, co tu robi. Powiedziała, że podejmuje decyzję, po czyjej stanąć stronie.

Leto nie mógł powstrzymać parsknięcia śmiechem.

- Och, niech mnie! - rzekł. - Jest dobra. Zdradziła ci swój wybór?

- Powiedziała, że służy teraz Bogu Imperatorowi. Oczywiście jej nie uwierzyłem

- A powinieneś.

- Dlaczego?

- Aaach, tak! Zapomniałem, że kiedyś nie dowierzałeś nawet mojej babce, lady Jessice.

- Miałem ku temu powody!

- Nie dowierzasz również Sionie?

- Przestaję dowierzać komukolwiek.

- A mówisz, że nie znasz swej wartości dla mnie - powiedział oskarżycielsko Leto.

- Co z Sioną? - zapytał z naciskiem Idaho. - Mówi, że chcesz od nas... To znaczy, do diabła...

- Jeżeli chodzi o Sionę, to raz na zawsze musisz uwierzyć w jej twórcze zdolności. Potrafi uczynić coś nowego i pięknego. Zawsze się ufa takim zdolnościom.

- Nawet machinacjom Ixian?

- To nie jest twórcze. To, co twórcze, zawsze poznaje się po tym, że objawia się otwarcie. Skrytość zdradza istnienie zupełnie innych sił.

- Więc nie wierzysz Hwi Noree, ale...

- U f a m jej i to dokładnie z tych powodów, które ci podałem.

Idaho nachmurzył się, następnie jednak odprężył i westchnął.

- Lepiej, jeśli będę podtrzymywał znajomość z nią. Jeżeli ona to ktoś, komu ty...

- Nie! Trzymaj się z daleka od Hwi Noree. Mam specjalne plany co do jej osoby.

Sprecyzowałem własne wewnętrzne doświadczenia miasta i zbadałem je z bliska. Idea miasta fascynuje mnie. Utworzenie biologicznej wspólnoty bez funkcjonalnej, uporządkowanej społeczności prowadzi do zniszczenia. Całe planety stawały się odosobnionymi społecznościami biologicznymi, bez wzajemnie powiązanych ze sobą struktur socjalnych, co zawsze prowadziło do ruiny. W warunkach nadmiernego zatłoczenia staje się to w sposób dramatyczny pouczające. Getto niesie ze sobą śmierć. Fizyczne napięcia spowodowane zatłoczeniem stwarzają ciśnienie, które w końcu powoduje wybuch. Miasto to próba okiełznania tych sił. Społeczne układy, dzięki którym miasta dokonują tej próby, są godne zbadania. Pamiętajcie, ze w tworzeniu każdego społecznego porządku kryje się nieco złej woli. To walka o istnienie sztucznego bytu. U jej podstaw kryją się despotyzm i niewolnictwo. Dochodzi do wielu krzywd i stąd wynika potrzeba prawa. Prawo rozwija własną strukturę władzy, tworząc nowe rany i nowe niesprawiedliwości. Urazy tego rodzaju można uzdrowić przez współpracę, nie konfrontację. Wezwanie do współpracy identyfikuje uzdrowiciela.

"Wykradzione dzienniki"

Moneo wkroczył do małej sali Leto wyraźnie podekscytowany. Właściwie wolał to miejsce spotkania, bo Wóz Boga Imperatora znajdował się tu w zagłębieniu, z którego śmiercionośny atak czerwia byłby znacznie utrudniony, a poza tym Leto pozwalał swojemu majordomowi zjechać tu ixiańskim metrem-windą, by Moneo nie musiał schodzić po nie kończących się schodach. Moneo czuł jednak, że wieści, które przyniósł ten ranek, gwarantują przebudzenie Czerwia, Który Jest Bogiem.

Jak mu je przedstawić?

Świt był przeszłością zaledwie od godziny, świt czwartego dnia Święta, który to fakt Moneo witał ze spokojem tylko dlatego, że zbliżało go to do końca potwornej harówki.

Leto drgnął, gdy Moneo wszedł do sali. Oświetlenie włączyło się na jego sygnał, skupiając się tylko na twarzy Boga Imperatora.

- Dzień dobry, Moneo - rzekł. - Moja straż powiedziała mi, że nalegałeś na natychmiastowe spotkanie. Dlaczego?

Moneo wiedział z doświadczenia, że niebezpieczeństwo kryło się w pokusie zdradzenia zbyt wiele w zbyt krótkim czasie.

- Spędziłem trochę czasu z Matką Wielebną Anteac - powiedział. - Chociaż dobrze to ukrywa, jestem pewien, że jest mentatem.

- Tak. Bene Gesserit są niekiedy zmuszone okazywać mi nieposłuszeństwo. Bawi mnie jego forma.

- Zatem ich nie ukarzesz?

- Moneo, jestem ostatecznie jedynym rodzicem, jakiego ma mój lud. Rodzic musi być równie łaskawy jak surowy.

"Jest w dobrym humorze" - pomyślał Moneo. Wymknęło mu się ciche westchnienie, na co przez usta Leto przemknął cień uśmiechu.

- Anteac sprzeciwiała się, kiedy powiedziałem jej, że zarządziłeś amnestię dla niektórych Tancerzy Oblicza spośród naszych jeńców.

- Wykorzystam ich podczas Święta - odparł Leto.

- Panie?

- Powiem ci o tym później. Przejdźmy do wieści, które spowodowały, że wpadłeś do mnie o tej godzinie.

- Ja... Hmm... - Moneo przygryzł górną wargę. - Tleilaxanie byli bardzo wymowni w pragnieniu, by mnie zjednać.

- Oczywiście. I z czym się zdradzili?

- Oni... Hmm... Dostarczyli ixianom dostatecznej wiedzy i sprzętu, by ci mogli stworzyć... eee, nie dokładnie gholę, nawet nie klon. Być może winniśmy użyć terminu Tleilaxan: "restrukturalizacja komórkowa". Ten... Hmm... eksperyment został przeprowadzony wewnątrz jakiegoś rodzaju urządzenia osłaniającego, co do którego ludzie Gildii zapewniali ich, że twoje siły go nie przenikną.

- A rezultat? - Leto czuł, że zadaje pytanie niezwykle chłodnym tonem.

- Nie są pewni. Tleilaxanom nie pozwolono być przy tym. Zaobserwowali jednak, że Malky wszedł do tego... hmm... urządzenia, i wyszedł z niego później z niemowlęciem.

- Tak! Wiedziałem!

- Naprawdę? - Moneo był zaskoczony.

- Domyśliłem się. Wszystko to stało się jakieś dwadzieścia sześć lat temu?

- To prawda, Panie.

- Zidentyfikowali niemowlę jako Hwi Noree?

- Nie są pewni, Panie, ale... - Moneo wzruszył ramionami.

- Oczywiście. I co z tego wywnioskowali?

- Z osobą nowego Ambasadora Ix związany jest jakiś potężny plan.

- Z pewnością. Moneo, czy nie uderzyło cię, jak osobliwie Hwi, nasza łagodna Hwi, jest lustrzanym odbiciem groźnego Malky'ego? Jest jego przeciwieństwem we wszystkim, włączając w to płeć.

- Nie pomyślałem o tym, Panie.

- Ja tak.

- Każę ją natychmiast odesłać na Ix - powiedział Moneo.

- Nie, nic takiego nie zrobisz!

- Ale, Panie, jeżeli oni...

- Moneo, zauważyłem, że rzadko odwracasz się plecami do niebezpieczeństwa. Inni robią to często. Ty - rzadko. Dlaczego chciałbyś mnie wciągnąć w tak oczywistą głupotę?

Moneo przełknął ślinę.

- Dobrze. Lubię, kiedy odnajdujesz błąd we własnym myśleniu - rzekł Leto.

- Dziękuję, Panie.

- Podoba mi się również, kiedy szczerze wyrażasz swą wdzięczność, tak jak to właśnie zrobiłeś. Wracając do sprawy, czy Anteac była z tobą, kiedy się tego dowiedziałeś?

- Tak jak kazałeś, Panie.

- Wspaniale. To pchnie wszystko do przodu. Zostawisz mnie teraz i pójdziesz do lady Hwi. Powiedz jej, że chcę ją widzieć natychmiast. To ją zaniepokoi. Myśli, że nie spotkamy się znowu, dopóki jej nie wezwę do Twierdzy. Chcę, byś uspokoił jej obawy.

- W jaki sposób, Panie?

- Moneo - powiedział Leto ze smutkiem - dlaczego prosisz mnie o radę w sprawie, w której jesteś ekspertem? Uspokój ją i przyprowadź tutaj, zapewniwszy o moich dobrych intencjach.

- Tak, Panie. - Moneo skłonił się i cofnął o krok.

- Jeszcze chwilę, Moneo.

Moneo zesztywniał ze spojrzeniem utkwionym w twarzy Leto.

- Jesteś zdezorientowany, Moneo - powiedział Leto. - Czasem nie wiesz, co o mnie myśleć. Czy jestem wszechpotężny i wszechprzyszłowidzący? Przychodzisz z tymi wątpliwościami i pretensjami i zastanawiasz się: "Czy on już wie? Jeśli wie, to po co się tym przejmuję?" Ale ja rozkazałem ci meldować o takich rzeczach, Moneo. Czy w takim razie mogę na tobie polegać?

Moneo drgnął, jakby chciał wzruszyć ramionami, ale zmienił zdanie. Jego usta wykrzywił grymas.

- Czas może być również miejscem, Moneo - powiedział Leto. - Wszystko zależy od tego, gdzie stoisz, gdzie patrzysz i co słyszysz. Jego miarę można odnaleźć tylko we własnej świadomości.

- To wszystko, Panie? - ośmielił się rzec po długim milczeniu Moneo.

- Nie, to n i e wszystko. Siona otrzyma dziś pakunek dostarczony przez kuriera Gildii. Spraw, by nikt nie przeszkodził jej w odebraniu przesyłki. Rozumiesz?

- Co... Co jest w tym pakunku?

- Trochę tłumaczeń, lektur, chcę, żeby je poznała. Nie zrobisz nic, aby jej w tym przeszkodzić. Tam nie ma melanżu.

- Skąd... Skąd wiedziałeś, czego się obawiałem, co mogłoby...

- Ponieważ boisz się przyprawy. Przedłużyłaby twoje życie, a jednak jej unikasz.

- Boję się jej innych skutków, Panie.

- Szczodra natura zrządziła, że melanż odsłania nam trochę z nieoczekiwanych głębin psychiki, a mimo to obawiasz się go?

- Jestem A t r y d ą , Panie.

- Ach, tak, w szczególnym procesie wewnętrznego objawienia melanż może odkryć Atrydom tajemnicę czasu.

- Wystarczy mi przypomnieć sobie tę próbę, której mnie poddałeś, Panie.

- Nie rozumiesz, że konieczne jest, abyś czuł Złotą Drogę?

- Nie tego się obawiam, Panie.

- Obawiasz się innego objawienia, tego, które sprawiło, że dokonałem mojego wyboru.

- Wystarczy mi tylko popatrzeć na ciebie, Panie, i czuję ten lęk. My, Atrydzi... - przerwał z nagłym uczuciem suchości w gardle.

- Nie chcesz tych wszystkich wspomnień przodków i innych, którzy się we mnie tłoczą!

- Czasami... Czasami myślę, Panie, że przyprawa to przekleństwo rodu Atrydów.

- Chciałbyś, abym ja nigdy nie zaistniał?

Moneo nie odpowiedział.

- Ale melanż ma swoje zalety, Moneo. Potrzebują go Nawigatorzy Gildii. Bez niego Bene Gesserit zdegenerowałyby się do bezradnej zgrai jęczących bab.

- Z nim czy bez niego, musimy żyć, Panie. Wiem o tym.

- To bardzo błyskotliwa uwaga, Moneo. Ty jednak wybrałeś życie bez niego.

- Wybór należał do mnie, czyż nie, Panie?

- Do tej chwili.

- Panie, co...

- W powszechnym Galachu jest dwadzieścia osiem różnych nazw melanżu. Określają go według zamierzonego użycia, stopnia koncentracji, wieku, na podstawie tego, czy pochodzi od uczciwego kupca, z kradzieży, czy stanowi łup, czy jest to wiano kobiety, czy też własność mężczyzny, i na wiele innych jeszcze sposobów. Co ci to mówi, Moneo?

- Możemy dokonać wielu wyborów, Panie.

- Tylko wtedy, gdy chodzi o przyprawę?

Brwi Monea zbiegły się w zamyśleniu. Po chwili starzec powiedział:

- Nie.

- Tak rzadko mówisz "nie" w mojej obecności - rzekł Leto. - Raduje mnie, gdy widzę, jak twoje usta układają się do tego słowa.

Wargi Monea drgnęły w wymuszonym uśmiechu.

- Dobrze! - powiedział rześko Leto. - Musisz teraz iść do lady Hwi. Dam ci na odchodne radę, która może ci się przyda.

Moneo skupił uwagę na twarzy Leto.

- Wiedza o lekach pochodzi przeważnie od mężczyzn, bo to oni są raczej skłonni do podejmowania większego ryzyka - to wynik przerostu męskiej agresji. Czytałeś Biblię Protestancko-Katolicką, zatem znasz historię Ewy i jabłka. W tej historii interesujący jest następujący fakt: to nie Ewa zerwała i skosztowała jabłko. To Adam był pierwszy, lecz dzięki całemu zamieszaniu nauczył się zrzucać winę na Ewę. Moja historia mówi ci coś o tym, w jaki sposób nasze społeczeństwa dochodzą do strukturalnej konieczności tworzenia podziałów.

Moneo pochylił głowę.

- Panie, jak ma mi to pomóc?

- Pomoże ci z lady Hwi.

Moją uwagę przyciąga pojedyncza mnogość tego wszechświata. Jest w najwyższym stopniu piękna.

"Wykradzione dzienniki"

Leto dosłyszał Monea na chwilę, zanim Hwi weszła do małej sali audiencyjnej. Miała na sobie obszerne bladozielone pantalony, ciasno związane w kostkach ciemniejszymi, zielonymi kokardami, pasującymi również do jej sandałów. Pod narzuconą na ramiona czarną peleryną widać było luźną bluzę, zbliżoną kolorem do barwy spodni.

Wydawała się spokojna, gdy podeszła do Leto i usiadła bez zaproszenia, przedkładając złotą poduszkę nad czerwoną, którą zajmowała poprzednio. Sprowadzenie Hwi zajęło Moneowi niecałą godzinę. Dzięki swojemu nieprzeciętnemu słuchowi Leto wyczuł, że Moneo zwleka w przedsionku z odejściem, więc wysłał sygnał zamykający wewnętrzne drzwi komnaty.

- Coś zdenerwowało Monea - powiedziała Hwi. - Bardzo chciał nie okazać mi tego, ale im mocniej starał się mnie uspokoić, tym bardziej rozbudzał moją ciekawość.

- Nie przestraszył cię?

- Och, nie. Powiedział jednak coś bardzo irytującego. Powiedział, że zawsze muszę pamiętać, iż Bóg Imperator jest dla każdego z nas inną osobą.

- Dlaczego cię to zirytowało?

- Nie to, ale rzecz, do której słowa te były wprowadzeniem. Powiedział, że często się zastanawia, jaką rolę odgrywamy w tworzeniu tej różnicy.

- To intrygujące.

- Myślę, że była to szczera uwaga - rzekła Hwi. - Dlaczego mnie wezwałeś?

- Dawno temu twoi mistrzowie z Ix...

- Już nie są moimi mistrzami, Panie.

- Wybacz mi. Odtąd będę ich określał "Ixianie". Skinęła poważnie głową, ponaglając:

- Dawno temu...?

- Ixianie rozmyślali nad stworzeniem broni, swego rodzaju grota-gończaka, śmierci z własnym napędem, o mechanicznym umyśle. Miała ona zostać zaprojektowana jako samoudoskonalajace się urządzenie wyszukujące życie i redukujące je do postaci nieorganicznej materii.

- Nie słyszałam o tym. Panie.

- Wiem. Ixianie nie rozumieją, że twórcy maszyn zawsze ryzykują, iż sami staną się maszynami. To ostateczna bezpłodność. Maszyny na dodatek zawodzą... jeżeli da im się na to czas. A gdyby zawiodły właśnie te maszyny, życie znikłoby zupełnie.

- Czasami myślę, że oni są szaleni.

- Tak samo myśli Anteac. Ma to bezpośredni związek z obecną sytuacją, ponieważ Ixianie są teraz zaangażowani w przedsięwzięcie, które trzymają w najgłębszej tajemnicy.

- Nawet przed tobą?

- Nawet przede mną. Wysłałem Matkę Wielebną Anteac, by zbadała całą sprawę. Aby jej pomóc, chcę, żebyś powiedziała mi wszystko, co pamiętasz o miejscu, w którym spędziłaś dzieciństwo. Nie pomiń żadnego szczegółu, bez względu na to, jak błahy by się wydawał. Anteac pomoże ci sobie przypomnieć. Chcemy każdego

dźwięku, zapachu, rysów twarzy i nazwisk ludzi, kolorów i nawet wspomnień dreszczy przechodzących przez twoje ciało. Najdrobniejszy szczegół może mieć zasadnicze znaczenie.

- Myślisz, że to jest owo ukryte miejsce?

- Wiem, że tak.

- I myślisz, że oni konstruują tę broń w...

- Nie, ale to będzie nasz pretekst do zbadania miejsca, w którym się urodziłaś.

Otworzyła usta w grymasie, który stopniowo zamieniał się w uśmiech, a po chwili rzekła:

- Mój Pan jest przebiegły. Natychmiast pomówię z Matką Wielebną.

Hwi zaczęła wstawać, ale Leto powstrzymał ją gestem.

- Nie wolno nam sprawić wrażenia pośpiechu.

Opadła z powrotem na poduszkę.

- Każdy z nas jest inny w sposób, o którym myśli Moneo - powiedział. - Akt stworzenia nigdy się nie zakończył. Wasz bóg wciąż was koryguje.

- Co znajdzie Anteac? Wiesz już, prawda?

- Powiedzmy, że mam silne przekonanie. Ale nic nie mówisz na temat, który poruszyłem wcześniej. Nie masz pytań?

- Dostarczysz mi odpowiedzi, kiedy będę ich potrzebowała. - Było to oświadczenie tak pełne zaufania, że Leto aż odebrało głos. Mógł na nią jedynie patrzeć, uświadamiając sobie, jak nadzwyczajne było osiągnięcie Ixian - ta ludzka istota. Hwi pozostawała do końca wierna wybranej przez siebie moralności. Była urodziwa, pełna ciepła i uczciwa, posiadała też skłonne do współczucia usposobienie, zmuszające ją do podzielania każdego strapienia tych, z którymi się utożsamiała. Leto wyobrażał sobie niesmak jej nauczycielek z Bene Gesserit, gdy stawały twarzą w twarz z tym niewzruszonym monolitem uczciwości. Z pewnością ich rola była zredukowana do dodania odrobiny czegoś tam, jakiejś umiejętności gdzie indziej, a wszystko razem i tak wzmacniało jeszcze tę siłę, która zapobiegła w końcu jej wstąpieniu do Bene Gesserit. Jakże je to musiało rozjątrzyć.

- Panie - powiedziała - chciałabym poznać motywy, które zmusiły cię do wybrania twojej drogi życia.

- Po pierwsze, musisz zrozumieć, jak to jest widzieć naszą przyszłość.

- Spróbuję, z twoją pomocą.

- Nic nie jest nigdy oddzielone od swego źródła - powiedział. - Widzenie przyszłości to jak wizja kontinuum, w którym wszystko nabiera kształtu, jak pęcherzyki powietrza pod wodospadem. Spostrzegasz je, a one znikają w strumieniu wody. Jeżeli ten strumień wyschnie, to tak jakby nigdy nie było tych pęcherzyków. Tym strumieniem jest moja Złota Droga i ja widzę jej koniec.

- Twój wybór... - wskazała na jego ciało - ...zmienił to?

- Zmienia. Ta metamorfoza pochodzi nie tylko z wyboru sposobu życia, ale również sposobu śmierci.

- Wiesz, jak umrzesz?

- Nie wiem "jak". Znam tylko Złotą Drogę, na której to się stanie.

- Panie, nie...

- To trudno zrozumieć, wiem. Umrę czterokrotnie - śmiercią ciała, duszy, mitu i tego, co głosiłem. I we wszystkich tych śmierciach zawiera się ziarno zmartwychwstania.

- Wrócisz z...

- Powrócą nasiona.

- Kiedy odejdziesz, co stanie się z twoją religią?

- Wszystkie religie to izolowane wspólnoty. Tylko na Złotej Drodze będzie miała jednolity kształt. To wyłącznie ludzie najpierw widzą jedną część, a potem inną. Złudzenia mogą być nazywane przypadłościami zmysłów.

- Ludzie będą cię wciąż czcić - rzekła.

- Tak.

- Ale kiedy "zawsze" się skończy, nadejdzie gniew - powiedziała. - Nastąpi odrzucenie. Niektórzy powiedzą, że byłeś zwyczajnym tyranem.

- Złudzenie - zgodził się.

Przez chwilę przeszkadzało jej w mówieniu ściśnięte gardło, po chwili rzekła:

- Jak twoje życie i śmierć zmieni... - Potrząsnęła głową.

- Życie będzie trwać.

- Wierzę w to, Panie, ale jak?

- Każdy cykl to reakcja na cykl poprzedzający. Jeżeli pomyślisz o kształcie mojego Imperium, poznasz postać następnego cyklu.

Odwróciła od niego spojrzenie.

- Wszystko, czego dowiedziałam się o twoim rodzie, mówi mi, że zrobiłbyś to... - wskazała w jego kierunku, nie patrząc na niego - ...wyłącznie z nieegoistycznych pobudek. Nie sądzę jednak, abym naprawdę znała kształt twojego Imperium.

- Złoty Pokój Leto?

- Mniej w nim pokoju, niż chcieliby niektórzy z nas - powiedziała, tym razem spoglądając na niego.

"Ta jej szczerość! - pomyślał. - Nic jej nie zmąci."

- To czasy żołądka - powiedział. - Rozrastamy się tak, jak rozrasta się pojedyncza komórka.

- Ale jednocześnie coś przepada.

"Jest jak Duncanowie - pomyślał. - Coś przepada, a oni wyczuwają to natychmiast."

- Ciało rośnie, ale psychika nie - powiedział.

- Psychika?

- Ta refleksyjna świadomość, jaką dysponujemy, by mówiła nam, jak bardzo żywi możemy się stać. Znasz to dobrze, Hwi. To ten zmysł, który mówi ci, jak być wierną sobie samej.

- Twoja religia to nie dosyć.

- Żadna religia może nie wystarczyć. To kwestia wyboru - pojedynczego, samotnego wyboru. Rozumiesz teraz, dlaczego twoja przyjaźń i towarzystwo znaczą dla mnie tak wiele?

Mrugnęła, chcąc powstrzymać łzy, i odparła:

- Dlaczego ludzie o tym nie wiedzą?

- Bo nie pozwalają na to warunki.

- Warunki, które ty dyktujesz?

- Właśnie. Przyjrzyj się Imperium. Widzisz jego kształt? Zamknęła oczy myśląc.

- Chce się siedzieć nad rzeką i co dnia łowić ryby? - zapytał. - Wspaniale. To jest życie. Pragnie się żeglować łódką po morzu i składać wizyty obcym? Świetnie! Co więcej jest do zrobienia?

- Podróże w kosmosie? - zapytała z nutą przekory w głosie. Otworzyła oczy.

- Zauważyłaś, że Gildia i ja nie pozwalamy na to.

- Ty na to nie pozwalasz.

- Jeżeli Gildia mnie nie usłucha, nie dostanie przyprawy.

- A utrzymywanie przywiązania ludzi do planet chroni ich przed robieniem głupstw?

- Przed czymś ważniejszym niż to. Napełnia ich pragnieniem podróżowania. Tworzy potrzebę pokonywania dalekich dróg i oglądania nieznanych miejsc. Aż w końcu znaczy tyle co "wolność".

- Ale przyprawy ubywa - powiedziała.

- I wolność z każdym dniem staje się coraz cenniejsza.

- To może doprowadzić tylko do desperacji i przemocy - powiedziała.

- Pewien mądry człowiek spośród moich przodków - w rzeczywistości ja byłem tą osobą, wiesz? Rozumiesz, że w mojej przeszłości nie było obcych? - Skinęła głową, pełna lęku. - Ten mądry człowiek zauważył, że bogactwo to narzędzie wolności, ale pogoń za nim to droga do niewolnictwa.

- Gildia i zakon żeński zniewalają się same!

- I Ixianie, i Tleilaxanie, i wszyscy inni. Och, wynajdują od czasu do czasu ukryte zapasy melanżu i to przykuwa ich uwagę. Bardzo interesująca gra, nie sądzisz?

- Ale kiedy dojdzie do przemocy...

- Nadejdą głód i ponure czasy.

- Tu na Arrakis też?

- Tu, tam, wszędzie. Ludzie będą oglądać się na moją tyranię jak na "dawne, dobre czasy". Będzie lustrem ich przyszłości.

- Ale to będzie okropne! - sprzeciwiła się.

"Nie mogłaby zareagować inaczej" - pomyślał.

- Gdy ziemia odmówi utrzymywania ludzi - rzekł - ci, którzy przeżyją, będą się łączyć w coraz mniejsze grupy. Na wielu planetach powtórzy się proces selekcji - wybuchowo narastające wskaźniki urodzeń i malejące zapasy żywności.

- Ale czy Gildia nie mogłaby...

- Gildia będzie zasadniczo bezradna, nie mając dostatecznej ilości melanżu, by posługiwać się będącym w jej posiadaniu sprzętem.

- Ale bogaci uciekną?

- Niektórzy z nich.

- Więc nic tak naprawdę nie zmieniłeś. Będziemy się tylko szamotać i umierać.

- Dopóki na Arrakis nie zapanują znów czerwie pustyni. Poddamy się wtedy próbie, dysponując sporym doświadczeniem, dzielonym przez nas wszystkich. Nauczymy się, że rzeczy, które się zdarzyły na jednej planecie, mogą zdarzyć się na wszystkich.

- Tak wiele bólu i śmierci - szepnęła.

- Rozumiesz śmierć? - zapytał. - Musisz ją zrozumieć. Gatunek musi ją pojąć. I wszystkie stworzenia, które żyją.

- Pomóż mi w tym, Panie - szepnęła.

- To najgłębsze doświadczenie każdej istoty - powiedział. - Na krótko przed śmiercią mnożą się zdarzenia, które mogą być jej powodem - zagrażające życiu choroby, rany i wypadki... poród dla kobiet... a dla mężczyzn walka, jak kiedyś.

- Ale twoje Mówiące-do-Ryb są...

- Nauczają, jak przetrwać - odrzekł.

Jej oczy rozszerzyły się ze zrozumieniem.

- Tych, którzy przeżyją. Oczywiście!

- Jakże cenna jesteś - rzekł. - Jakże rzadka i cenna! Błogosławieni niech będą Ixianie!

- I przeklęci?

- To też.

- Nie myślałam, że kiedykolwiek zdołam zrozumieć, co takiego jest w Mówiących-do-Ryb - powiedziała.

- Nawet Moneo tego nie dostrzega - rzekł. - A Duncanowie wręcz wprawiają mnie w rozpacz.

- Trzeba docenić życie, zanim zechce się je zachować - powiedziała.

- To właśnie ci, którzy odbierają świat najdelikatniej i najcelniej, pielęgnują piękno życia. Wśród kobiet wiedza ta występuje o wiele częściej niż u mężczyzn, ponieważ poród jest przedsmakiem śmierci.

- Mój wuj, Malky, powiedział, że masz istotne powody zakazania mężczyznom walki i stosowania przypadkowej przemocy. Cóż za gorzka lekcja!

- Bez wszechobecnej przemocy mężczyźni nie mają wielu okazji do sprawdzenia, jak sprostają temu ostatecznemu doświadczeniu - powiedział. - Coś przepada. Psychika nie dojrzewa. Co ludzie mówią o Pokoju Leto?

- Że sprawiasz, iż tarzamy się w bezcelowej dekadencji jak świnie we własnym gnoju.

- Zawsze doceniaj trafność mądrości ludu - rzekł. - Dekadencja...

- Większość mężczyzn nie ma żadnych zasad - powiedziała. - Kobiety z Ix stale na to narzekają.

- Kiedy chcę rozpoznać buntowników, szukam ludzi z zasadami - odparł.

Wpatrzyła się w niego w milczeniu, a Leto pomyślał, jak ta prosta reakcja mówi wiele o jej inteligencji.

- Jak myślisz, gdzie znajduję moich najlepszych zarządców? - zapytał.

Wymknęło się jej słabe westchnienie.

- Zasady - rzekł - są tym, o co się walczy. Większość ludzi przechodzi przez życie nie zmienionymi aż do ostatniej chwili. Mają tak mało nieprzyjaznych im aren, na których mogliby poddać się próbie!

- Mają ciebie.

- Ale ja jestem zbyt potężny - powiedział. - Jestem synonimem samobójstwa Kto szukałby pewnej śmierci?

- Szaleńcy... albo desperaci. Buntownicy?

- Jestem synonimem wojny - rzekł. - Jestem największym drapieżnikiem. Skoncentrowaną siłą, która ich rozbija.

- Nigdy nie myślałam o sobie jako o buntowniczce - powiedziała.

- Jesteś czymś o wiele lepszym.

- I użyłbyś mnie w jakiś sposób?

- Tak.

- Nie jako urzędniczkę - rzekła.

- Już mam dobrych urzędników. Niepodatnych na korupcję, bystrych, nastawionych filozoficznie do życia, otwartych na krytykę i szybkich w podejmowaniu decyzji.

- Byli buntownikami?

- Większość z nich.

- Jak zostali wybrani?

- Mógłbym rzec, że sami się wybrali.

- Zachowując życie?

- To też. Ale jest i coś więcej. Różnica między dobrym a złym zarządcą zamyka się mniej więcej w pięciu uderzeniach serca. Dobrzy dokonują natychmiastowego wyboru.

- Wyboru do przyjęcia?

- Zazwyczaj można wprowadzić go w życie. Zły administrator waha się, kręci, prosi o komitety, o badania i sprawozdania. W końcu działa w sposób, który wywołuje poważne problemy.

- Ale czy czasami nie potrzebują po prostu więcej informacji, żeby...

- Zły zarządca więcej uwagi przykłada do sprawozdań niż do decyzji. Chce pewnych danych, które mógłby okazać jako usprawiedliwienie swoich błędów.

- A dobry?

- Och, polega na ustnych poleceniach. Nigdy nie kłamie na temat tego, co zrobił, jeżeli jego polecenia powodują problemy, i otacza się ludźmi zdolnymi do mądrego działania na jedno słowo rozkazu. Często najważniejszą informacją jest to, iż coś jest nie w porządku. Źli zarządcy ukrywają swoje błędy, dopóki nie jest za późno na dokonanie poprawek.

Leto przyglądał się jej, jak rozmyśla o ludziach, którzy mu służyli - zwłaszcza o Moneu.

- Ludzie decyzji - powiedziała.

- Jedną z najtrudniejszych do znalezienia rzeczy dla tyrana - odrzekł - są ludzie, którzy rzeczywiście podejmują decyzje.

- Czy twoja znajomość przeszłości nie daje ci jakiejś...

- Daje mi trochę zabawy. Większość biurokracji przed moją wyszukiwała sobie i opierała się na ludziach, którzy unikali decydowania.

- Rozumiem. Jak mnie wykorzystasz, Panie?

- Wyjdziesz za mnie?

Nikły uśmiech dotknął jej ust.

- Kobiety również mogą podejmować decyzje. Wyjdę za ciebie.

- Zatem idź i poinstruuj Matkę Wielebną. Upewnij się, czy wie, czego szukać.

- Mojego pochodzenia - odparła. - Ty i ja znamy już swoje przeznaczenie.

- Które nie zostało oddzielone od mojego źródła - powiedział.

Wstała i rzekła:

- Panie, czy możesz mylić się co do twojej Złotej Drogi? Czy możliwość niepowodzenia...

- Wszystko i wszyscy mogą zawieść - powiedział - ale dzielni, dobrzy przyjaciele - nigdy.

Zbiorowiska zawsze ciążą do warunkowania swojego otoczenia na przetrwanie. Kiedy zbaczają z tego celu, można to uznać za oznakę choroby. Jest wiele widocznych jej symptomów. Bardzo mnie zainteresował sposób podziału żywności. Jest to forma komunikacji, nieunikniona oznaka wzajemnej pomocy, zawierająca również śmiertelny symbol zależności. To ciekawe, że to zazwyczaj mężczyźni dbają teraz o przyrodę. Są mężami-mężczyznami. Kiedyś była to wyłącznie domena kobiet.

"Wykradzione dzienniki"

"Musicie wybaczyć mi niedokładność tego sprawozdania - pisała Matka Wielebna Anteac. - Przypiszcie to konieczności pośpiechu. Jutro odlatuję na Ix w celu, który dokładnie przedstawiłam wcześniej. Nasilonemu zainteresowaniu Boga Imperatora Ix nie można zaprzeczyć, wszak muszę tu przede wszystkim wspomnieć o dziwnej wizycie, jaką złożyła mi Ambasadorka Ix, Hwi Noree."

Anteac odchyliła się na niewygodnym taborecie, który był jednak najlepszym meblem, jaki udało jej się znaleźć w tych spartańskich kwaterach. Siedziała sama w swej ciasnej izbie, w miejscu, które Pan Leto wciąż odmawiał zamienić na większe, nawet po ostrzeżeniu Bene Gesserit o zdradzie Tleilaxan.

Na kolanie Anteac leżał mały, atramentowoczamy prostopadłościan o boku około dziesięciu milimetrów i nie mający więcej niż trzy milimetry grubości. Pisała po nim błyszczącą igłą - jedno słowo na drugim, wszystkie po kolei pochłaniane przez sześcian. Skończona wiadomość zostanie odciśnięta w nerwach wzrokowych akolitki-kurierki, ukryta, dopóki nie zostanie odtworzona w Kapitularzu.

Hwi Noree stwarzała olbrzymi problem!

Anteac znała relacje nauczycielek Bene Gesserit, wysłanych do szkolenia Hwi na Ix, ale rodziły one więcej wątpliwości, niż mówiły. Prowokowały nowe, istotniejsze pytania.

Jakich przygód doznałaś, dziecko?

Jakie były trudy twej młodości?

Anteac wciągnęła powietrze przez nozdrza i spojrzała w dół na czarny prostopadłościan. Podobne myśli przypominały jej o fremeńskiej wierze, iż to miejsce urodzenia czyni człowieka tym, kim jest.

"Czy na twojej planecie są dziwne zwierzęta?" - zapytałby Fremen.

Hwi przyszła z imponującą eskortą Mówiących-do-Ryb, więcej niż piątką wielkich jak niedźwiedzie kobiet; wszystkie uzbrojone po zęby. Anteac rzadko widywała takie bogactwo broni - rusznice laserowe, długie noże, srebrne sztylety, granaty ogłuszające...

Było to w środku przedpołudnia. Hwi wśliznęła się do środka, pozostawiając Mówiącym-do-Ryb rozlokowanie się po kwaterach Bene Gesserit, z wyjątkiem tego spartańskiego, wewnętrznego pokoju.

Anteac obrzuciła wzrokiem swoje pomieszczenie. Pan Leto chciał coś przekazać przez fakt trzymania ich tutaj.

Tak oto zmierzona została wasza wartość dla Boga Imperatora!

Z wyjątkiem... teraz wysyłał Matkę Wielebną na Ix i rzeczony cel jej misji mówił wiele o Panu Leto. Być może szykowała się zmiana - nowe honory i więcej melanżu dla zakonu żeńskiego.

"Wszystko zależy od tego, jak dobrze się spiszę."

Hwi weszła do pokoju sama i usiadła zasępiona na łóżku Anteac, chyląc głowę niżej niż Matka Wielebna. Był to miły gest i nieprzypadkowy. Mówiące-do-Ryb przyjęłyby do wiadomości każdy rodzaj ich wzajemnych stosunków, jakiego by tylko Hwi zechciała. Jej pierwsze wstrząsające słowa nie pozostawiły co do tego wątpliwości:

"Na wstępie musisz się dowiedzieć, ze poślubię Pana Leto."

Powstrzymanie się przed rozdziawieniem ust ze zdumienia wymagało silnej samokontroli. Prawdopoznanie Anteac poświadczyło szczerość słów Hwi, ale cała ich przerażająca wymowa jakoś nie mogła dotrzeć do świadomości Bene Gesserit.

"Pan Leto rozkazuje ci, byś nikomu o tym nie wspominała" - dodała Hwi.

"Jaki dylemat - myślała Anteac. - Czy w ogóle mogę donieść o tym siostrom z Kapituły?"

"Wszyscy dowiedzą się w swoim czasie - powiedziała Hwi. - Ale jeszcze nie teraz. Mówię ci o tym, żebyś uświadomiła sobie ogrom zaufania Pana Leto."

"Zaufania pokładanego w tobie?"

"W nas obu."

To przyprawiło Anteac o ukryty z trudem dreszcz. W tej ufności zawarta była spora moc!

"Czy wiesz, dlaczego Ixianie wybrali cię na Ambasadorkę?" - zapytała Anteac.

"Tak. Chcieli, bym go oczarowała."

"Wydaje mi się, że ci się powiodło. Czy to oznacza, że Ixianie wierzą w te historie Tleilaxan o paskudnych nawykach Pana Leto?"

"Nawet Tleilaxanie w nie nie wierzą."

"Mam rozumieć, że potwierdzasz fałszywość tych opowieści?"

Hwi przemówiła dziwnie monotonnym głosem, który trudno było poddać prawdopoznaniu i mentackim zdolnościom Anteac:

"Rozmawiałaś z nim i obserwowałaś go. Sama sobie odpowiedz na to pytanie."

Anteac zdławiła przypływ irytacji. Mimo swej młodości ta Hwi nie była akolitką... i nigdy nie będzie porządną Bene Gesserit. Co za szkoda!

"Doniosłaś o tym rządowi Ix?" - zapytała Anteac.

"Nie."

"Dlaczego?"

"Wkrótce się dowiedzą. Przedwczesne ujawnienie tego wyrządziłoby krzywdę Panu Leto."

"Jest szczera" - powtórzyła sobie Anteac.

"Nie jesteś przede wszystkim lojalna wobec Ix?" - zapytała.

"Przede wszystkim jestem lojalna wobec prawdy - odpowiedziała Hwi, po czym uśmiechnęła się. - Ixianie lepiej tworzą narzędzia, niż myślą."

"Czy Ix nie uważa cię za zagrożenie dla Boga Imperatora?"

"Myślę, że przede wszystkim chodzi im o wiedzę. Przedyskutowałam to z Amprem przed wyjazdem."

"Z Dyrektorem Spraw Pozakonfederacyjnych? Tym Amprem?

"Tak. Ampre jest przekonany, że Pan Leto pozwala na zagrożenie wobec swojej osoby, w pewnych granicach, oczywiście."

"Ampre tak powiedział?"

"Nie wierzy, że można ukryć przyszłość przed Panem Leto."

"Ale co do mojej misji na Ix, to zasugerował mi, że... - Anteac przerwała, potrząsnęła głową i kontynuowała: - Dlaczego Ix dostarcza Panu Leto maszyn i broni?"

"Ampre wierzy, iż Ix nie ma wyboru. Tych, którzy stanowią zbyt duże zagrożenie, niszczy jego przytłaczająca siła."

"A jeżeli Ix odmówiłby, przekroczyłoby to granice wytrzymałości Pana Leto. Tertium non datur. Pomyślałaś o konsekwencjach poślubienia Pana Leto?"

"Masz na myśli wątpliwości, jakie ten akt sprowokowałby odnośnie jego boskości?"

"Niektórzy wierzą w opowieści Tleilaxan."

Hwi uśmiechnęła się tylko.

"Przekleństwo! - pomyślała Anteac. - Jak to się stało, że straciłyśmy tę dziewczynę?"

"Zmienia schemat swojej religii - oskarżyła Anteac. - To o to oczywiście chodzi."

"Nie popełniaj błędu oceniania wszystkich według siebie - rzekła Hwi i gdy Anteac zaczęła brać się w karby, dodała: Ale nie przyszłam tu sprzeczać się na temat Pana."

"Nie, oczywiście, że nie."

"Pan Leto polecił mi - powiedziała Hwi - żebym ci opowiedziała o wszystkich szczegółach, jakie pamiętam z miejsca, w którym zostałam urodzona i wychowana."

Wspominając słowa Hwi, Anteac zapatrzyła się w nic nie wyrażający, czarny prostopadłościan na kolanach. Hwi przedstawiła następnie szczegóły, których opisanie zlecił jej Pan (teraz pan młody!), szczegóły, które chwilami byłyby nużące, gdyby nie mentackie zdolności Anteac w zakresie przyswajania danych.

Anteac potrząsnęła głową, rozważywszy, co musi donieść siostrom z Kapituły. Prawdopodobnie właśnie teraz zastanawiają się nad znaczeniem jej poprzednich wiadomości. Maszyna, która może ukryć samą siebie i swoją zawartość przed penetrującym przyszłowidzeniem samego Boga-Imperatora? Czy coś takiego jest możliwe? A może to była kolejna próba, próba szczerości Bene Gesserit wobec Pana Leto? Ale Hwi! Jeżeli rzeczywiście Leto nie zna jeszcze pochodzenia tej tajemniczej dziewczyny... Taki rozwój wypadków potwierdził mentackie wnioski Anteac na temat przyczyn, dla których została wybrana do misji na Ix. Bóg Imperator nie mógł powierzyć tej wiedzy Mówią-cym-do-Ryb. Nie chciał, żeby podejrzewały jakąś słabość w ich Panu!

Czy to naprawdę było aż tak oczywiste, jak się wydawało? Koła wewnątrz kół - to metoda Pana Leto.

Anteac ponownie potrząsnęła głową, następnie nachyliła się i z powrotem podjęła pracę nad sprawozdaniem dla Kapituły, opuszczając nowinę, iż Bóg Imperator wybrał sobie oblubienicę.

Dość szybko się o tym dowiedzą. Tymczasem Anteac sama rozważy wszelkie implikacje tego faktu.

Gdybyście znali swoich przodków, bylibyście naocznymi świadkami zdarzeń, które sprowokowały powstanie mitologu i religii naszej przeszłości. Uświadamiając to sobie, jesteście zmuszeni myśleć o mnie jako o mitorwórcy.

"Wykradzione dzienniki"

Kiedy ciemności okryły miasto Onn, nastąpił pierwszy wybuch. Podmuch dopadł kilku świętujących członków ambasady Ix, udających się na przyjęcie, gdzie (jak obiecano) Tancerze Oblicza mieli odegrać starożytny dramat o królu, który zabił swe dzieci. Po gwałtownych zajściach pierwszych czterech dni Święta porzucenie względnego bezpieczeństwa domostw wymagało od świętujących pewnej odwagi. Po całym mieście krążyły opowieści o zabitych i rannych - i oto znowu pojawiła się nowa pożywka dla głosów zalecających ostrożność. Żadna z ofiar i tych, którzy przeżyli, nie doceniła uwagi Leto, że na niewinnych widzów popyt wśród zabójców był względnie mały.

Wyczulone zmysły Leto wyczuły eksplozję i zlokalizowały ją. Z nagłym gniewem, którego później żałował, wykrzyknął do Mówiących-do-Ryb rozkaz "wybicia Tancerzy Oblicza", nawet tych, których oszczędził wcześniej.

W natychmiastowej refleksji, która po tym nastąpiła, uczucie wściekłości zafascynowało Leto. Tak długo nie czuł niczego silniejszego niż łagodny gniew. Rozczarowanie, irytacja - to były jego granice. Teraz jednak, z powodu Hwi Noree - szał!

Refleksja sprawiła, że zmodyfikował swój pierwotny rozkaz, ale zanim to nastąpiło, niektóre z Mówiących-do-Ryb rozbiegły się, ogarnięte najgwałtowniejszymi żądzami rozbudzonymi przez to, co ujrzały w swoim Panu.

"Bóg jest pełen furii!" - krzyczały niektóre z nich.

Drugi wybuch zabił niektóre z Mówiących-do-Ryb wychodzących na plac, ograniczając rozprzestrzenianie się zmienionego rozkazu i pobudzając strażniczki do jeszcze większego okrucieństwa. Trzecia eksplozja, zlokalizowana blisko pierwszej, pchnęła do działania samego Leto. Wypadł na swoim Wozie - jak na bersekerskim rydwanie zniszczenia - ze swej komnaty prosto do ixiańskiej windy i ruszył na powierzchnię.

Leto wynurzył się na skraju placu, by ujrzeć scenę zniszczenia i chaosu, oświetloną rojem unoszących się wolno kuł świętojańskich, wypuszczonych przez jego Mówiące-do-Ryb. Podwyższenie na środku placu zostało zrujnowane, nietknięty był tylko plastalowy fundament pod wykładaną płytami powierzchnią. Dookoła leżały potrzaskane kawały gruzu, trupy i ranni.

- Gdzie jest mój Duncan?! - wykrzyknął Leto.

Od strony ixiańskiej ambasady po drugiej stronie placu dochodził zgiełk walki. Przez plac podbiegła do niego baszarka straży i zameldowała, ciężko dysząc:

- Zabrałyśmy go do Twierdzy, Panie!

- Co się tam dzieje? - zapytał gwałtownie Leto, wskazując na zamieszanie pod Ambasadą Ix.

- Buntownicy i Tleilaxanie atakują ixiańską ambasadę, Panie. Mają materiały wybuchowe.

Jeszcze gdy mówiła, słup ognia kolejnego wybuchu wytrysnął przed leżącym w gruzach frontonem ambasady. Leto zobaczył skręcające się w powietrzu ciała, wylatujące łukiem w górę i spadające wokół jaskrawego błysku, który pozostawił na jego siatkówce pomarańczowy powidok.

Nie myśląc o konsekwencjach, Leto uniósł Wóz na dryfach i ruszył nim przez plac jak wystrzelony pocisk, jak szarżujący behemot, zasysający kule świętojańskie w wir powietrza za sobą. Na skraju pola walki wzniósł się nad własne oddziały i rzucił na flankę atakujących, dopiero wtedy spostrzegając błękitne wiązki światła tryskające ku niemu z rusznic laserowych. Poczuł, jak Wóz uderza tępo o ciała, rozrzucając je dookoła.

Hamujący Wóz wyrzucił go wprost przed front ambasady i Leto potoczył się po twardej powierzchni zawalonej gruzem. Czuł, jak wiązki z rusznic laserowych kłują jego ciało, po czym nastąpił nieuchronny przypływ ciepła, na który jego organizm zareagował pozbyciem się z wnętrza ciała nadmiaru tlenu. Instynkt sprawił, że jego kaptur nasunął się głęboko na twarz, a ramiona złożyły w ochraniających je zagłębieniach przedniego segmentu. Ciało czerwia wzięło górę, skręcając się gwałtownie, tocząc jak szalone koło, rzucając się we wszystkie strony.

Krew pokryła ulicę jak smar. Krew była dla jego ciała wodą, uwalnianą przez śmierć. Ślizgał się na niej, a woda wywoływała powstanie niebieskich obłoków dymu, tam gdzie stykała się z ciałem, dostawszy się w przerwy w skórze piaskopływaków. To powodowało ból wyzwalający w wielkim ciele jeszcze więcej gwałtowności.

Na pierwsze ruchy Leto czoło oddziału Mówiących-do-Ryb cofnęło się. Czujna baszarka dostrzegła pojawiającą się teraz okazję i wrzasnęła, przekrzykując zgiełk walki:

- Wybić maruderów!

Szeregi strażniczek rzuciły się naprzód.

Przez kilka minut dla Mówiących-do-Ryb istniała tylko krwawa gra pchnięć, taniec wiązek z rusznic laserowych, kunsztowna precyzja rąk i palców wpijających się w nieosłonięte ciała. Mówiące-do-Ryb nie pozostawiły przy życiu nikogo.

Leto przetoczył się przez krwawą papkę przed ambasadą, ledwie mogąc myśleć poprzez ból nadchodzącej falami męki wodnej. Powietrze wokół niego było przesycone tlenem, co sprawiało ulgę jego ludzkim zmysłom. Wezwał swój Wóz, który przyszybował ku niemu, przechylając się niebezpiecznie na uszkodzonych dryfach. Leto powoli wspiął się na Wóz i wydał mu rozkaz powrotu do pomieszczeń pod placem.

Dawno temu przygotował się na ewentualność zetknięcia swojego ciała z wodą - urządził pomieszczenie, w którym dmuchawy tłoczące gorące powietrze miały go oczyszczać i uzdrawiać. Mógłby posłużyć do tego piach, ale nigdzie w granicach Onn nie było miejsca dostatecznie dużego, by mógł tam poprzez tarcie rozgrzać powierzchnię ciała i w ten sposób pozbyć się wilgoci.

W windzie pomyślał o Hwi i wysłał wiadomość, by natychmiast sprowadzono ją do niego.

Jeżeli przeżyła.

Nie miał teraz czasu na to, by sprawdzić to dzięki przyszłowidzeniu, mógł mieć tylko nadzieję - w tej chwili zarówno jego ciało pre-czerwia, jak i ludzkie, gwałtownie domagało się oczyszczającego żaru.

Będąc już w sali oczyszczania, pomyślał o tym, aby potwierdzić swój zmodyfikowany rozkaz: "Oszczędzić niektórych Tancerzy Oblicza". Ale teraz rozszalałe Mówiące-do-Ryb przeczesywały całe miasto, a on nie miał siły na dokonanie przyszłowidczego przeglądu, dzięki któremu mógłby wysłać kurierki we właściwe miejsca.

Gdy opuszczał salę oczyszczania, kapitan straży doniosła mu, że Hwi Noree, mimo że lekko ranna, jest bezpieczna i zostanie przyprowadzona do niego tak szybko, jak tylko miejscowa dowódczym uzna, że jest to możliwe.

Leto z miejsca awansował panią kapitan straży na podbaszarkę. Była silnie zbudowana, w typie Nayli, ale bez tej jej kwadratowej twarzy - miała rysy bardziej okrągłe i bliższe dawnym kanonom. Zadrżała, słysząc pochwały z ust Pana, i kiedy kazał jej powrócić i "podwójnie się upewnić", że nic więcej nie grozi Hwi, odwróciła się natychmiast i ruszyła w drogę.

"Nawet jej nie spytałem, jak się nazywa" - pomyślał Leto i popełzł ku nowemu Wozowi stojącemu w zagłębieniu jego sali audiencyjnej. Kilka chwil zabrało mu przypomnienie sobie imienia nowej podbaszarki. Kieuema. Trzeba będzie potwierdzić awans. Zanotował w reagującym na jego myśli przypominaczu, że ma to zrobić osobiście. Mówiące-do-Ryb, wszystkie, muszą dowiedzieć się jak najszybciej, jak bardzo ceni Hwi Noree. Choć po tej nocy nie pozostanie co do tego zbyt wiele wątpliwości.

Dokonał następnie swego przyszłowidczego przeglądu i rozesłał kurierki do działających na własną rękę Mówiących-do-Ryb. Do tej chwili szkoda i tak już się stała - w całym Onn było pełno trupów. Niektórzy z zabitych byli, a niektórych tylko podejrzewano o to, że są Tancerzami Oblicza.

"Wielu widziało, jak zabijałem" - pomyślał.

Oczekując na przybycie Hwi, przemyślał to, co się zdarzyło. To nie był typowy atak Tleilaxan, ale przypominał uprzedni zamach na drodze do Onn. Wszystko razem wskazywało na jeden plan.

"Mogłem tam zginąć" - pomyślał.

To wyjaśniało, dlaczego nie przewidział tego ataku. Istniał jednak głębszy powód. Leto czuł, jak w jego świadomości wszystkie ślady łączą się w jedną całość. Kto najlepiej zna Boga Imperatora? Kto miał dostęp do supertajnego miejsca, w którym mógł spiskować?

M a l k y .

Leto wezwał strażniczkę i powiedział jej, by dowiedziała się, czy Matka Wielebna Anteac opuściła już Arrakis. Strażniczka powróciła po chwili, by donieść:

- Anteac jest wciąż w swojej kwaterze. Dowódczyni tamtejszej straży Mówiących-do-Ryb mówi, że nie zostały zaatakowane.

- Wyślijcie do Anteac wiadomość - powiedział Leto. - Zapytajcie, czy rozumie teraz, dlaczego umieściłem ich delegację tak daleko. Powiedzcie jej również, że gdy znajdzie się na Ix, musi odszukać Malky'ego. Ma donieść naszemu tamtejszemu garnizonowi, gdzie on się znajduje.

- Malky? Były Ambasador Ix?

- Ten sam. Nie może pozostać wolny i żywy. Poinformujesz dowódczynię naszego garnizonu na Ix, że ma nawiązać bliski kontakt z Anteac, służąc jej wszelką pomocą. Malky'ego należy sprowadzić do mnie albo stracić - według uznania naszej dowódczyni.

Strażniczka-kurierka skinęła głową. Nie poprosiła o powtórzenie poleceń. Każdą z jego zaufanych strażniczek szkolono w umiejętności dokładnego zapamiętywania wszystkiego, co usłyszą. Mogła dokładnie powtórzyć słowa Leto, zachowując jego intonację, i nigdy nie zapomniałaby tego, co odeń usłyszała

Kiedy odeszła, Leto wysłał poufny sygnał wywoławczy i po kilku sekundach zgłosiła się Nayla. Ixiańskie urządzenie w jego Wozie transmitowało niemożliwą do identyfikacji wersję jej głosu, monotonne, metaliczne recitativo, słyszane tylko przez jego uszy.

Tak, Siona była w Twierdzy. Nie, nie kontaktowała się ze swoimi współtowarzyszami buntownikami. "Nie, jeszcze nie wie, że jestem tu i obserwuję ją". Atak na ambasadę? Został dokonany przez rozłamową frakcję, nazywającą się Ugrupowanie Dla Kontaktu Z Tleilaxanami.

Leto westchnął z dezaprobatą. Buntownicy zawsze nadawali swym organizacjom pretensjonalne nazwy.

- Czy któryś z nich przeżył? - zapytał.

- O nikim takim nie wiadomo.

Leto stwierdził, że to śmieszne, że podczas gdy metaliczny głos nie przekazywał żadnych emocjonalnych tonów, to dostarczała ich przepastna pamięć Boga Imperatora.

- Skontaktujesz się z Sioną - rzekł. - Ujawnij, że jesteś Mówiącą-do-Ryb. Powiedz jej, że nie wyjawiłaś tego wcześniej, bo wiedziałaś, że nie ufałaby ci, i bałaś się wykrycia, bo byłaś jedyną wśród Mówiących-do-Ryb, która się z nią sprzymierzyła. Powiedz jej, że przysięgasz na wszystko, co dla ciebie ś w i ę t e , że będziesz słuchać jej we wszystkim. Jeżeli ci coś rozkaże, zrobisz to. Zresztą, jak dobrze wiesz, to wszystko jest prawdą.

- Tak, Panie.

Pamięć prorocza podsunęła mu fanatyczną emfazę, z jaką - na pewno - Nayla wypowie te słowa. Usłucha go.

- Jeżeli to możliwe, stwarzaj okazje, by Duncan Idaho pozostawał z Sioną sam na sam - powiedział.

- Tak, Panie.

"Niech pokrewieństwo dusz robi swoje" - pomyślał.

Przerwał połączenie z Nayla, pomyślał przez chwilę, potem posłał po dowódczynię oddziałów na placu. Baszarka zjawiła się błyskawicznie, jej ciemny mundur był poplamiony i zakurzony, na butach widniały ślady krwi. Była wysoką, chudą jak szkielet kobietą, której rysom wiek nadał orli wygląd i wrażenie niezmiernej godności. Leto przypomniał sobie, jak ją nazywano w oddziale, Ijiljo, co w języku Dawnych Fremenów zaczyło "Ta, Na Której Można Polegać". Zwrócił się do niej jednak przez jej matronimicum, Nejszae, "Córka Szae", co nadało temu spotkaniu ton subtelnej bliskości.

- Spocznij na poduszce, Nejszae - powiedział. - Ciężko pracowałaś.

- Dziękuję, Panie.

Usiadła na czerwonej poduszce, z której korzystała Hwi. Leto zauważył oznaki znużenia na twarzy Nejszae, ale jej oczy pozostawały uważne. Wpatrzyła się w niego, oczekując słów.

- Raz jeszcze uspokoiło się w moim mieście - powiedział to jakby na pół stwierdzał, na pół pytał, pozostawiając Nejszae interpretację.

- Uspokoiło się, ale nie jest w porządku, Panie.

Spojrzał na posokę na jej butach.

- Ulica przed ambasadą Ix?

- Została oczyszczona. Zaczęto dokonywać już napraw.

- A plac?

- Rano będzie wyglądał tak, jak gdyby nic nie zaszło.

Jej wzrok pozostawał utkwiony w jego twarzy. Oboje wiedzieli, że nie dotarli jeszcze do sedna tej rozmowy. Leto zidentyfikował już jednak to, co czaiło się w wyrazie twarzy Nejszae.

"Jest dumna ze swego Pana."

Po raz pierwszy widziała, jak Bóg Imperator zabija. Nasiona nierozerwalnej zależności zostały rozrzucone. Mój Pan zjawi się, kiedy zagrozi niebezpieczeństwo. To właśnie biło z jej oczu. Nie będzie już dłużej działać z zupełna niezależnością, czerpiąc odtąd siłę z Boga Imperatora i będąc osobiście odpowiedzialną za czyniony z niej użytek. Było w tym coś z opętania. Straszna maszyna śmierci czekała pod parą, gotowa na wezwanie.

Leto nie podobało się to, co widział, ale szkoda już się stała. Wszelkie próby uzdrowienia wymagać będą powolnych i subtelnych nacisków.

- Skąd atakujący zdobyli rusznice laserowe? - zapytał.

- Z naszych własnych składów. Straż arsenału została już wymieniona.

W y m i e n i o n a . To był eufemizm, ale dość dokładnie oddawał rzeczywistość. Mówiące-do-Ryb, które zawiodły, zostawały odizolowane i zachowywane w odwodzie, dopóki Leto nie natykał się na problemy wymagające Komand Śmierci. Oczywiście zginęłyby chętnie, wierząc, że w ten sposób odkupują swój grzech. Nawet plotka, że takie bersekerki mogłyby wkroczyć do akcji, wystarczała czasem do uśmierzenia kłopotów.

- Arsenał został splądrowany przy użyciu materiałów wybuchowych? - zapytał.

- Podstępu i materiałów wybuchowych. Straż arsenału okazała niedbałość.

- Źródło tych materiałów?

We wzruszeniu ramion Nejszae uwidoczniała się część jej znużenia.

Leto mógł się jedynie z tym gestem zgodzić. Wiedział, że może odszukać i poznać owe źródła, ale nie miałoby to większego sensu. Zdecydowani ludzie zawsze mogli znaleźć składniki do wyrobu materiałów wybuchowych - tak pospolite rzeczy jak cukier, barwniki, zupełnie zwyczajne oleje i niewinne nawozy, tworzywa sztuczne i rozpuszczalniki oraz wyciągi z błota. Lista prawie nie miała końca, stając się coraz dłuższą wraz z powiększaniem się ludzkiego doświadczenia i wiedzy. Nawet jeżeli chodziło o społeczeństwo takie jak to, które stworzył i w którym starał się ograniczyć domieszkę technologii i nowych ideologii, nie mógł mieć żadnej realnej nadziei, że zupełnie wyeliminuje istnienie broni. Cała idea kontrolowania czegoś takiego była chimerą, niebezpiecznym i rozpraszającym mitem. Kluczem było ograniczenie pragnienia przemocy. Pod tym względem ta noc była totalną klęską.

"Tak wiele nowej niesprawiedliwości" - pomyślał.

Jak gdyby czytała w jego myślach, Nejszae westchnęła.

"Oczywiście. Mówiące-do-Ryb od dzieciństwa uczy się unikania niesprawiedliwości, kiedy jest to możliwe."

- Musimy zająć się tymi, którzy przeżyli - rzekł. - Trzeba zadbać, by ich potrzeby zostały zaspokojone. Muszą mieć świadomość, że za to, co zaszło, należy winić Tleilaxan.

Nejszae skinęła głową. Nie osiągnęłaby stanowiska baszarki, będąc nieświadomą reguł gry. Już teraz wierzyła. Wierzyła w winę Tleilaxan, słysząc o niej tylko od Leto. Poza tym w jej sposobie rozumowania tkwił pewien zmysł praktyczny. Wiedziała, dlaczego nie wszyscy Tleilaxanie zostali zabici.

"Nie eliminuje się wszystkich kozłów ofiarnych."

- I koniecznie trzeba urządzić coś odwracającego uwagę - powiedział Leto. - Na szczęście jest jedna taka rzecz pod ręką. Powiadomię cię o tym później, po naradzeniu się z Hwi Noree.

- Ambasadorką Ix, Panie? Czy ona nie jest zamieszana w...

- Jest całkowicie bez winy - odparł.

Widział, jak ufność zaczyna gościć w rysach Nejszae. Nawet Nejszae. Znał powód, bo sam go stworzył, ale czasami czuł się przelękniony własnym dziełem.

- Słyszę, że lady Hwi wchodzi właśnie do przedsionka - powiedział. - Wpuść ją, gdy będziesz wychodziła. I, Nejszae...

Podniosła się, ale stała w milczącym oczekiwaniu.

- Dziś wieczór awansowałem Kieuemę na podbaszarkę - rzekł. - Zadbaj o to, żeby to załatwiono urzędowo. Co do ciebie, jestem z ciebie zadowolony. Proś, a otrzymasz.

Wiedział, że formuła ta sprawiła Nejszae ogromną przyjemność, ale strażniczka opanowała ją natychmiast, raz jeszcze dowodząc swej wartości.

- Poddam Kieuemę próbie, Panie - odrzekła. - Jeżeli ją przejdzie, to czy będę mogła pojechać na wakacje? Od wielu lat nie widziałam swojej rodziny na Salusa Secundus.

- Kiedy tylko zechcesz - powiedział. I pomyślał: "Salusa Secundus. Oczywiście."

Ta wzmianka o miejscu jej pochodzenia skojarzyła mu, kogo Nejszae mu przypominała: Harq al-Adę. "Ma krew Corrinów. Jesteśmy bliższymi krewnymi, niż myślałem."

- Mój Pan jest hojny - rzekła.

Zostawiła go następnie, wychodząc na nowo sprężystym krokiem. Usłyszał jej głos w przedsionku:

- Lady Hwi, nasz Pan przyjmie cię teraz.

Weszła Hwi, przez moment oświetlona zza pleców przez światło dobywające się z przedsionka, wahając się chwilę, dopóki jej oczy nie przystosowały się do mroku we wnętrzu sali. Jak ćma zbliżyła się do blasku odbijającego się na twarzy Leto, odwracając wzrok jedynie po to, by szukać wzdłuż jego pogrążonego w cieniu ciała śladów zranień. Wiedziała, że żaden taki znak nie byłby widoczny, ale ból przez to nie był wcale mniejszy.

Od razu spostrzegł, że Hwi utyka, bardzo ostrożnie stawiając prawą nogę, ale zranienie ukrywała długa nefrytowozielona szata. Dziewczyna zatrzymała się u brzegu zagłębienia, w którym znajdował się Wóz, patrząc prosto w oczy Leto.

- Mówiono mi, że jesteś ranna, Hwi. Boli cię?

- Mam skaleczenie na nodze pod kolanem. Kawałek tynku niesiony siłą wybuchu. Twoje Mówiące-do-Ryb posmarowały ranę balsamem znieczulającym. Panie, bałam się o ciebie.

- A ja o ciebie, moja łagodna Hwi.

- Poza tym pierwszym wybuchem nie byłam w niebezpieczeństwie, Panie. Zaciągnięto mnie do pomieszczenia głęboko pod ambasadą.

"Zatem nie widziała mojego pokazu - pomyślał. - Mogę być za to wdzięczny."

- Posłałem po ciebie, by prosić cię o wybaczenie - rzekł. Usiadła na złotej poduszce.

- Co mam ci wybaczyć, Panie? Nie byłeś przyczyną tego, co...

- Jestem poddawany próbie, Hwi. -Ty?

- Przez tych, którzy pragną poznać głębię mojej troski o Hwi Noree.

Wskazała palcem na siebie.

- To... było z mojego powodu?

- Z naszego.

- Och! Ale kto...

- Zgodziłaś się mnie poślubić, Hwi, a ja... - Podniósł dłoń, by ją uciszyć, gdy zaczęła mówić. - Anteac powiedziała mi o tym, co jej wyjawiłaś, ale to nie Anteac zdradziła.

- Więc kto...?

- To nie jest ważne, kto. Ważne jest, byś to przemyślała. Muszę dać ci możliwość zmiany zdania.

Opuściła wzrok.

"Jak słodkie są jej rysy" - pomyślał.

Tylko w wyobraźni mógł spędzić ludzkie życie u boku Hwi. W kłębowisku wspomnień było dość takich, z których mógł zbudować fantazję małżeńskiego życia. W jego mrzonce nabierało ono niuansów - drobnych szczegółików, wspólnych doświadczeń, dotknięć, pocałunków, wszystkich tych rozkosznych aktów dzielenia się - na podstawie których powstałoby coś o bolesnym pięknie. Odczuwał na skutek tego ból, ból o wiele dotkliwszy niż ten z powodu ran poniesionych przed ambasadą.

Hwi podniosła głowę i spojrzała prosto w jego oczy. W jej spojrzeniu zobaczył pełne współczucia pragnienie przyjścia mu z pomocą.

- Ale jak inaczej mogę ci służyć, Panie?

Powtórzył sobie wtedy, że należy do naczelnych, choć nie jest nim już w pełni. Różnica pogłębiała się z każdą upływającą minutą.

Ból wewnątrz niego pozostawał wciąż żywy. Hwi była nieuniknioną rzeczywistością, czymś tak zasadniczym, że nie mogłoby tego wyrazić żadne ze słów. Ból wewnątrz niego stawał się większy, niż Leto był w stanie znieść.

- Kocham cię, Hwi. Kocham cię tak, jak mężczyzna może kochać kobietę... choć to niemożliwe. To się nigdy nie spełni.

Łzy popłynęły z jej oczu.

- Mam odejść? Mam wrócić na Ix?

- Skrzywdziliby cię tam tylko, starając się wykryć, co się popsuło w ich planie.

"Ujrzała mój ból - pomyślał. - Zna jego daremność. Frustrację. Co zrobi? Nie skłamie. Nie powie, że odwzajemnia mą miłość jak kobieta mężczyźnie. Wie, że byłoby to bezcelowe. Zna też swoje własne uczucia do mnie - współczucie, lęk i ciekawość, która ma w pogardzie strach."

- Zatem zostanę - powiedziała. - Będziemy czerpać z bycia razem tyle przyjemności, ile będzie można. Myślę, że najlepiej będzie, jeżeli tak właśnie zrobimy.

- Więc będę musiał podzielić się z tobą wiedzą, której nie dzieliłem jeszcze z nikim - odparł. - To da ci władzę nade mną, która...

- Nie rób tego, Panie! Co będzie, jeżeli ktoś mnie zmusi do...

- Nigdy więcej nie opuścisz mego dworu. Moje kwatery tutaj, Twierdza, bezpieczne schronienia na terenie Seriru - one będą twoim domem.

- Jak zechcesz, Panie.

"Jak łagodna i otwarta jest jej spokojna akceptacja" - pomyślał. Czuł, że musi stłumić w sobie to bolesne pulsowanie. Samo w sobie stanowiło ono niebezpieczeństwo dla niego i Złotej Drogi. "Ci cwani Ixianie!"

- Malky widział, jak wszechpotężni byli zmuszani do zadowalania się nieustającym łabędzim śpiewem - wodą na młyn samozachwytu.

"W tym drobnym kaprysie zawarta jest przerażająca siła." Hwi odczytała to milczenie jako oznakę niepewności:

- Zostaniemy sobie poślubieni, Panie?

- Tak.

- Czy nie trzeba by zrobić czegoś z opowieściami Tleilaxan o...

- Nie.

Popatrzyła na niego, przypominając sobie ich wcześniejszą rozmowę. "Nasiona rozpadu zostały posiane."

- Obawiam się, że przez zaślubiny osłabię twoją moc. Panie.

- Więc musisz znaleźć sposoby, by ją wzmocnić.

- Czy pomoże ci to, jeżeli nadszarpniemy wiarę w Boga Leto?

Dosłyszał w jej tonie ślad tonu Malky'ego, to charakterystyczne ważenie każdego słowa, które czyniło go tak czarującym. "Nigdy do końca nie wymykamy się nauczycielom z naszego dzieciństwa" - pomyślał.

- Twoje pytanie prosi się o odpowiedź - rzekł. - Wielu wciąż będzie wierzyło zgodnie z moim planem, inni uwierzą kłamstwom.

- Panie... czy poprosiłbyś, bym kłamała dla ciebie?

- Oczywiście, że nie, ale będę cię prosił, byś milczała, podczas gdy ty może chciałabyś mówić.

- A jeżeli oni będą cię lżyć...

- Nie zaprotestujesz.

Raz jeszcze łzy popłynęły po jej policzkach. Leto pragnął ich dotknąć, ale te łzy były wodą... bolesną wodą.

- Tak być musi - powiedział ze smutkiem.

- Wyjaśnisz mi to, Panie?

- Kiedy odejdę, z pewnością nazwą mnie Szejtanem, Cesarzem Gehenny. Koło jednak wciąż musi toczyć się po Złotej Drodze.

- Panie, czy gniew nie mógłby być wymierzony jedynie we mnie? Ja nie...

- Nie! Ixianie stworzyli cię bardziej doskonałą, niż zamierzali. Naprawdę cię kocham. Nic na to nie poradzę.

- Nie chcę przysparzać ci bólu! - Te słowa wydarła z siebie siłą.

- Co się stało, to się nie odstanie. Nie bolej nad tym.

- Pomóż mi to zrozumieć.

- Nienawiść, która w sposób nieunikniony będzie kwitła po moim odejściu, również w sposób nieunikniony zniknie w przeszłości. Minie dużo czasu. Wtedy, pewnego bardzo odległego dnia, zostaną odnalezione moje dzienniki.

- Dzienniki? - Hwi była poruszona pozorną zmianą tematu.

- Kroniki moich czasów. Moje twierdzenia, moja apologia. Istnieją kopie, z których przetrwają rozproszone fragmenty, niektóre w niewłaściwej postaci, ale prawdziwe dzienniki będą długo czekać. Dobrze je ukryłem.

- A kiedy zostaną odnalezione?

- Ludzie dowiedzą się, że byłem kimś zupełnie innym od tego, za kogo mnie uważali.

Jej głos był drżący i przytłumiony:

- Wiem już, czego się dowiedzą.

- Tak, moja droga Hwi, myślę, że wiesz.

- Nie jesteś ani diabłem, ani bogiem, ale kimś, kogo przed tobą nigdy nie widziano ani nie będzie się widzieć po tobie, ponieważ usuwasz taką potrzebę. - Otarła łzy z policzków.

- Hwi, uświadamiasz sobie, jak jesteś niebezpieczna?

W wyrazie jej twarzy pojawiło się skupienie.

- Masz zadatki na świętą - powiedział. - Czy rozumiesz, jak bolesne może być odkrycie świętej osoby w złym czasie i złym miejscu?

Potrząsnęła głową.

- Ludzi trzeba przygotowywać na nadejście świętych - dodał. - Inaczej stają się po prostu wyznawcami, suplikantami, żebrakami i pochlebcami, na zawsze pogrążonymi w cieniu owych świętych. Ludzi to niszczy, bo umacnia tylko ich słabość.

Po chwili namysłu kiwnęła głową i zapytała:

- Kiedy odejdziesz, czy będą jacyś święci?

- Taki jest cel Złotej Drogi.

- Córka Monea, Siona, czy ona...

- Na razie jest tylko buntowniczką. Pozwolimy jej zadecydować samej o swojej świętości. Może zrobi tylko to, ku czemu została spłodzona.

- Do czego, Panie?

- Przestań nazywać mnie Panem. Będziemy Czerwiem i żoną. Mów mi Leto, jeśli chcesz. "Pan" przeszkadza.

- Tak, Pa... Leto. Ale co z...

- Sionę spłodzono, by rządziła. W czymś takim tkwi niebezpieczeństwo. Kiedy rządzisz, wyzyskujesz wiedzę o władzy. To może prowadzić do porywczej nieodpowiedzialności, do wielu bolesnych wyskoków, a to z kolei - stać się podstawą do straszliwego czynnika niszczącego - do nieokiełznanego hedonizmu.

- Siona by...

- Wszystko, co wiemy o Sionie, to tylko to, że potrafi pozostać oddana jednemu celowi, celowi, który wypełnia jej umysł. Jest niemalże arystokratką, ale arystokrata z zasady ogląda się na przeszłość. To klęska. W ten sposób nie dostrzega się nic, co znajduje się na drodze, chyba że się jest Janusem, patrzącym równocześnie za i przed siebie.

- Janus? Ach, tak, bóg o dwóch przeciwstawnych obliczach. - Zwilżyła wargi językiem. - Jesteś Janusem, Leto?

- Jestem miliardkrotnym Janusem. Jestem jednak również czymś mniej. Byłem na przykład tym, kogo moi zarządcy podziwiają najbardziej - podejmującym decyzje, z których każdą można było wprowadzić w życie.

- Ale jeżeli ich zawiedziesz...

- Zwrócą się przeciw mnie, owszem.

- Czy Siona zastąpi cię, jeżeli...

- Aaach, cóż za potężne "jeżeli"! Zauważyłaś, że Siona zagraża mojej osobie. Nie grozi jednakże Złotej Drodze. Faktem jest też, że Mówiące-do-Ryb żywią pewne przywiązanie do Duncana.

- Siona wydaje się... taka młoda.

- A ja jestem jej ulubionym pozerem, uzurpatorem dzierżącym władzę, nie mając po temu prawa, nigdy nie biorącym pod uwagę potrzeb swojego ludu.

- Czy nie mogłabym z nią porozmawiać i...

- Wszyscy bogowie mają ten sam problem, Hwi. Postrzegając głębsze potrzeby, często muszą lekceważyć te bezpośrednie. Dla młodych brak zainteresowania potrzebami chwili to straszna obraza.

- Czy nie mógłbyś przedstawić jej swoich argumentów i...

- Nigdy nie próbuj przekonywać ludzi, którzy wiedzą, że mają rację.

- Ale kiedy wiadomo, że jej nie mają...

- Wierzysz we mnie?

- Tak.

- A gdyby ktoś próbował przekonać cię, że jestem największym złem wszechczasów?

- Byłabym bardzo zagniewana, chciałabym... - Przerwała.

- Rozum jest coś warty - odrzekł - tylko wtedy, gdy operuje na bezsłownym tle wszechświata.

Jej brwi ściągnęły się w namyśle. To było dla Leto fascynujące - odczuwać, jak budzi się jej świadomość.

- Aaaach - westchnęła.

- Żadne obdarzone rozumem stworzenie nie będzie nigdy w stanie zaprzeczyć doświadczeniu Leto Atrydy - powiedział. - Widzę, że zaczynasz rozumieć. Początki! To o nie chodzi w całym życiu!

Skinęła głową.

"Żadnych argumentów - pomyślał. - Kiedy dojrzy ślady, podąży za nimi, aby się dowiedzieć, dokąd prowadzą."

- Tak długo, jak istnieje życie, każdy koniec jest początkiem - powiedział. - A ja uratuję ludzkość, nawet przed nią samą.

Znów skinęła głową. Ślady wciąż prowadziły przed siebie.

- To dlatego żadna śmierć w trakcie istnienia rodzaju ludzkiego nie może być kompletną klęską - powiedział. - To dlatego narodziny dotykają nas tak mocno. To dlatego najtragiczniejszą śmiercią jest śmierć kogoś młodego.

- Czy Ix zagraża twojej Złotej Drodze? Zawsze wiedziałam, że oni knują coś złego.

"O n i knują. Hwi nie słyszy wiadomości zawartej we własnych słowach. Nie musi jej słyszeć."

Patrzył na nią, oczarowany cudownością, jaką była Hwi. Miała ten rodzaj uczciwości, którą niektórzy nazwaliby naiwną, ale którą Leto rozpoznawał jedynie jako nieświadomą siebie. Uczciwość nie była jądrem jej istoty, to Hwi sama była uczciwością.

- Urządzę jutro na placu występ - powiedział Leto. - To będzie występ ocalałych Tancerzy Oblicza. Potem oznajmimy o naszych zaręczynach.

Niech nikt nie wątpi, że jestem zgromadzeniem naszych przodków, areną, na której ćwiczą oni moje posunięcia. Są moimi komórkami, a ja jestem ich ciałem. To, o czym mówię, to favrashi, dusza, zbiorowa podświadomość, źródło archetypów, składnica wszelkich urazów i radości. Jestem wyborem ich przebudzenia. Moje samhadi to ich samhadi. Ich doświadczenia są moje! Ich przedestylowana wiedza jest moim dziedzictwem! Te miliardy należą do mnie.

"Wykradzione dzienniki"

Występ Tancerzy Oblicza zajął prawie dwie godziny poranka, a później nastąpiło oświadczenie, które wywołało osłupienie w całym Mieście Świątecznym.

"Od setek lat nie brał sobie oblubienicy!"

"Od ponad tysiąca, moja kochana!"

Parada Mówiących-do-Ryb była krótka. Pozdrawiały go głośno, ale były zaniepokojone.

"Jesteście moimi jedynymi oblubienicami" - powiedział. Czyż nie to oznaczał Siajnok?

Leto pomyślał, że Tancerze Oblicza grali dobrze, pomimo wyraźnego przerażenia. W głębiach fremeńskiego muzeum odkryto stroje - czarne szaty z kapturami i pasami ze sznura oraz zielonymi jastrzębiami z rozpostartymi skrzydłami wyszytymi na plecach - mundury wędrownych kapłanów Muad'Diba. Tancerze Oblicza przybrali poważne, pobrużdżone rysy pasujące do tych szat i przedstawili sztukę baletową o tym, jak legiony Muad'Diba objęły swą religią całe Imperium.

Hwi, mająca na sobie lśniącą, srebrzystą suknię i doskonale pasujący do niej naszyjnik z nefrytów, przez cały czas siedziała na Wozie Królewskim obok Leto. W pewnej chwili nachyliła się blisko jego twarzy i zapytała:

"Czy to nie parodia?"

"Dla mnie - być może."

"Czy Tancerze Oblicza to wiedzą?"

"Podejrzewają."

"Więc nie są tak przerażeni, na jakich wyglądają."

"Och, tak, są przerażeni. Są tylko odważniejsi, mi spodziewa się tego większość ludzi."

"Odwaga może być bardzo głupia" - szepnęła.

"I na odwrót."

Spojrzała na niego, ważąc jego słowa, zanim wróciła uwagą do występu. Masakrę przeżyło prawie dwustu Tancerzy Oblicza. Wszyscy tłoczyli się teraz na scenie. Fascynujące były te zawiłe układy i figury. Można było je obserwować, zapominając na chwilę o krwawym wstępie poprzedniego dnia.

Leto przypominał sobie to wszystko, leżąc na krótko przed północą w małej sali przyjęć - kiedy zjawił się Moneo. Moneo odprowadził Matkę Wielebną Anteac na pokład lichtugi Gildii, urządził naradę Dowództwa Mówiących-do-Ryb na temat wydarzeń poprzedniego dnia, wykonał krótki lot ornitopterem do Twierdzy i z powrotem, by upewnić się, że Siona znajduje się pod nadzorem i że nie była zamieszana w atak na ambasadę. Powrócił do Onn tuż po ogłoszeniu zaręczyn, o których nikt go wcześniej nie poinformował.

Moneo wpadł w furię. Leto nigdy nie widział go tak rozgniewanego. Starzec wpadł do sali i zatrzymał się zaledwie dwa metry przed twarzą Leto.

- Teraz uwierzą w kłamstwa Tleilaxan! - wykrzyknął.

- Jakie natrętne jest żądanie - odpowiedział Leto mentorskim tonem - by nasi bogowie byli doskonali. Grecy byli o wiele bardziej rozsądni w takich sprawach.

- Gdzie ona jest? - zapytał z naciskiem Moneo. - Gdzie jest ta...

- Hwi odpoczywa. To była ciężka noc i długi poranek. Chcę, żeby wypoczęła, zanim wróci dziś wieczorem do Twierdzy.

- Jak ona to zrobiła? - zapytał Moneo.

- Doprawdy, Moneo, zupełnie straciłeś swój zmysł rozwagi?

- Chodzi mi o ciebie! Masz pojęcie, Panie, co mówią w mieście?

- Jestem w pełni świadomy tych opowieści.

- Co ty właściwie wyprawiasz?

- Wiesz, Moneo, myślę, że jedynie panteiści mieli słuszne pojęcie o bóstwach: to śmiertelne kaprysy w nieśmiertelnym przebraniu.

Moneo wzniósł obie dłonie ku niebu.

- Widziałem, jak wyglądały ich twarze. - Opuścił ramiona. - To wszystko rozniesie się po całym Imperium w ciągu dwóch tygodni.

- Z pewnością nie tak szybko.

- Jeżeli twoi wrogowie potrzebowali jednej jedynej rzeczy do tego, by dojść do zgody...

- Kalanie bogów to pradawna ludzka tradycja, Moneo. Dlaczego miałbym być wyjątkiem?

Moneo usiłował odpowiedzieć, ale stwierdził, że nie jest w stanie wydusić z siebie słowa. Ruszył wzdłuż brzegu zagłębienia, w którym spoczywał Wóz Leto, po chwili zawrócił i stanął znów w poprzednim miejscu, patrząc w twarz Boga.

- Jeżeli mam ci pomóc, potrzebuję wyjaśnienia - powiedział. - Dlaczego to robisz?

- Z powodu uczuć.

Usta Monea wypowiedziały bezgłośnie jakieś słowo.

- Naszły mnie, choć już myślałem, że opuściły mnie na zawsze - powiedział Leto. - Jak słodkich jest tych kilka ostatnich łyków człowieczeństwa!

- Z Hwi? Ale na pewno nie możesz...

- Wspomnienia uczuć to nigdy nie dosyć, Moneo.

- Chcesz mi powiedzieć, że folgujesz sobie w...

- Folgowanie? Na pewno nie! Ale trójnóg, na którym zawieszona jest wieczność, składa się z ciała, myśli i uczucia. Czuję, że nie mogę zostać zredukowany do ciała i myśli.

- Dokonała nad tobą jakichś czarów - oskarżycielsko rzekł Moneo.

- Oczywiście, że tak, ale jestem jej za to bardzo wdzięczny. Jeżeli odrzucimy potrzebę myślenia, Moneo, tak jak to czynią niektórzy, to tracimy siłę refleksji, nie potrafimy określić tego, co komunikują nam nasze zmysły. Jeżeli odrzucimy ciało, to pozbawiamy kół wehikuł, który nas niesie. Ale jeżeli odrzucimy uczucia - wtedy tracimy kontakt z naszym wewnętrznym wszechświatem. To właśnie uczuć najbardziej mi brakowało.

- Panie, nalegam, żebyś...

- Gniewasz mnie, Moneo.

Leto widział gotującą się w Moneu furię, narastającą i hartującą się jak gorące żelazo wrzucone w lodowatą wodę. "Wciąż jest w nim trochę pary" - pomyślał.

- Nie dbam o siebie, Panie. Ty jesteś moją największą troską, i wiesz o tym.

- To twoje uczucie, Moneo - przemówił miękko Leto - i wysoko je sobie cenię.

Moneo głęboko, z drżeniem, zaczerpnął tchu. Nigdy przedtem nie widział Boga Imperatora w takim nastroju, rozmyślającego o uczuciu. Leto wydawał się zarówno podekscytowany, jak i zrezygnowany, jeżeli Moneo prawidłowo to odczytywał. Nie można było być tego pewnym.

- To, co sprawia, że życie jest słodkie dla istoty żyjącej - powiedział Leto - to, co nadaje mu ciepło i wypełnia je pięknem - to właśnie pragnę zachować, nawet jeżeli zostało mi odebrane.

- Więc ta Hwi Norce...

- W dobitny sposób przypomina mi o Dżihad Butlerjańskiej. Jest antytezą wszystkiego, co mechaniczne i nieludzkie. Jakie to dziwne, Moneo, że ze wszystkich ludzi właśnie Ixianie wydali tę szczególną osobę, która tak doskonale ucieleśnia cechy cenione przeze mnie najbardziej.

- Nie rozumiem tego nawiązania do Dżihad Butlerjańskiej, Panie. Dla maszyn, które myślą, nie ma miejsca...

- Celem, przeciw któremu zwróciła się ta Dżihad, były tak maszyny jak i mechaniczne podejście do rzeczywistości - powiedział Leto. - Ludzie stworzyli maszyny, które uzurpowały sobie nasze poczucie piękna, naszą niezbywalną tożsamość, dzięki której dokonujemy w życiu sądów. To oczywiste, że musiały zostać zniszczone.

- Panie, ja jednak wciąż odrzucam fakt, że poprosiłeś tę...

- Moneo! Hwi uspokaja mnie przez samą swoją obecność. Po raz pierwszy od stuleci nie jestem samotny, chyba że ona oddali się od mojego boku. Nawet gdybym nie miał innego dowodu na moje uczucie -już samo to wystarczyłoby.

Moneo zamilkł, wyraźnie przejęty wspomnieniem przez Leto samotności. Moneo był w stanie pojąć smutek niemożności dzielenia się miłością. Zdradzał to wyraz jego twarzy.

Po raz pierwszy Leto zauważył, jak bardzo Moneo się postarzał.

"To spada na nich zbyt nagle" - pomyślał.

Chwila refleksji wystarczyła, by Leto poczuł, jak wielka jest jego troska o Monea.

"Nie powinienem pozwolić na wikłanie się w związki, ale nic na to nie poradzę... Zwłaszcza teraz, gdy Hwi jest tutaj."

- Będą się z ciebie śmiali i wymyślali nieprzyzwoite dowcipy - powiedział Moneo.

- To dobrze.

- Dlaczego dobrze?

- To coś nowego. Naszym zadaniem było doprowadzenie tego, co nowe, do stanu równowagi, a przez to zmianę modelu zachowania nie wywołującą stłumienia żywotności ludzkości.

- Nawet jeżeli tak, to jak możesz być z tego zadowolony?

- Z wymyślania sprośnych dowcipów? - zapytał Leto. - Jakie jest tego przeciwieństwo?

Oczy Monea rozszerzyły się nagle z powodu nie wypowiedzianego pytania. Dostrzegł działanie wielu skrajności - problemów stających się zrozumiałymi dzięki swoim przeciwieństwom.

"Rzeczy odcinają się od tła, które je określa - pomyślał Leto. - Moneo na pewno to dostrzeże."

- To zbyt niebezpieczne - stwierdził Moneo. Ostateczny wyrok konserwatyzmu!

Moneo nie był przekonany. Z jego piersi wydarło się głębokie westchnienie. "Muszę pamiętać o tym, by nie odbierać im ich wątpliwości - pomyślał Leto. - W ten właśnie sposób zawiodłem na placu moje Mówiące-do-Ryb. Ixianie wykorzystują każdy, nawet najmniejszy objaw ludzkiego zwątpienia. Hwi jest na to dowodem."

W przedsionku zapanowało jakieś zamieszanie. Leto zamknął drzwi, by odciąć się od natarczywego hałasu.

- Mój Duncan przyszedł - powiedział.

- Pewnie usłyszał o twoich planach małżeńskich.

- Zapewne.

Leto obserwował, jak Moneo toczy wewnętrzną walkę z wątpliwościami. Myśli starca były dlań zupełnie przejrzyste. W tym momencie zachowanie Monea było tak bardzo ludzkie, że Leto zapragnął go uściskać.

"Jest w nim teraz pełne spektrum: od zwątpienia do absolutnej ufności, od miłości do nienawiści... Wszystko! Ogół tych cennych wartości, które owocują w cieple emocji, w chęci poświęcania się życiu."

- Dlaczego Hwi się na to zgadza? - zapytał Moneo.

Leto uśmiechnął się. "Moneo nie może we mnie zwątpić. Musi wątpić w innych."

- Przyznaję, że nie jest to konwencjonalny związek. Jest człowiekiem, należy do naczelnych, a ja już niestety nie - nie w pełni.

Moneo znów zaczaj zmagać się z kwestiami, które mógł tylko czuć, a nie wyrazić.

Patrząc na Monea, Leto poczuł przypływ obserwacyjnej świadomości, procesu zdarzającego się niezwykle rzadko, ale - kiedy już do niego dochodziło - mającego tak ogromne natężenie, że Leto nawet nie drgnął, by nie zamienić informacji w bezładny strumień przypadkowych słów.

"Istota naczelna myśli i dzięki temu żyje. Pod warstwą myślenia znajduje się coś, co pochodzi wprost z komórek ciała. To prąd człowieczej troski o gatunek. Czasami ludzie próbują go w sobie zdusić, otoczyć grubymi barierami, ale świadomie uczuliłem Monea na to działanie jego najgłębszej jaźni. Słucha mnie, bo wierzy, że wytyczyłem najlepszą drogę dla przeżycia ludzkości. Wie, że istnieje świadomość komórkowa. To właśnie odkrywam, kiedy badam Złotą Drogę. To ludzkość i obaj się co do tego zgadzamy: ona musi przetrwać."

- Kiedy, gdzie i jak odbędzie się ceremonia zaślubin? - zapytał Moneo.

"Nie: dlaczego" - zauważył Leto. Moneo nie starał się już zrozumieć dlaczego. Wrócił na bezpieczny grunt Był majordomem, kierującym Dworem Boga Imperatora, Premierem.

"Operuje nazwami, czasownikami i modyfikuje je w zależności od tego, co chce nimi wyrazić. Słowa będą dla niego pracowały na swój zwykły sposób. Moneo może nigdy nie dostrzec transcendentalnego potencjału swych słów, ale dobrze rozumie ich codzienne, przyziemne użycie."

- Co z moim pytaniem? - naciskał Moneo.

Leto zamrugał oczami, myśląc: "Ja z drugiej strony czuję, że słowa są najużyteczniejsze wtedy, gdy otwierają mi widok na jakże pociągające, nie odkryte jeszcze obszary. Użytek, jaki płynie ze słów, jest jednak tak mało doceniany przez cywilizację, która wciąż wierzy ślepo w mechanistyczny wszechświat absolutnego skutku i przyczyny - z pewnością dającego się zredukować do pojedynczego powodu - korzenia - i jedynego efektu - nasienia."

- Sofizmaty Ixian i Tleilaxan jak pijawki lgną do ludzkich spraw - powiedział Leto.

- Panie, bardzo mnie to niepokoi, kiedy nie zwracasz uwagi na to, co się do ciebie mówi.

- Ależ robię to, Moneo.

- Nie wobec mnie.

- Nawet wobec ciebie.

- Twoja uwaga błądzi, Panie. Nie musisz tego przede mną ukrywać. Prędzej zdradziłbym siebie, niż ciebie, Panie.

- Sądzisz, że zagubiłem wątek naszej dyskusji?

- Wątek? - Moneo nigdy przedtem nie dziwił się temu słowu, ale teraz...

Leto wyjaśnił aluzję, myśląc: "Jak głęboko wstecz sięga to wszystko! - W jego pamięci zaklekotały krosna i czółenka tkackie. - Od zwierzęcego futra do ludzkiego ubrania... od łowcy do pasterza... długie stopnie po drabinie świadomości... a teraz muszę zrobić kolejny, bardzo długi krok, dłuższy nawet niż starożytni."

- Pozwalasz sobie na próżne rozmyślania, Panie - oskarżył Moneo.

- Mam na to czas. To jedna z najbardziej interesujących rzeczy w mojej egzystencji jako pojedynczej wielości.

- Ale, Panie, są sprawy, które wymagają naszej...

- Byłbyś zaskoczony, co może wyniknąć z próżnych rozmyślań, Moneo. Nigdy nie martwiłem się stratą całego dnia na sprawy, którym człowiek nie poświęciłby nawet minuty. Dlaczego nie? Skoro czas mojego życia ma wynieść około czterech tysięcy lat, co znaczy jeden dzień mniej czy więcej? Ile czasu liczy sobie jedno ludzkie życie? Milion minut? Do tej pory doświadczyłem prawie tylu dni.

Moneo stał w milczeniu, przytłoczony porównaniem. Czuł, że jego własne życie zredukowane zostało do rozmiarów pyłka w oku Leto. Nie umknęło mu źródło tej aluzji.

"Słowa., słowa... słowa" - pomyślał.

- Słowa są często prawie bezużyteczne dla istot rozumnych - powiedział Leto.

Oddech Monea stał się tak płytki, że aż niezauważalny: jego Pan potrafi czytać w myślach.

- Przez całą naszą historię - powiedział Leto - najistotniejszym odstępem od słowa było przejście obok pewnych transcendentalnych wydarzeń, przydzielenie im miejsca w zaakceptowanych kronikach, wyjaśnienie ich w taki sposób, by później można było użyć tych słów i powiedzieć: to właśnie to znaczyło.

Moneo poczuł się pobity przez te słowa, pełen strachu przed niewypowiedzianymi rzeczami, do myślenia o których mogły go zmusić.

- Tak właśnie wydarzenia gubią się w historii - powiedział Leto.

Po długim milczeniu Moneo ośmielił się rzec:

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie, Panie. Chodzi o ślub.

"Jaki zmęczony ma głos - pomyślał Leto. - Jaki wydaje się krańcowo wyczerpany."

- Nigdy bardziej nie potrzebowałem twoich usług - przemówił raźno. - Zaślubiny muszą zostać zorganizowane z najwyższą starannością. Muszą mieć precyzję, którą tylko ty jesteś zdolny im nadać.

- Gdzie, Panie?

"Odrobina więcej życia w jego głosie."

- W wiosce Tabur na terenie Seriru.

- Kiedy?

- Pozostawiam tobie wybór daty. Ogłoś o tym, kiedy wszystko zostanie przygotowane.

- A sama ceremonia?

- Ja ją poprowadzę.

- Będziesz potrzebował asysty, Panie? Jakiegoś rodzaju pomocy?

- Pułapek rytuału?

- Jakichś szczególnych rzeczy, które mógłbym...

- Niewiele potrzeba mi do tej małej szarady.

- Panie! Błagam cię! Proszę!

- Będziesz stał obok panny młodej i oddasz mi ją za żonę - powiedział Leto. - Wykorzystamy dawny freme ński obrządek.

- Potrzebujemy więc pierścieni wodnych - powiedział Moneo.

- Tak. Skorzystam z pierścieni Ghani.

- Kto jeszcze będzie obecny?

- Ty, twoja rodzina, świta dworska, dworzanie z Twierdzy.

- Moja ro... - Moneo przełknął. - Włącznie z Sioną?

- Jeżeli przeżyje próbę.

- Ale...

- Czy nie należy do rodziny?

- Oczywiście, Panie, jest Atrydką i...

- Zatem to oczywiste, że masz ją w to włączyć.

Moneo wyjął z kieszeni niewielki memorekorder, matowy czarny wyrób Ixian, którego istnienie nadwerężało zakazy Dżihad Butlerjańskiej. Usta Leto dotknął pogodny uśmiech. Moneo zna swe obowiązki i teraz przystąpi do ich wykonywania.

Zgiełk czyniony na zewnątrz przez Duncana Idaho stał się bardziej donośny, ale Moneo wciąż ignorował ten hałas.

"Moneo zna cenę swoich przywilejów - pomyślał Leto. - To inny rodzaj małżeństwa - małżeństwo przywileju i obowiązku. To wyróżnienie arystokraty i jego wymówka."

Moneo zakończył notowanie.

- Jeszcze kilka szczegółów, Panie - powiedział. - Czy Hwi będzie nosić jakiś szczególny strój?

- Filtrfrak i szatę freme ńskiej panny młodej. Autentyczne.

- Klejnoty bądź inne błyskotki?

Wzrok Leto utkwiony był w palcach Monea bazgrzących po małym memorekorderze.

Zdolność przywódcza, rozwaga, poczucie wiedzy i porządku - Moneo posiadał tego wszystkiego pod dostatkiem. Otaczały go jak aura świętego, ale przed wszystkimi oczyma, oprócz oczu Leto, kryły zarazę atakującą od wewnątrz. Było to nieuniknione. Kiedy Leto odejdzie, ta słabość Monea stanie się widoczna dla wszystkich.

- Panie? - ponaglił Moneo. - Trzymasz wątek?

"Aha, spodobało mu się nowe słówko!"

- To wszystko - powiedział Leto. - Tylko szata, filtrfrak i pierścienie wody.

Moneo skłonił się i odwrócił.

"Patrzy teraz przed siebie - pomyślał Leto - ale nawet to nie potrwa długo. Znowu zwróci się ku przeszłości. A ja żywiłem wobec niego takie nadzieje... Cóż... może Siona..."

Mój ojciec powiedział: "Nie będziesz kreował bohaterów."

- Głos Ghanimy z Przekazów Ustnych

Już po samym sposobie, w jaki Idaho przemierzył salę, gdy jego głośne żądania przyjęcia zostały wreszcie spełnione, Leto mógł dostrzec w gholi głęboką zmianę. Było to coś powtarzającego się tak wiele razy, że stało się dla Leto doskonale znajome. Duncan nie wyrzekł nawet słowa pozdrowienia do wychodzącego Monea. Wszystko to odpowiadało schematowi. Jak nudny stał się ten wzór!

Leto miał nazwę na tę przemianę. Określał ją jako "syndrom »odkąd«".

Ghole często żywiły podejrzenia co do tajemnych rzeczy, które mogły rozwinąć się w ciągu stuleci niepamięci, odkąd ostatni raz posiadali świadomość. Co ludzie robili przez ten cały czas? Dlaczego mogli mnie chcieć, ten relikt przeszłości? Żadna jaźń nie mogła przezwyciężyć podobnych wątpliwości na stałe - zwłaszcza w wątpiącym człowieku.

Jeden z gholi oskarżył Leto: "Wkładasz w moje ciało urządzenia, urządzenia, o których nic nie wiem! One mówią ci o wszystkim, co robię! Wszędzie mnie szpiegujesz!"

Inny oskarżył go o posiadanie "maszyny manipulującej, zmuszającej nas do tego, byśmy pragnęli czynić tylko to, co ty chcesz".

Gdy się już raz objawił, syndromu "odkąd" nigdy nie można było całkowicie wyeliminować. Można go było kontrolować, nawet odwrócić, ale drzemiące nasiona mogły wykiełkować przy pierwszej lepszej okazji.

Idaho zatrzymał się w miejscu, w którym stał Moneo, a w jego oczach krył się cień jakiegoś nieokreślonego podejrzenia, podobnie jak w układzie jego ramion. Leto spokojnie pozwalał, by napięcie rosło z sekundy na sekundę. Idaho spojrzał na Boga Imperatora, następnie zlustrował pomieszczenie. Leto rozpoznał sposób, w jaki ghola to uczynił.

"Duncanowie nigdy nie zapominają."

Badając pokój przy użyciu metod, których nauczyli go stulecia wcześniej lady Jessika i mentat Thufir Hawat, Idaho doznał wywołującego zawrót głowy uczucia bycia w niewłaściwym miejscu. Pomyślał, że ta sala, każda w niej rzecz, odrzucają go - miękkie poduszki: wielkie, pufiaste, o złotej, zielonej i czerwonej barwie; fremeńskie kobierce, z których każdy był obiektem muzealnym, zwalone na stertę dookoła zagłębienia, w którym znajdował się Leto; fałszywe słoneczne światło ixiańskich kul świętojańskich, światło otaczające twarz Boga Imperatora surowym blaskiem, sprawiające, że cienie dookoła pogłębiają się i stają bardziej tajemnicze; zapach herbaty przyprawowej gdzieś w pobliżu i ta głęboka woń melanżu, która promieniuje z czerwiowego ciała

Idaho czuł, że przydarzyło mu się zbyt wiele w zbyt krótkim czasie, odkąd Tleilaxanie porzucili go na łaskę Luli i "Przyjaciółki" w owym pozbawionym jakichkolwiek szczególnych cech pokoju-celi więziennej.

"Zbyt wiele... zbyt wiele..."

"Naprawdę tu jestem? - zastanawiał się. - Czy to jestem ja? Co to za myśli, które mnie nachodzą?"

Zapatrzył się w Leto - zanurzoną w cieniu, niezwykłą masę, spoczywającą w bezruchu na Wozie wewnątrz zagłębienia. Sam spokój tego ogromnego ciała sugerował jakąś tajemniczą energię, niezwykłe moce, które mogły zostać uwolnione w sposób, którego nikt nie był w stanie przewidzieć.

Idaho słyszał opowieści o walce pod ixiańską ambasadą, ale sprawozdania Mówiących-do-Ryb emanowały aurą cudownego nawiedzenia, która zaciemniała konkretne dane.

"Przemknął między nimi i dokonał potwornej rzezi wśród grzeszników."

"W jaki sposób to zrobił?" - zapytywał Idaho.

"Był r o z g n i e w a n y m Bogiem" - odpowiedziała jego informatorka

"Rozgniewany - pomyślał Idaho. - Czy to z powodu zagrożenia dla Hwi?" Słyszał różne opowieści. Nie można było dać wiary żadnej z nich. Hwi poślubiona temu monstrualnemu... To niemożliwe! Nie śliczna Hwi, Hwi o takiej delikatności. "Gra w jakąś potworną grę, bada nas... poddaje próbie." W obecnych czasach nie było uczciwej rzeczywistości, żadnego spokoju, z wyjątkiem tego pojawiającego się wraz z obecnością Hwi. Wszystko inne było szaleństwem.

Gdy wrócił uwagą do twarzy Leto - tego wyczekującego w ciszy atrydzkiego oblicza - poczucie bycia w niewłaściwym miejscu jeszcze wzrosło. Idaho zaczął się zastanawiać, czy dzięki silniejszemu wewnętrznemu skupieniu byłby w stanie przełamać owe niewidzialne bariery i przypomnieć sobie wszystkie doświadczenia poprzednich gholi.

"Co myśleli, kiedy wchodzili do tej sali? Czy czuli całą niestosowność przebywania w tym miejscu, to odrzucenie?"

"Jeszcze tylko trochę dodatkowego wysiłku."

Czuł zawroty głowy i bał się, że zemdleje.

- Coś nie w porządku, Duncanie? - Był to najrozsądniejszy i najbardziej uspokajający ton głosu Leto.

- To poczucie nierzeczywistości - powiedział Idaho. - Nie należę do tego miejsca.

Leto wybrał błędną interpretację jego słów:

- Ale strażniczka powiedziała mi, że przyszedłeś tu na własne życzenie, że sam przyleciałeś z powrotem do Twierdzy i zażądałeś natychmiastowego posłuchania.

- Chodziło mi o t u i t e r a z . O tę chwilę!

- Ale ja ciebie potrzebuję.

- Do czego?

- Rozejrzyj się dookoła, Duncanie. Sposobów, na jakie możesz mi pomóc, jest tak wiele, że nie byłbyś w stanie ich wszystkich wypróbować.

- Ale twoje kobiety nie pozwalają mi walczyć! Zawsze, kiedy chcę się udać tam, gdzie...

- Wątpisz w to, że jesteś cenniejszy żywy niż martwy? - Leto wydał z siebie nieartykułowany dźwięk i po chwili kontynuował: - Rusz głową, Duncanie! To właśnie to, co cenię najbardziej.

- I moje nasienie. To także cenisz.

- Należy do ciebie, możesz z nim robić, co zechcesz.

- Nie zostawię po sobie wdowy, sierot, tak jak...

- Duncanie! Powiedziałem, że wybór należy do ciebie.

Idaho przełknął i powiedział:

- Popełniłeś zbrodnię przeciw nam, Leto, przeciw nam wszystkim - gholom, które wskrzesiłeś, nie pytając nawet, czy tego chcemy.

To był zwrot w myśleniu Duncanów. Leto popatrzył na Idaho z zainteresowaniem.

- Jaką zbrodnię?

- Och, słyszałem, jak wypowiadasz swoje głębokie przemyślenia - powiedział Idaho oskarżycielsko. Wskazał kciukiem przez ramię na wejście do sali. - Wiesz, że słychać cię tam, w przedpokoju?

- Tylko wtedy, kiedy chcę, żeby mnie słyszano.

"Jedynie moje dzienniki słyszą o wszystkim."

- Chciałbym jednak poznać naturę mojej zbrodni.

- Istnieje czas, Leto, czas, w którym żyjesz. Czas, w którym powinieneś żyć. Czas ten, kiedy go przeżywasz, może mieć pewną magię. Wiesz, że nigdy więcej nie ujrzysz czasu takiego jak ten.

Leto mrugnął oczyma, przejęty zdenerwowaniem Idaho. Te słowa budziły pewne skojarzenia.

Idaho podniósł obie dłonie wewnętrzną stroną ku górze na wysokość piersi, jak żebrak proszący o coś, choć wie, że i tak tego nie otrzyma

- Potem... budzisz się pewnego dnia i przypominasz sobie własną agonię... i całą potworność Tleilaxan, którzy cię obudzili... i wszystko ma zacząć się od nowa. Ale się nie zaczyna.. Nigdy. To zbrodnia!

- Odebrałem temu całą magię?

- Tak!

Idaho pozwolił dłoniom opaść i zwinął je w pięści. Czuł, jakby stał samotnie naprzeciw strumienia napędzającego koło młyńskie, strumienia, który porwałby go, wykorzystując najmniejszą chwilę nieuwagi.

- Co sprawiło, że z takim pośpiechem wróciłeś do Twierdzy? Idaho wciągnął głęboko powietrze i zapytał:

- Czy to prawda? Masz zamiar się ożenić?

- Prawda.

- Z tą Hwi Noree, Ambasadorką Ix?

- Tak.

Idaho obrzucił szybkim spojrzeniem ogromne ciało Boga Imperatora.

"Zawsze starają się doszukać narządów płciowych - pomyślał Leto. - Może powinienem kazać coś sobie dorobić, jakiś obrzydliwy wyrostek, który by ich szokował. - Zdławił w sobie chichot, który groził roześmianiem się w głos. - Kolejne uczucie wzmocnione do granic. Dzięki ci, Hwi. Dzięki, Ixianie."

Idaho potrząsnął głową.

- Ale ty...

- W małżeństwie są też inne istotne elementy oprócz seksu - powiedział Leto. - Czy będziemy mieli dzieci? Nie. Ale konsekwencje tego związku zaprawdę będą pokaźne.

- Słyszałem twoją rozmowę z Moneem - powiedział Idaho. - Myślałem, że to musi być jakiś żart, jakiś...

- Ostrożnie, Duncanie!

- Kochasz ją?

- Bardziej niż jakikolwiek mężczyzna kochał kobietę.

- Dobrze, ale co z nią? Czy ona...

- Ona czuje... domagające się jej reakcji współczucie, potrzebę dzielenia się wszystkim ze mną, ofiarowania wszystkiego, co może ofiarować. Taka ma naturę.

Idaho stłumił w sobie uczucie odrazy.

- Moneo ma rację. Wielu uwierzy w opowieści Tleilaxan.

- To jedna z owych poważnych konsekwencji.

- A ty wciąż pragniesz, abym... zaczął żyć z Sioną!

- Znasz moje pragnienia. Wybór pozostawiam tobie.

- Co to za kobieta, ta Nayla?

- Spotkałeś Naylę? To dobrze.

- Ona i Siona zachowują się jak siostry. Niezły kawał baby. Co tu się dzieje, Leto?

- A co sobie wyobrażasz? I jakie to ma znaczenie?

- Nigdy nie spotkałem takiej prostaczki! Przypomina mi Bestię Rabbana. Człowiek nie domyśliłby się, że ona jest kobietą, gdyby nie...

- Spotkałeś ją już wcześniej - powiedział Leto. - Poznałeś ją jako Przyjaciółkę.

Idaho patrzył na niego w nagle zapadłym milczeniu, milczeniu chowającego się w norze stworzenia wyczuwającego jastrzębia.

- Więc jej ufasz - rzekł Idaho.

- Ufam? Co to jest zaufanie?

"Chwila nadeszła" - pomyślał Leto. Widział, jak wszystko nabiera powoli kształtu w myślach Idaho.

- Zaufanie jest konsekwencją przysięgi na wierność - powiedział Idaho.

- Takie, jakie istnieje między tobą a mną? - zapytał Leto. Gorzki uśmiech przemknął po wargach Idaho.

- Zatem to właśnie robisz z Hwi Noree? Małżeństwo, przysięga...

- Hwi i ja już teraz ufamy sobie nawzajem.

- Ufasz mi, Leto?

- Gdybym nie mógł wierzyć Duncanowi Idaho, nie mógłbym wierzyć nikomu.

- A jeżeli ja nie mogę zawierzyć tobie?

- No to mi cię żal.

Na Idaho słowa te podziałały niemal tak, jak silne uderzenie. Jego oczy rozszerzyły się od niewypowiedzianych pragnień. Chciał ufać. Chciał magii, która nigdy już nie miała powrócić.

- Słyszą nas w przedsionku? - zapytał.

- Nie.

"Ale mój dziennik słyszy!" - pomyślał.

- Moneo był wściekły. Wszyscy to widzieli. Niemniej wyszedł stąd jak potulny baranek.

- Moneo to arystokrata. Wziął ślub z obowiązkiem, z odpowiedzialnościami. Kiedy przypomni mu się o tych rzeczach, jego gniew znika.

- Zatem w ten sposób go kontrolujesz! - rzekł Idaho.

- On sam się kontroluje - odparł Leto, przypominając sobie, w jaki sposób Moneo podniósł wzrok znad memorekodera, nie dla upewnienia się, czy dobrze słyszał, ale aby przywołać swoje poczucie obowiązku.

- Nie - rzekł Idaho. - To nie on się kontroluje. Ty to robisz.

- Moneo zamknął siebie w przeszłości. Ja tego nie zrobiłem.

- Ale on jest arystokratą... Atrydą.

Leto przypomniał sobie starzejącą się twarz Monea, myśląc, jak nieuniknione było to, że arystokrata odmówi wykonania swojego ostatecznego obowiązku - to znaczy usunięcia się z drogi i zniknięcia z historii. Trzeba go tam będzie odprowadzić. A on się z tym pogodzi. Żaden arystokrata nigdy nie przeciwstawił się konieczności zmian.

Idaho jeszcze nie był pokonany:

- Jesteś arystokratą, Leto? Leto uśmiechnął się.

- Absolutny arystokrata umiera wewnątrz mnie. - I pomyślał: "Przywilej staje się arogancją. Arogancja zachęca do niesprawiedliwości. Kwitną kwiaty upadku."

- Chyba nie wezmę udziału w twoich zaślubinach - powiedział Idaho. - Nigdy nie myślałem o sobie jako o arystokracie.

- Ależ jesteś nim. Byłeś arystokratą miecza.

- Paul bywał lepszy - odparł Idaho.

- Ponieważ to ty mnie wyuczyłeś! - przemówił Leto głosem Muad'Diba. I wracając do swego normalnego tonu: - Milczącym obowiązkiem arystokraty jest uczyć i to niekiedy poprzez budzący grozę przykład.

I pomyślał: "Wyniosłość z powodu szlachetnego urodzenia wiedzie ku nędzy i wewnętrznej słabości rodu. Łatwa jest droga do próżnej dumy wynikającej z bogactwa i zasług przodków. Pojawiają się nuworysze dążący do władzy, jak Harkonnenowie, wykorzystujący ancient regime."

Cykl powtarzał się z taką uporczywością, że Leto doszedł do wniosku, iż każdy mógłby przewidzieć działanie mechanizmu, który pozwala pewnym gatunkom rozwijać się i nie ginąć.

"Ale nie, wciąż mamy w sobie ten pęd ku autodestrukcji, który muszę wykorzenić."

- Czy jest jakaś granica? - zapytał Idaho. - Czy jest jakaś granica, którą mógłbym przekroczyć i nigdy w tym nie uczestniczyć?

- Jeżeli ma być jakakolwiek, musisz mi pomóc ją stworzyć - powiedział Leto. - Nie ma teraz miejsca, dokąd nie mogliby podążyć za tobą inni, aby cię odnaleźć.

- Więc nie pozwolisz mi odejść?

- Odejdź, jeśli chcesz. Inni Duncanowie również tego próbowali. Ale powiadam ci, nie ma granicy, żadnego miejsca, by się ukryć. Właśnie teraz, po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna, ludzkość jest podobna do jednokomórkowego organizmu, połączona złowrogim klejem.

- Żadnych nowo odkrytych planet? Żadnych obcych...

- Och, oczywiście, rozrastamy się, ale nie dzielimy.

- Bo ty trzymasz nas razem! - oskarżył.

- Nie wiem, czy potrafisz to zrozumieć, Duncanie, ale jeżeli istnieje granica, jakakolwiek granica, wtedy to, co zostawisz po jej przekroczeniu, nie może być ważniejsze od tego, co znajdzie się przed tobą.

- Jesteś przeszłością!

- Nie, przeszłość to Moneo. Jest skory do wznoszenia staroświeckich arystokratycznych barier wzdłuż wszystkich granic. Musisz docenić siłę tych barier. One zamykają nie tylko planety i kraje, ale i ograniczają rozprzestrzenianie idei. Tłumią zmiany.

- Ty je tłumisz!

"Nie zmieni zdania - pomyślał Leto. - Zatem jeszcze jedna próba."

- Najpewniejszą oznaką, że arystokracja istnieje, jest odkrycie zapór przeciwko zmianom, żelaznych kurtyn, stalowych i kamiennych zasłon czy jakichkolwiek innych bytów, które wykluczają to, co nowe, co inne.

- Wiem, że musi gdzieś istnieć granica - powiedział Idaho. - Ukrywasz ją.

- Nie kryję jej. Ja jej pragnę! Pragnę niespodzianek! "Dochodzą aż do tego miejsca - pomyślał Leto. - Później przestają o tym mówić."

Zgodnie z jego przewidywaniem, myśli Idaho przerzuciły się na nowy temat:

- Naprawdę Tancerze Oblicza mają wystąpić na twoich zaręczynach?

Leto poczuł przypływ gniewu, po którym przepełniło go gorzkie zadowolenie z tego, że potrafił doświadczyć emocji o takim natężeniu. Pragnął pozwolić sobie wrzasnąć na Duncana... Ale to by niczego nie rozwiązało.

- Wystąpią - rzekł.

- Dlaczego?

- Chcę, by wszyscy dzielili moje szczęście.

Idaho spojrzał nań z takim wyrazem twarzy, jak gdyby właśnie odkrył obrzydliwego robaka w swojej zupie.

- To najbardziej cyniczne słowa, jakie słyszałem z ust Atrydy - rzekł głucho.

- Ale Atryda je wypowiedział.

- Rozmyślnie starasz się wyprowadzić mnie z równowagi! Unikasz odpowiedzi na moje pytanie.

"Kolejne starcie" - pomyślał Leto.

- Tancerze Oblicza z Bene Tleilax to organizm kolonijny - rzekł. - Pojedynczo są bezpłodni. Jak muły. To wybór, którego dokonali wobec siebie, sami.

Zamilkł, myśląc: "Muszę być cierpliwy. Duncanowie muszą do tego dochodzić sami. Jeżeli ja im to mówię, nie wierzą mi. Myśl, Duncanie! Myśl!"

Idaho przerwał panującą ciszę:

- Złożyłem ci przysięgę. To dla mnie ważne. Wciąż ważne. Nie wiem, co robisz ani dlaczego. Mogę jedynie powiedzieć, że nie podoba mi się to, co się tu dzieje. Tak. Tak powiedziałem!

- To dlatego wróciłeś z Twierdzy?

- Tak!

- Czy masz zamiar tam wrócić?

- A jest jakaś inna granica?

- Bardzo dobrze, Duncanie! Twój gniew wie o tym, nawet gdy twój rozsądek nie. Hwi odleci do Twierdzy wieczorem. Dołączę do niej jutro.

- Chciałbym poznać ją lepiej - powiedział Idaho.

- Masz jej unikać - rzekł twardo Leto. - To rozkaz. Hwi nie jest dla ciebie.

- Zawsze wiedziałem, że istnieją czarownice - odparł Idaho. - Matka twojej matki była jedną z nich.

Odwrócił się na pięcie i nie pytając o pozwolenie, wyszedł.

"Jest tak podobny do małego chłopca - pomyślał Leto, obserwując sztywność kroków Idaho. - Jednocześnie najstarszy i najmłodszy człowiek w naszym wszechświecie - wszystko razem w jednym ciele."

Proroka nie rozpraszają iluzje przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. To zachowawczość języka powoduje takie linearne rozróżnienie. Prorocy posiadają klucz do tajemnicy języka. Mechaniczny obraz pozostaje dla nich tylko obrazem. Wszechświat nie jest mechanistyczny. Liniowa sekwencja zdarzeń jest narzucona przez obserwatora. Przyczyna i skutek? Zupełnie nie tak. Prorok wypowiada słowa przeznaczenia. Spogląda na rzeczy, "których losem jest się zdarzyć". Chwila proroctwa uwalnia jednak coś, co posiada nieskończoną doniosłość i moc. Wszechświat ulega zmianie. Tak oto mądry prorok ukrywa realność za efektownymi frazami. Niewtajemniczeni wierzą wtedy, ze język proroctw jest wieloznaczny. Słuchacz nie dowierza prorokowi dostarczającemu informacji. Jednoznaczna wypowiedź druzgocze siłę jasnowidczych słów. Najlepsi prorocy doprowadzają nas do zasłony i pozwalają spojrzeć przez nią samemu.

"Wykradzione dzienniki"

- Duncan nie jest mi posłuszny - zwrócił się Leto do Monea najchłodniejszym tonem, jakiego kiedykolwiek użył.

Znajdowali się w przestronnym pokoju o ścianach wyłożonych kamieniami złotej barwy, znajdującym się na szczycie południowej wieży Twierdzy. Minęło już trzy dni od powrotu Leto ze Święta Dziesięciolecia w Onn. Przez otwarty portal rozciągał się widok na Serir. Niezbyt silny wiatr dął z przejmującym, świszczącym wyciem. Niósł ze sobą pył i piach, co zmuszało Monea do mrużenia oczu. Leto wydawał się nie dostrzegać jego cierpienia. Wpatrywał się w Serir, gdzie powietrze falowało od gorąca. Odległe, opływowe kształty wydm sugerowały niestałość krajobrazu, którą zauważały tylko jego oczy.

Moneo stał, czując kwaśną woń własnego lęku. Zdawał sobie sprawę, że podmuchy wiatru niosą informację o jego strachu do zmysłów Leto. Organizacja ślubu, niepokój wśród Mówiących-do-Ryb - wszystko to było paradoksalne. Przypominało Moneowi coś, co Bóg Imperator powiedział w pierwszych dniach ich współpracy:

"Paradoks to wskazówka mówiąca, byś zajrzał w jej głąb. Jeżeli paradoksy cię niepokoją, zdradza to twoje nieodparte pragnienie absolutów. Relatywiści traktują paradoks jako coś jedynie interesującego, może zabawnego, albo nawet, strach pomyśleć, kształcącego."

- Nie odpowiadasz - rzekł Leto. Przestał patrzeć na Serir i skoncentrował uwagę na Moneu.

Moneo zdobył się jedynie na wzruszenie ramion. "Jak blisko jest Czerw?" - zastanawiał się. Zauważył, że powrót z Onn do Twierdzy czasami pobudzał Czerwia. Nie pojawił się jeszcze żaden znak tej straszliwej przemiany, ale Moneo czuł jej bliskość. Czy Czerw mógł zjawić się bez ostrzeżenia?

- Przyspiesz przygotowania do ślubu - powiedział Leto. - Niech odbędzie się tak szybko, jak to tylko możliwe.

- Zanim poddasz Sionę próbie?

Leto milczał przez chwilę, po czym rzekł:

- Nie. Co zrobisz z Duncanem?

- Co chcesz, żebym zrobił, Panie?

- Powiedziałem mu, żeby nie widywał się z Noree, żeby jej unikał. Powiedziałem mu, że to rozkaz.

- Ona żywi dla niego współczucie, Panie. Nic więcej.

- Dlaczego miałaby je odczuwać w stosunku do niego?

- To ghola. Nie należy do naszych czasów, nie posiada żadnych korzeni.

- Ma korzenie równie silne co ja!

- Ale nie zdaje sobie z tego sprawy, Panie.

- Spierasz się ze mną, Moneo?

Moneo cofnął się o pół kroku, wiedząc, że nie oddali go to od niebezpieczeństwa.

- Och, nie, Panie. Zawsze jednak staram się mówić ci szczerze o tym, co, jak sądzę, się dzieje.

- Powiem ci, co się dzieje. On się do niej zaleca.

- Ale to ona chciała się z nim spotykać, Panie.

- Więc wiedziałeś o tym!

- Nie wiedziałem, że absolutnie tego zakazałeś, Panie.

- On jest sprytny wobec kobiet, Moneo - powiedział Leto zamyślonym głosem - nadzwyczaj cwany. Z Duncanami zawsze tak było.

- Nie wiedziałem, Panie, że zabroniłeś wszelkich spotkań między nimi! - głos Monea stał się niemalże piskliwy.

- On jest bardziej niebezpieczny niż ktokolwiek inny - powiedział Leto. - To wina obecnych czasów.

- Panie, Tleilaxanie nie mają gotowego następcy dla niego.

- A potrzebujemy go?

- Sam tak powiedziałeś, Panie. To paradoks, którego nie rozumiem, ale sam tak powiedziałeś.

- Jak długo potrwa, zanim następca będzie gotowy?

- Co najmniej rok, Panie. Mam zapytać o dokładną datę?

- Zrób to jeszcze dziś.

- On może się o tym dowiedzieć, Panie. Tak było z poprzednim.

- Nie chcę, żeby się to powtórzyło, Moneo!

- Wiem, Panie.

- I nie waż się powiedzieć o tym Hwi - rzekł Leto. - Duncan nie jest dla niej. A mimo to może ją zranić! - To ostatnie zdanie brzmiało niemal jak jęk.

Wystraszony Moneo stał w milczeniu.

- Nie dostrzegasz tego? - zapytał Leto. - Moneo, pomóż mi!

- Widzę, że z Noree jest inaczej - rzekł Moneo - ale nie wiem, co robić.

- Co jest inaczej? - dociekliwość w głosie Leto zmroziła krew w żyłach Monea.

- Mam na myśli twój stosunek do niej, Panie. To odmienne od wszystkiego, co kiedykolwiek w tobie dostrzegłem.

Moneo zauważył pierwsze oznaki - drżenie rąk Boga Imperatora, szklistość oczu. "O Bogowie - pomyślał. - Czerw nadchodzi!" Starzec czuł się kompletnie bezbronny. Najmniejszy ruch wielkiego ciała zmiażdżyłby go o ścianę. "Muszę odwołać się do człowieka w nim" - zdecydował.

- Panie - powiedział Moneo - czytałem historie i słyszałem twoje własne słowa dotyczące twojego małżeństwa z siostrą, Ghanimą.

- Gdybyż ona była teraz ze mną... - rzekł Leto.

- Ona nigdy nie była twoją żoną, Panie.

- Co ty insynuujesz? - zapytał z naciskiem Leto. Drżenie jego rąk stało się spazmatycznym drganiem.

- Była... to znaczy, Panie, Ghanimą była partnerką Harq al-Ady.

- Oczywiście, że tak! Wy wszyscy, Atrydzi, pochodzicie od nich!

- Czy jest coś, czego mi nie powiedziałeś, Panie? Czy to możliwe z Hwi Noree... czy mógłbyś z nią współżyć?

Dłonie Leto dygotały tak silnie, że Moneo zdziwił się, że ich właściciel nie zdaje sobie z tego sprawy. Chorobliwy blask wielkich, błękitnych oczu stawał się coraz bardziej widoczny.

Moneo cofnął się o kolejny krok ku drzwiom, na schody będące drogą ucieczki z tego grożącego śmiercią miejsca.

- Nie pytaj mnie o możliwości - powiedział Leto, a jego głos brzmiał jakby z bardzo daleka, z przeszłości.

- Nigdy więcej, Panie - powiedział Moneo. Kłaniając cofnął się tak, że stał teraz tylko o krok od drzwi. - Pomówię z Noree, Panie... i z Duncanem.

- Zrób, co tylko w twojej mocy - głos Leto dobiegał teraz z tych przestrzeni, do których tylko on miał dostęp.

Moneo ostrożnie wymknął się przez drzwi. Zamknął je za sobą i oparł o nie plecami, drżąc na całym ciele. "Aaach, nigdy jeszcze nie był tak blisko!"

Paradoks jednak pozostał. Na co wskazywał? Co oznaczały dziwne decyzje Boga Imperatora? Co przywołało Czerwia, Który-Jest-Bogiem?

Z orlego gniazda Leto rozległ się łomot, potężne uderzenia o kamień. Moneo nie odważył się powrócić do komnaty, by sprawdzić, co się dzieje. Odepchnął się od drzwi poruszających się w rytm owego przerażającego dudnienia i zaczął schodzić po schodach, ostrożnie, niemal nie oddychając, dopóki nie znalazł się obok strażniczki, Mówiącej-do-Ryb.

- Jest rozgniewany? - zapytała, patrząc w górę schodów. Moneo skinął głową. Oboje zupełnie wyraźnie słyszeli hałas.

- Co go zirytowało? - dopytywała się strażniczka.

- Jest Bogiem, a my jesteśmy śmiertelnikami - powiedział Moneo. To była odpowiedź", która zazwyczaj zadowalała Mówiące-do-Ryb, ale obecnie służbę pełniły nowe oddziały. Kobieta spojrzała mu prosto w oczy i Moneo zobaczył tuż pod powierzchnią jej łagodnych rysów subtelne oznaki, że była wyszkolona na assassina. Jej względnie młody wiek, kasztanowe włosy i twarz zdominowana przez zadarty w górę nos i pełne wargi kontrastowały z zimnem i surowością oczu. Tylko głupiec odwróciłby się do nich plecami.

- To nie ja go zdenerwowałem - powiedział Moneo.

- Oczywiście, że nie - zgodziła się. Jej spojrzenie odrobinę złagodniało. - Ale chciałabym wiedzieć, k t o albo co to zrobiło.

- Myślę, że niecierpliwi się z powodu tego małżeństwa - powiedział Moneo. - Myślę, że właśnie o to chodzi.

- Więc przyspieszcie ten dzień! - odparła.

- To właśnie mam zamiar zrobić - odrzekł Moneo. Odwrócił się i ruszył w głąb długiego holu do własnych pomieszczeń. Bogowie! Mówiące-do-Ryb stawały się równie niebezpieczne co Bóg Imperator!

"Ten głupi Duncan! Naraża nas wszystkich na niebezpieczeństwo! I Hwi Noree również. Co z nią zrobić?"

Wzorzec monarchii i innych podobnych systemów niesie informację wartościową dla wszystkich formacji politycznych. Moje wspomnienia upewniają mnie, że każdego typu rządy mogą skorzystać z tego przesłania. Rządy mogą być pożyteczne dla rządzonych tylko tak długo, jak długo powstrzymywane są naturalne tendencje władzy, zmierzające ku tyranii. Jednak poza swymi gwiazdorskimi cechami monarchowie mają również trochę zalet. Potrafią zredukować rozmiary i pasożytniczą naturę biurokracji. W razie konieczności potrafią podejmować szybkie decyzje. Odpowiadają prastaremu ludzkiemu pragnieniu rodzicielskiej (plemienno-feudalnej) hierarchii, w której każda jednostka zna swoje miejsce. Znać swoje miejsce - to coś na wskroś wartościowego, nawet jeżeli jest to sytuacja przejściowa. Bycie przetrzymywanym w miejscu wbrew woli jest irytujące. Dlatego właśnie nauczam o tyranii w najlepszy z możliwych sposobów - przez przykład. Nawet jeżeli będziecie czytać te słowa po upływie eonów, moja tyrania nie zostanie zapomniana. Zapewnia to Złota Droga. Oczekuję, że znając moje przesłanie, będziecie wyjątkowo ostrożni w powierzaniu władzy jakiemukolwiek rządowi.

"Wykradzione dzienniki"

Leto starannie i cierpliwie przygotowywał się na swoje pierwsze osobiste spotkanie ze Sioną od czasów wysłania jej w dzieciństwie do szkół Mówiacych-do-Ryb w Mieście Świątecznym. Powiedział Moneowi, że chce się z nią widzieć w Małej Twierdzy, wieży obserwacyjnej, którą kazał wybudować na środku Seriru. Miejsce to było źródłem wiedzy o tym, co należało do historii, przyszłości, oraz tym, co działo się pomiędzy. Do Małej Twierdzy nie prowadziły żadne drogi, goście przybywali ornitopterami. Leto pojawiał się tam jak gdyby przy pomocy magii.

We wczesnym okresie panowania użył ixiańskiej maszyny do wydrążenia tajnego tunelu pod Serirem, sam wykonując całą pracę. W owym czasie niewiele wolnych czerwi pustyni przemierzało jeszcze pustynię. Leto otoczył swój tunel ścianami stopionego krzemu, w których potworzył niezliczone pęcherze odpychającej czerwie wody. Rozmiar tunelu był przewidziany na jego maksymalny wzrost i potrzeby Wozu Królewskiego, który w owym czasie był jedynie ideą w jego wizji.

We wczesnej godzinie dnia przeznaczonego dla Siony Leto zjechał do krypty i wydał straży rozkazy, że nikomu nie wolno mu przeszkadzać. Pospieszył Wozem w jeden z ciemnych tuneli krypty, w którym otworzył tajne przejście, i po mniej niż godzinie znalazł się w Małej Twierdzy.

Jedną z jego ulubionych rozrywek było wychodzenie samemu na piach. Bez Wozu. Niosło go jedynie jego ciało pre-czerwia. Poprzez skórę odczuwał piasek jako coś wykwintnie zmysłowego. Ciepło jego przejścia o świcie przez wydmy wywoływało słup pary, która z kolei wymagała od niego ciągłego ruchu. Zatrzymywał się dopiero wtedy, gdy znalazł względnie suchą połać piachu co najmniej pięć kilometrów dalej. Leżał tam, nie zważając na dokuczliwą, choć w śladowej ilości, wilgoć. Jego ciało znajdowało się tu poza długim cieniem wieży.

Z odległości trzech tysięcy metrów wieża wyglądała jak niesamowita igła wkłuta w niebo. Tylko natchniona fuzja poleceń Leto i ixiańskiej wyobraźni mogła stworzyć tę budowlę. Mająca sto pięćdziesiąt metrów średnicy wieża spoczywała na fundamencie zagłębionym w piasek równie głęboko, ile sama ponad niego wystawała. Magia plastali i superlekkich stopów sprawiła, że smukła twierdza opierała się wiatrowi i niesionym przezeń ziarnom piasku.

Leto tak bardzo zachwycało to miejsce, że ujął w karby własne wizyty, układając długą listę zasad, którym musiał się podporządkowywać. Reguły składały się na "Wielką Konieczność".

Leżąc tu, na kilka chwil mógł zrzucić z siebie ciężar Złotej Drogi.

Moneo, dobry i godny zaufania Moneo, zadba o to, żeby Siona przybyła wkrótce po zachodzie słońca. Leto miał cały dzień na relaks i przemyślenia, na udawanie, że nie ma żadnych trosk, na rozkoszowanie się kontaktem z piaskiem, na co nigdy nie mógł sobie pozwolić w Onn czy Twierdzy. W tych miejscach musiał się ograniczać do ukradkowego zagłębiania się w wąskie korytarze, w których tylko przyszłowidcza ostrożność zapobiegała natykaniu się na wodne kieszenie. Tu jednak mógł poruszać się pod ziemią, żywić się i stawać silniejszym.

Piach chrzęścił pod nim, gdy sunął, wyginając ciało w czystym, zwierzęcym zadowoleniu. Czuł, jak jego czerwia jaźń odnawia się, to elektryzujące odczucie, śląc - uzdrowienia.

Słońce stało już wysoko nad horyzontem, malując na boku wieży złotą linię. W powietrzu czuć było gorzki zapach kurzu i woń dalekich kolczastych roślin, które odpowiadały za śladową wilgoć poranka. Leto, zrazu spokojny, zaczął krążyć dookoła wieży, rozmyślając o Sionie.

Nie można było dłużej zwlekać. Musiała zostać poddana próbie. Moneo wiedział o tym równie dobrze jak Leto.

Właśnie tego poranka Moneo powiedział:

"Panie, w niej tkwi straszna gwałtowność."

"Wykazuje początki kompletnego uzależnienia od adrenaliny - odparł Leto. - Czas na odtrucie."

"Jakie odtrucie, Panie?"

"To staroświeckie wyrażenie. Oznacza, że musi się ona zupełnie wyłączyć ze wszystkiego. Musi przejść wstrząs detoksykacji."

"Oooch... rozumiem."

Leto uświadomił sobie, że tym razem Moneo rozumiał. Miał już za sobą proces odtrucia.

"Młodzi są zasadniczo niezdolni do podejmowania trudnych decyzji, chyba że łączą się one z przemocą i nagłym zastrzykiem adrenaliny do krwi" - wyjaśnił Leto.

Moneo stał przez chwilę w refleksyjnym milczeniu, następnie rzekł:

"To wielkie niebezpieczeństwo."

"To gwałtowność, którą dostrzegasz w Sionie. Nawet starzy ludzie potrafią przy niej trwać, ale młodzi wprost się w niej pławią."

Okrążając wieżę w coraz intensywniejszym świetle dnia, Leto rozmyślał o tej rozmowie. Zwolnił nieco swój pęd przez piasek. Tlen wydzielany przez niego wskutek tarcia powracał do jego nozdrzy, nawiewany przez wiatr, wraz z zapachem rozgrzanego krzemu.

Ten dzień był dniem szczególnym! Leto wyznaczył sobie nań wiele zadań. Myślał o nadchodzącym spotkaniu podobnie jak starożytny torreador o swojej pierwszej próbie z rogatym przeciwnikiem. Rogi Siony, aczkolwiek niematerialne, były równie groźne, chociaż Moneo na pewno zadba o to, by nie przyniosła na spotkanie żadnej broni. Leto musiał być jednak pewny tego, że zna każdą słabość Siony. I że będzie musiał wywołać u niej wyjątkową podatność na swój wpływ. Musiał umiejętnie skrępować siłę jej osobowości.

Wkrótce po południu, nasyciwszy jaźń czerwia, Leto wrócił do wieży, wpełzł z powrotem na Wóz i uniósł się na dryfach na sam szczyt, do wejścia, które otwierało się tylko na jego rozkaz. Przez resztę dnia siedział w swym orlim gnieździe, myśląc, planując.

Gdy tylko zapadła noc, w powietrzu zaszumiały skrzydła ornitoptera, oznajmiając przybycie Monea.

Wiernego Monea.

Leto uruchomił półkę lądowiska wysuwającą się ze szczytu wieży. Ornitopter zawisł nad nią ze złożonymi skrzydłami. Po chwili wylądował. Leto wpatrywał się w maszynę, dobrze widoczną mimo gęstniejących ciemności. Siona wyszła z pojazdu i ostrożnie ruszyła ku Bogu Imperatorowi, zlękniona otwierającą się ze wszystkich stron przepaścią. Strażniczka miała na sobie białą szatę narzuconą na czarny mundur pozbawiony dystynkcji. Obejrzała się w chwili, gdy wkraczała do wieży, potem odwróciła wzrok w stronę Leto, oczekującego na Wozie prawie dokładnie pośrodku komnaty. Ornitopter poderwał się i pomknął w ciemność. Leto pozostawił wysuniętą półkę oraz otwarte wejście.

- Po przeciwnej stronie wieży jest balkon - powiedział. - Chodźmy tam.

- Dlaczego? - spytała Siona podejrzliwie.

- Tam jest chłodno - odparł Leto. - Gdy kieruję głowę w tamtą stronę, czuję zimny powiew na policzkach.

Ciekawość sprawiła, że Siona podeszła do niego. Leto zamknął za nią wejście.

- Widok z tego balkonu jest cudowny nocą - stwierdził.

- Dlaczego tu jesteśmy?

- Bo nikt nas tutaj nie podsłucha.

Leto wykręcił swój Wóz i cicho wjechał na balkon. Wskutek najmniej intensywnego z możliwych oświetlenia wewnątrz orlego gniazda, Siona ledwo mogła dostrzec jego ruch. Leto usłyszał, że kobieta podąża za nim.

Balkon o kształcie półksiężyca znajdował się na południowo-wschodnim łuku wieży. Balustradę stanowiła sięgająca do piersi stojącego człowieka, koronkowej roboty kratownica. Siona oparła się o nią i spojrzała na rozpościerający się widok.

Leto wyczuwał jej pełne napięcia wyczekiwanie. Miały tu paść słowa przeznaczone wyłącznie dla jej uszu. Cokolwiek by to było, wysłucha i da absolutnie szczerą odpowiedź. Leto wyjrzał przez jej ramię na skraj Seriru, którego mur graniczny widoczny był w świetle Pierwszego Księżyca jako cienka, ciemna linia. Dzięki swemu niezwykle silnemu wzrokowi Bóg Imperator dostrzegł sunące w oddali z Onn karawany, nikłe światła pojazdów ciągniętych przez thorsy, sunących drogą ku wsi Tabur.

Był w stanie przywołać ze wspomnień obraz wsi pełnej zieleni rosnącej w wilgotnej strefie wzdłuż muru od wewnętrznej strony Seriru. Jego Muzealni Fremeni hodowali tam palmy daktylowe, wysokie trawy, a nawet zakładali sady, z których owoce sprzedawali. Wszystko zmieniło się od tych dawnych czasów, kiedy każde zamieszkałe miejsce, nawet drobne zagłębienie z kilkoma niskimi roślinami, żywionymi przez pojedynczy zbiorniczek i oddzielacz wiatru, wydawało się buchać życiem na tle bezkresu otwartej pustyni. Wieś Tabur była bogatym w wodę rajem w porównaniu z siczą Tabr. Wszyscy we wsi wiedzieli, że bezpośrednio za granicznym murem Seriru płynie na południe długą prostą linia rzeka Idaho, teraz zapewne mieniąca się srebrzystym blaskiem w świetle księżyca. Muzealni Fremeni nie mogli wspiąć się po gładkiej powierzchni muru, ale i tak wiedzieli, że z dru-

giej strony jest woda. Ziemia również to wiedziała. Gdyby mieszkaniec Tabur przyłożył do niej ucho, przemówiłaby odgłosem dalekich wodospadów.

Leto pomyślał, że teraz nad brzegami przelatują nocne ptaki, istoty, które w innym świecie żyłyby tylko w świetle dnia. Diuna rzuciła na nie swoje ewolucyjne czary i zostawiła na łasce i niełasce Seriru. Leto widział ich cienie mknące po falach oraz kręgi na wodzie pojawiające się, gdy któryś z nich nurkował, by się napić.

Nawet z tej odległości Leto wyczuwał siłę emanującą z tej dalekiej wody, jakąś potęgę z przeszłości, przeszłości, która oddalała się od niego jak strumień spływający na południe w krainę farm i lasów. Rzeka toczyła się wśród pagórków, oddzielając Serir od połaci zieleni, która zastąpiła wszystkie pustynie Diuny oprócz tego ostatniego bastionu, tego reliktu przeszłości.

Przypomniał sobie ryk ixiańskich maszyn, które wyżłobiły w tym krajobrazie koryto rzeki. Wydawało się, że było to tak niedawno, nieco ponad trzy tysiące lat temu.

Siona wzdrygnęła się i odwróciła, patrząc na niego, ale Leto zachował milczenie. Nad horyzontem lśniło blade bursztynowe światło, łuna miasta odbita w dalekich chmurach. Leto wiedział, że pochodzi ona z Portu Ściennego, przeniesionego z surowej północy w cieplejszy klimat południa. Blask miasta był jak okno w przeszłość. Leto czuł, jak wiązka tego światła trafia prosto w jego pierś, przenika przez grubą łuskowatą błonę, która zastąpiła jego ludzką skórę.

"Nie jestem odporny na wszystko" - pomyślał.

Mimo to wiedział, że jest panem tego miejsca. A planeta była jego władcą.

"Jestem jej częścią."

Po prostu pochłaniał glebę, odrzucając tylko wodę. Jego ludzkie usta i płuca były przeznaczone do oddychania - ostatniej ludzkiej funkcji jego organizmu... jak również do mówienia.

Leto przemówił do stojącej tyłem Siony:

- Lubię rozmowy i z lękiem myślę o dniu, kiedy nie będę już w stanie wziąć w nich udziału.

Odwróciła się z pewnym ociąganiem i spojrzała na niego, oświetlona blaskiem księżyca, z wyrazem niesmaku na twarzy.

- Zgadzam się, że dla wielu ludzkich oczu jestem potworem - powiedział.

- Po co tu jestem?

"Nie owija w bawełnę!" - przemknęło mu przez myśl.

Nie złamie się. Uświadomił sobie, że większość Atrydów posiadała tę cechę. Był to przymiot, który miał nadzieję zachować w procesie ich rozmnażania. Świadczył o głębokim wewnętrznym poczuciu tożsamości.

- Muszę przekonać się, czy czas cię nie zmienił - rzekł.

- Do czego jest ci to potrzebne?

"W jej głosie słychać odrobinę lęku - pomyślał. - Przypuszcza, że będę ją wypytywał o jej marny bunt i nazwiska pozostałych przy życiu wspólników."

Jednak nie odpowiedział nic i Siona ponownie zapytała:

- Zamierzasz mnie zabić, tak jak moich przyjaciół?

"Zatem słyszała o walce pod ambasadą i przyjmuje, że wiem wszystko o jej buntowniczych działaniach. Moneo ją oświecił, do diabła z nim! Cóż... sam bym to zrobił, będąc na jego miejscu."

- Naprawdę jesteś bogiem? - spytała z naciskiem. - Nie rozumiem, dlaczego mój ojciec w to wierzy.

"Ma pewne wątpliwości - pomyślał. - Wciąż mam pole do manewru."

- Definicje są chwiejne - odrzekł. - Dla Monea jestem bogiem... i taka jest prawda.

- Kiedyś byłeś człowiekiem.

Zaczynały mu się podobać te przeskoki myśli. Drapieżna dociekliwość Siony była charakterystyczna dla wszystkich Atrydów.

- Pobudzam twoją ciekawość - stwierdził. - Podobnie jest ze mną. Ty też mnie ciekawisz.

- Dlaczego myślisz, że jestem zaciekawiona?

- Kiedy byłaś dzieckiem, obserwowałaś mnie niezwykle bacznie. Dzisiaj twoje oczy mają ten sam wyraz, co wtedy.

- Tak, zastanawiam się, jak to jest być tobą.

Przypatrywał się jej przez chwilę. Blask księżyca oświetlał twarz dziewczyny, tylko oczy pozostawały niewidoczne. Mógł sobie wyobrazić, że te oczy zupełnie błękitne, jak jego własne, błękitem uzależnienia od przyprawy. Z tym wyimaginowanym uzależnieniem Siona dziwnie przypominała dawno zmarłą Ghanię. Podobieństwo tkwiło w owalu twarzy, rozstawieniu oczu. Już chciał jej o tym powiedzieć, ale w końcu rozmyślił się.

- Jesz ludzkie pokarmy? - zapytała

- Jeszcze długo po tym, jak przyjąłem skórę z piaskopływaków, odczuwałem głód w żołądku - powiedział. - Od czasu do czasu pozwalałem sobie na jedzenie czegoś. Mój żołądek przeważnie jednak odrzucał pokarm. Rzęski piaskopływaków rozprzestrzeniły się niemal w całym moim ludzkim ciele. Jedzenie stało się męczarnią. Teraz trawię tylko suche substancje, które niekiedy zawierają szczyptę przyprawy.

- Ty... jesz melanż?

- Czasami.

- Ale nie odczuwasz ludzkiego głodu? Wpatrzyła się w niego wyczekująco.

Leto podziwiał jej umiejętność osiągania przewagi nad rozmówcą za pomocą nie wypowiadanych pytań. Była inteligentna i wiele nauczyła się w ciągu swego krótkiego życia.

- Głód w żołądku był potwornym uczuciem, cierpieniem, którego nie mogłem w żaden sposób złagodzić - powiedział. - Biegałem wtedy, biegałem jak oszalałe zwierzę po wydmach.

- Bie... Biegałeś?

- Moje nogi były jeszcze w owym czasie proporcjonalne względem reszty ciała. Mogłem się zupełnie swobodnie poruszać, ale bóle głodowe nigdy mnie nie opuściły. Myślę, że to głód utraconego człowieczeństwa.

Widział w niej cień mimowolnego, niechętnego współczucia, rodzące się pytanie.

- Wciąż czujesz ten... ból?

- Teraz to tylko łagodne pieczenie, jedna z oznak mojej ostatecznej metamorfozy. Za paręset lat będę już żył w piasku.

Zobaczył, że jej dłonie zacisnęły się w pięści.

- Dlaczego? - spytała ponaglająco. - Dlaczego to zrobiłeś?

- Ta zmiana nie jest tak zupełnie zła. Dziś na przykład było bardzo przyjemnie. Czuję się całkowicie zaspokojony.

- Są zmiany, których nie widać - powiedziała. - Choć wiem, że musiały nastąpić.

Rozluźniła dłonie.

- Mój wzrok i słuch stały się nadzwyczaj ostre, w przeciwieństwie do dotyku. Poza powierzchnią mojej twarzy nie zachowałem czucia takiego, jakie miałem niegdyś. Brak mi tego.

Znowu zauważył to nie chciane współczucie, pragnienie dogłębnego zrozumienia. Chciała wiedzieć!

- Kiedy żyje się tak długo - powiedziała - to w jaki sposób odczuwa się upływ Czasu? Czy płynie szybciej w miarę, jak mijają lata?

- To dziwne, Siono. Niekiedy czuję, jakby czas gnał jak szalony, ale innymi razy wlecze się w nieskończoność.

Leto stopniowo przygaszał światła w orlim gnieździe i coraz bardziej zbliżał się do Siony. W pewnej chwili zgasił je zupełnie. Przednia część jego Wozu znajdowała się już na balkonie. Tylko dwa metry dzieliło twarz Leto od twarzy Siony.

- Mój ojciec mówił mi - powiedziała - że im starszy się stajesz, tym czas płynie dla ciebie wolniej. Tak mu powiedziałeś?

"Sprawdza, czy jestem szczery - pomyślał. - Nie jest więc Prawdomówczynią."

- Wszystko jest względne, ale w porównaniu z ludzkim odczuwaniem czasu jest to prawda.

- Dlaczego?

- To łączy się z tym, czym się stanę. W końcu czas się dla mnie zatrzyma i znieruchomieje jak zamarznięta w lodzie perła. Moje nowe ciała rozproszą się, a w każdym z nich będzie ukryta taka perła

Odwróciła się w stronę pustyni. Mówiła, nie patrząc na niego:

- Kiedy tak rozmawiam z tobą w ciemności, tak jak w tej chwili, niemalże mogę zapomnieć, czym jesteś.

- Dlatego właśnie wybrałem tę porę na nasze spotkanie.

- Ale dlaczego tutaj?

- Bo to ostatnie miejsce, gdzie czuję się jak w domu.

Siona odwróciła się tyłem do poręczy, oparła o nią i spojrzała na Leto.

- Chcę cię zobaczyć.

Włączył wszystkie światła, łącznie z oślepiająco jasnymi kulami świętojańskimi rozmieszczonymi na skraju balkonu. Z zagłębienia w ścianie wysunęła się przezroczysta kopuła wykonana przez Ixian, odgradzając balkon od świata zewnętrznego. Siona wyczuła ruch za plecami i drgnęła przestraszona. Chwilę później ze zrozumieniem kiwnęła głową. Myślała, że to obrona przed atakiem. Tak jednak nie było, ściana broniła jedynie dostępu wilgotnym owadom nocy.

Siona wpatrzyła się w Leto, przesuwając spojrzeniem po jego ciele, zatrzymując je na kikutach, które niegdyś były nogami, koncentrując się następnie na rękach i dłoniach, potem na twarzy.

- Zatwierdzona przez ciebie historia mówi nam, że wszyscy Atrydzi pochodzą od ciebie i twojej siostry, Ghanimy - powiedziała. - Przekazy Ustne temu zaprzeczają.

- Przekazy Ustne mówią prawdę. Waszym przodkiem był Harq al-Ada. Gnania i ja byliśmy małżeństwem tylko nominalnie, to było posunięcie mające na celu umocnienie władzy.

- Tak jak twoje małżeństwo z tą Ixianką?

- To co innego.

- Będziesz miał dzieci?

- Nigdy nie mogłem ich mieć. Wybrałem przemianę jeszcze przed osiągnięciem dojrzałości płciowej.

- Byłeś dzieckiem, a potem stałeś się... - wskazała - ...tym?

- Nie było niczego pośredniego.

- Jak dziecko mogło wiedzieć, co wybrać?

- Byłem jednym z najstarszych dzieci, jakie kiedykolwiek widział ten wszechświat. Ghanima była drugim z nich.

- Te historyjki o pamięciach twoich przodków!

- One są prawdziwe. Jesteśmy tu wszyscy. Czy Przekazy Ustne temu przeczą?

Odwróciła się. Raz jeszcze Leto stwierdził, że jest zafascynowany tym ludzkim gestem: demonstracyjną niechęcią połączoną z bezbronnością. Po chwili odwróciła się i skoncentrowała na jego twarzy przysłoniętej fałdami kaptura.

- Wyglądasz jak Atryda - rzekła

- Należy mi się to równie uczciwie jak tobie.

- Jesteś taki stary... Dlaczego twoja skóra nie jest pomarszczona?

- Ludzkie części mojego ciała nie starzeją się w zwykły sposób.

- Czy właśnie dlatego zrobiłeś to, co zrobiłeś?

- By cieszyć się długim życiem? Nie.

- Nie pojmuję, jak ktokolwiek mógł dokonać takiego wyboru - mruknęła. Potem dodała głośniej: - Nigdy nie zaznać miłości...

- Udajesz głupią! - odpowiedział. - Nie chodzi ci o miłość, ale o seks.

Wzruszyła ramionami.

- Myślisz, że najstraszniejsze dla mnie było wyrzeczenie się seksu? Nie, największą stratą było coś zupełnie innego.

- Co? - zadała to pytanie niechętnie, zdradzając tym, że dotknął ją do żywego.

- Nie mogę przejść się pomiędzy moimi ludźmi, nie zwracając na siebie uwagi. Nie jestem już jednym z was. Miłość? Wielu mnie kocha, ale mój wygląd utrzymuje ich na dystans. Jesteśmy rozdzieleni, Siono, przez otchłań, której żaden człowiek nie odważy się pokonać.

- Nawet twoja Ixianka?

- Tak, zrobiłaby to, gdyby mogła, ale nie może. Nie jest Atrydką.

- To znaczy... że ja mogłabym? - Dotknęła palcem swej piersi.

- Gdyby było dość piaskopływaków. Na nieszczęście wszystkie pokrywają moje ciało. Gdybym jednak miał umrzeć...

Potrząsnęła głową w niemej zgrozie.

- Przekazy Ustne mówią o tym dokładnie - powiedział. - Nigdy nie wolno nam zapomnieć, że w nie wierzysz.

Nadal potrząsała głową.

- Nie ma w tym żadnej tajemnicy - powiedział. - Najtrudniejsze są pierwsze chwile przemiany. Twoja świadomość musi dążyć jednocześnie do wewnątrz i na zewnątrz, stanowić jedność z nieskończonością. Mógłbym ci dostarczyć dosyć melanżu, byś tego dokonała. Mając dosyć przyprawy mogłabyś przejść przez te pierwsze potworne chwile... i wszystkie pozostałe.

Zadrżała ze spojrzeniem utkwionym w jego oczach.

- Wiesz, że mówię prawdę, tak?

Skinęła głową, wciągnęła głęboko powietrze i zapytała:

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Alternatywa była o wiele okropniejsza.

- Jaka alternatywa?

- Może to zrozumiesz w swoim czasie. Moneo zrozumiał.

- Twoja przeklęta Złota Droga!

- Wcale nie przeklęta. Absolutnie święta.

- Myślisz, że jestem idiotką, która nie potrafi..,

- Myślę, że jesteś niedoświadczona, ale posiadasz wielkie zdolności, których siły nawet nie podejrzewasz.

Trzy razy głęboko zaczerpnęła powietrza, dzięki czemu odzyskała panowanie nad sobą, i powiedziała:

- Jeżeli nie możesz żyć z tą Ixianką, to dlaczego...?

- Dziecko, dlaczego nie możesz tego pojąć? Tu nie chodzi o miłość fizyczną. Przed Hwi nie mogłem znaleźć nikogo do pary. Nie miałem nikogo podobnego do mnie. W całej kosmicznej pustce byłem jedyny.

- Ona jest... podobna do ciebie?

- Zdecydowanie tak. Ixianie zrobili ją taką.

- Zrobili ją...

- Nie bądź skończoną idiotką! - wyrzucił z siebie. - To w istocie pułapka na boga. Nawet świadoma ofiara nie potrafi jej ominąć.

- Dlaczego mi o tym mówisz? - wyszeptała.

- Ukradłaś mi dwie kopie mojego dziennika - powiedział. - Czytałaś tłumaczenie Gildii i wiesz już, w co mogę dać się złapać.

- Wiedziałeś, że to ja?

Widział, jak odzyskuje śmiałość, poczucie własnej siły.

- Oczywiście, że wiedziałeś - stwierdziła, odpowiadając na własne pytanie.

- To była moja tajemnica - odparł. - Nie możesz sobie wyobrazić, jak kochałem tych, którzy mi towarzyszyli, i widziałem, jak przemijają... tak jak teraz twój ojciec.

- Kochasz... go?

- Kochałem też twoją matkę. Czasami odchodzą zbyt szybko; czasem z bolesną powolnością. Za każdym razem jestem zdruzgotany. Mogę odgrywać nieczułego i potrafię podejmować konieczne decyzje, nawet decyzje, które zabijają, ale nie potrafię uciec od cierpienia. Od bardzo, bardzo dawna - te dzienniki, które mi ukradłaś, mówią prawdę - to było jedyne uczucie, jakiego zaznawałem.

Zobaczył, że jej oczy wilgotnieją, lecz usta pozostały gniewnie zaciśnięte.

- Wszystko to nie daje ci prawa do rządzenia - powiedziała.

Leto stłumił uśmiech. W końcu dotarł do źródeł buntu Siony.

"Jakim prawem? Gdzie jest sprawiedliwość w moich rządach? Czy wymuszając na ludzkości moje prawa siłą Mówiących-do-Ryb, jestem w porządku wobec jej ewolucyjnych prądów? Znam całą tę rewolucyjną gadaninę, przelewanie z pustego w próżne i buńczuczne frazesy."

- Nigdzie we władzy, którą sprawuję, nie widzisz swojej buntowniczej ręki - rzekł.

Jej młodość wciąż dopominała się uwagi.

- Nigdy nie wybierałam cię na władcę - powiedziała.

- Ale umacniasz moją władzę.

- Jak?

- Sprzeciwiając mi się. Ostrzę sobie pazury na tobie podobnych. Rzuciła nagłe spojrzenie na jego dłonie.

- Figura retoryczna - rzucił.

- Więc wreszcie cię dotknęłam - rzekła, słysząc w jego głosie wyłącznie gniew.

- Nie dotknęłaś mnie. Jesteśmy spokrewnieni, a ja mogę mówić szczerze z każdym z członków rodziny. Faktycznie jednak ty jesteś bardziej niebezpieczna dla mnie, niż ja dla ciebie.

To zaskoczyło ją zupełnie, ale tylko na chwilę. Widział, jak na jej twarzy maluje się wyraz ufności przechodzący w zwątpienie. Siona spojrzała na Leto z ukosa.

- Czego mógłby obawiać się Wielki Bóg Leto z mojej strony?

- Twojej prostackiej brutalności.

- Chcesz powiedzieć, że fizycznie jesteś podatny na ciosy?

- Nie dam ci powtórnego ostrzeżenia, Siono. Słowne gierki, które uprawiamy, mają swoje granice. Ty i Ixianie wiecie, że to ci, których kocham, są podatni na ciosy. Wkrótce będzie o tym wiedzieć całe Imperium. Takie wieści rozchodzą się niezwykle szybko.

- I wszyscy będą pytać, jakie masz prawo do sprawowania władzy! - W jej głosie wyczuwał uciechę, która wywołała w nim nagły gniew. Zorientował się, że trudno mu będzie go stłumić. Siona ujawniła jedno z ludzkich uczuć, których się brzydził. Napawanie się! Minęło trochę czasu, zanim zaryzykował odpowiedź, decydując się uderzyć w słabe punkty jej psychiki, które udało mu się dostrzec.

- To, że jestem jedyny, daje mi prawo do rządzenia, Siono. Moja samotność to po części wolność, a po części niewola. Moja niewola wobec was oznacza, że będę wam służył wszystkimi moimi zdolnościami przywódczymi.

- Ale Ixianie cię dopadli! - powiedziała.

- Nie. Ofiarowali mi dar, który mnie wzmacnia.

- Osłabiacie!

- To też - przyznał. - Ale wciąż są mi posłuszne bardzo potężne siły.

- Oooch, tak. - Skinęła głową. - To rozumiem.

- Nie rozumiesz.

- Więc jestem pewna, że mi to wyjaśnisz - odcięła się. Przemówił tak cicho, że musiała się ku niemu nachylić, by słyszeć:

- Nie ma w ogóle nikogo, kto mógłby mnie zmusić do czegokolwiek - ani do dzielenia się władzą, ani do kompromisu, nawet do najdrobniejszych reform rządzenia. Jestem jedyny..

- Nawet ta Ixianka nie może...

- Jest tak podobna do mnie, że nie osłabiłaby mnie w ten sposób.

- Ale kiedy została zaatakowana ixiańska ambasada...

- Twoja głupota mnie irytuje - rzekł.

Siona gniewnie zmarszczyła brwi.

Leto pomyślał, że w tym świetle jej mimowolny grymas wygląda niezwykle uroczo. Wiedział, że zmusił ją do zastanowienia. Był pewien, że nigdy przedtem nie przyszło jej na myśl, że z wyjątkowością mogą się wiązać jakiekolwiek obowiązki.

Zwrócił się do niej, nachmurzonej i milczącej:

- Nigdy przedtem nie było rządu dokładnie takiego jak mój. Nie było w całej naszej historii. Jestem za niego odpowiedzialny tylko przed sobą i sam ustalam wysokość zapłaty za moje poświęcenie.

- Poświęcenie! - szydziła, ale w jej głosie Leto dosłyszał wątpliwości. - Każdy despota mówi w ten sposób. Jesteś odpowiedzialny tylko przed sobą!

- Co sprawia, że jestem odpowiedzialny za każdą żywą istotę. Czuwałem nad wami przez wszystkie te czasy.

- Przez jakie czasy?

- Przez wszystkie czasy, a potem już nie.

Dostrzegł w jej twarzy niezdecydowanie. Nie ufała swoim instynktom, swoim niewyćwiczonym zdolnościom przewidywania. Czasem była zdolna do myślowego przeskoku, tak jak wtedy, gdy ukradła jego dzienniki, ale zdradzając motywy obecnego przeskoku, zniweczyła siłę jego oddziaływania.

- Mój ojciec powiada, że potrafisz być bardzo zręczny w słowach - wysunęła zarzut.

- O tym może jeszcze wiedzieć. Istnieje jednak wiedza, którą można osiągnąć tylko przez współuczestnictwo w jej tworzeniu. Nie można się jej nijak nauczyć stojąc z boku, przypatrując się i komentując.

- To właśnie mniej więcej miał na myśli - rzekła.

- Masz całkowitą rację - zgodził się. - Ta prawda istnieje poza słowami. To jak światło, jak oko, które widzi, ale nie może zobaczyć samo siebie.

- Zmęczyła mnie ta rozmowa - powiedziała.

- Mnie też - rzekł i pomyślał: "Widziałem dosyć, dosyć zrobiłem. Jest przepełniona wątpliwościami. Jak bezbronni są oni w swojej niewiedzy!"

- Do niczego mnie nie przekonałeś - powiedziała.

- To nie było celem tego spotkania

- A co było?

- Zobaczyć, czy jesteś gotowa do próby.

- Próby...? - Przekrzywiła głowę odrobinę w prawo i wpatrzyła się w niego.

- Nie odgrywaj przede mną niewiniątka - rzekł. - Moneo ci powiedział. Ja mówię ci, że jesteś gotowa.

Spróbowała przełknąć ślinę i powiedziała:

- Co to za...?

- Posłałem po Monea, żeby wrócił z tobą do Twierdzy - odparł. - Kiedy się znowu spotkamy, dowiemy się, z jakiej tak naprawdę jesteś ulepiona gliny.

Znacie mit o Wielkim Skarbie Przyprawowym? Tak, ja też znam tę opowieść. Majordom przyniósł mi ją pewnego dnia, by mnie zabawić. Opowieść mówi, te istnieje zapas przyprawy, gigantyczny skarb wielki jak góra. Ukryty jest na jakiejś odległej planecie. Ten świat to nie Arrakis. To nie Diuna. Przyprawa została tam ukryta dawno temu, nawet przed Pierwszym Imperium i Gildią Planetarną. Opowieść mówi, że Paul Muad'Dib udał się tam i wciąż pilnuje skarbu, utrzymując się dzięki niemu przy życiu i czekając. Majordom nie zrozumiał, dlaczego ta opowieść mnie zaniepokoiła.

"Wykradzione dzienniki"

Idaho drżał z gniewu, idąc przez szare plastalowe sienie w stronę swoich kwater w Twierdzy. Przy każdym posterunku straży, który mijał, strażniczki podrywały się na baczność. Nie reagował. Idaho wiedział, że wywołuje wśród nich zaniepokojenie. Nikt nie mógł mylić się co do nastroju Dowódcy. Idaho nie zaprzestawał pospiesznego marszu. Głuche dudnienie jego kroków odbijało się echem od ścian.

Wciąż miał w ustach smak południowego posiłku - dziwnie znajoma atrydzka potrawa - sztuczne mięso jagnięce, zapiekane w cieście z mąki z różnych zbóż, przyprawione wonnymi ziołami, wszystko to popite napojem z soku cydrytowego.

Moneo znalazł Idaho siedzącego samotnie w stołówce Straży, z planem operacyjnym opartym o talerz.

Bez zaproszenia usadowił się naprzeciwko Idaho i odsunął na bok materiały, które studiował Duncan.

"Przynoszę wiadomość od Boga Imperatora" - powiedział.

Z niezwykle opanowanego tonu głosu Monea Idaho wywnioskował, że to nie było takie ot sobie spotkanie. Pozostali również to wyczuli. Najpierw zamilkły kobiety siedzące przy najbliższych stolikach, później cisza zapanowała w całej sali.

Idaho odłożył pałeczki.

"Tak?"

"Bóg Imperator powiedział - rzekł Moneo - że na jego nieszczęście Duncan Idaho zakochał się w Hwi Noree. To nie może trwać dłużej."

Idaho wykrzywił usta w gniewie, ale zachował milczenie.

"Taka głupota naraża nas wszystkich na niebezpieczeństwo - powiedział Moneo. - Noree jest przeznaczona dla Boga Imperatora."

Idaho usiłował kontrolować swój gniew, ale słowa go zdradziły:

"On nie może jej poślubić!"

"Dlaczego nie?"

"W jaką grę on gra, Moneo?"

"Jestem posłańcem z wiadomością, nikim więcej" - odparł Moneo.

"Ale on ci ufa" - głos Idaho był niski, groźny.

"Bóg Imperator ci współczuje" - skłamał Moneo.

"Współczuje!" - wykrzyknął Idaho, a jego głos odbił się echem w ciszy panującej na sali.

"Noree jest kobietą o oczywistych powabach - powiedział Moneo. - Ale ona nie jest dla ciebie."

"Tak rzeki Bóg Imperator - zaszydził Idaho - i nie ma odwołania."

"Widzę, że zrozumiałeś wiadomość" - rzekł Moneo.

Idaho zerwał się z miejsca.

"Dokąd idziesz?" - zapytał Moneo.

"Idę od razu wszystko z nim wyjaśnić!"

"To pewne samobójstwo" - stwierdził Starzec.

Idaho popatrzył na niego, nagle uświadomiwszy sobie napięcie, z jakim przysłuchiwały się im kobiety siedzące przy pobliskich stolikach. Na jego twarzy pojawił się wyraz, który Muad'Dib rozpoznałby natychmiast: "Gra dla Diabelskiej Galerii" - tak nazywał to Muad'Dib.

"Wiesz, co zawsze mówili prawdziwi książęta atrydzcy?" - zapytał Idaho. W jego głosie pobrzmiewało szyderstwo.

"Czy ma to teraz jakieś znaczenie?"

"Powiadali, że twoja wolność znika w obecności władcy absolutnego."

Spięty od gniewu Moneo pochylił się ku Duncanowi. Jego usta zaledwie się poruszyły, głos był niewiele silniejszy od szeptu:

"Nigdy nie mów takich rzeczy."

"Bo jedna z tych kobiet o tym doniesie?"

Moneo potrząsnął głową z niedowierzaniem.

"Jesteś bardziej bezczelny od wszystkich innych."

"Naprawdę?"

"Proszę! Przyjmować taką postawę to wyjątkowa brawura."

Idaho usłyszał nerwowe szepty, roznoszące się po całej sali.

"Może nas jedynie zabić" - powiedział Idaho.

"Ty głupcze! - wydusił z siebie Moneo zdławionym szeptem. - Czerw może go opanować przy najmniejszej prowokacji."

"Czerw, powiadasz?" - głos Idaho był nadmiernie głośny.

"Musisz mi zaufać" - powiedział Moneo.

Idaho rozejrzał się na lewo i prawo.

"Tak, myślę, że słyszały."

"On jest miliardem miliardów ludzi zjednoczonych w jednym ciele" - rzekł Moneo.

"Właśnie tak mi mówiono."

"On jest Bogiem, a my jesteśmy śmiertelni" - rzekł Moneo.

"Jak to jest, że Bóg może czynić zło?" - zapytał Idaho.

Moneo odepchnął się wraz z krzesłem i poderwał na nogi.

"Umywam ręce!" - Odwrócił się i wyszedł z sali. Idaho rozejrzał się i wpatrując się w twarze strażniczek, zorientował się, że znajduje się w centrum uwagi.

"Moneo nie osądza, ale ja tak" - powiedział.

Zaskoczyło go wtedy to, że na twarzach kilku kobiet dostrzegł krzywe uśmiechy. Wszystkie powróciły do jedzenia.

Idąc przez hall Twierdzy, Idaho odtwarzał w myślach tę rozmowę, wyszukując niepokojące szczegóły w zachowaniu Monea. Przerażenie można było rozpoznać i nawet zrozumieć, ale wydawało się, że wchodzi tu w grę coś o wiele poważniejszego niż lęk przed śmiercią... Coś o wiele, wiele poważniejszego.

"Czerw może go opanować."

Idaho czuł, że to się Moneowi wymknęło, że było mimowolną zdradą. Co to mogło oznaczać? "Bardziej bezczelny od wszystkich innych!"

Idaho złościł fakt, że musiał znosić porównania z sobą samym, nieznanym. Do jakiego stopnia ostrożni byli ci inni?

Doszedł do drzwi swojej kwatery, zbliżył dłoń do zamka zaprogramowanego na jego linie papilarne i zawahał się. Czuł się jak zaszczute zwierzę uciekające do swojego legowiska. Strażniczki ze stołówki z pewnością zdążyły do tej chwili donieść Leto o rozmowie. Co zrobi Bóg Imperator? Dłoń Idaho dotknęła zamka. Drzwi stanęły otworem. Wszedł do przedpokoju i zamknął je.

"Pośle po mnie Mówiące-do-Ryb?"

Idaho obrzucił spojrzeniem łukowato sklepione wejście do swoich komnat. Był to zwyczajny przedpokój - stojaki na ubranie i buty, lustro wysokości człowieka, szafa na broń. Spojrzał na jej zamknięte drzwi. Nic z zawartości szafy nie stanowiło realnego zagrożenia dla Boga Imperatora. Nie było tu nawet rusznicy laserowej... chociaż nawet one, jak głosiły wieści, nie były w stanie zagrozić czerwiowi.

"Wie, że występuję przeciw niemu."

Idaho westchnął i spojrzał na łukowato zwieńczone przejście do salonu. Moneo zastąpił wyrafinowane miękkie meble cięższymi, twardszymi sprzętami, z których niektóre dawały się rozpoznać jako fremeńskie - wydobyte z magazynów Muzealnych Fremenów.

Muzealni Fremeni!

Idaho splunął i przeszedł przez wejście. Po dwóch krokach zatrzymał się, zamarł, zaskoczony. Łagodne światło z północnego okna oświetlało postać Hwi Noree, siedzącej na niskiej otomanie. Kobieta miała na sobie migotliwą błękitną szatę, podkreślającą jej idealną figurę.

- Dzięki bogom, nikt cię nie skrzywdził - powiedziała.

Idaho obejrzał się na wejście, na zamknięte drzwi. Spojrzał z namysłem na Hwi. Oprócz niego tylko kilka wybranych strażniczek mogło otworzyć te drzwi.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi na jego zdumienie.

- To my, Ixianie, wyprodukowaliśmy te zamki - rzekła. Stwierdził, że przepełnia go lęk przed nią,

- Co ty tu robisz?

- Musimy porozmawiać.

- O czym?

- Duncanie... - Potrząsnęła głową. - O nas.

- Ostrzeżono cię - rzekł.

- Kazano mi przestać spotykać się z tobą.

- Moneo cię przysłał?

- Dwie strażniczki, które podsłuchiwały was w stołówce - to one mnie tu przyprowadziły. Są przekonane, że jesteś w straszliwym niebezpieczeństwie.

- To dlatego tu jesteś?

Wstała płynnym ruchem, który przypomniał mu sposób, w jaki poruszała się babka Leto, Jessika - z tą samą absolutną kontrolą nad każdym mięśniem, z pięknem zawartym w każdym ruchu.

Nagle doznał olśnienia:

- Jesteś Bene Gesserit...

- Nie! Między innymi i one były moimi nauczycielkami, ale sama nie jestem Bene Gesserit.

W jego umyśle zaczęły rodzić się podejrzenia. Jakie w rzeczywistości istniały sojusze w Imperium Leto? Co ghola mógł wiedzieć o rym wszystkim?

"Zmiany, które zaszły, odkąd żyłem..."

- Sądzę, że wciąż jesteś prostą Ixianką - powiedział.

- Proszę, nie szydź ze mnie, Duncanie.

- Kim jesteś?

- Mam stać się oblubienicą Boga Imperatora.

- I będziesz mu wiernie służyć?

- Będę.

- Więc nie mamy o czym mówić.

- Z wyjątkiem tego, co jest pomiędzy nami.

Chrząknął.

- Czego?

- Tego przyciągania. - Uciszyła go gestem dłoni, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć. - Chcę rzucić się w twoje ramiona, znaleźć miłość i bezpieczne schronienie. Wiem, że możesz mi to zapewnić. Ty też tego chcesz.

- Bóg Imperator nam zabronił.

- Ale ja i tak tu jestem. - Podeszła do niego dwa kroki.

- Hwi... - Spróbował przełknąć, czując nagłą suchość w gardle. - Lepiej będzie, jeżeli stad pójdziesz.

- Najrozsądniej, ale nie najlepiej - odparła.

- Jeżeli się dowie, że byłaś tutaj...

- Nie mogę cię opuścić w ten sposób, nie potrafię. - Znów powstrzymała jego odpowiedź podniesieniem dłoni. - Zostałam spłodzona i wykształcona tylko dla jednego celu.

Jej słowa zmroziły go.

- Jakiego?

- Uwieść Boga Imperatora. Och, on o tym wie. Nie zmieniłby we mnie niczego.

- Ani ja.

Podeszła krok bliżej. Czuł ciepło jej oddechu.

- Za dobrze mnie zrobili - powiedziała. - Zostałam zaprojektowana, żeby zadowolić Atrydę. Leto twierdzi, że jego Duncan jest bardziej Atrydą niż wielu noszących to nazwisko.

- Leto?

- Jak inaczej mogłabym się zwracać do tego, kogo poślubię? Jeszcze gdy mówiła, oparła się o Idaho. Obydwoje wykonali taki ruch, jakby spotkały się przeciwne bieguny magnesów - Hwi przytuliła policzek do jego piersi, oplatając go ramionami. Idaho podbródkiem dotknął jej włosów, czując ich podniecający zapach.

- To szaleństwo - szepnął.

- Tak.

Odchylił jej głowę i pocałował w usta. Przytuliła się do niego.

Żadne z nich nie wątpiło, do czego to prowadzi. Nie opierała się, gdy wziął ją na ręce i przeniósł do sypialni.

- Nie jesteś dziewicą.

- Ani ty, kochany.

- Kochana - szepnął. - Kochana...

- Tak... Tak!

Zaspokojona Hwi założyła obie ręce pod głowę i przeciągnęła się na skotłowanej pościeli. Idaho usiadł plecami do niej, wyglądając przez okno.

- Kim byli twoi kochankowie? - zapytał. Uniosła się na łokciu.

- Nie miałam innych kochanków.

- Ale... - Odwrócił się i popatrzył na nią.

- Kiedy miałam kilkanaście lat - powiedziała - był pewien młody człowiek, który bardzo mnie potrzebował. - Uśmiechnęła się. - Później było mi bardzo wstyd. Jakaż byłam ufna! Myślałam, że zawiodłam ludzi, którzy na mnie polegali, ale oni dowiedzieli się o tym i byli zachwyceni. Wiesz, myślę, że zostałam w ten sposób poddana próbie.

Idaho zmarszczył brwi.

- Tak samo było ze mną?

- Nie, Duncanie. - Jej rysy spoważniały. - Daliśmy sobie rozkosz, bo tak jest w miłości.

- Miłość! - rzekł głosem pełnym goryczy.

- Mój wuj, Malky, mawiał, że miłość to zły interes, bo nie dostaje się gwarancji.

- Twój wuj był mądrym człowiekiem.

- Był głupi! Miłość nie potrzebuje gwarancji.

W kącikach ust Idaho pojawił się cień uśmiechu. Odwzajemniła mu go.

- Wiesz, że to miłość, gdy chcesz dawać radość i masz w nosie konsekwencje.

Pokiwał głową.

- Myślę tylko o niebezpieczeństwie czyhającym na ciebie.

- Jesteśmy, kim jesteśmy - odparła.

- Co zrobimy?

- Będziemy to pielęgnować tak długo, jak długo będziemy żyli.

- To brzmi... tak ostatecznie.

- Owszem.

- Ale będziemy się widywać każdego...

- Nigdy tak jak teraz.

- Hwi! - Rzucił się przez łóżko i przytulił twarz do jej piersi. Pogładziła go po włosach.

Przyciszonym głosem powiedział:

- Co będzie, jeżeli zajdziesz w...

- Szszsz! Jeśli z tego ma być dziecko, to będzie.

Idaho podniósł głowę i spojrzał na Hwi.

- Ale on dowie się na pewno.

- I tak się dowie.

- Myślisz, że on naprawdę wie o wszystkim?

- Nie o wszystkim, ale o tym będzie wiedział.

- Jak? W jaki sposób?

- Powiem mu.

Idaho gwałtownie usiadł na łóżku. Na jego twarzy gniew walczył ze zdumieniem.

- Muszę - przyznała.

- Jeżeli zwróci się przeciwko tobie... Hwi, krążą różne pogłoski. Możesz być w strasznym niebezpieczeństwie!

- Nie. Ja również mam potrzeby. On o tym wie. Nie skrzywdzi żadnego z nas.

- Ale on...

- Nie zniszczy mnie. Wie, że krzywdząc ciebie, zdruzgotałby mnie.

- Jak możesz wyjść za niego?

- Drogi Duncanie, czy nie zauważyłeś, że on potrzebuje mnie bardziej niż ty?

- Ale on nie może... to znaczy, prawdopodobnie nie będziesz mogła...

- Tak, nie zaznam z Leto rozkoszy, którą daliśmy sobie nawzajem. Tego nie może mi ofiarować, wyznał mi to.

- Więc dlaczego nie... Jeżeli cię kocha...

- Ma wielkie plany i wielkie potrzeby. - Ujęła w dłonie rękę Idaho. - Wiedziałam o tym, odkąd tylko zaczęłam uczyć się o nim. Potrzeby większe niż maje ktokolwiek z nas.

- Co za plany? Co za potrzeby?

- Zapytaj go.

- Ty wiesz?

- Tak.

- To znaczy, że wierzysz w te historie o...

- Jest w nim dobro i uczciwość. Mogę tak powiedzieć na podstawie własnych reakcji na niego. To, w co wyposażyli mnie moi mistrzowie, Ixianie, to jak sądzę rodzaj odczynnika, który odkrywa przede mną więcej, niż by chcieli, bym się dowiedziała.

- Więc mu wierzysz! - oskarżył ją Idaho. Spróbował uwolnić swą dłoń z jej uścisku.

- Duncanie, jeżeli do niego pójdziesz i...

- Nigdy więcej mnie nie zobaczy!

- Zobaczy.

Przyciągnęła jego dłoń do swoich ust i ucałowała jego palce.

- Jestem zakładnikiem - rzekł. - Napełniłaś mnie taką obawą... o nas oboje...

- Nigdy nie myślałam, że służyć Bogu będzie łatwo - odparła. - Nie myślałam jednak, że będzie to aż tak trudne.

Pamięć jest niezwykle ważna i miałem nadzieję, że inni również myślą podobnie. Ciągle mnie zdumiewa, że ludzie uciekają przed wspomnieniami swoich przodków, ukrywając się za potężną zaporą mitów. Och, nie oczekuję po nich, żeby odczuwali każdą chwilę w całej jej okrutnej bezpośredniości, tak jak ja to odczuwani. Mogę zrozumieć, że nie chcą pogrążać się w morzu nieważnych szczegółów z życia przodków. Możecie czuć obawę przed tym, że ktoś inny zacznie żyć za was, a mimo to owe wspomnienia mają wielką wartość. Ciąży na nas całość naszego dziedzictwa - wszystkie nadzieje, radości i lęki, cały ból i uniesienia pochodzące z przeszłości. Nic w tych wspomnieniach nie pozostaje całkowicie bez znaczenia bądź wpływu na losy ludzkości tak długo, dopóki istniał będzie człowiek. Otacza nas ta świetlista nieskończoność, ta Złota Droga wieczności, której możemy ofiarowywać nasze niewiele znaczące, ale wciąż z głębi serca płynące oddanie.

"Wykradzione dzienniki"

- Wezwałem cię, Moneo, z powodu informacji, które otrzymałem od moich strażniczek - powiedział Leto.

Stali w ciemności krypty, gdzie, jak powtarzał sobie Moneo, Bóg Imperator podjął większość z najboleśniejszych decyzji. Moneo również słyszał doniesienia. Oczekiwał wezwania całe popołudnie i kiedy dotarło do niego wkrótce po wieczornym posiłku, przeżył chwilę podniecającej grozy.

- Chodzi o... Duncana, Panie?

- Oczywiście, że o Duncana.

- Poinformowano mnie, Panie... o jego zachowaniu.

- Karygodnym zachowaniu, co, Moneo? Moneo pochylił głowę.

- Jeżeli tak mówisz, Panie.

- Ile czasu upłynie, zanim Tleilaxanie będą mogli dostarczyć następnego?

- Twierdzą, że mieli kłopoty, Panie. To może potrwać nawet do dwóch lat.

- Wiesz, co powiedziały mi moje strażniczki?

Moneo wstrzymał oddech. Jeśli Bóg Imperator dowiedział się o ostatnim... Nie! Nawet Mówiące-do-Ryb przerażone były tym afrontem. Gdyby to był ktokolwiek poza Duncanem, kobiety same wzięłyby na siebie zlikwidowanie go.

- No, Moneo?

- Powiedziano mi, Panie, że wezwał oddział strażniczek i wypytywał je o pochodzenie. Na jakich planetach urodziły się, kim byli ich rodzice, jakie miały dzieciństwo.

- I odpowiedzi go nie zadowalały.

- Przestraszył je, Panie. Wywierał na nie presję.

- Tak jakby ciągłe powtarzanie mogło prowadzić do odkrycia prawdy.

Moneo pozwolił sobie mieć nadzieję, że to było wszystko, co interesowało Leto.

- Dlaczego Duncanowie zawsze to robią?

- W taki sposób zostali wyszkoleni - na sposób Atrydów.

- Ale jak to się różni od...

- Atrydzi żyli w służbie ludzi, którymi rządzili. O jakości ich władzy świadczyło życie poddanych. Dlatego Duncanowie zawsze chcą wiedzieć, jak żyje się ludziom.

- Spędził jedną noc w pewnej wsi, Panie. Był w kilku miastach. Widział...

- Wszystko zależy od tego, w jaki sposób interpretuje się fakty, Moneo. Dowód pozbawiony oceny jest bez znaczenia.

- Zauważyłem, że on osądza, Panie.

- Wszyscy tak robimy, ale Duncanowie skłaniają się ku wierze, że ten wszechświat pozostawiony jest na łasce mojej woli. I wiedzą, że nie można czynić zła w imię dobra.

- Czy to jest to, co on mówi, że ty...

- To jest to, co ja mówię, co mówią wszyscy Atrydzi we mnie. Ten wszechświat na to nie pozwoli. Wszelkie usiłowania spełzną na niczym, jeżeli...

- Ależ, Panie, ty nie czynisz zła!

- Biedny Moneo. Nie potrafisz dostrzec, że stworzyłem machinę niesprawiedliwości.

Moneo nie był w stanie wydusić słowa. Zorientował się, że zwiodła go pozorna łagodność Boga Imperatora, teraz jednak wyczuwał przemiany zachodzące w tym wielkim cielsku i z tej odległości... Moneo rozejrzał się po centralnej komnacie krypty, przypominając sobie ilu ludzi poległo w tym miejscu, ile ciał tu pochowano.

"Nadszedł mój czas?"

Leto przemówił zamyślonym głosem:

- Nie odniesiesz sukcesu, biorąc zakładników. To forma zniewolenia. Człowiek nie może posiadać drugiego człowieka. Ten wszechświat na to nie pozwoli.

Słowa Leto wstrząsnęły świadomością Monea. Stanowiły potworny kontrast z oznakami przemiany, która, jak czuł, zachodziła w jego Panu. Nadchodzi Czerw!

Moneo nerwowo rozejrzał się po krypcie. To miejsce było o wiele niebezpieczniejsze niż orle gniazdo. Najbliższe schronienie znajdowało się zbyt daleko.

- No więc, Moneo, jaką masz odpowiedź? - zapytał Leto. Moneo odważył się wyszeptać:

- Słowa Pana oświecają mnie.

- Oświecają? Nie jesteś oświecony!

- Ale służę mojemu Panu! - zapewniał zdesperowany Moneo.

- Twierdzisz, że służysz Bogu?

- Tak, Panie.

- Kto stworzył tę religię?

- Ty, Panie!

- Sensowna odpowiedź.

- Dziękuję, Panie.

- Nie dziękuj mi! Powiedz, co zawdzięcza swoje trwanie religijnym instytucjom?

Moneo cofnął się o cztery kroki.

- Stój, gdzie stałeś! - rozkazał Leto.

Oniemiały Moneo potrząsnął głową, drżąc na całym ciele. W końcu spotkał się z pytaniem bez odpowiedzi. Nieudzielenie jej spowoduje śmierć. Oczekiwał jej z pochyloną głową.

- Zatem powiem ci, biedny sługo - rzekł Leto.

Moneo odważył się na cień nadziei. Podniósł wzrok na twarz Boga Imperatora, stwierdzając, że oczy władcy nie stały się błyszczące... ręce nie drżały. Może Czerw nie nadszedł.

- Religijne instytucje przedłużają morderczy schemat pana i niewolnika - powiedział Leto. - Przyciągają dumnych poszukiwaczy władzy, zaślepionych przesądami.

Moneo był w stanie jedynie skinąć głową. Czy ręce Boga Imperatora zadrżały? Czy ta złowroga twarz wycofywała się powoli w głąb kaptura?

- Cicha satysfakcja płynąca z buntu wobec władzy, o to właśnie dopytują się Duncanowie - powiedział Leto. - Duncanowie mają za wiele współczucia dla tych, którzy są z nimi, i za bardzo ograniczają krąg swych towarzyszy.

Moneo oglądał hologramy przedstawiające dawne czerwie pustyni z Diuny, gigantyczne paszcze pełne zębów, z których wyrabiało się krysnoże. Widział zaczątki przyszłych pierścieni formujących się na walcowatym ciele Leto. Czy stawały się bardziej widoczne? Czy pod tą okapturzoną twarzą otworzy się nowa paszcza?

- Duncanowie wiedzą w głębi serca - mówił Leto - że rozmyślnie zlekceważyłem napomnienia Mahometa i Mojżesza. Nawet ty o tym wiesz, Moneo.

To było oskarżenie. Moneo zaczął potakiwać, następnie potrząsnął głową. Zastanawiał się, czy odważy się ponownie cofnąć. Wiedział z doświadczenia, że przemowy utrzymane w tym tonie poprzedzały nadejście Czerwia.

- Pamiętasz może te napomnienia? - zapytał Leto. W jego głosie czuło się żartobliwą drwinę.

Moneo pozwolił sobie na nieznaczne wzruszenie ramionami. Głos Leto nagle wypełnił salę grzmiącym barytonem:

- Jesteście sługami B o g a , a nie sługami sług! Moneo zacisnął dłonie i wykrzyknął:

- Tobie służę, Panie!

- Moneo, Moneo - rzekł Leto niskim, wibrującym głosem. - Milion błędów nie zrodzi jednej prawdy. Prawdę poznaje się po tym, że trwa.

Moneo mógł jedynie stać w milczeniu.

- Zamierzałem połączyć Hwi z tobą, Moneo - powiedział Leto. - Teraz jest już za późno.

Chwilę trwało, zanim te słowa dotarły do świadomości Monea. Czuł, że ich znaczenie leży poza wszelkimi znanymi mu kontekstami.

"Hwi? Co za Hwi? Ach, tak, Ixianka, mająca zostać oblubienicą Boga Imperatora. Połączyć ją... ze mną?"

Moneo potrząsnął głową.

Głos Leto był przepełniony smutkiem:

- Ty również przeminiesz. Czy wszystkie twoje dzieła rozpadną się w proch?

Bez ostrzeżenia, jeszcze gdy mówił, ciało Leto zwinęło się konwulsyjnie, unosząc się z drżeniem z Wozu. Szybko, z potworną gwałtownością, upadł o kilka centymetrów od Monea, który z krzykiem zaczął biec w głąb krypty.

- Moneo! - okrzyk Leto zatrzymał majordoma przy wejściu do windy. - Próba, Moneo! Jutro poddam Sionę próbie!

Uświadomienie sobie tego, kim jestem, zachodzi w ponadczasowej i niezmiennej świadomości, która nie pobudza ani nie zwodzi. Stwarza pole bez środka czy jaźni, pole, na którym nawet śmierć staje się tylko analogią. Niepotrzebne są mi żadne wyniki, zezwalam jedynie na takie pole, które nie ma celów ani pragnień, które nie dały do doskonałości, nie ma nawet planów działania. Na tym polu wszechobecna pierwotna świadomość jest wszystkim. To jest światło, które pada przez okna mego wszechświata.

"Wykradzione dzienniki"

Słońce wschodziło, rozsyłając jaskrawy blask po wydmach. Leto odczuwał dotyk miękkiego piasku pod sobą niemal jak pieszczotę. Tylko jego ludzkie uszy, słysząc odgłos tarcia, miały zgoła inne wrażenie. Był to konflikt zmysłów, który nauczył się znosić.

Słyszał za sobą lekkie kroki Siony, ciche osypywanie się piasku, gdy wspinała się ku niemu po zboczu wydmy.

"Im dłużej tu jestem, tym bardziej zmniejsza się moja odporność" - pomyślał.

Ta myśl często przychodziła mu do głowy w czasie ostatnich pobytów na pustyni. Spojrzał w górę. Bezchmurne niebo miało barwę intensywnego błękitu, jakiej dawniej nigdy na Diunie nie widziano.

Czym byłaby pustynia pozbawiona bezchmurnego nieba? Jeszcze gorzej, gdyby nie miała srebrzystego odcienia Diuny.

To niebo było patrolowane przez ixiańskie satelity, jednak nie tak doskonale, jak mógłby sobie życzyć. Ta techniczna utopia zawodziła pod ludzkim kierownictwem. Mimo to satelity sprawowały wystarczająco pewną kontrolę, by pozwolić na spędzenie niczym nie zakłóconego poranka na pustyni. Pozwolił swoim ludzkim płucom na głęboki wdech i wsłuchał się w odgłos kroków Siony. Ucichły. Wiedział, że dziewczyna podziwia widok.

Leto odczuwał swoją wyobraźnię tak, jakby była ona jakimś czarnoksiężnikiem wywołującym wszystkie elementy materialnego otoczenia. Czuł satelity, wyrafinowane instrumenty grające muzykę towarzyszącą tańcowi nagrzewających się i stygnących mas powietrza, bezustannie nadzorujące i regulujące potężne pionowe oraz poziome prądy. Rozbawiło go przypomnienie żywionego przez Ixian przekonania, iż będzie używał tej skomplikowanej maszynerii dla sprawowania nowego rodzaju wodnej tyranii - pozbawiając wilgoci tych, którzy sprzeciwiliby się władcy, innych karząc niszczycielskimi burzami. Jak byli zdziwieni, gdy odkryli swój błąd!

"Sprawuję kontrolę o wiele subtelniejszymi metodami."

Ruszył wolno, płynąc po powierzchni piasku. Ześliznął się po zboczu wydmy, ani razu nie obejrzawszy się w kierunku cienkiej iglicy wieży, wiedząc, że stała się już niewidoczna w drgającym od żaru powietrzu.

Siona podążała za nim z niezwykłą u niej cierpliwością. Wątpliwości dokonały swego dzieła. Przeczytała skradzione dzienniki. Wysłuchała napomnień ojca. Teraz nie wiedziała, co myśleć.

"Co to za próba? - pytała Monea. - Co on zrobi?"

"Każdego wypróbowuje w inny sposób."

"Jak to było z tobą?"

"W twoim przypadku będzie inaczej. Gdybym opowiedział ci moje doświadczenie, wprowadziłbym cię tylko w błąd."

Leto podsłuchiwał ich, podczas gdy Moneo przygotowywał swoją córkę, ubierając ją w autentyczny fremeński filtrfrak. Na ten strój starzec narzucił Sionie ciemną szatę i wyregulował pompy piętowe w obcasach. Moneo nie zapomniał.

Zapinając jej buty, starzec uniósł głowę.

"Nadejdzie Czerw. To wszystko, co mogę ci powiedzieć. Musisz znaleźć sposób, by przeżyć w obecności Czerwia."

Wstał następnie, wyjaśniając, jak działa filtrfrak, w jaki sposób włącza on powtórnie w obieg wydaloną przez ciało wodę. Kazał córce wyciągnąć rurkę wodowodu i spróbować wyssać z niej wodę, potem zatkać ją z powrotem.

"Będziesz z nim sama na pustyni -powiedział Moneo. - Na pustyni Szej-hulud nigdy nie jest daleko."

"A jeżeli odmówię i nie pójdę tam?" - zapytała.

"Pójdziesz... choć możesz nie wrócić."

Rozmowa odbyła się w komnacie na parterze Małej Twierdzy, podczas gdy Leto oczekiwał w swoim orlim gnieździe. Zupełnie niewidoczny w ciemnościach tuż przed świtem zjechał na dół, wiedząc, że Siona jest już gotowa.

Dotarł przed komnatę na zerowym poziomie po tym, jak Siona i Moneo stamtąd wyszli. Kiedy Moneo odmaszerował do swojego ornitoptera i pojazd odleciał z poszumem skrzydeł, Leto zażyczył sobie, żeby Siona sprawdziła, czy komnata jest szczelnie zamknięta, potem spojrzał w górę, podziwiając niebotyczną wysokość wieży.

"Można się stąd wydostać tylko przez Serir" - powiedział.

Poprowadził ją następnie na pustynię, nie nakazując nawet, by za nim szła. Polegał na jej zdrowym rozsądku, ciekawości i nurtujących ją wątpliwościach.

Płynnymi ruchami posuwał się po zawietrznej stronie wydmy, aż dotarł do odsłoniętej skały znajdującej się poniżej, następnie pełzł po łagodnym zboczu kolejnej diuny, żłobiąc ścieżkę, którą podążała Siona. Fremeni nazywali takie wgłębienia "darem Bożym dla zmęczonych". Leto nie spieszył się, dając Sionie aż nadto czasu, by zrozumiała, że to jego włości, jego habitat.

Wspiął się na szczyt wydmy i odwrócił, by przyjrzeć się dziewczynie. Trzymała się śladu, który odcisnął na piasku, i stanęła dopiero wtedy, gdy znalazła się na górze. Jej spojrzenie prześliznęło się po twarzy Leto, następnie rozejrzała się dookoła. Usłyszał, że zaczerpnęła gwałtownie oddechu. Ruchy rozgrzanego powietrza zniekształcały widok wieży, majaczącej w oddali. Dolna część budowli wyglądała jak wystająca z piasku skała.

- Tak tu niegdyś było - powiedział.

W pustyni było coś, co przemawiało do nieśmiertelnej duszy tych, w których żyłach płynęła fremeńska krew. Wiedział o tym. Wybrał to miejsce dlatego, że tak dogłębnie dawało odczuć bezkres pustyni - mimo że wydma była odrobinę tylko wyższa niż inne.

- Rozejrzyj się dobrze - powiedział i ześliznął się po przeciwnym stoku wydmy, kryjąc się przed wzrokiem Siony.

Córka Monea obróciła się powoli, patrząc przed siebie.

Leto wiedział, co musiała czuć, kontemplując rozciągający się przed nią widok. Poza ową nieznaczną wypukłością podstawy wieży zupełnie nic nie wyrastało ponad horyzont. Ani roślin, ani zwierząt. Od miejsca, z

którego patrzyła Siona, do linii, za którą wszystko skrywała krzywizna planety, było w przybliżeniu osiem kilometrów.

Leto zatrzymał się tuż pod grzbietem wydmy,

- Taki jest naprawdę Serir. Zna się go tylko wtedy, gdy się go pokona pieszo. To wszystko, co pozostało z bahr bela ma.

- Z oceanu bez wody - szepnęła.

Znów się odwróciła i zlustrowała widnokrąg.

Nie było wiatru, a Leto wiedział, że w czasie bezwietrznej pogody cisza zżera ludzką duszę. Siona nie mogła dopatrzeć się żadnego punktu odniesienia. Była porzucona na wrogim terytorium.

Leto spojrzał na następną wydmę. Idąc dalej doszliby do łańcucha niskich wzgórz, które ongiś były górami, lecz teraz zmieniły się w rumowiska skalnych odłamków. Nadal trwał w bezruchu, pozwalając ciszy pracować na jego korzyść. To było całkiem przyjemne - wyobrazić sobie, że te wydmy rozciągają się, tak jak niegdyś, dookoła całej planety. Lecz nawet te diuny, które pozostały, nie były takie jak przedtem. Teraz, kiedy nie było już kurzaw Coriolisa na Diunie, Serir nie oglądał niczego ponad duszne bryzy i sporadyczne ciepłe wiry, nie wywierające większego niż lokalny efekt.

Jeden z tych maleńkich "wietrznych diabłów" tańczył na południu. Siona śledziła go wzrokiem.

- Wyznajesz prywatnie jakąś religię? - zapytała nagle. Sformułowanie odpowiedzi zabrało Leto chwilę. Zawsze zdumiewało go, jak pustynia pobudza myśli o wierze.

- Ośmielasz się pytać mnie, czy w coś wierzę? - zapytał z naciskiem.

Nie zdradzając w żaden sposób lęku - który, był tego pewien, niewątpliwie czuła - Siona odwróciła się i spojrzała badawczo na Leto. Śmiałość zawsze była cechą wyróżniającą Atrydów, przypomniał sobie.

Kiedy nie odpowiadała, rzekł:

- Jesteś prawdziwą Atrydką.

- To twoja odpowiedź? - spytała.

- Czego chcesz naprawdę się dowiedzieć, Siono?

- W co wierzysz!

- Ha! Pytasz o moją wiarę. No właśnie - wierzę, że coś nie może wyłonić się z niczego bez boskiej interwencji.

Jego odpowiedź zbiła ją z tropu.

- Co to za...

- Natura non facit saltus - rzekł.

Potrząsnęła głową, nie pojmując starożytnej sentencji.

- Natura nie czyni skoków - przetłumaczył.

- Co to za język? - zapytała.

- Język, którym oprócz mnie nikt już nie włada w tym wszechświecie.

- Dlaczego więc go użyłeś?

- By pobudzić twe uśpione wspomnienia.

- Nie mam żadnych! Chcę tylko wiedzieć, dlaczego mnie tu przywiodłeś.

- By dać ci posmakować przeszłości. Podejdź tu i wsiądź na mój grzbiet.

Zawahała się przez chwilę, potem, widząc daremność sprzeciwu, zsunęła się w dół wydmy i wspięła na ciało Leto.

Czekał, dopóki nie usadowiła się na nim. Wiedział, że nie było to to samo, co w dawnych czasach. Nie miała haków stworzyciela i nie mogła stać na jego grzbiecie. Wzniósł lekko swe przednie segmenty ponad piach.

- Dlaczego ja to robię? - zapytała. Z tonu jej głosu wynikało, że sytuacja wydaje jej się groteskowa,

- Chcę, żebyś posmakowała sposobu, w jaki nasz lud ongiś przemierzał dumnie tę ziemię, wysoko na grzbiecie gigantycznych pustynnych czerwi.

Zaczął pełznąć po wydmie tuż poniżej jej szczytu. Siona oglądała hologramy i teoretycznie znała to doznanie, ale rzeczywistość odbiegała od jej wyobrażeń i Leto wiedział, że będzie to dla niej silne przeżycie.

"Ach, Siono - pomyślał. - Nawet nie zaczynasz podejrzewać, jakiej poddam cię próbie."

Leto umacniał się w swoim postanowieniu. "Nie wolno mi się litować. Jeżeli umrze, to umrze. Jeżeli umiera ktokolwiek z nich, jest to tylko nieunikniony fakt, nic więcej." Poczuł się zmuszony powtórzyć sobie, że odnosi się to nawet do Hwi Noree. Czasami trudno było mu uwierzyć, że wszyscy muszą umrzeć.

Czuł, że Siona zaczyna zachwycać się jazdą na jego grzbiecie. Powstała, by mieć lepszy widok.

Dalej posuwał się wzdłuż wysokiego barchanu, tak samo jak Siona odczuwając przyjemność z tej jazdy. Leto ledwie mógł dostrzec niskie wzgórza na horyzoncie. Wyglądały jak kiełkujące nasiona przeszłości, przypomnienie wiecznej, zaborczej siły, działającej na pustyni. Był zdolny zapomnieć na chwilę, że na tej planecie, na której tylko drobny ułamek powierzchni pozostał pustynią, Serir trwał dzięki swej utajonej dynamice, pomimo niesprzyjającego otoczenia.

Przeszłość była tu wciąż obecna. Czuł to w miarę, jak przemierzał pustynię. Powtarzał sobie, że to oczywiście fantazja, fantazja, która rozwieje się w chwili, gdy zniknie jego wmówiony sobie spokój. Nawet barchan, po którym się teraz poruszał, nie był tak wielki, jak tamte z przeszłości. Żadna z wydm nie była tak wielka.

Ta cała utrzymywana pustynia uderzyła go nagle swoją śmiesznością. Zatrzymał się prawie na kamiennej powierzchni pomiędzy wydmami, ruszył, ale wolniej, starając się skojarzyć przyczyny, dla których istniał ten system. Wyobraził sobie ruch obrotowy planety wywołujący powstawanie wielkich prądów powietrznych, przenoszących nad nowe tereny olbrzymie ilości ciepłego i chłodnego powietrza - wszystko nadzorowane i kierowane przez owe niewielkie satelity wyposażone w ixiańskie instrumenty i skupiające ciepło ekrany. Jeżeli zawieszone na niebie monitory widziały wszystko, to widziały Serir jako część "rzeźby pustynnej", płaskorzeźby z otaczającymi ją ścianami: zieleni i chłodnych mas powietrza. To sprzyjało tworzeniu się lodu na skrajach pustyni i w rezultacie więcej wysiłku wymagało przystosowanie się do warunków klimatycznych planety.

Nie było to łatwe i Leto wybaczał zdarzające się od czasu do czasu omyłki z tego powodu.

Wspinając się ponownie na wydmę, utracił to poczucie delikatnej równowagi, oddalił wspomnienia kamienistych pustkowi otaczających piaski i oddał się kontemplacji tego "skamieniałego oceanu" o nieruchomych i pozornie niewzruszonych falach. Zwrócił się na południe, równolegle do pasma niszczejących wzgórz.

Wiedział, że większość ludzi nie rozumie jego zauroczenia pustynią. Odczuwają niepokój i oburzają się. Siona jednak nie musiała protestować. Wszędzie, gdziekolwiek spojrzała, pustynia domagała się od niej uznania.

Dziewczyna jechała w milczeniu na grzbiecie Leto, ale on i tak wiedział, że jej oczy są wilgotne. Dawne, odległe wspomnienia zaczynały obracać swe żarna.

W przeciągu trzech godzin dotarł do rejonu obłych, przypominających wielorybie grzbiety wydm, z których parę miało ponad sto pięćdziesiąt kilometrów długości, ustawionych w kierunku najczęściej wiejących w tej okolicy wiatrów. Za nimi znajdował się skalny korytarz prowadzący wzdłuż diun ku obszarowi usypanych w kształty przypominające gwiazdy wydm, wysokich prawie na czterysta metrów. W końcu dotarli do ergu centralnego, gdzie stale wysokie ciśnienie i naelektryzowane powietrze zawsze dobrze wpływały na nastrój Boga Imperatora. Wiedział, że ta sama magia podziała na Sionę.

- Tu właśnie powstały pieśni o Długiej Wędrówce - powiedział. - Ich słowa przetrwały w Przekazach Ustnych.

Nie odpowiedziała, ale wiedział, że słyszała.

Leto zwolnił nieco tempo i zaczął opowiadać Sionie o ich fremeńskiej przeszłości. Czuł, że jej zainteresowanie wciąż rośnie. Zadawała nawet co jakiś czas pytania, ale Leto zdawał sobie jednocześnie sprawę z tego, że jej obawy rosną również. Stąd nie widać już było podstawy Małej Twierdzy. Nie mogła rozpoznać niczego, co byłoby dziełem ludzkich rąk. Myślała też zapewne, że celowo wciągał ją teraz w nic nie znaczącą rozmowę, błahostki mające odwlec nadejście czegoś istotnego.

- W tym też miejscu narodziła się idea równości między naszymi mężczyznami i kobietami - powiedział.

- Twoje Mówiące-do-Ryb przeczą temu, że mężczyźni i kobiety są sobie równi - odparła.

Głos dziewczyny, pełen niewiary, dodatkowo potwierdzał nastrój zaniepokojenia, który Leto wyczuł w zachowaniu Siony. Zatrzymał się w miejscu, gdzie łączyły się dwie wydmy i wypuścił z siebie strumień nagromadzonego w organizmie tlenu.

- Dziś sytuacja przedstawia się inaczej - powiedział. - Ewolucja kobiet i mężczyzn powinna przebiegać w odmienny sposób. U Fremenów jednak zachodziło wzajemne uzależnienie. To zrodziło równość tu, gdzie problem przeżycia może znów stać się kwestią fundamentalną.

- Dlaczego mnie tu zabrałeś? - zapytała.

- Obejrzyj się za siebie - odparł. Poczuł, jak się obraca.

- Co mam zobaczyć? - zapytała po chwili.

- Zostawiliśmy jakieś ślady? Możesz powiedzieć mi, gdzie jesteśmy?

- Wieje wiatr.

- Nie widać naszych śladów?

- Chyba nie... Nie.

- To pustynia uczyniła nas tym, czym byliśmy i czym jesteśmy - powiedział. - To prawdziwe muzeum naszych tradycji. Żadna z nich nie zaginęła naprawdę.

Leto dostrzegł niezbyt silną burzę piaskową, ghibli, poruszającą się wzdłuż południowego horyzontu. Zauważył unoszące się wąskie fontanny pyłu i piasku. Siona z pewnością również to widziała.

- Dlaczego nie powiesz mi, w jakim celu mnie tu wziąłeś? - zapytała.

Lęk w jej głosie stał się aż nazbyt widoczny.

- Przecież ci powiedziałem.

- Nie powiedziałeś!

- Jak daleko dotarliśmy, Siono?

Zastanowiła się przez chwilę.

- Trzydzieści kilometrów? Dwadzieścia?

- Dalej - rzekł. - Na mojej ziemi mogę poruszać się bardzo szybko. Nie czułaś pędu powietrza na twarzy?

- Tak - odparła potulnie. - To dlaczego mnie pytasz, jak daleko?

- Zejdź i stań w miejscu, gdzie będę cię widział.

- Po co?

"Dobrze - pomyślał. - Wierzy, że tu ją porzucę i oddalę się tak szybko, że nie będzie mogła mnie dogonić."

- Zejdź, to ci wyjaśnię - powiedział.

Ześliznęła się z jego grzbietu i przeszła na miejsce, skąd mogła patrzeć mu w twarz.

- Czas szybko mija, gdy zmysły są zajęte - powiedział. - Jesteśmy na pustyni już prawie cztery godziny. Pokonaliśmy około sześćdziesięciu kilometrów.

- Dlaczego to takie ważne?

- Moneo włożył w zanadrze twojej szaty suszoną żywność - powiedział. - Zjedz trochę, a ja w tym czasie powiem ci.

Wyciągnęła suszony protokęs z woreczka, nie spuszczając oka z Leto. Zaczęła przeżuwać dawne fremeńskie pożywienie, zawierające - tak jak niegdyś - szczyptę melanżu.

- Czułaś przeszłość - powiedział. - Teraz trzeba cię uczulić na twoją przyszłość, na Złotą Drogę.

Przełknęła.

- Nie wierzę w twoją Złotą Drogę.

- Musisz w nią uwierzyć, jeśli chcesz żyć.

- Czy to jest twoja próba? Uwierz w Wielkiego Boga Leto albo giń?

- Wcale nie musisz we mnie wierzyć. Chcę, żebyś uwierzyła w siebie.

- Jakie więc to ma znaczenie, jak daleko dotarliśmy?

- Musisz zrozumieć, jak daleko musisz jeszcze zajść.

Przyłożyła dłoń do policzka.

- Nie...

- Miejsce, w którym stoisz - powiedział - jest dokładnym środkiem nieskończoności. Rozejrzyj się dookoła, zobacz, czym jest Nieskończoność.

Rozejrzała się po bezkresnej pustyni.

- Powinniśmy wyjść razem z mojej pustyni - rzekł. - Tylko my dwoje.

- Przecież ty nie chodzisz - powiedziała z ironią.

- Figura retoryczna. Ale t y pójdziesz. Zapewniam cię o tym. Spojrzała w kierunku, z którego tu przybyli.

- To dlatego pytałeś mnie o swoje ślady.

- Nawet gdyby takowe były, nie mogłabyś po nich wrócić. W Małej Twierdzy nie ma niczego, co mogłabyś zdobyć i wykorzystać do utrzymania się przy życiu.

- Nawet wody?

- Niczego.

Namacała rurkę od kieszeni łownej na ramieniu, napiła się, po czym schowała ją z powrotem. Zauważył staranność, z jaką zatkała jej końcówkę, jednak nie naciągnęła na twarz specjalnej maski, chociaż Leto słyszał, jak Moneo nakazywał jej, żeby to robiła. Nie chciała, aby cokolwiek przeszkadzało jej w mówieniu.

- Wmawiasz mi, że nie mogę od ciebie uciec - powiedziała.

- Biegnij, jeśli chcesz.

Obróciła się dookoła, badając wzrokiem pustkowie.

- Istnieje porzekadło o podobnych temu pustkowiach - rzekł - że każdy kierunek marszu jest równie dobry jak inny. Tkwi w tym ziarno prawdy, ale ja bym na nim nie polegał.

- Czy naprawdę mogę opuścić cię, jeżeli zechcę?

- Wolność może oznaczać zupełną samotność - powiedział. Wskazała na zbocze wydmy, na której się zatrzymali.

- Ale mogę po prostu zejść tam i...

- Gdybym był tobą, Siono, nie schodziłbym tam, gdzie wskazujesz.

Wpatrzyła się w niego.

- Dlaczego?

- Na stromym zboczu wydmy piach może się osunąć i pogrzebać cię, chyba że będziesz się posuwała wzdłuż naturalnych krzywizn.

Spojrzała w dół, zastanawiając się nad tym, co powiedział.

- Widzisz, jak piękne mogą być słowa? - zapytał.

Powróciła wzrokiem do jego twarzy.

- Nie powinniśmy już ruszać?

- Nauczysz się tu cenić bezczynność. I uprzejmość. Nie ma pośpiechu.

- Ale nie mamy wody poza...

- Ten filtrfrak, mądrze używany, pozwoli ci przeżyć.

- Ale jak wiele czasu zabierze nam...

- Niepokoi mnie twoja niecierpliwość.

- Mamy przecież tylko odrobinę suszonej żywności. Co będziemy jeść, kiedy...

- Siono! Czy zauważyłaś, że określasz nasze położenie jako jednakowe? Co będziemy jeść? Nie mamy wody. Czy powinniśmy iść? Jak długo to n a m zabierze?

Po sposobie, w jaki próbowała przełknąć, poznał, że dziewczynie zaschło w gardle.

- Czy to możliwe, że jesteśmy od siebie nawzajem zależni? - zapytał.

Odrzekła z wahaniem:

- Nie wiem, jak tutaj przeżyć.

- Czy myślisz, że ja wiem?

Skinęła głową,

- Dlaczego miałbym się dzielić z tobą tak cenną wiedzą? - zapytał.

Wzruszyła ramionami w żałosnym geście, który go rozczulił. Jak szybko ta pustynia niweczyła sztuczne, przybrane pozy.

- Podzielę się z tobą moją wiedzą - rzekł. - A ty musisz znaleźć coś cennego, czym podzielisz się ze mną.

Jej spojrzenie przesunęło się po nim całym, zatrzymało na chwilę na płetwach, które kiedyś były jego rękoma i nogami, potem powróciło do twarzy.

- Układ wymuszony groźbami to żaden układ - powiedziała.

- Niczym ci nie grożę.

- Jest wiele rodzajów przemocy - powiedziała.

- I zabrałem cię w to miejsce po to, by cię zgubić?

- A miałam jakiś wybór?

- Trudno jest być Atrydą - przyznał. - Wierz mi, wiem o tym.

- Nie musiałeś robić tego w ten sposób.

- I tu właśnie się mylisz.

Odwrócił się od niej i ruszył zygzakiem po zboczu wydmy. Słyszał, jak Siona ześlizguje się i potyka, podążając za nim. Leto zatrzymał się głęboko w cieniu diuny.

- Przeczekamy tu dzień - powiedział. - Podczas marszu nocą marnuje się mniej wody.

Jednym z najstraszniejszych słów we wszystkich językach jest słowo "żołnierz". Jego synonimy defiluję przez karty historii ludzkości: yogahnee, szturmowiec, huzar, karibo, kozak, bojownik, legionista, sardaukar, fedajkin, mówiąca-do-ryb... Znam je wszystkie. Stoją w mojej pamięci w szeregach, by mi przypomnieć: Zawsze upewniaj się, czy masz armię po swojej stronie.

"Wykradzione dzienniki"

Idaho natknął się na Monea w długim, podziemnym korytarzu, łączącym wschodnie skrzydło Twierdzy z zachodnim. Od świtu, czyli od dwóch godzin, Idaho buszował po Twierdzy, szukając majordoma, i wypatrzył go w końcu z daleka, rozmawiającego z kimś stojącym za uchylonymi drzwiami. Monea można było łatwo rozpoznać nawet z tej odległości dzięki jego charakterystycznej postawie i białemu mundurowi, stanowiącemu jego codzienny strój.

Ściany korytarza, wykonane z plaskały, tu, pięćdziesiąt metrów pod powierzchnią, miały bursztynowy kolor i były oświetlone przez luminopasma mające imitować światło dzienne. Świeże powietrze tłoczone było na tę głębokość za pomocą nieskomplikowanego systemu wiatraków rozmieszczonych w wieżach na powierzchni. Teraz, gdy słońce rozgrzało piasek, wszystkie skrzydła skierowały się ku północy, w kierunku chłodnego powietrza napływającego nad Serir. Idąc korytarzem, Idaho czuł woń kamiennego pyłu.

Wiedział, co ma przypominać ten korytarz. Rzeczywiście miał pewne cechy dawnej fremeńskiej siczy. Tunel był szeroki i wystarczająco wielki, by pomieścić Leto i jego Wóz. Łukowate sklepienie w y g l ą d a ł o jak skała. Dysonans stanowiły jedynie rozmieszczone wzdłuż przeciwległych ścian luminopasma. Idaho nigdy przed przybyciem do Twierdzy nie widział takiego oświetlenia; za j e g o czasów było uważane za niepraktyczne, zużywające zbyt wiele energii, a przez to zbyt kosztowne w utrzymaniu. Kule świętojańskie były prostsze i łatwiejsze do wymiany. Uświadomił sobie jednak, że Leto niewiele rzeczy uważa za niepraktyczne.

"To, czego chce Leto, ktoś musi mu dostarczyć."

Ta myśl wzbudziła w Idaho, idącym korytarzem w stronę Monea, nieprzyjemne uczucie lęku.

Podobnie jak w siczy, wzdłuż korytarza znajdowały się małe, pozbawione drzwi pokoje, jedynie z cienkimi zasłonami z rdzawej tkaniny, falującej w przeciągu. Idaho wiedział, że te pomieszczenia to głównie kwatery młodszych Mówiących-do-Ryb. Rozpoznał salę zgromadzeń z przyległymi pokojami przeznaczonymi na składowanie broni, kuchnię, jadalnię, sklepy z artykułami pierwszej potrzeby. Niezbyt szczelne zasłony sprawiały, że dostrzegał wiele innych rzeczy, których widok podsycał jego gniew.

Moneo odwrócił się do zbliżającego się Idaho. Kobieta, z którą rozmawiał, cofnęła się i opuściła zasłonę, ale Idaho zdążył dostrzec starszą już twarz o władczym wyrazie. Idaho nie rozpoznał tej dowódczyni.

Moneo skinął głową, gdy Duncan zatrzymał się dwa kroki przed nim.

- Strażniczki mówiły, że mnie szukasz - powiedział.

- Gdzie on jest, Moneo?

- Kto gdzie jest?

Starzec obrzucił spojrzeniem postać Idaho, zauważając staromodny czarny mundur Atrydów z wyszytym czerwonym jastrzębiem na piersi i wysokie wypolerowane buty. W wyglądzie tego człowieka było coś r y t u a l n e g o .

Idaho zaczerpnął powietrza i wycedził przez zaciśnięte zęby:

- Nie igraj sobie ze mną!

Moneo przyglądał się wiszącemu u pasa Idaho nożowi, który ze swoją wykładaną klejnotami rękojeścią wyglądał jak eksponat muzealny. Skąd Duncan go wytrzasnął?

- Jeżeli chodzi ci o Boga Imperatora... - rzekł Moneo.

- Gdzie?

- Dlaczego tak spieszy ci się, by umrzeć? - zapytał Moneo, zachowując łagodny ton.

- Powiedziano mi, że się z nim widziałeś.

- To było wcześniej.

- Znajdę go, Moneo.

- Nie tak od razu.

Idaho chwycił za rękojeść noża.

- Mam użyć siły, żeby cię zmusić do mówienia?

- Nie radziłbym.

- Gdzie... on... jest?

- Skoro nalegasz... jest na pustyni z Sioną.

- Z twoją córką?

- Znasz jakąś inną Sionę?

- Co oni tam robią?

- Jest poddawana próbie.

- Kiedy wrócą?

Moneo wzruszył ramionami i rzekł:

- Skąd ten niezwykły gniew, Duncanie?

- Co to za próba, której poddaje twoją...

- Nie wiem. Słuchaj, dlaczego jesteś taki wściekły?

- To miejsce przyprawia mnie o mdłości! Mówiące-do-Ryb! - Odwrócił głowę i splunął.

Moneo spojrzał w głąb korytarza za Idaho, przypominając sobie moment jego nadejścia. Znając Duncanów, łatwo się domyślić, co spowodowało obecny stan Idaho.

- Duncanie - powiedział Moneo - dla dojrzewających kobiet, tak samo jak i dla mężczyzn, normalne jest czuć fizyczny pociąg do przedstawicieli tej samej płci. Większość z nich z tego wyrośnie.

- Powinno się to wytępić!

- Ty należysz do naszego dziedzictwa.

- Wytępić! I to naj...

- Och, uspokój się. Jeżeli tego zakażesz, odniesiesz odwrotny skutek.

Idaho przyjrzał się mu.

- I mówisz, że nie wiesz, co się dzieje z twoją własną córką!

- Siona poddawana jest próbie, powiedziałem ci.

- A co to ma znaczyć?

Moneo zasłonił dłonią oczy i westchnął. Opuścił rękę, zastanawiając się, w jaki sposób udaje mu się znosić tego głupiego, niebezpiecznego, starożytnego człowieka.

- To znaczy, że ona może tam umrzeć.

Te słowa zaskoczyły Idaho, studząc jego gniew.

- Jak możesz pozwolić...

- Pozwolić? Myślisz, że miałem jakiś wybór?

- Każdy człowiek ma jakiś wybór!

Przez usta Monea przemknął gorzki uśmiech.

- Jak to możliwe, że jesteś o tyle głupszy od innych Duncanów?

- Innych Duncanów! - krzyknął Idaho. - Jak umierali tamci inni, Moneo?

- Tak, jak my wszyscy. Ich czas dobiegał końca.

- Kłamiesz - powiedział Idaho przez zaciśnięte zęby, z knykciami zbielałymi na rękojeści noża.

Wciąż zachowując spokój, Moneo rzekł:

- Uważaj, nawet moja cierpliwość na granice, zwłaszcza teraz.

- To miejsce gnije - powiedział Idaho. Wskazał ręką na korytarz za sobą. - Są rzeczy, z którymi nigdy się nie pogodzę!

Moneo patrzył niewidzącym wzrokiem w głąb tunelu.

- Musisz dorosnąć, Duncanie. Musisz.

- A to co znaczy?

- On jest teraz niezwykle rozdrażniony. Trzeba zapobiec wszystkiemu... w s z y s t k i e m u , co by go niepokoiło.

Idaho z trudem powstrzymał się przed wybuchem. W zachowaniu Monea było coś zastanawiającego, coś, co hamowało jego gniew. Padły jednak słowa, których nie można było puścić mimo uszu.

- Nie jestem jakimś tam niedojrzałym dzieckiem, które możesz...

- Duncanie! - To był najgłośniejszy krzyk, jaki Idaho kiedykolwiek słyszał z ust zrównoważonego Monea. Zaskoczenie odebrało mu zdolność ruchu, podczas gdy starzec mówił dalej: - Jeżeli ciało domaga się dojrzałości, a ciągle jest niedojrzałe, to człowiek zachowuje się naprawdę w obrzydliwy sposób. Odejdź.

- Oskarżasz... mnie... o...

- Nie. - Moneo wskazał na korytarz. - Och, wiem, co musiałeś tam widzieć, ale...

- Dwie kobiety w namiętnym pocałunku! Myślisz, że to jest...

- To nieważne. Młodość na różne sposoby wypróbowuje swoje możliwości.

Idaho znów o mały włos nie stracił panowania nad sobą.

- Miło mi dowiedzieć się czegoś o tobie, Moneo.

- No cóż, ja dowiadywałem się czegoś nowego o tobie kilkakrotnie.

Moneo obserwował, jaki efekt wywierają na Duncanie te słowa, jak godzą w niego, wstrząsają nim. Ghole nigdy nie mogli uniknąć fascynacji innymi, którzy ich poprzedzali.

- Czego się dowiadywałeś? - zapytał chrapliwym szeptem Idaho.

- Nauczyliście mnie cennych rzeczy - odparł Moneo. - Każdy z nas stara się ewoluować, ale jeśli coś nas blokuje, władowujemy nasz potencjał w ból - szukając go bądź go zadając. Szczególnie podatni na to są ludzie niedojrzali.

Idaho nachylił się ku Moneowi.

- Mówię o seksie!

- Oczywiście, że tak.

- Oskarżasz mnie o niedojrzały...

- Właśnie.

- Powinienem poderżnąć ci...

- Och, zamknij się.

W odpowiedzi Monea nie wyczuwało się niuansów szkolenia w kontroli Głosu Bene Gesserit, ale słychać było w niej doświadczenie całego życia spędzonego na wydawaniu rozkazów. Idaho mógł jedynie usłuchać.

- Przepraszam - powiedział Moneo. - Ale rozprasza mnie fakt, że moja jedyna córka... - Przerwał i wzruszył ramionami.

Idaho dwukrotnie głęboko odetchnął.

- Jesteście szaleni, wszyscy! Mówisz, że twoja córka może właśnie w tej chwili umiera, a mimo to...

- Ty głupcze! - wypalił Moneo. - Czy masz jakiekolwiek pojęcie, ile mnie obchodzą twoje nędzne troski? Twoje kretyńskie pytania i egoistyczne... - przerwał, potrząsnął głową.

- Pozwalam ci na to, bo masz osobiste kłopoty - rzekł Idaho. - Jeśli jednak będziesz...

- Pozwalasz? T y mi pozwalasz? - Moneo z trudem wciągnął powietrze. Tego było za wiele!

Idaho przemówił oschle:

- Mogę ci wybaczyć twoje...

- Ty! Bredzisz o seksie, przebaczeniu i bólu, i myślisz... myślisz, że ty i Hwi Noree...

- Jej w to nie mieszaj!

- Och, tak. Ją zostawić. Zostawić na boku t e n ból. Kochałeś się z nią i nigdy nie pomyślałeś o rozstaniu. Powiedz mi, głupcze, jak wyglądasz w świetle tego?

Zaskoczony Idaho westchnął głęboko. Nie podejrzewał aż takiej pasji w spokojnym Moneu, ale ten atak nie mógł być...

- Myślisz, że jestem okrutny? - zapytał Moneo porywczo. - Zmuszam cię do myślenia o rzeczach, których wolałbyś uniknąć. Ha! Okrutniejsze rzeczy czyniono Panu Leto z powodów nie głębszych niż czyste okrucieństwo.

- Bronisz go? Ty?

- Znam go najlepiej.

- Wykorzystuje cie.

- Do jakich celów?

- Ty mi powiedz!

- W nim cała nasza nadzieja na przetrwanie...

- Zboczeńcy nie przetrwają!

Moneo przemówił uspokajającym tonem, ale jego słowa wstrząsnęły Idaho:

- Powiem ci tylko ten jeden raz. Homoseksualiści byli pośród najlepszych wojowników w naszej historii, to byli bersekerzy na czarną godzinę. Byli wśród naszych najlepszych kapłanów i kapłanek. Celibat w religiach nie był przypadkowy. Nie jest także przypadkiem, że osobnicy niedojrzali to najlepszy materiał na żołnierzy.

- To perwersja.

- Zupełnie słusznie. Dowódcy wojskowi od tysięcy lat wiedzieli o perwersyjnej przemianie rozkoszy w ból.

- To właśnie t o robi Wielki Bóg Leto?

Wciąż spokojny, Moneo odrzekł:

- Przemoc wymaga, byś zadawał ból i cierpiał z jego powodu. O wiele łatwiej jest radzić sobie z siłą zbrojną, kierującą się popędami w zadawaniu cierpień.

- Z ciebie też zrobił potwora!

- Zasugerowałeś, że on się mną posługuje - powiedział Moneo. - Pozwalam na to, bo wiem, że cena, którą płaci, jest o wiele większa niż to, czego ode mnie wymaga.

- Oddajesz mu nawet własną córkę?

- O n nic nie zatrzymuje dla siebie. Dlaczego ja miałbym? Och, myślę, że rozumiesz tę cechę Atrydów. Duncanowie zawsze byli w tym dobrzy.

- Duncanowie! Do licha, nie pozwolę...

- Nie masz po prostu odwagi zapłacić ceny, o którą prosi - rzekł Moneo..

Jednym zamaszystym ruchem Idaho wyszarpnął nóż z pochwy i rzucił się na Monea. Poruszał się szybko, ale Moneo był jeszcze szybszy - odstąpił na bok, podstawiając Idaho nogę i przygniótł go twarzą w dół do podłogi. Idaho podczołgał się nieco do przodu, przetoczył i chciał powstać, ale zawahał się, uświadamiając sobie, że właśnie usiłował zaatakować Atrydę. Moneo był Atrydą. Wstrząs zmroził Idaho.

Moneo stał nieruchomo, patrząc na leżącego. Na twarzy majordoma malował się smutek.

- Jeżeli chcesz mnie zabić, Duncanie, najlepiej zrób to podstępem, pchnięciem w plecy - powiedział. - W ten sposób może ci się uda.

Idaho podźwignął się na jedno kolano, postawił stopę płasko na podłodze i zastygł w tej pozie, wciąż ściskając nóż. Moneo poruszał się tak szybko i z takim wdziękiem - tak... tak naturalnie! Idaho odkaszlnął.

- Jak ty to...

- On nas hodował od dawna, Duncanie, wzmacniając w nas wiele cech. Dążył do wykształcenia w nas szybkości, inteligencji, wrażliwości, powściągliwości. Ty... ty jesteś po prostu starszym modelem.

Wiecie, co często powtarzają partyzanci? Głoszą, ze ich rebelie są niepodatne na uwarunkowania ekonomiczne, ponieważ nie mają gospodarki, ponieważ pasożytują na tych, których mają obalić. Ci głupcy do tego stopnia ignorują realia, że niemal nie potrafią odczytać nominału monety, którą przychodzi im w końcu płacić. Wzorzec rozkładu i upadku jest niezmienny i nieuchronnie powtarzalny. Jest obecny w systemach niewolniczych, państwach dobrobytu, kastowych systemach religijnych, ciążących ku socjalizmowi biurokracjach - we wszystkich systemach tworzących i utrzymujących zależności. Kto za długo był pasożytem, nie potrafi istnieć bez żywiciela.

"Wykradzione dzienniki"

Leto i Siona przeleżeli cały dzień w cieniu wydmy, przenosząc się tylko w miarę przesuwania się słońca po niebie. Nauczył ją, jak chronić się pod warstwą piasku przed skwarem południa, ale na skale pomiędzy wydmami nie było na tyle gorąco, by koniecznym stało się tę wiedzę wykorzystać.

Po południu Siona podpełzła do Leto, by ogrzać się ciepłem, którego w tym czasie miał aż nadto.

Od czasu do czasu rozmawiali. Opowiadał jej o Fremenach, którzy niegdyś byli panami pustyni. Ona próbowała wyciągnąć z niego pieczołowicie skrywane tajemnice.

Raz powiedział: "Może to uznasz za dziwne, ale właśnie tutaj najłatwiej jest mi być człowiekiem."

Pomimo wszystkich słów nie udało mu się uświadomić Sionie jej ludzkiej bezbronności, kruchości, tego, że może umrzeć. Nawet gdy nie rozmawiali, nie nakładała na twarz maski filtrfraka.

Leto rozumiał nieświadomą motywację tego zaniechania, ale zdawał sobie również sprawę z bezcelowości otwartego mówienia o tym.

Późnym popołudniem, gdy chłód nocy stał się już bardzo dotkliwy, zaczął zabawiać ją pieśniami z okresu Długiej Wędrówki, nie zachowanymi w Przekazach Ustnych. Cieszyło go to, że spodobała się jej jedna z jego ulubionych pieśni, "Marsz Lieta".

- Melodia jest naprawdę starożytna - powiedział. - Jeszcze z przedkosmicznej ery Starej Ziemi.

- Zaśpiewałbyś ją jeszcze raz?

Wybrał jeden ze swoich najlepszych barytonów, głos nieżyjącego od dawna artysty, którego nazwisko wypełniało niegdyś wszystkie sale koncertowe.

Ściany przeszłości nie-do-odwołania
Przed otchłanią mnie kryją przemijania
I wszystka woda w niej ginie!
A gry strumienia
Drążą z kamienia
Pod grzmiącą nawałą jaskinie.

Gdy skończył, milczała przez chwilę, potem powiedziała:

- To dziwne, jak na marszową piosenkę.

- Podobała się im, bo mogli ją analizować.

- Analizować?

- Zanim nasi fremeńscy przodkowie przybyli na tę planetę, noc była czasem snucia opowieści, śpiewania pieśni i recytowania poezji. W czasach Diuny jednakże takie spotkania odbywały się w mroku ciemności panujących za dnia we wnętrzu siczy. W nocy mogli wychodzić na zewnątrz i poruszać się po okolicy... tak jak my teraz.

- Ale powiedziałeś: analizować.

- Co znaczą słowa tej piosenki?

- Och, to... to tylko piosenka.

- Siono!

Usłyszała gniew w jego głosie, więc się nie odzywała.

- Ta planeta jest dzieckiem czerwia - ostrzegł ją - i to ja jestem tym czerwiem.

- Powiedz mi zatem, co one znaczą - odparła z nieoczekiwaną czelnością.

- Tak samo jak owad nie może istnieć bez swojego roju, tak my nie możemy żyć w oderwaniu od naszej przeszłości - powiedział. - Są w niej jaskinie i wszystkie wiadomości wypisane w strumieniach ulewy.

- Wolę piosenki do tańca.

Była to bezczelna odpowiedź, ale Leto zdecydował się potraktować ją jako zmianę tematu. Opowiedział Sionie o tańcu weselnym Fremenek, którego kroki wywodziły się z obserwacji diabłów pyłowych. Leto był dumny z tego, że opowiedział ciekawą historię. Hipnotyczne niemalże skupienie malujące się na twarzy dziewczyny upewniło go, że oczyma wyobraźni widzi ona kobiety wirujące w tańcu, z długimi czarnymi włosami odrzucanymi w pradawnych gestach i opadającymi na martwe od wieków twarze.

Kiedy skończył opowiadać, zapadła już prawie ciemność.

- Chodź - rzekł. - Rano i wieczorem wciąż jeszcze widać z daleka sylwetki innych stworzeń. Zobaczymy, czy ktoś dzieli z nami pustynię.

Siona poszła jego śladem na grzbiet wydmy i obydwoje zaczęli rozglądać się po ciemniejącej pustyni. Dostrzegli jedynie pojedynczego ptaka kołującego wysoko nad ich głowami, zaintrygowanego ich obecnością. Po kształcie postrzępionych na końcach skrzydeł Leto poznał, że to sęp. Zwrócił na niego uwagę Sionie.

- Ale czym one się tu żywią?

- Wszystkim, co nieżywe albo prawie martwe.

To wstrząsnęło nią i wpatrzyła się w ostatnie promienie słońca, złocące pióra samotnego ptaka.

- Niewielu ludzi odważa się wyprawiać w mój Serir - kontynuował Leto. - Czasami Muzealni Fremeni zbaczają z drogi i gubią się. Dobrzy są naprawdę jedynie w obrzędach. No i są resztki tego, co pozostawiają moje wilki na krańcach pustyni.

Słysząc to, odwróciła się gwałtownie od niego, ale zdążył dostrzec trawiącą ją pasję. Próba była bolesna dla Siony.

- Za dnia pustynia jest niezbyt wdzięcznym miejscem - powiedział. - To kolejny powód, dla którego podróżujemy w nocy. Dla Fremena wyobrażeniem dnia był niesiony przez wiatr piasek, zacierający ślady.

Gdy odwróciła się do niego, jej oczy błyszczały od łez, ale twarz była spokojna.

- Kto teraz zamieszkuje pustynię? - zapytała.

- Sępy, trochę nocnych zwierząt, nędzne pozostałości świata roślinnego z dawnych czasów, stworzenia żyjące pod ziemią.

- To wszystko?

- Tak.

- Dlaczego tu żyją?

- Ponieważ tu się urodziły, a ja nie pozwalam im na poznanie niczego lepszego.

Ciemność była już niemal absolutna, tylko gdzieniegdzie błyskały pojedyncze światełka, które ukazywały się na pustyni w takich chwilach. Przyglądał się Sionie w tym nikłym świetle, domyślając się, że nie zrozumiała jeszcze tej innej informacji, którą starał się jej przekazać. Wiedział jednak, że owa wiadomość dotrze prędzej czy później do jej świadomości.

- Sylwetki... - powiedziała, przypominając mu. - Co spodziewałeś się wypatrzeć, kiedy tutaj weszliśmy?

- Może ludzi w oddali. Nigdy niczego nie można być pewnym.

- Co za ludzi?

- Już ci mówiłem.

- Co byś zrobił, gdybyś kogoś zobaczył?

- Fremeńskim zwyczajem było traktować zbliżających się jako wrogów, dopóki nie rzucili w powietrze garści piasku.

Gdy mówił, ciemność zapadła nad nimi jak kurtyna. Siona stała się widmowym ruchem w nikłym świetle gwiazd.

- Piasku? - zapytała.

- Rzucanie piasku to gest mający ogromne znaczenie. Mówi: Dzielimy to samo brzemię. Piach to nasz jedyny wróg. Jego właśnie pijemy. W dłoni, która trzyma piasek, nie ma broni. Rozumiesz teraz?

- Nie! - nieprzyjemny ton głosu zranił jego uszy.

- Zrozumiesz - odparł.

Bez słowa ruszyła po grzbiecie wydmy, oddalając się od niego. Gniew dodawał jej krokom zdecydowania. Leto pozwolił wysunąć się jej daleko przed siebie, zaciekawiony tym, że instynktownie wybrała prawidłowy kierunek. Musiały odżyć jej fremeńskie wspomnienia.

Zaczekała na niego w miejscu, gdzie wydma stykała się z następną. Maska na twarz wciąż zwisała luźno. Nie nastał jeszcze czas, by ją za to besztać. Pewne nieświadome procesy trzeba zostawić własnemu biegowi.

Gdy dołączył do niej, zapytała:

- To kierunek równie dobry jak inne?

- Jeżeli będziesz się go trzymać - odparł.

Podniosła wzrok ku gwiazdom i zobaczył, że zidentyfikowała Wskazówki, te Fremeńskie Strzałki, które prowadziły jej przodków przez pustynię. Widział jednak, że to rozpoznanie było przede wszystkim efektem pracy intelektu. Nie pogodziła się jeszcze z tym, co działało wewnątrz niej.

Leto uniósł przednie segmenty, by się rozejrzeć. Oddalali się na północny zachód od szlaku, który kiedyś prowadził przez Grań Habbanja i Grotę Ptaków do ergu pod Nibymurem Zachodnim i wiódł do Wrót Wiatru. Dziś nie istniało już żadne z tych miejsc. Wciągnął w nozdrza chłodny powiew wiatru przesyconego zapachem krzemu. Jednak bryza niosła ze sobą zbyt dużo wilgoci, by mogła być dla niego przyjemna.

Raz jeszcze dziewczyna wyforsowała się do przodu - tym razem jednak szła wolniej i co chwila patrzyła w gwiazdy, aby nie zgubić kierunku. Leto czuwał nad jej poczynaniami, niemniej prowadziła Siona, samodzielnie. Bóg Imperator wiedział, jaki zamęt musi panować w jej umyśle, wiedział też, co ten zamęt zrodzi: ufność i lojalność wobec towarzyszy podróży, cechy, które były podstawową zasada kierującą życiem pustynnego ludu.

"Wiemy - pomyślał. - Jeżeli oddzielisz się od swoich towarzyszy, zgubisz się wśród wydm i skał. Samotny wędrowiec na pustyni to martwy wędrowiec. Tylko czerwie żyją w pojedynkę."

Pozwolił jej wyprzedzić się na tyle, by nie rozpraszało jej tarcie jego ciała o piach. Musiał dotrzeć do niej fakt, że Leto posiada również ludzką osobowość. Liczył, że lojalność Siony będzie działać na jego korzyść. Jej charakter był jednak chwiejny, przepełniał ją stłumiony gniew - była bardziej zbuntowana od innych, których poddawał próbie.

Leto podążał za nią, myśląc o swoim programie eugenicznym. Zaczął rozważać ewentualne decyzje, które musiałby podjąć, gdyby Sionie się nie udało.

W miarę upływu czasu dziewczyna szła coraz wolniej. Pierwszy Księżyc był dokładnie nad ich głowami, a Drugi wysoko ponad horyzontem, gdy zatrzymała się, by odpocząć i zjeść coś.

Leto ucieszył się z tej przerwy. Ocieranie o piasek budziło w nim Czerwia, powietrze wokół przesycone było chemicznymi wyziewami - efektem procesu przystosowania termicznego. Praca tego, co nazywał swoją "sprężarką tlenową", przebiegała równo i bez zakłóceń, powodując, że czuł się jak przetwórnia, fabryka białka i aminokwasów, których jego czerwia istota potrzebowała, by doprowadzić do stopniowej wymiany ludzkich komórek na komórki czerwia. Pustynia przyspieszała jego ostateczną przemianę.

Siona zatrzymała się nie opodal gwiaździstej wydmy.

- To prawda, że jesz piasek? - zapytała, gdy dołączył do niej.

- Tak.

Rozejrzała się dookoła po posrebrzonym światłem księżyca horyzoncie.

- Dlaczego nie wzięliśmy aparatury sygnalizacyjnej?

- Chciałem, żebyś dowiedziała się o tym, co posiadasz. Odwróciła się do niego. Czuł jej oddech na twarzy. Dziewczyna marnowała zbyt wiele wilgoci. Wciąż nie pamiętała o napomnieniu Monea. To będzie gorzka nauczka, bez wątpienia.

- W ogóle cię nie rozumiem - powiedziała.

- A mimo to zdecydowałaś się, że właśnie tak będziesz się zachowywać.

- Czyżby?

- W jaki inny sposób mogłabyś dać mi coś wartościowego w zamian za to, co ja ci dałem?

- Co ty mi dałeś? - Jej słowa przepełnione były goryczą, dodatkowo pogłębioną przez odrobinę przyprawy zawartej w jej suszonym pożywieniu.

- Daję ci sposobność bycia ze mną sam na sam, dzielenia czasu ze mną, a ty spędzasz go bezowocnie. Marnujesz go.

- O co ci chodziło z tym, co niby posiadam? - ponagliła. Usłyszał w jej głosie zmęczenie. Stawało się jasne, że równowaga wodna w jej organizmie została naruszona.

- Ci Fremeni byli niezwykle praktycznymi ludźmi - powiedział. - A za piękne uważali tylko to, co użyteczne. Nigdy nie spotkałem chciwego Fremena.

- Co to niby ma znaczyć?

- W dawnych czasach brało się na pustynię tylko rzeczy absolutnie niezbędne i nic poza tym. Twoje życie, Siono, nie jest już wolne od chęci posiadania, inaczej nie pytałabyś o sygnalizatory.

- Dlaczego są niepotrzebne?

- Niczego byś się nie nauczyła.

Wyminął ją i ruszył do przodu, kierując się według Wskazówek.

- Chodź. Wykorzystamy noc dla naszego celu.

Spiesznie dołączyła do niego.

- Co się stanie, jeżeli nie nauczę się twojej przeklętej lekcji?

- Prawdopodobnie umrzesz.

To uciszyło ją na jakiś czas. Brnęła obok Leto, od czasu do czasu rzucając na niego spojrzenie, przypatrując się okapturzonej twarzy. Po pewnym czasie rzekła:

- Mówiące-do-Ryb powiedziały, że to ty nakazałeś związek, z którego się urodziłam.

- To prawda.

- Mówią, że prowadzisz statystyki i nakazujesz Atrydom zawierać związki, które są najkorzystniejsze dla twoich celów.

- To także jest prawdą.

- Więc Przekazy Ustne nie kłamią.

- Myślałem, że wierzysz w nie bez zastrzeżeń?

Siona nie pozwalała jednak na zmianę tematu:

- Co by było, gdyby ktoś z nas przeciwstawił się związkowi, który ty nakazałeś?

- Pozwalam na daleko posuniętą swobodę tak długo, jak długo rodzą się dzieci, których sobie życzę.

- Życzysz sobie?

- Tak właśnie.

- Nie możesz wczołgać się do każdej sypialni, śledzić nas w każdej minucie naszego życia. Skąd wiesz, że twoje rozkazy są wykonywane?

- Wiem.

- Wiec wiesz, że nie będę ci posłuszna.

- Nie chce ci się pić, Siono?

- Co? - zapytała zaskoczona.

- Spragnieni ludzie mówią o wodzie, nie o miłości.

Wciąż nie miała maski na twarzy. "Namiętności Atrydów są dużo silniejsze od ich zdrowego rozsądku" - pomyślał.

Po dwóch godzinach zeszli z wydm na smaganą przez wiatr żwirową równinę. Siona często spoglądała na Wskazówki. Oba księżyce wisiały nisko nad horyzontem, a ich światło sprawiało, że skały rzucały długie cienie.

Pod pewnymi względami Leto wolał poruszać się po twardszym od piasku podłożu. Lita skała była lepszym przewodnikiem ciepła niż piach, co ułatwiało pracę jego chemicznym przetwórniom. Kamienie, a nawet bardziej pokaźne skałki w ogóle mu nie przeszkadzały.

Siona miała jednak większe kłopoty, kilka razy omal nie zwichnęła nogi w kostce.

Leto pomyślał, że ten płaski teren może być bardzo trudny dla ludzi doń nie przystosowanych. Przed nimi otwierała się bezkresna pustka, miejsce dziwaczne zwłaszcza w świetle księżyca - daleko stąd widać było wydmy, tak daleko, że wydawały się prawie wcale nie przybliżać w miarę ruchu wędrowców - nic poza wiejącym tu nieustannie - zdawać by się mogło - wiatrem, kilkoma skałami i obojętnymi gwiazdami w górze. To była pustynia absolutna.

- To miejsce nadało muzyce Fremenów jej niepowtarzalną melancholię - powiedział. - Właśnie to, nie wydmy. Tu człowiek uczy się myśleć, że niebiosa muszą być szmerem płynącej wody, muszą nieść ulgę uszom zmęczonym wyciem tego niestrudzonego wiatru.

Nawet wtedy nie przypomniała sobie o założeniu maski. Leto powoli tracił nadzieję.

Poranek zaskoczył ich daleko w głębi równiny.

Leto zatrzymał się przy trzech dużych głazach, z których jeden był nawet wyższy niż on sam. Siona na chwilę wsparła się na grzbiecie Leto. Ten gest podniósł go nieco na duchu. Po chwili odepchnęła się odeń i wspięła na najwyższą skałę. Obserwował, jak z tej wysokości przypatruje się okolicy.

Leto nie musiał się rozglądać, i tak wiedział, co widzi Siona: niesiony wiatrem piach wiszący jak mgła na horyzoncie, zasłaniający wschodzące słońce. Poza tym tylko pustkowie.

Skała pod nim była zimna chłodem pustynnego przedświtu. Zimno sprawiało, że powietrze było znacznie suchsze. To było dla Leto przyjemne. Bez Siony ruszyłby dalej, lecz ona była wyraźnie wyczerpana. Oparła się o niego raz jeszcze, gdy zeszła ze skały, i prawie minutę zabrało mu uświadomienie sobie, że ona nasłuchuje.

- Co słyszysz? - zapytał.

- Coś szumi we wnętrzu twojego ciała - powiedziała sennie.

- Ogień nigdy do końca nie wygasa.

To ją zainteresowało. Odepchnęła się od jego boku i obeszła go, by spojrzeć mu w twarz.

- Ogień?

- Ogień płonie w każdej żywej istocie. U niektórych płomień jest mocniejszy, u niektórych słabszy. Mój jest najpotężniejszy.

Splotła ręce w ochronie przed chłodem.

- Nie jest ci więc tu zimno?

- Nie, ale widzę, że tobie tak. - Lekko zagłębił twarz w swoim kapturze, wyginając w łuk przednią część tułowia. - To prawie jak hamak - powiedział, spoglądając w dół. - Jeżeli się tu zmieścisz, będzie ci cieplej.

Bez wahania przyjęła jego zaproszenie.

Mimo iż spodziewał się, jak zachowa się Siona, stwierdził, że jej ufna reakcja jest ujmująca. Musiał zwalczyć w sobie litość, uczucie nieznane mu w tym stopniu przed poznaniem Hwi. Powiedział sobie jednak, że tu nie może być miejsca na litość. Było bardziej niż prawdopodobne, że Siona tu umrze. Musiał przygotować się na rozczarowanie.

Dziewczyna osłoniła twarz ramieniem, zamknęła oczy i zasnęła.

"Nikt nigdy nie miał tylu dni wczorajszych co ja" - powtórzył sobie.

Wiedział, że to, co tu robi, z ludzkiego punktu widzenia może wydawać się jedynie okrutne i prostackie. Musiał umocnić się wewnętrznie, wycofując we wspomnienia, rozmyślnie dobierając pomyłki naszej wspólnej przeszłości. Z pierwszej ręki znał ludzkie słabości, było to teraz jego największą siłą. Wiedza o nich nauczyła go umiejętności długofalowych korekt. Stale musiał być świadomy konsekwencji. Jeżeli były one przemilczane bądź zapomniane, lekcje szły na marne.

Ale im bardziej stawał się czerwiem, tym ciężej było mu podejmować decyzje, które inni mogliby nazwać nieludzkimi. Kiedyś dokonywał ich z łatwością, jednak im bardziej tracił człowieczeństwo, tym więcej trapiło go ludzkich trosk.

W kołysce naszej przeszłości leżałem na plecach w jaskini tak wąskiej, ze mogłem w niej jedynie pełzać, nawet nie czołgać się. Tam, w tańczącym świetle pochodni, malowałem na ścianach i suficie zwierzęta, na które polowaliśmy, i wyobrażenia duszy mojego ludu. Jak pouczające jest spojrzenie wstecz przez narysowane przeze mnie doskonałe koło na pradawne wysiłki przedstawienia tego, co duchowe. Wieczność krzyczy: "Oto jestem!" Z wiedzą wzbogaconą przez wielkich artystów, którzy nadeszli później, spoglądam na odciski dłoni i zwierzęta naszkicowane na skale węglem drzewnym i roślinnymi barwnikami. Jesteśmy czymś więcej, niż tylko mechanicznie powtarzalnymi wydarzeniami! A moje aspołeczne "ja" wciąż pyta: "Dlaczego oni nie chcą opuścić jaskini?"

"Wykradzione dzienniki"

Zaproszenie, by towarzyszyć Moneowi w jego pracowni, dotarło do Idaho późnym popołudniem. Duncan cały dzień rozmyślał, leżąc w hamaku w swojej kwaterze. Każda myśl dotyczyła łatwości, z jaką Moneo powalił go tego poranka na posadzkę korytarza.

"Jesteś po prostu starszym modelem."

Z każdą chwilą Idaho czuł się bardziej upokorzony. Czuł, jak traci chęć do życia, jak jego gniew powoli wypala się, pozostawiając popioły.

.Jestem dostarczycielem pożytecznego nasienia i niczym więcej" - myślał.

Z takich myśli mogło wyniknąć albo pragnienie śmierci, albo hedonizm. Czuł się niewolnikiem przypadku, igraszką sił atakujących go ze wszystkich stron.

Młoda posłanniczka w schludnym niebieskim mundurze rozdrażniła go tylko dodatkowo. Weszła po tym, jak cichym głosem odpowiedział na jej pukanie, i niepewnie oczekiwała w przedpokoju, dopóki nie udało jej się ocenić jego nastroju.

"Jak szybko roznoszą się wieści" - pomyślał.

Widział ją stojącą w drzwiach, uosobienie Mówiących-do-Ryb - bardziej lubieżna od innych, ale nie bardziej prowokująca. Niebieski mundur nie skrywał kształtów wdzięcznych bioder, jędrnych piersi. Podniósł spojrzenie na jej pyzata twarz, ocienioną przez grzywkę jasnych włosów - fryzurę akolitek.

- Moneo przysłał mnie, abym spytała - powiedziała - czy raczysz odwiedzić go w jego pracowni.

Idaho widział tę pracownię kilka razy, ale wciąż najlepiej pamiętał ją taką, jaką była podczas jego pierwszej tam wizyty. Wchodząc do pokoju, wiedział już, że tu właśnie Moneo spędza większość czasu. Był tam niski stół z ciemnobrązowego drewna poznaczonego złotymi słojami, mniej więcej dwa metry na metr. Idaho uderzyła oryginalność i niewątpliwa drogocenność tego mebla, będącego główną ozdobą gabinetu. Stół oraz leżące dookoła poduszki - tak samo szare jak podłoga, ściany i sufit - to było całe umeblowanie.

Zważywszy na potęgę jego lokatora, pokój był mały, nie większy niż cztery na pięć metrów, ale wysoki. Światło padało z dwóch wąskich okien, znajdujących się naprzeciw siebie na krótszych ścianach. Z okien rozciągał się widok: od strony północnej na granicę między Serirem a Zakazanym Lasem, od południa zaś na wydmy.

Kontrast.

Stół przydał interesującego akcentu tej myśli. Jego powierzchnia wyglądała jak martwa natura zatytułowana r o z g a r d i a s z . Drewno blatu ledwo przeświytywało przez rozrzucone nań cienkie arkusze ryduliańskiego

papieru krystalicznego. Niektóre z kartek zapisane były starannym pismem. Idaho rozpoznał słowa w Galach i czterech innych językach, włącznie z rzadkim dialektem Perth. Kilka arkuszy papieru przedstawiało szkice planów, a niektóre pokreślone były czarnymi zawijasami w stylu Bene Gesserit. Najbardziej interesujące były cztery białe rulony mające około metra długości - trójwymiarowe wydruki z nielegalnego komputera. Idaho podejrzewał, że terminal jest ukryty za jedną ze ścian.

Młoda kurierka od Monea kaszlnęła, żeby wyprowadzić Idaho z zamyślenia:

- Jaką odpowiedź mam zanieść Moneowi? - zapytała.

Idaho wpatrzył się w jej twarz.

- Chciałabyś, abym cię zapłodnił? - spytał.

- Dowódco! - była wyraźnie zaszokowana, nie tyle samą sugestią, co wtrętem non sequitur.

- Aaach, tak - powiedział Idaho. - Moneo. Co powinniśmy mu odpowiedzieć?

- Czeka na twoją odpowiedź, dowódco.

- A ma to jakikolwiek sens? - spytał Idaho.

- Moneo powiedział mi, że pragnie naradzić się wraz z tobą i Hwi Noree.

To nieco zaintrygowało Idaho.

- Hwi jest z nim?

- Wezwano ją, dowódco. - Raz jeszcze kaszlnęła. - Czy mój dowódca życzy sobie, żebym odwiedziła go tutaj późnym wieczorem?

- Nie. Ale i tak ci dziękuję. Zmieniłem zdanie.

Pomyślał, że dobrze ukryła swoje rozczarowanie, ale ton jej głosu stał się chłodny, oficjalny:

- Mam powiedzieć, że dołączysz do Monea?

- Zrób to. - Machnął dłonią, żeby odeszła.

Gdy został sam, zastanowił się, czy nie zlekceważyć po prostu wezwania. Ciekawość jednak brała górę. Moneo chciał z nim rozmawiać w obecności Hwi. Dlaczego? Czyżby uważał, że doprowadzi do jego ucieczki? Idaho westchnął. Gdy myślał o Hwi, przestawał odczuwać wewnętrzną pustkę. Nie można było zignorować tego sygnału. Jakaś magiczna, potężna siła wiązała go z Hwi.

Wstał, zdrętwiały po długiej bezczynności. Prowadziła go ciekawość i owa tajemnicza siła. Wyszedł na korytarz, udał, że nie dostrzega ciekawskich spojrzeń strażniczek, i podążył do pracowni Monea.

Gdy Idaho wszedł do pokoju, Hwi już tam była. Siedziała po przeciwnej stronie Monea, przy zarzuconym papierami stole. Stopy w czerwonych pantoflach trzymała podwinięte pod szarą poduszkę, na której siedziała. Idaho zobaczył, że dziewczyna jest ubrana w długą brązową szatę spiętą plecionym pasem. Odwróciła się i nie mógł już oderwać wzroku od jej twarzy. Usta Hwi wypowiedziały bezgłośnie jego imię.

"Nawet ona już o tym słyszała" - pomyślał.

Niespodziewanie ta myśl dodała mu sił. Jego wszystkie dzisiejsze rozważania zaczęły nabierać nowej treści.

- Proszę, siadaj, Duncanie - powiedział Moneo. Gestem wskazał mu miejsce obok Hwi. Jego głos miał osobliwy, uspokajający ton, modulację, którą niewiele osób poza Leto miało okazję u niego słyszeć. Wciąż wpatrywał się w bałagan panujący na stole. Pośrodku blatu stał przycisk do papieru. Miał kształt drzewa obwieszonego owocami wykonanymi ze szlachetnych kamieni, stojącego na szczycie góry z kryształu.

Idaho zajął wskazaną poduszkę, obserwując Hwi śledzącą go wzrokiem, dopóki nie usiadł. Dziewczyna przeniosła spojrzenie na Monea i wtedy Idaho dostrzegł gniew malujący się na jej twarzy. Rozchylony kołnierzyk białego munduru Monea ukazywał pomarszczoną szyję starca. Idaho spojrzał Moneowi w oczy, zmuszając go do rozpoczęcia rozmowy.

- Zrobiłem dziś rano coś niewybaczalnego - rzeki Moneo. - Nie proszę cię zatem, byś mi wybaczył. Proszę cię jedynie, żebyś postarał się zrozumieć.

Idaho pomyślał, że Hwi nie wydaje się zaskoczona takim początkiem spotkania. Zdradzało to wiele z tego, o czym tych dwoje rozmawiało przed jego przybyciem. I gdy nie odpowiadał, Moneo kontynuował:

- Nie mam żadnego prawa sprawiać, byś czuł się niepotrzebny.

Idaho stwierdził, że ulega dziwnej reakcji na słowa i zachowanie Monea. Miał wciąż poczucie bycia wymanewrowanym i zdeklasowanym, zbyt nie przystającym do swoich czasów, chociaż przestał podejrzewać, że jest igraszką w ręku Monea. Coś spowodowało, że majordom był tak jak zawsze surowy, lecz szczery. Świadomość tej zmiany lokowała wszechświat Leto, śmiercionośny erotyzm Mówiących-do-Ryb, niewątpliwą i nieodpartą otwartość Hwi - wszystko, w nowym powiązaniu i w postaci, której Idaho nie mógł pojąć. To tak, jakby ich troje w tym pokoju było ostatnimi prawdziwymi ludźmi w całym wszechświecie. Przemówił tonem nieszczerej skruchy:

- Miałeś prawo bronić się, kiedy cię zaatakowałem. Cieszy mnie, że wykazałeś się taką zręcznością.

Odwrócił się do Hwi, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, usłyszał słowa Monea:

- Nie musisz się za mną wstawiać. Myślę, że ona jest ze mnie bardzo niezadowolona.

Idaho potrząsnął głową.

- Czy wszyscy wiedzą, co mam zamiar powiedzieć, zanim otworzę usta, co będę czuł, zanim to poczuję?

- To jedna z twoich godnych podziwu cech - rzekł Moneo. - Nie ukrywasz swych uczuć. My... - wzruszył ramionami - ...z konieczności jesteśmy bardziej oględni.

Idaho popatrzył na Hwi.

- On mówi za ciebie? Chwyciła dłoń Idaho.

- Mówię sama za siebie.

Moneo wyciągnął szyję, by popatrzeć na ich dłonie splecione w uścisku, potem znów rozsiadł się wygodnie.

- Nie wolno wam - westchnął.

Idaho silniej zacisnął palce, czując, że dziewczyna odpowiada mu tym samym.

- Zanim któreś z was zapyta - rzekł Moneo - moja córka i Bóg Imperator nie wrócili jeszcze z próby.

Idaho wyczuł wysiłek, jakiego dokonał Moneo, by powiedzieć to spokojnie. Hwi też to dostrzegła.

- To prawda, co mówią Mówiące-do-Ryb? - zapytała. - Że Siona umrze, jeżeli zawiedzie?

Moneo milczał ze skamieniałą twarzą.

- To tak jak próba Bene Gesserit? - zapytał Idaho. - Muad'Dib powiedział, że zakon żeński testuje ludzi, by sprawdzić, czy są ludźmi.

Dłoń Hwi zaczęła drżeć. Idaho wyczuł to i spojrzał na dziewczynę.

- Poddały cię próbie?

- Nie - odparła Hwi - ale słyszałam, jak młode Matki o niej opowiadały. Mówiły, że trzeba przejść przez mękę, nie tracąc poczucia własnej jaźni.

Idaho powrócił uwagą do Monea, zauważając tik w kąciku lewego oka majordoma.

- Moneo - powiedział Idaho, oświecony nagłym zrozumieniem - on poddał cię próbie.

- Nie życzę sobie dyskusji o próbach - uciął Moneo. - Zebraliśmy się tutaj, by zdecydować, co zrobić z wami.

- A czy to nie nasza sprawa? - spytał Idaho. Czuł, że dłoń Hwi jest śliska od potu.

- To sprawa Boga Imperatora - powiedział Moneo.

- Nawet jeżeli Sionie się nie uda? - zapytał Idaho.

- Zwłaszcza wtedy.

- Jak wyglądała twoja próba?

- Dał mi przez chwilę poczuć, jak to jest być Bogiem Imperatorem,

- I?

- Widziałem tyle, ile byłem zdolny ujrzeć.

Dłoń Hwi zacisnęła się spazmatycznie na ręce Idaho.

- Zatem to prawda, że byłeś buntownikiem? - zapytał Duncan.

- Zacząłem od miłości i modlitwy - powiedział Moneo. - Zamieniłem to na gniew i bunt. Zostałem przemieniony w tego, którego widzicie przed wami. Znam swoje obowiązki i wypełniam je.

- Co on z tobą zrobił? - zapytał Idaho, akcentując każde słowo.

- Zacytował mi modlitwę z mojego dzieciństwa: "Oddaję swe życie na większą chwałę Boga" - odparł zamyślony Moneo.

Idaho zauważył bezruch Hwi, jej wzrok utkwiony w twarzy Monea. O czym myślała?

- Przyznałem, że taka była moja modlitwa - mówił dalej Moneo. - A Bóg Imperator zapytał mnie, co oddałbym, gdyby moje życie nie wystarczyło. Krzyczał na mnie: "Czym jest twoje życie, kiedy zatrzymujesz dla siebie większy dar?"

Hwi skinęła potakująco, ale Idaho czuł tylko mętlik w głowie.

- Słyszałem prawdę w jego glosie - powiedział Moneo.

- Posiadasz Prawdopoznanie? - zapytała Hwi.

- W chwilach rozpaczy, tak - odrzekł Moneo. - Ale tylko wtedy. Przysięgam wam, że mówił mi prawdę.

- Niektórzy z Atrydów posiadali siłę Głosu - mruknął Idaho.

Moneo potrząsnął głową.

- Nie, to była prawda. Powiedział do mnie: "Patrzę na ciebie teraz i gdybym mógł płakać, płakałbym. Uważaj chęć za równą czynowi!"

Hwi pochyliła się do przodu, prawie dotykając głową stołu.

- On nie może płakać?

- Czerwie - szepnął Idaho.

- Co? - Hwi odwróciła się do niego.

- Fremeni zabijali czerwie wodą - powiedział Idaho. - Z utopionych szej-huludów uzyskiwali esencję przyprawową niezbędną dla ich religijnych orgii.

- Ale Pan Leto nie jest jeszcze całkowicie czerwiem - powiedział Moneo.

Hwi odchyliła się w tył na poduszkę i popatrzyła na Monea.

Idaho zacisnął w zamyśleniu usta. Czy Leto ma taki sam stosunek do łez, jak Fremeni? Jak przerażeni byli zawsze taką stratą wilgoci! Oddawaniem wody umarłym.

Moneo zwrócił się do Idaho:

- Miałem nadzieję, że można sprawić, żebyś zrozumiał. Pan Leto rzekł: "On i Hwi muszą rozstać się i nie spotykać więcej."

Hwi puściła dłoń Idaho.

- Wiemy.

- Znamy jego siłę - powiedział Idaho z goryczą i rezygnacją.

- Ale nie rozumiecie go - rzekł Moneo.

- Niczego nie pragnę bardziej niż tego - powiedziała Hwi. Położyła dłoń na ramieniu Idaho, by go uciszyć. - Nie, Duncanie. Na nasze osobiste pragnienia nie ma tu miejsca.

- Może powinnaś pomodlić się do niego - rzekł Idaho. Spojrzała mu w oczy, aż spuścił wzrok. Kiedy się odezwała, jej głos dźwięczał w sposób, którego Idaho nigdy wcześniej nie słyszał:

- Mój wuj, Malky, zawsze mówił, że Pan Leto nigdy nie odpowiada na modlitwy. Mówił, że Pan Leto patrzy na modlitwę jak na próbę wymuszenia, postać przemocy wobec obranego boga, mówienie nieśmiertelnemu, co ma czynić: Ześlij mi Boże, cud albo przestanę w ciebie wierzyć!

- Modlitwa jako pycha - wyjaśnił Moneo. - Mieszanie się w wolę boską.

- Jak on może być bogiem? - zapytał Idaho. - Sam przyznaje, że nie jest nieśmiertelny.

- Przytoczę, co powiedział o tym Pan Leto - powiedział Moneo. - "Jestem całym Bogiem, którego trzeba oglądać. Jestem słowem, które stało się cudem. Jestem wszystkimi moimi przodkami: czy to nie wystarczający cud? Czego jeszcze moglibyście chcieć? Zapytajcie siebie samych: Czy istnieje większy cud?"

- Pustosłowie - zadrwił Idaho.

- Ja też z niego szydziłem - wyznał Moneo. - Rzuciłem mu w odpowiedzi jego własne słowa z Przekazów Ustnych: "Dawajcie, by większa była chwała Boża."

Hwi westchnęła ciężko.

- Śmiał się ze mnie - powiedział Moneo. - Śmiał się i zapytał, jak mogę oddać coś, co należy do Boga.

- Rozgniewałeś się? - zapytała Hwi.

- Och, tak. Zobaczył to i rzekł, że powie mi, jak przyczynić się do tej chwały. Powiedział: "Możesz zauważyć, że w każdym calu jesteś równie wielkim cudem jak ja". - Moneo obrócił się i wyjrzał przez okno po lewej. - Obawiam się, że mój gniew sprawił, że byłem głuchy i kompletnie nie przygotowany.

- Och, on jest przebiegły - powiedział Idaho.

- Przebiegły? - Moneo popatrzył na niego. - Nie sądzę, aby tak było, nie w ten sposób, o jakim myślisz. Myślę, że Pan Leto może w tej dziedzinie nie być przebieglejszy ode mnie.

- Nie przygotowany na co? - zapytała Hwi.

- Na ryzyko - odparł Moneo.

- Ale ryzykowałeś wiele w gniewie - rzekła.

- Nie tyle, co on. Widzę po twoich oczach, Hwi, że to rozumiesz. Czy jego ciało jest dla ciebie odpychające?

- Już nie - rzekła.

Sfrustrowany Idaho zazgrzytał zębami.

- On budzi we mnie niesmak!

- Kochany, nie wolno ci mówić takich rzeczy - powiedziała Hwi.

- A tobie nie wolno nazywać go kochanym - rzekł Moneo.

- Wolałbyś, żeby nauczyła się kochać kogoś tak złego i przerażającego, że baron Harkonnen zdaje się przy nim niewiniątkiem - powiedział Idaho.

Moneo wydał wargi i rzekł:

- Pan Leto opowiadał mi o owym złym starcu z waszych czasów, Duncanie. Nie sadzę, żebyś rozumiał swojego wroga.

- To był tłusty, potworny...

- To był poszukiwacz doznań - powiedział Moneo. - Otyłość była skutkiem ubocznym, potem stała się doznaniem samym w sobie, gdyż obrażała, a on uwielbiał obrażać.

- Baron pochłonął tylko kilka planet - powiedział Idaho. - Leto pochłania wszechświat.

- Kochany, proszę! - zaprotestowała Hwi.

- Niech mówi swoje - powiedział Moneo. - Kiedy byłem młodym ignorantem, tak jak moja Siona i ten biedny głupiec, mówiłem podobne rzeczy.

- Więc dlatego pozwalasz swojej córce umrzeć? - zapytał gwałtownie Idaho.

- Kochany, to okrutne - rzekła Hwi.

- Duncanie, jedną z twoich wad była zawsze skłonność do histerii - powiedział Moneo. - Ostrzegam cię, że na histerii kwitnie niewiedza. Twoje geny niosą wigor i możesz nawet podobać się niektórym Mówiącym-do-Ryb, ale kiepski z ciebie przywódca.

- Nie próbuj mnie rozzłościć - odrzekł Idaho. - Jestem na tyle rozsądny, żeby teraz ciebie nie zaatakować, ale nie posuwaj się za daleko.

Hwi chciała wziąć go za rękę, ale on wyrwał jej dłoń.

- Znam swoje miejsce - powiedział Idaho. - Jestem pożyteczny i wierny. Mogę nieść sztandar Atrydów. Moimi barwami są czerń i zieleń.

- Ludzie bez zasług utrzymują się przy władzy przez szerzenie histerii - powiedział Moneo. - Sztuką Atrydów jest rządzenie bez histerii, zdolność bycia odpowiedzialnym za sposób wykorzystywania władzy.

Idaho poderwał się na nogi.

- Kiedy to twój przeklęty Bóg Imperator był za cokolwiek odpowiedzialny?

Moneo popatrzył na zarzucony szpargałami stół i przemówił, nie podnosząc wzroku:

- Nie jesteś wystarczająco twardy, by dowiedzieć się, dlaczego to ze sobą zrobił, Duncanie.

- A ty tak? - zapytał Idaho.

- Kiedy byłem najbardziej wściekły - powiedział Moneo - a on widział siebie moimi oczyma, rzekł: "Jak śmiesz obrażać się na mnie?" To wtedy... - Moneo przełknął - ...to wtedy dał mi zajrzeć w koszmar... który widział. - Łzy wezbrały w jego oczach i spłynęły po policzkach. - A ja byłem zadowolony, że nie muszę podejmować tej decyzji... że mogę zadowolić się byciem wiernym.

- Dotknęłam go - szepnęła Hwi.

- Więc wiesz? - zapytał ją Moneo.

- Wiem, nie widząc tego - rzekła.

- Prawie od tego umarłem - cichym głosem powiedział Moneo. - Ja... - Zadrżał, potem zwrócił się do Idaho: - Nie wolno ci...

- Do diabła z wami wszystkimi! - warknął Idaho. Odwrócił się i wybiegł z pokoju.

Hwi patrzyła za nim z twarzą stężałą od lęku.

- Och, Duncanie - szepnęła.

- Widzisz? - zapytał Moneo. - Nie miałaś racji. Ani ty, ani Mówiące-do-Ryb nie ułagodziłyście go. Ale to ty, Hwi, ty tylko przyczyniłaś się do jego upadku.

Hwi nie kryła przed majordomem swojego strachu.

- Nigdy więcej się z nim nie spotkam - powiedziała.

Dla Idaho droga powrotna do kwatery stała się jedną z najtrudniejszych chwil znanych jego pamięci. Próbował wyobrazić sobie, że jego twarz to nieruchoma plastalowa maska, kryjąca szalejącą w nim burzę. Żadnej z mijanych strażniczek nie wolno było ukazać przepełniającego go bólu. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że większość z nich zgadywała powód jego cierpienia i współczuła mu. Wszystkie czytały sprawozdania dotyczące Duncanów i nauczyły się dobrze interpretować ich zachowanie.

W korytarzu blisko swojej kwatery Idaho natknął się na idącą wolno w jego stronę Naylę. Coś w jej twarzy - niezdecydowanie i rezygnacja, zatrzymało go na chwilę i omal nie wybiło z wewnętrznego skupienia.

- Przyjaciółka... - powiedział, będąc kilka kroków od niej. Przyjrzała mu się i na jej kwadratowej twarzy pojawił się wyraz przypomnienia.

"Jak dziwnie wygląda ta kobieta" - pomyślał.

- Nie jestem już Przyjaciółką - powiedziała i minęła go, idąc w głąb korytarza.

Idaho odwrócił się na pięcie i wpatrzył w jej oddalające się plecy - te masywne, potężnie umięśnione barki.

"Po co ją spłodzono?" - zastanowił się. Ale to była tylko przelotna myśl. Jego własne troski powróciły ze zdwojoną siłą. Zbliżył się do swoich drzwi i wszedł do środka.

Będąc już wewnątrz, Idaho stał przez chwilę z zaciśniętymi pięściami.

„Nie jestem związany z żadnym czasem" - pomyślał. To dziwne, ale nie czuł, aby ta myśl go wyzwalała. Wiedział jednak, że zrobił coś, co pozwoli Hwi wyzwolić się z miłości do niego. Został pomniejszony, wkrótce będzie myśleć o nim jak o małym, drażliwym idiocie, podległym tylko własnym emocjom. Mógł sobie wyobrazić, że dzięki temu powoli przestanie być przedmiotem jej zainteresowania.

I ten biedak Moneo!

Idaho wyczuwał ideę, która ucieleśniała się w potulnym majordomie. Obowiązek i odpowiedzialność. Postawa idealna dla ludzi zmuszonych podejmować trudne decyzje.

"Taki byłem kiedyś - pomyślał Idaho. - Ale to było w innym życiu, w innym czasie."

Duncanowie czasem pytają mnie, czy rozumiem osobliwe idee z naszej przeszłości. I jeżeli je pojmuję, to dlaczego nie mogę ich wyjaśnić. Duncanowie wierzą, ze wiedza zasadza się na szczegółach. Ja próbuję mówić im, ze wszystkie słowa są plastyczne. Wyobrażenia słowne zaczynają deformować się w chwili ich wypowiadania. Idee uwikłane w język wymagają tegoż właśnie języka do ich wyrażenia. To właśnie jest kwintesencją znaczenia słowa "osobliwe". Widzicie, jak zaczyna się wypaczać? Przykład wije się w obecności osobliwego. Narzuca się tu Galach, którym mówię. Jest to zewnętrzny szkielet odniesień, system szczególny. We wszystkich systemach czyhają niebezpieczeństwa. Systemy zawierają niesprawdzalne wierzenia ich twórców. Przyjmując system, akceptując jego dogmaty, pomagasz wzmocnić jego odporność na zmiany. Czy miałoby jakikolwiek dla mnie sens, gdybym mówił Duncanom, ze na wyrażenie pewnych rzeczy brak jest języka? Hm mm... Wszak Duncanowie wierzą, że władam wszystkimi językami.

"Wykradzione dzienniki"

Przez pełne dwie doby Siona nie założyła maski na twarz, tracąc z każdym oddechem cenną wilgoć. Dopiero napomnienie dla dzieci przywiodło jej na myśl słowa ojca. Leto przemówił do niej ostatecznie trzeciego dnia ich marszu, o poranku, gdy zatrzymali się w cieniu skały na wymiecionej przez wiatr równinie ergu.

"Strzeż każdego oddechu, albowiem niesie ciepło i wilgoć twojego życia" - powiedział.

Wiedział, że będą na pustyni jeszcze przez trzy dni i trzy noce, zanim dotrą do wody. Mijał już piąty poranek, odkąd opuścili wieżę Małej Twierdzy. W nocy natknęli się na niskie usypiska piasku - nie wydmy, ale wydmy mogli dojrzeć przed sobą, a jeżeli ktoś wiedział, gdzie szukać, można było dopatrzeć się daleko na horyzoncie cienkiej linii będącej resztkami Grani Habbanja. Teraz Siona zdejmowała maskę po to tylko, by powiedzieć coś wyraźnie. A mówiła spękanymi, krwawiącymi wargami.

"Odczuwa silne pragnienie - pomyślał, badając wzrokiem okolicę. - Wkrótce osiągnie punkt krytyczny. "Jego zmysły mówiły mu, że wciąż są sami, tu, na skraju równiny. Było parę minut po brzasku.

Promienie wstającego słońca odbijały się od pyłu wznoszącego się i opadającego w powiewach nieustającego wiatru. Leto oddzielił w swoim umyśle dominujące wycie wiatru, by usłyszeć ciche, słabsze dźwięki - ciężki oddech Siony, szmer piasku osypującego się ze skały obok, skrzypienie podłoża powstałe wskutek ruchu jego własnego wielkiego cielska.

Siona zdjęła z twarzy maskę, ale trzymała ją w ręku, by móc szybko założyć ją z powrotem.

- Jak długo jeszcze, zanim dotrzemy do wody? - zapytała.

- Trzy noce.

- Jest jakiś lepszy kierunek marszu?

- Nie.

Zaczęła doceniać fremeńską oszczędność w udzielaniu ważnych informacji. Wypiła pożądliwie kilka kropel wody ze swojej kieszeni łownej.

Leto odczytał przesłanie zawarte w jej ruchach - gesty charakterystyczne dla Fremenów in extremis. Siona była teraz w pełni świadoma wspólnego doświadczenia ich przodków - patijeh, niemal śmiertelnego pragnienia.

Skąpe krople z kieszeni łownej zostały wypite. Usłyszał, że dziewczyna zasysa powietrze. Założyła maskę i powiedziała stłumionym głosem:

- Nie uda mi się, prawda?

Leto spojrzał jej w oczy, dostrzegł jasność myśli spowodowaną bliskością śmierci, głębię świadomości nieosiągalną w innych warunkach. Wzmacniała tylko te cechy, które były potrzebne do przeżycia. Tak, posunęła się daleko w tedah riagrimi, agonii, która otwiera umysł. Wkrótce będzie musiała podjąć tę ostateczną decyzję, którą, jak wierzył, już podjęła. Leto wyczytywał z tych oznak, że winien traktować teraz Sionę z wyjątkową ostrożnością i delikatnością. Musiał szczerze odpowiadać na wszystkie pytania, albowiem we wszystkich czaił się osąd.

- Nie uda się, prawda? - nalegała. W jej desperacji wciąż był ślad nadziei.

- Nic nie jest pewne - odpowiedział.

To pogrążyło ją w rozpaczy. Nie było to zamiarem Leto, ale wiedział, że tak często się zdarzało - odpowiednia, choć dwuznaczna odpowiedź przyjmowana jako potwierdzenie najgorszych obaw.

Westchnęła.

Siona podjęła jeszcze jedną próbę:

- W swoim programie eugenicznym miałeś dla mnie jakiś specjalny cel.

To nie było pytanie.

- Wszyscy ludzie mają jakieś zamiary - powiedział jej.

- Ale ty chciałeś mej pełnej zgody.

- To prawda.

- Jak mogłeś czekać na zgodę, skoro wiedziałeś, że wszystkiego w tobie nienawidzę? Bądź ze mną uczciwy!

- Trzema nogami trójnoga zgody są: pragnienie, dane i wątpliwości. Słuszność i uczciwość niewiele mają z tym wspólnego.

- Proszę, nie sprzeczaj się ze mną. Wiesz, że umieram.

- Za bardzo cię szanuję, by się z tobą sprzeczać.

Wzniósł następnie nieco przednie segmenty, aby zbadać wiatr. Czuło się już spiekotę dnia, ale w powietrzu wciąż było za dużo wilgoci. Przypomniało mu to, że im bardziej kontrolował pogodę, tym więcej było do kontrolowania. Dążenie do absolutów przybliżało go tylko do nieoznaczoności.

- Twierdzisz, że się nie sprzeczasz, ale...

- Kłótnie otumaniają zmysły - powiedział, opuszczając się na ziemię. - Zawsze maskują przemoc. Trwając zbyt długo, zawsze prowadzą do przemocy. Nie żywię wobec ciebie złych zamiarów.

- Co chciałeś mi dać do zrozumienia przez pragnienie, dane i wątpliwości?

- Pragnienie łączy porozumiewających się z sobą. Dane określają granice ich dialogu. Wątpliwości zarysowują pytania.

Podeszła bliżej, by popatrzeć na jego twarz z odległości mniejszej niż metr.

Pomyślał, że to dziwne, iż nienawiść może tak doskonale współistnieć z nadzieją, strachem i podziwem.

- Mógłbyś mnie ocalić?

- Jest na to sposób.

Skinęła głową i wiedział, że wyciągnęła błędny wniosek.

- Chcesz kupić za to moją zgodę - oskarżyła go.

- Nie.

- Jeżeli przejdę przez twoją próbę...

- To nie jest moja próba.

- A czyja?

- Wywodzi się od naszych wspólnych przodków.

Siona osunęła się do pozycji siedzącej i milczała, nie gotowa jeszcze poprosić o miejsce na odpoczynek w ciepłym wgłębieniu w jego przednim segmencie. Leto pomyślał, że prawie słyszy słaby krzyk czający się w jej gardle. Teraz opadły ją wątpliwości. Zaczynała się zastanawiać, czy naprawdę może go dopasować do swojego wyobrażenia Skończonego Tyrana. Popatrzyła nań z tą przerażającą ostrością myśli, którą już u niej rozpoznał.

- Co sprawia, że robisz to, co robisz?

Pytanie było dobrze sformułowane.

- Potrzeba ocalenia ludzi - odparł.

- Jakich ludzi?

- Moja definicja jest o wiele szersza niż wszystkie inne - nawet Bene Gesserit, które myślą, że zdefiniowały, co to znaczy być człowiekiem. Odwołuję się do wiecznej nici człowieczeństwa przewijającej się we wszystkich definicjach.

- Starasz się wmówić mi... - Suchość w ustach uniemożliwiła jej mówienie. Spróbowała zebrać ślinę. Widział ruchy ust pod maską. Pytanie było jednak oczywiste i nie czekał, aż dokończy.

- Gdyby nie ja, to nie byłoby już żadnych ludzi, zupełnie żadnych, a droga do tej zagłady byłaby straszliwsza niż wszystko, co możesz sobie wyobrazić w najdzikszych snach.

- To twoje rzekome przyszłowidzenie - rzekła ironicznie.

- Złota Droga wciąż stoi otworem - powiedział.

- Nie wierzę ci!

- Ponieważ nie jesteśmy równi sobie?

- Tak!

- Ale jesteśmy od siebie zależni.

- Czego ode mnie potrzebujesz?

"Aha, wołanie młodości niepewnej swego miejsca." Czuł siłę tajemnych więzów współzależności i zmusił się do bycia twardym. "Zależność rodzi słabość."

- Ty jesteś Złotą Drogą - powiedział.

- Ja? - zapytała szeptem.

- Czytałaś dzienniki, które mi ukradłaś - powiedział. - Jestem w nich, ale gdzie ty jesteś? Przyjrzyj się temu, co stworzyłem, Siono. Ty nie możesz stworzyć niczego poza sobą.

- Słowa, kolejne słowne pułapki!

- Nie cierpię z powodu tego, że jestem czczony, Siono. Cierpię z powodu bycia niedocenianym. Może... Nie, nie śmiem wiązać z tobą nadziei.

- W jakim celu powstały te dzienniki?

- Spisuje je ixiańskie urządzenie. Mają zostać odnalezione w odległej przyszłości. Zmuszą ludzi do myślenia.

- Ixiańskie urządzenie? Sprzeciwiasz się zakazom Dżihad Butlerjańskiej!

- W tym też tkwi nauka. Co naprawdę robią takie maszyny? Powiększają ilość rzeczy, które możemy robić, nie myśląc. Rzeczy, które wykonujemy bezmyślnie - to prawdziwe niebezpieczeństwo. Popatrz, jak długo szłaś przez pustynię, nie pomyślawszy o masce na twarz.

- Mogłeś mnie ostrzec!

- I zwiększyć twoją zależność.

Popatrzyła na niego przez chwilę i powiedziała:

- Dlaczego chciałbyś, bym dowodziła twoimi Mówiącymi-do-Ryb?

- Jesteś Atrydką, zaradną i zdolną do niezależnego myślenia. Potrafisz być prawdomówna dla samej wyznawanej przez ciebie idei prawdy. Zostałaś urodzona i wychowana do rozkazywania - co oznacza wolność od zależności.

Wiatr zakręcił wokół nich pyłem i piaskiem, podczas gdy Siona rozważała te słowa.

- A jeżeli się zgodzę, uratujesz mnie?

- Nie.

Była tak pewna innej odpowiedzi, że minęło kilka uderzeń serca, zanim dotarł do niej sens tego jednego słowa. Równocześnie wiatr osłabł trochę, odsłaniając widok wzdłuż wydm na resztki Grani Habbanja. W powietrzu zapanował nagle ziąb, który w równym stopniu co żar słońca odbierał ciału jego wilgoć. Jakąś cząstką świadomości Leto wyczuł zawahanie kontroli pogody.

- Nie? - była równie zaskoczona, jak i rozgniewana.

- Nie dokonuję krwawych targów z ludźmi, którym muszę ufać. Potrząsnęła wolno głową, ale jej wzrok pozostawał utkwiony w jego twarzy.

- Co skłoni cię do ocalenia mnie?

- Nic mnie do tego nie zmusi. Dlaczego myślisz, że możesz zrobić ze mną to, czego ja nie zrobiłbym z tobą? Nie tak wygląda współzależność.

Jej ramiona opadły.

- Jeżeli nie mogę się z tobą ani targować, ani cię zmusić...

- Zatem musisz wybrać inną drogę.

"To takie cudowne - obserwować błyskawiczne rozwijanie się świadomości" - pomyślał. Wyraziste oczy Siony nie kryły przed nim niczego. Skoncentrowała się na jego oczach i wpatrywała w nie, jak gdyby szukając drogi całkowitego wniknięcia w jego myśli. W jej stłumionym głosie pojawiła się nowa siła:

- Chciałeś, żebym wiedziała o tobie wszystko, o każdej twojej słabości?

- Ukradłabyś to, co mógłbym ci ofiarować dobrowolnie?

Poranne światło jaskrawo oświetlało jego twarz.

- Nic ci nie obiecuję!

- Ani ja tego nie wymagam.

- Ale dasz mi... wody, jeśli o to poproszę?

- To nie tylko woda. Pokiwała głową.

- A ja jestem Atrydką.

Mówiące-do-Ryb nie zmieniły tej specyficznej podatności w genach Atrydów. Wiedziała, skąd pochodzi przyprawa i co mogła z nią zrobić. Nauczycielki w szkołach Mówiących-do-Ryb nigdy go nie zawiodły. Delikatne domieszki melanżu w suszonej żywności Siony również zrobiły swoje.

- Te małe zwinięte fałdy przy mojej twarzy - powiedział. - Podrażnij je lekko palcem, a wydzielą krople wilgoci mocno przesycone esencją przyprawową.

Dojrzał błysk zrozumienia w jej oczach. Wróciły do niej wspomnienia, o których nigdy nie myślała jako o wspomnieniach. Była owocem wielopokoleniowej pracy Leto, która miała na celu stałe zwiększanie podatności Atrydów na działanie melanżu.

Nawet gwałtowność jej pragnienia nie pozbawiała jej kontroli nad sobą. By ułatwić jej przejście przez kryzys, zaczął opowiadać o fremeńskich dzieciach szukających tyczkami piaskopływaków na krańcach oaz.

- Ale ja jestem Atrydką - powiedziała.

- Przekazy Ustne nie pozostawiają co do tego wątpliwości - rzekł.

- Więc mogę od tego umrzeć.

- To jest próba.

- Zrobiłbyś ze mnie prawdziwą Fremenkę?!

- Jak inaczej mogłabyś nauczać swoich potomków, jak tutaj przeżyć, po tym, jak mnie już tu nie będzie?

Zdjęła maskę i przysunęła twarz na odległość dłoni od jego twarzy. Dotknęła palcem jednego ze zwiniętych fałdów kaptura Leto.

- Pogładź go lekko - powiedział.

Jej ręka usłuchała nie głosu, ale jakiejś wewnętrznej siły kierującej Sioną. Precyzyjne ruchy palców wzbudziły jego własne wspomnienia, coś, co przechodziło z pokolenia na pokolenie... informacje zarówno prawdziwe, jak i fałszywe. Obrócił głowę tak daleko, jak tylko mógł, jak najbliżej jej twarzy. Na brzegu fałdy pojawiły się bladoniebieskie krople. Widział pory skóry na jej nosie, język poruszający się gdy piła. Po chwili cofnęła się - nie nasycona w pełni, ale wiedziona ostrożnością i podejrzeniem, podobnie jak w swoim czasie Moneo. "Jaki ojciec, taka córka."

- Jak długo potrwa, zanim to zacznie działać? - zapytała.

- To już działa.

- Chodzi mi o...

- Około minuty.

- Nic ci nie jestem za to winna!

- Nie będę się domagał żadnej zapłaty. Założyła maskę na twarz.

Widział, jak jej oczy zachodzą mgłą. Nie pytając o pozwolenie, poklepała go w przednią część grzbietu, chcąc schronić się przed chłodem, jak co dzień. Nie sprzeciwiał się. Ułożyła się wygodnie jak w ciepłym hamaku. Spoglądając w dół, mógł ją zobaczyć. Oczy Siony były otwarte, lecz dziewczyna nie widziała już, co się wokół niej dzieje. Jej ciałem targnął nagły wstrząs i zaczęła drżeć jak małe, umierające zwierzątko. Wiedział, co się z nią dzieje, lecz nie mógł nic na to poradzić. W jej świadomości nie pozostanie ślad obecności wspomnień przodków, ale na

zawsze już Siona zapamięta pewne obrazy, dźwięki i zapachy. Będą tam polujące maszyny, woń krwi i wnętrzności, przerażeni ludzie kryjący się w okopach, świadomi tylko tego, że nie mogą uciec... podczas gdy ruchome mechanizmy cały czas przybliżają się, coraz bliżej i bliżej... głośniej... głośniej!

Wszędzie, gdzie szukała, było to samo. Nie ma ucieczki.

Czuł, jak uchodzi z niej życie. "Walcz z ciemnością, Siono!" To jedyne, co robili Atrydzi. Walczyli o życie. A teraz ona walczyła o istnienia inne niż jej własne. Wyczuwał jednak wygasanie... straszliwy odpływ sił żywotnych. Zstępowała coraz głębiej w ciemność, o wiele głębiej niż ktokolwiek inny. Zaczął kołysać ją łagodnie. To albo wątła nić jej determinacji, a może oba te czynniki naraz, przeważyło szalę. Wczesnym popołudniem dygoczące ciało Siony pogrążyło się w stan przypominający normalny sen. Tylko gwałtowne westchnienia zdradzały od czasu do czasu powracające echa wizji. Kołysał ją delikatnie, przetaczając się z boku na bok.

Czy mogła powrócić z tych głębin? Wyraźne znaki powrotu Siony do życia upewniały go, że tak się stanie.

Obudziła się późnym popołudniem. Nagle ogarnął ją spokój, zmienił się rytm oddechu. W pewnej chwili otworzyła oczy. Spojrzała na niego, potem wytoczyła się z zagłębienia i stanęła, oparłszy się o Leto plecami, przez godzinę prawie nie odzywając się, zatopiona w myślach.

Niegdyś Moneo zachował się podobnie. Był to rodzaj reakcji nie pojawiający się wcześniej u Atrydów. Niektórzy z ich poprzedników głośno dawali upust swym żalom. Inni cofali się ze wzrokiem utkwionym w Leto, zmuszając go, by podążał za nimi. Niektórzy siadali, tępo wpatrując się w ziemię. Nikt z nich jednak nie odwrócił się do niego plecami. Leto przyjął ten nowy schemat jako oznakę nadziei.

- Zaczynasz mieć pewne pojęcie, jak daleko sięgają korzenie mojej rodziny - powiedział.

Odwróciła się ku niemu, ale nie spojrzała mu w oczy. Czuł jednak, że jego słowa dotarły do niej, że uświadamia sobie to, co niewielu tylko ludzi było zdolnych pojąć - iż jego pojedyncza wielość czyniła całą ludzkość jego rodziną.

- Mogłeś ocalić mych przyjaciół w lesie - wypomniała mu.

- Ty również mogłaś to zrobić.

Zacisnęła pięści i podniosła je do skroni, wpatrując się w niego.

- Ale ty wiesz wszystko!

- Siono!

- Musiałam się dowiedzieć tego w ten sposób? - szepnęła.

Milczał, zmuszając ją, by sama odpowiedziała sobie na to pytanie.

Trzeba było sprawić, by zrozumiała, że podstawa jego świadomości opiera się na filozofii Fremenów i że - jak potworne maszyny z jej apokaliptycznej wizji - drapieżnik mógł podążyć za każdym pozostawiającym ślady stworzeniem.

- Złota Droga - wyszeptała. - Czuję ją. - Spojrzała na niego oskarżycielskim wzrokiem: - To okrutne!

- Walka o życie zawsze jest okrutna.

- Nie mieli gdzie się ukryć - szepnęła i dodała głośniej: - Co ze mną zrobiłeś?

- Próbowałaś być fremeńską buntowniczką - powiedział. - Fremeni mieli niewiarygodną niemal zdolność odczytywania znaków na pustyni. Mogli wyczytać wiele nawet z zatartych przez wiatr śladów na piasku.

Dostrzegł, że na wspomnienie poległych towarzyszy w Sionie rodzi się poczucie winy. Przemówił natychmiast, wiedząc, że w innym razie będzie się ono pogłębiać, aż przejdzie w skierowany przeciw niemu gniew:

- Uwierzyłabyś mi, gdybym po prostu cię tu zabrał i powiedział ci to wszystko?

Siona niemal załamała się pod naporem wyrzutów sumienia. Widział, jak otwiera pod maską usta i spazmatycznie chwyta powietrze.

- Nie przeżyłaś jeszcze pustyni - powiedział jej.

Powoli się uspokajała. Obudziły się w niej fremeńskie instynkty, które jak zwykle pomogły złagodzić wstrząs.

- Przeżyję - powiedziała. Ich spojrzenia spotkały się. - Odczytujesz nas przez pryzmat uczuć, które okazujemy?

- Uczucia to zapalniki myśli - powiedział. - Mogę przewidzieć wasze zachowanie w najdrobniejszych szczegółach, poznając wasz stan emocjonalny.

Wiedział, że przyjęła jego myśl tak, jak przyjął ją Moneo - z lękiem i nienawiścią. Nie miało to wielkiego znaczenia. Cofnął się w czasie. Tak, prawdopodobnie Siona przeżyje na jego pustyni, ponieważ jej ślady odciskały się w piasku tuż obok jego... jednak jej ślady były całkowicie bezcielesne. A tuż za nimi, tam, gdzie wszystko było nieznane, nagle doznał widzenia. W jego przyszłowidczej świadomości zadźwięczał przedśmiertny krzyk Anteac... to, i rój atakujących Mówiących-do-Ryb.

"Malky wraca - pomyślał. - Znowu się spotkamy, Malky i ja." Leto otworzył oczy i zobaczył, że Siona wciąż mu się przypatruje.

- Nadal cię nienawidzę - powiedziała.

- Nienawidzisz nieuchronnego okrucieństwa drapieżnika.

- Widziałam wiele różnych rzeczy - wycedziła jadowicie. - Nie dojdziesz mnie po moich śladach.

- I dlatego musisz mieć potomstwo - żeby to nie zanikło.

W chwili, gdy to mówił, zaczęło padać. Ściemniło się nagle, w tym samym momencie spłynęły na nich potoki deszczu. Pomimo iż wyczuwał niedociągnięcia w kontroli pogody, Leto był zaskoczony ulewą. Wiedział, że na Serirze czasami zdarzały się deszcze, jednak krótkotrwałe, gdyż nad pustynią nieczęsto pojawiały się chmury. Nieliczne kałuże wysychały pod wpływem pierwszych promieni słońca. W większości przypadków opad nawet nie dotykał ziemi, była to namiastka deszczu, parująca przy zetknięciu z rozgrzaną warstwą powietrza tuż nad powierzchnią pustyni. Ale dzisiejszy deszcz był naprawdę wyjątkowy.

Siona zdjęła maskę z twarzy i chciwie rozchyliła usta, spijając krople deszczu, nie dostrzegając nawet, co w tym czasie dzieje się z Leto.

Gdy pierwsze krople wody wniknęły za pancerz z piaskopływaków, Bóg Imperator zwinął się w paroksyzmie bólu. Sprzeczne dążenia biologiczne piaskopływaka i czerwia pustyni nadały nowe znaczenie słowu "ból". Czuł, jakby był rozrywany na strzępy. Piaskopływak pragnął pospieszyć ku wodzie i wchłonąć ją, dla czerwia woda była synonimem śmierci. Z każdego miejsca, w którym dotknął go deszcz, dobywały się kłęby błękitnego dymu. Wewnętrzne mechanizmy jego ciała zaczęły wytwarzać esencję przyprawową. Niebieski dym unosił się dookoła niego, wijącego się w kałużach wody. Zwijał się konwulsyjnie i jęczał.

Chmury odpłynęły i minęło jeszcze kilka chwil, zanim Siona zorientowała się, że Leto cierpi.

- Co ci jest?

Nie był w stanie udzielić odpowiedzi. Deszcz ustał, ale wilgoć zbierała się w kałuże, zalegała dookoła. Nie było przed nią ucieczki.

- To woda! - odgadła.

Po prawej znajdowało się niewielkie wzniesienie, z którego spłynęła już woda. Dotarł tam z wysiłkiem, jęcząc przy zetknięciu z najmniejszą kałużą. Pagórek był prawie suchy. Agonalny ból ustępował powoli i Leto w końcu uświadomił sobie, że Siona poszła za nim i przypatruje mu się ciekawie.

- Dlaczego woda wyrządza ci krzywdę? - zapytała z fałszywą troską w głosie.

"Krzywdę? Jakie nieodpowiednie słowo!" Nie mógł jednak przemilczeć jej pytania. Wiedziała teraz dość, by sama zacząć szukać odpowiedzi, którą i tak można było z łatwością znaleźć. Z trudem dobywając głos, wyjaśnił jej związki piaskopływaków i czerwi z wodą. Wysłuchała go w milczeniu.

- Ale wilgoć, którą mi dałeś...

- Jest zneutralizowana wpływem przyprawy.

- Dlaczego więc ryzykujesz, przybywając tu bez Wozu?

- Nie można być Fremenem w Twierdzy ani na Wozie.

Pokiwała głową.

Widział w jej oczach powracający płomień buntu. Nie musiała czuć się winna ani uzależniona. Nie była w stanie opierać się sile Złotej Drogi, lecz co z tego? Nie mogła mu wybaczyć jego okrucieństwa! Mogła go odrzucić, odmówić mu miejsca w swej rodzinie. Posiadła na dodatek tajemnicę jego zguby. Wystarczyło otoczyć go wodą. Unicestwić jego pustynię, okrążyć go śmiercionośną fosą! Czy myślała, że ukryje przed nim swoje myśli, odwracając się?

Teraz, gdy wiedział co nieco o naturze Siony, tak łatwo byłoby się poddać, zanurzyć we własne myśli. Kusiło go to, ta pokusa życia w świecie wspomnień, ale jego dzieci wciąż czekały na naukę, jeżeli miały uniknąć ostatniej pułapki na Złotej Drodze.

Jakżeż trudna decyzja! Poczuł współczucie dla Bene Gesserit. Jego strapienie było podobne temu, którego doświadczyły, stanąwszy twarzą w twarz z istnieniem Muad'Diba. "Ostatecznego celu ich programu eugenicznego - mojego ojca - również nie udało im się utrzymać w garści."

"Raz jeszcze nasze drogi będą musiały się rozejść, drodzy przyjaciele" - pomyślał i po jego ustach przemknął cień złośliwego uśmiechu.

Dając pokoleniom dość czasu na rozwój, działanie drapieżnika wytwarza w ofierze powstanie określonych mechanizmów obronnych, które na zasadzie sprzężenia zwrotnego wywołują zmiany w drapieżniku, które znowu zmieniają ofiarę i tak dalej, i tak dalej... Wiele potężnych sił podlega temu prawu. W ich poczet możecie zaliczyć religie.

"Wykradzione dzienniki"

- Pan Leto rozkazał zakomunikować ci, że twoja córka żyje. Nayla przekazała wiadomość Moneowi śpiewnym głosem, patrząc na starca siedzącego za stołem wśród porozrzucanych notatek i papierów oraz urządzeń komunikacyjnych.

Moneo złożył obie dłonie i spojrzał na wydłużony cień rysowany na stole przez zachodzące słońce, którego promienie przechodziły przez kryształowy przycisk do papieru. Nie podnosząc wzroku na masywną figurę stojącej przed nim Nayli, wyprężonej w przepisowej postawie, Moneo zapytał:

- Czy oboje wrócili do Twierdzy?

- Tak.

Moneo wyjrzał przez okno po lewej stronie, ale nie dostrzegł nawet chmur pyłu unoszących się nad horyzontem ani piasku porywanego ze szczytów wydmy przez wściekłe podmuchy wiatru.

- A to, o czym rozmawialiśmy wcześniej? - zapytał.

- Załatwione.

- Bardzo dobrze. - Odprawił ją ruchem dłoni, ale Nayla nie ruszyła się z miejsca. Zaskoczony Moneo skupił na niej wzrok, po raz pierwszy, odkąd weszła.

- Czy to konieczne, żebym osobiście wzięła udział w tym... - przełknęła ślinę - ...ślubie?

- Tak rozkazał Pan Leto. Będziesz tam jedyną osobą uzbrojoną w rusznicę laserową. To zaszczyt.

Wciąż stała w miejscu, ze spojrzeniem utkwionym gdzieś ponad głową Monea.

- Tak? - rzekł tonem ponaglenia.

Nayla nerwowo poruszyła szczęką, następnie powiedziała:

- On jest Bogiem, a ja jestem śmiertelna. - Odwróciła się na pięcie i wyszła z pracowni.

Przez myśl Monea przemknęło pytanie, co mogło tak zaniepokoić tę Mówiącą-do-Ryb, ale po chwili zostało wyparte troską o Sionę.

"Udało jej się przeżyć tak jak i mnie kiedyś" - pomyślał. Siona uzyskała teraz przeświadczenie o nieuchronności Złotej Drogi. "Tak jak ja." Nie czuł jednak żadnej wspólnoty z nią, nic, co przybliżałoby go do własnej córki. Świadomość zmiany skrępuje jej buntowniczą naturę. Żaden Atryda nie może wystąpić przeciw Złotej Drodze. Leto już tego dopilnował.

Moneo pamiętał czas swojego buntu. Każda noc w innym łóżku, w nieustannym pędzie ucieczki. Przeszłość oplątywała go jak pajęczyna, oblepiając go bez względu na to, jak bardzo starał się strząsnąć z siebie kłopotliwe wspomnienia.

"Siona znalazła się w klatce - pomyślał. - Tak jak ja kiedyś. Tak jak i biedny Leto."

Bicie dzwonu na znak, że nadchodzi zmierzch, wdarło się w jego świadomość. W pracowni zajaśniały światła. Opuścił wzrok na dokumenty dotyczące przygotowań do zaślubin Boga Imperatora z Hwi Noree. Tyle

pracy! Po chwili przycisnął guzik wywoławczy i gdy zjawiła się akolitka - Mówiąca-do-Ryb, poprosił ją, by przyniosła puchar z wodą, a później wezwała Duncana Idaho do pracowni.

Strażniczka szybko powróciła z wodą i postawiła puchar przy lewej ręce Monea. Majordom przyjrzał się dłoniom dziewczyny, długim palcom, ale nie spojrzał na twarz.

- Posłałam po Idaho - powiedziała.

Skinął głową i powrócił do swojej pracy. Usłyszał, że Mówiąca-do-Ryb wychodzi, i dopiero wtedy napił się wody.

"Niektórzy żyją sobie jak ćmy - pomyślał - a ja bez końca muszę dźwigać mój balast."

Woda miała mdły smak. Jeszcze pogorszyła jego samopoczucie, sprawiając, że poczuł odrętwienie. Patrzył na Serir, oświetlony promieniami zachodzącego słońca, na stopniowo zapadający mrok, myśląc, że powinien w tym znajomym widoku dostrzec piękno, ale wszystkim, o czym mógł myśleć, było światło zmieniające natężenie. "To wcale nie ja nim steruję" - uświadomił sobie.

Im ciemniej stawało się na dworze, tym bardziej rozjaśniało się oświetlenie w pracowni. Moneo czuł się psychicznie przygotowany na spotkanie z Idaho. Trzeba go nauczyć podporządkowania się koniecznościom, i to prędko.

Drzwi otworzyły się. Znowu weszła akolitka.

- Może podać teraz coś do jedzenia?

- Później. - Chciała wyjść, ale zatrzymał ją gestem dłoni. - Chciałbym, żeby drzwi pozostały otwarte.

Uniosła brwi.

- Możesz coś zagrać? - powiedział. - Chciałbym posłuchać.

Jej gładka, okrągła, niemal dziecięca twarz rozpromieniła się w uśmiechu. Dziewczyna odwróciła się i wyszła.

Po chwili z jednego z sąsiednich pokojów dobiegły go dźwięki lutni biwa. Tak, ta młoda akolitka miała talent. Pomruk basowych strun brzmiał jak deszcz bębniący o dachy. Na ten dźwięk składał się szept średnich strun. Być może pewnego dnia młoda strażniczka będzie mogła chwycić za balisetę. Moneo rozpoznał melodię - wspomnienie jesiennego wiatru z odległej planety, która nigdy nie znała pustyni. Muzyka smutna, melancholijna, a mimo to cudowna.

"To wołanie uwięzionych w klatkach - pomyślał. - Wspomnienia wolności." Uznał tę myśl za dziwaczną. Czy musi być tak, iż wolność potrzebuje buntu?

Nagle lutnia zamilkła i Monea dobiegł odgłos cichych kroków. Po chwili do pracowni wszedł Idaho. Snop światła nadał twarzy Idaho wyraz wykrzywionej w grymasie maski, z nienaturalnie głęboko osadzonymi oczyma. Nie czekając na zaproszenie, Duncan usiadł naprzeciw Monea i wtedy złudzenie prysło. Po prostu kolejny Duncan. Miał na sobie czarny mundur bez insygniów.

- Próbowałem odpowiedzieć sobie na szczególne pytanie - powiedział Idaho. - Cieszę się, że mnie wezwałeś, bowiem chciałbym zadać je tobie. Czego n i e mogli nauczyć się moi poprzednicy?

Zaskoczony Moneo wyprostował się. Jakie nietypowe dla Duncana było to pytanie! Czy w tym gholi mogła tkwić jakaś różnica wywołana przez Tleilaxan?

- Co sprawiło, że o to pytasz? - rzekł Moneo.

- Po prostu myślałem we fremeński sposób.

- Nie byłeś Fremenem.

- Byłem tego bliższy, niż myślisz. Naib Stilgar powiedział mi kiedyś, że prawdopodobnie urodziłem się jako Fremen, nie wiedząc o tym, dopóki nie przybyłem na Diunę.

- Co czujesz, kiedy myślisz jak Fremen?

- Przypominam sobie, że nigdy nie powinno się przebywać w towarzystwie, w którym nie chciałoby się umrzeć.

Moneo położył obie dłonie na blacie stołu. Usta Idaho wykrzywił groźny uśmiech.

- Więc co tutaj robisz? - zapytał Moneo.

- Podejrzewam, że ty możesz być dobrym towarzyszem, Moneo. I zapytuję, dlaczego Leto wybrał cię na swego najbliższego współpracownika.

- Przeszedłem próbę.

- Tę samą, którą przeszła twoja córka?

"Więc słyszał, że wrócili." Znaczyło to, że któraś z Mówiących-do-Ryb doniosła mu o tym... Chyba że Bóg Imperator wezwał Duncana.. "Nie, o tym bym wiedział."

- Próby nigdy nie są jednakowe - powiedział Moneo. - Kazał mi wejść w głąb labiryntu jaskiń jedynie z torbą jedzenia i fiolką esencji przyprawowej.

- Co wybrałeś?

- Co? Aha... Jeżeli zostaniesz poddany próbie, dowiesz się.

- To jest Leto, którego nie znam - powiedział Idaho.

- Czyż ci tego nie mówiłem?

- I to jest Leto, którego ty nie znasz - rzekł Idaho.

- Ponieważ jest najbardziej samotną osobą, jaką oglądał wszechświat - odparł Moneo.

- Nie próbuj grać na nastrojach, żeby obudzić moje współczucie - powiedział Idaho.

- Gra na nastrojach? Tak. Bardzo dobrze. - Moneo pokiwał głową. - Nastroje Boga Imperatora są jak rzeka - gładka, gdy jej nic nie zakłóca, ale wzburzona i gwałtowna przy najdrobniejszej przeszkodzie. Nie wolno mu się sprzeciwiać.

Idaho rozejrzał się po jaskrawo oświetlonej pracowni, chwilę potem wpatrzył się w ciemności na zewnątrz i pomyślał o rzece Idaho płynącej gdzieś tam w oddali.

- Co ty wiesz o rzekach? - zapytał, wracając uwagą do Monea.

- W młodości podróżowałem z jego rozkazu. Powierzyłem nawet życie unoszącemu się na rzece kadłubowi statku, a później bezkresnemu morzu.

Mówiąc to, Moneo zorientował się, że natrafił na ślad głębokiej prawdy dotyczącej Leto. Zadumał się nad odległą planetą, na której przepłynął morze od jednego brzegu do drugiego. Pierwszego wieczora podróży złapała ich burza i z głębi statku, z jakiegoś nieokreślonego miejsca, jakby zewsząd, dochodziło go drażniące "tur - tur - tur - tur - tur" pracujących silników. Moneo stał na pokładzie razem z kapitanem. Jego umysł cały czas skupiał się na dźwięku silników, wycofując się i wracając jak zalewające ich wodne zielonoczarne góry, nieustannie ponawiające swój atak. Każde uderzenie dziobu statku otwierało ciało morza jak cios pięścią. To był szaleńczy ruch, w górę... w

dół! Płuca bolały od tłumionego strachu. Okręt miotający się po falach i usiłujące wywrócić ich morze - dzikie wybuchy wody, godzina za godziną, białe bryzgi kipieli tryskającej z pokładów i następne morze, i następne...

Wszystko to było jednym z kluczy do zrozumienia Boga Imperatora.

"Jest naszą burzą i naszym statkiem."

Moneo skupił spojrzenie na Duncanie usadowionym naprzeciwko niego przy stole. Nie było w tym człowieku strachu, tylko głód.

- Nie pomożesz mi więc dowiedzieć się, czego nie nauczyli się inni Duncanowie Idaho? - zapytał.

- Ależ pomogę.

- Zatem czego nigdy nie udawało im się nauczyć?

- Jak ufać.

Idaho odsunął się od stołu i wpatrzył w Monea. Gdy już był w stanie cokolwiek powiedzieć, jego głos brzmiał gardłowo i chrapliwie.

- Powiedziałbym raczej, że ufałem za bardzo.

Moneo pozostał niewzruszony.

- Ale jak ufałeś?

- O co ci chodzi?

Moneo złożył dłonie na kolanach.

- Wybierałeś sobie na towarzyszy mężczyzn ze względu na ich zdolność do walki i gotowość umierania za słuszną sprawę. Dobierałeś sobie kobiety, które potwierdzały twój męski obraz samego siebie. Nie pozwalałeś na żadne różnice pochodzące z dobrej woli.

Coś poruszyło się w drzwiach pracowni Monea. Starzec podniósł wzrok i zobaczył wchodzącą Sionę. Stanęła z jedną ręką wspartą na biodrze.

- No cóż, ojcze, widzę, że uciekasz się do starych sztuczek.

Idaho drgnął i odwrócił się, by zobaczyć, kto mówi.

Moneo wpatrzył się w córkę badawczo, szukając oznak zmiany. Zdążyła wykąpać się i założyła świeży mundur, ale twarz i ręce wciąż zdradzały ślady pustynnego doświadczenia. Straciła na wadze i jej kości policzkowe stały się jeszcze bardziej widoczne. Maść niewiele pomogła w ukryciu ran na popękanych wargach. Na dłoniach wystąpiły żyły. Oczy Siony wyglądały staro, a twarz przypominała kogoś, kto doświadczył ciężkich przeżyć.

- Słuchałam was obu - powiedziała. Zdjęła dłoń z biodra i przeszła w głąb pokoju. - Jak śmiesz mówić o dobrej woli, ojcze?

Jej mundur przyciągnął uwagę Idaho. Zacisnął usta, myśląc: "Dowodzi Mówiącymi-do-Ryb? Siona?"

- Rozumiem twoją gorycz - powiedział Moneo. - Miałem kiedyś podobne odczucia.

- Naprawdę? - Podeszła bliżej, zatrzymując się tuż obok Idaho, który wciąż taksował ją wzrokiem.

- Jestem szczęśliwy, że żyjesz - powiedział Moneo.

- Dla ciebie to radość widzieć mnie bezpieczną w służbie Boga Imperatora - powiedziała - Tak długo czekałeś, żeby mieć dziecko, i wreszcie stało się! Patrz, jak mi się udało, jak mi się powodzi. - Obróciła się powoli, by zaprezentować swój mundur. - Dowódczyni Mówiących-do-Ryb. Mam pod swoją komendą jedną podwładną, niemniej jednak dowodzę.

Moneo zmusił się, by jego głos zabrzmiał chłodno i rzeczowo:

- Usiądź.

- Wolę stać. - Spojrzała z góry na uniesioną twarz Idaho. - Ach, Duncan Idaho, który ma być moim kochankiem. Nie sądzisz, że to interesujące, Duncanie? Pan Leto mówi mi, że w swoim czasie zostanę w p a s o w a n a w strukturę Mówiących-do-Ryb. Na razie mam jedną adiutantkę. Znasz może Naylę, Duncanie?

Idaho skinął głową.

- Naprawdę? Myślę, że zapewne tylko ja jej n i e z n a m . - Siona spojrzała na Monea. - Znam ją, ojcze?

Starzec wzruszył ramionami.

- Mówisz przecież o zaufaniu, ojcze - rzekła Siona. - Komu ufa potężny minister Moneo?

Idaho obrócił się, by zobaczyć, jaki efekt wywrą te słowa na majordomie. Twarz Monea wydawała się być poszarzała od powstrzymywanych emocji. "Gniew? Nie... coś innego."

- Ufam Bogu Imperatorowi - powiedział Moneo. - I w nadziei, że to was czegoś nauczy, jestem tutaj, by przekazać wam jego życzenia.

- Jego ż y c z e n i a ! - zaszydziła Siona. - Słyszałeś, Duncanie? Rozkazy Boga Imperatora są teraz ż y c z e n i a m i .

- Nie czaruj nas - powiedział Idaho. - Wiem, że nigdy nie mamy wielkiego wyboru.

- Zawsze istnieje wybór - powiedział Moneo.

- Nie słuchaj go - rzekła Siona. -Wielu już w ten sposób omamił. Oczekują od nas, że padniemy sobie w ramiona i będziemy się rozmnażać, podobnie jak to zrobił mój ojciec. Twój potomek, a mój ojciec.

Moneo zbladł. Chwycił obiema dłońmi krawędź stołu, przy którym pracował, i pochylił się do przodu.

- Oboje jesteście głupi, ale spróbuję was ocalić. Na przekór wam samym spróbuję was ocalić.

Idaho widział, jak drżą policzki Monea, niemal czuł niezwykłą moc jego spojrzenia i był tym dziwnie poruszony.

- Nie jestem jego ogierem, ale ciebie usłucham.

- Zawsze ten sam błąd - rzekła Siona.

- Bądź cicho, kobieto - odparł Idaho.

Spojrzała na niego.

- Nie zwracaj się do mnie w ten sposób, bo ci okręcę szyję wokół kostek!

Idaho wyprostował plecy i zaczął powoli odwracać głowę. Moneo dał mu znak ręką, żeby nie wstawał.

- Ostrzegam cię, Duncanie, że ona prawdopodobnie jest w stanie to zrobić. Nie mogę się z nią równać, a przypomnij sobie, jak próbowałeś użyć wobec mnie przemocy.

Idaho odetchnął i rzekł:

- Mów, co masz do powiedzenia.

Siona podeszła i usadowiła się na rogu stołu, po czym popatrzyła na nich obu z góry.

- O wiele lepiej - powiedziała. - Daj mu się wygadać, ale nie słuchaj.

Idaho mocno zacisnął usta.

Moneo puścił brzeg stołu. Odchylił się i przeniósł spojrzenie z Idaho na Sionę.

- Zakończyłem już prawie przygotowania do zaślubin Boga Imperatora z Hwi Noree. Chcę, żebyście podczas tych uroczystości trzymali się na uboczu.

Siona rzuciła Moneowi pytające spojrzenie.

- To twój pomysł czy jego?

- Mój - wycedził Moneo. - Nie masz poczucia honoru i obowiązku? Niczego się nie nauczyłaś, będąc z nim?

- Och, nauczyłam się tego co ty, ojcze. I dałam słowo, którego dotrzymam.

- Zatem będziesz dowodzić Mówiacymi-do-Ryb?

- Jeżeli powierzy mi dowodzenie. Wiesz, ojcze, on jest trochę przebieglejszy od ciebie.

- Dokąd nas wyślesz? - zapytał Idaho.

- Pod warunkiem, że się zgodzimy - rzekła Siona.

- Na skraju Seriru znajduje się mała wioska Muzealnych Fremenów - powiedział Moneo. - Nazywa się Tuono. Całkiem przyjemna. Leży w cieniu muru, nad rzeką, która płynie obok niego. Jest tam studnia, żywności również nie brakuje.

"Tuono?" - zastanawiał się Idaho. Nazwa brzmiała znajomo.

- Po drodze do siczy Tabr był Basen Tuono - rzekł.

- Noce są tam długie i brakuje rozrywek - powiedziała Siona. Idaho rzucił jej ostre spojrzenie. Ona odpowiedziała mu tym samym.

- On chce, żebyśmy mieli dziecko i zadowolili Czerwia - powiedziała. - Czerw chce płodów w moim brzuchu, nowych istot, które mógłby wypaczać. Wcześniej zobaczę jego trupa, nim mu to dam!

Idaho znów spojrzał na Monea.

- A jeżeli nie wyrazimy zgody na udanie się tam?

- Myślę, że się zgodzicie. Usta Siony drgnęły.

- Duncanie, czy kiedykolwiek widziałeś którąś z tych wioszczyn? Bez wygód, bez...

- Widziałem wieś Tabur.

- Jestem pewna, że to metropolia w porównaniu z Tuono. Nasz Bóg Imperator nie będzie fetować swych godów w paru lepiankach z błota. O nie! Tuono to będą ziemianki z mułu, bez wygód, tak zbliżone do fremeńskich oryginałów, jak to tylko możliwe.

Idaho wpatrywał się cały czas w Monea, równocześnie mówiąc:

- Fremeni nie mieszkali w ziemiankach.

- Kogo to obchodzi, gdzie bawili się w uprawianie tych swoich kultów? - prychnęła.

Wciąż patrząc na Monea, Idaho rzekł:

- Prawdziwi Fremeni mieli tylko jeden kult, kult osobistej uczciwości. Bardziej mnie obchodzi uczciwość niż własna przyjemność.

- Nie spodziewaj się przyjemności ode mnie! - wyrzuciła z siebie Siona.

- Nie spodziewam się po tobie niczego - powiedział Idaho. - Kiedy udamy się do Tuono, Moneo?

- Polecisz tam? - zapytała.

- Rozważam przyjęcie uprzejmej propozycji twojego ojca - odparł Idaho.

- Uprzejmej propozycji! - Patrzyła to na Idaho, to na Monea.

- Odlecicie natychmiast - rzekł Moneo. - Wybrałem oddział Mówiących-do-Ryb pod dowództwem Nayli, by was eskortowały i dbały o was.

- Nayla? - spytała Siona. - Naprawdę? Zostanie z nami?

- Do dnia ślubu.

Siona z namysłem skinęła głową.

- Zatem zgadzamy się.

- Mów sama za siebie! - wypalił Idaho.

Siona uśmiechnęła się.

- Przepraszam. Czy wolno mi zwrócić się z zapytaniem, czy wielki Duncan Idaho raczy dotrzymać mi towarzystwa w tej zabitej dechami dziurze i będzie trzymał ręce z dala od mej osoby?

Idaho posłał jej zimne spojrzenie.

- Możesz się nie bać o to, gdzie będę trzymał swoje ręce. - Spojrzał na Monea. - Czy to twoja zasługa, Moneo? To dlatego mnie odsyłasz?

- To kwestia zaufania - powiedziała Siona. - Komu on ufa?

- Zmusisz mnie, żebym się udał z twoją córką? - nalegał Idaho. Siona wstała.

- Albo się zgodzimy, albo strażniczki nas związą i dostarczą tam w dużo mniej wygodny sposób. Możesz to wyczytać z jego oczu.

- Więc naprawdę nie mam wyboru - rzekł Idaho.

- Masz taki wybór jak wszyscy - powiedziała Siona. - Umrzeć teraz lub później.

Idaho wciąż wpatrywał się w Monea.

- Jakie są twoje prawdziwe intencje, Moneo? Nie zaspokoisz mej ciekawości?

- Ciekawość utrzymała przy życiu wielu ludzi, gdy wszystko inne zawiodło - powiedział Moneo. - Staram się zachować cię przy życiu, Duncanie. Nigdy przedtem tego nie robiłem.

Prawie tysiąc lat potrzeba było na to, by pył z ogólnoplanetarnej pustyni dawnej Diuny opuścił atmosferę i opadł na ziemię. Wiatru nazywanego "piaskomiotem" nie widuje się już na Arrakis od jakichś dwóch i pół tysiąca lat. W czasie jednej tylko burzy mógł on przenieść dwadzieścia miliardów ton wzbitego w powietrze pyłu. Niebo miało potem często srebrny kolor. Fremeni mawiali: "Pustynia jest chirurgiem, który rozcina skórę, by ukazać, co jest pod spodem." I planeta, i ludzie składali się niejako z wielu warstw i można było te warstwy odsłaniać. Mój Serir jest tylko słabym echem tego, co było kiedyś. Ja muszę być piaskomiotem.

"Wykradzione dzienniki"

- Posłałeś ich do Tuono, nie naradziwszy się ze mną? To zdumiewające, Moneo! Już od dawna nie zrobiłeś nic równie samowolnego.

Moneo stał dziesięć kroków przed Leto w centrum krypty, skłaniając głowę, uciekając się do wszystkich sposobów, jakie znał, by nie drżeć, świadom, że jego strach i tak może zostać zauważony i zinterpretowany przez Boga Imperatora. Dochodziła północ. Leto trzymał swego majordoma w niepewności.

- Modlę się, żebym nie obraził mojego Pana - powiedział Moneo.

- Rozbawiłeś mnie, ale nie licz na to zbytnio. Ostatnio nie potrafię rozróżnić tego, co komiczne, od tego, co smutne.

- Wybacz mi, Panie - szepnął Moneo.

- O jakie wybaczenie prosisz? Zawsze musisz domagać się sądu? Czy twój świat nie może po prostu istnieć?

Moneo podniósł wzrok na tę straszną, okapturzoną twarz. "On jest burzą i statkiem - pomyślał. - Zachód słońca istnieje sam w sobie." Czuł, że stoi na granicy przerażających objawień. Spojrzenie Boga Imperatora drążyło go, paliło, badało.

- Panie, czego chcesz ode mnie?

- Chcę, żebyś wierzył w siebie.

Czując, że może za chwilę wybuchnąć, Moneo powiedział:

- Zatem to, że nie poradziłem się ciebie wcześniej...

- Jakie to było błyskotliwe z twojej strony, Moneo! Małe duszyczki, które szukają władzy nad innymi, najpierw niszczą wiarę, którą ci inni mogliby w sobie mieć.

Te słowa były dla Monea druzgocące. Wyczuwał w nich oskarżenie i zarazem przyznanie się. Czuł, że coś budzącego lęk, lecz równocześnie nieskończenie pożądanego wymyka mu się z rąk. Próbował znaleźć słowa, by przywołać to z powrotem, ale czuł niezwykłą pustkę w głowie. Może gdyby zapytał Boga Imperatora...

- Panie, gdybyś powiedział mi tylko, co myślałeś o...

- Moje myśli znikają przy zetknięciu z nimi.

Leto przypatrzył się Moneowi. Jak dziwne były oczy majordoma, błyskające ponad jastrzębim atrydzkim nosem - oczy osadzone pewnie w twarzy regularnej jak metronom. Czy Moneo słyszał to rytmiczne pulsowanie: Malky przybywa! Malky przybywa!?

Moneo miał ochotę krzyczeć z gniewu. To, co czuł, zniknęło zupełnie! Obiema dłońmi zatkał sobie usta.

- Twój wszechświat to wymiarowa klepsydra - rzekł oskarżycielsko Leto. - Dlaczego starasz się zatrzymać przesypujący się piasek?

Moneo opuścił dłonie i westchnął.

- Czy pragniesz posłuchać o organizacji zaślubin, Panie?

- Nie męcz mnie! Gdzie jest Hwi?

- Mówiące-do-Ryb przygotowują ją do...

- Naradziłeś się z nią co do przygotowań?

- Tak, Panie.

- Zaakceptowała wszystko?

- Tak, Panie, ale oskarżyła mnie o to, że interesuje mnie bardziej ilość efektów mojej aktywności niż ich jakość.

- Czy ona nie jest cudowna, Moneo? Czy dostrzegła zaniepokojenie Mówiących-do-Ryb?

- Myślę, że tak, Panie.

- Niepokoi je moje małżeństwo.

- Dlatego Duncan został odesłany, Panie.

- Oczywiście, a Siona razem z nim, żeby...

- Panie, wiem, że poddałeś ją próbie i że ona...

- Odbiera Złotą Drogę równie głęboko jak ty, Moneo.

- Dlaczego więc boję się jej, Panie?

- Ponieważ przedkładasz rozsądek nad wszystko inne.

- Ale nie wiem, dlaczego się boję!

Leto uśmiechnął się. To było jak zabawa w puszczanie baniek nad nieskończoną miednicą. Uczucia Monea były cudownym przedstawieniem wystawianym tylko na tej scenie. Jak blisko brzegu szedł, nawet tego nie zauważając!

- Moneo, dlaczego upierasz się przy dzieleniu na części tego, co nieskończone? - zapytał Leto. - Czy kiedy widzisz pełne spektrum, pożądasz jednej barwy bardziej niż wszystkich pozostałych?

- Panie, nie rozumiem cię!

Leto zamknął oczy, przypominając sobie, ile już razy słyszał ten okrzyk. Wszystkie twarze zlewały się w nierozdzielną jedność. Otworzył oczy, aby ich nie widzieć.

- Tak długo, jak ludzie żyją, by je dostrzegać, kolory nie ścierpią martwego uporządkowania, nawet jeżeli ty umrzesz, Moneo.

- Co mają oznaczać te barwy, Panie?

- Oznaczają kontinuum, ciągłość, Złotą Drogę:

- Ale ty widzisz rzeczy, których my nie dostrzegamy, Panie!

- Bo nie chcecie widzieć! Moneo zwiesił głowę na piersi.

- Panie, wiem, że przewyższasz nas wszystkich ewolucyjnie. Dlatego czcimy cię i...

- Do licha z tobą, Moneo!

Moneo podniósł wzrok i spojrzał na Leto z przerażeniem.

- Cywilizacje doznają zapaści, kiedy ich siły prześcigają ich religie - powiedział do Monea. - Dlaczego tego nie widzisz? Hwi to dostrzega.

- Ona jest Ixianką, Panie. Być może ona...

- Jest Mówiącą-do-Ryb! Od narodzin żyje, by mi służyć. Nie! - Leto uniósł jedną ze swych drobnych dłoni, podczas gdy Moneo próbował coś powiedzieć. - Mówiące-do-Ryb są zaniepokojone, bo nazywałem je swymi oblubienicami, a teraz widzą obcą, która nie przeszła przez Siajnok, a mimo to zna go lepiej od nich.

- Jak to możliwe, Panie, skoro twoje Mówiące-do-Ryb...

- Co mówisz? Każdy z nas dochodzi do uświadomienia sobie, kim jest i co ma robić.

Moneo otworzył usta, ale zamknął je, nic nie mówiąc.

- Małe dzieci to wiedzą - rzekł Leto. - Ale od momentu, gdy dorośli zaczynają je urabiać, dzieci ukrywają tę wiedzę nawet przed samymi sobą. Moneo! Odkryj sam siebie!

- Panie, nie potrafię! - wyrzucił z siebie starzec. Drżał z przestrachu. - Nie mam twojej wiedzy, twojej mocy...

- Dosyć!

Majordom zamilkł. Jego ciało drżało.

- Wszystko w porządku, Moneo - uspokajająco przemówił do niego Leto. - Prosiłem cię o zbyt wiele.

Powoli Moneo uspokajał się. Wciąż jednak wciągał głęboko, z drżeniem powietrze.

- W przebiegu mojego ślubu nastąpią pewne zmiany. Nie użyjemy pierścieni wodnych mojej siostry, Ghanimy. Zamiast tego skorzystamy z pierścieni mojej matki.

- Lady Chani, Panie? Ale gdzie one są?

Leto wykręcił swój kadłub na Wozie i wskazał na przecięcie dwóch przypominających jamy korytarzy - mętne światło padające na jedną ze ścian ukazywało najwcześniejsze nisze z grobami Atrydów na Arrakis.

- W jej grobowcu, w pierwszej niszy - powiedział Leto. - Wydobądź te pierścienie, Moneo, i weź je na ceremonię.

Moneo popatrzył w głąb mrocznej krypty.

- Panie... czy to nie profanacja...

- Zapominasz, Moneo, kto żyje wewnątrz mnie. - Następnie powiedział głosem Chani: - Mogę zrobić, co chcę, z moimi pierścieniami wody!

Moneo uległ.

- Tak, Panie. Zabiorę je z sobą do wsi Tabur, kiedy...

- Wsi Tabur? - Leto użył już swego głosu. - Ale ja zmieniłem zdanie. Hwi i ja weźmiemy ślub w Tuono!

Większość cywilizacji opiera się na tchórzostwie. Łatwo jest cywilizować, ucząc tchórzostwa. Deprecjonuje się wzorce, które uczą męstwa. Powstrzymuje się wolę. Ogranicza apetyty. Zawęża horyzonty. Dla każdego ruchu tworzy się reguły. Zaprzecza się istnieniu chaosu. Nawet dzieci uczy się oddychać powoli. Poskramia się je.

"Wykradzione dzienniki"

Idaho stanął jak wryty, kiedy ujrzał z bliska wioskę Tuono. To tu mieli mieszkać Fremeni?

Mówiące-do-Ryb zabrały ich z Twierdzy o świcie, ładując jego i Sionę do ornitoptera, któremu towarzyszyły dwie mniejsze maszyny strażnicze. Lot przebiegał powoli, zabrał niemal trzy godziny. Wylądowali przy płaskim, okrągłym hangarze zbudowanym z plaskały, prawie kilometr od wioski oddzielonej od niego starymi wydmami, których kształt utrzymywała roślinność w postaci rachitycznych traw i kilku kolczastych krzewów. W miarę jak schodzili w dół, mur za wsią zdawał się rosnąć coraz bardziej, a wioska kurczyła się wobec jego ogromu.

Muzealnych Fremenów utrzymuje się zasadniczo w stanie nie skażonym przez pozaplanetarną technologię" - wyjaśniała Nayla, gdy eskorta zamykała ornitopter w niskim hangarze. Jedna ze strażniczek ruszyła już biegiem w stronę Tuono, by oznajmić o ich przybyciu.

Siona niemal nie odzywała się podczas całego lotu, tylko ukradkiem, choć badawczo, obserwowała Naylę.

Przez pewien czas, maszerując przez oświetlone światłem poranka wydmy, Idaho próbował wyobrazić sobie, że znalazł się z powrotem w dawnych czasach. Między roślinnością można było dostrzec piasek, a w dolinach między wydmami grunt był wypalony przez słońce, gdzieniegdzie tylko porośnięty trawą i karłowatymi krzakami. Trzy sępy z postrzępionymi końcówkami szeroko rozpostartych skrzydeł krążyły pod kopułą nieba - w "podniebnym poszukiwaniu", jak nazywali to Fremeni. Idaho zaczął wyjaśniać to idącej obok niego Sionie. Padlinożercami człowiek martwił się tylko wtedy, gdy zniżały swój lot.

- Opowiadano mi o sępach - odpowiedziała chłodnym tonem.

Idaho spostrzegł kropelki potu na jej górnej wardze. Z ciasno otaczającego ich oddziałku kobiet biła specyficzna korzenna woń.

Wyobraźnia Duncana jakoś nie potrafiła podpowiedzieć mu, by zaprzestał ciągłego wyszukiwania różnic między teraźniejszością a przeszłością. Paradne filtrfraki, które mieli na sobie, były bardziej na pokaz niż po to, aby gromadzić wodę wydzielaną przez ciało. Żaden prawdziwy Fremen nie zawierzyłby im swojego życia, nawet tutaj, gdzie w powietrzu czuć było wilgoć. No i Mówiące-do-Ryb z oddziału Nayli nie maszerowały w milczeniu. Paplały między sobą jak dzieci.

Siona brnęła obok niego, ponura, zamknięta w sobie, często wpatrując się w szeroki muskularny kark Nayli idącej kilka kroków przed oddziałem.

Idaho zastanawiał się, co zaszło pomiędzy tymi dwiema kobietami. Nayła wydawała się być oddana Sionie, chwytać się każdego jej słowa, słuchać każdej wyrażanej przez nią zachcianki... ale oczywiście nie ulegało wątpliwości, że Nayla nie sprzeciwiłaby się rozkazom, które sprowadziły ich do wioski Tuono. Mimo to Nayla zachowywała się wobec Siony uniżenie i zwracała się do niej "dowódczym". Istniał między nimi jakiś głęboki związek, coś, co wzbudzało w Nayli podziw i obawę.

Dotarli w końcu do stoku, który opadał ku wiosce i odległemu murowi. Patrząc z góry, Tuono stanowiło garstkę lśniących prostokącików rozmieszczonych w pobliżu muru. Stąd, z bliska, wieś okazała się bezładnym

zbiorem rozpadających się chat, których nędzę pogłębiały dodatkowo żałosne próby udekorowania ich. Pasma lśniących minerałów i ozdoby z metalowych odpadów tworzyły na ścianach budynków pionowe wzory. Na żelaznym maszcie na szczycie najwyższej budowli powiewała postrzępiona zielono-czarna chorągiew. Podmuchy wiatru przynosiły woń śmieci i odkrytych kloak.

Środkowa ulica wioski ciągnęła się przez rzadko porośnięty roślinnością piasek, kończąc się zygzakowatą linią poniszczonej nawierzchni.

Obleczona w długie szaty delegacja oczekiwała przy budynku zwieńczonym zielono-czarna flagą, stojąc w wyczekującej pozie wraz z Mówiącą-do-Ryb, którą Nayla pchnęła naprzód jako kurierkę. Idaho doliczył się ośmiu osób, samych mężczyzn, ubranych w coś, co wydawało się autentycznymi fremeńskimi ciemnobrązowymi szatami. Na czole jednego z mieszkańców wioski można było dostrzec zieloną opaskę - bez wątpienia człowiek ten był naibem. Obok oczekiwały dzieci z kwiatami. W tle widać było kobiety z czarnymi kapturami na głowach, wyglądające z bocznych uliczek. Cała ta scena wydawała się Duncanowi irytująca.

- Skończmy z tym szybko - powiedziała Siona.

Nayla skinęła głową i poprowadziła ich ku wiosce. Siona i Idaho trzymali się kilka kroków za nią. Reszta oddziału szła powoli za nimi, milcząc i rozglądając się z nie ukrywaną ciekawością.

Gdy Nayla zbliżyła się do delegacji, mężczyzna z zieloną opaską wystąpił i ukłonił się. Poruszał się jak starzec, ale Idaho wiedział, że nie był stary, zaledwie w średnim wieku, z gładkimi, nie pobrużdżonymi jeszcze policzkami, płaskim nosem nie zniekształconym przez rurki filtrów oddechowych, i tak charakterystycznymi oczyma! Wyraźnie widać w nich było tęczówki, bez pełni błękitu uzależnienia melanżowego. I były brązowe. Brązowe oczy u Fremena?

- Jestem Garun - powiedział mężczyzna, kiedy Nayla zatrzymała się przed nim. - Jestem tu naibem. Witam was w Tuono.

Nayla wskazała przez ramię na Sionę i Idaho, którzy zatrzymali się bezpośrednio za nią.

- Czy dla naszych gości zostały przygotowane kwatery?

- My, Fremeni, znani jesteśmy z gościnności - odparł Garun. -Wszystko jest gotowe.

Idaho wciągał nozdrzami cierpkie wonie i chłonął dźwięki osady. Zajrzał przez otwarte okno do uwieńczonego flagą budynku po prawej stronie. Atrydzka chorągiew powiewająca na czymś takim? Okno ukazywało półokrągłą salę z niskim sufitem i kanałem dla muzyków, otaczającym małą scenę. Widział rzędy siedzeń, rudawy dywan na podłodze. Wszystko to nosiło wszelkie cechy dekoracji, czegoś urządzonego specjalnie ku rozrywce turystów.

Odgłos szurania stóp po ziemi sprawił, że Idaho ponownie skupił uwagę na Garunie. Dookoła delegacji tłoczyły się dzieci, wyciągając przed siebie w brudnych dłoniach bukiety jaskrawoczerwonych zwiędłych kwiatów.

Garun zwrócił się do Siony, prawidłowo identyfikując złote naszywki dowódczyni Mówiących-do-Ryb, zdobiące jej mundur:

- Czy życzysz sobie przedstawienie z naszymi fremeńskimi obrzędami? Może trochę muzyki? Lub tańców?

Nayla przyjęła od jednego z dzieci pęk kwiatów, powąchała i kichnęła. Inny chłopak wyciągnął kwiaty ku Sionie, wznosząc ku niej spojrzenie szeroko otwartych oczu. Wzięła kwiaty, nie patrząc na dziecko. Idaho

machnięciem ręki dał znak, by zostawiły go w spokoju, gdy podeszły. Zawahały się, wpatrując w niego, potem pospieszyły ku reszcie oddziału.

- Jeżeli dasz im kilka monet, nie będą cię niepokoić - powiedział Garun do Idaho.

Idaho zadrżał. Więc tak chowały się dzieci Fremenów?

Garun spojrzał na Sionę i zaczął objaśniać topografię wioski. Nayla przysłuchiwała się uważnie.

Idaho ruszył w dół ulicy. Zewsząd przypatrywali mu się ciekawscy mieszkańcy wioski. Czuł się zażenowany całą tą tandetną dekoracją budynków, która w ogóle nie skrywała oznak rozpadu. Zajrzał do sali koncertowej przez otwarte wejście. W Tuono była jakaś szorstkość, coś chowającego się pod zwiędłymi kwiatami i służalczym tonem głosu Garuna. W innym czasie, na innej planecie, wioska ta należałaby do takich, w których osły spacerują swobodnie po ulicach, a przepasani w pasie sznurkiem chłopi przynoszą petycje do naczelnika. W głosie Garuna słychać było błagalny ton. To nie byli Fremeni! Te biedne istoty żyły na marginesie, starając się zachować resztki dawnej świetności, a przez ten czas zagubiona rzeczywistość wymykała im się coraz bardziej. Cóż stworzył tu Leto? Ci Muzealni Fremeni utracili prawie wszystko, oprócz możliwości żałosnej wegetacji i obrzędowego recytowania starych formuł, których nie rozumieli i nie potrafili nawet wypowiedzieć prawidłowo.

Powracając do Siony, Idaho pochylił się, żeby przyjrzeć się krojowi brązowej szaty Garuna. Dostrzegł, że jest ona bardzo obcisła - aby zaoszczędzić tkaniny. Pod płaszczem dostrzec można było filtrfrak wystawiony na światło słońca. Żaden Fremen nie pozwoliłby sobie traktować filtrfraka w ten sposób. Idaho spojrzał na resztę delegacji, zauważając podobnie oszczędne ubiory. Mówiło to wiele o ich mentalności. Takie stroje nie pozwalały na zamaszyste gesty, krępowały swobodę ruchów. Szaty były ciasne i ograniczające, podobnie jak ograniczeni byli wszyscy ci ludzie.

Powodowany uczuciem niesmaku Idaho postąpił gwałtownie do przodu i rozchylił szatę Garuna, by przyjrzeć się filtrfrakowi. Tak jak podejrzewał, kombinezon był kolejnym oszustwem - bez rękawów, bez pomp piętowych!

Garun szarpnął się do tyłu, kładąc dłoń na rękojeści noża, który Idaho odsłonił przy jego pasie.

- No! Co robisz!? - zapytał ze sztuczną wojowniczością w głosie. - Nie dotyka się Fremena w ten sposób!

- Ty Fremenem? - szyderczo spytał Idaho. - Żyłem wśród Fremenów. Walczyłem u ich boku przeciw Harkonnenom! Ginąłem z nimi! Ty? Ty jesteś imitacją!

Knykcie Garuna zbielały, zaciśnięte na rękojeści noża.

- Kto to jest? - zwrócił się do Siony. Włączyła się Nayla:

- To Duncan Idaho.

- Ghola? - Garun obrócił się i spojrzał w twarz Idaho. - Nigdy przedtem nie widzieliśmy tu któregoś z was.

Idaho poczuł się nagle niemal opętany potrzebą oczyszczenia tego miejsca, nawet gdyby miało go to kosztować życie, jego pomniejszone życie, które mogło być w nieskończoność powtarzane przez tych, których naprawdę wcale nie obchodził. Starszy model? Tak! Ale ten tutaj nie był Fremenem.

- Wyciągnij swój nóż albo zdejmij z niego rękę - powiedział Idaho.

Garun rozluźnił chwyt.

- To nie jest prawdziwy nóż - powiedział. - Ale mamy prawdziwe noże, nawet krysnoże! Trzymamy je zamknięte w gablotach, przechowujemy i konserwujemy.

Idaho nie wytrzymał, wybuchnął szczerym, głośnym śmiechem. Siona uśmiechnęła się, lecz Nayla pozostała poważna, a reszta oddziału Mówiących-do-Ryb otoczyła ich ciasnym, czujnym kręgiem.

Śmiech wywarł dziwny efekt na Garunie. Opuścił głowę i zacisnął mocno dłonie, ale przedtem Idaho zdążył zauważyć, że palce naiba drżą. Gdy Garun podniósł znów głowę, posłał Duncanowi ponure spojrzenie spod gęstych brwi. Idaho nagle oprzytomniał. To było tak, jakby jakiś olbrzymi but zmiażdżył jaźń Garuna, pozostawiając jedynie lękliwą służalczość. W oczach tego mężczyzny nie było już czujnego oczekiwania. I z jakiegoś powodu, którego nie był w stanie wyjaśnić, Idaho przypomniał sobie cytat z Biblii Protestancko-Katolickiej. Zapytał sam siebie: "Czy to są ci pokornego serca, którzy przetrwają nas i odziedziczą wszechświat?"

Garun kaszlnął i powiedział:

- Może ghola Duncan Idaho będzie świadkiem naszych obyczajów i obrzędów i wyda o nich sąd?

Idaho poczuł się zawstydzony tą żałosną prośbą. Odezwał się bez namysłu:

- Opowiem wam wszystko, co wiem o Fremenach. - Spojrzał na marszczącą brwi Naylę. - Pomoże to zabić czas - rzekł - i kto wie, może dzięki temu coś prawdziwie fremeńskiego wróci na tę ziemię.

- Nie potrzebujemy bawić się w stare obrzędy - powiedziała Siona. - Zabierz nas do naszych kwater.

Nayla opuściła głowę w zakłopotaniu i przemówiła, nie patrząc na Sionę:

- Dowódczym, jest coś, o czym nie ośmieliłam się powiedzieć.

- Że musisz upewnić się, czy zostaniemy w tym obrzydliwym miejscu? - powiedziała Siona.

- Och, nie. - Nayla podniosła wzrok na Sionę. - Dokąd moglibyście się udać? Nie możecie się wspiąć na mur, a poza tym za nim jest tylko rzeka, a po przeciwnej stronie Serir. Och, nie... to coś innego. - Nayla potrząsnęła głową.

- Wyduś to z siebie! - krzyknęła Siona.

- Mam dokładne rozkazy, którym nie odważę się sprzeciwić. - Nayla spojrzała na pozostałe członkinie oddziału, potem znów na Sionę. - Ty i... Duncan Idaho macie zamieszkać razem.

- To rozkaz mojego ojca?

- Dowódczyni, ponoć są to rozkazy samego Boga Imperatora i nie odważymy się ich zlekceważyć.

Siona patrzyła tylko na Idaho.

- Czy będziesz pamiętał moje ostrzeżenie, Duncanie, z naszej ostatniej rozmowy w Twierdzy?

- Moje ręce należą do mnie i mogę z nimi robić, co mi się podoba - prychnął Idaho. - Nie sądzę, byś miała jakiekolwiek wątpliwości co do moich zamiarów.

Odwróciła się od niego, skinąwszy mu wpierw nieznacznie głową, i spojrzała na Garuna.

- Jakie to ma znaczenie, gdzie będziemy spać w tym ohydnym miejscu? Prowadź nas do naszych kwater.

Idaho stwierdził, że reakcja Garuna była arcyciekawa - odwrócił głowę w stronę gholi, zasłaniając twarz fremeńskim kapturem, i mrugnął konspiracyjnie. Dopiero potem poprowadził ich w głąb brudnej ulicy.

Jakie jest najbardziej bezpośrednie zagrożenie dla mojej władzy? Powiem wam. Są nim prawdziwi wizjonerzy, osoby, które znajdowały się w obecności Boga i wiedziały w pełni, gdzie się znajdują. Ekstaza wizjonerska wyzwala energię równą potędze popędu płciowego. Obie siły nie mają innego celu poza tworzeniem. Jeden akt twórczy może być podobny do drugiego. Wszystko zależy od wizji.

"Wykradzione dzienniki"

Leto leżał na wysokim osłoniętym balkonie wieży Małej Twierdzy, tłumiąc wzburzenie, które zdawał sobie sprawę, wywodziło się z opóźnień oddalających datę jego zaślubin z Hwi Noree. Patrzył na południowy zachód. Gdzieś tam za ciemniejącym horyzontem Duncan, Siona i ich współtowarzyszki już od sześciu dni przebywali w wiosce Tuono. "Sam jestem winien tej zwłoce - pomyślał Leto. - To ja zdecydowałem o przeniesieniu miejsca ślubu, co zmusiło biednego Monea do zmiany wszystkich dotychczasowych planów."

I teraz doszła oczywiście kwestia Malky'ego.

Żadnej z tych konieczności nie można było wyjaśnić Moneowi, krzątającemu się niespokojnie po środkowej komnacie wieży. Majordom martwił się swoją nieobecnością w punkcie dowodzenia przygotowaniami do uroczystości. Moneo lubił się zamartwiać.

Leto spojrzał na zachodzące słońce. Wisiało nisko nad horyzontem - ogromna pomarańczowa kula. Kolor był efektem niedawnej burzy. Deszczowe chmury przyczaiły się teraz na południu, za Serirem. W przedłużającej się ciszy Leto obserwował deszcz padający, wydawałoby się, od zawsze i bez końca. Chmury ostro rysowały się na tle szarego nieba, woda opadała widocznymi strugami. Leto czuł się skrępowany przez nawiedzające go wspomnienia. Ciężko było otrząsnąć się z tego nastroju. Nie myśląc nawet o tym, mruczał zapamiętane wersy starożytnego wiersza.

- Mówiłeś coś, Panie? - dobiegł go głos Monea. Odwracając jedynie oczy, Leto dojrzał wiernego majordoma, stojącego w wyczekującej pozie.

Leto przełożył cytat na Galach:

- "Słowik wije gniazdo na śliwie, ale co zrobi z wiatrem?"

- To pytanie, Panie?

- Stare pytanie. Odpowiedź jest prosta. Niech słowik trzyma się swoich kwiatów.

- Nie rozumiem, Panie.

- Przestań wypowiadać to, co oczywiste. Irytuje mnie, gdy to robisz.

- Wybacz mi, Panie.

- A co mogę zrobić innego? - Leto przyglądał się badawczo zmartwionej twarzy Monea. - Ty i ja, Moneo, poza wszystkim innym stanowimy świetny duet aktorski.

Starzec spojrzał Leto w oczy.

- Panie?

- Rytuały religijnych świąt ku czci Bachusa stały się zalążkiem greckiego teatru, Moneo. Religia często prowadzi do teatru. Powstanie z nas świetny teatr. - Raz jeszcze Leto odwrócił się i popatrzył na południowo-zachodni horyzont.

Wiatr rozpędzał tam właśnie chmury. Leto pomyślał, że może usłyszeć pędzony wiatrem piach szorujący o wydmy, choć w orlim gnieździe wieży panowała cisza, cisza nie zakłócona najmniejszym szmerem wiatru.

- Chmury - szepnął. - Raz jeszcze wziąłbym puchar księżycowej poświaty, skraj pradawnego morza u mych stóp, ciężkie chmury lgnące do ciemnego nieba, niebieskoszary płaszcz na moich ramionach i zbliżające się rżenie koni.

- Mój pan jest zmartwiony - powiedział Moneo. Współczucie w jego głosie wstrząsnęło Leto.

- Jaskrawe cienie przeszłości - rzekł Leto - nigdy nie zostawiają mnie w spokoju. Nasłuchiwałem kojącego dźwięku, dzwonu z miasteczka o północy, a powiedział mi tylko, że ja jestem dźwiękiem i duszą tego miejsca.

Gdy to mówił, wieżę ogarnęły ciemności. Dookoła nich zapaliły się automatycznie światła. Leto spojrzał przed siebie, tam gdzie cienki sierp Pierwszego Księżyca unosił się nad chmurami, a pomarańczowe światło odbite od planety ukazywało jego pełny krąg.

- Panie, dlaczego tutaj wyszliśmy? - zapytał Moneo. - Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć?

- Pragnąłem wykorzystać twoje zaskoczenie - powiedział Leto. - Wkrótce wyląduje tu lichtuga Gildii. Mówiące-do-Ryb przyprowadzą tu Malky'ego.

Moneo wstrzymał oddech.

- Wuj... Hwi? Ten Malky?

- Jesteś zdumiony, że cię nie ostrzeżono - powiedział Leto.

Moneo poczuł chłód przenikający całe ciało.

- Panie, kiedy chcesz utrzymać coś w sekrecie przed...

- Moneo! - przemówił Leto łagodnym tonem. - Wiem, że Malky składał bardziej kuszące oferty niż ktokolwiek inny.

- Panie! Nigdy...

- Wiem o tym, Moneo - odparł Leto tym samym tonem. - Ale zaskoczenie wskrzesiło twoje wspomnienia. Jesteś teraz przygotowany na wszystko, czego mogę od ciebie chcieć.

- Czego... czego mój Pan...

- Może będziemy musieli pozbyć się Malky'ego. On stanowi problem.

- Ja? Pragniesz, bym ja...

- Może.

Moneo przełknął ślinę i rzekł:

- Matka Wielebna...

- Anteac nie żyje. Dobrze mi służyła, ale nie żyje. Nie obyło się bez przemocy, kiedy Mówiące-do-Ryb zaatakowały... miejsce, w którym ukrywał się Malky.

- Poradzimy sobie lepiej bez Anteac - powiedział Moneo.

- Doceniam twoją nieufność wobec Bene Gesserit, ale wolałbym, żeby Anteac odeszła od nas inaczej. Była nam wierna, Moneo.

- Matka Wielebna była...

- Tak Bene Tleilax, jak i Gildia chciały poznać sekret Malky'ego - rzekł Leto. - Kiedy uświadomili sobie, że wykonujemy posunięcie przeciw Ixianom, uderzyli przed Mówiącymi-do-Ryb. Anteac... no, mogła ich powstrzymać tylko przez chwilę, ale to wystarczyło. Mówiące-do-Ryb otoczyły to miejsce...

- Sekret Malky'ego, Panie?

- Kiedy coś znika - powiedział Leto - jest to taką samą informacją, jak w przypadku, gdy coś nagle się pojawia. Puste przestrzenie zawsze są warte zbadania.

- Co mój Pan ma na myśli przez "puste"?

- Malky nie umarł. Wiedziałbym o tym na pewno. Dokąd się udał, kiedy zniknął?

- Zniknął... przed tobą, Panie? To znaczy, że Ixianie...

- Udoskonalili urządzenie, które podarowali mi dawno temu. Ulepszali je powoli i z wyczuciem, kryjąc powłoki w powłokach, ale zauważyłem cienie. Byłem zaskoczony. Byłem zadowolony.

Moneo zastanowił się nad tym. Urządzenie, które ukrywało... Aaach! Bóg Imperator wspominał o czymś takim przy kilku okazjach, o sposobie ukrycia myśli, które spisywał.

- I Malky przynosi tajemnicę... - zaczął Moneo.

- Och, tak. Ale to nie jest prawdziwa tajemnica Malky'ego. Trzyma w zanadrzu coś innego, i nawet nie wie, że go o to podejrzewam.

- Co innego... ale, Panie, skoro potrafili się ukryć nawet przed tobą...

- Wielu potrafi to teraz zrobić, Moneo. Rozproszyli się, kiedy nastąpił atak Mówiących-do-Ryb. Tajemnica urządzenia Ixian poszła w świat.

Oczy Monea rozszerzyły się w trwodze.

- Panie, jeżeli kiedykolwiek...

- Jeżeli nauczą się sprytu, nie będą pozostawiać po sobie śladów - powiedział Leto. - Powiedz mi, Moneo, co Nayla mówi o Duncanie? Czy nie opiera się przeciw składaniu raportów bezpośrednio tobie?

- Robi, cokolwiek mój Pan rozkaże. - Moneo kaszlnął. Nie mógł zrozumieć, dlaczego Bóg Imperator mówi o zacieraniu śladów, Duncanie i Nayli jednym tchem.

- Tak, oczywiście - rzekł Leto. - Cokolwiek rozkażę, Nayla wykona, ale co mówią o Duncanie?

- Nie starał się połączyć z Sioną, jeżeli o to chodzi mojemu...

- Ale co on robi z moją maskotką, naibem Garunem i innymi Muzealnymi Fremenami?

- Opowiada im o dawnych czasach, o wojnach przeciw Harkonnenom, o pierwszych Atrydach na Arrakis.

- Na Diunie!

- Tak, na Diunie.

- To dlatego, że nie ma już Diuny, nie ma Fremenów - powiedział Leto. - Czy przekazałeś moją wiadomość Nayli?

- Panie, dlaczego przyczyniasz się do potęgowania zagrożenia wobec swojej osoby?

- Przekazałeś moją wiadomość?

- Wysłałem kurierkę do Tuono, ale wciąż nie udaje mi się wezwać jej z powrotem.

- Nie wezwiesz jej z powrotem!

- Ależ, Panie...

- Co powiedziała Nayli?

- Że... że rozkazujesz, aby Nayla trwała w absolutnym i bezwzględnym posłuszeństwie wobec mojej córki, chyba że... Panie! To niebezpieczne!

- Niebezpieczne? Nayla jest Mówiącą-do-Ryb. Usłucha mnie.

- Ale Siona... Panie, obawiam się, że moja córka nie służy ci całym sercem. A Nayla jest...

- Nayli nie wolno się wahać.

- Panie, przeprowadźmy twój ślub w jakimś innym miejscu.

- Nie!

- Panie, wiem, że twoja wizja ukazała ci...

- Złota Droga trwa, Moneo. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Moneo westchnął.

- Nieskończoność należy do ciebie, Panie. Nie kwestionuję... - przerwał, gdy dobiegł ich narastający wciąż ryk.

Obaj odwrócili się do źródła dźwięku - pióropusza błękitno-pomarańczowego światła, zstępującego na pustynię mniej niż o kilometr na południe.

- Aha, zjawia się mój gość - powiedział Leto. - Ześlę cię na dół moim Wozem, Moneo. Weź z sobą tylko Malky'ego. Powiedz ludziom Gildii, że zapracowali na moje przebaczenie, a następnie ich odeślij.

- Twoje prze... Dobrze, Panie. Ale jeżeli znają tajemnicę...

- Służą mojemu celowi, Moneo. Musisz zrobić to samo. Sprowadź do mnie Malky'ego.

Moneo posłusznie wszedł na Wóz, który stał w cieniu po przeciwnej stronie komnaty orlego gniazda. Patrzył, jak ściana otwiera się, ukazując nocne niebo. Półka ładownicza wysunęła się na zewnątrz. Wóz uniósł się i poleciał, lekki jak piórko, i opadł na piasek przy lądowniku stojącym pionowo jak zniekształcona miniatura wieży Malej Twierdzy.

Leto obserwował widok z balkonu, unosząc nieco przednie segmenty ciała, by zapewnić sobie lepszy obraz całości. Dzięki niezwykle bystremu wzrokowi mógł zidentyfikować białą postać Monea stojącego na Wozie oświetlonym przez księżyc. Długonodzy słudzy Gildii wynurzyli się z lichtugi, niosąc jakiś ciężar, który złożyli na Wozie, przystanąwszy tam na chwilę rozmowy z Moneem. Gdy odeszli, Leto zamknął kopułę pokrywającą Wóz. Zobaczył odbijającą się od niej poświatę księżyca. Zgodnie z myślowym rozkazem, Wóz wraz z ładunkiem powrócił na półkę lądowiska. Podczas gdy Leto wprowadzał Wóz do oświetlonej komnaty, zamykając za nim wejście, z lichtugi Gildii ponownie zaczął dochodzić grzmiący ryk. Leto otworzył kopułę. Piasek zazgrzytał pod jego ciałem, gdy podpełzł do tego, co spoczywało na Wozie. Bóg Imperator podniósł przednie segmenty, by popatrzeć na Malky'ego, który leżał jak gdyby śpiąc, przypasany do noszy szerokimi, szarymi elastycznymi więzami. Twarz mężczyzny miała barwę popiołu.

"Jak bardzo się postarzał" - pomyślał Leto.

Moneo zszedł z Wozu i spojrzał na człowieka na noszach.

- Jest ranny, Panie. Chcieli zostawić przy nim lekarza...

- Chcieli zostawić szpiega.

Leto badał wzrokiem Malky'ego - ciemną, pomarszczoną skórę, zapadnięte policzki, wydatny nos, stanowiący ostry kontrast z zaokrąglonym owalem twarzy. Gęste brwi stały się prawie białe. To tylko całe życie wydzielania testosteronu... tak.

Oczy Malky'ego otworzyły się. Rozpoznanie zła tkwiącego w tych brązowych oczach łani było wstrząsem. Usta mężczyzny wykrzywiły się w uśmiechu.

- Pan Leto - głos Malky'ego był niewiele głośniejszy od szeptu. Spojrzał w prawo, skupiając się na majordomie. - I Moneo. Wybaczcie mi, że nie wstaję, by was przywitać.

- Boli cię - zapytał Leto.

- Czasami. - Malky rozejrzał się, żeby zbadać otoczenie. - Gdzie są hurysy?

- Obawiam się, że muszę odmówić ci tej przyjemności, Malky.

- Wszystko jedno - wychrypiał Malky. - Nie czuję się na siłach sprostać ich wymaganiom. To nie hurysy wysłałeś po mnie, Leto.

- Spełniały swój obowiązek posłuszeństwa wobec mnie - powiedział Leto.

- To były krwawe łowczynie!

- To Anteac była łowczynią. Moje Mówiące-do-Ryb stanowiły jedynie ekipę porządkową.

Moneo przenosił spojrzenie z twarzy jednego mówiącego na drugiego, w tę i z powrotem. W tej rozmowie niepokojące były podteksty. Mimo ochrypłego tonu głos Malky'ego brzmiał prawie beztrosko... ale z nim zawsze tak było. Niebezpieczny człowiek!

- Tuż przed twoim przybyciem Moneo i ja dyskutowaliśmy o nieskończoności - rzekł Leto.

- Biedny Moneo - powiedział Malky.

Leto uśmiechnął się.

- Pamiętasz, Malky? Kiedyś poprosiłeś mnie, żebym ci zademonstrował nieskończoność.

- Powiedziałeś, że nie istnieje żadna, którą można by pokazać. - Malky przeniósł spojrzenie na Monea. - Leto lubi zabawę w paradoksy. Zna wszystkie chwyty tkwiące w języku, jakie kiedykolwiek wynaleziono.

Monea opanował gniew. Czuł, że jest ofiarą żartów dwóch górujących nad nim istot. Malky i Bóg Imperator zachowywali się prawie jak dwaj starzy przyjaciele, wskrzeszający przyjemne chwile wspólnej przeszłości.

- Moneo oskarża mnie, że jestem wyłącznym posiadaczem nieskończoności - powiedział Leto. - Stanowczo nie chce uwierzyć, że ma jej tyle samo, co ja.

Malky wpatrzył się w Leto.

- Widzisz, Moneo? Widzisz, jak bawi się słowami?

- Opowiedz mi o swojej siostrzenicy, Hwi Noree - rzekł Leto.

- To prawda, Leto, co mówią? Że zamierzasz poślubić łagodną Hwi?

- Prawda.

Malky zachichotał, następnie jego twarz wykrzywił paroksyzm bólu.

- Nieźle mnie poturbowali, Leto - szepnął. Po chwili podjął na nowo: - Powiedz mi, stary czerwiu...

Moneo aż syknął z gniewu.

Malky odczekał chwilę, aż ból minie, i powtórzył:

- Powiedz mi, stary czerwiu, czy w tym potwornym cielsku kryje się jakiś potworny człowiek? Cóż to byłby za wstrząs dla łagodnej Hwi!

- Już dawno powiedziałem ci prawdę - odparł Leto.

- Nikt nigdy nie mówi prawdy - wychrypiał Malky.

- Ty często mówiłeś - rzekł Leto. - Nawet gdy o tym nie wiedziałeś.

- To dlatego, że jesteś przebieglejszy od nas wszystkich.

- Opowiesz mi o Hwi?

- Myślę, że już wszystko wiesz.

- Chcę to usłyszeć od ciebie - powiedział Leto. - Czy Tleilaxanie wam pomogli?

- Dali nam wiedzę, nic więcej. Wszystko inne zrobiliśmy sami.

- Przypuszczałem, że to nie dzieło Tleilaxan.

Moneo nie potrafił dłużej powstrzymywać ciekawości.

- Panie, co to za historia z Hwi? Z Tleilaxanami? Dlaczego ty...

- Nie denerwuj się, stary przyjacielu - powiedział Malky, odwracając się w stronę majordoma. - Czy nie wiesz, co on...

- Nigdy nie byłem twoim przyjacielem! - wybuchnął Moneo.

- Zatem towarzyszem w zabawach z hurysami - rzekł Malky.

- Panie - rzekł Moneo, odwracając się do Leto. - Dlaczego mówisz o...

- Ćśśś, Moneo - odparł Leto. - To męczy twojego starego towarzysza, a ja muszę się jeszcze dowiedzieć od niego pewnych rzeczy.

- Czy zastanawiałeś się kiedyś, Leto - zapytał Malky - dlaczego Moneo nie starał się nigdy pozbawić cię wszelkiej śmieżywki?

- Czego?- zapytał ze zdumieniem Moneo.

- Jeszcze jedno z dawnych słówek Leto - odparł Malky. - Śmiech i używka. Śmie-żywka. To doskonałe. Dlaczego nie zmienisz nazwy swego Imperium, Leto? Wielka Smieżywka!

Leto podniósł dłoń, by uciszyć Monea.

- Opowiesz mi, Malky? O Hwi?

- Ledwie kilka komórek z mojego ciała - rzekł Malky. - Potem starannie nadzorowany wzrost i wychowanie - a wszystko to - dokładne przeciwieństwo twojego starego przyjaciela, Malky'ego. Wszystko robiliśmy w pozaprzestrzeni, której nie możesz zobaczyć!

- Ale widzę, gdy coś znika - odrzekł Leto.

- Pozaprzestrzeń? - zapytał Moneo i w tym momencie dotarło do niego znaczenie słów Malky'ego. - Ty? Ty i Hwi...

- To kształt, który widziałem wśród cieni - powiedział Leto. Moneo skupił całą uwagę na twarzy Leto.

- Panie, odwołam zaślubiny. Powiem...

- Nie zrobisz nic podobnego!

- Ależ, Panie, jeżeli ona i Malky są...

- Moneo! - wyszeptał Malky. - Twój Pan rozkazuje ci i musisz go usłuchać.

Co za szyderczy ton! Moneo wlepił wzrok w Malky'ego.

- Dokładne przeciwieństwo Malky'ego - rzekł Leto. - Nie słyszałeś?

- Cóż może być lepszego? - zapytał Malky.

- Ale na pewno, Panie, teraz, kiedy wiesz...

- Moneo - odparł Leto - zaczynasz mnie irytować.

Moneo zamilkł, zbity z tropu.

Leto rzekł:

- Już lepiej. Wiesz, Moneo, kiedyś, dziesiątki tysięcy lat temu, kiedy jeszcze byłem inną osobą, popełniłem błąd.

- Błąd, ty? - ironizował Malky. Leto tylko się uśmiechnął.

- Mojej pomyłki dopełniał piękny sposób, w jaki ją wyraziłem.

- Słowne sztuczki! - zaszydził Malky.

- Rzeczywiście! Oto, co powiedziałem: "Teraźniejszość to przeszkoda, przyszłość to sen, pamięć jedynie potrafi odkryć znaczenie życia." Czyż to nie piękne, Malky?

- Nadzwyczajne, stary czerwiu.

Moneo przycisnął dłoń do ust.

- Ale moje słowa były kłamstwem - powiedział Leto. - Wiedziałem to już wtedy, ale byłem zauroczony pięknymi słowami. Nie - pamięć nie odkrywa znaczeń. Bez lęku ducha, bez jego doświadczenia, bez słów, w niczym nie ma znaczeń.

- Jakoś nie udaje mi się dostrzec znaczenia lęku, o które przyprawiły mnie twoje krwiożercze Mówiące-do-Ryb - odparł Malky.

- Nie odczuwasz żadnego lęku - rzekł Leto.

- Gdybyś był w tym ciele, to...

- To tylko fizyczny ból - powiedział Leto. - Wkrótce się skończy.

- Więc kiedy poznam lęk? - zapytał Malky.

- Być może później.

Leto odwrócił przednie segmenty od Malky'ego, by spojrzeć na Monea.

- Naprawdę służysz Złotej Drodze, Moneo?

- Aha! Złota Droga! - rzekł z przekąsem Malky.

- Wiesz, że tak, Panie - powiedział Moneo.

- Zatem musisz mi obiecać - powiedział Leto - że to, czego się tu dowiedziałeś, nigdy nie zostanie przez ciebie rozgłoszone. Nie możesz tego objawić ani słowem, ani w pismach.

- Obiecuję, Panie.

- On obiecuje, Panie - zaszydził Malky.

Jedna ze zniekształconych dłoni Leto wskazała na Malky'ego, który leżał, wpatrując się w odsłonięty profil twarzy otoczonej swym szarym kapturem.

- Z powodu dawnego szacunku i... wielu innych przyczyn, nie mogę zabić Malky'ego. Nie mogę nawet prosić cię o to... ale jego trzeba zlikwidować.

- Och, jaki jesteś sprytny! - zaśmiał się Malky.

- Panie, jeśli raczysz zaczekać w drugim końcu komnaty - rzekł Moneo - to może, kiedy wrócisz, Malky nie będzie już stanowił problemu.

- On ma zamiar to zrobić - wyszeptał Malky. - Na Boga! On ma zamiar to zrobić!

Leto odwrócił się i oddalił ku pogrążonej w cieniu części komnaty, skupiając uwagę na słabo widocznym zarysie, który stałby się wyjściem w noc, gdyby tylko zapragnął obrócić chęć w myśl-rozkaz. Spadanie trwałoby tak długo po stoczeniu się z półki-lądowiska. Wątpił, czy nawet jego ciało by to przeżyło. W piasku pod wieżą nie było jednak wody i czuł, że Złota Droga majaczy na granicy istnienia i nieistnienia tylko dlatego, że pozwolił sobie na rozmyślania o takim końcu.

- Leto! - zawołał Malky.

Leto usłyszał szuranie noszy o naniesiony przez wiatr piach, który jak pieprz pokrywał posadzkę orlego gniazda. Malky zawołał jeszcze:

- Leto, jesteś najlepszy! Nie ma we wszechświecie zła, które mogłoby równać się...

Głuchy odgłos uderzenia uciął słowa Malky'ego. "Cios w gardło -pomyślał Leto. - Tak, Moneo zna się na rzeczy." Po chwili doszedł go dźwięk wydawany przez otwierająca się przezroczystą osłonę balkonu, zgrzyt noszy o poręcz, potem zapanowała cisza.

"Moneo będzie musiał pochować ciało w piasku - pomyślał. - Nie ma już czerwi, które mogłyby się zjawić i pożreć dowody." Leto odwrócił się i spojrzał w głąb sali. Moneo stał oparty o balustradę i spoglądał w dół... Patrzył długo, jakby nie mógł oderwać wzroku od widoku rozpościerającego się pod wieżą.

"Nie będę się za ciebie modlił, Malky, ani za ciebie, Moneo - pomyślał Leto. - Mogę być jedyną religijną świadomością w Imperium, ponieważ jestem naprawdę sam... więc nie mogę się modlić."

Nie możecie zrozumieć historii, dopóki nie pojmiecie jej kierunków, jej prądów i sposobów, w jaki przywódcy poruszają się wśród tych sił. Przywódcy starają się przedłużyć stan, który wymagał ich przywództwa. Tak więc potrzebują outsiderów. Napominam was, żebyście badali moją historię z uwagą. Jestem równocześnie przywódcą i outsiderem. Nie popełnijcie błędu, przyjmując, że jedynie stworzyłem Kościół będący Państwem. To była moja funkcja jako przywódcy i miałem wiele historycznych modeli do wykorzystania jako wzorce. Szukając klucza do mojej roli outsidera, przyjrzyjcie się sztuce moich czasów. Jest barbarzyńska. Ulubiona poezja? Epika. Popularny ideał dramatyczny? Heroizm. Tańce? Zaniedbano ich rozwój. Moneo ma rację, określając to ze swojego punktu widzenia jako niebezpieczne. To sprawia, że ludzie odczuwają brak tego, co im odebrałem. A co im odebrałem? Prawo do współuczestnictwa w historii.

"Wykradzione dzienniki"

Idaho, leżąc z zamkniętymi oczyma, rozciągnięty na swoim łóżku, dosłyszał skrzypnięcie drugiego łóżka. Usiadł w popołudniowym światłe wpadającym ukośnie pod ostrym kątem przez jedyne okno w pokoju, odbijającym się od posadzki wyłożonej białymi płytkami rozjaśniającymi jasnożółte ściany. Zobaczył Sionę, która weszła i położyła się w swobodnej pozie na swoim łóżku. Rozpoczęła lekturę jednej z książek, które nosiła z sobą w plecaku z zielonego płótna.

"Dlaczego ona czyta?" - zastanawiał się.

Spuścił nogi na podłogę i rozejrzał się po pokoju. Jak można było uważać to obszerne pudło z wysokim sufitem za fremeńskie? Dwa łóżka rozdzielał szeroki stół-biurko wykonany z jakiegoś rodzaju tutejszego ciemnobrązowego tworzywa sztucznego. Pomieszczenie miało dwoje drzwi. Jedne prowadziły na zewnątrz wprost do ogrodu. Drugie dawały wstęp do luksusowej łazienki, której bladoniebieskie płytki podłogowe lśniły w jasnym świetle dnia. Łazienka zawierała oprócz wielu innych funkcjonalnych przyborów wannę i prysznic. Drzwi do tego kącika dla sybarytów pozostawały uchylone i Idaho słyszał szum wody wypływającej z wanny. Siona wydawała się być dziwnie chętna do kąpieli w zbyt dużej ilości wody.

Stilgar, naib Duncana z dawnych czasów na Diunie, popatrzyłby na tę łazienkę z nachmurzonymi brwiami. To wstyd - powiedziałby. - Dekadencja! Słabość! Stilgar użyłby wielu szyderczych słów, mówiąc o całej wsi, która śmiała się porównywać z prawdziwą fremeńską siczą.

Papier zaszeleścił, gdy Siona odwróciła kartkę. Co na tych stronach tak przykuwało jej uwagę? Czytała przez cały czas od ich przybycia do Tuono. Tomy były cienkie, lecz miała ich wiele, z ponumerowanymi grzbietami. Idaho zobaczył numer "dziesięć".

Wstał i podszedł do okna. W pewnej odległości od niego jakiś stary człowiek okopywał kwiaty. Ogród z trzech stron był osłonięty przez budynki. Rośliny miały wielkie kwiaty - czerwone na zewnątrz, ale kiedy rozchylały się, w środku ukazywała się biel. Niczym nie przykryta siwa czupryna starca przypominała kwiat, falujący wśród roślinnej bieli i klejnotów pąków. Idaho czuł zapach rozkładających się liści i świeżo skopanej ziemi, zmieszany z ciężką, duszącą wonią kwiatów.

Fremen hodujący kwiaty na otwartej przestrzeni!

Siona nigdy nic nie mówiła o swej zaskakującej namiętności do książek. "Pragnie mi dokuczyć - pomyślał Idaho. - Chce, żebym ją o to zapytał."

Starał się nie myśleć o Hwi. Kiedy to robił, gniew go zaślepiał. Przypomniał sobie pradawne fremeńskie określenie na to przemożne uczucie: kanawa, żelazny pierścień zazdrości.

Gdzie jest Hwi? Co robi w tej chwili?

Drzwi od strony ogrodu otwarły się bez pukania i wszedł Tejszar, prawa ręka Garuna. Tejszar miał trupiobladą, pobrużdżoną głębokimi zmarszczkami twarz. Zapadnięte oczy mężczyzny otoczone były żółtymi obwódkami. Był ubrany na brązowo, a jego włosy przypominały wypłowiały, zmarniały trawnik. Wydawał się groteskowo szpetny, jak ciemny, pierwotny duch. Tejszar zamknął drzwi i stanął obok, patrząc na Sionę i Duncana.

Za plecami Idaho rozległ się głos Siony:

- No, o co chodzi?

Idaho zauważył, że Tejszar wydaje się dziwnie podniecony, dosłownie rozdygotany.

- Bóg Imperator... - Tejszar kaszlnął i zaczął od nowa: - Bóg Imperator przybędzie do Tuono.

Siona usiadła na łóżku, wygładzając na kolanach fałdy białej szaty. Idaho obejrzał się na nią, po czym zwrócił swój wzrok na Tejszara.

- Jego ślub odbędzie się tutaj, w Tuono! - powiedział Tejszar. - Ceremonia zostanie przeprowadzona w dawny fremeński sposób! Bóg Imperator i panna młoda będą gościć w Tuono!

Czując miażdżący ucisk kanawy, Idaho wpatrywał się z zaciśniętymi pięściami w Tejszara. Ten skinął nieznacznie głową, odwrócił się i wyszedł, zamykając za sobą z hałasem drzwi.

- Pozwól, że ci coś przeczytam, Duncanie - zaproponowała Siona.

Idaho przez chwilę nie pojmował sensu jej słów. Z pięściami wciąż zaciśniętymi u boków odwrócił się i popatrzył na nią. Siona siedziała na brzegu łóżka z książką wspartą na kolanach. Przyjęła jego zdenerwowanie za oznakę zgody.

- Niektórzy wierzą - czytała - że zanim nakłoni się geniusz do pracy, trzeba pogodzić prawość z pewną dozą brudnej roboty. Powiadają, że kompromis zaczyna się wtedy, gdy wychodzi się z sanctum dla zrealizowania swych ideałów. Moneo powiada, że moim rozwiązaniem jest pozostanie w sanctum i wysyłanie do brudnej roboty innych.

Podniosła wzrok na Idaho.

- Bóg Imperator. To jego własne słowa.

Idaho powoli rozluźnił pięści. Wiedział, że potrzebował tych słów. Ucieszył się także tym, że Siona przerwała milczenie.

- Co to za książka? - zapytał.

Pokrótce opowiedziała mu, jak ona i jej towarzysze wykradli plany Twierdzy oraz kopie dzienników Leto.

- Oczywiście wiedziałeś o tym - powiedziała. - Mój ojciec dał mi jasno do zrozumienia, że to szpiegowie doprowadzili do fiaska naszej wyprawy.

Dojrzał łzy w jej oczach.

- Czy prawdą jest, że dziewięcioro z was zabiły wilki? Skinęła głową.

- Marna z ciebie dowódczyni! - powiedział.

Rozgniewała się, ale zanim zdążyła odpowiedzieć, zapytał:

- Kto je dla was przełożył?

- Mamy to od Ixian. Mówią, że klucz odkryła Gildia.

- Wiemy już, że Bóg Imperator pobłaża sobie dla własnej wygody - rzekł Idaho. - To wszystko, co ma do powiedzenia?

- Przeczytaj sam. - Pogrzebała w plecaku i wydostała pierwszy tom tłumaczenia, który rzuciła na pryczę gholi. Gdy podszedł do łóżka, zapytała z naciskiem:

- Co miałeś na myśli, mówiąc, że marnie dowodziłam?

- Tak powieść na zgubę dziewięcioro przyjaciół!

- Ty głupcze! - Potrząsnęła głową. - Widać, że nigdy nie widziałeś tych wilków!

Wziął książkę i stwierdził, że jest ciężka, uświadamiając sobie, że została wydrukowana na ryduliańskim papierze krystalicznym.

- Powinniście się byli uzbroić przeciw wilkom - powiedział, otwierając tom.

- W co? Każda broń, jaką mogliśmy wziąć, byłaby bezużyteczna!

- Rusznice laserowe? - zapytał, przewracając kartkę.

- Tknij się rusznicy laserowej na Arrakis, a Czerw będzie o tym wiedział.

Odwrócił kolejną stronę.

- Twoi przyjaciele dostali je w końcu.

- I na co im się to przydało?

Idaho poczytał przez chwilę i rzekł:

- Można było zdobyć truciznę.

Nerwowo przełknęła ślinę. Idaho popatrzył na Sionę.

- Ale mimo wszystko otruliście je? Jej głos był właściwie szeptem:

- Tak.

- Dlaczego zatem nie zrobiliście tego najpierw! - zapytał.

- Nie... nie wiedzieliśmy... że możemy.

- Ale nie wypróbowaliście tej możliwości - powiedział Idaho. Pochylił się nad otwartą książką. - Prostackie wywody.

- On jest taki przebiegły! - powiedziała Siona.

Idaho przeczytał jeszcze jeden akapit, zanim znów skupił uwagę na Sionie.

- Z tej książki niewiele można się o nim dowiedzieć. Czytałaś całość?

- Każde słowo! Niektóre fragmenty po kilka razy. Idaho popatrzył na rozłożone strony i przeczytał na głos:

- Stworzyłem to, co zamierzałem - potężne duchowe napięcie w całym Imperium. Niewielu odczuwa jego siłę. Jakimi mocami stworzyłem ten stan? Nie jestem tak silny. Jedyna władza, jaką posiadam, to kontrola nad jednostkowym powodzeniem. To suma wszystkiego, co robię. Dlaczego więc ludzie szukają boskiej obecności dla innych celów? Co może prowadzić ich do pewnej śmierci w daremnym wysiłku spotkania ze mną? Chcą być świętymi. Czy myślą, że w ten sposób osiągną boską wizję?

- To skończony cynik - powiedziała Siona płaczliwym głosem.

- Jakiej poddał cię próbie? - zapytał Idaho.

- Pokazał mi... pokazał mi swoją Złotą Drogę.

- To wygodne...

- Jest wystarczająco prawdziwa, Duncanie. - Podniosła na niego wzrok z oczami lśniącymi od powstrzymywanych łez. - Ale jeżeli była ona kiedykolwiek powodem działania naszego Boga Imperatora, to nie była powodem tego, czym się stał!

Idaho zaczerpnął głęboki oddech i powiedział:

- Do tego doszli Atrydzi!

- Czerw musi odejść - rzekła Siona.

- Zastanawiam się, kiedy tu przybędzie - odparł Idaho.

- Ten mały szczur, przyjaciel Garuna, nie powiedział tego.

- Musimy zapytać - stwierdził Idaho.

- Przecież nie mamy broni - rzekła Siona.

- Nayla ma rusznicę laserową - odparł. - Mamy noże... linę. Widziałem linę w jednym ze składów Garuna.

- Przeciw Czerwiowi? - zapytała. - Nawet gdybyśmy zdołali dostać rusznicę Nayli, wiesz, że ona go nie tknie.

- Lecz jego Wóz chyba nie jest odporny na ogień rusznicy? - zapytał Idaho.

- Nie ufam Nayli - powiedziała Siona.

- Czy ona słucha twoich rozkazów?

- Tak, ale..

- Będziemy posuwać się krok po kroku - powiedział Idaho. - Zapytaj Naylę, czy użyłaby rusznicy przeciw Wozowi Leto.

- A jeżeli odmówi?

- Zabij ją.

Siona wstała, odrzucając książkę na bok.

- W jaki sposób Czerw przybędzie do Tuono? - zapytał Idaho. - Jest za wielki i za ciężki, by podróżować zwykłym ornitopterem.

- Garun nam powie - odparła. - Ale sądzę, że przybędzie tak, jak podróżuje zazwyczaj. - Spojrzała na sufit. - Myślę, że wyruszy na wędrówkę z całą swoją świtą. Podąży Królewskim Traktem i spłynie tu na dryfach. - Spojrzała na Idaho. - Co z Garunem?

- To dziwny człowiek - rzekł Idaho. - Rozpaczliwie pragnie być prawdziwym Fremenem. Wie, że wcale nie jest podobny do nich, do Fremenów, którzy żyli za moich czasów.

- Jacy oni wtedy byli, Duncan?

- Mieli powiedzenie, które dobrze ich określa - odparł Idaho. - "Nigdy nie powinieneś przebywać w towarzystwie kogoś, z kim nie chciałbyś umrzeć."

- Powiedziałeś to Garunowi?

- Tak.

- I co on na to?

- Powiedział, że jestem jedyną taką osobą, jaką kiedykolwiek udało mu się spotkać.

- Garun może być mądrzejszy od nas wszystkich - zadumała się Siona.

Myślicie, ze władza może być najbardziej nietrwałym z ludzkich osiągnięć? Więc co z wyraźnymi odstępstwami od tej wrodzonej nietrwałości? Trwają niektóre rody. Wiadomo, ze trwały potężne religijne biurokracje. Rozważcie związek między wiarą i władzą. Czy wykluczają się wzajemnie? Bene Gesserit były względnie bezpieczne przez wiele tysięcy lat dzięki religii państwowej. A co stało się z ich władzą?

"Wykradzione dzienniki"

- Panie, pragnąłbym, byś dał mi więcej czasu - powiedział Moneo rozdrażnionym tonem.

Stał na zewnątrz Twierdzy w jej krótkim, południowym cieniu. Leto leżał na wprost niego na Wozie Królewskim, mającym odsuniętą kopułę. Zwiedzał okolice z Hwi Noree, która zajmowała nowo zainstalowany fotel, przymocowany do obręczy półkolistej osłony tuż obok twarzy Leto. Hwi wydawała się być jedynie zaciekawiona krzątaniną, która zaczynała wokół nich narastać.

"Jaka jest spokojna" - pomyślał Moneo. Stłumił dreszcz wywołany tym, o czym się dowiedział od Malky'ego. Bóg Imperator miał rację. Hwi była dokładnie tym, czym wydawała się być - doskonale słodką, zmysłową istotą ludzką. "Czy naprawdę mogłaby stać się moją kochanką?" - zastanawiał się Moneo.

Powszechne poruszenie sprawiało, że nie mógł skupić na niej uwagi. Podczas gdy Leto obwoził Hwi dookoła Twierdzy unoszonym przez dryfy Wozem, sprowadzono tu liczną grupę dworzan i Mówiących-do-Ryb. Wszyscy dworzanie byli odziani we wspaniałe, odświętne szaty mieniące się złotem i czerwienią. Mówiące-do-Ryb ubrane były w najlepsze, ciemnoniebieskie mundury, ożywione jedynie naszywkami i znakami jastrzębia. Karawana bagażowa złożona z sani dryfowych jechała z tyłu wraz z ciągnącymi je Mówiącymi-do-Ryb. Powietrze drżało od entuzjastycznych okrzyków, pełne było pyłu i przeróżnych zapachów. Większość dworzan reagowała gniewnie, dowiedziawszy się o celu wyprawy. Niektórzy natychmiast zakupili własne namioty i jurty. Bagaże wraz z namiotami posłano przodem i teraz leżały spiętrzone poza horyzontem Tuono. Mówiące-do-Ryb należące do świty były wyraźnie niezadowolone. Narzekały głośno, gdyż nie pozwolono im wziąć rusznic laserowych.

- Tylko trochę więcej czasu, Panie - powtarzał Moneo. - Wciąż nie wiem, jak będziemy...

- Nic tak jak czas nie służy rozwiązywaniu niektórych problemów - powiedział Leto. - Jednakże ty przywiązujesz do niego zbyt wielka wagę. Nie mogę zgodzić się na dalszą zwłokę.

- Trzy dni zajmie nam dotarcie tam - poskarżył się Moneo. Leto pomyślał o tym czasie - szybkim marszobiegu... przez sto osiemdziesiąt kilometrów. Tak, trzy dni.

- Jestem pewny, że dobrze się zatroszczyłeś o miejsca postoju - powiedział Leto. - Z mnóstwem gorącej wody dla ludzi ze skurczami mięśni.

- Będzie wystarczająco wygodnie - odrzekł Moneo - ale nie podoba mi się to, że opuszczam Twierdzę teraz, Panie. I wiesz, dlaczego!

- Mamy aparaturę łącznościową wiernych pomocników. Gildia została odpowiednio napomniana. Uspokój się, Moneo.

- Moglibyśmy przeprowadzić ceremonię w Twierdzy.

W odpowiedzi Leto zamknął kopułę, odizolowując siebie i Hwi.

- Czy to niebezpieczne, Leto? - zapytała.

- Niebezpieczeństwo zawsze istnieje.

Moneo westchnął, odwrócił się i pokłusował w stronę, gdzie Królewski Trakt zaczynał swą długą wspinaczkę na wschód, zanim skręcał na południe, wokół Seriru. Leto wprawił Wóz w ruch w ślad za majordomem. Usłyszał, jak wielobarwne towarzystwo rusza za nim.

- Wszyscy wyruszyliśmy? - zapytał Leto. Hwi obejrzała się za siebie.

- Tak. - Obróciła się ku jego twarzy. - Dlaczego Moneo tak utrudniał?

- Odkrył, że chwila, która go właśnie opuszcza, jest dla niego bezpowrotnie stracona.

- Odkąd wróciłeś z małej Twierdzy, Moneo łatwo wpada w rozdrażnienie i nie potrafi się skupić. Zupełnie się zmienił.

- To Atryda, kochana, a ty zostałaś zaprogramowana tak, by zadowalać Atrydów.

- To nie to, wiedziałabym, gdyby o to chodziło.

- Tak... No cóż, myślę, że Moneo odkrył również istnienie śmierci.

- Jak jest w Małej Twierdzy, gdy tam przebywasz z Moneo? - zapytała.

- To najsamotniejsze miejsce w moim Imperium.

- Myślę, że wykręcasz się od odpowiedzi - stwierdziła.

- Nie, kochana. Podzielam twoją troskę o Monea, ale żadne moje wyjaśnienia nie pomogą mu teraz. Moneo wpadł w pułapkę. Dowiedział się, że żyć teraźniejszością jest ciężko, żyć przeszłością jest bezsensowne, a przyszłością żyć nie można

- Myślę, że to ty wpędziłeś go w tę pułapkę, Leto.

- Lecz to on sam musi się z niej uwolnić.

- Dlaczego ty nie możesz tego zrobić?

- On myśli, że moje wspomnienia są kluczem do jego wolności. Myśli, że buduję naszą przyszłość na przeszłości.

- Czy tak nie jest, Leto?

- Nie, droga Hwi.

- Więc jak to jest?

- Większość wierzy, że przyszłość, by spełniać oczekiwania, wymaga powrotu do wyidealizowanej przeszłości, która faktycznie nigdy nie istniała.

- Ale ty ze wszystkimi twoimi wspomnieniami wiesz, że jest inaczej.

Leto obrócił otoczoną kapturem twarz ku niej, wpatrując się badawczo, wspominając. Z wielości bytów w sobie mógł wysnuć genetyczny model Hwi, ale wzór ten zbladłby w zestawieniu z jej prawdziwą, żywą postacią. Przeszłość wpatrywała się w Leto całymi rzędami oczu przypominających oczy ryb wyrzuconych na piasek, lecz Hwi cała wibrowała życiem. Jej usta były jakby stworzone do starogreckiego, delfickiego śpiewu, ale nuciły słowa proroctwa. Była zadowolona z życia, była jak wspaniały kwiat wydzielający aromatyczną woń.

- Dlaczego tak się we mnie wpatrujesz? - zapytała.

- Pławię się w twojej miłości.

- Tak, miłość. - Uśmiechnęła się. - Myślę, że skoro nie możemy dzielić cielesnej miłości, musimy dzielić się miłością duchową. Podzielisz się ze mną, Leto?

Ujęło go to.

- Pytasz o moją duszę?

- Pytały o nią z pewnością i inne.

- Wszystkie doznania są uporządkowane - odparł zwięźle.

- Czy prosiłam cię o zbyt wiele? - zapytała.

- Myślę, że nie możesz prosić mnie o zbyt wiele.

- Zatem pozwalam sobie w imię naszej miłości nie zgodzić się z tobą. Mój wuj, Malky, mówił mi o twojej duszy.

Zorientował się, że nie jest w stanie odpowiedzieć. Przyjęła jego milczenie za zaproszenie do dalszego mówienia.

- Powiedział, że jesteś skończonym artystą w badaniu duszy, przede wszystkim swojej własnej.

- Ale twój Malky zaprzeczył, że sam ma duszę!

Dosłyszała szorstki ton w jego głosie, ale nie zbiło jej to z tropu.

- Mimo to myślę, że miał rację. Jesteś geniuszem duszy, l to błyskotliwym.

- Potrzeba tylko upartego trwania - powiedział. - Żadnej błyskotliwości.

Przebyli już spory odcinek po pochyłym grzbiecie muru otaczającego Serir. Wysunął koła Wozu i zdezaktywował dryfy.

Hwi przemówiła cicho, głosem ledwo dosłyszalnym w zgrzytliwym dźwięku kół Wozu i hałasie maszerujących stóp:

- Mogę mimo wszystko mówić do ciebie: kochany?

Głos z trudem przedarł się przez niezupełnie już ludzką krtań Leto:

- Tak.

- Urodziłam się Ixianką, kochany - powiedziała. - Dlaczego nie podzielam ich mechanistycznej wizji wszechświata? Czy wiesz, jak ja go widzę, Leto, mój kochany?

Mógł tylko wpatrywać się w nią.

- Odczuwam metafizykę każdej chwili - rzekła Hwi.

- Każda osoba stwarza sobie własną metafizykę. - Głos Leto był chrapliwy, brzmiał gniewnie nawet dla niego.

- Nie bądź na mnie zły, kochany.

Znów ta nieznośna chrypka.

- Nie potrafię gniewać się na ciebie.

- Ale kiedyś coś zaszło między tobą a Malkym - powiedziała. - Nigdy mi nie powiedział, co to było, lecz często mówił, że czasami nie wie, z jakiego powodu darowałeś mu życie.

- Z powodu tego, czego mnie nauczył.

- Co zaszło między wami, kochany?

- Wolałbym nie mówić o Malkym.

- Proszę, kochany. Czuję, że to dla mnie ważne.

- Zasugerowałem Malky'emu, że istnieją wynalazki, które nie powinny powstać.

- I to wszystko?

- Nie - odparł niechętnie. - Moje słowa rozgniewały go. Powiedział: "Myślisz, że w świecie bez ptaków ludzie nie wymyśliliby latających maszyn! Jesteś głupcem! Ludzie potrafią wynaleźć wszystko!"

- Nazwał cię głupcem? - zapytała wstrząśnięta Hwi.

- Miał rację. I chociaż wyparł się tego, powiedział prawdę. Od niego nauczyłem się nieufności do wynalazków.

- Więc obawiasz się Ixian?

- Oczywiście, że tak! Ich wynalazki mogą mieć katastrofalne następstwa!

- Więc co możesz zrobić?

- Prześcignąć ich. Historia jest ciągłą ucieczką przed wynalazkami i ich konsekwencjami. Wykształcenie pomaga w tym biegu, ale nie gwarantuje zwycięstwa. Ty też musisz biec.

- Dzielisz się ze mną tajnikami swej duszy, kochany. Wiesz o tym?

Leto odwrócił się od niej i wpatrzył w plecy majordoma. Z nerwowych ruchów Monea wyczytał, że starzec coś ukrywa.

Kolumna doszła do pierwszego łagodnego wzniesienia. Skręciła teraz, by rozpocząć wchodzenie na Wieńcomur Zachodni. Moneo poruszał się tak jak zawsze, noga za nogą, uważnie, ale w jego zachowaniu było coś niepokojącego. Leto czuł, jak ten człowiek się oddala, nie chce już maszerować obok Boga Imperatora, nie obchodzi go przeznaczenie jego Pana. Na wschodzie oczekiwał Serir. Na zachodzie zostawili rzekę, uprawy. Moneo nie spoglądał ani na prawo, ani w lewo. Podążał inną, nową drogą.

- Nie odpowiedziałeś mi - powiedziała Hwi.

- Znasz już odpowiedź.

- Tak. Zaczynam cię rozumieć - powiedziała. - Podzielam niektóre z twoich obaw. I myślę, że już wiem, gdzie żyjesz.

Zwrócił ku niej przestraszone spojrzenie i stwierdził, że nie może oderwać od niej oczu. To było zdumiewające. Nie potrafił przestać patrzeć na Hwi. Poczuł przejmujący lęk, jego dłonie zaczęły drżeć.

- Żyjesz tam, gdzie łączą się lęk przed istnieniem i miłość istnienia, wszystko w jednej postaci - powiedziała. Zdołała jedynie zamrugać oczyma. - Jesteś mistykiem - dodała. - Łagodnym wobec siebie tylko dlatego, że znajdujesz się w centrum wszechświata i patrzysz na zewnątrz, patrzysz tak, jak nie potrafi nikt inny. Obawiasz się dzielić się tym, mimo że pragniesz tego bardziej niż czegokolwiek innego.

- Co widziałaś? - wyszeptał.

- Nie mam wewnętrznych oczu, nie słyszę wewnętrznych głosów - powiedziała - ale widziałam swojego Pana Leto, kocham jego duszę

1 znam jedyną rzecz, którą naprawdę rozumie.

Wyrwał się spod jej magnetycznego spojrzenia, nie chciał usłyszeć tego, co Hwi ma do powiedzenia. Czuł, jak drżą mu dłonie.

- Miłość, to właśnie rozumiesz - powiedziała. - Miłość, i to wszystko.

Drżenie rąk ustało. Po policzkach Leto popłynęły łzy. Gdy dotknęły kaptura, uniosły się kłęby błękitnego dymu. Poczuł piekący ból i był za ten ból wdzięczny.

- Wierzysz w życie - mówiła Hwi. - Wiem, że odwagę, by kochać, można mieć tylko dzięki tej wierze.

Hwi otarła łzy z jego policzków. Leto zaskoczył fakt, że kaptur nie uchronił go w zwykły sposób przed tym dotknięciem.

- Czy wiesz - zapytał - że odkąd stałem się tym, kim jestem, jesteś pierwszą osobą, która dotknęła mojego policzka?

- Bo wiem, kim jesteś i kim byłeś - odparła.

- Kim byłem... Aaach, Hwi, o tym, kim byłem, przypomina tylko moja twarz, cała reszta zagubiła się w mrokach pamięci... ukryta... odeszła.

- Nie dla mnie, kochany.

Spojrzał na nią śmiało, nie bojąc się już jej wzroku.

- Czy to możliwe, żeby Ixianie wiedzieli, kogo stwarzają, stwarzając ciebie?

- Zapewniam cię, Leto, kochanku duszy mojej, że nie wiedzieli. Jesteś pierwszą, jedyną osobą, wobec której odkryłam swoje tajemnice.

- Więc nie będę żałować tego, co może się stać - powiedział. - Tak, kochana. Będę z tobą dzielił moją duszę.

Pomyślcie o niej jako o plastycznej pamięci, tej sile wewnętrznej, która kieruje was i wam podobnych ku plemiennej organizacji. Ta plastyczna pamięć szuka drogi powrotu do starożytnego kształtu plemiennego społeczeństwa. Znajdziecie ją wszędzie dookoła - w systemie feudalnym, diecezji, korporacji, plutonie, klubie sportowym, trupie tanecznej, radzie planowania, grupie modlitewnej... w każdej z tych instytucji będą panowie i słudzy, żywiciele i pasożyty. Całe mnóstwo dowodów (włącznie z tymi właśnie słowami!) prosi się o wciągnięcie na listę argumentów za powrotem do "dawnych lepszych czasów". Rozpaczliwie staram się wskazać wam inne drogi. Wasz skostniały sposób myślenia opiera się jednak jakiejkolwiek obróbce.

"Wykradzione dzienniki"

Idaho stwierdził, że radzi sobie ze wspinaczką, nie poświęcając jej uwagi. Ciało wyhodowane przez Tleilaxan pamiętało rzeczy, których oni nawet nie podejrzewali. Prawdziwa młodość mogła być zagubiona wśród eonów, ale mięśnie były dzięki Tleilaxanom młode. Wspinając się, próbował wydobyć z niepamięci mgliste wspomnienia z dzieciństwa. W dzieciństwie nauczył się, że tylko ucieczka w wysokie góry zapewnia przetrwanie na jego rodzinnej planecie. Nie miało znaczenia, że spiętrzone przed nim skały były efektem ludzkiej działalności - przez wieki były wystawione na działanie atmosfery.

Promienie wschodzącego słońca ogrzewały plecy Idaho. Słyszał jak na wąskiej półce poniżej Siona próbuje osiągnąć względnie prostą pozycję asekuracyjną. Ta asekuracja nie miała dla Duncana praktycznego znaczenia, ale była argumentem, który ostatecznie przekonał Sionę, że razem powinni podjąć się wspinaczki.

Oni.

Protestowała, twierdząc, że sam mógłby tego dokonać. Nayla, trzy Mówiące-do-Ryb, Garun oraz trzech Muzealnych Fremenów oczekiwali na piasku u stóp muru odgradzającego ich od Seriru.

Idaho nie myślał o wysokości muru. Myślał tylko o tym, gdzie ma następnie umieścić rękę lub nogę. Myślał o zwoju lekkiej liny na barkach. Długość liny równała się wysokości muru. Wymierzył to na ziemi metodą triangulacji, a nie odliczania kroków. Lina z pewnością była odpowiedniej długości. Mur był tak wysoki, jak ona długa. Każde inne myśli mogły tylko przytępić umysł Idaho.

Poszukując po omacku uchwytów dla dłoni, Idaho wciąż wspinał się po gładkiej powierzchni... no, może niezupełnie gładkiej. Wiatr, piach, nawet skąpe opady, zimno i gorąco dokonywały przez ponad trzy tysiące lat swojego erozyjnego dzieła. Przez cały dzień Idaho siedział na piasku pod murem i studiował działanie czasu. W swym umyśle utrwalił pewne schematy - skośnie padający cień, cienką linię, osypujące się wzniesienie, wąskie skalne półki tu i tam, powyżej.

Wczepił się palcami w wąską szczelinę. Ostrożnie sprawdził, czy może się utrzymać. Tak. Chwilę odpoczywał, przyciskając twarz do ciepłej skały, nie spoglądając ni w górę, ni w dół. Był po prostu tutaj. Wszystko zależało od precyzji ruchów. Jego ręce nie miały prawa się zmęczyć. Waga musiała być równomiernie rozłożona. Kaleczył palce, ale dopóki trzymały się kości i ścięgna, powierzchowne rany nie miały znaczenia.

Znów podpełzł w górę. Kawałek skały wykruszył się pod jego palcami; proch i odłamki posypały się na policzek Idaho, lecz nawet tego nie poczuł. Każdy zakątek jego świadomości skupiał się na wyciągniętej ręce, równowadze stopy na najdrobniejszym z występów. Był pyłkiem, cząsteczką, która przeczyła prawom grawitacji... tu czepiając się palcami rąk, tam nóg, czasem przylegając do skały za pomocą czystej siły woli.

Dziewięć naprędce wykonanych haków wystawało z jego kieszeni, ale opierał się chęci użycia ich. Równie prowizoryczny młotek zwieszał się na rzemieniu przytwierdzonym do pasa.

Nayla sprawiała mu trudności. Nie chciała oddać rusznicy laserowej. Usłuchała jednak bezpośredniego rozkazu Siony, by im towarzyszyć. Dziwna kobieta... Dziwnie posłuszna.

"Nie przysięgałaś mi posłuszeństwa?" - zapytała z naciskiem Siona.

Rezerwa Nayli zniknęła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Następnie Siona dodała: "Zawsze słucha moich bezpośrednich rozkazów."

"Więc może nie będziemy musieli jej zabić" - odparł Idaho.

"Tego bym się raczej nie podejmowała. Myślę, że nie masz najmniejszego pojęcia ojej sile i szybkości."

Garun, Muzealny Fremen marzący o tym, by stać się "prawdziwym naibem na pradawny sposób". Garun zadecydował o wspinaczce, odpowiadając na pytanie Idaho: "W jaki sposób Bóg Imperator przybędzie do Tuono?"

"Tak samo, jak w czasach mojego prapradziadka."

"To znaczy?" - ponagliła Siona.

Siedzieli po południu w cieniu przed domem gościnnym, kryjąc się przed słońcem. Był to dzień, w którym oznajmiono, że ślub Pana Leto odbędzie się w Tuono. Pomocnicy Garuna przykucnęli dookoła schodków, na których Siona i Idaho przysiedli z naibem. Dwie Mówiące-do-Ryb opierały się o ścianę w pobliżu, nasłuchując. Za chwilę miała pojawić się Nayla.

Garun wskazał na wysoki mur za wioską. Jego krawędź lśniła w słonecznym świetle spłowiałym złotem:

"Dochodzi tu Królewski Trakt, a Bóg Imperator posiada urządzenia, które pozwalają mu opuścić się łagodnie z tej wysokości."

"Są wbudowane w jego Wóz" - rzekł Idaho.

"Dryfy - zgodziła się Siona - Widziałam je."

"Mój prapradziadek mówił, że dotarli tu Królewskim Traktem. Było ich bardzo wielu. Bóg Imperator poszybował w dół do naszej wioski na swoim pojeździe. Pozostali zeszli po linach."

Idaho powtórzył w zamyśleniu:

"Po linach?"

"Czemu tu przybyli?" - zapytała Siona.

"By potwierdzić, że Bóg Imperator nie zapomniał o swoich Fremenach - tak mówił mój prapradziadek. To był wielki zaszczyt, ale nie tak wielki, jak ten ślub."

Idaho wstał, gdy Garun jeszcze mówił. Z bliska wyraźnie było widać mur - na wprost, przy końcu głównej uliczki, od podstawy w piasku aż po szczyt niknący w świetle słońca. Już pierwszy rzut oka wyjaśniał, dlaczego wszyscy twierdzili, że niemożliwe jest wspiąć się po nim. Nawet wtedy Idaho oparł się myśli o zmierzeniu wysokości muru. Mógł mieć równie dobrze pięćset jak i pięć tysięcy metrów. To, co ważne, ujawniało się po dokładniejszym przyjrzeniu - drobne poziome szczeliny, wykruszone miejsca, nawet wąska półka nad nawianym u podnóża piaskiem... i druga, w mniej więcej dwóch trzecich wysokości płaszczyzny.

Wiedział, że nieświadoma część jego ja, pradawna i uwarunkowana, dokonuje niezbędnych pomiarów, przeliczając je dla potrzeb jego ciała - tyle a tyle długości Duncana do tamtego miejsca, tu jedno zaczepienie ręki, tam drugie. Jego własnej ręki. Czuł się tak, jakby już się wspinał.

Po jego prawej stronie, gdy tak stał pierwszy raz badając skalną ścianę, zabrzmiał głos Siony:

"Co robisz?" - Podeszła do niego po cichu i razem z nim przyglądała się murowi.

"Mogę wejść po tej ścianie - powiedział Idaho. - Jeżeli miałbym cienką linkę, mógłbym potem wciągnąć grubszą. Reszta mogłaby się wtedy łatwo po niej wspiąć."

Garun dołączył do nich i zapytał:

"Dlaczego miałbyś się wspinać na mur, Duncanie Idaho?"

Siona odpowiedziała za niego, uśmiechając się do Garuna:

"Żeby odpowiednio powitać Boga Imperatora."

To było wtedy, zanim opadły ją wątpliwości, zanim trudy wspinaczki zaczęły nadwątlać wiarę we własne siły.

W pierwszym uniesieniu Idaho zapytał:

"Jak szeroki jest tutaj Królewski Trakt?"

"Nigdy go nie widziałem - odpowiedział Garun - ale mówiono mi, że jest bardzo szeroki. Może nim maszerować ramię w ramię duży oddział, tak mówią. No i są mosty, miejsca, w których widać rzekę i... i... och, to jest cudowne."

"Dlaczego nigdy tam nie wszedłeś, żeby samemu zobaczyć?" - zapytał Idaho.

Garun wzruszył jedynie ramionami i wskazał na ścianę.

Wtedy zjawiła się Nayla i rozpoczęła się dyskusja o wspinaczce. Idaho cały czas rozmyślał o dziewczynie. Jaki dziwny był związek miedzy Naylą i Sioną! Były jak para spiskowców... nie, nie spiskowców. Siona rozkazywała, a Nayla słuchała. Nayla była jednak Mówiącą-do-Ryb, Przyjaciółką, której Leto powierzył pierwszą ocenę gholi. Przyznała się, że była w Policji Królewskiej od dzieciństwa. Była w niej taka siła! Było w niej coś napawającego podziwem, to, że mając tak silną wolę, podporządkowuje się woli Siony. To tak, jakby Nayla słuchała tajnych głosów mówiących jej, co powinna robić. Wtedy była posłuszna.

Idaho wyciągnął rękę, szukając nowego punktu zaczepienia. Palce jego dłoni badały skałę w górze i po prawej, znajdując na końcu niewidoczną szczelinę, w którą mogły się wśliznąć. Pamięć podsuwała trasę wspinaczki, ciało jednak mogło się jej nauczyć tylko pokonując ją. Lewa stopa znalazła podpórkę... w górę... powoli, ostrożnie. Teraz lewa dłoń w górę... nie ma szczeliny, lecz jest półka. Uniósł głowę ponad wysoką półkę, którą widział z dołu. Wsparł się o nią łokciami, podciągnął, przetoczył i spoczął na niej, spoglądając tylko przed siebie, unikając patrzenia się w górę czy w dół. Widział tylko piasek - wiatr unoszący pył ograniczał widoczność. Za czasów Diuny widział wiele takich pejzaży.

Po paru chwilach obrócił się twarzą do ściany, podniósł na kolana, wyciągnął ręce w górę i podjął od nowa wspinaczkę. Obraz muru pozostał w jego umyśle takim, jakim go widział z dołu. Wystarczyło, że Idaho zamknął oczy, a już przypominał sobie układ muru, zapamiętany z czasów, gdy będąc dzieckiem ukrywał się przed harkonneńskimi oddziałami łowców niewolników. Palce znalazły szczelinę, w którą mogły się wcisnąć, i po chwili Duncan znów podciągnął się w górę.

Obserwując z dołu, Nayla odczuwała narastającą fascynację wspinaczką. Idaho z tej odległości wyglądał jak maleńka samotna figurka na skalnej ścianie. Musiał wiedzieć, jak należy podejmować rozstrzygające decyzje.

"Chciałabym mieć z nim dziecko - pomyślała. - Byłoby silne i zaradne. Dlaczego Bóg pragnie dziecka Siony i tego mężczyzny?"

Nayla wstała przed świtem i weszła na grzbiet niskiej wydmy na skraju wsi, by zastanowić się nad propozycją Idaho. Świt zaczynał barwić tumany kurzu unoszące się na wschodzie, potem jasny dzień ukazał ponury ogrom Seriru. Wiedziała, że ich działanie z pewnością zostało przewidziane przez Boga. Cóż mogło ukryć się przed Bogiem? Nic, nawet daleka figurka Duncana Idaho, wdrapująca się po ścianie do skraju nieba.

Podczas gdy Nayla obserwowała wspinaczkę Idaho, jej umysł igrał z rzeczywistością, obracając mur do poziomego położenia. Idaho stał się dzieckiem pełznącym po nierównej powierzchni. Wydawał się taki mały... wciąż coraz mniejszy.

Adiutantka poczęstowała Naylę wodą. Dziewczyna napiła się i ten orzeźwiający łyk sprawił, że znów wróciła do rzeczywistości.

Siona przykucnęła na pierwszej półce, wychylając się, aby spojrzeć w górę.

"Jeżeli spadniesz, ja pójdę dalej" - obiecała Idaho.

Nayla myślała, że to dziwna obietnica. Dlaczego mieliby próbować niemożliwego?

Idaho jednak nie zniechęcił Siony do spełnienia tej nieprawdopodobnej obietnicy.

"To przeznaczenie - pomyślała Nayla. - To wola Boga."

Zawsze tak samo.

Z miejsca, w którym zawisł Idaho, osypały się okruchy skalne. Stało się tak już nie pierwszy raz. Nayla obserwowała spadający kamień. Długo trwało, zanim doleciał do ziemi, obijając się i odskakując od powierzchni muru, udowadniając, że ten, kto twierdził, że ściana jest gładka, był w błędzie.

"Uda mu się albo nie - zawyrokowała Nayla. - Cokolwiek się stanie, będzie zgodne z wolą Boga."

Czuła, że jej serce bije przyspieszonym rytmem. Pomyślała, że w zmaganiu Idaho z murem jest coś z aktu płciowego. Ten widok fascynował ją i pociągał erotycznie. Musiała sobie wciąż przypominać, że Idaho nie jest dla niej przeznaczony.

Jest dla Siony... Jeżeli przeżyje.

A jeżeli mu się nie uda, wtedy spróbuje Siona. Nayla zastanawiała się jednak, czy dozna orgazmu, jeśli Idaho dostanie się na szczyt. Był tego teraz tak bliski.

Po tym gdy osypały się kamienie, Duncan zaczerpnął kilka głębokich wdechów. To była ciężka chwila i dał sobie czas na odzyskanie spokoju ducha. Przytulił się do ściany, wsparty w trzech miejscach. Prawie z własnej inicjatywy jego wolna ręka popełzła w górę raz jeszcze, omijając kruchą skałę i wciskając się w jeszcze jedną wąską szczelinę. Powoli przeniósł ciężar na tę rękę. Powoli... powoli. Lewym kolanem wymacał miejsce, w którym mógł postawić stopę. Przeniósł ją tam, spróbował. Pamięć podpowiadała mu, że szczyt już blisko, ale zagłuszył jej podszepty. Teraz istniała tylko wspinaczka i wiedza o tym, że Leto zjawi się jutro.

Leto i Hwi.

O tym również nie mógł myśleć, ale myśl nie chciała odejść. Szczyt... Leto... Hwi... jutro.

Każda myśl wzmagała jego desperację, zmuszała do natychmiastowego przypomnienia sobie wspinaczek z czasów dzieciństwa. Im więcej sobie uświadamiał, tym mniej zręczny się stawał. Był zmuszony zrobić przerwę, oddychając głęboko, usiłując skupić się, powrócić do n a t u r a l n y c h umiejętności z przeszłości.

Ale czy tamte umiejętności były naturalne?

W jego umyśle istniała jakaś blokada. Odczuwał nagłość, ostateczność... f a t a l n o ś ć tego, co być mogło, lecz nigdy nie będzie.

Leto zjawi się tutaj jutro.

Idaho czuł pot spływający po jego przyciśniętym do skały policzku.

Leto.

"Pokonam cię, Leto. Pokonam cię we własnym interesie, nie z powodu Hwi, ale wyłącznie dla siebie."

Ogarnęło go poczucie oczyszczenia. Przypominało to, którego doświadczył w nocy, gdy przygotowywał się w myślach do tej wspinaczki. Siona wyczuła jego bezsenność. Zaczęła mówić do niego, opowiadać mu z najdrobniejszymi szczegółami o swoim desperackim biegu przez Zakazany Las i przysiędze złożonej na brzegu rzeki.

"Teraz przysięgłam dowodzić jego Mówiącymi-do-Ryb - rzekła. - Dotrzymam tej przysięgi, choć mam nadzieję, że nie w sposób, jaki on sobie wyobraża."

"A czego on chce?" - zapytał Idaho.

"Motywy jego postępowania są złożone i nie potrafię zrozumieć wszystkich! Zresztą, kto go rozumie? Wiem tylko, że nigdy mu nie przebaczę."

To wspomnienie przywróciło Duncanowi świadomość tego, że wisi, przytulony policzkiem do skalnej ściany. Pot wysechł na wietrze i Idaho poczuł dojmujący chłód. Znalazł jednak nowy sposób postępowania.

N i g d y n i e w y b a c z y ć .

Idaho czuł obecność duchów wszystkich innych jego wcieleń, gholi, którzy umarli w służbie Leto. Czy mógł polegać na podejrzeniach Siony? Tak. Leto był zdolny do morderstwa popełnionego osobiście własnymi rękoma. Plotka, powtórzona przez Sionę, miała wszelkie znamiona prawdy. Przecież Siona również była Atrydką. Leto stał się czymś innym... nie był już Atrydą, nawet nie człowiekiem. Stał się nie tyle wcieloną bestią, co wybrykiem natury, nieprzejrzystym i nieprzeniknionym; wszystkie jego doświadczenia zamykały się w nim tylko. Prawdziwa Atrydką odwróciła się od niego.

"Tak jak ja."

Wybryk natury, nic więcej. Tak jak ta ściana.

Idaho sięgnął w górę prawe ręką i natrafił na półkę o ostrej krawędzi. Nad półką nie było nic i Duncan próbował przypomnieć sobie zapamiętane szerokie pęknięcie znajdujące się w tym miejscu. Nie ważył się pozwalać sobie na wiarę w to, że dotarł do szczytu... jeszcze nie teraz. Gdy zawisł całym ciężarem ciała, krawędź boleśnie skaleczyła mu palce. Podniósł do góry lewą rękę, znalazł występ i podciągnął się w górę. Jego oczy znalazły się na tym samym poziomie co dłonie. Wpatrzył się w rozpościerający się przed nim widok... bezkresny błękit nieba. Przesunął palcami po zerodowanej powierzchni skały, wyszukał szczelinę, potem podciągnął się na wysokość piersi... pasa... bioder. Przetoczył się wtedy, zwijając się i podpełzając, dopóki ściana nie znalazła się zupełnie za nim. Dopiero wtedy wstał i powtórzył sobie to, o czym komunikowały mu jego zmysły.

S z c z y t . I nie potrzebował haków ani młotka.

Usłyszał słabe echa głosów. Wiwaty?

Podszedł z powrotem do krawędzi i pomachał tym na dole ręką. Tak, wiwatowali na jego cześć. Odwrócił się, przeszedł przez środek drogi. Uniesienie uspokajało drżące mięśnie, łagodziło ból barków. Powoli obrócił się dookoła, rozglądając się badawczo, podczas gdy pamięć w końcu oszacowała wysokość wspinaczki.

Dziewięćset metrów... co najmniej tyle.

Teraz skupił uwagę na Królewskim Trakcie. Nie był podobny do tego, który widział po drodze do Onn. Był szeroki, bardzo szeroki... co najmniej pięćset metrów. Podłoże drogi było równe, zupełnie szare i zaczynało się mniej więcej sto metrów od brzegów muru. Kamienne słupy wysokości człowieka znaczyły granice drogi, rozstawione jak wartownicy wzdłuż szlaku, z którego miał korzystać Leto.

Idaho przeszedł na drugą stronę muru, przeciwną Serirowi, i spojrzał w dół. Daleko na dole rozpędzone zielone wody rzeki pieniły się, rozbijając o wystające skały. Popatrzył w prawo. Stamtąd miał nadjechać Leto. Droga i mur zakręcały łagodnie w prawo, zakręt znajdował się trzysta metrów od miejsca, w którym stał Idaho. Powrócił na drogę i ruszył jej skrajem, idąc wzdłuż zakrętu, dopóki droga nie powróciła szerokim "S" i zwęziła się, opadając łagodnie w dół. Zatrzymał się i wpatrzył w to, co ukazało się jego oczom.

Duncan czuł, że w jego umyśle rodzi się nowy plan.

Mniej więcej trzy kilometry niżej droga zwężała się i prowadziła po moście przez rzekę. Strzeliste kratownice mostu wydawały się nierealne, z tej odległości przypominające zabawkę. Idaho przypomniał sobie podobny most na drodze do Onn, jego nawierzchnię pod swoimi stopami. Zaufał pamięci. Myślał o tym moście w sposób, w jaki myślałby o nim dowódca wojskowy - jako o przejściu bądź pułapce.

Schodząc na lewo, spojrzał w dół na dalszą część wysokiego muru tuż przy łuku strzelistego mostu. Droga podejmowała tam swój bieg, skręcając lekko, dopóki nie zmieniła się w linię biegnącą prosto na północ. Stały tam murowane ściany, miedzy którymi płynęła rzeka, ślizgająca się w wykonanej ludzką ręką otchłani. Mury ograniczały cyrkulację wilgotnego powietrza unoszącego się znad wody. Rzeka płynęła na południe, natomiast wiatr popychał masy powietrza w kierunku północnym.

Idaho nie interesował się rzeką. Była tam i będzie nazajutrz. Duncan obserwował most okiem doświadczonego żołnierza. Zanim wrócił drogą, którą przyszedł, jednym szybkim ruchem zrzucił z ramion linę zabezpieczającą.

Gdy lina jak cienki długi wąż ześliznęła się po kamiennej ścianie, ciałem Nayli targnął potężny wstrząs orgazmu.

Co eliminuję? Mieszczańskie zauroczenie pokojowym konserwatyzmem przeszłości. To krępująca siła, która utrzymuje ludzkość we wrażliwej na ciosy jedności mimo odseparowania przez parseki przestrzeni. Jeżeli ja mogę odnaleźć te rozproszone okruchy, mogą i inni. Jeżeli jesteście razem, możecie dzielić" wspólną katastrofę. Wspólnie można was eksterminować. Przeto ukazuję potworne niebezpieczeństwo, jakim jest pełzająca, beznamiętna mierność, bezcelowy ruch, brak ambicji. Ukazuję wam, że mogą się temu poddawać całe cywilizacje. Daję wam eony życia, staczające się powoli ku śmierci bez hałasu i zamieszania, nawet bez zapytania, dlaczego. Ukazuję wam fałszywe szczęście i cień katastrofy, której imię brzmi Leto, Bóg Imperator. Czy zaznacie teraz prawdziwego szczęścia?

"Wykradzione dzienniki"

Leto czuwał przez całą noc. Tylko raz zdrzemnął się na chwilę. Nie spał, gdy o świcie Moneo wychodził z domu gościnnego. Wóz Królewski stał niemal dokładnie pośrodku dziedzińca otoczonego z trzech stron budynkami. Pokrywa Wozu była nieprzezroczysta od zewnątrz, skrywając wnętrze pojazdu przed niepowołanym dniem. Była również całkowicie odporna na działanie wilgoci. Leto słyszał cichy szmer dmuchawy tłoczącej powietrze przez układ odwilżający.

Moneo szurał stopami po bruku dziedzińca, zbliżając się do Wozu. Nad głową majordoma promienie wschodzącego słońca barwiły na pomarańczowo dach domu gościnnego.

Leto otworzył kopułę Wozu w chwili, gdy Moneo zatrzymał się przed nim. Zapach ziemi, przypominający przykrą woń drożdży, i wysoka wilgotność powietrza sprawiały Imperatorowi prawdziwy ból.

- Dotrzemy do Tuono około południa - powiedział Moneo. - Pragnąłbym, abyś pozwolił mi wziąć ornitoptery do ochrony z powietrza, Panie.

- Nie chcę ornitopterów - powiedział Leto. - Możemy zejść do Tuono na dryfach i linach.

Leto rozważał znaczenie tej krótkiej wymiany zdań. Moneo nigdy nie lubił wędrówek. Z czasów młodzieńczego buntu pozostała mu podejrzliwość wobec wszystkiego, czego nie mógł zobaczyć lub zdefiniować. Jego osobowość była magazynem martwych przekonań.

- Wiesz, że nie chcę używać ornitopterów do transportu - powiedział Moneo. - Chcę, żeby strzegły...

- Tak, Moneo.

Moneo patrzył na otwarty bok dziedzińca, przypominający rzeczny wąwóz. Światło świtu srebrzyło mgłę, unoszącą się z głębi. Pomyślał o głębokości wąwozu... o spadającym w otchłań, koziołkującym w powietrzu ciele. Poprzedniego wieczora przekonał się, że nie jest zdolny podejść do brzegu rozpadliny i zajrzeć w głąb. Skok był taką... taką pokusą.

Popisując się intuicją, która napełniała Monea ogromnym lękiem, Leto powiedział:

- W każdej pokusie tkwi nauka, Moneo.

Niezdolny do wydania z siebie dźwięku, Moneo odwrócił się i wpatrzył prosto w oczy Leto.

- Szukaj nauki w moim życiu, Moneo.

- Panie? - był to ledwo słyszalny szept.

- Najpierw kuszono mnie złem, później dobrem. Każda z tych pokus była wyjątkowo trafnie wybrana Powiedz, Moneo, czy jeżeli wybieram dobro, czyni mnie to dobrym?

- Oczywiście, że tak, Panie.

- Być może nigdy nie pozbędziesz się nawyku osądzania - odrzekł Leto.

Moneo powtórnie odwrócił od niego wzrok i wpatrzył się w skraj przepaści. Leto obrócił ciało, by spojrzeć w tym samym kierunku. Wzdłuż brzegu wąwozu były posadzone karłowate sosny. Na szpilkach wisiały krople rosy, każda z nich posyłała Leto obietnicę bólu. Pragnął zamknąć kopułę Wozu, ale te klejnoty pociągały go, odświeżały wspomnienia, mimo że odpychały jego ciało. Nie mógł pozbyć się wspomnieli, w innym razie jego umysł pogrążyłby się w zamęcie.

- Po prostu nie lubię pieszych wycieczek - powiedział Moneo.

- Przecież tak podróżowali Fremeni.

Moneo westchnął:

- Pozostali będą gotowi za kilka minut. Hwi jadła śniadanie, kiedy wychodziłem.

Leto nie odpowiedział. Jego myśli zagubiły się we wspomnieniach nocy - tej właśnie minionej i tysięcy innych składających się na jego przeszłość - chmury i gwiazdy, deszcze i bezkresna czerń upstrzona migocącymi płatkami podzielonego na drobiny kosmosu, cały wszechświat nocy.

Nagle Moneo spytał niecierpliwie:

- Gdzie są twoje strażniczki?

- Wysłałem je, żeby coś zjadły.

- Nie podoba mi się to, że zostawiły cię nie strzeżonego.

We wspomnieniach Leto zadźwięczał jak kryształ głos Moneao, mówiącego rzeczy niewyrażalne za pomocą słów. Moneo lękał się świata, w którym zabrakłoby Boga Imperatora. Wolałby umrzeć niż oglądać taki wszechświat.

- Co się dziś stanie? - zapytał Moneo.

Było to pytanie skierowane nie do Boga Imperatora, lecz do proroka.

- Nasienie niesione wiatrem jutro może stać się wierzbą - odparł Leto.

- Znasz naszą przyszłość! Dlaczego nie chcesz podzielić się tą wiedzą? - Moneo był bliski histerii, głuchy na rozumowe argumenty.

Leto odwrócił się i wpatrzył w majordoma spojrzeniem tak kipiącym od powstrzymywanych emocji, że Moneo aż podskoczył przestraszony.

- Odpowiadaj sam za własne istnienie, Moneo!

Starzec głęboko wciągnął powietrze.

- Panie, nie chciałem cię obrazić. Szukałem jedynie...

- Spójrz w górę, Moneo!

Mimowolnie Moneo usłuchał, spojrzał w bezchmurne niebo rozświetlone promieniami wschodzącego słońca.

- O co chodzi, Panie?

- To, co widzisz nad sobą, nie jest bezpiecznym sklepieniem, tylko bezkresnym, zmiennym niebem. Powitaj je. Każdy zmysł, jaki posiadasz, jest instrumentem wychwytującym zmiany. Czy to ci nic nie mówi?

- Panie, przyszedłem tylko zapytać, kiedy będziesz gotowy do drogi.

- Moneo, błagam cię, bądź ze mną szczery.

- Jestem szczery, Panie.

- Ale jeżeli żyjesz w złej wierze, kłamstwa wydają ci się prawdą.

- Panie, jeżeli kłamię... czynię to nieświadomie.

- Brzmi to prawdziwie, ale nie wiem, czego się lękasz i co ukrywasz.

Moneo zadrżał. Bóg Imperator był zagniewany, każde jego słowo wydawało się brzmieć jak groźba.

- Lękasz się zaborczej świadomości - powiedział Leto - i masz rację, że się jej boisz. Natychmiast przyślij Hwi.

Moneo odwrócił się i z powrotem wbiegł do wielkiego domu. Jego wejście jak gdyby obudziło kolonię owadów. W ciągu kilku sekund pojawiły się Mówiące-do-Ryb i otoczyły Wóz Królewski. Dworzanie wyglądali przez okna bądź wychodzili na zewnątrz i ustawiali się pod szerokimi okapami, bojąc się podejść do Leto. Hwi nie poddawała się ogólnemu podnieceniu. Wynurzyła się z szerokiego środkowego wejścia i wyszła z cienia. Szła w stronę Leto powoli, z podniesioną głową, spojrzeniem szukając jego twarzy.

Leto czuł, że jej widok go uspokaja. Miała na sobie złotą szatę, którą widział po raz pierwszy. Kołnierz na szyi i mankiety długich rękawów wyszywane były srebrem i nefrytem. Skraj szaty, sięgający niemal do samej ziemi, obramowany był szerokim zielonym pasem.

Hwi uśmiechnęła się, zatrzymując się przed nim.

- Dzień dobry, kochany - powiedziała łagodnie. - Co zrobiłeś... dlaczego Moneo jest taki zdenerwowany?

Leto uśmiechnął się, ukojony jej obecnością i słowami.

- To, co, mam nadzieję, zawsze mi się udaje; wywołałem skutek.

- Z pewnością. Moneo powiedział Mówiącym-do-Ryb, że jesteś w strasznym humorze, bardzo rozgniewany. Jesteś zły, kochany?

- Tylko na tych, którzy nie chcą żyć o własnych siłach.

- Aach, tak. - Odwróciła się od niego i wykonując piruet, zaprezentowała nową szatę. - Podoba ci się? Dały mi ją Mówiące-do-Ryb. Same ją ozdobiły.

- Kochana - rzekł z nutą ostrzeżenia w głosie. - Ozdoby! Tak przygotowują cię na ofiarę.

Z żartobliwie poważnym wyrazem twarzy podeszła ku niemu i oparła się o Wóz. Twarz Leto znajdowała się nad głową Hwi.

- Zatem złożą ci mnie w ofierze?

- Niektórym by się to podobało.

- Ale na to nie pozwolisz.

- Nasze losy są splecione - powiedział.

- Więc nie będę się bała. - Sięgnęła w górę i dotknęła jednej z jego srebrnoskórych dłoni, ale cofnęła rękę, gdy wyczuła drżenie palców Leto.

- Wybacz mi, kochany, zapomniałam, że jesteśmy połączeni duszą, nie ciałem - powiedziała.

Skóra z piaskopływaków wciąż drżała od dotknięcia Hwi.

- Wilgoć w powietrzu sprawia, że jestem nadwrażliwy. - Dreszcze ustępowały powoli.

- Nie chcę żałować tego, co niemożliwe - szepnęła.

- Bądź silna, Hwi, twoja dusza jest moją duszą. Odwróciła się na hałas dochodzący z domu gościnnego.

- Moneo wraca - rzekła. - Proszę, nie strasz go, kochany.

- Moneo też jest twoim przyjacielem?

- Jesteśmy przyjaciółmi przez żołądki. Oboje lubimy jogurt.

Leto nadał się śmiał, gdy Moneo zatrzymał się obok Hwi. Majordom pozwolił sobie na uśmiech, posyłając Hwi zdezorientowane spojrzenie. Postawa starca wyrażała wdzięczność i służalczość, którą zwykł był okazywać Leto. Teraz okazywał również szacunek Hwi.

- Dobrze się czujesz, lady Hwi?

- Czuję się znakomicie.

- W czasach, w których żołądek jest najważniejszy, przyjaźnie przez żołądek należy kultywować i pogłębiać - rzekł Leto. - Ruszajmy w drogę, Moneo. Tuono czeka.

Moneo odwrócił się i wydał rozkazy Mówiącym-do-Ryb i dworzanom.

Leto uśmiechnął się do Hwi.

- Prawda, że znakomicie odgrywam zniecierpliwionego pana młodego?

Wskoczyła lekko na platformę jego Wozu, ujmując w dłoń rąbek szaty. Rozłożyła swój fotel. Dopiero gdy usiadła, wpatrując się w oczy Leto, odpowiedziała głosem tak cichym, że tylko on mógł ją usłyszeć:

- Kochanku duszy mojej, odkryłam jeszcze jeden z twoich sekretów.

- Uwolnij go z ust swoich - odrzekł, żartobliwie podejmując jej intymny ton.

- Słowa nie są ci potrzebne - powiedziała. - Swoim życiem przemawiasz bezpośrednio do zmysłów.

Całe jego ciało przeszedł dreszcz. Minęła długa chwila, zanim był w stanie znów się odezwać, a i wtedy jego głos był tak stłumiony, że aby móc go usłyszeć w rozgardiaszu zbierającej się świty, musiała wytężyć słuch.

- Między nadludzkim i nieludzkim - powiedział - niewiele mam miejsca na to, by być człowiekiem. Dziękuję ci, łagodna i śliczna Hwi, za tę odrobinę miejsca.

W całym moim wszechświecie nie widziałem ani j e d n e g o p r a w a n a t u r a l n e g o , niezmiennego i nie dającego się uchylić. Wszechświat czasami ukazuje zmienne zależności, przez przemijające świadomości postrzegane niekiedy jako prawa. Te cielesne aparaty zmysłowe, które nazywamy "jaźniami", to efemerydy, usychające w żarze nieskończoności, przelotnie świadome przejściowych warunków ograniczających ich aktywność i zmieniających się wraz z tymi aktywnościami. Jeżeli musicie określać absolut, użyjcie jego właściwej nazwy: t y m c z a s o w y .

"Wykradzione dzienniki"

Nayla pierwsza dostrzegła zbliżający się orszak. Pocąc się obficie w upale południa, stała przy jednym ze skalnych słupów znaczących brzegi Królewskiego Traktu. Widziany z oddali blask przykuł jej uwagę. Mrużąc oczy, spojrzała w tamtą stronę i uświadomiła sobie, że zobaczyła odbicie promieni słonecznych od kopuły Wozu Królewskiego.

- Już są! - krzyknęła.

Poczuła nagły głód. W atmosferze rozgorączkowania i koncentracji na jednym celu nikt nie pomyślał o zabraniu żywności. Tylko Fremeni wzięli wodę i to tylko dlatego, że "Fremeni zawsze zabierają wodę, kiedy opuszczają sicz." Zrobili to z nawyku.

Nayla dotknęła jednym palcem kolby rusznicy laserowej przypiętej do pasa. Most znajdował się nie więcej niż dwadzieścia metrów przed nią, jego wyniosła konstrukcja spinała łukiem otchłań, łączyła jedno pustkowie z drugim.

"To szaleństwo" - pomyślała.

Ale Bóg Imperator potwierdził swój rozkaz. Domagał się, by Nayla we wszystkim słuchała się Siony.

Rozkazy Siony były wyraźne, pozbawione wieloznaczności, a Nayla nie miała sposobności, by poprosić Boga Imperatora o radę. Siona powiedziała:

"Kiedy jego Wóz będzie na środku mostu - wtedy!"

"Ale dlaczego?"

Stały w sporym oddaleniu od pozostałych. Nayla czuła się tu niepewnie, samotna, odcięta od świata i podatna na ciosy.

Skupiony wyraz twarzy Siony, jej cichy, napięty głos - wszystko to robiło wielkie wrażenie.

"Myślisz, że możesz wyrządzić krzywdę Bogu?"

"Ja..." - Nayla zdobyła się jedynie na wzruszenie ramionami.

"Musisz mnie usłuchać!"

"Muszę" - potwierdziła Nayla.

Nayla śledziła powolne zbliżanie się świty, poszczególne kolory szat dworzan, obfite skupiska niebieskości znaczące jej siostry z Mówiących-do-Ryb. Bóg Imperator powiedział, że Nayla ma słuchać Siony. To była próba. Cóż innego mogłoby to być?

Popatrzyła w stronę czwórki Fremenów. Zostali rozstawieni przez Duncana Idaho wprost na drodze i blokowali ten koniec mostu. Siedzieli odwróceni do niej plecami i spoglądali z mostu, cztery sylwetki w brązowych szatach. Nayla słyszała, co mówił im Idaho:

"Nie opuszczajcie tego miejsca. Musicie go stąd powitać. Wstańcie, gdy zbliży się do was i pokłońcie się nisko."

"Tak, powitać."

Nayla sama sobie przytaknęła ruchem głowy.

Trzy pozostałe Mówiące-do-Ryb, które wraz z nią wspięły się na mur, zostały wysłane na środek mostu. Wiedziały tylko tyle, ile Siona powiedziała im w obecności Nayli. Miały czekać, dopóki Wóz Królewski nie znajdzie się kilka kroków od nich, potem zawrócić i tańcząc oddalić się od Wozu, prowadząc go wraz z orszakiem ku miejscu, z którego było widać Tuono.

"Jeżeli zniszczę most za pomocą rusznicy, wszystkie trzy zginą - pomyślała Nayla - a wraz z nimi wszyscy pozostali, ci, którzy przybędą z naszym Panem."

Pochyliła szyję, by spojrzeć w głąb wąwozu. Nie widziała stąd rzeki, ale słyszała jej daleki pomruk, szum wody rozbijającej się o skały.

Wszyscy zginą!

Chyba że On dokona cudu.

Musiało się tak stać. Siona przygotowywała scenę dla boskiego cudu. Co innego mogłoby być teraz jej zamiarem, gdy przeszła próbę i nosiła mundur dowódczyni Mówiących-do-Ryb? Została poddana próbie przez Boga; oboje samotnie przebywali w Serirze.

Nayla zwróciła wzrok na prawo, patrząc na reżyserów tego powitania. Siona i Idaho stali ramię w ramię na drodze, dwadzieścia metrów od Nayli. Pogrążeni byli w rozmowie, raz po raz spoglądając na siebie, kiwając głowami. Chwilę później Idaho dotknął ramienia Siony - był to dziwnie zaborczy gest. Skinął jeszcze raz głową i ruszył w stronę mostu, zatrzymując się na granicy przyczółka dokładnie na wprost Nayli. Spojrzał w dół, następnie przeszedł do drugiego z bliższych rogów mostu. Znów spojrzał w dół, stał tam przez kilka minut przypatrując się, po czym wrócił do Siony.

"Jaką dziwną istotą jest ten ghola" - pomyślała Nayla. Po tej oszałamiającej wspinaczce nie myślała już o nim jako o zwyczajnym człowieku. Był kimś innym, demiurgiem stojącym obok Boga. Mógł jednak mieć dzieci.

Uwagę Nayli zwrócił krzyk dobiegający z oddali. Odwróciła się i popatrzyła przez most. Orszak posuwał się znanym z królewskich wędrówek lekkim truchtem. Teraz, na kilka minut przed dotarciem do mostu, zwalniał do powolnego marszu. Nayla rozpoznała kroczącego w awangardzie Monea w śnieżnobiałym mundurze, idącego równym, prostym krokiem. Majordom patrzył przed siebie. Pokrywa Wozu Boga Imperatora była zamknięta. Błyszczała lustrzana, nieprzezroczysta. Wóz toczył się na swych kołach tuż za Moneem.

Nayla czuła tajemniczość i doniosłość tej chwili.

Miał się zdarzyć cud!

Spojrzała na Sionę. Ta odpowiedziała jej spojrzeniem i skinęła głową. Nayla wyciągnęła rusznicę laserową z olstra i położyła ją na kamiennym słupku, tuż przed sobą. Miała trafić najpierw w linę po lewej, potem po prawej. W końcu w strzelistą, plastalową kratownicę mostu. Broń w dłoni Nayli była zimna i obca. Strażniczka zaczerpnęła głęboki oddech, by odzyskać spokój.

"Muszę to zrobić. To próba."

Zobaczyła, że Moneo odwraca spojrzenie od drogi i nie zwalniając kroku odwraca się, by krzyknąć coś w stronę Wozu bądź tych, którzy szli za nim. Nie była w stanie zrozumieć słów. Moneo raz jeszcze zwrócił twarz naprzód. Nayla wyprężyła się, chcąc stać się częścią zasłaniającej ją skały.

Próba.

Moneo dojrzał ludzi ustawionych pośrodku i na przeciwległym krańcu mostu. Rozpoznał mundury Mówiących-do-Ryb i w pierwszej chwili zdziwił się, kto nakazał to powitanie. Odwrócił się i wykrzyknął pytanie do Leto, ale Wóz Boga Imperatora pozostawał zamknięty, ukrywając Leto i Hwi w swoim wnętrzu.

Byli już bardzo blisko mostu. Koła Wozu zgrzytały na piasku. Dopiero wtedy Moneo rozpoznał Sionę i Idaho, stojących w dużej odległości od przeciwległego końca mostu. Stwierdził, że czterej mężczyźni siedzący na moście są Muzealnymi Fremenami. W umyśle Monea kłębiły się wątpliwości, ale nie mógł niczego zmienić. Odważył się spojrzeć w dół rzeki - pasek platyny błyszczący w świetle południa. Słyszał, jak za jego plecami Wóz mozolnie pokonuje przestrzeń. Nurt rzeki, ruch królewskiego orszaku, płynne znaczenie tego, w czym odgrywał swą rolę - to wszystko wypełniło jego umysł przyprawiającym o zawrót głowy poczuciem nieuniknionego.

"Nie jesteśmy tylko ludźmi idącymi tą drogą - pomyślał. - Jesteśmy podstawowymi pierwiastkami łączącymi okruchy czasu, a gdy przemijamy, wszystko za nami zapada się w bezdźwięk, miejsce podobne do pozaprzestrzeni Ixian, a mimo to nigdy nie takie samo jak wtedy, zanim z niego wyszliśmy."

W pamięci Monea zabrzmiał fragment jednej z pieśni lutnistki i wtedy jego oczy przestały rejestrować wydarzenia rozgrywające się przed nim. Znał tę piosenkę, jej żałość, pragnienie, by wszystko się skończyło, stało przeszłością, by prysły wszystkie wątpliwości i żeby powrócił spokój. Smętna piosnka snuła się w jego myślach jak dym, wijący się, hipnotycznie przyciągający uwagę:

Owady wołają w korzeniach stepowej trawy...

Moneo zanucił sobie:

Krzyki owadów znaczą koniec,
Jesień i moja pieśń są barwą
Ostatnich liści
I źdźbła stepowej trawy.

Kiwał głową w rytm refrenu.

Dzień się skończył,
Goście odeszli.
Dzień się skończył.
W naszej siczy
Dzień się skończył.
Brzmi wiatr burzy,

Dzień się skończył.

Goście odeszli.

Moneo doszedł do wniosku, że piosenka lutnistki musi być naprawdę starą, bez wątpienia dawną fremeńską pieśnią. I mówiła mu coś o nim samym. Naprawdę pragnął, żeby goście odeszli, by zniknął zamęt, znów zapanował spokój. Spokój był tuż, tuż... Moneo jednak nie mógł porzucić swoich obowiązków. Pomyślał o wszystkich bagażach złożonych na piasku z dala od Tuono. Zobaczą zresztą wkrótce to wszystko - namioty, jadło i stoły, złote talerze i wysadzane klejnotami noże, kule świętojańskie przyozdobione arabeskowymi motywami ze starożytnych lamp... wszystko bogate i przystosowane do oczekiwań zupełnie innych istot.

"W Tuono nie będziemy już tacy sami jak teraz."

Moneo spędził kiedyś dwie noce w Tuono, podczas podróży inspekcyjnej. Pamiętał zapach palenisk - aromatycznych krzewów podpalonych i płonących w ciemności. Nie chcieli używać piecyków słonecznych, ponieważ było to "niezgodne z najdawniejszymi obyczajami".

"Najdawniejszymi!"

W Tuono czuło się nikły zapach melanżu. Dominującymi woniami była słodkawa cierpkość i olejki piżmowe wydzielane przez krzewy... i rynsztoki, i smród rozkładających się śmieci. Przypomniał sobie komentarz Boga Imperatora wygłoszony, gdy Moneo skończył relację ze swej podróży:

"Ci Fremeni nie wiedzą, co stracili ze swojego życia. Myślą, że podtrzymują esencję dawnych obyczajów. To wada wszystkich muzeów. Coś odchodzi, ulatuje z eksponatów, znika. Ludzie, którzy sprawują pieczę nad muzeami, i ci, którzy nachylają się nad półkami i gapią się - niewielu z nich wyczuwa, że czegoś zabrakło. Tego, co przedtem napędzało silnik życia. Kiedy życie odchodzi, odchodzi na zawsze."

Moneo skupił uwagę na trzech Mówiących-do-Ryb, stojących naprzeciw niego na moście. Podniosły ręce wysoko i zaczęły tańczyć, wirując, podskakując, oddalając się o kilka kroków od majordoma.

"To dziwne - pomyślał. - Widziałem innych tańczących pod gołym niebem, ale nigdy nie Mówiące-do-Ryb. Tańczą tylko w odosobnieniu swoich kwater, w intymności własnego towarzystwa."

Ta myśl wciąż tkwiła w jego umyśle, kiedy usłyszał pierwszy straszliwy pomruk rusznicy laserowej i poczuł drganie mostu pod swoimi stopami.

"To się nie może stać" - podpowiedział mu umysł.

Usłyszał, że Wóz Królewski zbacza z drogi, potem doszedł do niego dźwięk otwierającej się kopuły. Za nim podniósł się zgiełk okrzyków i nawoływań, ale Moneo nie był w stanie się odwrócić. Nawierzchnia drogi pochyliła się pod ostrym kątem w prawo. Starzec upadł i zaczął ześlizgiwać się ku otchłani. Uchwycił się kilku lin kabla naciągowego, by się zatrzymać. Kabel zsuwał się razem z nim, szorował o warstwę piasku pokrywającego drogę. Chwycił kabel oburącz, obracając się wraz z nim. Wtedy zobaczył Wóz Królewski. Pojazd stał ukosem na brzegu mostu, miał otwartą kopułę. Wewnątrz Wozu Hwi wspierała się o składany fotel i wpatrywała w Monea.

Przeraźliwy dźwięk pękającego metalu przeszył powietrze, most przekrzywił się jeszcze bardziej. Moneo zobaczył dworzan spadających w otchłań, wymachujących rękami, ich usta otwarte w niemym krzyku. Kabel, na którym wisiał Moneo, zaczepił o coś. Majordom wirował w powietrzu. Spocił się ze strachu, czuł, że stopniowo jego dłonie słabną.

Starzec zauważył Wóz Królewski, wtłoczony pomiędzy resztki połamanych wsporników. Bóg Imperator wyciągał bezsilnie ręce ku Hwi Noree. Hwi wypadła z Wozu, zadarta do góry złota szata ukazywała sztywne, wyprężone ciało. Nie wydała z siebie najmniejszego jęku. Bóg Imperator zawył z bólu.

"Dlaczego nie uruchomi dryfów? - myślał Moneo. - Dryfy go utrzymają."

Wciąż słyszał jednostajne buczenie rusznicy laserowej. Gdy jego omdlewające z wysiłku dłonie ześliznęły się z kabla, Moneo ujrzał, jak śmiercionośny płomień niszczy jedną po drugiej kule dryfów Wozu. Kule wydzielały kłęby złotego dymu. Majordom spadał z rękami sztywno wyprężonymi ponad głową.

Dym! Złoty dym!

Moneo obracał się w powietrzu, do chwili, gdy poszybował głową w dół, w otchłań. Wzrokiem utkwionym w głębiach rozpoznawał kłębiące się wiry, zwierciadło swego życia - prądy i strumienie pozostawiające osad, ruch nagromadzający materię. Słowa Leto snuły się przez jego myśli jak złoty dym: "Ostrożność doprowadza do mierności. Większość ludzi myśli, że wszystko, co są w stanie osiągnąć, to mała, płaszcząca się mierność." Świadomość Monea przeżywała ekstazę. Wszechświat stał się przejrzysty jak czyste szkło, wszystko zawisło w bezczasie.

Złoty dym!

- Panie - krzyknął. - Siajnok! Wierzę!

W tym momencie pęd powietrza zdarł mu szatę z ramion. Jeszcze raz przekoziołkował w pustce wąwozu - ostatni raz ujrzał Wóz Królewski. Pojazd przechylał się. Zawisł nad rozpadliną otwierającą się w pękającej drodze. Bóg Imperator wypadł z Wozu. Coś twardego uderzyło Monea w kark - było to ostatnie doznanie w życiu majordoma.

Leto czuł, że wylatuje z Wozu. Całą jego świadomość zdominował obraz Hwi uderzającej o powierzchnię rzeki - daleka perlista fontanna, która zaznaczyła zanurzenie się jej w głąb mitu i marzeń o ostatecznym końcu. Jej ostatnie słowa, spokojne i uspokajające, odbijały się echem w jego pamięci:

"Pójdę pierwsza, kochany."

Ześlizgując się z Wozu, widział łuk rzeki przypominający tarczę o srebrnych brzegach, lśniącą wśród cętkowanych cieni, złowieszcze ostrze rzeki polerowane przez wieczność, gotowe teraz przyjąć go w chwili śmierci.

"Nie mogę płakać, nawet nie mogę krzyczeć - pomyślał. - Brakuje mi łez. Są przecież wodą. Za chwilę wody będę miał pod dostatkiem. Mogę tylko jęczeć z żalu. Jestem sam, bardziej samotny niż kiedykolwiek przedtem."

Wielkie, członowate ciało Leto skręcało się, spadając, dopóki jego doskonały wzrok nie ukazał mu Siony, stojącej na brzegu zerwanego mostu.

"Teraz się dowiesz!" - pomyślał.

Ciało Boga Imperatora wciąż zwijało się w powietrzu. Widział zbliżające się lustro rzeki. Woda była jak sen zamieszkany przez ryby, pojawiające się na chwilę, by wzbudzić pradawne wspomnienie bankietu przy granitowym basenie - były różowymi ciałkami wzmagającymi głód Leto.

"Dołączę do ciebie, Hwi, na uczcie bogów!"

Krople wody i pierzchające pęcherzyki powietrza sprawiły mu potworny ból. Rozszalałe fale uderzały w niego ze wszystkich stron. Czuł jak trze o skały, próbując uwolnić się spod naporu mas wody, jego ciało wiło się w paroksyzmach mimowolnych skurczów. Oszalałym wzrokiem uchwycił na moment widok czarnej i mokrej skalnej

ściany. Postrzępione płaty tego, co jeszcze przed chwilą było jego skórą, eksplodowały na wszystkie strony. Opadały wokół niego jak srebrny deszcz, pierścień oślepiającego ruchu, kruche cekiny - migocące łuski piaskopływaków opuszczały go, by zacząć swe własne, kolonijne życie.

Konanie przedłużało się. Leto był zaskoczony tym, że zachował świadomość, że ma ciało, które jeszcze czuje.

Wiedziony instynktem uchwycił się skały, na którą rzucił go prąd.

Poczuł, jak palce odrywają się od dłoni, zanim zdołał zwolnić uścisk. Był to tylko dodatkowy drobny motyw w symfonii bólu.

Nurt. rzeki skręcał w lewo, opływając masywną skałę. Fale, jakby chcąc powiedzieć Leto, że mają go już dosyć, wyrzuciły Boga Imperatora na pochyły skraj ławicy piasku. Leżał tam przez chwilę, a błękitny barwnik esencji spływał z prądem. Ciało czerwia pełzło samo, byle dalej od wody. Całe pokrycie z piaskopływaków odpadło od niego i coraz bardziej bezpośrednio odczuwał wszelki dotyk, zagubiony zmysł, który powrócił, choć teraz mógł przynieść jedynie ból. Nie widział swego ciała, ale czuł, jak to, co mogło być czerwiem, posuwało się, wijąc, pełznąc, wynurzając się z wody. Spojrzał przed siebie. Jego oczy widziały tylko plamy ognia przybierające różnorodne niewyraźne kształty. W końcu rozpoznał to miejsce. Rzeka wyrzuciła go na zakręcie, w punkcie, w którym opuszczała Serir na zawsze. Dalej leżało Tuono, a potem, kawałek drogi wzdłuż muru odgradzającego, to, co pozostało z siczy Tabr, królestwa Stilgara, miejsca, w którym ukryta była cała przyprawa Leto.

Wydzielając błękitny dym, jego umierające ciało hałaśliwie wlokło się po piasku. Leto znaczył na niebiesko swoją drogę po pokruszonych skalnych odłamkach. Dotarł do wilgotnej jaskini, która dawniej mogła być siczą. Teraz była tylko płytką pieczarą z wejściem zatarasowanym od wewnątrz skalnym zwaliskiem. Czuł woń wilgotnego błota zamiast zapachu przyprawy. W ekstazę konania wtargnęły obce, brutalne dźwięki. Odwrócił się w ciasnym tunelu prowadzącym do jaskini i zobaczył zwisającą u wejścia linę. Jakaś postać ześliznęła się po niej. Rozpoznał Naylę. Skoczyła na kamienie i przykucnęła, wypatrując go wśród cieni. Płomień będący wzrokiem Leto rozstąpił się, by ukazać drugą postać zeskakującą z liny; Siona. Ona i Nayla brnęły ku niemu po kamieniach. W pewnej chwili zatrzymały się, wpatrując się w Leto. Na linie pojawiła się trzecia postać; Idaho. Poruszał się z frenetyczną pasją; z krzykiem rzucił się w stronę Nayli:

- Dlaczego ją zabiłaś? Miałaś nie zabijać Hwi!

Nayla powaliła go na dno tunelu jednym, niemal machinalnym ciosem lewej ręki. Podeszła nieco wyżej i przykucnęła wpatrzona w Leto.

- Panie? Żyjesz?

Idaho był tuż za nią. Zdołał wyrwać jej rusznicę laserową. Nayla nie zdążyła się jeszcze odwrócić, zaskoczona, gdy Duncan uniósł broń i nacisnął na spust. Czubek głowy Nayli zapłonął. Cięcie przedłużyło się, przecinając dziewczynę na dwie części, które opadały w przeciwne strony. Spod płonącego munduru Nayli wypadł lśniący krysnóż i odbił się od skały. Idaho tego nie widział. Z grymasem wściekłości na twarzy spopielał szczątki Nayli, dopóki nie wyczerpał się ładunek broni. Płonący łuk zgasł. Tylko wilgotne, dymiące kawały ciała i ubrania leżały rozrzucone między rozgrzanymi skałami.

Na tę chwilę czekała Siona. Podeszła do Idaho i wyjęła z jego rąk bezużyteczną rusznicę. Obrócił się gwałtownie. Siona przybrała uległą postawę. Gniew Idaho ulotnił się w jednej chwili.

- Dlaczego? - wyszeptała.

- Stało się - powiedział.

Odwrócili się i popatrzyli w stronę ocienionego wejścia do jaskini.

Leto nawet nie próbował wyobrażać sobie tego, co mogli zobaczyć. Wiedział, że nie ma już skóry z piaskopływaków. Pod złuszczoną warstwą znajdowała się z pewnością jakaś powierzchnia poznaczona otworkami rzęsek. Poza tym mógł jedynie odpowiadać spojrzeniem na spojrzenia dwu istot, dwojga mieszkańców pogrążonego w rozpaczy wszechświata. Przez płomienie zasłaniające mu pole widzenia postrzegał Sionę jako demona rodzaju żeńskiego. Imię tego demona z całą jasnością pojawiło się w jego umyśle i wymówił je na głos. Dźwięk wzmocniony przez ściany jaskini był o wiele głośniejszy niż się tego spodziewał.

- Hanmja!

- Co? - Zbliżyła się do niego o krok.

Idaho zasłonił dłońmi twarz.

- Popatrz, co zrobiłaś z biednym Duncanem - powiedział Leto.

- Znajdzie sobie inne miłości. - Te słowa zabrzmiały bezdusznie, jak echo jego własnej, gniewnej młodości.

- Nie wiesz, co znaczy kochać - powiedział. - Czy kiedykolwiek coś komuś dałaś? - Mógł tylko zaciskać dłonie, nędzne parodie tego, co kiedyś było dłońmi. - Na Boga! A co ja dałem?

Siona podeszła jeszcze bliżej. Wyciągnęła ku niemu rękę, lecz zaraz potem ją cofnęła.

- Jestem rzeczywistością, Siono. Popatrz na mnie. Istnieję. Możesz mnie dotknąć, jeżeli się odważysz. Wyciągnij rękę. Zrób to!

Powoli sięgnęła ku temu, co było kiedyś jego przednim segmentem, miejscem, na którym spała w Serirze. Kiedy cofnęła dłoń, były na niej niebieskie ślady.

- Dotknęłaś mnie, poznałaś moje ciało - powiedział. - Czy nie jest dziwniejsze od wszystkiego we wszechświecie?

Zobaczył, że Siona ma zamiar się odwrócić.

- Nie! Nie odwracaj się ode mnie! Spójrz, co spowodowałaś, Siono. Czy to możliwe, że możesz dotknąć mnie, a nie potrafisz dotknąć siebie?

Gwałtownym ruchem dopełniła obrotu.

- Tu tkwi różnica między nami - powiedział. - Jesteś wcielonym bogiem. Obchodzisz dookoła największy cud wszechświata, mimo to nie chcesz go dotknąć, zobaczyć, czuć go ani weń uwierzyć.

Świadomość Leto błądziła w zamkniętej przez noc przestrzeni. Ta ciemność sprawiała, że słyszał metaliczną, owadzią pieśń ukrytych drukarek stukających w nie oświetlonej sali. W tym miejscu brak było zupełnie promieniowania, była to ixiańska pozaprzestrzeń, nie połączona z resztą wszechświata, źródło lęku i duchowej rozterki.

Lecz połączenie zaistnieje.

Poczuł, że ixiańskie drukarki zostały wprawione w ruch, że zapisywały jego myśli bez żadnego specjalnego polecenia.

"Pamiętajcie, co zrobiłem! Pamiętajcie mnie! Odzyskam niewinność!"

Płomienie w jego oczach rozstąpiły się, ukazując Idaho w miejscu, gdzie przedtem stała Siona. Gdzieś obok Duncana, niemal poza zasięgiem pola widzenia, Leto postrzegał jakiś ruch... Ach, tak: to Siona przekazywała na migi polecenia dla kogoś stojącego na szczycie muru.

- Wciąż jeszcze żyjesz? - spytał Idaho.

Głos Leto dobywał się ze świstem.

- Niech się rozproszą, Duncanie. Niech uciekają i kryją się gdzie tylko zechcą, w każdym wszechświecie, który sobie wybiorą.

- Do licha! Co mówisz? Prędzej pozwoliłbym ci żyć z nią.

- Pozwalać? Ja na nic nie pozwalam.

- Dlaczego pozwoliłeś umrzeć Hwi? - jęknął Idaho. - Nie wiedzieliśmy, że była tam z tobą.

Leto opuścił głowę na piersi.

- Otrzymasz rekompensatę - rzekł ochryple. - Moje Mówiące-do-Ryb będą wolały ciebie od Siony. Bądź dla niej łaskawy, Duncanie. Jest kimś więcej niż Atrydką i ma w sobie nasienie waszego przeżycia.

Leto zatonął w swoich wspomnieniach. Były teraz ulotnymi mitami, szybującymi gdzieś poza kontrolą świadomości. Czuł, że przyszedł czas, który przez samo swoje istnienie zmieniał przeszłość. Słyszał jednak jakieś dźwięki i zmuszał się do interpretowania ich. "Ktoś wspina się po skałach?" Płomienie rozstąpiły się, ukazując Sionę stojącą obok Idaho. Stali, trzymając się za ręce, jak dwoje dzieci dodających sobie otuchy przed zapuszczeniem się w nieznane.

- Jak on może żyć w takim stanie? - szepnęła Siona.

Leto długo zbierał w sobie siły na wyartykułowanie odpowiedzi:

- Hwi mi pomaga - powiedział. - Przeżyliśmy coś, czego doświadczają tylko nieliczni. Połączyły nas nasze mocne strony, nie słabości.

- I do czego cię to doprowadziło? - powiedziała Siona z goryczą.

- Tak, ale módlcie się, byście dostąpili tego samego - wychrypiał. - Może przyprawa da wam czas.

- Gdzie jest twoja przyprawa? - zapytała z naciskiem.

- Głęboko w siczy Tabr - powiedział. - Duncan ją znajdzie. Wiesz, gdzie, Duncan. Teraz to miejsce zwie się Tabur. Jest wciąż z grubsza takie samo.

- Dlaczego to zrobiłeś? - szepnął Idaho.

- To mój dar - powiedział Leto. - Nikt nie znajdzie potomków Siony. Moc prorocza nie może jej zobaczyć.

- Co? - przemówili równocześnie, nachylając się, by dosłyszeć gasnący głos.

- Daję wam czas nierównoległy - rzekł. - Zawsze będzie rozbieżny. Na jego krzywych nie będzie punktów przecięcia. Daję wam Złotą Drogę. To mój podarunek. Nigdy więcej nie będzie się doświadczać poczucia zbieżności, jak kiedyś.

Płomienie zamknęły jego pole widzenia. Ból zanikał, ale Leto wciąż ze straszliwą ostrością odczuwał zapachy i dźwięki. Oddech obojga, Siony i Idaho, był teraz płytki i przyśpieszony. Po ciele Leto zaczęły krążyć dziwne kinestetyczne wrażenia - echa kości i stawów, których już nie posiadał.

- Patrz! - zawołała Siona.

- Rozpada się - to był głos Idaho.

- Nie - głos Siony. - Odpada zewnętrzna warstwa. Patrz! To Czerw.

Leto poczuł, jak części jego istoty zapadają się w ciepłą miękkość. Ból konania sam zanikał.

- Co to za otwory w jego ciele? - zapytała Siona.

- Myślę, że to po piaskopływakach. Widzisz te kontury?

- Jestem tu, by udowodnić, że jeden z moich przodków się mylił - powiedział Leto (albo myślał, że powiedział, co, jak dowodziły jego dzienniki, było tym samym). - Urodziłem się człowiekiem, ale nie umieram jako człowiek.

- Nie mogę na to patrzeć! - krzyknęła Siona.

Leto usłyszał, że dziewczyna się odwraca. Dotarł do niego odgłos stóp szurających po kamieniach.

- Wciąż tu jesteś, Duncanie?

- Tak.

"A więc wciąż jeszcze mogę mówić" - uświadomił sobie.

- Spójrz na mnie - powiedział Leto. - W ludzkiej macicy byłem krwawym kawałkiem miazgi, nie większym od wiśni. Patrz na mnie, mówię!

- Patrzę - głos Idaho był ledwo słyszalny.

- Oczekiwałeś giganta, a znalazłeś karła - rzekł Leto. - Teraz zaczynasz odczuwać odpowiedzialność, będącą skutkiem działania. Co zrobisz ze swoją nową władzą, Duncanie?

Zapadła cisza, potem dobiegł go głos Siony:

- Nie słuchaj go! On jest szalony!

- Oczywiście - odparł Leto. - Szaleństwo to metoda, to geniusz.

- Siono, rozumiesz to? - zapytał Idaho. Głos gholi brzmiał żałośnie.

- Rozumie - powiedział Leto. - To ludzkie, że twoja dusza przechodzi kryzys, którego nie przewidziałeś. Tak zawsze jest z ludźmi. Moneo to w końcu zrozumiał.

- Chciałabym, byś się pospieszył i umarł! - powiedziała Siona.

- Jestem bytem podzielonym, a wy czynicie mnie jednością - rzekł Leto. - Duncanie? Myślę, że ze wszystkich moich Duncanów ciebie akceptowałem najbardziej.

- Akceptowałeś? - W głosie Idaho znów pojawił się gniew.

- Moja akceptacja jest po trosze magiczna - powiedział Leto. - W magicznym wszechświecie wszystko jest możliwe. To wasze życie zostało zdeterminowane przez proroczą wizję, nie moje. Widzicie tajemnicze kaprysy rzeczywistości i prosicie mnie, żebym je rozproszył? Chciałbym je tylko wzmocnić!

Inni wewnątrz Leto poczęli się przegrupowywać. Pozbawiony solidarności, podtrzymującej jego tożsamość kolonijnej grupy, zaczął tracić swoje miejsce wśród nich. Poczęli mówić językiem wiecznego JEŻELI: "Gdybyś tylko... Gdybyśmy jedynie..." Chciał krzyknąć na nich, żeby zamilkli.

- Tylko głupcy wybierają przeszłość!

Leto nie wiedział, czy naprawdę wykrzyknął te słowa, czy jedynie pomyślał. Reakcją była chwilowa wewnętrzna cisza, odpowiadająca milczeniu na zewnątrz, i Leto poczuł, że niektóre z nici jego dawnej tożsamości są wciąż nietknięte. Spróbował przemówić i wiedział, że tak było, gdyż usłyszał głos Idaho:

- Słuchaj, próbuje coś powiedzieć.

- Nie bójcie się Ixian - rzekł. Słyszał, że jego głos jest tylko gasnącym szeptem. - Mogą wyprodukować maszyny, ale nie potrafią już dłużej stworzyć arafelu. Wiem. Byłem tam.

Zamilkł, zbierając siły, ale czuł, jak energia wypływa zeń nawet wtedy, gdy stara się ją zachowywać. Raz jeszcze podniósł się w nim zgiełk krzyczących i błagających głosów.

- Dość już głupoty! - zawołał albo pomyślał, że zawołał. Idaho i Siona usłyszeli tylko świszczący oddech.

- Myślę, że umarł - powiedziała po chwili Siona.

- A wszyscy myśleli, że jest nieśmiertelny - powiedział Idaho.

- Wiesz, co głoszą Przekazy Ustne? - zapytała Siona. - Jeżeli pragniesz nieśmiertelności, odrzuć formę. Cokolwiek ma formę, jest śmiertelne. Poza formą jest bezkształtność, nieśmiertelność.

- To brzmi jak o n - rzucił oskarżycielsko Idaho.

- Myślę, że to był on.

- Co on mówił o twoich potomkach... ukrywających się, niemożliwych do znalezienia? - zapytał Idaho.

- Stworzył nowy rodzaj mimikry - powiedziała. - Nową biologiczną imitację. Wiedział, że mu się powiodło. Nie mógł mnie dostrzec w swoich przyszłościach.

- Kim jesteś? - zapytał z naciskiem.

- Jestem nowym rodzajem Atrydy.

- Atrydzi! - W ustach Idaho to słowo zabrzmiało jak przekleństwo.

Siona zapatrzyła się na zmaltretowany kadłub tego, kto kiedyś był Leto Atrydą II... i czymś jeszcze. To c o ś jeszcze wydobywało się w formie cienkich pasm błękitnego dymu tam, gdzie zapach melanżu był najsilniejszy. Pod rozpływającym się cielskiem formowała się kałuża niebieskiego płynu. Pozostały jedynie słabe i niewyraźne kształty tego, co kiedyś mogło być ludzkie - zapadająca się pienista różowość, fragment pokrytej czerwienią kości, która mogła nadawać formę policzkowi i brwiom...

- Jestem inna, ale wciąż jestem kimś, kim był on - powiedziała Siona.

Idaho odparł niewyraźnym szeptem:

- Przodkowie, wszyscy przodkowie...

- Jest ich mnóstwo, ale przechodzę między nimi w milczeniu i nikt mnie nie dostrzega. Dawne wyobrażenia odeszły i tylko ich esencja pozostała, by oświetlić Złota Drogę.

Odwróciła się i wzięła zimną dłoń Idaho w swoje ręce. Ostrożnie wyprowadziła go z jaskini na światło. Tam gdzie ze szczytu muru zapraszająco zwisała lina, zaczepiona w miejscu, w którym oczekiwali przerażeni Muzealni Fremeni.

Pomyślała, że są marnym materiałem na współtwórców nowego wszechświata, ale musieli wystarczyć. Idaho będzie wymagał delikatnego uwodzenia, troski, która może stać się zarzewiem miłości.

Gdy popatrzyła w dół rzeki, tam gdzie jej bieg wynurzał się z otchłani, by rozpostrzeć się wśród zielonych krain, zobaczyła, że wiatr pędzi z południa ciemne chmury.

Idaho wyjął swą rękę z jej dłoni, ale wydawał się być spokojniejszy.

- Kontrola pogody jest coraz bardziej niepewna - powiedział. - Moneo myślał, że to robota Gildii.

- Mój ojciec rzadko się mylił w tych sprawach - powiedziała Siona. - Będziesz musiał się tym zająć.

Idaho nagle przypomniał sobie srebrne kształty piaskopływaków odpryskujące z ciała Leto prosto w nurt rzeki.

- Słyszałam Czerwia - powiedziała Siona. - Mówiące-do-Ryb będą posłuszne tobie, nie mnie.

Idaho znowu poczuł pokusę wywołaną rytuałem Siajnoku.

- Zobaczymy - rzekł. - Odwrócił się i popatrzył na Sionę. - Co miał na myśli, kiedy powiedział, że Ixianie nie potrafią stworzyć arafelu?

- Nie przeczytałeś całych dzienników - powiedziała. - Wytłumaczę ci po powrocie do Tuono.

- Lecz co to znaczy arafel?

- To chmura-ciemność świętego sądu. To ze starej opowieści. Znajdziesz ją w całości w dzienniku.

Wyjątek z tajnego sprawozdania Hadii Benotto dotyczącego odkryć w Dar-es-Balat:

W załączeniu do sprawozdania mniejszości. Dostosujemy się oczywiście do decyzji większości o zastosowaniu wobec dzienników z Dar-es-Balat starannej kontroli ich opracowania edytorskiego i ocenzurowania, lecz nasze argumenty muszą zostać wysłuchane. Bierzemy pod uwagę znaczenie, jakie ta sprawa ma dla Kościoła Świętego, nie uchodzą naszej uwagi także polityczne zagrożenia. Podzielamy z Kościołem pragnienie, aby Rakis i Święty Rezerwat Podzielonego Boga nie stały się atrakcją dla żądnych wrażeń turystów. Jednakże teraz, gdy całość dzienników jest w naszych rękach, poświadczona i przełożona, wyłania się jasny zarys Planu Atrydów. Jako kobieta wyszkolona przez Bene Gesserit w rozumieniu obyczajów naszych przodków, mam naturalne pragnienie, by podzielić się znaczeniem procesu historycznego, który rozszyfrowałyśmy - i który jest czymś więcej niż tylko przemianą Diuny w Arrakis, Arrakis znów w Diunę, a później w Rakis.

Należy zaspokoić zainteresowania historyczne i naukowe. Dzienniki rzucają cenne, nowe światło na zbiór osobistych wspomnień i biografii z Czasów Duncanów i z okresu Biblii Strażniczej. Nie możemy być niepomni na ludowe przysięgi "na tysiąc synów Idaho" czy "na dziewięć córek Siony". Powszechny kult siostry Chenoeh w świetle tego, co ujawniają dzienniki, nabiera nowego znaczenia. Z pewnością charakterystyka Judasza-Nayli przyjęta przez Kościół zasługuje na nową, staranniejszą ocenę.

My, mniejszość, musimy przypomnieć politycznym cenzorom, iż biedne czerwie pustynne w Rezerwacie Rakańskim nie mogą stanowić dla nas alternatywy wobec Ixiańskich Maszyn Nawigacyjnych, ani nikłe ilości kontrolowanego przez Kościół melanżu nie stanowią realnej handlowej groźby dla zbiorników Tleilaxan. Nie! Twierdzimy natomiast, że mity, Przekazy Ustne, Biblia Strażnicza i nawet Święte Księgi Podzielonego Boga muszą zostać porównane z dziennikami z Dar-es-Balat. Każde historyczne odniesienie do Rozproszenia i Czasów Głodu musi zostać odnalezione i ponownie przebadane. Czego mamy się obawiać? Żadna ixiańska maszyna nie może dokonać tego, co potrafimy my, potomkowie Duncana Idaho i Siony. Ile światów zaludniliśmy? Tego nikt nie jest w stanie obliczyć. Nikt nigdy nie będzie tego wiedział. Czy Kościół boi się jakiegoś przypadkowego proroka? Wiemy, że jasnowidze nie mogą nas zobaczyć ani przewidzieć naszych decyzji. Nic nie może spowodować zagłady całej ludzkości. Czy my, mniejszość, musimy dołączyć do naszych towarzyszy z Rozproszenia, zanim zostaniemy wysłuchani? Czy musimy pozostawić główną część ludzkości w ignorancji, pozbawioną informacji? Wiecie, że jeżeli większość nas wypędzi, nigdy nas już nie odnajdziecie.

Nie chcemy odchodzić. Powstrzymują nas owe perły zagrzebane w piaskach. Fascynuje nas to, w jaki sposób Kościół używa tych pereł jako "słońca zrozumienia". To pewne, że żaden myślący człowiek nie może się odwrócić od objawień dzienników w tym względzie. Uznawane za eskapistyczne, w istocie podstawowe zastosowania archeologii, muszą być traktowane poważnie! Jeśli prymitywne urządzenie, dzięki któremu Leto II ukrył swe dzienniki, może pouczyć nas jedynie o ewolucji maszyn, to należy pozwolić przemówić do nas również jego pradawnej Świadomości. Byłoby zbrodnią zarówno przeciw prawdzie historycznej, jak i nauce, gdybyśmy porzucili próby nawiązywania kontaktu z tymi "perłami świadomości", których istotę określają dzienniki. Czy Leto II zagubił się w swym nieskończonym śnie, a może można by go obudzić w dzisiejszych czasach, doprowadzić do pełnej świadomości jako składnicę historycznych danych?

Jak może Kościół Święty obawiać się tej prawdy?

Jako mniejszość nie mamy wątpliwości, że historycy muszą wysłuchać tego głosu z naszej godziny zero. A nawet jeśli są to tylko dzienniki, też musimy ich wysłuchać. Musimy przysłuchiwać się im przez tyle lat w przyszłości, jak długo były one ukryte w przeszłości. Nie próbujemy przewidzieć odkryć, jakie mogą nas jeszcze czekać na tych kartach. Twierdzimy tylko, że trzeba ich dokonać.

Jak możemy odwracać się plecami do naszego najważniejszego dziedzictwa? Przecież poeta Lon Bramlis powiedział: "Jesteśmy fontanną niespodzianek!"

TERMINOLOGIA IMPERIUM

A

ABA: luźna szata (zwykle czarna).

AKSOLOTLOWY ZBIORNIK: urządzenie zawierające końcowe produkty technologii aksolotlowej, najbardziej istotnego osiągnięcia Tleilaxan. Technologia aksolotlowa nie ograniczała się wyłącznie do samego zbiornika, który był wynikiem znacznie wcześniejszych, długotrwałych badań genetycznych i przekształceń i nieco tylko przewyższał sztuczną macicę. Wytworami techniki aksolotlowej Tleilaxan były m. in. ghole, "wypaczeni" mentaci oraz lepsza, "poprawiona" rasa Nawigatorów Gildii Planetarnej (patrz: GHOLE oraz NAWIGATORZY).

ARRAKIN: pierwsza osada na Arrakis; przez długi czas siedziba rządu planetarnego.

ARRAKIS: trzecia planeta Canopusa (przed Ekologiczną Transformacją planety bardziej znana jako Diuna).

B

BAHR BELA MA: (frem.) ocean bez wody.

BASZARKA (pierwotnie: BASZAR): termin z militarnego leksykonu rodu Corrinów, oznaczający oficera sardaukarów (żołnierzy-fanatyków imperialnego rodu Corrinów), o jeden stopień wyższego rangą od pułkownika w zunifikowanej hierarchii Imperium. Termin przejęty najpierw przez standardowy Galach i Fremenów, później także przez Mówiące-do-Ryb (patrz: MÓWIĄCE-DO-RYB).

BENE GESSERIT (1): wychowanka zakonu żeńskiego (patrz: BENE GESSERIT 2).

BENE GESSERIT (2): zakon żeński w ciągu stuleci działający za parawanem półmistycznej szkoły kształcenia ducha i ciała (założonej przede wszystkim dla dziewcząt po tym, jak Dżihad Butlerjańska zniszczyła tak zwane "myślące machiny" i roboty; patrz: DŻIHAD BUTLERJAŃSKA).

BENE TLEILAX: patrz : TLEILAXANIE.

BENOTTO, HADIA: archeolog, odkrywczyni komór pozaprzestrzennych w Dar-es-Balat.

BIBLIA PROTESTANCKO-KATOLICKA: "Księga Ksiąg", pismo święte opracowane przez Kongres Ekumeniczny Federacji (K.E.F.), który odbył się na neutralnej wyspie Starej Ziemi; zrewidowane połączenie starożytnych pism świętych, zawierające elementy najstarszych religii, łącznie z Maometh Saari, chrześcijańską Mahayanną, katolicyzmem zensunnickim i przekazami buddislamskimi. Za najwyższe przykazanie Biblii P.K. uważa się: "Nie będziesz kaleczył ducha".

BUTLERJANIE: patrz: DŻIHAD BUTLERJAŃSKA.

C

CENVA, NORMA: właścicielka stoczni i nawigator, "Opiekunka Gildii Planetarnej", żyła na przełomie drugiego i pierwszego stulecia przed Gildią. Najoryginalniejsza i najbłyskotliwsza z uciekinierów, którzy opuścili Ix w poszukiwaniu planety, na której rozwiązaliby problem w ich rozumieniu najważniejszy: połączenie rodzaju ludzkiego poprzez rozwinięcie bezkomputerowego systemu nawigacji międzygwiezdnej. Zdrowy rozsądek Cenvy i inteligencja uzupełniona energią jej kochanka, Aureliusza Venporta, uczyniły możliwym późniejszą organizację Gildii Planetarnej z wszystkimi konsekwencjami, które z tego faktu wynikły (patrz: VENPORT, AURELIUSZ).

CORIOLISA, KURZAWA: każda większa burza piaskowa za czasów Diuny, której wiejące na otwartych równinach wiatry były wzmagane przez ruch obrotowy planety, aż osiągały prędkość do 700 km/h.

CORRINÓW, RÓD: ród pochodzący z Salusa Secundus (trzeciej planety Gammy Waiping), biorący swoją nazwę od niby-mgławicy Corrin, w pobliżu której rozegrała się słynna bitwa kosmiczna (w roku 88 P.G.), ustalająca jego panowanie w Imperium. Padyszach Imperator Szaddam IV, ojciec Irulany Corrino-Atrydy, był ostatnim, osiemdziesiątym pierwszym władcą z dynastii Corrinów. Po klęsce zadanej przez Fremenów sardaukarom (żołnierzom-fanatykom rodu Corrinów) w bitwie pod Arrakin (10193 E.G.), ród ten już nigdy nie zdołał odzyskać swojej dawnej świetności (patrz: SALUSA SECUNDUS).

CYBUSOWY, KAPTUR: celowo bezkształtny worek, wykonany z materiału o najgłębszej czerni, którego wyrób pozostaje tajemnicą Ixian. Materiał ten pochłania nie tylko światło widzialne, ale także wszystkie inne znane formy promieniowania. Cybusowe ubrania używane były początkowo jako wojskowy kamuflaż, ale zostały zarzucone; indywidualne kaptury stały się standardowym wyposażeniem szpiegów i assassinów.

D

DAR-ES-BALAT: miasto na Rakis w ubogim regionie Kalatorano; miejsce ukrycia przez Leto II jego komór pozaprzestrzennych.

DIUNA: potoczna nazwa Arrakis (trzeciej planety Canopusa) sprzed Ekologicznej Transformacji.

DRUGI KSIĘŻYC: mniejszy z dwóch satelitów Arrakis, godny uwagi ze względu na sylwetkę skoczka pustynnego w rzeźbie powierzchni (patrz: PIERWSZY KSIĘŻYC).

DRYF: wtórna kolektorowa faza generatora polowego Holtzmana. Znosi ciążenie w pewnych granicach, określonych proporcjami masy i zużycia energii.

DYKTATEL: urządzenie zapisujące myśli, skonstruowane przez naukowców z Ix. Dyktatel mógł zapisywać myśli autora bez pośrednictwa mowy czy pisma na materiale zdolnym przetrwać tysiące lat. Urządzenie takie, sporządzone dla Boga Imperatora, miało dodatkową zaletę zdalnego sterowania. Mechanizm drukujący, ukryty bezpiecznie w katakumbach Twierdzy, mógł być użyty zgodnie z wolą Leto II Atrydy niezależnie od miejsca jego pobytu (patrz: IX).

DŻEKARATA: legendarna sicz ogłoszona tabu na pokolenia przed zapoczątkowaniem Ekologicznej Transformacji Diuny, ponieważ była miejscem zamieszkania Idualich, "wodnych insektów". Dzięki powszechnemu sprzymierzeniu fremeńskich plemion, Dżekarata została zaatakowana, a jej mieszkańcy eksterminowani.

DŻIHAD: "święta wojna", fanatyczna krucjata religijna.

DŻIHAD BUTLERJAŃSKA: krucjata przeciwko maszynom myślącym, komputerom i świadomym robotom. Napięcie między programistami, którzy uznawali wyższość zdolności człowieka (znaczone raz po raz mniejszymi i większymi pogromami antykomputerowymi) wzrastało przez przeszło pięćset lat, by - w roku 201 P.G. - przemienić się z rebelii w siejącą śmierć i zniszczenie prawie stuletnią Dżihad (zakończoną w 108 P.G.). Główne przykazanie Dżihad Butlerjariskiej zachowało się w Biblii Protestancko-Katolickiej jako: "Nie będziesz czynił machin na obraz i podobieństwo rozumu ludzkiego".

E

E.G.: "era Gildii"; skrót w kalendarzu Imperium, opartym na dacie powstania monopolu Gildii Planetarnej (patrz: P.G.).

EKOLOGICZNA TRANSFORMACJA DIUNY: plan, którego realizację rozpoczął Pardot Kynes (10121-10175 E.G.), ojciec Lieta-Kynesa (10156-10191 E.G.), mający na celu zmianę ekologii i klimatu Arrakis. Po Kynesach realizację tego planu kontynuował Imperator Paul Atryda, a zakończył jego syn, Leto II.

ELAKKA: niewysokie, krwisto-słojowate drzewo z Ekaz (czwartej planety Alfa Centauri B), najlepiej znane z produktów z otrzymywanych: lin, narkotyku elakka i semuty.

ERG: rozległy obszar pustyni pokryty wydmami; morze piasku.

FAROULA: Fremenka, matka Chani (konkubiny Imperatora Paula Atrydy), babka Ghanimy i Leto II.

FILTRFRAK: osłaniający ciało ubiór wynaleziony na Arrakis przed Ekologiczną Transformacją Diuny przez Fremenów, który pozwalał na przetrwanie w pustyni poprzez zapobieganie utraty wydalanej przez człowieka wody i wilgoci. Jego podstawę stanowiła mikrowarstwowa tkanina, będąca systemem filtracyjnym wydzielin ciała i pochłaniaczem ciepła o niezwykle wysokiej wydajności. Warstwa stykająca się ze skórą była lekko porowata i po wchłonięciu przez filtrfrak ciepła przenikał przez nią pot. Następne dwie warstwy zawierały włókna wymiany ciepła i osadniki soli, która była odzyskiwana. Mocz i fekalia były przetwarzane w specjalnych podkładkach udowych. Siły pompującej dostarczały filtrfrakowi głównie ruchy ciała (oddychanie i kroki - dzięki zamontowanym pompom piętowym w pustynnych butach temag), a także w części działanie osmotyczne. W otwartej pustyni na twarz zakładano specjalną maskę - wdech następował przez filtr naustny, zaś wydech przez nos, w który wkładano specjalny chwytowód zakończony filtrwtykiem. Odzyskana woda przepływała do kieszeni łownych, z których można było ją pić za pomocą wodowodu - rurki w chomątku na szyi. "Filtrfraki" Muzealnych Fremenów tylko zewnętrznie przypominały oryginalne fremeńskie kombinezony, gdyż nie posiadały skomplikowanego systemu odzyskowego (patrz: FREMENI, FREMENI MUZEALNI, KIESZEŃ ŁOWNA oraz WODOWÓD).

FREMENI: wolne plemiona Arrakis sprzed zakończenia realizacji planu Ekologicznej Transformacji Diuny, mieszkańcy pustyni, potomkowie Zensunnitów, którzy przybyli na Arrakis sześć i pół tysiąca lat przed końcem rządów Leto II (patrz: FREMENI MUZEALNI).

FREMENI MUZEALNI: zamiar ochrony kultury Fremenów i ich organizacji społecznej - wobec braku niezbędnego środowiska po Ekologicznej Transformacji Diuny i zmiany warunków społecznych, stworzył fałszywe podstawy do egzystencji poddanych Imperatora Leto II, znanych jako Muzealni Fremeni. Ludzie ci żyli w pozorowanych siczach, w których pielgrzymi mogli nabyć plastikowe krysnoże, haki stworzyciela, wypchane zabawki w kształcie czerwi pustyni czy lalki w filtrfrakach, a także obejrzeć odprawiane ku ich uciesze rytuały Ceremonii Nasienia czy poświęcenia Wody Życia. Fremeni Muzealni nie posiedli ani radosnego ducha pozorów, ani szczerej czci dla przeszłości. Nieuchronna komercjalizacja i obniżenie wartości społeczeństwa, którego zasady mieli chronić, spowodowały, że antropolodzy kultury zaliczyli ich społeczność do najbardziej przykrych i poniżających podczas długiego panowania Imperatora Leto II Atrydy (patrz: FREMENI).

G

GALACH: oficjalny język Imperium.

G ALEON: największy kosmiczny statek transportowy w systemie przewozowym Gildii Planetarnej.

GHANIMA: bliźniacza siostra Leto II (Boga Imperatora) i jego nominalna małżonka. Wraz z Harq al-Adą była protoplastką wszystkich żyjących w czasach Boga Imperatora Atrydów.

GHOLE: duplikaty ludzi produkowane przez Bene Tleilax w zbiornikach aksolotlowych (patrz: AKSOLOTLOWY, ZBIORNIK), zachowujące wzór genów oryginałów, ale pozbawione świadomych wspomnień z ich przeszłości.

GIEDI PRIME: planeta Wężownika B (36), ojczyzna rodu Harkonnenów (nazwana niegdyś przez Gurneya Hallecka Gammu, choć nazwa ta przyjęła się dopiero w czasach Głodu i Rozproszenia).

GILDIA PLANETARNA: jedno z trzech ramion politycznego trójnogu wspierającego Wielką Konwencję. Gildia jest drugą (patrz: BENE GESSERIT 2) szkołą kształcenia ducha i ciała, jakie zaczęły powstawać w następstwie Dżihad Butlerjańskiej. Powstanie monopolu Gildii w dziedzinie podróży, transportu i bankowości międzynarodowej przyjęto za datę początkową kalendarza Imperium.

GŁOS: termin używany w odniesieniu do manipulacji mową w celu zdobycia całkowitej kontroli nad słuchaczem; jedno z najbardziej imponujących uzdolnień Bene Gesserit: umiejętność wytwarzania (przez odpowiednio dobrane odcienie barwy głosu) bodźca słuchowego w celu zaszczepienia polecenia w podświadomości osobnika, a zatem stworzenia przymusu posłuszeństwa.

GŁÓD I ROZPROSZENIE: głód był łatwym do przewidzenia rezultatem upadku Drugiego Imperium, które kontrolowało zamieszkałe planety przez przeszło trzy tysiące lat. Taki polityczny krach musiał zaowocować poza sferą polityki; odczuto go w najbardziej podstawowych ekonomicznych aspektach ludzkiego życia. Ekonomia Imperium podczas panowania Imperatora Leto II była w rzeczywistości niezliczonym mnóstwem ekonomii pod rządami jednej politycznej siły. Niektóre z nich ograniczały się do jednej planety lub układu, podczas gdy inne kontrolowały kilka sektorów. Takie rejonowe sieci były ściśle zależne jedna od drugiej, a spoiwem, które je trzymało razem, były szybkie podróże kosmiczne, możliwe dzięki przyprawie. Upadek Imperatora Leto II Atrydy, a zatem zniszczenie najważniejszego "źródła" melanżu, spowodowało głód (patrz: ROZPROSZENIE).

GOJGOA: arrakańska wioska położona w miejscu dawnego Szulochu (patrz: SZULOCH).

GROT-GOŃCZAK: pospolita broń skrytobójcza - szybująca w dryfie ostra, metalowa drzazga (o długości do 5 cm), sterowana jak pocisk za pomocą ukrytej w pobliżu konsoli.

H

HAKI STWORZYCIELA: pejczopodobne laski, które Fremeni stosowali do chwytania, dosiadania i ujeżdżania czerwi pustyni. Z jednej strony były zakończone hakami, z drugiej szorstkie - dla pewniejszego chwytu. Laski miały różne długości: od prawie półtora do przeszło dwóch metrów (patrz: FREMENI oraz SZEJ-HULUDY).

H ARKONNENÓW, RÓD: ród pochodzący z Giedi Prime, planety Wężownika B (36).

HARQ AL-ADA: frem.: Złamanie Obyczaju - imię, które Farad'nowi Corrino nadał Leto II Atryda po wstąpieniu na imperialny tron. Według Oficjalnej Historii protoplastą wszystkich żyjących Atrydów podczas rządów Imperatora Leto II był sam Bóg Imperator, lecz było to jedynie nominalne ojcostwo, gdyż ich biologicznym antenatem był (według Przekazów Ustnych) właśnie Harq al-Ada.

I

IX: dziewiąta planeta układu Eridani A, źródło wyrafinowanych technologii; zaliczana obok Richese (czwartej planety Eridani A) do niedościgłych cywilizacji technicznych.

IXIANIE: mieszkańcy Ix, dziewiątej planety układu Eridani A (patrz: IX).

K

KALADAN: trzecia planeta Delty Pawia, w latach 8711-10191 E.G. siridar-księstwo rodu Atrydów. Rodzinna planeta Paula Muad'Diba, ojca Leto II.

KHOAM: akronim utworzony z nazwy Konsorcjum Honnete Ober Advancer Mercantiles - wszechświatowej korporacji eksploatacyjnej, kierowanej przez Imperatora i wysokie rody (z Gildią i Bene Gesserit jako cichymi wspólnikami). Stworzenie KHOAM (podczas Wielkiego Synodu Finansowego w latach 10-5 P.G.) wyznaczyło prawdziwy początek Imperium i stało się jednym z jego głównych elementów. Po zakończeniu Dżihad Fremenów (10196-10208 E.G.) KHOAM zostało zdominowane przez Imperatora Paula Atrydę w takim stopniu, jakiego Corrinowie, poprzedni imperialny ród, nigdy nawet nie śmieli brać pod uwagę.

KIESZEŃ ŁOWNA: każda kieszeń filtrfraka, w której przefiltrowana woda jest pochwytywana i magazynowana (patrz: F1LTRFRAK).

KLUCZ GILDII: (patrz: WYKRADZIONE DZIENNIKI). W kilka tygodni po powrocie z wyprawy do Twierdzy Boga Imperatora, Siona Ibn Fuad al-Sejefa Atryda zarządziła wysłanie kopii "Wykradzionych dzienników" do Inkwizytorów na IX, szkoły Bene Gesserit na Wallach Ix i Gildii Planetarnej. Każda grupa miała spróbować przełożyć oba tomy, a wszystkie rezultaty w całości przekazywać Sionie. Rebelianci sądzili, że klucz do szyfru jako pierwsi znajdą Ixianie, ale to Gildia Planetarna, podchodząc do problemu od strony, której "mechanicznie" myślący mieszkańcy Ix nawet nie rozpatrywali, odnieśli sukces w złamaniu kodu Imperatora Leto II. By to uczynić, Gildianie poświęcili wiele z najcenniejszej dla nich przyprawy. Najwrażliwszy z Nawigatorów otrzymał dawkę melanżu potrzebną do pilotowania tuzina galeonów. Używając swych umiejętności w przewidywaniu optymalnego kursu dla statku kosmicznego, skupił się na znalezieniu jedynego właściwego rozwiązania szyfru. Klucz był gotowy w ciągu jednego dnia. Leto II Atryda używał szyfru, który posiada co najmniej kilka rozwiązań, ale tylko Klucz Gildii rozszyfrował oba tomy "Wykradzionych dzienników" całkowicie i logicznie.

KONSORCJUM HONNETE...: patrz: KHOAM.

KRYSNÓŻ: święty nóż Fremenów z Diuny, którego ostrze było wyrabiane z pojedynczego zęba gigantycznego szej-huluda. Tę największą fremeńską świętość wytwarzano w dwóch wersjach: "stałej" i "niestałej" (nóż "niestały" wymagał kontaktu z polem elektrycznym ciała ludzkiego, aby nie ulec rozpadowi). I jedne, i drugie miały mlecznobiałe ostrze długości około 20 cm, które w przyćmionym świetle dawało złudzenie rozżarzonego zęba czerwia pustyni (patrz: FREMENI oraz SZEJ-HULUDY).

KULA ŚWIĘTOJAŃSKA: samozasilające (zazwyczaj z baterii organicznych) urządzenie oświetleniowe, zawieszone w dryfie dzięki umieszczonemu wewnątrz zminiaturyzowanemu generatorowi Holtzmana o bardzo małej mocy. Kulę świętojańską wynalazł w roku 4266 jeden z najwcześniejszych badaczy planety Ekaz.

KWISATZ HADERACH: Skrócenie drogi. Taką nazwę nadały Bene Gesserit niewiadomej, dla której poszukiwały rozwiązania genetycznego; Bene Gesserit płci męskiej, którego witalne siły psychiczne łączyłyby przestrzeń i czas. Według Ceduły Doboru (rejestru głównego programu eugenicznego) miał nim być syn zrodzony z córki lady Jessiki (która zlekceważyła polecenia swoich przełożonych wśród Bene Gesserit i urodziła syna) i Feyda-Rauthy Harkonnena. Jednakże wskutek wielu czynników Kwisatz Haderach pojawił się wcześniej - był nim Paul Atryda, ojciec Leto II.

L

LAMPA DRYFOWA: patrz: KULA ŚWIĘTOJAŃSKA.

LANDSRAAD: najstarsza z instytucji, które uformowały Imperium (obok KHOAM, imperialnego rodu Corrinów i Gildii Planetarnej). Podczas długich lat panowania Corrinów najważniejszym znaczeniem Landsraadu było to, że był on jedyną organizacją, która zabezpieczała wspólne interesy tysięcy planet przed sardaukarami (żołnierzami-fanatykami z Salusa Secundus). Upadek Corrinów po dziesięciu tysiącach lat panowania i tryumf rodu Atrydów po zniszczeniach dokonanych przez Dżihad Fremenów (10196-10208 E.G.) nie oddziałały na struktury czy tradycyjne funkcje Landsraadu jako ogniska siły będącej w opozycji do rodu imperialnego. Jednakże jego potęga bardzo zmalała i nigdy nie zdołał on już odzyskać pozycji siły prawie równej imperialnej. Podczas rządów Leto II instytucja Landsraadu została rozwiązana.

LEGION: jednostka bojowa składająca się z dziesięciu brygad (ok. 30000 ludzi).

LICALLO: pierwsza postać na polu muzyki Drugiego Imperium; żył na początku dwunastego tysiąclecia E.G. Prawie wszyscy późniejsi muzycy i kompozytorzy byli pod wpływem jego dzieł. Stworzył wszystkie najważniejsze formy muzyczne swoich czasów i zapewnił im najlepsze wykonania, kontynuując rodzinną tradycję, która trwała już od siedmiu pokoleń.

LICHTUGA: rodzaj fregaty (największego statku kosmicznego mogącego lądować na powierzchni planety i startować z niej w całości).

M

MAŁA TWIERDZA: budowla w centralnej części Seriru; schronienie Leto II Atrydy.

MELANŻ: "Przyprawa nad przyprawami", której jedynym źródłem była Arrakis przed zakończeniem Ekologicznej Transformacji. Znana głównie ze swych życiodajnych właściwości, przyjmowana w ilościach powyżej dwóch gramów dziennie na siedemdziesiąt kilogramów wagi jest łagodnie warunkująca. Melanż powstawał z masy pre-przyprawowej - stadium grzybowatego, burzliwego wzrostu, spowodowanego dostaniem się ekskrementów piaskopływaków do wody (patrz: PIASKOPŁYWAKI). Arrakańska przyprawa w tym stadium "wybuchała" w charakterystyczny sposób, mieszając substancje z głębi ziemi z substancją z jej powierzchni. Ta masa, poddana działaniu słońca i wiatru, stawała się melanżem. Ekologiczna Transformacja Diuny mająca na celu likwidację pustyń Arrakis spowodowała wyginięcie czerwi pustyni i piaskopływaków, a co za tym idzie także i zniknięcie przyprawy. Egzystencja ludzi od niej uzależnionych, z Bene Gesserit i Gildią Planetarną na czele, uwarunkowana została rozdziałami dokonywanymi przez Imperatora Leto II Atrydę co dziesięć lat z gigantycznego zapasu, ukrytego gdzieś na Arrakis.

MENTAT: "ludzki komputer", wcielenie logiki i rozumu; specjalna klasa obywateli Imperium sprzed rządów Imperatora Leto II Atrydy, którzy byli szkoleni w umiejętnościach myślenia logicznego na nadludzkim poziomie. Mentat był zdolny do dokonywania błyskawicznych obliczeń skomplikowanych danych i znakomitych wnioskowych skojarzeń, ale zazwyczaj tylko wtedy, gdy pogrążył się w mentackim transie (objawiającym się szklistością oczu i monotonną intonacją głosu). W roku 11745 Leto II zlikwidował Zakon Mentatów na planecie Tleilax. Podczas jego panowania szkolenie i wykonywanie zdolności mentatów było zakazane.

MÓWIĄCE-DO-RYB: żeńska armia Imperatora Leto II Atrydy. Mówiące-do-Ryb zostały utworzone jako reakcja na wydarzenia, które nastąpiły w trzech fazach; rozwiązanie oddziałów fedajkinów (jeszcze podczas regencji Alii Atrydy), upadek fremeńskiego wojska oraz - główny powód - bunt Fremenów. Imperator Leto II uświadamiał

sobie, że w armii fremeńskiej ma narzędzie o nieco wątpliwej skuteczności, którego polityczna niezawodność była chwiejna. Krótko po buncie po raz pierwszy usłyszano o formacji Mówiących-do-Ryb.

MUR ZAPOROWY: górzyste wypiętrzenie terenu w północnych rejonach Arrakis z czasów przed Ekologiczną Transformacją Diuny, które osłaniało niewielki obszar tej planety przed kurzawami Coriolisa (patrz: CORIOLISA, KURZAWA).

N

NAIB: ten, kto ślubował nigdy nie dać się wziąć żywcem; tradycyjna przysięga przywódcy Fremenów (patrz: FREMENI).

NAWIGATORZY: Gildianie potrafiący z pomocą melanżu odszukiwać taką linię przyszłości, która pozwala transświetlnym galeonom Gildii Planetarnej omijać wszelkie niebezpieczeństwa (patrz: GALEON oraz GILDIA PLANETARNA).

O

ODDZIELACZ WIATRU: urządzenie używane powszechnie na Arrakis przed Ekologiczną Transformacją Diuny. Oddzielacze instalowano głównie na szlaku dominujących wiatrów; skraplały wilgoć z powietrza, które było zasysane do komory (najczęściej na zasadzie gwałtownego i znacznego spadku temperatury w oddzielaczu).

OFICJALNA HISTORIA: potoczna nazwa corocznych woluminów, zawierających najbardziej obszerne, miarodajne (lecz często z niepewnych źródeł) informacje o dynastii Atrydów, a także raporty i informacje o stanie Imperium w minionym roku (patrz: PRZEKAZY USTNE).

ONN: wybudowane na terenie dawnego Tanzerouft Miasto Świąteczne, którego cała architektura skupiała się wokół jednej tylko funkcji - publicznego oglądania Boga Imperatora. W Onn znajdowały się siedziby głównej szkoły Mówiących-do-Ryb, ambasady innych planet, biura agentów handlowych, kadry zaopatrzeniowe i konserwatorskie, muzea i biblioteki, jednakże zajmowały one niecałe dziesięć procent powierzchni miasta. Głównym celem Onn było gościć Święto Dziesięciolecia Leto. Centrum miasta było gigantycznym placem, otoczonym przez balkony i platformy, z których setki tysięcy poddanych mogło podziwiać Boga Imperatora. Na placu były także odpowiednio rozmieszczone ixiańskie kamery, które przekazywały obraz do apartamentów na przedmieściach, wynajmowanych przez uważanych za mniej ważnych lub wystarczająco popadłych w niełaskę, by odmówić im bezpośredniego oglądania Leto II Atrydy. Drugą, mniej jawną ceremonią, która miała miejsce w Onn, był Siajnok. Projekt i budowa Miasta Świątecznego zostały zlecone przez Imperatora Leto II i jest to prawdopodobnie największy budowlany projekt dla pojedynczego celu w całej znanej historii ludzkości. Pomiędzy poszczególnymi świętami, które odbywały się co dziesięć lat, wszystkie sektory Onn, z wyjątkiem tych zajmowanych przez stałych mieszkańców, były zamknięte. Powodem tego była niechęć Boga Imperatora do używania jego Miasta Świątecznego dla jakichś pomniejszych celów. Robotnicy, którzy w oczekiwaniu na kolejne święto utrzymywali w porządku zamknięte sektory, mieszkali głównie w otaczających plac przedmieściach (patrz: MÓWIACE-DO-RYB oraz SIAJNOK).

ORNITOPTERY: (skrzydłowce); podstawowy sposób transportu powietrznego w Imperium. Pierwsze ornitoptery - to znaczy wszelkie statki powietrzne zdolne do długotrwałego lotu za pomocą uderzeń skrzydłami na wzór ptaków - zostały zbudowane przez grupę naukowców będących więźniami politycznymi. Więźniowie ci, zmuszeni do pracy naukowej, przeszukiwali Imperialne Archiwa Naukowe w celu odszukania porzuconych w

skomputeryzowanej społeczności wynalazków, które mogłyby być ekonomicznie wykorzystane. Naukowcy-więźniowie znaleźli wiele zastosowań dla istniejących już od wieków artefaktów, a jednym z nich były właśnie ornitoptery. Pojazdy te początkowo były przyjęte z niechęcią i nieufnością, lecz z czasem stały się najbardziej popularnym środkiem powietrznego transportu. Dżihad Butlerjariska ze swą proskrypcją na skomplikowane urządzenia oddala planetarne nieba w niemal niepodzielne władanie prostym i tanim ornitopterom.

P

PANEW: nisko położony teren lub depresja na Arrakis, powstała w wyniku osiadania warstw podłoża.

PASKUDZTWO: termin używany przez Bene Gesserit na określenie osób przed-urodzonych, czyli obdarzonych pełną świadomością już w łonie matki, posiadających wiedzę i wspomnienia swoich przodków.

P.G.: "przed Gildią"; skrót w kalendarzu Imperium, opartym na dacie powstania monopolu Gildii Planetarnej (patrz: E.G.).

PIASKOPLYWAKI: pół rośliny, pół zwierzęta, zarodki czerwii pustyni zwane niegdyś maleńkimi stworzycielami, które żyły w głębi piasku Arrakis przed zakończeniem Ekologicznej Transformacji Diuny. Ekskrementy piaskopływaków (które ginęły milionami w każdym wybuchu przyprawowym) zmieszane z wodą tworzyły masę preprzyprawową (patrz: MELANŻ). Poza wybuchami dla maleńkich stworzycieli śmiertelne niebezpieczeństwo stanowiły też nieznaczne nawet wahania temperatury. Nieliczne pozostałe przy życiu osobniki zapadały w półsen cystohibemacji, by po sześciu latach wyłonić się w postaci niewielkiego (ok. 3 metry długości) czerwia pustyni (patrz: SZEJ-HULUDY). Zakończenie realizacji rozpoczętego przez ekologa Pardota Kynesa (10121-10175 E.G.) planu przekształcenia pustynnej powierzchni Arrakis w żyzną glebę spowodowało wyginięcie piaskopływaków, podobnie jak i samych czerwi pustyni.

PIERŚCIENIE WODY: (także TALIONY WODY); stosowane przez Fremenów metalowe pierścienie różnej wielkości o ściśle określonym nominale wody, na którą można było je wymienić we fremeńskich kantorach (patrz: FREMENI).

PIERWSZY KSIĘŻYC: większy z dwóch satelitów Arrakis, godny uwagi ze względu na charakterystyczny wizerunek ludzkiej pięści w rzeźbie powierzchni (patrz: DRUGI KSIĘŻYC).

PLASTAL: stal stabilizowana włóknami stravidium, które wrastają w jej strukturę krystaliczną.

POZAPRZESTRZEŃ: zjawisko wytwarzane przez urządzenia wynalezione przez Ixian w celu ukrycia przedmiotów wewnątrz określonego obszaru lub ukrycia samego obszaru.

PRAWDOMÓWCZYNI: Wielebna Matka, która posiadła sztukę zapadania w trans prawdy (wywołany jednym z narkotyków "widma świadomości") i rozpoznawania kłamstwa, oszustwa lub nieszczerości. Pewne fakty wskazują, że niektóre doświadczone Prawdomówczynie mogły samowzbudzać trans prawdy bez pomocy żadnych środków, jedynie siłą autosugestii (patrz: PRĄWDOPOZNANIE).

PRAWDOPOZNANIE: (także ZMYSŁ PRAWDY); umiejętność Prawdomówczyni dostrzegania najdrobniejszych przejawów świadomego kłamstwa (patrz: PRAWDOMÓWCZYNI).

PRZEKAZY USTNE: termin używany w odniesieniu do rozmaitych informacji, z których niektóre - wbrew nazwie - nigdy nie były przekazywane drogą ustną. Przekazy Ustne wraz z Oficjalną Historią dawały pełen obraz rządów Atrydów przed odkryciem Imperialnej Biblioteki w Dar-es-Balat na Rakis (patrz: OFICJALNA HISTORIA).

PRZYPRAWA: patrz: MELANŻ.

PUNDI, RYŻ: zmutowany ryż o bogatych w naturalny cukier ziarnach osiągających do czterech centymetrów długości; główny produkt eksportowy Kaladanu.

R

RAKIS: skrócona nazwa Arrakis (trzeciej planety Canopusa).

RODY WYSOKIE: feudałowie posiadający lenna planetarne, przedsiębiorcy międzyplanetarni (patrz: RÓD).

ROZPROSZENIE: po upadku Leto n Atrydy religia uległa przemianie. Niektórzy zaczęli postrzegać go nie jako Boga Imperatora, ale jako mesjasza (podobnie jak i jego ojca). Do tej wiary zaczęto mieszać elementy dawnych, wcześniejszych wierzeń. Ale wbrew tym próbom zaadaptowania innych wiar, wielu otwarcie pozostawało niechętnymi kontynuacji uznawania świętości Leto H, Muad'Diba czy jakichkolwiek obrządków z nimi związanych. Regiony bliżej Rakis zostały przy "tradycjonalistach", podczas gdy ci, którzy upierali się przy założeniu na nowo swego religijnego życia, opuścili ich. Z pomocą ixiańskich urządzeń i formuły na sztuczną przyprawę (którą z czasem udało się zsyntetyzować Tleilaxanom), pożeglowali w głąb galaktyki, rozpoczynając Rozproszenie.

RÓD: idiomatyczne określenie klanu panującego na planecie lub w systemie planetarnym.

RUSZNICE LASEROWE: miotacze laserowe wytwarzające falę ciągłą. Do czasu wynalezienia tarczy obronnej przez Holtzmana, rusznice laserowe były główną bronią we wszystkich konfliktach wojskowych. W cywilizacji używającej powszechnie pól generatorowych tarcze miały ograniczone zastosowanie jako broń, gdyż zetknięcie się wiązki laserowej z tarczą obronną powodowało fuzję subatomową. W tym czasie używane były głównie jako broń przeciw dzikim zwierzętom i w sporcie strzeleckim, a sporadycznie w konfliktach z ludami o niższym rozwoju cywilizacyjnym. Podczas rządów Leto II Atrydy, który zakazał używania tarcz, rusznice laserowe w rękach Mówiących-do-Ryb odzyskały swoje dawne znaczenie (patrz: TARCZA OBRONNA).

RYDULIAŃSKI PAPIER KRYSTALICZNY: wynalazek ixiańskiego naukowca specjalizującego się w badaniach form krystalicznych: papier grubości zaledwie kilku molekuł, o niezwykłej wytrzymałości i twardości, który zdolny był wytrzymać temperatury od -375°C do 1427°C bez zmiany w strukturze.

SALUSA SECUNDUS: trzecia planeta Gammy Waiping; ojczysta planeta rodu Corrinów; po przeprowadzce dworu królewskiego na Kaitain ogłoszona imperialną planetą więzienną; miejsce szkolenia żołnierzy-fanatyków rodu Corrinów, sardaukarów, których Farad'n (Harq al-Ada) w roku 10219 E.G. oddał pod rozkazy Leto II Atrydy (patrz: CORRINÓW, RÓD).

SERIR: miniaturowa kopia planetarnej pustyni pokrywającej niegdyś powierzchnię Arrakis. Ostatnia Pustynia Serir została założona przez Imperatora Leto II Atrydę w trzecim stuleciu jego rządów. Ze względu na trudności z zachowaniem równowagi klimatycznej jej granice były ciągle przesuwane, jednakże przeciętny obszar Seriru był stały i wynosił około dwustu pięćdziesięciu tysięcy kilometrów kwadratowych.

SIAJNOK: Wielkie Dzielenie; Święto Leto; odbywająca się co dziesięć lat mito-polityczna ceremonia wzmacniająca więzy pomiędzy Bogiem Imperatorem a jego Mówiącymi-do-Ryb. Ze wszystkich aspektów służby w tej żeńskiej armii, rytuał Siajnok był najświętszym i najważniejszym, a przez to zazdrośnie strzeżonym przed obcymi - w szczególności mężczyznami. Jedynym tolerowanym wyjątkiem był ghola Duncan Idaho, który mógł poprosić Imperatora Atrydę o przyjęcie do ceremonii. Siajnok odbywał się zawsze przed publicznym oglądaniem Boga

Imperatora w Tajemnej Sali, ulokowanej pod gigantycznym placem Miasta Świątecznego Onn (patrz: MÓWIACE-DO-RYB oraz ONN).

SICZ: dla Fremenów "miejsce zbiórki w przypadku zagrożenia". Wskutek ciągłego użycia (jako że Fremeni nieustannie żyli w niebezpieczeństwie) termin ten przyjął się na oznaczenie wszelkiej jaskiniowej siedziby ich plemiennych społeczności (patrz: FREMENI).

SICZ TABR: fremeńska sicz, do której w roku 10191 E.G. lady Jessika i jej syn, Paul Atryda (ojciec Leto II), trafili podczas ucieczki przed Harkonnenami i sardaukarami (patrz: SICZ).

STWORZYCIEL: patrz: SZEJ-HULUDY.

SUUK: frem. targowisko.

SZADOUT: "czerpiąca ze studni", fremeński tytuł honorowy.

SZEJ-HULUDY: gigantyczne arrakańskie czerwie pustyni, zwierzęta jedyne w swoim rodzaju, żyjące na Arrakis przed zakończeniem Ekologicznej Transformacji Diuny. Czerwie pustyni osiągały olbrzymie rozmiary (przekraczające 400 metrów) i dożywały sędziwego wieku, jeżeli się nawzajem nie pozabijały lub nie potopiły w wodzie, która była dla nich śmiertelną trucizną. Wskutek realizacji planu Ekologicznej Transformacji Diuny, mającej na celu likwidację pustyń na Arrakis, szej-huludy wyginęły (patrz: PIASKOPŁYWAKI).

SZEJTAN: szatan.

SZKOLENIE: W odniesieniu do Bene Gesserit ten skądinąd pospolity termin nabiera specjalnego znaczenia związanego m. in. ze szczególnym uwarunkowaniem nerwów i mięśni, na jakie tylko pozwala granica ich naturalnej wytrzymałości. Pełne szkolenie trwa około dziesięciu lat i opiera się na serii bardzo postępowych ćwiczeń, które dają adeptce Bene Gesserit moc kontrolowania siebie mentalnie, fizycznie i psychologicznie, a także możliwość kontrolowania innych.

SZULOCH: nazwa siczy wymienianej w wielu fremeńskich opowieściach. Szuloch znaczy "nawiedzone miejsce" (patrz: GOJGOA).

T

TABUR: wioska Muzealnych Fremenów położona na terenie Seriru.

TANCERZE OBLICZA: jadachańscy hermafrodyci; wyspecjalizowani artyści-szpiedzy z planety Tleilax, posiadający zdolność cielesnej adaptacji. Tancerze Oblicza stosowali intensywny trening, pozwalający im kopiować powierzchowność, głos, formy fizyczne i ruchy innych; mogli dowolnie zmieniać swój wzrost, budowę ciała, rysy twarzy, kolor i długość włosów, a także płeć. Mistrzowie pośród Tancerzy Oblicza mogli obserwować osobę tylko przez minutę, by stworzyć przybliżone podobieństwo. Kilka godzin oglądania dawało im w rezultacie podobieństwo, które mogło zwieść przypadkowych znajomych skopiowanej osoby. Mając możliwość kilkudniowego studiowania, uzyskiwali taki stopień podobieństwa, że różnice były niezauważalne (choć tylko na krótki okres czasu) nawet dla najbliższych. Pierwsi Tancerze Oblicza pojawili się jako artyści-imitatorzy w roku 5122 E.G.

TANZEROUFT: termin z czasów Diuny: rejon Arrakis zwany "Krajem Grozy" - trzy tysiące osiemset kilometrów kwadratowych pustyni przerywanej sporadycznie unieruchomionymi przez trawę wydmami z oddzielaczami wiatru, służącymi do ich nawadniania. Na obszarze dawnego Tanzerouft zostało wybudowane Miasto Świąteczne Onn.

TARCZA OBRONNA: pole ochronne wytwarzane przez generator Holtzmana. Pole powstaje w fazie pierwszej zjawiska dryfowo-anulacyjnego (zjawiska negatonowego odpychania przez generator tarczy). Tarcza przepuszcza tylko obiekty poruszające się z niewielką prędkością (w zależności od nastawienia tarczy prędkość ich waha się od 6 do 9 centymetrów na sekundę) i uziemić ją może jedynie pole elektryczne wielkości hrabstwa. Teorię konstrukcji tarczy obronnej przedstawił Holtzman w roku 3832 P.G. Podczas rządów Imperatora Leto H Atrydy (10209-13724 E.G.) użycie tarcz zostało zabronione ze względu na możliwość fuzji subatomowej (straszliwego wybuchu spowodowanego przez zetknięcie się wiązki z rusznicy laserowej z tarczą; patrz: RUSZNICE LASEROWE).

THORSY: sześcionogie zwierzęta pociągowe używane powszechnie w całym Imperium. Dorosłe osobniki ważyły ponad dwie tony i mierzyły prawie sześć metrów długości. Ich potrzeby żywieniowe były stosunkowo niewielkie, a wieloraki układ trawienny pozwalał na przyjmowanie wszystkich typów pożywienia roślinnego. Niektórzy ludzie hodowali thorsy dla ich mięsa. Na Arrakis zostały wprowadzone po zakończeniu realizacji planu Ekologicznej Transformacji Diuny.

TLEILAX: samotna planeta gwiazdy Thalima, źródło ghol i Tancerzy Oblicza; niegdyś siedziba Zakonu Mentatów założonego przez Gilbertusa Albansa, a zniesionego przez Imperatora Leto II Atrydę (patrz: TLEILEXANIE).

TLEILAXANIE: (BENE TLEILAK); mieszkańcy Tleilaxu, samotnej planety gwiazdy Thalima, źródła niemoralnych (choć tolerowanych) technologicznych produktów. Technokratyczne społeczeństwo Bene Tleilax tworzyło projektowanych genetycznie ludzi ze specjalnymi przeznaczeniami (seksualne zabawki, "wypaczonych" mentatów, Tancerzy Oblicza, ghole i in.), natomiast wojnę, ubóstwo i religię traktowało jako zwykłe produkty lub dogodne rynki zbytu. Tleilaxanie (podobnie jak Ixianie) stanowili potencjalną groźbę dla delikatnej technologicznej prohibicji feudalnego Imperium, jako że w pościgu za naukowymi korzyściami nie uznawali granic ani barier.

TRÓJNÓG ŚMIERCI: pierwotnie: trójnóg, na którym kaci pustynni wieszali swe ofiary.

W

WIELEBNA MATKA: Bene Gesserit, która przekształciła "truciznę objawienia" (esencję przyprawową) w swoim ciele, wznosząc się na wyższy szczebel świadomości. (W czasach przed Ekologiczną Transformacją Diuny "trucizną objawienia" była Woda Życia, płynna wydzielina arrakańskiego czerwia pustyni, która wypływała w momencie jego śmierci przez utonięcie; patrz: SZEJ-HULUDY).

WIELKA KONWENCJA: powszechny kodeks prawny ustalony podczas Wielkiego Synodu, ratyfikowany w roku 337 E.G. Jego główne postanowienie zabrania użycia broni atomowej przeciwko ludziom. Wszystkie punkty Wielkiej Konwencji rozpoczynają się od słów: "Należy przestrzegać konwencji..."

WIEŃCOMUR: drugi, wyższy stopień urwisk wieńczących Mur Zaporowy Diuny (patrz: MUR ZAPOROWY).

WILKI-D: specjalnie wyhodowane zwierzęta mięsożerne, mieszkańcy Zakazanego Lasu, końcowy produkt poszukiwań Leto II Atrydy idealnych strażników jego Twierdzy. Zwierzęta te mogły znaleźć i tropić ślady sprzed wielu dni i powalić zdobycz nawet trzykrotnie od siebie większą. Wilki-D zostały wypuszczone w Zakazanym Lesie w roku 10819 E.G., chroniąc Twierdzę Leto II przed wszelkimi możliwymi najeźdźcami z przerażającą skutecznością przez tysiące lat (patrz: TWIERDZA oraz ZAKAZANY LAS).

WODOWÓD: każdy przewód wewnątrz fremeńskiego filtrfraka, doprowadzający odzyskaną wodę do kieszeni łownej lub też z kieszeni łownej do użytkownika; wodowody były także stosowane w zgonsuszniach, literjonach i przenośnych oddzielaczach wiatru (patrz: FILTRFRAK oraz KIESZEŃ ŁOWNA).

WÓZ KRÓLEWSKI: pojazd Leto II Atrydy, zbudowany według jego własnego projektu przez Ixian, służący do swobodnego poruszania się Boga Imperatora po Twierdzy, a także podczas jego podróży po niepustynnym podłożu i klimacie. Wóz Królewski miał siedem metrów długości i trzy metry szerokości, mógł się poruszać na czterech rozstawionych szeroko (chowanych) kołach lub na wbudowanych w spód pancerza dwóch szeregach kul dryfowych.

WYKRADZIONE DZIENNIKI: dwa tomy "Dzienników" Leto II Atrydy, wykradzione z Twierdzy w roku 13712 E.G. przez Sionę Ibn Fuad al-Sejefę Atrydę (patrz: KLUCZ GILDII).

VENPORT, AURELIUSZ: naukowiec i odkrywca, "Opiekun Gildii Planetarnej", żył na przełomie drugiego i pierwszego stulecia przed Gildią. Najbardziej energiczny i inteligentny spośród uchodźców z Richese (czwartej planety Eridani A), którzy odkryli "planetę(y) azylu" - Tupile. Yenport połączył bogactwo planety (planet) i ludzi z wytrenowaną kadrą i wiedzą naukową przywiezionymi z Ix i Richese, umożliwiając sobie i Normie Cenvie realizację swego tajemnego celu: odkrycia bezkomputerowego systemu nawigacji międzygwiezdnej (patrz: CENVA, NORMA).

Z

ZAKAZANY LAS: las okalający Twierdzę Leto H, położony na obrzeżach Seriru, zamieszkały przez wilki-D (patrz: SERIR oraz WILKI-D).

ZAKON ŻEŃSKI: patrz Bene Gesserit (2).

ZGONSUSZNIA: po fremeńsku Huanui - urządzenie wynalezione przez Fremenów (i tylko przez nich używane), służące do wydestylowywania wody ze zwłok (patrz: FREMENI).

Książka pobrana ze strony
http://www.ksiazki4u.prv.pl
lub
www.wszystko-co-najlepsze.prv.pl